

JEAN-CHRISTOPHE GRANGE

# Czarna linia

*La ligne noire*

Z francuskiego przełożył

Wiktor Dłuski



# KONTAKT

# 1.

Bambusy.

To one doprowadziły go tutaj, między szumiące ściany i ścieżki dżungli. To drzewa podszepnęły mu kierunek, podpowiedziały, co robić. Zawsze tak było. W Kambodży. W Tajlandii. A teraz tu, w Malezji. Liście muskały go po twarzy, przyzywały, dawały znaki...

Ale teraz drzewa były przeciwko niemu.

Złapały go w pułapkę. Nie wiedział, jak to się stało, ale bambusy otoczyły go, najeżyły się, utworzyły hermetyczną celę.

Spróbował precyzyjnie przesuwać palce przez szparę wzdłuż drzwi. Nie udało się. Darł podłogę, żeby usunąć deski. Na próżno. Podniósł oczy i zobaczył tylko zwisającą z sufitu złożoną parę pletw. Jak długo nie oddychał? Minutę? Dwie?

W pomieszczeniu było gorąco jak w łaźni. Pot spływał mu po twarzy. Wpatrywał się w ścianę: źdźbła rattanu wypełniały szczelnie każdą szparę. Gdyby zdołał wypruć jedno z tych włókien, do wnętrza dostałoby się trochę powietrza. Spróbował je wyciągnąć dwoma palcami: nic z tego. Po kilku sekundach zaczął drapać ścianę, zdarł sobie paznokcie. Uderzył z wściekłością w bambusowy mur i opadł na kolana. Zaraz zdechnie. On, mistrz bezdechu, umrze w tej chacie z braku tlenu.

Wtedy przypomniał sobie o prawdziwym zagrożeniu. Spojrzał przez ramię: sunęły ku niemu ciemne wstęgi - powolne, ciężkie, smoliste strugi. Krew. Dosięgnie go, zaleje, zadusi...

Przycisnął się z jękiem do ściany. Im więcej się ruszał, tym bardziej czuł, jak narasta w nim potrzeba oddechu. Głód powietrza torturował mu płuca, podchodził pod gardło jak zatruta kula.

Zgiął się wpół i ruszył wzdłuż linii styku ściany z podłogą, w nadziei że znajdzie jakąś szczelinę. Sunął tak na czworakach, aż odwrócił się znowu. Krew była już tylko o kilka centymetrów od niego. Zawył, z plecami przyciśniętymi do ściany, wbijając obcasy w podłogę, próbował się cofnąć.

Ścianka, o którą się oparł, ustąpiła. Do celi wdarł się potężny biały strumień, niosąc ze sobą słomę i pył. Czyjeś ręce gwałtownie porwały go w górę. Słyszał malajskie krzyki, rozkazy. W dole zobaczył palmy, szarą plażę, morze barwy indygo. Odetchnął pełną piersią. W powietrzu unosił się zapach ryb. Dwie nazwy huczały mu pod czaszką: Papan, Morze

Chińskie...

Rece niosły go, a jednocześnie jacyś ludzie pochylali się nad progiem chatki. Biły go czyjeś pięści, kaleczyły harpuny. Przyjmował ciosy obojętnie. W głowie miał tylko jedno: teraz, uwolniony, chciał ją zobaczyć.

Źródło krwi.

Mieszkankę mroku.

Wyteżył wzrok w kierunku wyrwanych drzwi. W głębi naga młoda kobieta siedziała przywiązana do czegoś w rodzaju pręgierza. Dziesiątki ran znaczyły jej ciało - uda, ramiona, tors, twarz. Wypuszczono z niej krew, która wyciekała powolnym, ciągłym strumieniem na polepę.

I wtedy pojął prawdę: to obrzydlistwo było jego dziełem. Poprzez krzyki, poprzez ciosy dotarła do niego przerażająca prawda.

Był mordercą.

Oprawcą.

Odwrócił wzrok. Rozjuszona horda rybaków schodziła w kierunku plaży, taszcząc go ze sobą.

Przez łzy zobaczył linę, kołyszącą się na końcu gałęzi.

## 2.

[Od naszego specjalnego wysłannika].

### SERYJNY ZABÓJCA W TROPIKACH

Siódmy lutego 2003 roku. Jedenasta rano czasu lokalnego. W Papanie, małej wiosce w sultanacie Johore, na południowo-wschodnim wybrzeżu Malezji, dzień jak co dzień. Po drodze ciągnącej się wzdłuż wielkiej, pokrytej szarym piaskiem plaży wędrują turyści, kupcy, marynarze. Nagle rozlegają się krzyki. Pod palmami miotają się rybacy. Niektórzy są uzbrojeni: drągi, harpuny, noże...

Ruszają w górę, w głąb puszczy ścieżką odchodzącą z plaży. W oczach mają nienawiść. Twarze są naznaczone przemocą, żądzą mordy. Wkrótce docierają do wzgórza, gdzie dżungla ustępuje miejsca gajowi bambusowemu. Tu już spokojniej, idą dalej w milczeniu. Dostrzegli to, czego szukali: ukryty w zieleni dach chaty. Podchodzą. Drzwi są zamknięte. Bez wahania wyłamują ścianę uderzeniami harpunów.

Przed nimi widok jak z piekła: półnagi mężczyzna, *mat salleh* (biały), leży zwinięty w kłębek na progu, pogrążony w transie. W głębi chaty siedzi kobieta przywiązana do krzesła. Jej ciało jest jedną wielką, krwawiącą raną. U jej stóp leży narzędzie zbrodni: nóż używany przy nurkowaniu.

Rybacy chwytają mężczyznę i ciągną go w kierunku plaży. Szubienica już tam jest, ale niespodziewanie w sprawę wdają się policjanci z Mersingu, miasta leżącego o dziesięć kilometrów na północ od Papanu. Zaalarmowani przez świadków, przybywają w ostatniej chwili, by zapobiec linczowi. Ocalony mężczyzna zostaje osadzony w areszcie miejscowej komendy.

Ta zdumiewająca scena rozegrała się trzy dni temu w pobliżu granicy malezyjsko-singapurskiej. Prawdę mówiąc, nie jest aż tak zdumiewająca, jak mogłoby się zdawać, bo w Azji Południowo-Wschodniej samowolne egzekucje nie są rzadkością. Ale tym razem zaskakuje osoba podejrzanego. To Francuz. Nazywa się Jacques Reverdi. W latach 1977-1984 był sportowcem klasy międzynarodowej i bił kilkakrotnie rekord świata w nurkowaniu bezdechowym w wersjach z obciążeniem („no limits”) i bez obciążenia.

W połowie lat osiemdziesiątych wycofał się ze sportu wyczynowego i od piętnastu lat mieszkał w Azji Południowo-Wschodniej. Jako instruktor nurkowania, obecnie

czterdziestodzieciolatek, był szeroko znany w Malezji, Tajlandii, Kambodży. Wedle pierwszych zebranych świadectw to człowiek o pogodnym usposobieniu, życzliwy, ale też samotny, żyjący zwykle jak robinson w odludnych zakątkach wybrzeża. Co się stało 7 lutego 2003 roku? Jak trup młodej kobiety mógł się znaleźć w chacie, w której Reverdi mieszkał od kilku miesięcy? i dlaczego malezyjscy rybacy chcieli od razu sami wymierzyć mu sprawiedliwość?

Jacques Reverdi był już raz - w roku 1997 - zatrzymany w Kambodży pod zarzutem zamordowania młodej turystki niemieckiej, Lindy Kreutz. Został zwolniony z braku dowodów, ale sprawa była w Azji Południowo-Wschodniej bardzo głośna. Kiedy Reverdi osiedlił się w Papanie, wszyscy go rozpoznali i mieli na oku. Zauważono ostatnio, że w jego chatce zamieszkała Dunka nazwiskiem Pernille Mosensen, toteż niepokój i lęk wzmogły się. Od kilku dni nie widziano we wsi młodej Europejki i to wystarczyło, by pojawiły się podejrzenia, a w głowach zawrzało...

Wedle pierwszych informacji lekarze z General Hospital w Johor Bahru stwierdzili na ciele Pernille Mosensen dwadzieścia siedem ran zadanych „białą bronią kłującą i tnącą”. Rany znajdowały się na kończynach, twarzy, szyi, plecach i w okolicach narządów rodnych. Na konferencji prasowej, która odbyła się dziewiątego lutego, eksperci użyli określenia „patologiczna zaciekłość”.

Gazety malezyjskie pisały o „amoku”, morderczym szaleństwie ogarniającym niektórych ludzi w tych regionach.

Po nocy spędzonej w komendzie policji Reverdi został przeniesiony do szpitala w Ipoh, najstłynniejszego w Malezji zakładu psychiatrycznego. Od chwili aresztowania podejrzany nie wypowiedział ani słowa. Wydaje się, że znajduje się w stanie szoku. Zdaniem lekarzy takie posttraumatyczne otępienie nie powinno trwać długo. Czy Reverdi po odzyskaniu świadomości przyzna się do popełnionej zbrodni? Czy może przeciwnie, będzie się starał uwolnić od podejrzeń?

Redakcja „Le Limier” zamierza prześledzić ten przypadek. Już nazajutrz po aresztowaniu eksportowca nasza ekipa udała się do Kuala Lumpur. Chcemy podążyć śladami Reverdiego i sprawdzić, czy jakieś inne osoby nie znikły w tajemniczy sposób na jego drodze...

W chwili, kiedy piszemy te słowa, z naszych wyłącznych źródeł wynika, że rewelacje dopiero zaczną wychodzić na jaw. Już w następnym numerze nasi czytelnicy dowiedzą się znacznie więcej o ukrytej twarzy złowrogiego „księcia przyływów”.

Marc Dupeyrat

specjalny korespondent „Le Limier”  
w Kuala Lumpur

### 3.

Marc Dupeyrat uśmiechnął się, czytając ostatnie zdania swego artykułu.

„Ekipa”, o której była tam mowa, składała się tylko z niego samego, a cała trasa wyprawy mieściła się w granicach IX dzielnicy Paryża. Jego „wyłączne źródła” natomiast sprowadzały się do paru telefonów do biura AFP w Kuala Lumpur i do kilku gazet malezyjskich. Naprawdę nie było warto strzepić pióra. Otworzył swoją elektroniczną skrzynkę pocztową, napisał kilka słów do redaktora naczelnego Verghensa i dodał jako załącznik tekst artykułu. Włączył laptop do najbliższego gniazdka telefonicznego i wysłał list.

Gapiąc się na wskaźnik informujący o wysłanych bitach, zastanawiał się. Te drobne ubarwienia prawdy były czystą rutyną. „Le Limier” nigdy nie miał większych skrupułów. Ale Verghens zażąda więcej: jego specjalizujący się w sensacjach magazyn musiał zawsze wyprzedzać przynajmniej o jedną długość inne pisma. Tymczasem Marc był raczej spóźniony o jeden samolot...

Przeciągnął się i wpatrzył w otaczający go złocistobrazowy półcień: skórzane fotele i polerowany mosiądz. Marc już bardzo dawno obrał sobie za kwatery główną ten bar luksusowego hotelu przy placu Saint-Georges. Wybrał go, bo mieścił się o kilkaset metrów od jego pracowni: przepadał za tą atmosferą brytyjskiego pubu, w której opary kawy mieszają się z zapachem cygar, gdzie gwiazdy przychodzą udzielać w spokoju wywiadów.

Nie umiał pisać w samotności. Już na studiach, a nawet w liceum pisał swoje wypracowania w zatłoczonych kawiarniach, przy szmerze rozmów i syku pary wydobywającej się z ekspresów do kawy. Takie otoczenie pomagało mu przełamać treść przed pisaniem. I przed sobą samym. Marc bał się samotności. Pustego domu, do którego ktoś obcy mógł się wślizgnąć, żeby zabić. Nagle zrobiło mu się zimno, jakby przeciąg przebiegł mu przez ciało. W wieku czterdziestu czterech lat wciąż jeszcze przeżywał swoje dziecięce lęki.

- Coś jeszcze dla pana? - Kelner w białej kurtce przyglądał mu się z wysoka, zerkając na rozłożoną na dwóch stolikach dokumentację. - To bar, proszę pana, nie biblioteka.

Marc pogrzebał w kieszeni i znalazł tylko kilka monet. Kelner dodał ironicznym tonem:

- Może kawa? Ze szklanką wody?



- Tak, ze szklanką wody. Koniecznie.

Kelner znikł. Marc wpatrywał się w kilka euro, które trzymał w ręku. Lśniły słabo w świetle lamp, streszczając jego sytuację finansową. W myśli dokonał przeglądu swych zasobów i nie znalazł nic. Ani w banku, ani nigdzie indziej. Jak mógł się doprowadzić do takiego stanu? On, który dziesięć lat temu był jednym z najlepiej opłacanych reporterów Paryża.

Postawił jedną z monet kantem na stole i pstryknięciem nadał jej obrót. Ten wirowy ruch skojarzył mu się z latarnią magiczną, wyświetlającą film jego życia. Jaki mu nadać tytuł? Pomyślał parę chwil i zdecydował się na „Portret obsesji”.

Obsesji zbrodni.

\*

A przecież wszystko zaczęło się niewinnie.

Od fortepianu. We wczesnej młodości Marc był pewien jednego: jego życie jest rozpisane precyzyjnie jak partytura. Klasa muzyczna w liceum. Konserwatorium paryskie. Recitale i nagrywanie płyt. Był pianistą, ale chciał też być pragmatyczny. Odrzucał wszelki patos, wszelkie romantyczne uniesienia. Kiedy grał *Wariacje Goldbergowskie* Bacha, nie używał nigdy pedału, akcentując matematyczny charakter kontrapunktów. Interpretując Chopina, starał się nigdy nie przesadzać z rabato lewej ręki, które mogły przechylić utwór jak starą barkę nabierającą wody. A kiedy brał się do Rachmaninowa, lubił z bezwzględną, prostolinijną ścisłością oddzielać trójdzielność partii lewej ręki od dwudzielnego metrum melodii.

Jego palce wygrywały tylko to, czego był niezachwianie pewien. Nie przewidywał w swych dalszych losach żadnej fałszywej nuty. Zdarzyła się jednak. Z piorunującą gwałtownością, na wiosnę 1975 roku. Śmierć d'Amico, najlepszego przyjaciela z liceum, wprowadziła w jego życie zamęt. Zapadł w śpiączkę i odzyskał przytomność dopiero po sześciu dniach. Kiedy się obudził, nie pamiętał nic. Ani jak znalazł ciało, ani nawet co robił przez kilka godzin poprzedzających wydarzenie.

Bardzo szybko zdał sobie sprawę, że wypadek nie był tylko jednorazowym wstrząsem. Dramat miał pewien skutek utajony, uboczny. Odmienił jego stosunek do muzyki. Przy fortepianie odczuwał teraz uporczywy niepokój, niesmak, który nie przeszkadzał mu co prawda w grze, ale nie pozwalał interpretować z pełną wrażliwością. Odtąd to pęknięcie wciąż się rozszerzało. Aż wreszcie pochłonęło wszystkie jego nadzieje. Konserwatorium, konkursy, recitale... Nie zdradził się z tym ani rodzicom, ani psychiatrze, który się nim opiekował, od kiedy stracił przytomność. Zdał jako tako maturę muzyczną, ale mechanizm się

zaciał. Nie mógł już mieć nadziei, że wyróżni się wśród innych wirtuozów, że wniesie cokolwiek do wielkiej historii interpretacji. Z braku lepszego pomysłu wybrał literaturę i zapisał się na Sorbonę. Pracował nad magisterium, kiedy zmarli jego rodzice. Jedno po drugim. Oboje na raka. Marc, jeszcze odrętwiały od własnej traumy, śledził tę tragedię z dala. Prawdę mówiąc, nigdy nie był zbyt przywiązany do tych dwojga farmaceutów z Nanterre, którzy nie rozumieli jego ambicji i kojarzyli mu się zawsze z dwiema gumkami ściskającymi paczkę banknotów. Nie mieli nic wspólnego z jego marzeniami artysty. Poza tym Marc miał siostrę, skrojoną wedle tego samego drobnomieszczańskiego modelu: to ona skwapliwie objęła aptekę. Przejęcie pałeczki, przejęcie pieniędzy.

Marc dokończył swoją pracę magisterską - *Apulejusz, czyli metamorfozy czasownika* - po czym odkrył rynek pracy. Spisał bardzo starannie swoje curriculum vitae. Wyobrażał sobie, że jest rozbitek puszczającym butelki na morze i w braku listu wewnątrz rozrysowującym pieczołowicie etykiety. Kto we współczesnym świecie zawodowym potrzebuje specjalisty od poetów neoplatonickich? Szukał we wszystkich dziedzinach, gdzie mogłoby się przydać jego pióro: dziennikarstwo, reklama, wydawnictwa... W gruncie rzeczy nic go to wszystko nie obchodziło: wciąż jeszcze cierpiał na swoją ranę. Na porzucenie fortepianu.

Cud się zdarzył. Pewien lokalny dziennik przysłał mu odpowiedź pozytywną. Zwykła gazetka wychodząca w Nimes, ale ważne było co innego: będą mu płacić za pisanie! W swym nowym zawodzie pracował z oddaniem. Pokochał południe Francji i odkrył, że malownicze komunały, które opowiadano o tym regionie, nie są przesadzone. Słońce, złote równiny, pastelowe barwy lawendy i rozmarynu. Każde wrażenie było dla niego jak jedna z tych torebek z suszonymi ziołami, które wsuwa się między prześcieradła. Wchłaniał zapachy. Łagodna, intymna słodycz wsączała się w zakamarki jego osobowości.

Lata mijały. Robił postępy, lepiej zarabiał. Sprzedał siostrze swoje udziały w rodzinnej aptece i kupił dom w okolicach Sommieres. Miał tam krąg przyjaciół, krąg przyzwyczajęń, krąg „narzeczonych”. W wieku trzydziestu lat był już dzieckiem departamentu Gard. Dramat d’Amico wydawał mu się odległy, pisanie stało się dla niego sposobem na życie i, oczywiście, myślał już o powieści. Co rano budził się wcześniej, by zasiąść do swojego „arcydziała”. Ale co najważniejsze - jego zaburzenia niemal znikły. Nadal odwiedzał w Nimes psychiatrę i jego koszmary słabły. Czerwień, ta czerwień, która wypełniała mu czasem całą czaszkę, przyblakła do tego stopnia, że kiedy się budził, rozpływała się wśród porannej krzątaniny.

Nie zdawał sobie sprawy, że w jego życie zaczyna się wkradać inna trucizna: rutyna.

Koncentryczne kręgi jego bytowania zaciskały się tak, że zaczynał się dusić. Z każdym dniem popadał w większe odretwienie. Zaczął wstawać później - byle zdążyć na poranne kolegium. Wieczorem włączał telewizję pod pretekstem, że przez cały dzień „zasuwał jak osioł”. Stopniowo drobne, lecz konkretne kłopoty życia zawodowego przytłumiły marzenia o pisaniu. Jadał więcej, nabierał ciała i zamięłowania do bezczynności. Wziął się nawet na nowo do fortepianu, ale tak, jak inni biorą się do majsterkowania.

I wtedy ją spotkał.

Z początku jej nie zauważył. Jak w tych testach psychologicznych, w których podsuwa się badanemu nieistniejące karty do gry - czerwonego asa pik, czarną dziesiątkę karo - a on tego nie dostrzega i bierze je za normalne karty, tak Marc wziął Sophie za zwykły element pejzażu i nie zauważył tego, co ją różniło od innych.

Była po prostu nieistniejącą kartą.

Poznał ją w Saignon, w parku krajobrazowym w masywie górskim Luberon, na uroczystym otwarciu stanowiska archeologicznego. Wykryto tam na wapiennej płycie skamieniałe odciski prehistorycznych zwierząt. Tego dnia Sophie zagadnęła go o coś: w fundacji finansującej prace wykopaliskowe zajmowała się kontaktami z prasą. Nie zwrócił na nią uwagi. Czerwona dama trefl. Czarna królowa kier. Musiała nalegać, zaprosić go kilka razy na inne stanowiska archeologiczne finansowane przez jej fundację, żeby wreszcie zrozumiał.

Sophie odpowiadała co do joty jego ideałowi kobiety.

Była szkicem, który zawsze błąkał mu się po głowie. Utajonym marzeniem, którego nie śmiał sprecyzować z obawy, że rozplynie się w zetknięciu z jego myślą. Jeszcze dziś nie byłby w stanie jej opisać. Wysoka, ciemnowłosa, zarazem wyraźna i niejasna. Pamiętał tylko niesłychane zrównoważenie. Doskonały wdzięk. Zawsze myślał, a teraz miał na to dowód, że nie należy zważać na kolor włosów, karnację skóry. Liczy się tylko harmonia całości. Czystość linii, precyzja rysunku. Jak cud melodii, którą z równym wzruszeniem można grać na każdym instrumencie.

Trudno też powiedzieć, czy pokochał jej umysł, osobowość, ponieważ wszystko, absolutnie wszystko - jej słowa, decyzje, poglądy - przenikał ten sam nieokreślony wdzięk. Nie słuchał jej - unosił się w przestworzach. Nie kochał jej - otaczał ją kultem. Pragnął tylko jednego: żyć przy niej, towarzyszyć temu pięknu do końca, tak jak się odbywa pielgrzymkę. Chciał doczekać, aż na jej twarzy pojawią się zmarszczki, chciał oswoić jej urodę, nie siląc się jej zrozumieć ani przeniknąć jej tajemnicę. Chciał po prostu włączyć się w życie Sophie, tak jak kapłan siłą modlitwy przenika się wiarą, choć nie pojmuje boskich zamiarów.

Z nową energią wziął się do pracy. Od dwóch lat był korespondentem wielkiej

paryskiej agencji fotograficznej. Kiedy w regionie działo się coś sensacyjnego, co mogło mieć znaczenie ogólnokrajowe, dzwonił natychmiast do biura firmy i przysyłano mu fotografa. Dzięki tej pracy poznał wybitnych fotoreporterów. Ludzi stale podróżujących, żyjących w innym świecie. Marc zaproponował agencji współpracę na skalę międzynarodową w klasycznym tandemie - dziennikarz z fotografem.

Zaufano mu. Podróżował, pisał na najrozmaitsze tematy. Dalekie plemiona, zwariowani milionerzy, wojny gangów: wszystko. Pod jednym warunkiem: musiały to być rzeczy z pierwszej ręki, nadzwyczajne, gwarantowana adrenalina na błyszczącym papierze. Jego zarobki rosły. Ryzyko, jakie podejmował, też. Sprzedał dom w Sommieres i wrócił do Paryża. Sophie oczywiście pojechała z nim, zresztą wszystko to robił dla niej. Paradoksalnie - podróżował, żeby się do niej zbliżyć, żeby podsycać codzienność świeżym paliwem, sublimować ich bliskość. Skoro ona była piękna, on musiał być bohaterem. Po prostu kwestia równowagi.

Pod koniec 1992 roku Marc zaczął przygotowywać wielki reportaż o mafii sycylijskiej. Jego marszruta wiodła przez kilka miast: Palermo, Messynę, Agrigente. Przekonał Sophie, by dołączyła do niego pod koniec trasy, w Katanii, u podnóża Etny.

To tam, w mieście wulkanu, dramat się powtórzył.

Sophie zginęła 14 listopada 1992 roku. Nigdy nie zapomniał tej daty. Jego święta kobieta, jego pyta rozplynęła się w tym samym kolorze co d'Amico. W czerwieni. Przynajmniej tak sobie wyobrażał, bo nie pamiętał niczego. Kiedy znalazł jej ciało, stracił przytomność i zapadł w sen bez snów. Wszystko powtórzyło się dokładnie jak za pierwszym razem. Odkrycie. Szok. Śpiączka.

Przebudził się w jednym ze szpitali paryskich. Wy tłumaczono mu bardzo ostrożnie, co się stało. Od morderstwa minęły dwa miesiące. Przez ten czas przeniesiono go do Paryża. Sophie pochowano w rodzinnej miejscowości, w okolicach Awinionu. Marc nie mógł mówić. Wokół niego pojawiły się na nowo dawne widma: jego siostra, specjaliści od amnezji, psychiatra, który leczył go poprzednim razem. Słuchał ich, jadł, spał. Ale odczuwał tylko jedno: smak cementu w ustach, jak po bardzo długiej wizycie u dentysty. To wrażenie wciskało się wszędzie, wypełniało go, paraliżowało. On sam zamieniał się w jakiś kamienny blok. Niezdolny do żadnej myśli, żadnej reakcji.

Wstał z łóżka dopiero po dwóch tygodniach. Przejrzał się w lustrze, które wisiało w jego pokoju, i stwierdził, że schudł. Jego cera miała barwę gipsu, a usta wciąż jeszcze ziały tym samym zapachem zaprawy murarskiej.

Miesiąc później uporządkował wreszcie swoje myśli. Zrozumiał, że stracił wszystko.

Nie tylko Sophie, ale także ostatnie wspomnienie o niej. Ta czarna dziura nie dawała mu spokoju, kiedy włóczył się w pizamie po korytarzach szpitalnych. Ta rana w czasie, ta zatarta stronica, której będzie mu zawsze brakowało i której nic mu nie zastąpi.

Potem zdał sobie sprawę z rozmiarów swej metamorfozy. Utraciwszy d'Amico, stracił zainteresowanie fortepianem. Tym razem utracił zainteresowanie życiem, przyszłością, jakimkolwiek działaniem. Dostał się do wyspecjalizowanej kliniki, na którą poszły pieniądze uzyskane ze sprzedaży domu w Sommieres. Mijały miesiące. Marc codziennie widział w lustrze, jak chudnie. Cera barwy opłatka, sterczące kości policzkowe. Powoli nikł, przestawał cokolwiek znaczyć w oczach świata, który czekał na niego poza szpitalnym murem.

Znalazł jednak nową drogę: cynizm.

Przyjść do siebie po śmierci Sophie znaczyło przyjść do siebie po najgorszym. A więc wróci do swego zawodu, ale bez skrupułów i bez złudzeń. Będzie pracował dla szmalu. A nawet - dla jak największego szmalu. Znał media dość dobrze, by wiedzieć, że tylko jedna specjalność przynosi ogromne zyski: plotki o gwiazdach i niedyskrecje. Tego ranka, kiedy o tym pomyślał, uśmiechnął się do siebie w lustrze pod wąsem, który zapuścił, żeby nadać więcej wyrazu swojej twarzy ascety.

Skoro nie ma już żadnej nadziei, zarobi na braku nadziei.

Będzie paparazzo.

Dziennikarz nie mógł stoczyć się niżej. Paparazzo to dno ścieku. Żadnej moralności, żadnych zasad, wszystko wolno, byle dało się na tym zarobić. Jednocześnie była to robota z napięciem, z adrenaliną wymagająca niemałej przebiegłości. Więcej nawet: trzeba było się kryć, przebierać, blefować. Nie licząc całkiem realnego ryzyka: w tym fachu dostać po mordzie, stracić sprzęt to chleb powszedni. Tego właśnie potrzebował. Nie był fotografem, ale będzie niezrównanym reporterem śledczym.

Takim od grubszych numerów.

Po kilku latach był w swojej branży jednym z najlepszych.

Czyli jednym z najgorszych. Psem gończym, łgarzem, kombinatorem. Stoczył się w bagno, z którego wygrzebywał złoto. Obracał się w towarzystwie luksusowych prostytutek, zadłużonych gliniarzy, konfidentów z półświatka. Nauczył się przekupywać dozorców, kierowców, lekarzy. Został ekspertem w sztuce grzebania po śmietnikach, ale także wciskania się na wytworne przyjęcia.

Wkrótce przewzano go „Śmietniczką”. Miał swoją specjalność: kradzieże prywatnych fotografii rodzin, które z takiego czy innego powodu znalazły się w światłach jupiterów. Jacys rodzice nie mogą sobie dać rady z medialnym sukcesem dziecka: on już jest przy nich,

uśmiechnięty, serdeczny, a przy okazji dyskretnie podkrada zdjęcia stojące na kominku. Rodzice zamordowanej dziewczynki są załamani? Przychodzi pełen współczucia, ale korzystając z ogólnej rozpacz, myszkuje po pudełkach od butów, w których przechowuje się rodzinne fotografie.

Kiedy miał do zrobienia „prawdziwe” zdjęcia, brał na partnera, zależnie od tematu, najlepszego fotografa, często z całkiem innej branży. Dyskretnie gniazdko kogoś ważnego w Monako? Ściągał alpinistę zdolnego wspiąć się na teren księstwa po skałach wybrzeża, żeby ominąć posterunek celny. Migawkowe zdjęcie piersi Ofelii Winter? Wyszukiwał najszybszego fotografa, jednego z tych wirtuozów zdolnych idealnie uchwycić start do stumetrówki na olimpiadzie. Scena, którą trzeba złapać nocą i z odległości ośmiuset metrów? Angażował fotografa zwierząt, pracującego głównie nocą, wynalazcę obiektywów na podczerwień.

W roku 1994 znalazł wreszcie partnera idealnego, sprawnego na wszystkich frontach. Vincent Timpani, długowłosego kolosa, hałaśliwy, obleśny, ale zdolny przesiedzieć parę nocy w kryjówce i w każdych okolicznościach zrobić ostry obraz. Goryl, który potrafił w razie potrzeby postawić się ochroniarzom i nie wahał się wejść w kolizję z prawem - wielokrotnie razem włamywali się do domu jakiejś gwiazdy. Rzecz ryzykowna, ale dochodowa.

Ubrani w bombersy, zielone kurtki angielskich lotników, w czarnych beretach nasuniętych na czoło, przeprowadzali prawdziwe operacje komandosów. Ich dzień powszedni był niespokojny, ale podniecających wrażeń nie brakowało im nigdy. Mieli stale wiatr w żaglach. W połowie lat dziewięćdziesiątych francuskie magazyny konkurowały ze sobą zaciekle rubrykami typu „Co słyszeć u „Paris-Match”, „Voici”, „Gala”, „Point de vue” prowadziły regularną wojnę o najlepsze zdjęcia.

Marc i Vincent zbili majątek.

Ale Marcowi nie chodziło o pieniądze. Tyle że za gotówkę kupił w IX dzielnicy pracownię, której nawet nie miał czasu urządzić. Szukał czego innego: zapomnienia. Jego jedynym triumfem było to, że dzięki tej szamotaninie zdołał przepłoszyć dręczące go koszmary i zepchnąć gdzieś w głąb głowy obraz Sophie. Niczego nie rozwiązał naprawdę. Ale był to jednak sukces. Z dumą paradował w skórze sukinsyna.

Był ocalałym rozbitkiem.

A ocalałym rozbitkom wolno wszystko.

Rok 1997. Marc i Vincent szaleli od wyspy Moustique po Gstaad, od Sperone na Korsyce po Palm Beach na Florydzie. Zatrzymać się nie było sposobu: hossa na plotki o VIP-ach narastała. Marc czuł, że nie będzie trwała wiecznie. Wiatr musiał się odwrócić, nie tylko

dla nich, ale dla wszystkich. Magazyny pękały od niedyskretnych zdjęć. A także od błękitnego papieru pozwów, które po każdej publikacji przynosili woźni sądowi. Sławy pomstowały na pisma, grzmiały w „wolnych trybunach” poważnych mediów. A czytelnicy zaczęli czuć się nieswojo w roli podglądaczy. Próg tolerancji był coraz bliżej.

Marc spodziewał się stopniowego schyłku, powolnego upadku. Nie przewidział, że ten upadek dokona się w kilka godzin. I przetnie wszystko jak ostrze gilotyny.

Gilotyną była noc 30 sierpnia 1997 roku.

\*

Marc nie interesował się nigdy księżną Dianą; konkurencja była tu za duża. Wołał pracować samotnie nad sprawami bardziej dziwnymi, bardziej zaskakującymi. Powinien był więc dowiedzieć się o jej śmierci jak każdy, nazajutrz rano, 31 sierpnia, przez radio lub telewizję.

Ale nie. Vincent zadzwonił do niego o pierwszej w nocy.

Dopiero po kilku dobrych minutach zrozumiał, co się stało. Diana i Dodi Al-Fayed, ścigani przez grupę paparazzich na bulwarze nad Sekwaną; wypadek w tunelu Alma. Vincent był jednym z fotografów ścigających mercedesa. Mówił przez telefon bardzo szybko, chaotycznie podając szczegóły: ciała wgniecione w blachy samochodu, zablokowany klakson wyjący w tunelu, koledzy, jedni nadal fotografujący, inni usiłujący wydostać pasażerów.

Marc zrozumiał, że ten potworny wypadek oznacza koniec ich specjalności, a także pieniędzy. Ale to - na dłuższą metę. Na bliższą zrozumiał tylko, że olbrzym zrobił zdjęcia. I w dodatku udało mu się zwiać, podczas gdy innych paparazzich zatrzymały gliny. A zatem przez kilka godzin Vincent miał jedyne fotografie na rynku. Majątek.

Marc w myśli postawił sobie pytanie: czy jest mężczyzną, czy zwykłym ścierwnikiem? Zamiast odpowiedzi, usłyszał, jak pyta lodowatym tonem:

- Masz zdjęcia cyfrowe?

Umówili się w redakcji jednego z największych magazynów paryskich. Vincent musiał najpierw jak najszybciej wywołać zdjęcia: pracował na filmach. Marc przyjechał o drugiej trzydzieści. Zobaczył grupę mężczyzn otaczających podświetlany stół - nawet nie zdjęli kurtek - i zrozumiał, że jest gorzej, niż myślał. Diana konała w szpitalu La Pitié-Salpêtrière. Jej serce zatrzymało się już dwa razy, lekarze właśnie ją operowali.

Marc podszedł do stołu, na którym leżały rozrzucone diapozytywy. Spodziewał się, że zobaczy rozszarpane ciała, strugi krwi na karoserii, ohydną masakrę. Ujrzał przejrzystą, jasną twarz księżnej. Jej oczy były lekko obrzmiałe, kropla krwi perliła się na skroni, ale uroda była nienaruszona. Mimo śladów po uderzeniu wyglądała wstrząsająco młodo i świeżo. Mimo

obrząków, siniaków, krwi na twarzy była jak anioł, obecny tak wyraziście, że ścisnęło się serce.

Najgorszy był inny obraz, z pewnością ostatnie zdjęcie Diany przytomnej. Uchwycona w świetle flesza, patrzyła z lękiem w oczach przez tylną szybę samochodu na ścigającą ją sforę fotoreporterów. Marc wyczytał w tym spojrzeniu prawdę. Księżna nie umierała wskutek błędu kierowcy ani nawet z winy fotografów, którzy tego wieczoru za nią jechali. Miała umrzeć od tych długich lat pościgu, kiedy tropili ją, śledzili nie tylko reporterzy, ale cały świat. Miała umrzeć na ludzką ciekawość, na tę ciemną siłę, która skupiła na niej wszystkie spojrzenia, wszystkie pożądania. Na obławę, która zaczęła się gdzieś w początkach świata. Wraz z tą wpisaną w ludzkie geny potrzebą, by patrzeć.

- Uprzedzam. Ja tego nie sprzedaję.

Marc znał fotografa, który wypowiedział te słowa: miał lzy w oczach. Zrozumiał, że to on jest autorem zdjęcia „Tylna szyba”. Inne, pokazujące Dianę wśród zgniecionych blach samochodów, były zrobione przez Vincenta. Poszukał go spojrzeniem: olbrzym był wyraźnie przerażony, chwiał się na nogach, trzymając kask motocyklowy w ręku.

Marc przyjrzał się pozostałym mężczyznom zgromadzonym w pokoju - dziennikarzom na dyżurze, szefowi działu fotograficznego, przebudzonemu w środku nocy. W padającym od dołu blasku podświetlanego stołu wszyscy byli sini, nawet trupio bladzi. W tej właśnie chwili, chociaż nie padło ani jedno słowo, zawarty został milczący układ: nikt nie sprzeda ani nie opublikuje tych zdjęć.

O czwartej przyszła wiadomość: Diana nie żyje.

Gorączka wzrosła. Rozdzwoniły się telefony komórkowe. Oferty przychodziły z redakcji całego świata. Licytacja szła na całego. Marc obserwował kątem oka Vincenta i kilku innych fotografów, którzy nadjechali tymczasem ze swoimi filmami. Odpowiadali z wahaniem, odnotowując wciąż rosnące sumy. Czasem patrzyli na swoje odbicia w szybach sali redakcyjnej i pewnie też zadawali sobie pytanie: ludzie czy ścierwniki? Marc wyszedł z siedziby pisma o szóstej rano, porozumiewszy się przedtem z Vincentem: niczego nie sprzedadzą.

Szedł do samochodu, kiedy zadzwoniła jego komórka. Poznał głos: dzwonił znajomy glina z komendy policji. „Diana. Spodziewamy się lada chwila jej aktu zgonu. Jesteś zainteresowany?”. Marc wyobraził sobie białe ciało na stole operacyjnym. To ciało, które sam kiedyś sprofanował, opylając jednej z redakcji zdjęcia, na których można było zauważyć w górnych partiach ud księżnej pierwsze ślady cellulitisu. Dziennik opublikował fotografie w dużym powiększeniu, zakreślając czerwoną krechę „interesujące” fragmenty. Ten reportaż



wzbudził wielkie zainteresowanie, a Marc skasował za niego osiemdziesiąt tysięcy franków. W takim świecie żył. Rozłączył się, nie odpowiadając.

Godzinę później glina zadzwonił znowu: „Dostaliśmy faksem akt. Mamy wyniki badania krwi. Może była w ciąży. To cię dalej nie interesuje?”. Marc wahał się jeszcze chwilę, dla formy, po czym, pchany niejasnym pragnieniem dotarcia do dna, powiedział: „Czekam na ciebie w Soleil d’Or za trzydzieści minut. Będę miał papier”. Soleil d’Or było kawiarnią najbliższą komendy policji przy Quai des Orfevres 36. Co do „papieru” to trzeba było zawsze przynieść swojemu informatorowi standardową ramkę, w którą wsuwało się dokument do fotokopiarki: arkusze używane przez służby policyjne mają charakterystyczne znaki i w razie śledztwa stanowiłyby dowody rzeczowe przeciwko tym służbom. Godzinę później miał w ręku kopię dokumentu. Po dwóch godzinach zaproponował go jednej z największych redakcji paryskich. To była prawdziwa bomba. Ale redakcja się wahała. Nic nie gwarantowało autentyczności dokumentu, a poza tym był to już za duży numer, zbyt mocny. W tym samym czasie słyszało się już, że trzeba linczować paparazzich i w ogóle media, „morderców Diany”. Choć jeszcze nie był zdecydowany na publikację, magazyn zapłacił „gwarancję” i złamał kolumnę, a Marc na poczekaniu napisał tekst. Ale wtedy stało się coś niesłychanego: sekretarki z hali maszyn odmówiły przepisania artykułu. Co za dużo to za dużo. Ta rewolta przesądziła o wszystkim. Redakcja poddała się i zdecydowała na półśrodek: wspomni się w artykule o ewentualności ciąży, ale nie ma mowy o publikowaniu orzeczenia lekarskiego.

Marc, rozwścieczony, złapał swój dowód rzeczowy i pobiegł do toalety. Spalił dokument w jednej z kabin. W tym momencie obrzydzenie chwyciło go za gardło. Nie miał już wątpliwości: był zwykłym śmieciem. Przyglądając się płonącym skrawkom papieru, postanowił, że kończy z tym zawodem. Od pięciu lat paktował z diabłem i w tej właśnie chwili symbolicznie spalił cyrograf.

\*

Wyjechał w podróż. Niemal wbrew sobie wrócił na Sycylię i już po dwóch dniach, nawet o tym nie pomyślawszy, znalazł się znowu w Katanii. Był to rodzaj pielgrzymki, tyle że nic nie pamiętał. Na pokrytych czarną lawą ulicach usiłował przypomnieć sobie ostatnie godziny przed śmiercią Sophie. O czym wtedy rozmawiali? Mimo swej niewygasłej miłości, mimo że nie było dnia, żeby nie pomyślał o Sophie, nie był w stanie odtworzyć tych ostatnich chwil.

Na Sycylii podjął nowe postanowienie. Niczym człowiek, który ścigany przez lata robi zwrot i zaczyna sam polować na swych prześladowców, Marc postanowił odwrócić się i

stanać twarzą w twarz ze swoimi demonami. Pięć lat miotania się, kombinowania, robienia szokujących zdjęć miało tylko jeden cel: pomieszać karty, ukryć to, co go naprawdę dręczyło. Nadszedł czas, by poświęcił się swojej prawdziwej obsesji.

Zbrodni.

Krwi i śmierci.

Zaproponował współpracę „Le Limier”, nowemu magazynowi specjalizującemu się w sensacjach. Marc nie uprawiał dotąd tego rodzaju dziennikarstwa, ale cała jego kariera dowodziła talentu tropiciela. W wieku czterdziestu lat znów zaczynał od zera. Piąty raz. Był najpierw pianistą, potem dziennikarzem prasy lokalnej, reporterem, paparazzim, teraz brał się za sensacje. Powierzono mu kronikę kryminalną. Spędzał w sądach całe dnie, śledził najpotworniejsze zbrodnie, przyglądał się mordercom siedzącym na ławie oskarżonych. Porachunki gangsterskie, rabunki z bronią w ręku, zbrodnie z miłości, dzieciobójstwa, kazirodztwa... Zaliczył wszystkie nikczemności. Ale był rozczarowany. Spodziewał się, że obserwując oskarżonych, odkryje jakąś prawdę. Pradawne piętno zbrodni.

To, co stwierdził, było bardziej przerażające, niż przypuszczał: pustka. Banalność zła... Twarze bardziej lub mniej skruszone, bardziej lub mniej wyraziste. Jakby oskarżeni nie mieli nic wspólnego z popełnionymi zbrodniami. Zdawało się, że w tych istotach ludzkich, które zabiły swoje dzieci, zmasakrowały współmałżonka, za kilka euro wypatroszyły sąsiada, tkwi jakaś nieznaną obcą siłą.

Czasem Marca ogarniało przecucie, że instynkt zniszczenia zawsze tam był, gdzieś w głębi ich umysłów. Tkwił w genach człowieka, w jego pierwotnym mózgu, i tylko czekał, żeby wydostać się na powierzchnię.

Lata mijały. Opisał setki spraw. Procesy sądowe, a także śledztwa, które zakończyły się fiaskiem... Znał wszystkie gliny z brygady kryminalnej, prokuratorów, adwokatów. I morderców. Czuł się tak samo u siebie w komendzie policji przy Quai des Orfevres jak w rozmównicy więzienia Fresnes. Jadał obiady z najlepszymi śledczymi i robił wywiady z najgorszymi mordercami. Tropił, obserwował, polował. Ale najważniejsze zawsze mu umykało. Nie udawało mu się spojrzeć w twarz Zła.

Mimo to nie tracił nadziei: po pięciu latach spędzonych w „Le Limier”, wciąż jeszcze czekał na przypadek, na „gorący uczynek”, zwierzenie, które pozwoli mu wreszcie zobaczyć czarne światło. Krążył w jego pobliżu, musi je w końcu dopaść.

\*

- Jeszcze jedna kawa?

Kelner znów stał przy nim. Marc spojrzął na zegarek: siedemnasta. Sporządzenie

bilansu życiowego zajęło mu godzinę. Przetarł oczy, jakby wychodził z kina.

- Nie, dziękuję, na dzisiaj starczy.

Kelner obdarzył go zadowolonym uśmiechem. Zwłaszcza kiedy zobaczył, że zbiera swoje akta i notatki.

Marc przed wyjściem poszedł do toalety, żeby się trochę odświeżyć. Czuł się wymięty jak chusteczka dziewczyny po ciężkim zawodzie miłosnym.

Patrzył na swoje oblicze w lustrze i nie umiał się zdecydować, kogo bardziej przypomina: pianistę, studenta Sorbony, reportera, paparazza, dziennikarza sądowego? Jego twarz drobnego łobuza nie pasowała do żadnej z tych ról. Krępy, rudy, wąsaty, wyglądał na angielskiego albo irlandzkiego rugbistę w miniaturze.

Wypracował sobie styl, który miał przydać jego sylwetce subtelności: nosił tylko dopasowane marynarki, brązowe i beżowe, w dyskretny wzorek, oraz białe koszule z angielskim kołnierzykiem i mankietami wystającymi z rękawów. Nie był wcale pewien wyniku. W dobre dni wydawało mu się, że jest bardzo elegancki, bardzo *british*. W złe - przeciwnie: myślał, że w tych czekoladowych marynarkach z kawowymi akcentami wygląda, jakby stał na wystawie cukierni.

Zanurzył twarz w zimnej wodzie. Powtórka z życiorysu oszołomiła go. Kim jest dziś naprawdę? Utożsamiał się całkowicie ze swymi poszukiwaniami. Ze swoją obsesją zbrodni. Ta myśl przypominała mu temat dnia: Jacques Reverdi.

„Seryjny zabójca w tropikach”, naprawdę?

Zamknął oczy i odrzucił kosmyk spadający mu na czoło.

Czas zobaczyć twarz mordercy.

## 4.

Białe, czyste linie.

Nieskazitelnie symetryczna przestrzeń zen.

Ilekoć tu wchodził, ogarniało go to samo uczucie. Profesjonalne laboratorium fotograficzne przypominało przybytek medytacji. Przedpokój o białych ścianach, na których rozwieszane były oprawione w czarne ramki odbitki. Dalej korytarz, oświetlony małymi żaróweczkami, prowadzący do salki recepcji. Fotografowie oddawali tu swoje filmy i odbierali odbitki. Tutaj też: biel, czystość... wszystko zdawało się urządzone tak, by oczyścić mózg, skupić ducha. Nawet podświetlane stoły, białe, połyskujące płyty, których mleczna poświata odbijała się na twarzach reporterów, przypominały jakieś ultranowoczesne klęczniki.

Marc był umówiony z Vincentem Timpanim o siedemnastej trzydzieści. Była już osiemnasta, ale olbrzym się spóźnił. Marc poszedł do kafeterii i po drodze dostrzegł znajomą twarz: Milton Savario, fotograf, z pochodzenia Latynos, należący do najwyższej klasy reporterów prasowych. Wychudzony asceta, który między jedną wojną a drugą zdawał się tylko wegetować.

Savario skinął na Marca. Przywitali się. Marc ruchem głowy pokazał diapozytywy rozrzucone na podświetlarce.

- Nie używasz cyfrowych?
- Nie, nie do takich tematów.
- Co to jest?
- Głód w Argentynie.
- Można?

Marc wziął do ręki małą lupę na składanej chromowanej ręczce i pochylił się nad slajdami. Na szpitalnym łóżku leżało śmiertelnie wychudzone dziecko o bezkrwistej twarzy, podłączone do kroplówek. Obok zielonkawe niemowlę o ogromnej czaszce, w trumnie z anielskimi skrzydełkami. Dalej jakieś ciemne schody, a na nich pielęgniarka, trzymająca w ramionach nieprzytomne dziecko, o nogach, z których zostały tylko długie bezwładne kości. Marc wstał:

- To nie było za ciężkie?

- Co?

- Dzieciaki, głód...

Savario uśmiechnął się. Jego trzydniowy zarost i czarna, potargana strzecha włosów wyglądały jak naszkicowane węglem.

- Nie ma głodu w Argentynie.

- A te zdjęcia?

Latynos bez słowa wsunął slajdy do koperty. Złożył lupę, wygasił podświetlarkę.

- Stawiam kawę. Opowiem ci magiczną sztuczkę.

Usiedli w kafeterii. Ekspresy, stoliki, krzeselka - wszystko było białe. Fotograf wdrapał się na stołek barowy.

- Nie ma głodu - powtórzył, dmuchając w swój parujący kubek. - Wszyscy daliśmy się nabrać.

Wyciągnął z torby zdjęcie podłączonego do kroplówki dziecka ze zniekształconymi kończynami.

- To polio. Nic wspólnego z głodem.

- Polio?

- Zdjęcie musiało krążyć przez pomyłkę po agencjach fotograficznych. W Internecie. Wszyscy się na to rzucili. Głód w Argentynie: wyglądało na coś niesłychanego. Ale tam, w Tucuman, wcale nie ma głodu.

- I co zrobiłeś?

- To co inni: sfotografowałem malców chorych na polio. Wiesz, ile kosztuje bilet do Argentyny?

Marcowi nie trzeba było tego tłumaczyć. Skoro Savario poniósł już koszty, nie mógł wrócić z pustymi rękami. Kilka zdjęć wychudzonych dzieci, kilka innych z przytułków, z nędzarskich gett, i po sprawie. Zawsze się znajdzie magazyn, który kupi te obrazki i dohaftuje do tego jakiś tekst o niedożywieniu. Nikt nie skłamał, honor zawodowy był uratowany - i nie zmarnowało się pieniędzy. Latynos podniósł w górę filiżankę kawy:

- Niech żyje informacja!

Marc trącił się z nim. Już od pięciu lat pracował w prasie sensacyjnej i wyrwał się z agencyjnego wiru, ale stwierdzał z cynicznym zadowoleniem, że nic, absolutnie nic się od tego czasu nie zmieniło.

Za nimi rozległ się jakiś niski głos:

- Naprawiacie świat?

Marc obrócił się na krzesło i zobaczył Vincenta Timpaniego. Metr dziewięćdziesiąt,

sto kilo mięśni i rozlazłego cielska w garniturze z jasnego płótna. Vincent wyglądał w nim jak plantator w tropikach. W jakiś tajemniczy sposób zawsze sprawiał wrażenie, że mieszka w nim słońce: wychował się w Nicei i wciąż mówił z lekkim południowym akcentem.

Pozdrowił Marca i Savario wybuchem śmiechu i poszedł do dystrybutora z napojami gazowanymi. Savario skorzystał z okazji, by się ulotnić. Vincent wrócił do Marca z puszką coli w ręku. Popatrzył w ślad za fotografem.

- Spłoszyłem bohatera czy co?

- Masz obrazki?

Olbrzym wyciągnął z kieszeni marynarki trzy koperty. Od czasu dramatu z lady Dianą przerzucił się na fotografowanie mody, ale przez pamięć na dawne czasy godził się czasem zrobić parę odbitek do reportaży Marca.

- Zastanawiam się, po co ja się pieprzę z tymi wrednymi mordami. Jak pomyślę o tych cudownych dziewczynach, które czekają na mnie w studio... - westchnął, udając zły humor.

Marc rzucił się na pierwszą kopertę. Wyciągnął z niej policyjne zdjęcie Reverdiego. Przeczytał podpis.

- Zrobione po jego aresztowaniu w Kambodży, nie masz nic z Malezji?

- Nie, psze pana. Dzwoniłem do facetów z AFP w Kuala Lumpur. Nie mają oficjalnego portretu z Malezji. Reverdi bardzo krótko siedział w areszcie. Wpakowali go od razu do szpitala psychiatrycznego i...

- Wiem, dziękuję.

Marc przyglądał się twarzy Reverdiego. Dotychczas widział tylko zdjęcia z bohaterskich czasów płetwonurka. Promienne klisze, na których mistrz, w kombinezonie do nurkowania, wznosił plaketkę z wypisaną wysokością swego rekordu. Portret, który trzymał teraz, był inny. Na wąskiej, twardej, szorstkiej twarzy nie było uśmiechu. Kąciki ust wygięły się w grymas niezadowolenia. Spojrzenie miał posepne, nieprzeniknione.

Otworzył następną kopertę i wyjął zdjęcie młodej dziewczyny. Prawie dziewczynki. Pernille Mosensen. Jasne oczy, anielska buzia okolona czarnymi, prostymi włosami. I jasna cera, która skojarzyła się Marcowi z bladą skórą niektórych egzotycznych owoców.

- AFP przysłała mi tylko to - wyjaśnił Vincent. - Zdjęcie paszportowe. Podretuszowałem je w komputerze...

Widać było, że młoda Dunka bardzo chciała wyglądać dorośle. A jednak, mimo poważnej miny, w jej oczach lśniła niespokojna młodość, a w kącikach warg drżał uśmiech. Wyobraził sobie, jak się szykuje do swojej podróży do Azji Południowo-Wschodniej. Pewnie miała to być jej pierwsza wielka wyprawa...

- A ciało? - zapytał.

- *Nada*. Sąd Najwyższy Malezji nie wydał żadnego komunikatu. Wygląda na to, że nie życzą sobie reklamy.

- A ta druga? Dziewczyna z Kambodży?

Vincent pociągnął długi łyk i pchnął po stole trzecią kopertę.

- Znalazłem tylko to w archiwach „Le Parisien”. Musiałem się solidnie namęczyć. To reprodukcja z jakiegoś szmatławego pisemka z Phnom Penh. Widać ziarno druku.

Linda Kreutz była rudzielcem o subtelnych rysach, jakby naszkicowanych delikatnymi, ledwie widocznymi dotknięciami pędzla. Lekkiej twarzyczki ukrytej pod kędzierzawą czupryną prawie nie było widać spod rastra. Wyraz jej twarzy ginął pod siatką druku i nabierał nierzeczywistego charakteru.

- A co z nią? Też nie masz ciała?

- Nic, co by się nadawało do publikacji. „Cambodge Soir” przysłał mi parę zdjęć. Dziewczynę znaleziono w rzece trzy dni po śmierci. Napęczniała, bliska pęknięcia. Język jak ogórek. Nie do druku, możesz mi wierzyć. Nawet w tej twojej gównianej szmacie.

Marc wsunął wszystkie trzy koperty do kieszeni. Vincent spytał poufnym tonem:

- Co robisz dziś wieczór?

Twarz fotografa była wyciosana wedle tego samego wzoru co ciało: ogromna, czerwonawa, rozlazła. Twarz wilkołaka, na wpół przesłonięta kosmykiem włosów, spadającym mu na lewe oko niczym opaska pirata. Zawsze lekko otwarte usta wyglądały niczym pysk wielkiego, zasapanego doga. Wyciągnął jeszcze jedną kopertę.

- Interesuje cię? - spytał z szerokim uśmiechem.

Marc spojrział: odbitki nagich młodych kobiet. Oprócz oficjalnych fotografii dla magazynów Vincent robił też pozowane zdjęcia dla początkujących modelek. Przy okazji je rozbierał.

- Niezłe, co?

Jego oddech czuć było mieszaniną coli i alkoholu. Marc przerzucił plik fotosów: rozwinięte młode ciała o idealnych wymiarach, mlecznej cerze bez żadnej skazy, twarze o kocim wdzięku.

- Zadzwoń po nie? - spytał Vincent, robiąc oko do Marca.

- Przykro mi - powiedział Marc, oddając zdjęcia. - Nie jestem w nastroju.

Vincent zabrał fotografie i skrzywił się wzgardliwie.

- Ty nigdy nie jesteś w nastroju. I to właśnie jest twój problem.

## 5.

Widział twarze.

Swojskie i przerażające jednocześnie.

Wykrzywione, zmiążdżone, wciśnięte w siatkę rattanu. Jacques Reverdi opanował lęk i spojrzał w nie wprost: zobaczył spłaszczone policzki, zmarszczone czoła, potargane włosy. Ich oczy starały się wypatrzeć go w ciemnościach. Ręce czepiały się ścian. Słyszał też zduszone głosy, niewyraźne szepty, słów nie odróżniał.

Wkrótce zaczął dostrzegać jakieś niesamowite szczegóły. Jedna twarz miała zszyte powieki. Druga nie miała ust, tylko nieprzejrzystą skórę między policzkami. U innej podbródek sterczał niczym dziób łodzi, jakby ogromna kość, zadarta, miała zaraz przebić ciało. Inna pocila się wielkimi kroplami, ale ten pot był płynnym ciałem: rozpuszczał rysy, stapał je w jedną strugę.

Jacques zrozumiał, że jeszcze śpi. Ci ludzie byli częścią jego codziennego koszmaru, który go nie opuszczał nigdy. Zmusił się do spokoju. Wiedział, że te potwory nie widzą go poprzez roślinne włókna, że w ciemnościach jest bezpieczny. Nigdy nie zdołają otworzyć wyplatanej szafy, wydostać go z kryjówki.

A jednak poczuł nagle, jak ich potworność przesącza się między splecione witki, wnika pod jego skórę. Twarz mu napuchła, mięśnie napięły się, zatrzeszczały kości... Był do nich coraz bardziej podobny, stawał się „nimi”. Zacisnął wargi, żeby nie zawyć. Jego twarz rozpadała się, zniekształcała, ale nie mógł krzyknąć, nie mógł zdradzić swej obecności w szafie, nie...

Zesztywniał. Serce zamarło. Cała jego istota zamknęła się przed światem zewnętrznym. Wyobraził sobie, jak rozgałęzienia jego aparatu oddechowego zamykają się i sprowadzają noc na wewnętrzne organy. Taki bezdech lubił najbardziej: najłagodniejszy, najbardziej naturalny. Nocny bezdech, który zaskakuje we śnie niemowlęta i czasem nawet je zabija.

Już nie spał, ale oczy miał wciąż zamknięte. Liczył sekundy. Nie potrzebował zegarka ani sekundnika. Wystarczył mu obieg własnej krwi. Spowolniony. Spokojny. Po kilku sekundach głosy zamilkły. Potem zatarły się twarze. Ściany klatki rozsunęły się, jakby ustał nacisk z zewnątrz. Był najsilniejszy. Silniejszy od oczu, od potworów, od...



Otworzył powieki. W głowie miał pustkę. Wciągnął w płuca haust powietrza i nagle poczuł w ustach coś gorzkiego i smacznego zarazem. Łyk zielonej herbaty. Gdzie był? Świadomość wracała powolnymi falami. Leżał. W ciemnościach upał był wszechobecny. Jego pięć zmysłów zaczęło sondować otoczenie. Poczul na twarzy pałący wiatr, a potem ciężki, oszałamiający, niemal obrzydliwy odór: zapach lasu, bujnej roślinności.

Zduszone dźwięki. Głosy, które nie miały nic wspólnego z tym, co słyszał w swoim koszmarnym śnie. Siliły się mówić po angielsku, z mocnym akcentem malajskim: „Hello... Hello...”, „Papierosy?”.

Odwrócił głowę w prawo i przez drewniane zielone kraty dojrzał ciemne, niewyraźne gęby. Jest w więzieniu? Spojrzał w lewo. W górze rozciągało się nocne niebo, drżące od gwiazd. Nie. Leżał na dworze.

Zmusił się do spokoju, spróbował zanalizować fakty. Była noc. Noc granatowo-zielona, wypełniona zapachem tropików. Leżał w korytarzu jakiejś galerii. Po lewej wielki, wybetonowany dziedziniec. Po prawej ściana z krat, za którą kręciła się grupa więźniów. Za ich plecami widać było wielką salę wypełnioną żelaznymi łózkami. Jednak jest w więzieniu. Ale w więzieniu pod gołym niebem.

Odruchowo spróbował wstać. Niemożliwe: nadgarstki i kostki u nóg miał spętane pasami. W następnej sekundzie zauważył chromowany pręt swego łóżka - łóżka szpitalnego. Jednocześnie stwierdził, że ma na sobie zieloną szpitalną koszulę. Więźniowie byli ubrani tak samo. Zauważył jeszcze jeden szczegół: wszyscy mieli ogolone głowy. Ich szeroko otwarte oczy przypominały w ciemnościach jakieś białe rany. Śmiechy, pomruki. Wyteżył słuch i odróżnił słowa - malajskie, chińskie, tajskie... Jakaś niezborna gadanina. Niedorzeczne wyrazy. Wariaci.

A więc jest w domu wariatów.

Przyszła mu na myśl nazwa: Ipoh - największy szpital psychiatryczny Malezji. Ogarnęła go fala lęku. Dlaczego go tu wsadzili? Nie jest wariatem! Mimo tamtych twarzy, mimo koszmarów, nie jest wariatem. Usiłował przypomnieć sobie, co wydarzyło się w ostatnich dniach, i przychodziły mu na myśl tylko liście bambusa, plecione ścianki. Co się stało? Czy miał nowy atak?

Z tyłu dobiegły go jakieś odgłosy. Skrzypienie fotela, szelest papieru. Głęboką nocą te dźwięki były jeszcze dziwniejsze od innych. Reverdi wykręcił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Pod galerią, o kilka metrów od niego, stało żelazne biurko zasłane papierzyskami.

Drzemiący za stołem strażnik wstał w ciemnościach i poprawił na sobie pas, z którego zwisały pistolet, granat z gazem łzawiącym i pałka. Na pielęgniarkę raczej nie wyglądał.

Jacques znajdował się zatem na oddziale dla przestępców. Mężczyzna zaśwycił latarkę i skierował się ku niemu. Reverdi rozkazał mu po malajsku:

- *Tutup lampu tu* (Zgaś to).

Klawisz cofnął się - głos go zaskoczył. A jeszcze bardziej to, że słowa zostały wypowiedziane po malajsku. Po chwili wahania zgasił latarkę i ostrożnie okrążył łóżko. Jacques dostrzegł w ciemnościach, że wyciąga rękę w kierunku przełącznika.

- Nie zapalaj! - rozkazał.

Strażnik znieruchomiał. Drugą rękę zacisnął na broni. Cisza wokół nich była zupełna: wszyscy więźniowie zamilkli. Po kilku sekundach mężczyzna zdjął rękę z wyłącznika. Reverdi szepnęła:

- Nie chcę widzieć twojej twarzy. Żadnej twarzy. Nie teraz.

- Zawołam pielęgniarza. Dostaniesz zastrzyk.

Reverdi zadrżał. Jego ciało w jednej chwili pokryło się potem. Nie powinien zasypiać. „Tamci” czekali na niego we śnie, za ściankami z rattanu.

- Nie - wyszeptał bardzo cicho. - Tylko nie to.

Malaj roześmiał się szyderczo. Odzyskiwał pewność siebie. Podszedł do telefonu wiszącego na ścianie.

- Zaczekaj!

Mężczyzna odwrócił się gniewnie. Chwycił za rękojeść pałki. Nie był w nastroju do znoszenia zachcianek jakiegoś *mat salleh*.

- Zajrzyj mi do gardła - rozkazał Reverdi.

Klawisz jakby wbrew woli podszedł do niego. Jacques otworzył usta.

- Co widzisz? - zapytał.

Malaj pochylił się nieufnie. Jacques wysunął język i gwałtownie zamknął szczęki. Krew trysnęła z kącików ust.

- O Boże... - jęknął strażnik i pobiegł do telefonu, ale zanim zdążył zdjąć słuchawkę, Reverdi zawołał:

- Słuchaj! Jeśli wezwiesz pielęgniarza, przegryzę sobie język, zanim tu dojdzie. - Uśmiechnął się, pod podbródkiem tworzyły mu się ciepłe pęcherzyki. - Powiem mu, że mnie uderzyłeś, torturowałeś...

Strażnik stał nieruchomo. Jacques skorzystał ze swojej przewagi.

- Nie ruszysz się. Ja do jutra rano będę udawał, że śpię. Wszystko będzie dobrze. Odpowiedz tylko na moje pytania.

Malaj zdawał się wciąż wahać, potem ramiona mu opadły, skapitulował. Chwycił ze

stolika na kółkach rolkę papieru toaletowego. Ostrożnie podszedł do Jacques'a i otarł mu usta. Reverdi podziękował ruchem głowy.

- To jest Ipoh?

Tamten skinął potakująco - was przecinał mu twarz, obsypaną śladami po trądziku. Były to prawdziwe jamy przypominające kratery księżyca.

- Długo tu jestem?

- Od pięciu dni.

Jacques szybko policzył w myśli.

- Dziś wtorek czy środa?

- Środa. Dwunasty lutego. Druga nad ranem.

W ogóle nie pamiętał, co wydarzyło się od ostatniego piątku. W jakim stanie tutaj dotarł? Znów oblał się potem.

- Byłem... nieprzytomny?

- Majaczyłeś.

Pot na nim zlodowaciał. Szczypał go w pierś, jakby spryskały go kropelki strachu.

- Co mówiłem?

- Pojęcia nie mam. Mówiłeś po francusku.

- No to teraz zjeżdżaj - powiedział mu ostro.

Strażnik zjeżył się na dźwięk tego władczygo tonu, odwrócił się i brzęcząc pękiem kluczy, usiadł za biurkiem. Reverdi odprężył się i położył płasko na plecach.

Po dłuższej chwili nie słyszał już żadnego szmeru. Klawisz spał. Z drugiej strony zielonych krat szmery też cichły, wszyscy się pokładli.

Znów próbował sobie coś przypomnieć. Nie kojarzył niczego, co mogłoby doprowadzić go do tego szpitala. Ale jakieś inne mętne fragmenty wyłaniały się z niepamięci. „Izba”. „Znaki”. „Droga”... Zobaczył bambusowe ściany, smugi krwi. Znów ogarnął go strach. Rozbłysło mu w głowie: umęczona kobieta, z wolna spływająca krwią...

Dlaczego wpadł w panikę? Dlaczego tak nagle przestraszył się swojej towarzyszki? Nie zapanował nad sobą i będzie go to kosztowało życie. Przypomniawszy sobie, że takie niedorzeczne odruchy były zawsze częścią całego procesu. Za każdym razem, pod koniec obrzędu, tracił głowę. Ale zwykle był w Izbie Czystości sam i chwila słabości nie miała żadnych następstw.

Znów się skupił i zaczął odtwarzać scenę. Kobieta pokryta ranami. Ręka, jego własna ręka trzymająca płomień. Na tę myśl tak jasną, tak precyzyjną wydało mu się, że jest znów w Izbie... Miał ochotę popieścić to rozplątane, ociekające krwią ciało, ale wiedział, że to

niemożliwe. Źródło było tabu.

Mimo to zbliżył się do swej ukochanej i przyglądał się jej ranom. Podziwiał te ciemne rzeki rozlewające się po opalanej skórze. Ogarnęła go czułość, bezgraniczna wdzięczność dla tych smug, które przynosiły mu ukojenie.

Pochylił się. Tak blisko, że słyszał głos ran. Czuł ciepło ciała... Zamknął oczy i poczuł w zranionych ustach miedziany smak własnej krwi.

Powoli sen powracał.

Ale tym razem był to niezmacony odpoczynek, wolny od koszmarów.

Ostatni raz zobaczył ciemną kałużę rozlewającą się u jego stóp, wokół kobiety. Zanurzał się w nią jak w miękką przyjemną poduszkę, w której chroniły się jego myśli.

Uśmiech wypłynął mu na usta.

Już się nie bał: był uleczony.

## 6.

W jego poszukiwaniach seryjni mordercy zajmowali miejsce osobne.

Byli dla niego niczym czyste diamenty. Nieoszlifowane kamienie. Nie widział w nich żadnych zakłócających obserwacją motywów, ślepych namiętności, ataków paniki. Żadnych stanów ducha, które mogłyby wyjaśniać lub nawet usprawiedliwiać akt zabójstwa.

Nic poza żądzą mordu.

Zimną samotną władczą.

Przeczytał wszystkie książki na ten temat. Relacje. Biografie. Autobiografie pisane przez morderców. Prace psychiatrów. Sam robił obszerne reportaże o niektórych najsłynniejszych przypadkach. Znał ich wszystkich lepiej niż ktokolwiek. Jeffreya Dahmera, który dziurawił czaszki swych ofiar wiertarką i wlewał do nich kwas. Richarda Trentona Chase'a, który pił krew zamordowanych, a organy rozdrabniał w mikserze, żeby wycisnąć z nich więcej życiodajnego płynu. Eda Kumpera - dwa metry, sto czterdzieści kilo - kanibala, nekrofila, który przemawiał do ustawionej na kominku głowy swej ofiary, gwałcąc jednocześnie bezgłowe ciało. Eda Geina, który z odciętej skóry twarzy zamordowanych robił sobie maski.

We Francji od roku 2000 ubiegał się o możliwość spotkania z seryjnymi zabójcami odsiadującymi wyroki. W rezultacie odbył rozmowy, niekiedy kilkugodzinne, z Francisem Heaulme, Patrice'em Allègre, Guy George'em, Pierre Chenalem... Robił też wywiady z ludźmi z ich otoczenia, kontaktował się z krewnymi zbrodniarzy - i z rodzinami ich ofiar.

Za każdym razem przeżywał to samo rozczarowanie.

Wszyscy, których obserwował w sądach, byli zwyczajnymi ludźmi. Jedni byli ogromni, drudzy mieli masę tików, jeszcze inni wredne mordy, ale ich wygląd zewnętrzny nie zdradzał nic istotnego. Ich tajemnice, ich mroczne otchłanie były wciąż ukryte w ich wnętrzu.

W takich chwilach wątpił w swoje zdolności śledcze. Dlaczego nie udawało mu się zrozumieć tych ludzi? Wedrzeć do głów? Wyobrazić sobie, jak wyglądają w trakcie masakry? Zły na siebie, żałował niemal, że nie może ich zaskoczyć na gorącym uczynku, klęczących z okrwawionymi rękami nad ostygniętymi ciałami ofiar.

Zapadło mu w pamięci tylko kilka obrazów, które jak lejtmotyw po wielokroć nawiedzały go we śnie. Był z tego zadowolony. Przynajmniej coś go łączyło z zabójcami.

Miał na przykład obsesję zgrzytu ostrza. Ostrza Francisa Heaulme'a, kiedy podrzynał gardło pewnej kobiecie na plaży Moulin Blanc koło Brestu. Marc widział zdjęcia rany: wyraźnej, głębokiej, idącej od środka szyi aż za lewe ucho. Ofiarę znaleziono w kostiumie kąpielowym, rozciągniętą na okrągłych kamykach plaży, i był jakiś okrutny związek między tą obnażoną raną tą rozdartą skórą a szarymi kamieniami wydanymi na łup wiatru i morza. W jego śnie pojawiał się najpierw ten posepny pejzaż, a potem nagle wyrывał go ze snu zgrzyt. Odgłos noża rozcinającego szyję.

Widował też we śnie tajemniczy obraz bardzo chudej kobiety z amputowanymi dłońmi. Hieratyczna sylwetka o zamysłonej twarzy, z rozplatanym brzuchem i zawiniętymi w coś wnętrznościami. Za każdym razem Marc, pogrążony we śnie, zapytywał się: kim była? Gdzie ją już widział? Odpowiedź kształtowała się stopniowo, aż wreszcie go budziła. *Widmo libida*. Obraz Salvadora Dali.

W roku 1988 Marc zbierał materiały na temat serii zabójstw dokonanych w Perpignan, gdzie podejrzewano mordercę o to, że działał pod wpływem tego obrazu. Przynajmniej w jednym wypadku ofierze rozplatanono brzuch i amputowano ręce. Sprawcy dotąd nie schwytano i Marc był przekonany, że dopóki go nie złapią jego obsesja spod znaku Dalego wciąż będzie unosiła się w powietrzu i zarażała go, samotnego dziennikarza, który szuka tajemnicy, ale wychwytyje z niej tylko strzępy, opary.

Z rozmyślań wyrwał go sygnał sekretarki automatycznej - od kiedy się przebudził, błędził gdzieś myślami, gapiąc się na fotografie Reverdiego. W wielkiej przestrzeni pracowni rozległ się głos Verghensa: „To ja. Trzy dni temu przyniosłeś mi to swoje gówno z Malezji. Mam nadzieję, że do zamknięcia najbliższego numeru znajdziesz coś nowego. Zadzwoń do mnie jak najszybciej. Koniecznie. (Pauza). Przypominam ci, że za kilka tygodni wojna. Wtedy wszyscy będą mieli gdzieś te nasze historyjki. No więc czekam, do cholery, na jakąś bombę!”

Marc uśmiechnął się na wzmiankę o bliskim konflikcie w Iraku. Jakby trzeba mu było odliczać sekundy, żeby go skłonić do działania. Jedenasta rano. Sprawdził swoją pocztę elektroniczną. Żadnej wiadomości ani z AFP, ani od Reutera, ani z Associated Press. Ani z „News Straits Times” i „Star”, głównych gazet Kuala Lumpur. Żadnej odpowiedzi DPP (Deputy Public Prosecutor), malezyjskiego odpowiednika sędziego śledczego, do którego się zwrócił z prośbą o informacje. Nie odzywa się ambasada Francji, która miała podobno co dzień wydawać komunikaty. Najwidoczniej Reverdi jeszcze nie odzyskał przytomności w szpitalu psychiatrycznym. A Marc nadal nie znał nazwiska jego adwokata. Tkwił w martwym punkcie.

Wstał i poszedł do kuchennej części pracowni zaparzyć espresso. Miał bzika na punkcie kawy, to była jedna z jego starokawalerskich słabostek. Sobie tylko znanymi drogami sprowadzał jakieś wyjątkowe gatunki: arabiki, rzadkie robusty, drogie odmiany z najróżniejszych krajów. W czasach pomyślności kupił bardzo wymyślny ekspres ze specjalną dyszą do przyrządzania cappuccino i z zamontowanym na stałe urządzeniem usuwającym kamień, dzięki czemu uzyskiwał istne nektary. Pił codziennie ze dwadzieścia tych mocnych napitków, zmieniając z upływem godzin gatunki i kraje pochodzenia. Teraz zdecydował się na małą kolumbijską tak mocną że nazywał ją „diabelskim bimbrem”. Trupa mogła rozbudzić. I tego właśnie było mu trzeba.

Sącząc napój drobnymi łykami, stał przy barku z białego drewna i rozglądał się po swojej jaskini. Obszerny czworobok o powierzchni stu dwudziestu metrów kwadratowych z imponująco wysokim sufitem. Wydawało mu się, że mając tyle miejsca nad sobą jego umysł potrafi wznieść się naprawdę w górę. Minęło osiem lat, od kiedy go kupił, a wciąż nic takiego się nie wydarzyło.

Pracownia mieściła się na parterze i wychodziła na małe brukowane podwórko, ozdobione dwiema karłowatymi palemkami, które przez wielkie okna wyglądały, jakby stały na warcie. Ściany zajmowały regały z książkami, partyturami, płytami CD. Całe partie jego życia wznosiły się w ten sposób aż po mansardowe okienka, a to był tylko wstęp do jego prawdziwej biblioteki: małego pokoiku w suterenie, wytapetowanego specjalistycznymi książkami.

Znajdowało się tu wszystko lub prawie wszystko, co kiedykolwiek napisano o seryjnych morderstwach: stłoczone, zwalone w stosy, ale zinwentaryzowane. Była tam też masa starych gazet z materiałami o przestępstwach i zbrodniach. Do tego krwawego teatru zachodzili często dziennikarze z „Le Limier”, żeby przejrzeć jakąś książkę lub przypomnieć sobie jakiegoś słynnego zabójcę. Z tej nory przedostawał się do pracowni zapach stęchlizny, a Vincent mówił mu przy każdej wizycie: „Musisz przestać palić grzybki”.

Prawie nie było tu mebli. Deska oparta na kozłach pełniła funkcję biurka; w głębi urządził kącik gościnny, składający się z zapadniętej kanapy i rozrzuconych na niej poduszek. We wnęce parę metrów dalej stało łóżko. Materac bez podglówka leżał wprost na podłodze, naprzeciw niskiego stolika, na którym postawił telewizor z płaskim ekranem i sprzęt elektroniczny - odtwarzacz DVD, magnetowid, wieże i inne aparaty hi-fi.

Marc uwielbiał spać na podłodze. Była to pozycja żołnierza wtulonego w ziemię i obserwującego bazę, którą ma zaatakować. Taka perspektywa symbolizowała całe jego życie: zawsze w ukryciu, zawsze w zasadzce. Nocą wpatrywał się w ścianę książek, lśniąca w

świetle latarni podwórka. Zawieszono przed nią małe czerwone lampki kojarzyły się ze światłami sygnałowymi pasa startowego. Kiedy wystartuje? Kiedy znajdzie prawdę, której szuka?

Zrobił sobie drugą kawę i usiadł przy biurku. Uporządkował cały stos dokumentów, notatek, zdjęć, kaset, które nagromadził w związku z ostatnim zabójstwem. Wystarczyłoby tego do napisania wspaniałej biografii Reverdiego. Ale byłaby to historia wielkiego sportowca, a nie mordercy.

Przez ostatnie dwa dni Marc krok po kroku prześledził całe jego życie. Na początku lat siedemdziesiątych Jacques był prawdziwą gwiazdą. Artykuły, wywiady, zdjęcia składały się na bohaterski obraz jednego z największych płetwonurków końca stulecia. Między Mayolem a Umbertem Pelizzarim. W wywiadach Reverdiego nigdy nie było komunałów, które opowiada się zwykle w związku z tą dyscypliną: nie mówił o dążeniu do absolutu, o powrocie do morza - źródła życia, o powinowactwie ze ssakami morskimi... Przeciwnie, podkreślał sprzeczny z naturą charakter nurkowania bezdechowego i związane z nim niebezpieczeństwa: ryzyko zapaści, nieustanne zagrożenie zmianą ciśnienia, zawroty głowy w głębinach. Marc znał ten sport - uprawiał go trochę na Korsyce - i pamiętał, jak kiedyś stracił przytomność w wodach pewnej zatoczki. Od razu skończył z nurkowaniem. Te omdlenia przypominały mu okresy nieświadomości, które dwukrotnie przeżywał.

Mistrz mówił, że nurkowanie bezdechowe to w rzeczywistości wojna między człowiekiem a morzem. Wojna, którą trzeba wygrać własnym ciałem, żeby przekroczyć, na wielkich głębokościach, jakąś granicę. W wywiadach zawsze mówił o tej tajemniczej granicy, którą zna tylko nurkujący. Granicy rekordu, oczywiście, ale i granicy ducha. O wyższym stadium, którego dostępuje się, paradoksalnie, na głębokościach. Kiedy o tym opowiadał, rozumiało się, że tam w ciemnościach, pod oszałamiającym ciśnieniem, kiedy płuca są już tylko dwoma kamieniami, a światło wspomnieniem, płetwonurek zdobywa coś znacznie większego niż zwykły medal czy puchar...

Marc trafił również na artykuł opublikowany w „L'Express” w sierpniu 1987, w okresie szaleństwa na punkcie filmu Bessona *Wielki błękit*, kiedy we Francji tysiące nastolatków zapaliły się nagle do nurkowania. Reverdi był wtedy zwykłym instruktorem w Tajlandii. Ukazał się wówczas publiczności jako ktoś o wiele pogodniejszy, znacznie bliższy kojarzącego się z jego sportem klimatu mądrości i duchowości.

Marc cofnął się także w głąb życiorysu Reverdiego i poczynił interesujące odkrycia: dopatrywał się urazów, które mogły tłumaczyć obecne wydarzenia.

Jacques urodził się w 1954 roku w Épinay-sur-Seine, w departamencie Val-d'Oise.



Jedynak, osierocony przez ojca, rósł pod opieką matki, pracownicy opieki społecznej. Było to dzieciństwo całkiem zwyczajne, dopóki Monique Reverdi w 1968 roku nie popełniła samobójstwa. Jacques, wówczas czternastoletni, odkrył spływające krwią ciało matki u nich w mieszkaniu: przecięła sobie żyły.

Chłopak przeżył szok, który spowodował całkowitą zmianę osobowości. Nieśmiałe, powściągliwe dziecko staje się istotą agresywną nadpobudliwą. Odtąd przerzucają go z przytułku do przytułku z powodu ciągłych kradzieży, aktów wandalizmu, agresji. W wieku siedemnastu lat zostaje wysłany do Marsylii, do ośrodka przeznaczonego dla trudnej młodzieży. W tym okresie następuje drugi wielki zwrot w jego życiu. Reverdi poznaje Jean-Pierre'a-Genoveśa, bardzo światłego psychiatrę, który wprowadza go w tajniki nurkowania bezdechowego. Dla chłopca staje się to objawieniem. Zapala się do tego sportu i ujawnia wyjątkowe do niego zdolności.

Po roku 1977, czyli po odbyciu służby wojskowej i po latach treningu Jacques bije swój pierwszy rekord świata w nurkowaniu bez obciążenia. Jest to dyscyplina szczególnie trudna - nie polega na tym, by, jak w kategorii „no limits”, zanurzyć się z obciążeniem, „bombą”, a potem wypłynąć z pomocą „spadochronu”, czyli czegoś w rodzaju balonika z powietrzem; w jego specjalności trzeba zanurzyć się i wypłynąć, posługując się wyłącznie płetwami. Jacques osiąga w ten sposób głębokość sześćdziesięciu metrów. Trzy lata później dochodzi do sześćdziesięciu trzech metrów. Równolegle zabiera się do nurkowania z obciążeniem i przekracza barierę stu metrów, którą Jacques Mayol pokonał w roku 1976. Od roku 1982 mistrz, liczący sobie wówczas dwadzieścia osiem lat, zwalnia tempo. Wycofuje się ze sportu wyczynowego, osiada w Azji Południowo-Wschodniej i znika tam, dopóki sukces *Wielkiego błękitu* znów nie skieruje na niego - na krótko - światła jupiterów.

Marc przeprowadził również poszukiwania ikonograficzne. Znalazł oczywiście liczne zdjęcia mistrza z okresu jego sławy.

Ale też trafił na portret Monique Reverdi. Zobaczył wysoką, bardzo chudą kobietę, tonącą w kwiecistej, zapiętej pod szyję sukni od Laury Ashley. Piękność omdlewająca, niepokojąca. Jej wąską twarz przedłużały jeszcze długie, ciemne włosy, uczesane z przedziałkiem pośrodku. Uderzał jej wzrok - posępny, intensywny, a także zmysłowe wargi w kształcie płatków kwiatu. Ta twarz skojarzyła się Marcowi z dwiema różnej płci gwiazdami rocka: Cher i Marilyn Masonem. Jednocześnie zauważył w jej postawie jakąś stoicką twardość, męczeński patos. Portret Monique Reverdi przypominał skrzyżowanie pobożnego obrazka z okładką płyty.

Marcowi udało się porozmawiać przez telefon z jej dawnymi kolegami: wszyscy

uważali ją za kobietę oddaną swym podopiecznym, wielkoduszną. Wręcz świętą. Dlaczego przecięła sobie żyły?

Ze swych doświadczeń reportera kryminalnego Marc wyniósł przekonanie, że seryjnych morderców łączy tylko jedno: trudne dzieciństwo. Przemoc w rodzinie, alkoholizm, porzucenie, kazirodztwo... Z pewnością nie był to przypadek rozpieszczanego przez matkę Jacques'a. Czy sam szok na widok ociekającego krwią ciała matki rozbudził w nim morderczą psychozę?

Wypił łyk kawy. Była zimna. Musi znaleźć nowy trop. Nie po to, by napisać kolejny artykuł, ale żeby lepiej zrozumieć osobowość drapieżcy. Wedle różnych okresów życia swego bohatera uporządkował papiery, zdjęcia, notatki. Kiedy doszedł do teczki z napisem KAMBODŻA, zdał sobie sprawę, że nie ma prawie nic. Portret Lindy Kreutz, kilka wycinków prasowych z dzienników francuskich... Skontaktował się z ambasadą Francji w Phnom Penh, ale jej personel się zmienił. Nie sposób było dotrzeć do archiwów procesu, który się odbywał akurat w dniach zamachu stanu. Nie mógł też trafić na ślad kambodżańskiego adwokata Reverdiego. Zresztą orientował się, że kambodżański wymiar sprawiedliwości nie działał zbyt metodycznie...

Marc wpadł na pewien pomysł. Przeczytał gdzieś, że rodzina ofiary była zamożna. Kreutzowie z pewnością wynajęli wówczas niemieckiego adwokata, żeby wystąpił w roli oskarżyciela posiłkowego. Może nawet zwrócili się do prywatnego detektywa, chcąc rzucić światło na sprawę. Marc czuł instynktownie, że rodzice Lindy są przekonani o winie Reverdiego i jego zwolnienie musiało ich oburzać.

Jego ponowne aresztowanie, i to na gorącym uczynku, powinno było dać im do myślenia. Będą próbowali wznowić proces w Kambodży. Tak: warto było szukać gdzieś w tej stronie. Marc postanowił odnaleźć adwokata, któremu powierzono sprawę.

## 7.

Miał kilka sposobów wyszukiwania informacji, a Internet wcale nie był najważniejszym z nich. Zbyt rozległy, za mało precyzyjny. Uważał, że nic nie może zastąpić starej, dobrej metody - rozmowy telefonicznej i bezpośredniego kontaktu człowieka z człowiekiem. Zadzwoił do niemieckiej ambasady, znał jej attache prasowego. Ten, nie odkładając nawet słuchawki, połączył się przez drugą linię z reporterem „Sterna”, specjalistą od afer kryminalnych, który pilotował sprawę Lindy Kreutz. Dziennikarz miał jeszcze namiary adwokata rodziny, Ericha Schreckera.

Kilka minut później Marc już z nim rozmawiał. Wyjaśnił swoją prośbę w najlepszej, na jaką go było stać, angielszczyźnie: chciał dowieść związku między oskarżeniem z Johor Bahru a podejrzeniami, które ciążyły na pletwonurku w Kambodży.

Schrecker przerwał mu sucho:

- Przykro mi, nie mogę o tym rozmawiać.

- Proszę mi przynajmniej powiedzieć, czy chcecie państwo wznowienia procesu? Czy aresztowanie Reverdiego w Malezji pozwala na wniesienie apelacji w Kambodży?

- Reverdi był sądzony. Sprawę umorzono.

Po głosie Schreckera Marc odgadł, że on i rodzina Kreutzów obrali już strategię postępowania.

- Czy skontaktował się pan z przedstawicielem oskarżenia prywatnego w Malezji?

- Jest za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Ale czy nie sądzi pan, że między obu sprawami występują podobieństwa?

- Proszę posłuchać. Obaj tracimy czas. Nic panu nie powiem. Wie pan, że żaden adwokat nie rozmawia z dziennikarzami, chyba że to może pomóc sprawie. Ta zaś potrzebuje tylko jednego: dyskrecji. Nie będę ryzykował.

Marc odkasznął.

- Niech pan zasięgnie o mnie informacji. Jestem poważnym dziennikarzem.

- Nie w tym rzecz.

- Obiecuję, że dam panu mój artykuł do autoryzacji. Ja...

Adwokat roześmiał się, jego głos nagle odmłodził.

- Gdyby pan wiedział, ile artykułów obiecywano mi dać do autoryzacji, po czym

nigdy nawet ich koloru nie zobaczyłem!

Marc nie nalegał - nie pamiętał, żeby choć raz dotrzymał takiej obietnicy. Zaczął od innej strony.

- Od dwudziestu lat prowadzę dział kryminalny. Nie jestem facetem, który wypisuje byle co. Proszę dać mi tylko ogólne pojęcie. Widzi pan związek z aferą z Papanu czy nie?

Adwokat milczał.

- Czy wymiary sprawiedliwości obu krajów będą współpracować?

- Proszę posłuchać, ja...

- Czy malezyjski sędzia śledczy pojedzie do Kambodży?

Schrecker westchnął ze znużeniem.

- Dzwoniłem do niego do Johor Bahru. Nie uzyskałem żadnej odpowiedzi. I wciąż nie wiemy, czy Kambodżanie są skłonni przedstawić mu akta sprawy Lindy Kreutz.

- Dlaczego sam pan ich nie prześle?

Schrecker znów się roześmiał, tym razem posepnie.

- Bo ich nie mamy. W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym byliśmy tylko zagranicznymi konsultantami. Khmerzy są bardzo czuli na punkcie swoich kompetencji. „Ludzie z Zachodu nie będą udzielać nam lekcji...”, mowy nie ma.

Adwokat rozgrzewał się. Marc czuł, że sprawa go pasjonuje.

- Jedno musi pan zrozumieć - mówił dalej. - Czerwoni Khmerzy wybili osiemdziesiąt procent prawników Kambodży. Obecni adwokaci i sędziowie są pod względem wykształcenia na poziomie nauczyciela szkoły podstawowej. Do tego korupcja, naciski polityczne... Burdel absolutny! I jeszcze nie najlepsze stosunki między Kambodżą a Malezją. A kiedy próbowaliśmy włączyć Tajlandię...

- Dlaczego Tajlandię?

Adwokat nie odpowiedział. Ale Marc już zrozumiał.

- A więc przeciw Reverdiemu toczy się postępowanie również w Tajlandii?

Schrecker wciąż milczał. Marc nalegał:

- Reverdi też tam miał kłopoty?

- Nie, kłopoty nie, nie jest o nic oskarżony.

Marc starał się myśleć najszybciej jak mógł i jednocześnie otwierał swoje tekturowe teczki. Wyszarpnął notatki: musiał dowieść Schreckerowi, że zna sprawę dogłębnie. Zaczął wyliczać:

- Od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego do dziewięćdziesiątego szóstego, a potem od dziewięćdziesiątego ósmego do dwutysięcznego Reverdi przebywał w

Tajlandii. Przyjeżdżał tam nawet znowu w latach dwa tysiące jeden i dwa tysiące dwa. Były w tym czasie jeszcze inne morderstwa?

Niemiec nie odpowiadał. Marc słyszał jego ciężki oddech. Nie chciał mówić, ale coś go powstrzymywało przed odłożeniem słuchawki.

- Znalaziono ciała?

Schrecker krzyknął z głębi serca:

- Nie, ciała nie! Gdyby tak było, mielibyśmy go.

- No więc co?

- Zaginięcia.

- Zaginięcia w Tajlandii? Tam się przewija osiem milionów turystów rocznie, jak można wychwycić zaginięcia?

- Są zbieżności.

- Zbieżności miejsc?

- Miejsc i dat, tak.

Marc spojrział w swoją dokumentację. Wśród miejsc pobytu Reverdiego powtarzała się jedna miejscowość.

- W Phuket?

- Tak, w Phuket. Dwa potwierdzone przypadki zaginięcia. Dokładnie w Koh Surin, na północ od Phuket. W mateczniku Reverdiego.

- Bliskość geograficzna niczego nie dowodzi.

- Jest coś jeszcze. - Adwokat zapalił się na nowo. Z pewnością szukał tych poszlak miesiącami. - Jedna z kobiet była na jego kursie nurkowania. Inna mieszkała w jego bungalowie. Mamy świadków. Wydawała się zakochana. Nikt jej potem nigdy nie widział.

Marc zadrżał. Zarysowywał się portret prawdziwego drapieżcy.

- Niech mi pan poda nazwiska ofiar!

- Oszałał pan? My zbieraliśmy te dane przez lata. Nie po to, żeby jakiś dziennikarz nam wszystko rozpieprzył!

- „My” to znaczy kto?

- Rodziny. Znaleźliśmy rodziny rozsiane po całej Europie. Zjednoczyliśmy się. Nasze działania zbiegają się w Malezji. - Zaśmiał się szyderczo. - Jest otoczony jak szczur.

Schrecker był niesłychanie podniecony, a Marc nie mniej od niego. Ile razy Reverdi uderzał? Już sobie wyobrażał, jak zaznacza flamastrem na mapie Azji Południowo-Wschodniej okolice, gdzie pletwonurek zabijał. W mgnieniu oka przypomniała mu się definicja „wielokrotnego mordercy”: „Jak większość sadystów seksualnych jest to człowiek

bardzo ruchliwy, często przenoszący się z miejsca na miejsce, czujący się swobodnie wśród ludzi, przynajmniej z pozoru, bo potrafi przybierać maskę normalności i nie odstraszać swoich ofiar, a do tego doskonale znający miejsce zbrodni...”.

Marc znów zaryzykował.

- Może mi pan przynajmniej podać narodowość dziewcząt?

- Do widzenia! Już za dużo powiedziałem.

- Proszę zaczekać! - Marc niemal wykrzyknął te słowa. I dodał trochę ciszej: - Chciałbym zobaczyć ich twarze. Tylko to. Niech pan mi przyśle zdjęcia.

- Żeby pan je opublikował w swojej gazecie?

- Przysięgam, że nic takiego nie zrobię. Chcę je tylko porównać z innymi ofiarami.

- Nie są podobne. To pierwsza rzecz, którą sprawdziliśmy.

- Proszę o same zdjęcia. Bez nazwisk ani pochodzenia ofiar.

- Mowy nie ma. Mamy tylko poszlaki. I próbujemy doprowadzić do współpracy między krajami, które nie potrafią się dopasować. Różne systemy wymiaru sprawiedliwości. Prawdziwa łamigłówka. Nie będę niczego ryzykował dla dziennikarza, który...

- Niech pan zapomni o dziennikarzu. Niech pan zapomni o publikowaniu. Chcę tylko zrozumieć tę historię. To się zrobiła dla mnie sprawa osobista, kapuje pan?

Znów milczenie. Teraz z kolei Marc się zagalopował. Ale zwierzenie trafiło w cel. Spotkali się dwaj myśliwi.

- Jakie mam gwarancje, że pan tego nie opublikuje?

- Proszę mi przysłać portrety pocztą elektroniczną, z niską rozdzielczością. Nie będę mógł ich przedrukować w gazecie. Obejrzę je na komputerze.

Adwokat zanotował e-mailowy adres Marca i powiedział:

- Podam tylko daty pobytu i przypuszczalne daty zaginięć. Żeby się pan w tym nie pogubił.

- Dziękuję.

- Ale uwaga, coś za coś. Jak tylko trafi pan na jakiś ślad, ja o tym wiem pierwszy.

- Oczywiście.

Jedno kłamstwo więcej... Marc był samotnikiem. Za nic nie podzieliłby się swoimi odkryciami. Już miał odłożyć słuchawkę, kiedy jeszcze coś mu się przypomniało. Chciał wyciągnąć od rozmówcy jego osobisty pogląd na sprawę.

- Czy jest pan pewien, że Reverdi to seryjny morderca?

Adwokat nie od razu odpowiedział. Szlifował w myśli swoją odpowiedź. Chciał, żeby jego słowa zabrzmiały jak wyrok.

- Wściekle zwierzę - powiedział wreszcie. - W obu znanych wypadkach zadał przeszło dwadzieścia ciosów. Pociął każdej ofierze twarz, srom, piersi. Działa w ataku, pod wpływem nagłego popędu, który go zmusza do zabijania bez zachowania środków ostrożności, bez przygotowania. Wściekle zwierzę. Chce te biedne dziewczyny wykrwawić.

Schrecker mylił się. Marc był pewien, że Reverdi działa wedle starannie opracowanego planu. Gdyby było inaczej, złapano by go po pierwszym morderstwie. Przeciwnie, przygotowywał starannie swoje pułapki. Za każdym razem udawało mu się sprowadzić młodą kobietę do swojej kryjówki, zabić, a potem usunąć ciało. Ale pod jednym względem adwokat miał rację: morderca działał w stanie kryzysowym. Chaotycznie, pośpiesznie. Coś, jakiś konkretny bodziec nakazywał mu zabić. Co to było?

Zimne mrówki przeszły mu po ciele. Taki właśnie klucz chciałby odnaleźć. Iskrę zła w mózgu zabójcy. Pod wpływem tej myśli zadał jeszcze jedno pytanie:

- Jakie mam szanse porozmawiać z nim?

- Żadnych. Na razie jest odurzony, ale kiedy dojdzie do siebie, nie powie ani słowa. Od czasu Kambodży nie zgodził się na udzielenie żadnego wywiadu.

- Od czasu Kambodży?

- Jedna dziennikarka zdołała porozmawiać z nim, kiedy siedział w T-pięć, więzieniu w Phnom Penh. Ale niczego ciekawego się nie dowiedziała. Jak zwykle zgrywał „księcia przypliwów”, faceta złączonego z żywiołami. Normalne bzdury. Odmówił jakiegokolwiek komentarza na temat oskarżenia.

- Ma pan jej zamiary?

- Pisał coś tam, zdaje się... Pracuje w „Phnom Penh Post”.

Marc pożegnał się z adwokatem, skracając do minimum obietnice i podziękowania. Spojrzał na zegarek: jedenasta rano. W Phnom Penh siedemnasta. Połączył się z Internetem, by poszukać numerów telefonów kambodżańskiej gazety. Zauważył, że Schrecker już zdążył mu przesłać list elektroniczny: portrety ofiar z Phuket.

Marc otworzył oba dokumenty z pomocą programu Picture Viewer. Adwokat miał rację: zaginione dziewczyny były ładne, ale niepodobne do siebie. I nie miały nic wspólnego ani z Pernille Mosensen, ani z Lindą Kreutz. Jedna miała kwadratową bardzo stanowczą twarz, której charakter podkreślały ściągnięte do tyłu włosy. Druga wyglądała na osobę skrytą miała kręcone włosy i patrzyła na widza spod oka. Obie turystki łączył tylko wiek i opalenizna: dziewczyny wędrowni i słońca.

Schrecker podał przypuszczalne daty ich zaginięcia: pierwsza zniknęła w marcu 1998, druga w styczniu 2000 roku. Marc wydrukował ich portrety w tym samym formacie co

zdjęcia Pernille i Lindy, potem ułożył je koło siebie na biurku niczym karty do gry. Dziwny pasjans, w którym był tylko jeden zwycięzca...

Jeśli te cztery kobiety były rzeczywiście ofiarami Reverdiego, dlaczego je właśnie wybrał? Czy było w nich coś, czego Marc nie widział, jakiś znak szczególny, jakaś osobliwość, która uruchamiała mordercze szaleństwo pletwonurka?

Przypiął twarz pinezkami do ściany, po czym wziął się do szukania namiarów „Phnom Penh Post”. W redakcji gazety dziennikarz mówiący po angielsku podał mu numer telefonu komórkowego Pisaï van Tham.

Kolejne połączenie.

- Halo?

Marc zaczął objaśniać swoją sprawę po angielsku, ale rozmówczyni przerwała mu po francusku. Wyraźnie zachwycona, że może porozmawiać w tym języku. Miała dziwny głos, miękki i nosowy jednocześnie. Nie wydawała się zdziwiona jego telefonem. Najwyraźniej nie był pierwszy.

- Pan chce mój wywiad Reverdi e-mailem? Mój tekst po angielsku?

Marc podał swój adres poczty elektronicznej, po czym zapytał:

- Pani jest jedynym reporterem, któremu udało się uzyskać z nim wywiad. Od tego czasu z nikim nie rozmawiał...

Śmieszek zadowolenia rozległ się na drugim końcu linii.

- Co pani zrobiła? Jak się to pani udało?

Znów rozległ się śmiech, cienkie miauczenie. Marc wyobraził sobie rasowego kota. Żłota sierść, zielone oczy. I wystudiowana zmysłowość.

- Proste. Jestem kobietą.

- Kobietą?

- Jacques Reverdi uwodziciel. Kobieciarz.

- Jaki był, kiedy pani się z nim spotkała?

- Uroczy. - Znów miauknięcie. - Kobieciarz!

Przypomniał sobie coś. Nurkowie byli zwykle wielkimi uwodzicielami. Jacques Mayol, Umberto Pelizzari: prawdziwi pogromcy serc. Ale dla Reverdiego miłość to tylko maska. Pisaï mówiła dalej:

- Zwłaszcza uśmiech. Bardzo powolny, bardzo słodki. Jak owoc, rozumie pan? I głos. Bardzo ciepły. Wie pan, kobiety przepadają... A on kocha kobiet.

Zaczynała mu działać na nerwy swoją kiepską francuszczyzną i wdziękiem się.

- Myśli pani, że jest winny?



- Żadnej wątpliwości. Zabija kobiet.

- W Phnom Penh został uniewinniony, nie?

- To kambodżańskie sądy. Ale winny, żadnej wątpliwości. Ja poczułam za uśmiechem... Chce załatwiać kobiet.

- Dopiero co mówiła pani, że je kocha.

- Właśnie. Morderstwo: najwyższy stopień uwiedzenia. Studiowałam francuski na Sorbonie. *Don Juan* Moliere. Zrozumiałam głęboką prawdę. Uwiedzenie jest zniszczenie. Don Juan jest zabójca. Zabija Elwirę. Kradnie jej serce, jej duszę, jej życie. Reverdi taki sam. Zabójca kobiet.

Zaśmiała się znowu z odrobiną udawanego lęku. Marc rozumiał mniej więcej, co kobieta chce powiedzieć. Zabójstwo jako paroksyzm posiadania. Kotka powiedziała jeszcze:

- Babiarcz. Jeśli chce wywiad, niech pośle kumpelkę.

- Można się z nim skontaktować w Ipoh?

- Już nie jest w Ipoh.

- Co?

- Reverdi wyszedł szpitala.

Marc zapomniał być uprzejmy.

- O Boże, gdzie on jest?

- Krajowe więzienie w Kanara, koło Kuala Lumpur. Wyjechał wczoraj po południe, czwartek trzynasty luty. Psychiatrzy powiedzieli: wyleczony. W każdym razie świadomy. Odpowiedzialny za swoich czyny.

Marc nie wiedział, czy to dobra, czy zła wiadomość. Nie miał żadnego kontaktu. I wciąż nie znał nazwiska adwokata.

- Kto zarządził przeniesienie?

- On. Poprosił wrócić do więzienia... normalnego.

- Poprosił?

- Jeśli jest coś, czego nie chce, to właśnie, żeby go brać wariata!

## 8.

Przykryty plastikową folią posiłek był podzielony na dania.

W największej przegrodce pływały w tłustym sosie brązowe skrawki - na pewno baranina. Obok garsteczka kleistego ryżu. W dwóch pozostałych wgłębieniach porcja sera owinięta w folię i mały poczerńiały banan.

Jacques Reverdi siedział na ziemi goły do pasa i przeliczał w myśli zawarte w tym wszystkim kalorie. Dodając ten posiłek do śniadania i kolacji, uzyskiwał około tysiąca sześciuset, czyli około tysiąca mniej w stosunku do swojej dziennej normy. Trzeba będzie znaleźć jakiś sposób nadrobienia tego braku.

Podniósł oczy, osłaniając je ręką jak daszkiem. O jedenastej dziedziniec był oślepiająco biały. Więźniowie stali gęsiego, czekając na posiłek. Wszyscy, ubrani w białe T-shirty, kryli się w cieniu ściany jadalni. Ich leżące na ziemi cienie wyglądały jak jakieś długie, organiczne i czarne macki. Inni pod dalszymi budynkami już jedli przygarbieni nad swoimi porcjami.

Główne budynki - jadalnia, rozmównica, biura administracji - były skupione w centrum dziedzińca i wydawały się odlane wprost w asfalcie. Więźniowie poruszali się zupełnie swobodnie, ale po kilku krokach trafiali zawsze na jakąś ścianę wkopaną w ziemię albo na zaryglowane drzwi. Unosił się tu tylko pozór wolności, jej miraż.

Reverdi podniósł wzrok i przyjrzał się wieżom strażniczym, wznoszącym się w czterech kątach dziedzińca. Między nimi ciągnęły się ślepe ściany zwieńczone rulonami drutów kolczastych, w których igły zastąpiono ostrzami żyłek.

Uśmiechnął się: ten groźny widok podobał mu się.

Wszystko było lepsze niż siedzenie w Ipoh.

Zresztą jak na człowieka przyłapanego na gorącym uczynku morderstwa, nie skończyło się dla niego tak bardzo źle. Zaczął jeść palcami, licząc jednocześnie swoje kolejne szczęśliwe trafy. Przede wszystkim w Papanie w ostatniej chwili uniknął linczu. Następnie, mimo że był w transie, nie zdradził nic z Tajemnicy. Teraz był tego pewien. Podczas ostatniego spotkania z psychiatrą w Ipoh, w przeddzień przeniesienia go tutaj, przekonał się, że nikt nic nie wiedział.

Potem udało mu się trafić do Kanary, gdzie roztopił się w masie. Dwa tysiące

więźniów, w tym najwięksi zbrodniarze kraju: morderstwa, gwałty, handel narkotykami. I jeszcze jeden blok kobiecy oraz jeden dla nieletnich. Prawdziwe miasto złożone z białych i beżowych bloków, które przez cały dzień odbijały słońce i ten blask oślepił tak, że w końcu pod powiekami zaczynały latać czarne muszki.

Przyjeżdżając tutaj, Reverdi obawiał się najgorszego. Kiedy go rewidowano, zauważył, że ściany biura przyjęć są wytapetowane wycinkami prasowymi na temat jego aresztowania. Co za frajda dla klawiszów: zeszmacić europejską bestię. Nazywał się teraz „243-554”, ale wciąż uchodził za gwiazdę z Zachodu, słynnego mordercę, sama jego sława była drwiną z więziennej władzy.

Jednak pomylił się: zanosilo się raczej, że dadzą mu spokój. Nawet nie umieszczono go na oddziale dla szczególnie niebezpiecznych. Jakimś cudem pozostawiono mu pewną swobodę, na przykład pozwolono mu smażyć się przez dziesięć godzin dziennie na tym dziedzińcu.

Zaczynał wierzyć, że ma tu jakiegoś anioła stróża. Zwłaszcza kiedy zobaczył swoją celę. Była to prawie kawalerka, prostokąt o boku pięciu metrów. Nagie ściany kremowej barwy, cementowa podłoga, na której leżała zwinięta mata. To lubił najbardziej: czystość, surowość. Niska ścianka wyłożona fajansem odgradzała kabinę łazienkową z prysznicem i klozetem. Nie było obrzydliwych graffiti, ziejącej dziury w cemencie, przykrytej kartonem dla osłony przed smrodem, nie było czarnych śladów znaczących przejście poprzednich więźniów. Pomieszczenie wyglądało jak nowe, a najważniejsze, że był sam. Nie miał śmierdzących towarzyszy niedoli, sąsiedztwa onanistów, tego, z czym zetknął się w T-5. Nie miał nawet współwięźnia, z którym dzieliliby ten pałac. Ta samotność nie była środkiem bezpieczeństwa, tego był pewien, lecz cennym przywilejem.

Kiedy klawisz przyniósł mu mydło i ręcznik, Reverdi spytał, komu zawdzięcza ten luksus. Tamten wzruszył ramionami na znak, że nie ma pojęcia.

- To jest menu europejskie - odezwał się koło niego jakiś głos po francusku.

Reverdi obejrzał się. Niziutki facet, tonący w swoim T-shircie, pojawił się nagle obok niego.

- Ser - dodał. - To jest taki mały dodatek dla Europejczyków i Amerykanów.

Przysiadł po azjatycku na piętach. Jacques otworzył usta, żeby go splawić bezapelacyjnym „spadaj”, ale się rozmyślił. Tamci, z dziedzińca, przyglądali mu się. Twarze Tamilów koloru palonej kory, szafranowa cera Malajów, miedziane oblicza Chińczyków. Od lat żył wśród tych ludzi. Na myśl, że miałby z nimi mówić, znów znosić ich języki, zwyczaję, przesady, robiło mu się słabo. Francuz. Zawsze jakaś odmiana.

Uśmiechnął się do niego, ale nie odpowiedział. Gość był drobniutki. Reverdiemu przypominał małą szarą małpkę. Jedną z tych, co żyją w stadach, żeby lepiej bronić się w dżungli. Jego twarz, wygarbowana jak skóra, była potworna: pęknięta, połamana, wgnieciona. Wyglądała, jak pocięta brzytwą lub jakby popracował nad nią zawodowy bokser. Ta pokiereszowana gęba przypominała Cheta Bakera. Był to śpiewak i trębacz *cool*, za młodu subtelny i piękny, który z upływem czasu pokrył się zmarszczkami i bruzdami, aż w końcu ukazywał światu twarz kostropatą zakłęśniętą o orbitach schowanych głęboko w czaszce. Więzień był od tamtego jeszcze szpetniejszy: usta wykrzywiała mu w skos zajęcza warga, przez co wyglądał, jakby miał sparaliżowaną lewą stronę twarzy.

- Nazywam się Eric - powiedział, wyciągając rękę.

Reverdi uściśnął mu dłoń.

- Jacques.

- Nie musisz się przedstawiać. Tu już jesteś za gwiazdę.

- Są inni Francuzi?

- Tylko my dwaj. Jest też dwóch Anglików, jeden Niemiec i paru Włochów. Z Europy to wszystko. Wszyscyśmy wpadli na narkotykach. Większość ma dożywocie. Ja dostałem czapę. Za trzydzieści gramów hery. Ale zamienili mi na dwadzieścia lat pierdła. Jak będziemy grzeczni, wypuszczą nas za dziesięć, piętnaście lat. Nikt się nie skarży. Wszystko lepsze od sznurka.

Eric zamilkł, pewnie żałował, że przy Jacques'u wspomniał o szubienicy. Usiadł na ziemi i zaczął czyścić sobie paznokcie u nóg.

- Mamy szczęście, że jesteśmy Francuzami. Ambasada przysyła nam raz na miesiąc konowala, żeby sprawdzić, jak z naszym zdrowiem. Nie można nam spuścić manta. Klawisze odbijają sobie na Indonezyjczykach i na tych, co nie mają ambasad w Malezji - zarechotał, nie przestając się zajmować swoimi stopami. - Dostają zdrowy wycisk!

Reverdi przyglądał się stojącej pod okapem grupie strażników w ciemnozielonych mundurach, z pałkami w garści. Wyglądali bardziej podejrzanie od więźniów.

- Powiedz coś o klawiszach.

- Do zeszłego roku było jak cię mogę. Nawet całkiem nieźle. Kanara biega za wzorcowe więzienie, modern styl. Ale od grudnia zeszłego roku zmienił się szef ochrony. Przyszedł taki jeden gość, nazywa się Raman, i przyprowadził swoich chłopaków. Piekło.

Reverdi oparł głowę o ścianę.

- Różne piekła widziałem.

- Raman to szajbus. Zapaskudzony aż do slipów, ale to normalka. Ciekawe jest co

innego: to praktykujący muzułmanin, prawie integrysta, a jednocześnie pedał. Wszystko razem kielbasi mu się w tym jego popieprzonym łbie. Dostaje czasem takich napadów wściekłości, że nie wiem. Wyładowuje się na nas. Ale bicie to jeszcze nie najgorsze. Najgorzej, jak mu się zbiera na czułość, wiesz, o co mi chodzi. Mnie to na razie jakoś omijało, a co się dzieje w prysznicach, lepiej nie mówić.

Reverdi uśmiechnął się w myśli: „No cóż, brzydota...”. Wciąż przyglądał się facetom w mundurach, a ci z kolei gapili się na niego. Wydawali mu się niespokojni, jakoś nienormalnie nerwowi.

- Szprycują się?

- Tylko chłopaki od Ramana. Koka, kwasy, amfa. Jak są po yaa-baa, to lepiej nie podchodź na odległość pały.

Od jakichś piętnastu lat Azja Południowo-Wschodnia przeszła na amfetaminy. Jedną z nich, yaa-baa, stała się prawdziwą plagą. Mała pigułka w kształcie serca, pachnąca poziomkami lub czekoladą niszczyła układ nerwowy i powodowała niesłychanie ostre ataki. W Tajlandii pierwsze kolumny gazet były regularnie poświęcone morderstwom dokonany pod wpływem yaa-baa.

- No, ale już nie jesteśmy w średniowieczu - mówił dalej Eric, starając się uspokoić rozmówcę. - Dyrektor pierdła ma go na oku. Były skargi. Niech go tylko złapią na gorącym uczynku, a ten skurwiol i całe jego „komando szalonego kutasa” trafi na komisję dyscyplinarną. Na razie liczymy dni.

Jacques przyglądał się więźniom, którzy zbierali się teraz grupami, wedle narodowości. Pochyleni nad swoimi tackami, z palcami lepкими od jadła, siedzieli w kucki, jakby jednocześnie srali i jedli.

- Każda narodowość siedzi w innym bloku?

- W zasadzie nie. Ale za trochę szmalu więźniowie dostają się do swoich. Naturalna tendencja. Dyrekcja przymyka oczy. Ale za byle gówno znów wszystkich rozdzielają. - Roześmiał się. - Jakby kto dał kopa w mrowisko...

- A biali?

- Rozproszeni wśród innych. Anglikom udało się trafić do jednej celi. Do Chińczyków. A Włochom do Hindusów.

Reverdi pomyślał o swojej małej kawalerce z kabiną. Jeszcze nie był pewien, w jakiej wspólnocie się znalazł. Chyba że jest po prostu w bloku dla uprzywilejowanych, gdzie siedzą Malajowie i bogaci Hanowie.

- Każdy klan ma swoją specjalność?

- Jak najbardziej. Chińczycy i Malajowie żyją dalej swoim rytmem: Chińczycy wszystkim handlują Malajowie stale się opieprzają. Hindusi zajmują się sprawami administracyjnymi: bawią się w adwokatów, piszą jakieś dyrdymały za parę ringgitów. Indonezyjczycy to niewolnicy. Możesz sobie przelecieć jednego dziennie za swoją porcję sera. Z Filipińczykami to gorzej.

- Kto utrzymuje porządek?

- Zabójcy. Najgorsi ze wszystkich: nie mają nic do stracenia.

Reverdi dalej zapoznawał się z więzieniem, jakby odbywał gospodarską wizytę. Teraz przyglądał się uważnie stojącym za centralnymi budynkami wielkim szopom, krytym blachą. Eric zauważył jego spojrzenie.

- Warsztaty. Jeden na każdy blok. Znasz zasadę: zająć więźniom ręce, żeby opróżnić głowy. Płacą nam puszkami sardynek. Ale to ciebie nie dotyczy. Goście przed wyrokiem nie mają prawa pracować.

Eric wyciągnął swoje sękate ramię.

- Za tymi barakami jest boisko do nogi. Potem, jeszcze dalej, wzdłuż bagien, chałupy na palach, które jacyś faceci zdołali zbudować, kupując materiały od strażników. Domki wakacyjne, powiedzmy...

- A te?

Jacques pokazał po prawej trzy niskie, szerokie budowle ze śladami wilgoci.

- Pierwszy to *guian*. Ładują tu tych, co już nie mają za co się szprycować. Jak za bardzo pyskują Raman pakuje ich do drugiego bloku, karceru.

- A trzeci?

- Trzeci to... to...

Eric zawahał się, ale Jacques zrozumiał.

- Pawilon skazańców - powiedział wreszcie brzydał. - Szubienica jest w środku. Zdaje się, że...

Znów zamilkł. Zajął się w skupieniu swymi stropami na stopach. Reverdi odkaszlnął. Korytarz śmierci. Przysiągł sobie, że nie będzie o tym myśleć, i wiedział, że siłą woli do tego doprowadzi. To było jego nowe wyzwanie: żyć do ostatniej sekundy, nie myśląc o śmierci.

Podniósł twarz ku słońcu i poczuł, jak po jego twarzy spływa palące światło. Uśmiechnął się. Wrażenia. Życie.

- A szanse ucieczki? - zapytał, otwierając oczy.

- Żadnych. Z Kanary się nie ucieka.

Pomyślał o powitalnym zdaniu strażników z Auschwitz: „Stąd jest tylko jedno

wyjście, przez komin”. Dla niego to będzie sznur.

Eric mówił dalej:

- Mury mają siedem metrów wysokości. Dwa lata temu goście wdrapali się na nie, przebiwszy się przez dach stołówki. Jeden rozszarpał sobie brzuch na drutach kolczastych. Drugi wbił sobie nogi pod żebra, kiedy spadł na drugą stronę. Ostatniego wydobyli martwego z bagna. Mają tu specjalne psy, które rozróżniają zapachy nawet w wodzie. Sprowadzają je ze Stanów. Coś w rodzaju psich mutantów, przystosowanych do systemu więziennego. Ale nigdy nie są dość szybkie, odnajdują tylko trupy.

Nagle Reverdi zobaczył dziwną scenę. Sto metrów od nich, po lewej, wzdłuż ślepej ściany budynku siedział człowiek o wygolonej czaszce, rzucając krótki cień na cement. Podszedł do innego więźnia, młodego chłopca o długich, czarnych włosach i skórze błyszczącej oliwą kokosową w T-shircie i krótkich spodenkach, tak obcisłych, że widać było zarys jąder. Androginiczne stworzenie wzięło mężczyznę za rękę i obaj znikli pod szarym płótnem.

- Tajowie - skomentował Eric. - Zapomniałem o nich. Sto ringgitów numerek. Zbijają majątek, żeby się potem za to dać zoperować. Mogę ci też przyprowadzić jakąś laskę. Jeden ze strażników je tu przywozi w piątki podczas modlitwy. Jeśli masz ochotę, to...

- Nie. Żadnych kobiet.

Eric dopiero teraz zauważył, że Reverdi jest na piersiach całkiem wygolony.

- Tajowie - szepnął z przykrym grymasem - to może właśnie coś dla ciebie.

- To do nurkowania.

- Co?

- Moja wygolona skóra: to do nurkowania. Żeby kombinezon lepiej przylegał.

Eric chyba przyjął to z ulgą - Jak chcesz szlugów albo skręta, mam różne możliwości, żeby...

- Narkotyków też nie chcę.

- Telefon komórkowy?

- Nie.

Eric zamilkł, trochę zdezorientowany. Reverdi rzucił mu na pocieszenie:

- Kiedy będę czegoś potrzebował, zwrócę się do ciebie.

Francuz obdarował go swoim najpiękniejszym uśmiechem: istna klawiatura fortepianu, z klawiszami białymi i czarnymi. Wstał z miną akwizytora, który właśnie podpisał kontrakt.

W tej samej chwili jakiś inny głos zawołał do Reverdiego:

- *Jumpa!*

Przed nim stał strażnik. *Jumpa!* Jacques podniósł się zdziwiony. Myślał, że nieprędko usłyszy to słowo.

Znaczyło po prostu wizyta.



## 9.

Kiedy tylko wszedł do rozmównicy, zrozumiał, że widzi swojego anioła stróża.

Chińczyk około trzydziestki, wciśnięty w drogi garnitur. Mały, bardzo tłusty, reagujący na tropikalną pożogę lśniącym potem, którym był pokryty jak cienką warstwą pokostu. W prawej ręce trzymał teczkę z czerwonej skóry. W zgiętej lewej trzymał karton papierosów, parę tabliczek czekolady, kolorowe czasopisma. Żadnej wątpliwości: anioł stróż.

Klawisz popchnął Reverdiego w głąb sali. Na tę okazję zaszczycono go stalowymi kajdankami na nadgarstkach i kostkach u nóg. Miał wrażenie, że gra rolę - rolę krwawego mordercy - w którą nie wierzy. Łańcuchy, karabin strażnika, wojskowy rytm kroków: cały ten wojskowy szczyt wydał mu się fałszywy. Folklor, nic więcej. Gdyby zabawił się nagle w prawdziwego mordercę, na przykład zechciał udusić strażnika swymi łańcuchami, ten już by nie żył, zanimby zdołał odbezpieczyć broń.

Rozmównica była długą białą salą z wentylatorami pod sufitem. Stało w niej kilka stołów z siedzeniami po obu stronach. Słońce dochodziło tu przez wysoko umieszczone okrągłe okienka. Cienkie promienie załamywały się w kątach jak fosforyzujące promienie lasera.

Chińczyk położył na stole wszystko, co trzymał w rękach, i podszedł energicznym krokiem.

- Nazywam się Wong-Fat - powiedział po angielsku i na widok kajdan zawahał się, czy podać rękę. - Jestem pańskim adwokatem. Proszę nazywać mnie Jimmy. To moje angielskie imię.

- Nie prosiłem o adwokata.

Jimmy rozłożył ramiona, jakby na znak, że rzecz jest oczywista.

- Jestem wyznaczony z urzędu.

Reverdiego ogarnęło teraz straszliwe przygnębienie. Na myśl o czekającej go komedii - przesłuchaniach, konfrontacjach, wizjach lokalnych, a potem procesowej maskaradzie z malezyjskimi sędziami w białych perukach - żałował niemal, że w Papanie nie doszło do linczu.

Wong-Fat pokazał stół strażnikowi. Klawisz siłą posadził Reverdiego na krześle i przymocował jego kajdany z rąk i nóg do pierścienia osadzonego w podłodze. Chińczyk

tymczasem usiadł po drugiej stronie stołu i przesuwał z miejsca na miejsce teczkę, tabliczki czekolady i karton papierosów.

Jacques przyglądał się swemu rozmówcy. Tacinsynek - powiedział sobie w końcu - wyhodowany na amerykańskich naleśnikach i odsmażanych kluskach. Miał pulchne ręce, paznokcie wymanikiurowane. Pod marynarką koszula od Ralpa Laurena obciskała go jak skórka parówkę. Jechało od niego szykownymi męskimi perfumami, których musiał wylać na siebie z pół butelki. Ze swoją żółtą cerą wyglądał jak figurka z wonnego wosku. Reverdi uśmiechnął się w końcu: jego adwokat przypominał świecę bożonarodzeniową.

Strażnik cofnął się do drzwi, trzymając karabin w garści. Wong-Fat zaczął, aż tamten znajdzie się w sporej odległości, i popchnął przedmioty w stronę więźnia.

- Prezenty.

Reverdi nic nie powiedział. Nie opuścił nawet oczu, by na nie spojrzeć. Chińczyk dodał, wciąż z tym samym śliskim uśmiechem:

- Mam nadzieję, że odpowiada panu cela. Te kretyny chciały pana umieścić na oddziale dla szczególnie niebezpiecznych.

Jacques nie zareagował. Wong-Fat klasnął wesoło w ręce, jakby dawał znak do rozpoczęcia obrad. Położył ostrożnie teczkę przed sobą gładząc jej klapę ze sfatygowanej skóry. Wreszcie dwoma kciukami otworzył złocone zapięcia.

Po sposobie, w jaki dokonał tego małego ceremoniału, Reverdi poznał, jak bardzo Chińczyk był przywiązany do swojej teczki, pewnie pamiątki z czasów studenckich. Prywatne szkoły w Kuala Lumpur. Studia w Anglii. Powrót do KL, gdzie tatuś kupił mu międzynarodową bogatą klientelę. Dlaczego powierzono mu tę sprawę z urzędu?

- Będę z panem szczery - zaczął, pryskając obficie śliną. - Pańska sprawa nie wygląda dobrze. Mam tutaj protokół sporządzony przez policję z Mersingu. Piszą że został pan przyłapany na miejscu przestępstwa. Mam też kopię raportu z sekcji zwłok, dokument sporządzony przez najlepszych patologów w Malezji: dwadzieścia siedem ciosów nożem w ciało...

Jacques wciąż milczał. Od kiedy usiadł, nie poruszył się nawet o milimetr.

- Opisują szczegółowo rany i mówią dosłownie, o „barbarzyństwie”, o „patologicznej zaciekłości”...

Adwokat przerwał, czekając na reakcję swojego klienta. Nie było żadnej. Zaczął mówić dalej, wygrzebując z teczki nowy plik dokumentów.

- Otrzymałem również wyniki analiz Government Chemistry Department w Petalin Jaya. Wyniki są przygniatające. Odciski palców na nożu są pańskie. Krew na pańskim ciele

była krwią ofiary...

Podniósł w górę jakieś inne raporty.

- No i są oczywiście, rybacy z Papanu. Ale podejmuję się odrzucić ich świadectwo. Teraz są za kratami za próbę linczu. - Położył wypielegnowaną rękę na całym stosie akt. - Nie zmienia to faktu, że dossier oskarżenia jest ciężkie, Jacques. Mogę tak pana nazywać, prawda?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, powtórzył już bez uśmiechu:

- Bardzo ciężkie... Z tego punktu widzenia nie ma żadnego sposobu, by uzyskać uniewinnienie.

Reverdi wyczuwał w głosie i w całej postawie prawnika coś w rodzaju podniecenia. Ten młodzik nie był ani zbrzydzone, ani przerażony przestępstwem, którego wypadło mu bronić. Przeciwnie, sprawa zdawała się go fascynować. Jacques'owi przyszło do głowy, że Wong-Fat zgłosił się na ochotnika, żeby zbliżyć się do „potwora”.

- Jest tylko jedno wyjście: powołać się na niepoczytalność. To jedyny sposób uniknięcia kary głównej. Zostanie pan zamknięty dożywotnio. Ale jeśli będzie pan okazywał przejawy ozdrowienia, będą mogli, na podstawie opinii ekspertów, wypuścić pana po jakichś dziesięciu latach.

Reverdi wciąż milczał. Chińczyk odkaszlnął, po czym mówił dalej:

- Pod tym względem pański krótki kryzys w Papanie jest bardzo pozytywny. Tak samo jak pański pobyt w Ipoh. Szkoda, że pan nie pozostał w szpitalu. - Zaciśnął rękę w pięść. - Gdybym złapał chama, który kazał pana przenieść, tobym...

- To ja.

Jimmy wzdrygnął się na dźwięk jego głosu.

- Poprosiłem, żeby mnie przeniesiono do Kanary.

- Nie wiedziałem... Wielka szkoda... Bo można by było powołać się na...

- Nie będę się powoływał na wariactwo. Nie jestem wariatem.

Wong-Fat wybuchnął śmiechem, dosłownie pokładał się ze śmiechu. Nagle zrobił się podobny do niesfornego sztubaka.

- Ale to jedyny sposób uniknięcia szubienicy!

- Słuchaj mnie - przerwał Reverdi (do tej pory nie poruszył nawet jednym ogniwem łańcucha). - Nigdy nie wrócę do Ipoh. Nie potrzebuję leczenia.

Chińczyk zmarszczył brwi.

- Więc co chce pan zrobić? Przyznać się do winy?

- Nie.

- Nie będzie pan przecież mówił, że jest niewinny?

- Nie będę. Nic nie powiem. Niech malezyjski sąd robi swoje. To nie moja sprawa. Zresztą nie będę odpowiadał na żadne pytania.

Jimmy bębnił palcami po swojej starej teczce. Nie spodziewał się takiej reakcji. Jabłko Adama skakało mu jak kulka bilbokieta. Spojrzał spod oka na Reverdiego, po czym zaryzykował znowu.

- Na razie musi mi pan obiecać jedno - powiedział tonem poufnego zwierzenia. - Nie może pan pozwolić nikomu zbliżać się do siebie. Zwłaszcza ludziom z ambasady francuskiej! Zachcą powołać francuskiego adwokata, który zacznie mieszać się do procesu. To będzie miało bardzo zły wpływ na sprawę. Sędziowie malezyjscy są bardzo drażliwi.

Jacques milczał, ale tym razem milczenie mogło ująć za znak zgody.

- I oczywiście - znów się odezwał adwokat - żadnych dziennikarzy. Żadnych oświadczeń, żadnych wywiadów. Im ciszej, tym lepiej. Rozumie pan?

- Już ci powiedziałem. Nie będę mówił. Ani z sędzią. Ani z dziennikarzami. Ani z tobą.

Wong-Fat zeszywniał. Reverdi powiedział innym tonem:

- Chyba że ty mi coś powiesz.

- Przepraszam?

- Jeśli chcesz, żebym ci się zwierzał, musisz najpierw sam zwierzyć się mnie.

- Nie rozumiem, co pan...

- Ćśś... - Reverdi położył palec na ustach. Jego łańcuchy zabrzęczały pierwszy raz.

Chińczyk roześmiał się. Zbyt głośno, zbyt ostentacyjnie: najwyraźniej był zakłopotany.

- Urodziłeś się w Malezji?

Jimmy skinął potakująco głową.

- W jakiej prowincji?

- Perak. Cameron Highlands.

Reverdi znał pewnego Wong-Fata w Cameron Highlands. Czy to możliwe, żeby przypadek...

- Co twój ojciec tam robi?

- Ma farmę hodowlaną.

- Motyle?

- Tak. Ale skąd pan to wie?

Reverdi uśmiechnął się.

- Znam twojego ojca. Był czas, że kupowałem u niego pewne produkty.

Chińczyk wyglądał na zupełnie skołowanego.

- Ja... jakie produkty?

- Pytania to ja stawiam. Wychowywałeś się tam, w puszczy?

- Do piętnastego roku życia - odpowiedział Jimmy niechętnie. - Potem studiowałem w Anglii.

- I wróciłeś do kraju?

- Kiedy miałem dwadzieścia lat. Żeby skończyć prawo w Kuala Lumpur.

- Co potem?

- Wróciłem do domu, do Cameron Highlands.

Ten powrót do dżungli wyglądał jakoś podejrzanie. Cameron Highlands był górskim regionem, bardzo cenionym przez lepsze towarzystwo Kuala Lumpur, ale tylko jako miejsce wypadów weekendowych. Jacques nie wyobrażał sobie, żeby jakiś adwokat miał ochotę zakopać się w puszczy.

- To moje rodzinne strony - dodał Jimmy, jakby domyślał się wątpliwości rozmówcy.

Reverdiemu przyszła do głowy inna myśl. Ten gruby zapóźniony młodzieniaszek wydawał mu się coraz bardziej niewyraźny.

- Włączysz się po okolicy?

- Okolicy?

- Kręcisz się czasem wokół Cameron Highlands?

- Tak i nie. W weekendy...

Jacques poczuł osobliwy zapach. Jakby coś kwaśnego unosiło się nad perfumami Chińczyka. Zapach strachu. Pytał dalej:

- Gdzie jeździsz?

- Na północ.

- Nad tajlandzką granicę?

Jimmy kręcił się na krześle. Zapaszek był coraz wyraźniejszy. Cząsteczki lęku unosiły się w powietrzu. Reverdi naciskał dalej:

- Dlaczego tam?

- Żeby... żeby łowić motyle.

- Jakie motyle?

Jimmy nie odpowiadał. Reverdi podsunął mu:

- Małe, śliczne, ciepłutkie piczki?

- Co? Nie rozumiem, co pan ma na myśli... To absurd.

Chińczyk drżącymi rękami zapiął teczkę. Jacques popatrzył na jego pulchne dłonie i stanął mu przed oczyma taki obraz: grubasek, trochę młodszy, zażywający samotnej rozkoszy po cichu w ojcowskich szopach wśród motyli, skarabeuszy, skorpionów, pośród mrowiących się owadów. Teraz, kiedy to sobie jasno wyobraził, wiedział, że ma Chińczyka w garści, trzyma go w swych myślach jak w pułapce. Powiedział twardo:

- Od lat dziewięćdziesiątych i pojawienia się AIDS Malajowie sprowadzają sobie nad granicę tajlandzką dziewice. Podobno można rozprawiczyć dziewczynkę za pięćset dolarów. Dla takiego dzianego faceta jak ty to żaden wydatek...

- Pan oszalał.

Wong-Fat wstał, ale Reverdi chwycił go za nadgarstek i zmusił, żeby usiadł. Ruch był tak szybki, że strażnik nawet nie drgnął. Jacques powiedział szeptem:

- Nie wmawiaj mi tylko, że to nieprawda! Że nie jeździsz co weekend, żeby przelecieć dzieciaka. Do Keroh, Tanah Hitam, Kampong Kalai. Musisz sobie strzelić. No tak, to jest to, co cię kręci: załatwiać bez kondomu takie małe cukiereczki!

Adwokat milczał. Uciekał wzrokiem, szukał schronienia gdzieś pod stołem. Reverdi powoli ujął go za rękę i powiedział łagodnie:

- Nie powinieneś niczego żałować. Nigdy.

Chińczyk podniósł wzrok. Wielkie łzy spływały mu po policzkach.

- Znasz to zdanie Rinzai Roku? „Jeśli spotkasz Buddę, zabij go. Jeśli spotkasz rodziców, zabij ich. Jeśli spotkasz swojego przodka, zabij swojego przodka! Dopiero wtedy będziesz wolny!”. Musisz wszystko przyjąć za swoje. Nigdy niczego się nie wstydić, rozumiesz?

W żrenicach Jimmy'ego błysnęła ulga. Po to właśnie tu przyszedł: nie chciał być sam na sam ze złem.

Jacques milczał przez minutę w kompletnej ciszy, żeby pozwolić tamtemu odetchnąć, po czym odezwał się:

- Teraz moja kolej.

Chińczyk poruszył się na krześle. Chyba ulżyło mu, że już nie będą mówić o nim.

- Wstań i przejdź za mnie.

Z wielkim wahaniem Wong-Fat posłuchał. Strażnik wyprostował się. Przyglądał im się bardzo uważnie. Jimmy zrobił w jego kierunku uspokajający gest.

- Spójrz na mój kark.

Słyszał przerywany, zduszony oddech stojącego za nim mężczyzny. Czuł ciężki, lepki zapach jego potu. Prawem kontrastu rozkoszował się swoją suchością. Jego skóra nie pociła

się. Strzyżone na jeża włosy nie lepiły się. Należał do świata mineralnego.

- Co widzisz?

- Ja... widzę ślad.

- Jaki ślad?

- Krechę. Coś w rodzaju blizny, miejsce, gdzie włosy nie rosną.

- Jaki kształt ma ta blizna?

Milczenie. Domyślał się, że Chińczyk, pochylony nad jego karkiem, dobiera starannie słowa.

- Powiedziałbym... że to pętla, spirala.

- Wróć tu i siadaj.

Jimmy znów usiadł na krześle, wyglądał na spokojniejszego. Reverdi odezwał się swoim najpoważniejszym głosem, tym, który przybierał na kursach nurkowania:

- To nie jest blizna. Nie w tym sensie, jaki masz na myśli. Nie było zewnętrznej rany.

To jest pelada.

- Pelada?

- Po szoku psychicznym włosy w pewnym miejscu czaszki nie odrastają. Skóra zachowuje ślad urazu.

- Jakiego... jakiego urazu?

Reverdi uśmiechnął się.

- Tego zwierzenia nie ma w dzisiejszym programie. Powinieneś zrozumieć tylko tyle, że coś mi się stało, kiedy byłem dzieckiem. Od tego czasu mam wypisany na skórze ten rysunek. Pętla przypominająca odwłok skorpiona.

Chińczyk słuchał z otwartymi ustami. Jego grdyka już się nie poruszała - zapomniał o przełykaniu śliny.

- Każdy inny postarałby się zapuścić włosy, żeby zasłonić ten znak. Ja nie. Osłabia tylko taka rana, którą się skrywa.

Wong-Fat wciąż wpatrywał się w niego. Mrugał bardzo szybko powiekami, jakby oślepiła go lampa.

- Moja rana nie jest oznaką słabości. Ani kalectwa. To znak mocy, którą wszyscy mają widzieć, z którą każdy musi się pogodzić. Niczego nigdy nie ukrywaj, Jimmy. Ani swych pragnień, ani swych grzechów. Twoje zboczenie, twoja skłonność do dziewczyc to jest ślad, jaki zostawiasz na świecie.

Reverdi zamilkł znowu, widział, że Jimmy jest wniebowzięty. Potem machnął w powietrzu kajdanami i powiedział już mniej uroczyście:

- Jeśli chcesz być moim przyjacielem, wyrzuć wstyd z serca. I nie mów więcej ze mną tym protekcyjnym tonem. I nie objaśniaj mi już praw swojego kraju. Jeszcze cię na świecie nie było, kiedy ja już nurkowałem z rybakami kłusownikami w okolicach Penangu. A zwłaszcza nigdy mi nie wspominaj o chorobie psychicznej.

Ryknął:

- *Warden!* (Strażnik!). - I dodał cicho, jakby podawał chłopakowi otwarty owoc mango: - Możesz zabrać papierosy. Nie palę.



## 10.

W swojej bibliotece nie znalazł tego, czego szukał.

Próbował teraz szczęścia w archiwum „Le Limier”.

Było to ogromne pomieszczenie, istny labirynt. Grupa wydawnicza, będąca właścicielem gazety, kupiła kilka kompletów starych pism, sięgających początków dwudziestego wieku. Na pozór te korytarze, wzdłuż których ciągnęły się metalowe regały, wyglądały jak skład umów ubezpieczeniowych albo dokumentów opieki społecznej. W rzeczywistości zawierały wiadomości o najróżniejszych zbrodniach ludzkości: morderstwach, gwałtach, kazirodztwach. Wszystkie możliwe obrzydlistwa były starannie poklasyfikowane według lat, numerów gazet, kategorii.

Marc często przychodził tu pracować, zwłaszcza kiedy w „Le Limier” redagował „Czarne strony historii”, dział poświęcony zbrodniom dokonany w przeszłości. Do sali archiwalnej przylegał pokój do pracy, w którym stało kilka biurek i ekspres do kawy. Prawdziwa biblioteka.

Ale kluczowym elementem każdej kwerendy był Jérôme, archiwista firmy, który sprawiał wrażenie, jakby go kupiono razem z rocznikami gazet. Marc nie znał nawet jego nazwiska. Facet zachowywał się tak, jakby sam we własnej osobie był świadkiem wszystkich procesów i śledztw nagromadzonych w tej sali. Znał każde nazwisko, każdą datę. Fizycznie wyglądał na karykaturę. Bez wieku, bez znaków szczególnych, miał na sobie zawsze, niezależnie od pory roku, kilka swetrów jeden na drugim.

Cebulka z wełny i nylonu. Zapytany przez Marca, bez wahania podpowiedział mu, gdzie ma szukać.

Idąc w ten poniedziałkowy poranek wzdłuż żelaznych alejek, Marc myślał o swoim ostatnim weekendzie. Przez cały czas głowił się nad Reverdim. Zabójca kompulsywny. Dzikie zwierzę. Uwodziciel. Kobięciarz... W głowie kłębiły mu się słowa wypowiedziane przez Ericha Schreckera i małą Kambodżankę. Na pewno mieli rację, ale on był przekonany, że na razie nikt nie zna prawdy o tym człowieku i jego czynach.

W piątek wypichcił kolejny artykuł, głównie zresztą o wydarzeniach w Kambodży w roku 1997. Ale nie obchodziło go już napisanie ciekawego artykułu czy wyszukanie „bomby” dla Verghensa. Narastało w nim nieodparte przekonanie, że Jacques Reverdi to wcielenie Zła,

że dąży on do jakiegoś tajemniczego celu. Że jest jednym z tych czystych diamentów, których Marc szuka od tak dawna. Mordercą który dzięki pracy duchowej zdołał zobaczyć z całą jasnością swoją nerwicę i może mu ukazać w całej przejrzystości oblicze zbrodni.

Przez dwa dni siedział zamknięty w pracowni, zatopiony w dokumentacji. Wycinki prasowe, zdjęcia, biografie, strony internetowe - przewertował wszystko. Mógł recytować z pamięci całe kawałki tej literatury. Ale wszystkie fakty, reportaże, komentarze, pochwały pochodziły zawsze z „pozytywnego” okresu życia Reverdiego. Wywiad przeprowadzony przez Pisaï był natomiast płaski jak powierzchnia morza w bezwietrzny dzień.

W niedzielę wieczorem, umordowany po czterdziestu ośmiu godzinach daremnych poszukiwań, doszedł do wniosku, że przede wszystkim musi zbliżyć się do mordercy. Za wszelką cenę wydusić z niego wywiad.

To jedyny sposób, żeby dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, jeszcze niezupełnie jasny, ale zasługujący na uwagę. Marc zatrzymał się w kolejnej alejce: właśnie zauważył regał, którego szukał. Sięgnął na półkę i wyjął stary numer „Le Limier”. Przerzucił na stojąco gazetę i znalazł artykuł, który chciał sobie przypomnieć.

Był to reportaż na temat korespondencji więźniów z osobami z zewnątrz. Marc nie interesował się bliżej tym problemem, wiedział tylko, że seryjni mordercy otrzymują dużo listów: obelgi, wezwania do skruchy, wyrazy współczucia, a także wiersze, oświadczenia miłosne, tyrady wyrażające podziw... Przeglądając artykuł, przypominał sobie liczby i fakty. Taki zabójca jak Guy George otrzymywał podczas swego procesu do stu listów dziennie. Mało tego: mordercy amerykańscy zakładali własne strony internetowe - Charles Manson miał bardzo rozbudowaną stronę - gdzie sprzedawali swoje zdjęcia z dedykacjami albo obrazy, szkice, teksty, a nawet poematy swojego autorstwa.

Ale reportaż mówił nie tylko o gwiazdach. Wszyscy więźniowie marzyli o jakimkolwiek kontakcie. Korespondencja więzienna była światem samym dla siebie. Sferą porozumienia, organizowaną najczęściej przez wyspecjalizowane w tym stowarzyszenia charytatywne. We Francji nosiły one takie nazwy jak „Poczta Boveï”, „Genepi”, „Przyjaźń bez twarzy”... Przechodziło tą drogą tysiące listów. Organizacje przezornie doradzały zawsze ochotnikom, by używali pseudonimów i podawali adres miejsca pracy, a nie domowy. Było też zatręsenie ogłoszeń w gazetach. Na przykład rubryka „Uczucia w cieniu” w tygodniku „L’Itinérant” publikowała prośby więźniów poszukujących bądź zwykłej korespondentki, bądź towarzyszkę życia lub siostrzanej duszy.

Siostrzana dusza.

Właśnie ten temat interesował Marca. Z korespondencji tego rodzaju zrodziło się mnóstwo idylli. Dwie liczby charakteryzowały sytuację: w więzieniach dziewięćdziesiąt procent korespondentów było mężczyznami, wśród piszących spoza murów osiemdziesiąt procent stanowiły kobiety. Listy bardzo szybko przybierały charakter miłosnych wynurzeń i nawet niekiedy kończyły się zawieraniem małżeństwa po wyjściu na wolność lub jeszcze w pudle.

Była więc miłość.

I był seks.

Kobiety, które pisały do więźniów, oczekiwały, że w odpowiedziach pojawią się, wyrażone jasno lub między wierszami, fantazmaty więźniów. Dla nich zaś kontakt epistolarny stawał się erzacem stosunku fizycznego.

Marc czytał dalej z wypiekami na twarzy. Pamiętał z poprzedniej lektury, że niektóre sprawy tego rodzaju przybierały dość nieprzyjemny obrót. Więźniowie są łatwymi ofiarami. Bywają wśród nich twardziele, kryminaliści nieufający nikomu, ale także ludzie, których zabija nuda i samotność.

Na przykład we Francji pewna kobieta swymi zmysłowymi listami do tego stopnia rozpałała więźnia, że skłoniła go do ujawnienia skrywanych pragnień. Te pornograficzne zabawy zaniepokoiły dyrekcję więzienia, która wykryła, że kobieta była w rzeczywistości zamężna. Listy pisała razem z mężem, a potem wraz z nim podniecała się lekturą odpowiedzi...

W Stanach Zjednoczonych takie oszustwa bywały wykorzystywane finansowo. W więzieniach Florydy i Kalifornii niektórzy więźniowie utrzymywali miłosną korespondencję, której temperatura rosła z każdym nowym listem. Wkrótce ich partnerki proponowały im, za pieniądze, swoje ostre zdjęcia. Faceci płacili, po czym ociekając potem i spermą oglądali zdjęcia kobiet, które, jak im się zdawało, znali z listów. W rzeczywistości te korespondentki nie istniały: to kierowana przez grupę cwaniaczków sieć handlu pornografią znalazła taki sposób dodania smaku swym standardowym fotografom i podbicia ich ceny.

Twardziele, kryminaliści.

Ale także ludzie chorzy z nudy i samotności.

Marc złożył gazetę i poszedł do kopiarki. Miał w uszach głosik Pisań: „Babiarz. Jeśli chce wywiad, niech pośle kumpelkę”. Stanął przy maszynie i zaczął kopiować reportaż, stronica po stronicy, nawet nie opuszczając pokrywy fotokopiarki.

W miarę jak światło maszyny błyskało mu w twarz, jego plan stawał się coraz bardziej konkretny. Nagle jego myśl uczepiła się kilku sylab.

Elisabeth.

Takie imię obierze.

# 11.

Na castingi Chadidza miała swój sposób: filozofię.

Czekając w salach śmierdzących mieszaniną zapachu petów i perfum, pełnych pokasywania i niemych modłów, powtarzała w myślach treść wykładów. Kiedy zostawiano ją z innymi w pokoju bez okien, gdzie całym umeblowaniem było parę kiwających się krzeseł, powtarzała w pamięci, co Spinoza pisał o „trzech poznaniach”. Kiedy poddawano ją zwyczajowym oględzinom anatomicznym, przypominała sobie dialektykę „pana i niewolnika” u Hegla. A kiedy proszono ją żeby przeszła się do biura dyrektora castingu, myślała o Nietzschem i jego woli mocy. W takich chwilach skupienia udawało jej się zapomnieć, że jest tylko ciepłym mięsem i niczym więcej. Nawet jeśli to mięso pretendowało do pozycji najdroższego w Paryżu.

Dziś rozmyślała o jednym z rozdziałów swojej pracy doktorskiej na temat kazirodztwa. Claude Lévi-Strauss stwierdzał w *Elementarnych strukturach pokrewieństwa*, że jedyną wspólną cechą społeczeństw ludzkich i zwierzęcych, jedynym punktem zbieżnym między naturą a kulturą jest zakaz kazirodztwa. Jest to prawo społeczne, a zarazem powszechne.

Chadidza zainteresowała się szczególnie tą analizą. Bo etnolog mylił się: zdawał się nie wiedzieć, że starożytne społeczeństwa, i to również najbardziej znane, zachęcały do stosunków między krewnymi. W dynastiach egipskich na przykład łączyli się ze sobą bracia i siostry, synowie i matki. Był to sposób na ochronę świętej krwi królów. Różne myśli przychodziły jej do głowy na ten temat, ale nie miała ze sobą nic do pisania. Westchnęła, zamknęła książkę i rozejrzała się wśród otaczających ją dziewcząt.

Było tu całe zwykłe towarzystwo: „Zjednoczone Anorektyczki”, „Cygańskie Bimbo”, „Jaskółki Wschodu”... Jak za każdym razem przemknęła jej przez głowę rozsądna myśl: co ona tu, do cholery, robi? Odpowiedź była prosta: forsa. Kiedy się jest dwudziestodwuletnią Francuzką pochodzenia algiersko-egipskiego, kiedy się wychowało na osiedlu Banan w podparyskim Gennevilliers i ma się, chociaż wyrosło się na diecie czysto makaronowej, metr siedemdziesiąt dziewięć wzrostu przy wadze pięćdziesięciu siedmiu kilo, nie ma co się zastanawiać, trzeba próbować szczęścia. Na myśl, że mogłaby zarabiać tysiące euro dzięki swemu obwodowi w biodrach i chmurnemu spojrzeniu, ogarniała ją po prostu popolita

pycha. Za nic nie przepuściłaby takiej okazji.

Machinalnie przerzucała kartki swej teki sfinansowanej przez agencję „Alicja”, która wspierała ją w tej krucjacie. Nienadzwyczajne te zdjęcia... A może nienadzwyczajny model? Ta dziewczyna o matowej cerze i ciemnych lokach, która usiłuje wyglądać naturalnie na błyszczącym papierze fotograficznym. Mimo wszystko Chadidża lubiła swoją powierzchowność. Obnosiła swoją śniadą cerę niczym wielką płachtę z jedwabistej mory, w którą drapowała się, marząc o pustyni. Lubiała tę twarz o ostrych rysach, twarz dziwną przez którą w dzieciństwie uchodziła za brzydulę i której uroda wynurzyła się nagle we wczesnej młodości niczym wyspa wulkaniczna ze spokojnego morza. A zwłaszcza lubiła swoje lekko asymetryczne spojrzenie, czarne źrenice obwiedzione złotem, ukryte pod zbyt gęstymi brwiami. Czasem z rana, kiedy widziała się w lustrze, uderzała ją myśl: jak Paryż mógł dotąd obywać się bez niej?

Dziś czuła się nieswojo. Castingowa trema? Nie. Takich spotkań miała za sobą co najmniej trzydzieści i była opancerzona. Zakłopotanie wobec innych dziewcząt? Też nie. Była przyzwyczajona do towarzystwa tych wspaniałych żoź i ich taksujących spojrzeń. Chodziło o coś innego. O jakiś nieświadomiony drobiazg tkwiący w niej gdzieś głęboko i niedający spokoju. Przyjrzała się po kolei wszystkim kandydatkom i zwróciła uwagę na gładko zaczesaną blondynkę o wprost zjawiskowej urodzie, wyglądającą na anemicznego anioła.

Pomyślała o tych postaciach z filmów SF, trupio białych, szukających nowej planety, bo ich dotychczasowa traci energię. Pod eterycznym łukiem brwi zauważyła błękitną gwiazdę: źrenicę. Kobaltowy znak przypominający zadraśnięcie, ranę w niebie.

Poczuła, że mdli ją coraz bardziej. To ta blondynka ją niepokoiła. Pod makijażem dostrzegła ostrzegawcze sygnały: fioletowo podkrążone oczy, wilgotny nos, nisko opuszczone powieki. Naszprycowana, pomyślała Chadidża. Narkomanka siedziała o kilka centymetrów od niej i patrzyła na nią niewidzącym wzrokiem, pomiędzy jednym a drugim nerwowym drgnięciem warg.

Chadidża odwróciła wzrok i próbowała skupić się na książce, ale było za późno. Wspomnienia już napływały.

Gennevilliers, Banan.

Trzy pokoje wypełnione wrzaskiem.

Rozpaczliwe telefony na pogotowie.

I jej rodzice.

Ich długie dzieje zatrute heroiną.

Narkotyki były jej kolebką.

Łóżem, w którym została poczęta.

Nie umiałyby powiedzieć dokładnie, kiedy i jak zdała sobie z tego sprawę. To była rzeczywistość, choroba, która objawiła jej się stopniowo. W wieku pięciu lat musiała się przyzwyczaić do nieregularnych posiłków, do czekania w nieskończoność na dziedzińcu szkolnym. Musiała się przystosować do tajemniczego zegara, który zdawał się rządzić jej życiem rodzinnym. Zegara o miękkich wskazówkach, które ustanawiały własny czas, ciąg chwil pozbawiony wszelkiej logiki. Rodzice jedli kolację o drugiej nad ranem. Znikali na kilka dni, po czym wracali, żeby spać przez dwadzieścia cztery godziny.

Ale zwłaszcza musiała oswoić strach. Nieustanną groźbę kryzysów, ataków gniewu, bicia. Przemoc, która wybuchała nie wiedząc kiedy i ustawała całkiem nieoczekiwanie. I wciąż to niejasne poczucie, że źródło zła leży gdzie indziej. Dorastając, Chadidża zrozumiała w końcu, że przyczyną tych wszystkich smutnych rzeczy była „choroba” taty i mamy. Ta przypadłość, która kazała im robić sobie zastrzyki, wychodzić pośpiesznie nocami i od czasu do czasu spędzać kilka tygodni w szpitalu.

Chadidża miała dziewięć lat, kiedy jej spojrzenie na rodziców zmieniło się. Zapomniała o swych lękach, żalach, milczących gniewach, górę wzięło serdeczne zatroskanie. Cięgi, wymyślenia były niesprawiedliwe, zwłaszcza wobec czteroletniego braciszka i dwóch sióstr, sześć- i siedmioletniej, ale to nie była niczyja wina. Jej rodzice byli więźniami. Byli zarażeni i po prawdzie nie byli naprawdę dorośli.

Chadidża wzięła sprawy w swoje ręce. Jako najstarsza córka zaprowadziła w domu ład i porządek, których sama dotąd nigdy nie zaznała. To ona teraz chodziła odbierać rodzeństwo ze szkoły, przygotowywała im kolację, pomagała odrobić lekcje i czytała bajki przed snem. To ona podpisywała szkolne dzienniczki, wypełniała ankiety pomocy społecznej, odpowiadała za wszystko, co było w domu do przeczytania lub napisania. Wkrótce to ona, dziesięciolatka, chodziła na drugi koniec Gennevilliers po działki dla swoich rodziców, tak jak inne dzieci biegają do piekarni po bułki.

Została ekspertem. Zwłaszcza od przygotowywania szpryc. Rozpuścić heroinę w wodzie. Zagrzać tę mieszanekę, żeby ją oczyścić. Dodać kroplę soku z cytryny albo octu, żeby lepiej rozpuścić narkotyk. Wprowadzić to wszystko do strzykawki, przefiltrowawszy uprzednio przez wacik, by żaden pyłek się tam nie dostał. Inne dzieci uczą się przepisu na ciasto biszkoptowe, ona - na przyrządzenie heroiny. Albo *crack*, zależnie od okresu.

Uważała się za pielęgniarkę. Miała obsesję na punkcie aseptyczności. Stale pucowała łazienkę, kuchnię, ubikację - wszystkie źródła wody. Dezynfekowała każdy ich milimetr

alkoholem, kombinowała, by w apteczce zawsze był zapas strzykawek. Wiedziała też, gdzie wkłuwać się rodzicom. Żyły na rękach mieli już od dawna zbyt stwardniałe, żeby można było wbić igłę: blizny, strupy, ropnie... Trzeba było szukać innych miejsc. Wkłuwała się w stopę, pod język, w przestrzeń śródmięśniową.

Tajemny ogród Chadidży otwierał się o jedenastej wieczór, kiedy wszystkie obowiązki rodzinne były już wypełnione. Dopiero wtedy brała się do odrabiania lekcji. To było to, co lubiła najbardziej. Jeszcze dziś pamiętała swoje kolorowe zeszyty, szmer długopisu sunącego po stronicy w niebieską kratkę. Jedyna słodycz jej życia. Oaza pośród koszmaru.

Lata mijały. Sytuacja pogarszała się. W wieku dwunastu lat Chadidża zrozumiała, że słowo „narkotyk” jest absolutnym przeciwieństwem słowa „nadzieja”. Z heroiną można było tylko spaść jeszcze niżej, stoczyć się, zejść na dno - aż do śmierci. Kolejne pobyty w szpitalach. Coraz częściej. Szczęściem nigdy matka i ojciec nie byli w szpitalu jednocześnie. W przeciwnym razie czwórka dzieci zostałaby rozesłana do przytułków. Kiedy jedno z rodziców wracało z odwyku, miała trochę oddechu. Ale choroba wracała i szaleństwo się pogłębiało.

W wieku czternastu lat Chadidża prowadziła walkę z czasem. Jeszcze cztery lata i będzie pełnoletnia. Modliła się co rano, by jej starzy nie umarli ani nie zwariowali przed tym terminem. Dowiedziała się już, co ma zrobić, by zostać prawną opiekunką brata i sióstr. Była gotowa. Ani przez chwilę nie miała wątpliwości, że to wszystko może się skończyć katastrofą. Ale wyobrażała sobie stopniowe staczanie się, powolne wygasanie.

Czekała ją apokalipsa.

Skończyła szesnaście lat. Właśnie poszła do pierwszej licealnej. To się stało jesienią ale ona dotąd nie chciała sobie przypomnieć daty. Tej nocy, kiedy spała, koszmar stał się rzeczywistością. Zdała sobie nagle sprawę, że czuje jakiś bardzo mocny odór. Zapach ognia, który był zawsze jej obsesją a teraz czuła go gdzieś tu, całkiem blisko. Kiedy otworzyła oczy, nie zobaczyła nic. Gęsta ciemność wypełniała pokój. Nie rozumiejąc, co się dzieje, wyszeptała: „popielniczki”, i od razu wiedziała, że jej rodzice są zgubieni.

Zerwała się z łóżka i po omacku zaczęła szarpać brata i siostry którzy spali koło niej. Ich ciała były nieruchome, jakby przeszły bezpośrednio ze snu w śmierć. Chadidża ryczała, biła ich, podnosiła, aż zdołała wyrwać z zaczadzenia. Otworzyła okna, kazała im zostać tu, oddychać i nie ruszać się.

Wyszła i wślizgnęła się w ciemność korytarza. Ledwie dotykając rozprażonych ścian, posuwała się do sypialni rodziców. Zataczała się, jej ciało dygotało w żarze, ale głowa



pracowała sprawnie. Już nie była w terażniejszości: przeniosła się w przyszłość. Przysięgła sobie, głęboko w duszy, że nigdy nie pozwoli się rozdzielić ze swoimi, z „małymi”.

Czy drzwi były naprawdę rozpalone do czerwoności jak we wspomnieniu? Nie. To była deformacja pamięci. Zresztą otworzyła je uderzeniem barku i nawet się nie oparzyła. Za to w środku płomienie zataczały wściekłe koła. Ojciec siedział na łóżku, płonął żywcem i jakby nie zważając na ogień, który zżerał mu twarz. Z ramieniem wyciągniętym po działkę, nie poruszał się. Przedawkowanie. Zapalony papieros dokonał reszty.

Chadidża wypatrywała matki. Dostrzegła ją: siedziała przytulona do męża, z włosami trzaskającymi w ogniu. Powiedziała sobie: „Nic nie czuli, nie cierpieli”, i właśnie w tym momencie ich ciała zapadły się, zagłębiły we wnętrze łóżka, tracąc swój materialny kształt. A może to była halucynacja, jeszcze jedna deformacja tego, co widziała przez łzy i płomienie... Jak i ten ostatni obraz, który stał się torturą jej pamięci: wyciągnięte ramię ojca odrywa się od torsu i pada na podłogę, niczym polano w głębi paleniska.

Kiedy się ocknęła, leżała na łóżku szpitalnym i oddychała przez przezroczystą maskę. Lekarz przemawiał do niej afektowanym tonem. Jej brat i siostry uszli z życiem, ale to ona musi zidentyfikować ciała rodziców. Jest najstarsza, prawda? Dwa dni później otwarto przed nią szufladę chłodni. Leżeli objęci. Nie mogli się rozstać. Dwie czarniawe masy szczipione ze sobą siecią stopionych włókien.

Chadidża wybuchła płaczem na widok tych zwęglonych trupów. Dostała prawdziwego ataku nerwowego. Wyniesiono ją pocieszano, obsypywano pokrzepiającymi słowami. Ale ją zalała nienawiść. Wściekłość, rozgoryczenie gromadzące się w niej od tak dawna wreszcie wybuchły. Zdwojona furia na widok tych niemożliwych do rozpoznania kształtów. Znowu nie podlegali żadnemu osądowi, żadnemu oskarżeniu. Zostawili ją samą na świecie i do tego uniknęli wszelkiej odpowiedzialności. Kurwy! Łajdaki! Uspokoiła się w korytarzu kostnicy. Pamiętała jeszcze głos lekarza. Właśnie głos, nie twarz. Łagodny głos, który nawoływał ją do spokoju. Wciąż ten gówniarski ton. I czezość słów.

Myślała, że skończyła już z tymi dwoma potworami. Myliła się. Psycholog uprzedził ją: taki szok - mówił o „krwiaku uczuciowym” - nie ustępuje łatwo. Miał rację. Choć nie zdawała sobie z tego sprawy, ogień wszedł w nią na dobre. Przede wszystkim - była poparzona. Nawet nie zauważyła, kiedy to się stało. Skóra na jej lewym przedramieniu długo wyglądała jak skóra żółwia, pomarszczona, mineralnej barwy. Ale była też spalona wewnętrznie. Ogień powracał co noc. Ojciec patrzył na nią płonącymi źrenicami. I jego ramię odpadało, znowu i znowu, rozbijając jej sny, miażdżąc brzuch. Nikt tego nie widział, ale ona płonęła żywcem. Chadidża była przez całe lata przekonana, że należy do pokolenia

poatomowego, jak napromieniowani z Hiroszimy, poparzeni aż do genów, zdolni rodzić tylko raka i okaleczone dzieci.

Ogień poczynił też inne szkody. Miała szesnaście lat: nie mogła uzyskać prawa do opieki nad rodzeństwem. Złożyła podanie o przyznanie jej wcześniejszej pełnoletności. Odmowa. Dzieci znalazły się w różnych ośrodkach. Chadidża uparła się: przez dwa lata co weekend pędziła do Trappes, gdzie przebywał jej brat, potem do Melun, gdzie mieszkały siostry. Nic to nie dawało. Kiedy skończyła wreszcie osiemnaście lat, byli już sobie obcy. Nie przyznając się do tego, każde rozumiało, że te spotkania przywołują tylko najgorsze wspomnienia. Bicie. Narkotyki. Pożar. I dwoje oprawców, którzy zniszczyli im dzieciństwo.

Chadidża pozostawiła rodzeństwo własnemu losowi. Dla ich dobra. Choć skończyło się jak najgorzej. Ostatni raz widziała Samira, swojego młodszego brata, w rozmównicy więzienia Fresnes, gdzie osadzono go za włamanie do szpitala. Przez całą wizytę mówił jej tylko o więziennym konkursie rapu, w którym wziął udział. Chadidża nie słuchała: obserwowała go i na próżno szukała na tej chamskiej twarzy śladów małego Samira, którego kochała, pieściła, chroniła, tego, któremu zawsze brakowało przynajmniej jednego zęba i którego nazywała swoim „maleńkim kochanym serkiem”. Wyszła z rozmównicy, ze świadomością że już tu nie wróci.

Ściana ognia zamykała się za nią.

Jakiś głos ją zawołał. Chadidża zamrużyła powiekami: sala była do połowy pusta. Chwiejąc się na nogach, wciąż jeszcze pogrążona we wspomnieniach, poszła za asystentką. Gabinet, gdzie przeprowadzano rozmowę, nie wyglądał lepiej od poczekalni: stopy teczek, byle jakie umeblowanie, odór wystygłego dymu tytoniowego.

Za stołem w podkowę dwaj faceci w baseballówkach rozmawiali ze sobą po cichu, rozparci w fotelach, oglądając rozrzucone przed nimi odbitki. Przypominali dwóch wycieńczonych onanizmem chłopaczków, przeglądających zszywki starych „Playboyów”. Chadidża trzymała w ręku swoje portfolio i nie odzywała się - już dawno nauczyła się nie strzepić języka po próżnicy.

Mężczyźni wzięli się do oglądania jej zdjęć. Widziała tylko daszki ich czapeczek. Na jednej widniały splecione litery „N” i „Y”, skrót od New York. Na drugiej - logo piwa Budweiser. W świecie mody, na pewnym poziomie, styl „równiacha” jest dobry na wszystko. Zastępuje ironię w obszarze wypranym z humoru.

Faceci w końcu zarechotali. Chadidża wzdrygnęła się.

- O co chodzi?

Jeden z nich podniósł głowę: opalona twarz, trzydniowy zarost. Chwycił jedną z

odbitek sterczących z portfolio i przeczytał nazwisko wypisane na odwrocie:

- Twoje zdjęcia jakoś nie powalają Adidza.

- „Cha-di-dża” - powiedziała, kładąc akcent na pierwszej sylabie. - Wymawia się „Cha-di-dża”.

- Taa, no dobra - westchnął tamten, drapiąc się po karku. - Ale wiesz, twoja teczka troszkę trąci myszką...

- Co do niej macie?

- Kadrowanie, makijaż, ty sama. Wszystko.

Chadidza czuła, jak ogień wraca, trzaska jej pod skórą - Co mam zrobić?

- Zmień fotografa.

- To moja agencja go poleciła...

- No to agencję też zmień. Masz jakiś pomysł na brwi?

- Brwi?

- Wytlumaczę ci: są maszynki, jest wosk, są pęsetki do depilacji. Tak czy inaczej, nie możesz chodzić z tą puszcza nad oczami.

Gość już się nie śmiał. W jego głosie czuć było znudzenie. Chadidza była pewnie od rana pięćdziesiątą dziewczyną nad którą się znęcał. Ten drugi, obok niego, przerzucał wciąż fotografie, szeleszcząc kartami teki.

Coś błysnęło jej w głowie: zobaczyła swego ojca, zwiniętego na kanapie w salonie, szeleszczącego stronicami magazynów w ten sam sposób, ze znieruchomiłym wzrokiem, czekającego na godzinę, kiedy będzie mógł przyjąć swoją działkę...

Ta wizja przywróciła jej osobowość. Uśmiechnęła się i zabrała swoje portfolio. Była bardziej niż kiedykolwiek zdecydowana spodobać się im, uwieść ich.

Wygra z nimi na ich własnym terenie.

Wkrótce to oni będą płonąć z pożądania.

A żagwią będzie jej ciało.

## 12.

Dni miały, ale rytm dnia się nie zmieniał.

Piąta rano, pobudka.

Przez okienko widać było granatową noc. Wspiąwszy się na palce, Jacques mógł zobaczyć inne budynki. Światła drgały w oknach. Zaczynały dochodzić pierwsze dźwięki - pokasztywania, oddawanie moczu, pluskanie wody w umywalkach. Szmer narastał z początku jeszcze nieśmiały, ale przetykany brzękaniem, urywanymi burknięciami, krzykami. Ogromne zwierzę budziło się.

Szósta, światło.

Anemiczny blask żarówek sześćdziesięciowatowych. Pod powiekami ból jak od rany. Jako kontrpunkt - kroki klawiszy chodzących wzdłuż korytarza, kopiących w drzwi, przemierzających dziedziniec. To była godzina mdłości. Stopniowo Jacques uświadamiał sobie kolejne wrażenia. Nieznośne.

Zbyt bliskie ściany. Duszny upał. Galop karaluchów wzdłuż posłania. I smrody. Kanara, mimo wszystkich wysiłków zmierzających do utrzymania jej w czystości, była jedną wielką zgnilizną. Każdy kamień, każda płyta podłogi, każda szpara była przesycona wilgocią. Nawet w samym środku suchej pory roku materiały przechowywały w pamięci monsun.

Do tego dochodziły inne smrody: uryna, kał, pot... Cały bukiet organicznych wydzielin, które zdawały się puszyć, rozpierać między ścianami. Niedługo potem przychodziła kolej na wyziewy żarcia. Ciężkie, tłuste, leniwe. Śniadanie było już w drodze. Ale trzeba było jeszcze przejść parę prób.

Siódma.

Apel.

Choroba więzień. Rytuał apelu - po malajsku *muster* - powtarzał się pięć razy dziennie. To nie była właściwie kontrola, lecz zaklinanie. Jakby litania numerów mogła nie dopuścić do żadnej nieobecności, żadnej próby ucieczki.

Suchy trzask rygli. Zgrzyt drzwi. Głuchy łoskot kroków. Te dźwięki stawały się z czasem tak swojskie, tak bliskie jak bicie własnego serca. Zgromadzenie na wielkim dziedzińcu. Na widok tych wszystkich ludzi Reverdiemu jeszcze bardziej zbierało się na mdłości. Dwa tysiące więźniów walających się po ziemi jak zmięte papierzyska,

sprowadzonych do rangi numerów.

Siódma trzydzieści.

Hymn narodowy na słońcu.

Potem śniadanie, nareszcie. Więźniowie rozchodzili się, żeby znów się zebrać w długiej kolejce wzdłuż budynku stołówki. Następnie całe mrowisko rozprasało się po dziedzińcu - małe gromadki skupione nad poranną breją.

Jacques korzystał z tej chwili, by pobiec do więziennej toalety. Uzbrojony w swój *gayong* (plastikowe pudełko z mydłem, pastą do zębów i przyborami do golenia), przewiesiwszy przez ramię świeży ręcznik i T-shirt, zniknął w budynku odległym o trzysta metrów od stołówki. Reverdi miał w celi własny prysznic, ale lubił to miejsce pod otwartym niebem, tę chwilę samotności pośród wielkich cystern z wodą. Odpowiadała na jego osobisty apel. Apel wody...

Ósma.

Zaczynały się prace obowiązkowe.

Bywały różne, zależnie od tygodnia. Teraz, pod koniec lutego, trzeba było zdrapywać rdzę z bram i krat więzienia, zanim robotnicy z wyspecjalizowanej firmy pokryją je substancją ochronną. Z twarzą osłoniętą szmatą „ochotnicy” drapali, skrobali, piłowali i sypiące się opiłki żelaza zamieniały ich stopniowo w metalowe sztaby.

Dziewiąta, koniec pracy.

Otwarcie warsztatów.

Od Erica wiedział, że jako więzień przed wyrokiem nie ma prawa do pracy. Zostawał więc ze starymi, kulawymi, chorymi. Upał w tym czasie nasilał się. W miarę upływu godzin stawał się jakąś nieuchwytną obecnością sferą bez granic. Jacques sadowił się pod okapem, chroniąc swoją samotność, nie słuchając gadaniny tamtych, szwargocących coś w swoich dialektach. Plotki, pogłoski, historie o amoku i krissach, malajskich sztyletach o krzywych ostrzach, które, jak mówiono, łąkną krwi.

O dziesiątej brał się do sportu.

Ćwiczenia rozluźniające. Ćwiczenia na mięśnie brzucha. Pompki. Potem hantle: robiono tu własnym przemyślem ciężarki z kawałów betonu. Więźniowie dbali o swoje ciało, chcieli wyjść stąd silniejsi, groźniejsi. Na co to było w jego wypadku? Kwestia filozofii: chciał umrzeć w pełnej formie. Radowała go też terażniejszość, utrzymywanie ciała w gotowości. Lubiał czuć siłę, krążącą mu pod skórą jak światło, jak złocista oliwa, przesycająca każdy mięsień, każdą cząsteczkę ciała...

Te ćwiczenia były korzystne z jeszcze jednego powodu: demonstrowały jego

sprawność fizyczną. Kiedy ćwiczył, czuł na sobie oczy więźniów obserwujących go przez okna warsztatów. Nawet klawisze kątem oka szacowali jego siłę.

Jedenasta trzydzieści.

Kolejny apel.

Południe.

Obiad.

Jadł bez smaku, bez apetytu, ale zawsze liczył bardzo dokładnie kalorie. Odżywiać się: to był tutaj rodzaj walki o przetrwanie. Dzięki Jimmy'emu mógł ulepszyć swoją dietę: codziennie dodatkowy owoc, kawałek cukru, trochę mleka.

Czternasta.

Powrót do warsztatów.

Dla niego - godzina sjęsty. Najgorszy czas. Ogromne, rozszalałe muchy objające mu się o twarz, trzepocące się w ciszy, szukające oczu. Przysypiając, sprowadzony, tak jak inni, do roli bezwładnej larwy, Jacques wyciągał się na ziemi i na białym ekranie dziedzińca zaczynały mu się mylić muchy i ludzie.

Piętnasta trzydzieści.

Kolejny apel.

Numery podnoszące w górę ramiona, pomruki... Było w tym coś z hipnozy. Ale on się wtedy budził. Miał do siebie pretensję, że sobie pofolgował. Czuł teraz własne ciało pulsujące wśród tych wszystkich półtrupów. Niewidzialna maszyna, działająca bezgłośnie mimo upału, nadzoru, obecności obcych. Żył. I do ostatniej chwili będzie z niego biła ta żywotność, uregulowana - i niezwalczona.

Szesnasta.

Kolacja.

Od szesnastej trzydzieści czas wolny.

Wolny od czego? Dziedziniec ożywał się, kiedy upał zwalniał nieco uścisk. Więźniowie jedli. Zajmowali się handlem wymiennym. Negocjowali protekcję z klawiszami. Kupowali różne drobiazgi w czymś w rodzaju kramu, rozłożonego pod okapem. A zwłaszcza nabywali narkotyki. Więzienie rządziło się własną logiką opartą na wszechobecnej korupcji. Dostać można było wszystko pod warunkiem, że miało się szmal lub coś na wymianę. Reverdi ułożył się z Jimmym tak, żeby dysponować pieniędzmi, ale nie nadużywał ich. Jego pragnień nie mógł zaspokoić tranzysterek lub parę tabliczek czekolady. Ani tym bardziej szpryca.

Osiemnasta.

Powrót do cel.

Kiedy drzwi zamykały się za nim, Jacques nieruchomiał z niedowierzaniem. Czy naprawdę przeżył dzień? Najgorsze jeszcze go czekało. Dwunastogodzinna noc. Zamknięty w czterech ścianach, beczynny. Wtedy nienawidził swojej celi. O tej godzinie bardziej niż kiedykolwiek cuchnęła śmiercią i saletrą. Czyhał na niego podziemny, niewidzialny świat, zaludniony przez robactwo, owady, szczury.

Tego dnia mimo woli spojrzął w kierunku okna. Był jeszcze jasny dzień. Przypomnił sobie chatę wśród bambusów. Ostatnią Izbę. Przypomnił sobie, jak bardzo sprzeniewierzył się swemu poszukiwaniu, ulegając panice, ulegając...

W chwili kiedy pojawiło mu się w głowie słowo „szaleństwo”, padł jak podcięty na podłogę. Zwinął się w kłębek pod ścianą z trudem powstrzymując szloch. Dałby wszystko, żeby odzyskać jakiś powód do życia, do poruszania się - choćby przez kilka miesięcy, które mu pozostały.

Zgrzyt rygla kazał mu podnieść głowę. Drzwi celi otworzyły się:

- *Jumpa!*

## 13.

Jimmy Wong-Fat stał w swojej zwykłej pozie. Rozchełstany elegancki garnitur, czerwona teczka, kubek kawy. Jacques nie mógł pogodzić się z tym, że ten tłuścioch to teraz jego jedyna rozrywka.

- Niedobre wiadomości - oznajmił na wstępie adwokat. - Dostałem pierwszy raport psychiatrów z Kuala Lumpur, którzy badali pana na potrzeby ekspertyzy kontrolnej. Bardzo na ten raport liczyłem. Ich wnioski są negatywne. Orzekli, że jest pan zdrow na umyśle. W pełni odpowiedzialny za swoje czyny.

- Uprzedzałem cię.

Jimmy spacerował wokół stołu - pocił się trochę mniej niż zwykle. Jacques był przyczepiony łańcuchami do podłogi.

- Pan, zdaje się, nie rozumie - wyszeptał. - Jeśli nie znajdę jakiejś parady, jakiegokolwiek, to dupa. Kara główna!

Reverdi milczał. Nie miał ochoty powtarzać tego, co już powiedział. Wolał zmienić temat.

- Masz dla mnie książki?

Pytanie zbiło adwokata z tropu. Po chwili wahania zaczął grzebać w wielkiej torbie, którą przedtem postawił obok stołu. Reverdi postanowił zaufać Chińczykowi: podpisał mu pełnomocnictwo, dające dostęp do jednego z jego rachunków bankowych.

Wong-Fat położył na biurku stosik książek. Jacques przyjrzał się grzbietom: Kanjur, Yoga-Sutra, rubajjaty sufiego Mawiana...

- To nie wszystko.

Adwokat wyciągnął z kieszeni listę:

- Biblia Jerozolimska. Kazania Mistrza Eckharta. *Enneady* Plotyna. Niby gdzie ja mam to znaleźć?

- Są angielskie przekłady.

Jimmy wsunął listę z powrotem do kieszeni.

- Niech pan sobie wyobrazi, że wiem. Już je zamówiłem. - Znów zaczął grzebać w swojej torbie. - Ale przynajmniej znalazłem spodnie na pański rozmiar.

Położył je zadowolony na stole, starannie złożone. Usiadł wreszcie i skrzyżował ręce



na książkach.

- Mówmy o sprawach poważnych. Czy pan się leczy?

- Leczy?

- Chodzi mi o zalecenia doktor Norman. Ma pan brać codziennie środki przeciwlękowe. Chcę wiedzieć, czy pan to robi? I czy pan, jak było umówione, spotyka się co środa z psychiatrą z Ipoh? Czy pod tym względem wszystko jest w porządku?

Jacques pomyślał o Ericu, który handlował jego pigułkami. On sam nigdy nie połknął nawet jednej. Co do psychiatry z Ipoh, to widział go tylko raz i zresztą mylił mu się z ekspertami, których przysłał Jimmy: byli to za każdym razem Tamilowie zadający te same mętne pytania.

- Wszystko chodzi jak na kółkach.

- Świetnie. Fakt, że pan się leczy, jest bardzo ważny z punktu widzenia pańskiego portretu psychologicznego.

Reverdi kiwnął głową. Wong-Fat podniósł palec wskazujący.

- Przynoszę panu też dobrą wiadomość. Rodzice Pernille Mosensen przysłali do Johor Bahru duńskiego adwokata, żeby wspomagał oskarżenie prywatne. Także jakieś stowarzyszenie, zdaje się niemieckie, wściubia tu nos. Próbuje odgrzebać sprawę kambodżańską. DPP nie będzie zachwycony, proszę mi wierzyć. Oskarżenie robi się niesympatyczne. Dla nas to bardzo dobre.

Jacques ledwie słuchał tych tylekroć słyszanych argumentów. Postanowił podrażnić trochę swojego błazna.

- Kiedy onanizowałeś się tam, u ojca, używałeś do tego owadów?

- Jestem tu po to, by zrobić swoją robotę. Nie uda się panu wciągnąć mnie w...

- A kiedy załatwiasz te małe prawiczki, przyglądasz się, jaki kolor ma ich krew?

Adwokat wyjęczał: *Well!*, przez zagryzione wargi. Zapiał teczkę. Obrażony sztubak, pomyślał Reverdi i spytał:

- Moje zwierzenia już cię nie obchodzą?

Chińczyk podniósł oczy do góry. Jacques uśmiechnął się do niego.

- A gdybym ci powiedział, że to nie ja zabiłem Pernille Mosensen?

- A kto?

- Jedno dziecko.

- Co pan wygaduje?

Reverdi objął ramiona rękoma, jakby nagle zrobiło mu się bardzo zimno. Łańcuchy z brzękiem obity mu się o piersi.

- Dziecko-przegroda - wyszeptał. - Dziecko, które tkwi we mnie... i wstrzymuje oddech...

Wong-Fat pochylił się jak ksiądz ku kracie konfesjonału.

- Proszę mi to powtórzyć.

- Pamiętasz moją peladę?

Mówił z głową opuszczoną między skrzyżowane ramiona, z karkiem zwróconym w kierunku Jimmy'ego.

- Pamiętasz, mówiłem ci o pewnym wstrząsie? - mówił zduszonym głosem, przyciskając brodę do piersi. - To wtedy narodziło się dziecko-przegroda...

Objął mocno głowę rękami.

- To dzięki niemu wyrwałem się im.

- Wyrwał się pan? Komu?

- Twarzom... za rattanową plecionką. Twarzom, które wdzierały mi się pod skórę. Bez dziecka stałbym się...

- Kim? Co by się z panem stało?

Reverdi podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

- Tak sobie. Żartowałem.

Chińczyk był siny na twarzy. Chaos w jego myślach odbijał się w tikach przelatujących przez twarz.

- Nie, to niemożliwe. Pan kpi sobie ze mnie. Nie rozumiem pana postawy. - Chwycił swoją teczkę i torbę podróżną. - Może jednak przyjdę innym razem.

Wstał. Jacques był rozczerowany: jego żart wcale go nie zabawił. Stanowczo, ta beczka łoju była całkiem nieciekawa.

- Zapomniałem. Pańska poczta. - Jimmy rzucił na stół grubą szarą kopertę. - Prośby o wywiad. Oferty adwokatów. Listy miłosne - roześmiał się szyderczo. - Prawdziwa korespondencja gwiazdy.

Reverdi dwoma palcami rozsunął brzegi koperty. Wszystkie listy były otwarte.

- Czytałeś?

- Wszyscy czytali. Pan jest w Kanarze. Nie w Sheratonie. - Wong-Fat otarł twarz rękawem, znów był spocony. - Dyrektor więzienia poprosił waszą ambasadę o tłumacza, żeby wiedzieć co do słowa, co tu jest grane. A potem musiałem to wszystko odkupić od klawiszy. Takie tu są prawa.

Jacques wyciągnął kilka listów.

- Zwróć sobie z moich.

- Już to zrobiłem.

Adresy były wypisane ręcznie. Niektórym przyjrzał się dokładniej: okrągłe, staranne pismo. Pismo kobiece. Opuścił łańcuchy na podłogę i szepnął, nie patrząc na adwokata:

- Dziękuję. Do następnego razu.

## 14.

Wróciwszy do celi, Reverdi rozłożył listy na podłodze. Była tego najmniej setka. Poczł przyływ dumy. Siedział w Kanarze od niecałych trzech tygodni, a już dostawał pocztę z całej Europy, z Francją na czele. Podzielił starannie koperty na trzy kategorie i pogrążył się w lekturze.

Najpierw media. Przeleciał szybko prośby o wywiad. Do tej samej kategorii należały cztery listy od wydawców: „Czy nie powinien pan napisać pamiętników?”. Jeszcze szybciej przetrząsnął następną grupę: pisma urzędowe. Ambasada Francji zwracała się do niego wielokrotnie i pytała o powody jego milczenia. Przekazywała mu również listy francuskich adwokatów: „zawodowcy” od prawa międzynarodowego, którzy mieli już do czynienia z bardziej lub mniej podobnymi sprawami - z Europejczykami więzionymi w Azji Południowo-Wschodniej za handel narkotykami - i proponowali mu swoje usługi. Niektórzy nawet rezygnowali z honorarium. Ich intencje były oczywiste: bronić Reverdiego znaczyło znaleźć się na czas procesu w centrum powszechnej uwagi. Były też zapytania organizacji humanitarnych, czy warunki w więzieniu są poprawne. Można było umrzeć ze śmiechu.

Wyrzucił cały ten chłam do kąta.

Przeszedł do listów od osób prywatnych. Bez względu na ton - nienawiść, współczucie, fascynacja, miłość... - były o wiele bardziej podniecające. Ich lektura zajęła mu przeszło godzinę. Kolejne rozczarowanie. Jedne były głębsze od drugich. Obelgi i życzliwe słowa łączyła identyczna pospolitość.

Ale jego interesowała forma. To, co można było wyczytać między wierszami. W każdym przecinku czuło się strach, podniecenie, pożądanie. Lubił też przyglądać się charakterom pisma, czuć kontakt ręki z papierem, ślad drżenia w każdej końcówce słowa. Było tak, jakby te kobiety - praktycznie wszystkie listy były od kobiet - szeptały mu do ucha. Albo muskały go po skórze. Jak liście bambusa. Zamknął oczy, poddając się pieśczoście wspomnienia. Listowie. Szmer. Droga, którą trzeba pójść...

Po czym zaczął od samego początku, przyglądając się dokładnie każdemu listowi w świetle słabej żarówki. Liczył błędy ortograficzne, niezręczności składni. Był zaskoczony banalnością tych tekstów. I rozdrażniony familiarnością tonu. Znajdował w nich słowa nienawiści, współczucia, a także, co było najgorsze, zrozumienia i miłości, jakby pisane były

do kogoś bliskiego.

O wiele za bardzo bliskiego.

W tej kategorii jeden list wyróżniał się spośród wszystkich. Był tak naiwny, że przez to aż ciekawy. Przeczytał go kilka razy z dwuznacznym uczuciem pogardy pomieszanej ze złością.

Paryż, 19 lutego 2003 r.

Drogi Panie,

nazywam się Elisabeth Bremen. Mam dwadzieścia cztery lata i przygotowuję pracę magisterską z psychologii na uniwersytecie w Nanterre (Paris X) na temat profilingu, czyli metody, którą we Francji nazywa się „pomocą psychologa w śledztwie”. Polega ona na opracowaniu psychologicznego wizerunku mordercy na podstawie analizy sceny zbrodni i innych wskazówek będących w dyspozycji prowadzących śledztwo.

Podczas moich badań - zwłaszcza przy okazji spotkań z różnymi więźniami - zrozumiałam, że temat mojej pracy jest w rzeczywistości pretekstem do zajęcia się tym, co interesuje mnie naprawdę: zbrodniczym popędem.

Kilka miesięcy temu postanowiłam więc zmienić temat pracy. Skupić uwagę na samych więźniach i spróbować sporządzić ich wizerunek psychologiczny z pominięciem wszelkich uwarunkowań prawnych czy moralnych. Miałam nawet nadzieję, że uda mi się zrobić coś w rodzaju „metaprofilu” i uchwycić ich cechy wspólne na podstawie życiorysów, osobowości, sposobów działania...

Byłam właśnie w tym punkcie mojej pracy, kiedy 10 lutego tego roku trafiłam na pierwsze artykuły o Pańskim aresztowaniu i jego niezwykłych okolicznościach. W tym momencie postanowiłam poświęcić moją pracę wyłącznie... Panu.

Oczywiście jest to możliwe tylko za Pańską zgodą, inaczej mówiąc, z Pańską pomocą. Mogę myśleć o takiej pracy, tylko wtedy gdy zgodzi się Pan odpowiedzieć na moje pytania...

Jacques przerwał czytanie. Jego korespondentka nie tylko najspokojniej w świecie uznawała go za seryjnego mordercę, ale robiła to w liście dostępnym dla wszystkich, i to jeszcze przed procesem. W podobnym tonie pisała większość autorów listów walających się po podłodze, ale w tym była naiwność i głupota przekraczające wszelkie wyobrażenie.

Ciągnęło się to przez kilka stron:

Nie mając dużo pieniędzy, nie mogę niestety pozwolić sobie na podróż, przynajmniej nie od razu. Ale obmyśliłam już pewien kwestionariusz, który pomógłby mi nawiązać pierwszy kontakt z Panem. Chciałabym go posłać jak najszybciej.

Coraz lepiej: żądała od niego ni mniej, nie więcej tylko spowiedzi. A czemu nie pełnego przyznania się do winy? Czytał dalej, zaciekawiony, co jeszcze przyjdzie jej do głowy.

Proszę zrozumieć moją myśl: sądzę, że dzięki mojej wiedzy psychologicznej potrafię uchwycić to, czego inni nie dostrzegli.

Zresztą pytaniami i komentarzami, które natychmiast prześlę, mogę Panu pomóc rozeznaczyć się lepiej w sobie. Nie jestem jeszcze doświadczonym psychologiem, ale mogę Panu pomóc pogodzić się z pewnymi prawdami...

Reverdi zgniótł kartki w rękę: wściekłość narastała w nim gorącymi falami. Uwięziony tutaj, był wystawiony na spojrzenia i ciekawość wszystkich. Niczym mieszkaniec zoo, poddany niedyskretnej i niezdrowej kontemplacji każdego, kto miał na to ochotę. Zamknął oczy i szukał w sobie spokoju, żeby opanować ciało i umysł.

Wziął się wreszcie w garść i wygładził zgniecione kartki - chciał odbyć do końca tę podróż do kresu głupoty.

Niespodzianka: ostatnia część była bardziej interesująca. Wyczuwał w niej jakąś celność tonu, wyraźnie odmienną od pretensjonalnego wywodu z początku listu.

Studentka zaryzykowała porównanie między nurkowaniem a zabójstwami.

Może posuwam się za daleko i za szybko, ale czuję - jak to powiedzieć? - swoistą analogię między głębinami morskimi a ciemnymi popędami, które w Panu pulsują. W obu wypadkach mamy ciemność, ciśnienie, wrogość. Ale także, w pewnym sensie, barierę czystości, jakiś nieznaną cel...

Jak to Panu napisać? Wyczuwam w tych czynach i w tych zanurzeniach jednakową wolę spenetrowania, przekroczenia siebie. A zwłaszcza to samo oszołomienie, tę samą nieodpartą pokusę.

Chciałabym zrozumieć ten stan, odczuć go u Pańskiego boku, żeby utożsamić się z Pańskim punktem widzenia. Nie chcę osądzać, chcę podzielać.

Jeśli będę miała to szczęście, że zechce mnie Pan poprowadzić, wziąć za rękę, żebym razem z nim zesłała pod powierzchnię, będę gotowa wszystkiego wysłuchać. I dojść do końca - z Panem.

Wszystko to niewiele znaczyło, ale Jacques wyczuwał w tych słowach jakiś akcent szczerości. Dziewczyna była gotowa rzucić się duszą i ciałem w podróż przez ciemność. Wyczuwał nawet, swym instynktem drapieżnika, pewien podstęp między wierszami listu. Ta

„biała gaska” nie była może tak bardzo biała.

Powąchał zapisany arkusik: uperfumowany. Perfumy kobiece. Albo raczej: zapach młodej dziewczyny, która bawi się w kobietę. Założyłby się, że to Chanel N° 5. Tak, Elisabeth chciała go rozpałić, uwieść, była gotowa pójść za nim nawet do jego kryjówki. Jej nie chodziło o dreszczyk strachu.

Rzucił list na ziemię i przyglądał się całej tej stercie bzdur, niedyskretnych pytań, błędów ortograficznych. Między skrawkami papieru sunęła procesja karaluchów. W tym momencie światła w celach zgasły.

Dwudziesta pierwsza. Jacques odepchnął stopą kupkę listów i wyciągnął się przy ścianie. Gniew mu przeszedł, ale nie rozgoryczenie. Gwizdał na śmierć, ale po raz pierwszy zrozumiał, że jest sam, niezrozumiany, a jego „dzieło” umrze wraz z nim.

Jakiś podprogowy sygnał wmieszał się w jego rozmyślania. Nagle zaczął dręczyć go szczegół, którego nie potrafił zidentyfikować. Wstał i chwycił latarkę. Wziął trzonek lampy w zęby, żeby mieć wolne obie ręce, i zaczął grzebać w papierach. W kilka sekund odnalazł list Elisabeth Bremen. Coś mu umknęło, ale co?

Przeczytał go szybko jeszcze raz. Nic nowego. Odnalazł kopertę i zajrzał do środka: pusta. Obejrzał ją ze wszystkich stron. Na odwrocie znalazł adres nadawcy.

Elisabeth Bremen nie podała swojego domowego adresu, lecz poste restante w IX dzielnicy Paryża.

To był szczegół, którego szukał. Mimo tych wszystkich pięknych słów, mimo tej woli zbliżenia się do niego studentka zachowywała ostrożność. Bała się. Jak inne. Wyciągała rękę do dzikiej bestii, ale ostrożnie.

Jacques zgasił latarkę i uśmiechnął się w ciemności.

Będzie troszkę zabawy.

# 15.

Marc był wyjątkowo dumny ze swojego listu.

Obmyślił go, dopracował, dopieścił. Nie było tam słowa, szczegółu, nad którym by się długo nie zastanawiał. Trzymał się pewnej strategii. Wiedział, że takiego mordercy nie można nabierać, wypytywać ogródkami. Jacques Reverdi jest człowiekiem o nieprzeciętnej inteligencji, drapieźnikiem o niezawodnym instynkcie. Jedyne sposoby, by zwrócić jego uwagę, to zaatakować wprost, udać niewinność i sprawić wrażenie, że to on panuje nad sytuacją.

To dlatego Marc poszedł na całego w pretensjonalną naiwność. A jednocześnie, pod koniec listu, pozostawił pewną dwuznaczność. Elisabeth może nie była taka głupia, taka bezbarwna, jak by się mogło zdawać...

Kiedy już był zadowolony z tekstu, zabrał się do pracy nad charakterem pisma. Godzinami, czerpiąc ze swoich starych papierów - w „Le Limier” dostawał dużo listów od kobiet - kopiował po wielokroć rękopisy swoich korespondentek i wyrabiał sobie z wolna kobiecy charakter pisma.

Następnie kupił papier listowy, dość drogi, gofrowany, i wybrał wieczne pióro. Potem postanowił uzupełnić list o akcent osobisty: bardzo dyskretnie skropił go perfumami. W pierwszej chwili myślał o perfumach dla młodych dziewcząt - *Anais Anais Cacharela* - ale potem rozmyślił się. Dwudziestoczteroletnia Elisabeth nie będzie używać zapachu dla nastolatki. Przeciwnie, wybierze perfumy kobiece - siła, powab, dojrzałość. Zdecydował się na Chanel N° 5.

List był gotów, został jeszcze ostatni punkt wielkiej wagi: adres nadawcy. Nie mógł podać swojego. Myślał o skrytce pocztowej, ale to mogłoby wydać się zbyt bezosobowe. Zdecydował się na poste restante.

Prawdziwe problemy zaczęły się na poczcie. Mógł się tego spodziewać. Tej instytucji nie cierpiał od zawsze - żółty kolor szyldów, ciągnące się w nieskończoność kolejki, cały system znaczków, wignetek, nalepek, godniejszy dziecinnej zabawy w sklep niż przedsiębiorstwa z XXI wieku. Okazało się, że poczta pozostała wierna swojej dewizie: „Po co ma być prosto, skoro można skomplikować?”.

Nie sposób zawrzeć „Umowy o tymczasowej reekspedycji oczekującej poczty”.



podając pierwsze z brzegu nazwisko. W istocie nie można dostawać przesyłek tego rodzaju inaczej niż na własne nazwisko. Marc spróbował szczęścia w innym urzędzie pocztowym. Tym razem posłużył się kłamstwem: chciał zawrzeć „umowę o reekspedycji” w imieniu przyjaciółki, unieruchomionej wskutek wypadku, i to zawrzeć ją właśnie w tym urzędzie. On sam przychodziłby po listy.

Sceptyczny urzędnik objaśnił mu procedurę: przyjaciółka musi wypełnić formularz upoważnienia na jego nazwisko. Ale uwaga: w obecności listonosza, który pełniłby funkcję świadka. Marc myślał, że śni. Dopiero po dopełnieniu tych formalności można by zawrzeć umowę, ale Marc musiałby za każdym razem przedstawiać dwa dowody tożsamości: swój i przyjaciółki.

Marc wyszedł z poczty oszołomiony, trzymając w ręku formularze. Rozpatrzył problem ze wszystkich możliwych punktów widzenia i doszedł do wniosku, że wie, na czym się zasadza prawdziwa trudność: musi zdobyć paszport albo dowód jakiejś kobiety. Następnie będzie musiał dostawać na jej nazwisko listy.

Gdzie zdobyć taki dokument? Miał solidne doświadczenie kradzieży i włamań. Wspomnienia z czasów „Śmietniczki”. Ale nie będzie przecież włamywał się na los szczęścia do jakiegoś mieszkania. Pomyślał, że może pójść na basen, włamać się do szafki którejś z kąpiących się kobiet. Ale nie mógł w żadnym razie wciągać w tę sprawę jakiejś rzeczywiście istniejącej osoby.

W końcu chodziło o zastawienie pułapki na mordercę. Ślepy zaułek.

Nazajutrz, tuż po przebudzeniu, olśniło go. Trzeba ukraść paszport jakiejś turystce, kobiecie będącej we Francji przejazdem. Pomyślał o miasteczku uniwersyteckim niedaleko Porte de Gentilly: największe w Paryżu skupisko zagranicznych studentów. Zwiedził kampus: nagromadzenie najrozmaitszych stylów architektonicznych, przypominające zeszłowieczne wielkie wystawy powszechne. Minął włoskie *palazzo*, angielski *manor*, zbór luterański, szedł przez galerie z łacińskimi ornamentami, wzdłuż ceglanych fasad, ganków z afrykańskimi rzeźbami. Dokąd pójść? Do jakiejś sypialni? Czy działać w biały dzień?

Nagle wpadł na pomysł: szatnia obiektu sportowego.

Znalazł zespół sportowy Szkoły Sztuk i Rzemiosł w południowej części kampusu. W podziemiach siedmiopiętrowego bloku w stylu sowieckim mieściła się hala sportowa. Wślizgnął się na dolny korytarz, który wypatrzył przez okratowane okna, tak samo jak wielką płaszczyznę pokrytą zielonym linoleum z wyrysowanymi liniami. Miał szczęście: akurat odbywał się mecz siatkówki. Kobiet! Znalazł szatnię: nawet nie była zamknięta.

Z jednej strony szereg wieszaków, z drugiej - metalowe szafki pozamykane na kłódki.

Miał ze sobą to, czego potrzebował. Wsunął śrubokręt w pierwszy lepszy metalowy kabłączek i wylał go. W trzeciej szafce znalazł paszport jakiejś Niemki. Podniecony tą pogwałconą prywatnością zapachami kobiet i wpadającą mu w ręce bielizną szperał dalej. Znalazł jeszcze inne paszporty, legitymacje studenckie... Był już chyba przy dziesiątej szafce, kiedy trafił na skarb. Fart niesłychany: szwedzki paszport z imieniem... Elisabeth!

Chwycił mocno w rękę dokument w kolorze bordo. Przeszukał jeszcze torbę i znalazł legitymację studencką tej samej osoby, z adresem w miasteczku uniwersyteckim. Na twarz nawet nie spojrział. Nazwisko nadawało się świetnie: Elisabeth Bremen.

Nazajtruz wrócił do urzędu pocztowego przy ulicy Hipolita Lebas, tam gdzie urzędnik wytłumaczył mu, jakie formalności ma załatwić. Tym razem człowiek z okienka, drobny Azjata z włosami zawiązanymi w koński ogon, skrzywił się.

- Nie przestrzega pan procedury. Listonosz musi...

Marc nie dał mu dokończyć: wsunął pod szybę paszport i legitymację studencką Elisabeth.

- Mieszka w miasteczku uniwersyteckim. To prawdziwy labirynt.

- Co jej właściwie jest? - spytał urzędnik, bardziej pojednawczo.

- Biodro. Złamała kość biodrową przy grze w siatkówkę.

Pocziarz pokiwał głową bez przekonania, przyglądając się dokumentom. Za Markiem kolejka wydłużała się. Azjata podniósł wzrok:

- Jednej rzeczy nie rozumiem. Chce pan otrzymywać pocztę tej dziewczyny, w porządku. Ale dlaczego nie na pański adres?

Marc przewidział zastrzeżenie. Przysunął się bliżej do okienka i ostentacyjnie podsunął lewą rękę pod nos rozmówcy. Przedtem założył obrączkę na palec serdeczny. Stosował już tę sztuczkę w czasach „Śmietniczki”, żeby wzbudzić zaufanie.

- U mnie to kłopotliwe.

- Kłopotliwe?

Marc stuknął trzy razy w szybę obrączką. Pocziarz opuścił wzrok, chyba zrozumiał.

- No więc jak, zgoda?

Urzędnik wypełnił rubryki formularza przeznaczone dla poczty.

- Dziewiętnaście euro.

Marc zapłacił, czując, jak pot spływa mu po plecach. Azjata podał mu kilka kwitków i powiedział:

- Kiedy będzie pan przychodził po pocztę, proszę mieć zawsze przy sobie jej dowód tożsamości. Nie ma paszportu, nie ma listów. Jasne? I proszę przychodzić wprost do mnie:

poste restante to mój dział.

Na koniec mrugnął do niego porozumiewawczo. Znalazłszy się na chodniku, Marc powinien był się ucieszyć, ale w głębi ducha dręczył go niepokój. Niejasno obawiał się dalszego ciągu.

Od pierwszego marca chodził na pocztę co rano.

Było to absurdalne: list z Paryża szedł do Malezji co najmniej dziesięć dni. Następnie dyrekcja więzienia gromadziła korespondencję, zanim rozdała ją więźniom. Potem jeszcze, i to w wypadku, gdyby Jacques Reverdi zdecydował się odpowiedzieć, trzeba było liczyć dziesięć do piętnastu dni, zanim list do niego dojdzie.

Czyli w najbardziej optymistycznej wersji dostanie wiadomość po przeszło trzech tygodniach. A on nadał swoją przesyłkę dwudziestego lutego.

Mimo to jakaś magnetyczna siła ciągnęła go codziennie na ulicę Hipolita Lebas. Urzędnik pocztowy (na imię miał Alain i był pochodzenia wietnamskiego) odpręzał się, na widok swojego gościa. Pozwalał sobie nawet na żarciki. „Witam panienkę!” - wołał do Marca. Albo tonem gliny żądał zza swojej szyby: „Dowodzik proszę”.

Jego dowcipy były dość ciężkawe.

Dni upływały, a odpowiedź nie nadchodziła.

\*

W robocie Marc odwałwał niezbyt gorliwie codzienne zadania. Pracował nad innymi tematami i kilku malowniczymi postaciami: dusiciel z Pas-de-Calais, gwałciiciel z Citroena CX...

Ale w redakcji ochota do pracy zaczynała słabnąć. Sprzedaż spadała na łeb na szyję. Przewidywania Verghensa sprawdzały się: wojna w Iraku wisiała w powietrzu i czytelników obchodziło tylko, kiedy się zacznie. W okresach kryzysu ludzie nie odczuwają tego samego co zwykle pragnienia pogrążenia się w mrocznych historiach: wystarczy im groźna terażniejszość.

Dziewiątego marca Amerykanie wciąż jeszcze nie bombardowali Iraku.

A Marc wciąż nie miał listu.

\*

Tego wieczoru odwiedził Vincenta.

Wszedł do pracowni fotograficznej olbrzymia o ósmej. Artysta był właśnie pogrążony w pracy: upozowane zdjęcia początkującej modelki. To było jego prawdziwe źródło utrzymania. Vincent pracował dla agencji albo bezpośrednio dla modelek i w tym drugim wypadku płacono mu pod stołem. Z fiskalnego punktu widzenia - najlepszy interes.

Wypracował sobie bardzo wyszukany styl fotografowania, oparty na „mgielce”, na nieostrości, który robił furorę w agencjach i magazynach. Wśród modelek krążyły nawet słuchy, że te zdjęcia przynoszą szczęście...

Ten triumf zdumiewał Marca. To, co zaczęło się jak żart, stało się żyłą złota. Teraz, pod koniec zimy 2003 roku, olbrzym wyglądający jak angielski spadochroniarz, z kaskiem w rękę i palcami zawsze poplamionymi smarem, stał się jednym z najbardziej rozrywanych fotografów paryskich. Wykupił nawet swoją pracownię na zapleczu Szkoły Architektury przy ulicy Bonapartego w VI dzielnicy.

Marc wślizgnął się w półmrok studia. Vincent stał za swoim aparatem na granicy światła *plateau* i perorował na temat najlepszego sposobu „dotarcia do prawdy”. Asystenci, fryzjerki, wizażystki, stylistki wsłuchiwały się nabożnie w jego słowa, podczas gdy jaskrawe reflektory wycelowane były w młodą, androginiczną dziewczynę.

Vincent zrobił w jej kierunku gest oznaczający „koniec na dzisiaj”. Jeden z asystentów rzucił się do jego aparatu i wyjął film tak, jakby brał do ręki świętą relikwię. Inni pobiegli do generatorów. Flesze wciąż jeszcze trzaskały, wydając z siebie długie poświsty. Kolos zobaczył Marca i otworzył ramiona przesadnym gestem:

- Gdzieś ty przepadał?

Marc, nie odpowiadając, odprowadził wzrokiem młodą modelkę, która znikła w szatni.

- Daj sobie spokój - powiedział Vincent. - Jeszcze jedna ofiara klęski głodu... Mam znacznie lepsze w archiwum, chcesz zobaczyć?

Pokazał serię polaroidów na podświetlanym stole. Marc nawet nie spojrzał. Vincent otworzył drzwiczki małej lodówki stojącej w głębi studia, koło wejścia do ciemni.

- Wciąż nie w nastroju, co?

Podszedł do niego, otwierając po drodze puszkę piwa. Marc zrozumiał, że fotograf jest już wstawiony. Nadrabiał niedostatek adrenaliny w swoim nowym zawodzie solidnymi porcjami alkoholu. Wieczorami robił się okropny. Sapiąc jak byk gorącym oddechem, wbijał w rozmówcę swoje jedyne widoczne oko, błyszczące i nabiegłe krwią. Ale to on powiedział:

- Kiepsko wyglądasz. Chodź. Zabieram cię na kolację.

Zasiedli w małej restauracyjce przy ulicy Mabillon. Było to jedno z tych miejsc, jakie Marc lubił: zatłoczone, zadymione, hałaśliwe. Fale ludzkiego ciepła, gdzie unoszący się nad wszystkim szmer głosów mógł zastąpić rozmowę. Ale Vincent nie dawał się zagłuszyć hałasem: monologował na temat swych perspektyw na przyszłość, pijąc jednocześnie piwo za piwem.

- Zdajesz sobie sprawę? - bełkotał. - Dwie moje dziewczyny dostały od razu stawkę czterdzieści! Dzięki moim zdjęciom. Ta mgielka, mówię ci, to manna! Postanowiłem też działać jako agent. Strzelam gratis pierwsze zdjęcia i biorę procent od kontraktów, do których doprowadzę. Mogę to robić równie dobrze jak agencje, które zresztą i tak nie robią ni cholery. Jestem czarodziejem. Odkrywca!

Mówił to wszystko tonem uwodziciela, który chce zostać rajfurem. Marc z uśmiechem podniósł swoją szklanę gazowanej wody mineralnej i spojrzał Vincentowi prosto w oczy.

- Za mgielkę!

Olbrzym wzniosł w odpowiedzi swój kufel.

- Za stawkę czterdzieści!

Wybuchnęli śmiechem. Marc w tym momencie miał w głowie tylko jedno pytanie: czy Elisabeth otrzyma odpowiedź od Reverdiego, czy nie?

## 16.

- To z Malezji.

Wietnamczyk uśmiechał się promiennie. Wsunął kopertę pod pleksiglasową szybę. Marc chwycił ją i musiał zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć. List był wymięty, pokreślony, ktoś najpierw rozdarł kopertę, potem zakleił. Ale to było to, na co czekał: odpowiedź Reverdiego.

Kiedy wypatrzył pod stemplami i zakreśleniami administracji więziennej pochylone, regularne pismo składające się na nazwisko „Elisabeth Bremen”, poczuł, jak serce zaczyna mu bić w piersi nierówno i dziwnie głęboko. Szybko pożegnał się z Alainem i pobiegł do swojej pracowni.

Zamknął drzwi na klucz, zaciągnął w oknach zasłony i usiadł za biurkiem. Zaświecił małą lampką halogenową, włożył bawełniane rękawiczki, takie jakich używa się przy pracy nad odbitkami fotograficznymi. Wreszcie otworzył kopertę nożykiem do kartonu i ostrożnie, jakby chwycił jakiegoś rzadkiego kruchego owada, wyjął list. Był to zwykły arkusik papieru w jedną linię złożony we czworo.

Rozłożył go na biurku i z bijącym sercem zaczął czytać:

Kanara, 28 lutego 2003 roku

Droga Elisabeth, pobyt w więzieniu to zawsze ciężka próba: bliskość kryminalistów, nieustająca nuda, upokorzenia i, oczywiście, udręka zamknięcia. Rozrywki tu są raczej rzadkie. Dlatego chcę podziękować za Pani entuzjastyczny list.

Już dawno tak się nie uśmiełem.

Cytuję Pani słowa: „Sądzę, że dzięki mojej wiedzy psychologicznej potrafię uchwycić to, czego inni nie dostrzegli”. Albo to: „Pytaniami i komentarzami, które natychmiast prześlę, mogę Panu pomóc rozeznac się lepiej w sobie”.

Elisabeth, czy Pani wie, do kogo napisała? Czy mogła Pani wyobrazić sobie choćby przez chwilę, że ja potrzebuję kogoś, by „rozeznac się lepiej w sobie”?

Ale przede wszystkim czy Pani się zastanowiła, co ten list oznacza? Zwraca się Pani do mnie jak do mordercy, któremu udowodniono zbrodnię. Zapomina o drobiazgu: nie zostałem jeszcze osądzony. Mój proces się jeszcze nie odbył i mojej winy, o ile wiem, trzeba dopiero dowieść.

Przypominam, że cała poczta więzienna jest otwierana, czytana i kserowana. Pisze

Pani z takim tupetem, demonstruje taką pewność siebie, pisząc o moich „ciemnych popędach” i mojej „psychologii”, jakby była w posiadaniu jakichś nieodpartych dowodów mojej winy. Pani miły liścik jest zatem dodatkową poszlaką, którą można wykorzystać przeciwko mnie.

Ale nie to jest ważne.

Ważna jest Pani arogancja. Zwraca się Pani do mnie, jakby nie miała najmniejszej wątpliwości, że odpowiem. Proszę zasięgnąć informacji: od lat nie zgodziłem się na udzielenie wywiadu. Nie wyjaśniałem nikomu niczego. Skąd Pani bierze swoje niezachwiane przekonania? Dlaczego wyobraża sobie, że będę odpowiadał na pytania studentki, która chce mnie zanalizować?

A zresztą, co Pani właściwie o mnie wie? Z jakich źródeł Pani korzysta? Gazet? Filmów dokumentalnych? Książek nie przeze mnie pisanych? Jak można zrozumieć czyjaś osobowość, zabierając się do tego w taki sposób?

Co do Pani porównania między nurkowaniem a moimi „popędami”, to proszę wiedzieć, że ja sam wybieram sobie moją czystość i mój absolut i że to wszystko jest niedostępne dla innych istot ludzkich.

Elisabeth, proszę się bawić w psychologa z młodocianymi przestępcami z Fresnes czy Fleury-Merogis. Wspecjalizowane stowarzyszenia skontaktują Panią z więźniami na Pani miarę, godnymi jej „ćwiczeń psychologicznych”.

Proszę nie pisać do mnie listów tego rodzaju. Powtarzam: pobyt w więzieniu jest ciężką próbą. Samą w sobie dość przykrą, żebym nie musiał znosić na dodatek obraźliwych listów pretensjonalnej paryżanki.

Żegnam Panią, Elisabeth. Mam nadzieję, że nieprędko będę znów Panią czytać.

Jacques Reverdi

Marc znieruchomiał na dłuższą chwilę. Przyglądał się poliniowanej kartce. Czuł się, jakby ktoś trafił go pięścią prosto w nos. Z siłą byka.

Był kompletnie oszołomiony. W głowie mu się kłębiło. Myśli zderzały się ze sobą i strzelały raketami sprzecznych pomysłów.

Czy ten list znaczył, że wszystko stracone? Czy to pierwsza i ostatnia odpowiedź, jaką kiedykolwiek otrzymał od Reverdiego? Czy może przeciwnie, pod słowami, pod obelgami kryje się jednak jakaś nadzieja?

Przeczytał list na nowo. Kilka razy. W końcu uznał: ta epistoła jest zwycięstwem. Dyskretne znaki, rozrzucone między wierszami, oznaczały zachętę. Popułnił błąd co do formy, zgoda, ale zabójca nie zamykał przed nim drzwi.

A zresztą, co Pani właściwie o mnie wie? Z jakich źródeł Pani korzysta? Gazet? Filmów dokumentalnych? Książek nie przeze mnie pisanych? Jak można zrozumieć czyjaś osobowość, zabierając się do tego w taki sposób?

Marc spróbował to przełożyć: „Jeśli chce Pani znać prawdę, musi ją pani zaczerpnąć u źródła. Proszę mi postawić właściwe pytania”. Grzeszył może nadmiernym optymizmem, ale nie mógł uznać, że Reverdi zadał sobie trud pisania do Elisabeth tylko po to, żeby jej nawymyślać. Między wierszami pletwonurek ukrył inne przynęty:

proszę wiedzieć, że ja sam wybieram sobie moją czystość i mój absolut i że to wszystko jest niedostępne dla innych istot ludzkich.

Facet nie pisał: „Jestem niewinny”. Mówił: „Pani nie rozumie”. Czy nie chodziło o podsycenie jej ciekawości? Marc czuł, jak dreszcze przebiegają mu po skórze. Był zawsze przekonany, że Jacques Reverdi nie jest zwykłym seryjnym mordercą, „zabójcą kompulsywnym”, jak go opisywał Erich Schrecker.

Pod morderstwami kryła się jakaś logika.

Jakieś Poszukiwanie.

Uśmiechnął się. Tak, wszystko zważywszy - powiodło mu się. Jego frontalny atak rozdrażnił zbrodniarza, ale też wymusił jego reakcję. List był zaproszeniem, żeby drażnić dalej, pytać, przebijać się przez pozory.

Nie zdejmując swoich bawełnianych rękawiczek, Marc chwycił plik papieru listowego i wieczne pióro, którym miał pisać wyłącznie do Elisabeth. Musiał odpowiedzieć natychmiast, pod wpływem emocji. Elisabeth musi przekonać tamtego, że potrafi zmienić metodę, że potrafi po prostu słuchać, rozumieć, dać się prowadzić...

Ale najpierw - mea culpa.



# 17.

Paryż, poniedziałek 10 marca 2003 roku

Drogi Jacques, otrzymałam właśnie Pański list i jestem załamana. Czy wybaczy mi Pan moją niezręczność? Jak mogłam być taka głupia? Nigdy nie chciałam Panu zaszkodzić. A jeszcze mniej - obrazić...

Nie pomyślałam, że listy są otwierane. Muszę przyznać, że nie mam pojęcia o regułach i procedurach obowiązujących w malezyjskich więzieniach. Jest mi ogromnie przykro, że mogłam bezwiednie uwierzytelnić fakty, które nie są ani pewne, ani dowiedzione. I w tym wypadku muszę się przyznać, że nieznanne mi są szczegóły śledztwa. Wiem tylko to, co mogłam wyczytać w prasie francuskiej.

Przepraszam, przepraszam i jeszcze raz przepraszam... W żadnym razie nie chciałabym pogorszyć Pańskiej sytuacji wobec wymiaru sprawiedliwości.

Ale proszę pozwolić mi wyjaśnić głębsze powody mojej prośby. Znałam Pana na długo przed tym, co się wydarzyło w Malezji i w Kambodży, dzięki Pańskim osiągnięciom sportowym. Pasjonuje mnie nurkowanie bezdechowe: w wieku ośmiu lat oglądałam w kółko *Wielki błękit*. Godzinami siedziałam zafascynowana przed ekranem, wyobrażając sobie, czym może być poczucie głębi. Co można odczuwać, zanurzając się, wstrzymując oddech daleko poza granice możliwości człowieka. Już w tych czasach Pańskie nazwisko jaśniało na pierwszym miejscu w moim małym osobistym panteonie.

Dziś oskarża się Pana o morderstwa. Pan nie chce o tym mówić: szanuję to milczenie. Ale Pańska osobowość nie jest przez to mniej niezwykła. Paradoksalnie, czyny, o które się Pana dziś podejrzewa, są tak odległe od Pańskich wyczynów sportowych, od kojarzącego się z Panem obrazu mądrości i pokoju, że ta sytuacja wzmaga jeszcze moje zainteresowanie Panem. Ten hipotetyczny związek między ciemnym błękitem a całkowitą czernią, ta nieprawdopodobna droga od dobra do zła przyprawia o zawrót głowy. Jakakolwiek jest prawda, łuk Pańskiego losu jest wspaniały.

Oto na co liczę - powinnam napisać: na co ośmielam się mieć nadzieję: że Pan powierzy mi pewne osobiste wspomnienia, opowie o wydarzeniach, które leżą mu na sercu. Wszystko jedno o jakich: emocje podwodne, wspomnienia z dzieciństwa, anegdoty o Kanarze... Co tylko Pan chce, byle tylko te słowa oznaczały początek kontaktu.

Nic nie zmusza Pana do pisania do mnie. A ja nie mam więcej argumentów, żeby Pana do tego skłonić. Ale jednego jestem pewna: że potrafiłabym być Pana powiernicą, rozumiejącą i uważną. Nie mówię jako studentka psychologii. Mówię po prostu jako młoda kobieta, która Pana podziwia.

Proszę nigdy nie zapominać, że jestem gotowa wysłuchać wszystkiego. To Pan wyznaczy ramy, granice naszego stosunku.

Różne bywają głębie.

I wszystkie mnie ciekawią.

Czekając z drzeniem na Pański list...

Elisabeth

Marc skończył cały spocony.

Ręce mu się po prostu roztopiły w rękawiczkach. Pisał ten tekst kilkakrotnie, zaciskając palce na piórze, za każdym razem tak samo rozgorączkowany. Nie wychodził mu charakter pisma. Wreszcie leżał przed nim ręcznie pisany list. Przeczytał swoje dzieło i stwierdził, że ton jest emfaticzny, sentymentalny. Może powinien jeszcze raz spróbować? Postanowił jednak niczego nie zmieniać. To była reakcja na gorąco. I Reverdi wyczuje tę spontaniczność.

Robiło się ciemno. Było po piątej. Marc nawet nie spostrzegł, jak minął dzień. Nie słyszał dzwonka telefonu, nie myślał o otaczającym go świetle. Teraz, kiedy ciemność zalegała gabinet, miał niepokojące uczucie, że jego też zalewają jakieś czarne wody, i zaczynał zdawać sobie sprawę, że przez kilka godzin naprawdę był Elisabeth.

Kawę, szybko. Wybrał gatunek włoski, bardzo mocny, i uruchomił swoją chromowaną fabryczkę. Z przyjemnością napawał się gorzkim zapachem espresso. Z góry smakował ten skoncentrowany żar, który wleje się w głąb jego wnętrza i wyrwie z transu.

Wypił pierwszą filizankę i od razu przygotował sobie następną. Z kawą w ręku, spokojniejszy, wrócił za biurko i przyglądał się linijkom napisanym przez nieistniejącą kobietę. Pot przesiąkł przez rękawiczki. Kartka była w paru miejscach wybrzuszona. Tym lepiej: Reverdi odnotuje również ten szczegół. Wyobrazi sobie rozgorączkowanie Elisabeth. A może pomyśli, że płakała? To też byłoby niezłe... Zastanowił się mimochodem, czy powinien skropić list perfumami. Nie. Już nie chodziło o uwodzenie, tylko o spontaniczne działanie.

Zakleił list, włożył marynarkę, chwycił klucze i wziął do ręki kopertę: musiał się zwijać, żeby zdążyć przed zamknięciem poczty. Postanowił wysłać przesyłkę ekspresem. Co z tego, że zdradzi swój pośpiech, że jego list z napisem „pilne” zwróci może uwagę

strażników z Kanary? Nie był w stanie czekać znów miesiąc na odpowiedź. Jeśli w ogóle będzie odpowiedź.

Nie poszedł na ulicę Hipolita Lebas, nie chciał trafić na Alaina. Zdecydował się na pocztę przy ulicy Saint-Lazare, w dolnej części IX dzielnicy. Wchodząc do urzędu, wstrzymał oddech. Jak za pierwszym razem miał wrażenie, że wysyłając list, pogrąża się w nieznanym. Ale tym razem przekraczał nowy próg kompresji, zdążał ku ciemnym warstwom lodowatej wody.

## 18.

- *GOSOK KU AT SIKIT!* (Szoruj mocniej!).

Jacques Reverdi klęczał w pełnym słońcu. Uzbrojony w drucianą szczotkę i kubek wody z detergentem, usiłował usunąć coś nie do usunięcia: ślady ludzkiego potu i tłuszczu, którymi przesycona była jedna ze ścian dziedzińca. Ślady wżarte w cement głęboko jak skamieliny. Mimo jego wysiłków plamy nie ustępowały. Trzeba by było skrobać, wgryźć się w nie, dobrać do kamienia za pomocą szlifierki.

Stojąc nad nim, Raman obserwował jego wysiłki. Rozstawione nogi, ręce zaciśnięte na pasie. Mamrotał przekleństwa przez zaciśnięte wargi, obiecując, że niedługo pałka doda wagi jego słowom.

Reverdi nie zważał ani na ból fizyczny, ani na obelgi. Wyobrażał sobie szklaną płytę. Słowa, ciosy przechodziły przez niego, jak światło przechodzi przez szybę. W takich chwilach przekształcał się w pryzmat, deformował widmo własnych reakcji, eliminując te, które mogłyby go osłabić: wstyd, ból, lęk...

- *Celaka punya mat sallah!* (Biały kundel!).

Kopniak trafił go w bok. Skórę miał tak spaloną, że ledwie poczuł dodatkowy ból. Nowy cios roztopił się w cierpieniu płynącym z powietrza. Reverdi rzucił krótkie spojrzenie w górę. Raman znów spacerował tam i z powrotem. Jacques zacisnął zęby, chwycił za szczotkę i zaczął w myślach kreślić sobie portret tego, którego starał się unikać od chwili przybycia do Kanary.

Abdullah Madhuban Raman, lat pięćdziesiąt dwa, ojciec pięciorga dzieci, muzułmanin fundamentalista, czysty koncentrat władzy i sadyzmu. W kambodżańskim więzieniu Reverdi miał okazję poznać urzędników okrucieństwa. Nadzorców, którzy przyswoili sobie brutalność jako jeden z obowiązków służbowych. Raman nie miał nic wspólnego z taką umiarkowaną wersją klawisza. Widok cierpienia pobudzał go erotycznie. Wpadał w trans. Był czystej wody psychopatą bardziej niebezpiecznym od wszystkich morderców z Kanary razem wziętych.

Był Malajem, ale w jego żyłach płynęła krew tamilska. W czarnej twarzy tkwiły dwie wielkie dziurki od nosa niczym nozdrza byka. Źrenice miał jeszcze czarniejsze, a jego twarz, płaska, poprzecinana głębokimi zmarszczkami, przypominała twarze australijskich Aborygenów.

Sukinsyn miał około metra osiemdziesięciu pięciu, wzrost wyjątkowy w Malezji, i nosił stale, mimo upału, ciemną kurtkę z galonami, ściśniętą w pasie i układającą się po obu bokach w sztywne kanty. U pasa wisiała mu cała bateria groźnych narzędzi - spluwa, pałka elektryczna, granat z gazem łzawiącym, klucze... Opowiadano, że wybił jednemu z więźniów oko kluczem od ostatnich drzwi - tym od bramy więzienia.

Raman, fanatyk religijny, członek zakazanej sekty „al arqam”, był też nieustannie napalonym homoseksualistą. Eric uprzedzał o tym Reverdiego, ale apetyt nadzorcy przekraczał najgorsze przewidywania. Drań myślał wyłącznie o dupie. Otoczył się klanem na swoją miarę, klawiszami o tej samej orientacji seksualnej, amatorami kulturystyki i sportów walki. Ostre pedały, lubiące torturować i bić po mordzie, opłacane hojnie przez Ramana świeżym mięsem. Wszystkich więźniów przerażały krzyki dochodzące wieczorami z łaźni. Ale Eric się mylił: ofiary nie były gwałcone. Tylko bite do krwi, do omdlenia. Po czym klawisze, oszołomieni zapachem krwi, pieprzyli się między sobą.

W takich chwilach naczelnny oprawca pierwszy wychodził z przeklętego budyneczku, chwiejąc się na nogach, oślepiiony słońcem i wyrzutami sumienia. Więźniowie obserwowali go z daleka, przerażeni, lękając się nowych represji.

- Przerwa! - wrzasnął Raman za plecami Reverdiego. - Na dzisiaj koniec.

Jacques wiedział od początku, że jego status europejskiej gwiazdy zapewni mu szczególne traktowanie. Robota, którą wyznaczono mu dzisiaj rano, oznaczała początek zabawy.

- Jutro będziesz robił przy innej ścianie - powiedział strażnik, podchodząc do niego bliżej. - I tak dzień w dzień. - Ogarnął dziedziniec spojrzeniem swoich czarnych jak węgiel oczu. - Nie chcę widzieć najmniejszej plamki na tych kurewskich murach!

Jacques wyprostował się i spojrzał klawiszowi prosto w oczy. Powiedział mu cicho, po malajsku:

- Straciłeś punkt, chłoptasiu.

Raman jednym ruchem odpiął pałkę i uderzył więźnia w nagą pierś. Ten ledwie miał czas osłonić ramionami zebra.

- Tutaj ja liczę punkty!

Reverdi nie opuścił oczu. Raman znów podniósł pałkę, po czym nagle uśmiechnął się, pokazując swoje niezwykle białe zęby, jakby w głowie zaświtało mu jakieś inne okrucieństwo.

- Kiedy cię będą wieszali, szmato, nie spojrzysz już tak na nikogo. Wpieprzą ci kaptur na łeb i to będzie ostatnia rzecz, jaką poczujesz.

Jacques powoli pokiwał głową.

- Wiesz, że wisielcom staje jak capom? Będziesz mi mógł wreszcie obciągnąć, laleczko.

Pałka świsnęła znów. Reverdi w ostatniej chwili uchylił się w bok i dostał między szyję a ramię. Lewy obojczyk trzasnął głośno. Ból przeszył go skośnie, aż po łopatkę. Cofnął się, zachwiał, ale nie upadł. Ze łzami w oczach rzucił nonszalanckim ruchem szczotkę do kubła.

- Przrzekam ci, że jak stąd odejdę, nie będziesz już taki ważny.

Raman wcisnął kciukiem z całych sił przycisk w swojej elektrycznej pałce, ale się powstrzymał. Podchodzili do nich inni więźniowie. Wszystkie oczy były w nich wlepione. Atmosfera drgała od niejasnej nadziei. Spodziewali się pojedynku na szczycie między dwoma olbrzymami - Białym i Czarnym.

Ale nadzorca nie był dość szalony, by zaryzykować. Przypiął pałkę do pasa i odwrócił się bez słowa. Szedł krokiem tak twardym, tak mechanicznym, że zdawał się kuleć. W miarę jak się oddalał, jego sylwetka rozpływała się w białym upale.

\*

Jedenasta rano.

Jacques wymachiwał ciężarkami, czując przy każdym ruchu ten sam ból. Obojczyk: złamany czy nie? Zamiast odpowiedzi podnosił w górę swoje bryłki betonu. Chciał zagłuszyć ten ból innym, który zadawał sobie sam, torturując swoje mięśnie.

Jakiś głos go zawołał. Reverdi zatrzymał się raptownie. Leżał na ławie z podkurczonymi ramionami. Zastanawiał się, kto ośmielił się przeszkodzić mu w takiej chwili. Rozluźnił mięśnie, powoli złożył ciężarki na podstawkach i wstał, ociekając potem.

*Tengku.*

Reverdi powinien był się domyślić, że to on. Tylko ten dzieciak był dość lekkomyślny, żeby przerwać mu w samym środku ćwiczeń. Po malajsku *tengku* oznacza stanowisko królewskie - więź pokrewieństwa, choćby odległego, z jednym z dziewięciu sułtanów kraju. Hadża Elahe Numah należał do rodu sułtana Peraku. Siedział w Kanarze za handel narkotykami. Aresztowano go za posiadanie czterystu gramów heroiny. Członkowie rodzin królewskich zwykle nie trafiali do więzienia: jeden telefon załatwiał sprawę. Ale tym razem ojciec chciał dać synowi nauczkę, pozwalając mu gnić przez kilka miesięcy w Kanarze. W ten brutalny sposób chciał zniechęcić chłopaka do szprycowania się.

- Przeszkadzam? - spytał po angielsku.

Reverdi, nie odpowiadając, chwycił swój T-shirt. Wciągnął go. Zabolalo znowu. A

więc obojczyk poszedł. Cholera.

Hadza usiadł naprzeciw niego na rozgrzanym cemencie. Był to młody, zgrabny mężczyzna o długiej szyi i miedzianej cerze. Miał dyplomy kilku angielskich uniwersytetów, ale rozum wypaliły mu narkotyki. Jego oczy, okrągłe jak źrenice strusia, były zupełnie nieruchome. Wydawały się wpatrywać w jakąś niewidzialną stronę świata.

- Czego chcesz?

- Chciałbym...

*Tengku* zawahał się i przerwał.

- No, wypluj.

Reverdi nie mógł pogodzić się z tym, że część jego osoby będzie złamana, zniszczona. Już wyobrażał sobie siebie z ręką na temblaku. Hadza zdecydował się wreszcie:

- Ile byś wziął, żeby mnie chronić?

- Chronić ciebie? Kto ci zagraża?

- Chińczycy. Filipińczycy.

- Dlaczego Chińczycy mieliby się do ciebie przychrzaniać? Jesteś ich najlepszym klientem.

Ojciec Hadzy chciał wyprowadzić syna na ludzi, ale popełnił błąd. Pod względem narkotyków młody arystokrata miał w Kanarze jak w raju, tym bardziej że matka przysyłała mu cichaczem okrągłe sumki.

- Mam... mam przeczucie, że to długo nie potrwa.

- Dlaczego?

- Jeśli mój ojciec się dowie, co dostaję od matki, to... Hadza przerwał w pół zdania. Stale robił wrażenie, jakby połykał ostatnie słowa, zamiast je wymówić. Reverdi czuł, jak wzbiera w nim obrzydzenie: ten narkoman przypominał mu Ipoh i chodzące trupy otępiałe od leków.

- Jak nie będziesz miał pieniędzy, to jak będziesz mógł mi płacić?

- Mógłbym... No więc... Mógłbym zostać twoją...

Hadza opuścił wzrok. Reverdi zrozumiał, co oznacza to zakłopotanie. Wstał z ławki.

- Nie jesteś w moim typie, skarbie. Gdybym miał cię wziąć pod opiekę, to ani za dupę, ani za pieniądze.

- No to za co?

- Bo tak by mi się spodobało. To wszystko. Spadaj.

Chłopak rzucił mu wzgardliwe spojrzenie i nie ruszył się. Mimo swej wagi piórkowej, swej kruchości, zachowywał się nadal jak arystokrata. Reverdi podniósł głos:

- Spadaj, mówię ci!

Narkoman zmył się. Potruchtał po betonie jak myszka na wątych łapkach.

Zaryczała syrena wzywająca na apel. Jedenasta trzydzieści. W tym momencie Reverdi zrozumiał prawdziwy powód swego złego humoru. Nie był to ani malajski szajbus, ani ból obojczyka.

Nawet nie zagrożenie, które zaciskało się wokół niego tu, w więzieniu. Nie, to była ta dziewczyna. Elisabeth. To ona nie dawała mu spokoju.

Jednak czekał na jej list. Jimmy miał przyjść dzisiaj, a on już się niepokoił, że adwokat niczego mu nie przyniesie. To uzależnienie upokarzało go. Jak mógł ucześcić się takiego drobiazgu?

\*

Jimmy był w świetnej formie. Wkładał w tę sprawę całą swoją pasję i zdawał się wciąż czekać w zamian na jakiś przejaw zrozumienia ze strony swojego „klienta”. Reverdiego nie zdążono jeszcze przykuć do podłogi, kiedy adwokat zaczął:

- Tydzień był bardzo udany. Rybacy zrezygnowali z oskarżenia pana. Zaproponowałem im układ: jeśli nie będą zeznawać jako świadkowie, pan nie złoży na nich skargi. Zapominamy o usiłowaniu zabójstwa z ich strony. Transakcja korzystna dla wszystkich.

Jacques nie przerywał mu, niech się nacieszy swoimi osiągnięciami.

- To nie wszystko. Wykryłem, że podczas pańskiego aresztowania doszło do poważnego naruszenia procedury. Policjanci w pośpiechu nie podali na piśmie okoliczności zatrzymania. W dodatku na komendzie głównej niczego pan nie powiedział. Z punktu widzenia prawa malezyjskiego to bardzo istotne. W protokole pana zeznań po prostu nie ma. Sprawdziłem w kodeksie postępowania karnego, co to oznacza, i...

- Masz listy?

\*

Poszedł do swojej kryjówki.

W porze obiadowej łaźnia była pusta. Przeszedł wzdłuż umywalek i skrył się w jednej z kabin, jak uczeń, który chowa się, żeby popalić.

Jego korespondencja podwoiła się niemal, ale on złapał tylko jeden list. Rozpoznał pismo na pierwszy rzut oka. Okrągłe kształty samogłosek, wysokie brzuszki „d” i „b”. List został wysłany ekspresem. A więc po drugiej stronie łańcuszka najwyraźniej się niecierpliwiono.

Pierwsze czytanie zajęło ledwie kilka sekund, ale uśmiech pozostał mu na ustach.



Przewidział dobrze. Będzie mógł się zabawić z tą dziewczyną. W istocie prosiła go o wybaczenie i zapewniała, że jest gotowa wszystkiego wysłuchać: „Różne bywają głębie. I wszystkie mnie ciekawią”.

Omali nie parsknął śmiechem.

Jednej rzeczy ta pannica nie rozumiała.

Że to nie on będzie się spowiadał.

Tylko ona.

## 19.

Chadidza wiedziała, że to sen.

Ale we śnie przeżywała tę scenę tak, jakby była wspomnieniem.

Stała przed zamkniętymi drzwiami. Przegroda z marnej sklejki, którą można by wywalić jednym pchnięciem ramienia. A przecież wpatrywała się w nią jak w jakąś świętą bramę, zakazany próg emanujący tajemniczym ciepłem. Słyszała zza drzwi trzaskanie ognia. Suche, wyraźne, jakie wydają płonące w ognisku gałęzie akacji.

Podeszła jeszcze bliżej. W tym momencie drzwi wypadły, jakby wessane do wnętrza. Ognisty podmuch owionął jej twarz. Czerwona bomba wybuchła przed jej oczami, ale nie oparzyła.

Widziała przed sobą ognistą komnatę. Ogarniętą płomieniami. Nawałnice dymu wznosiły się z podłogi. Ze ścian odpadały strzępy tapet. Pośród tej katastrofy zdawało się, że jakieś kłapiące szczęki pochłaniają wszystkie przedmioty: nocną lampkę, kołdry, ubrania... Chadidza zrobiła krok do przodu i zmrużyła oczy, żeby lepiej rozróżnić kształty w głębi łóżka.

Siedzący mężczyzna był jej ojcem. Jakby czekał na lekarza. Albo na grabarza. Płonął, a z jego ciała wydzielaly się ciemne wyziewy. Zdawał się rozmyślać w skupieniu, podczas gdy jego twarz była już tylko trzeszczącą czarną maską. Chadidza czuła na jego widok lęk, przykrość, ale całkiem niewspółmierną z przerażeniem, jakim powinno to ją napawać. Coś w rodzaju tremy, jak przed wejściem na podium dla odebrania nagrody.

Jakiś głos szepnął do niej: „Nie bój się. Chce ci coś powiedzieć”. Odwróciła się i zobaczyła, że człowiek, który do niej mówi, też płonie. Miał ogoloną głowę i był ubrany w togę. Poznała go: był to bonza ze słynnego zdjęcia, który dokonał samospalenia w Wietnamie na chodniku ulicznym, siedząc w pozycji lotosu. Teraz stał, tak samo łysy, tak samo w płomieniach. Orbity miał już puste, ale bardzo białe zęby nie chciały się palić. Położył dłoń na ramieniu Chadidzy. To dotknięcie uspokoiło ją. Nie czując już w ogóle strachu, ruszyła w kierunku łóżka i zrozumiała, że idzie po czerwonym morzu falującym pod jej stopami.

Usiadła naprzeciw ojca, jak u wezglowia chorego wracającego do zdrowia. Ale tamten spojrzał wtedy na nią okrutnym wzrokiem. Zamiast oczu miał dwa krateru wulkanu.

- Mam piach w głowie.

Chadidza odsunęła się. Mężczyzna zaczął ryczeć. Płomienie tryskały mu z ust:

- Mam piach w głowie! To twoja wina!

Otworzył ramiona, czarne i twarde jak gałęzie spalonego drzewa. Chadidza zobaczyła strzykawkę wbłą w zagięcie łokcia. Ten obraz był najbardziej absurdalny ze wszystkich: jej ojciec już od lat nie robił sobie zastrzyków w ramiona. Powtarzał:

- To twoja wina. - Jego głos trzeszczał jak ognisko, ale podobnie jak bonza zęby, widoczne poprzez dym buchający mu z ust, miał wciąż nietknięte. - Nie oczyściłaś mojego wacika!

Chadidza podniosła się przerażona. Głos zgrzytał:

- Tam był piach. Piach w wacie. To twoja wina!

Chadidza chciała się tłumaczyć, lecz płonący kłęb waty zatkał jej usta. Głos syczał wciąż wśród trzasku płomieni: „To twoja wina!”. Znów próbowała odpowiedzieć, ale wata parzyła ją i dusiła jednocześnie. Jej słowa nie przedostawały się przez usta: „To nieprawda... Zrobiłam wszystko jak zawsze... Wszystko oczyściłam...”.

\*

Obudziła się cała drżąca.

Poduszka była mokra od potu i łez.

Czuła jeszcze smak spalenizny w gardle, nie rozumiała, co się z nią dzieje. Sięgnęła ręką za łóżko i poczuła pod palcami chłód kafelków. To dotknięcie przywróciło ją rzeczywistości. Wstała, uważając, żeby się nie uderzyć o mansardowy sufit. Jej pokój był maleńki, ledwie pięć metrów kwadratowych. Nic nie było tutaj na jej miarę.

Przetarła oczy, żeby odzyskać pełną świadomość. Dym znikł. Znikły obrazy ognia. Ile lat jeszcze będzie musiała przeżywać ten koszmar? Jak długo będzie żyła z tymi niedorzecznymi wyrzutami sumienia?

Rzuciła okiem na budzik: trzecia rano. Już nie zdoła zasnąć. Wyciągnęła się na łóżku. Czuła, że zbiera jej się na wymioty.

W miarę jak wracała do przytomności, była coraz bardziej zdeterminowana: musi zostać modelką. Oderwać się od swoich gównianych korzeni. Opuścić tę służbówkę na poddaszu. Zacząć żyć w prawdziwym komforcie. Dzięki forsie, dzięki awansowi społecznemu zdoła się wyrwać ze swojej przeszłości, z koszmarów.

Uśmiechnęła się w ciemnościach do swoich myśli. Myśli nędzarza wyobrażającego sobie, że pieniądze mogą wszystko zatrzeć.

Pomyślała o ostatnich castingach. Fiasko za fiaskiem. Agencja zapewniała ją jednak, że powinna wytrwać: jej wygląd ma „potencjał”. Ale dlaczego nigdy jej nie wybierali?

Usłyszała głos dupka w nowojorskiej czapeczce: „Twoja teczka troszkę trąci myszką”.

Musi więc mieć inne zdjęcia, bardziej nowoczesne, bardziej trendy. Mówiła to szefowi agencji, ale on powiedział, że nie opłaci ani jednego fotosu więcej. No więc co?

Mdłości wzbierały ciągle, obciążając jej ciało, myśli.

Oparła się na łokciu i powzięła decyzję. Te zdjęcia załatwi sobie sama. Wróci do roboty w kafeterii Casino, w supermarkecie Cachan. Pal diabli zapach frytury. Pal diabli upierdliwego szefa. Pal diabli pętaków, którzy gapili się na nią przez szybę części samoobsługowej, jakby była jednym z dań.

Wyszła z łóżka, zgięta pod spadzistym sufitem.

Najpierw zwymiotuje.

Potem doczeka do rana i wróci do roboty.

## 20.

Marc w ogóle nie interesował się wojną w Iraku.

Od dwudziestego marca amerykańskie rakiety ostrzeliwały Bagdad ze zdwojoną siłą, ale ani go to grzało, ani ziębiło. Komar ukłuł w plecy nosorożca. Zajmowało go tylko, czy ten konflikt nie zakłóci działania poczty międzynarodowej. Od dwóch tygodni czekał, gubiąc się w domysłach, wyobrażając sobie trasę, którą zmierza list Reverdiego, zastanawiając się wciąż, czy nie zgrzeszył nadmiarem optymizmu. Morderca może wcale nie ma ochoty pisać do Elisabeth...

Na razie więc studiował wciąż na nowo zebrane materiały.

I miał oko na sprawę Papanu. Wydawała się jednak zamknięta. Od początku wojny już nikt w Malezji nie zajmował się Reverdim. Co rano sprawdzał w Internecie dzienniki z Kuala Lumpur, przeglądał depesze agencyjne, dzwonił do ambasady francuskiej. Za każdym razem traktowano go tam jak wariata, jakby pomylił jednocześnie czas i przestrzeń. Co to, nie słyszał, że jest wojna? Jedynym pozytywnym osiągnięciem było to, że otrzymał wreszcie nazwisko adwokata Reverdiego: Jimmy Wong-Fat. Ale nie dostał żadnej odpowiedzi na pytania, które do niego posłał.

Tymczasem „Le Limier” pracował na zwolnionych obrotach. Sprzedaż utrzymywała się na najniższym poziomie, a dziennikarze przebywali w stanie hibernacji. W tym odretwieniu Marc żył w rytmie swych porannych spacerów na ulicę Hipolita Lebas.

Alain przyjmował go z uśmiechem na ustach, częstując za każdym razem nowym żarcikiem. Odgadł chyba jednak, że tu „coś w trawie piszczy”, a cała ta historia ma jakieś podłoże osobiste. Co rano Marc odchodził z opuszczonymi ramionami i Wietnamczyk zaczął przyglądać mu się ze współczuciem. Nawet jego kawały stały się łagodniejsze, bardziej wspierające.

Do soboty dwudziestego dziewiątego marca.

Tego dnia podał mu pod szybą nowy list.

Kanara, 19 marca 2003 r.

Droga Elisabeth, nie mam opinii człowieka o czułym sercu. Mimo to Pani nowy list mnie wzruszył. Naprawdę. Wyczułem w nim jakiś poryw szczerości, spontaniczności, który zrobił na mnie wrażenie. Stwierdziłem, że wyzbyła się Pani nędznego żargonu

psychologów i zrezygnowała z pretensjonalnej wyższości.

Ten nowy ton spodobał mi się, bo zadźwięczał prawdziwie.

Jeśli chce Pani nawiązać ze mną szczerzy kontakt, musi mnie Pani przekonać, że ta szczerłość jest prawdziwa. Dopiero wtedy ja z kolei będę mógł się przed Panią otworzyć. I pisać do niej tak, jak do przyjaciółki.

Jeśli chce Pani uzyskać coś ode mnie, musi mi Pani najpierw napisać coś o sobie. Jakieś zwierzenia.

Jestem pletwonurkiem, specjalizuję się w nurkowaniu na bezdechu. Kontakt z kimś - nawet listowny, nawet stąd, z więzienia - mogę rozpatrywać tylko w kategoriach głębi. To w głębi Pani przeczytam prawdę o naszej relacji. Dopiero wniknąwszy pod Pani skórę, będę wiedział, czy mogę Pani wysłuchać, czy mogę zbliżyć się do Pani, czy nie.

Czy zechce Pani zwierzyć mi się? Czekam na odpowiedź. Nasza przyszłość jest w Pani rękach. Tylko Pani określi naturę naszego wspólnego zanurzenia.

Do przedkiergo

Jacques Reverdi

Tak samo jak za pierwszym razem, Marc osłupiał.

Ale teraz było to osłupienie innego rodzaju. Aż nie mógł uwierzyć w rozmiar swego zwycięstwa. Nigdy by sobie nie wyobraził tak gwałtownego zwrotu w tak krótkim czasie. A może to pułapka? Ale o jaką pułapkę mogło chodzić? I co więzień chciał w nią schwytać?

Nie. Zmiana tonu opłacała się, to wszystko. Drapieżca wyczuł szczerłość drugiego listu. Do tego doszła nuda, samotność, okrucieństwo więzienia. W tych warunkach nawet taki Reverdi musiał być bardziej podatny na objawy zainteresowania dochodzące z zewnątrz.

Nie zdejmując rękawiczek, Marc chwycił za flamaster i blok, który mu służył do pisania na brudno. Jego odpowiedź można było streścić jednym słowem: „Oczywiście”. Zrobił wszystko, czego zabójca będzie się domagał.

Pisząc list, Marc drżał z podniecenia. Jeśli tak pójdzie dalej, jeśli nie popełni błędu, uzyska prawdziwe zwierzenia: tego był pewien. Na progu śmierci morderca powie mu wszystko. I wtedy może on, Marc, zrozumie morderczy popęd. Ujrzy czarną iskrę.

W trzydzieści minut napisał cały tekst. Spisanie go ręką Elisabeth zajęło mu następne pół godziny. Był coraz lepszy w każdej dziedzinie: w koncepcji listu, w ręcznym pisaniu... Jak za dwoma poprzednimi razami, zrobił kopię za pomocą swojego faksu. Archiwum prywatne. Potem spojrział na zegarek: jedenasta trzydzieści.

Znów pobiegł na pocztę przy ulicy Saint-Lazare. Była sobota i zamykano w południe.

Po drodze przyszedł mu do głowy niepokojący ustęp z listu Reverdiego, który nieco zmaćił jego radość: „Dopiero wniknąwszy pod Pani skórę, będę wiedział, czy mogę Pani wysłuchać, czy mogę zbliżyć się do Pani, czy nie...”. Gdyby takie słowa napisał człowiek normalny, byłoby to dziwne. Ale kiedy tak pisze morderca zdolny wbić dwadzieścia siedem razy nóż w ciało kobiety, można wziąć to sformułowanie dosłownie...

Marc zaczął przemawiać sobie do rozsądku. Potwór jest za kratami. Za kilka miesięcy będzie stracony. Do tego czasu Marc musi grać ostro i wyrwać mu jego tajemnicę.

Przechodząc przez próg urzędu, znów poczuł się lekko. Kiedy wsunął list i poprosił o wysłanie ekspresem, ogarnęło go coś w rodzaju oszołomienia. Przekraczał nową granicę. Nowe ciśnienie, nowe ryzyko...

- Pan coś mówił? - spytał urzędnik pocztowy.

Marc zaprzeczył ruchem głowy, ale wargi go zdradziły. Na myśl o swoim zanurzeniu, powiedział do siebie: „Uwaga na zapasć”.

## 21.

Środa, drugi kwietnia, jadalnia więzienia w Kanarze.

Od dwóch tygodni częstowano ich telewizyjnymi obrazami - nocnymi, abstrakcyjnymi - nowej wojny w Zatoce. Kwiaty świateł. Bukiety siarki. Bruzdy ognia na tle zielonkawej nocy. Przy wtórze proirakijskich komentarzy, ograniczających się do wyrażenia naturalnej solidarności między muzułmanami. W więzieniu te wydarzenia nabierały charakteru czegoś odległego i mętnego. Wszyscy mieli to gdzieś.

Ale tego wieczoru było inaczej.

Pokazywane obrazy były o wiele bliższe.

I budziły lęk.

Mężczyzna z twarzą przesłoniętą maseczką higieniczną, z rękawicami chirurgicznymi na rękach i z workiem na śmieci naciągniętym zamiast kombinezonu, starannie sprzątał hol jakiegoś budynku. Komentarz wyjaśniał, że rzecz się dzieje w rezydencjalnym kompleksie w Koulunie, zachodniej części Hongkongu, gdzie przeszło dwieście pięćdziesiąt rodzin odbywa kwarantannę.

W jadalni wszyscy więźniowie w milczeniu wpatrywali się w ekran, jakby kontemplowali zapowiedź końca świata. Jacques Reverdi, stojąc w końcu sali, też obserwował tę scenę i po raz tysięczny zastanawiał się, jaką korzyść może wyciągnąć z epidemii SARS, nietypowego zapalenia płuc. Instykt bojownika podpowiadał mu, że z tych okoliczności można coś wydobyć. Ale co?

O tej chorobie mówiło się od przeszło dwóch miesięcy.

Chińczycy zaczęli opowiadać, że Hongkong i prowincja Guangdong na południu Chin są ogarnięte epidemią śmiertelnej grypy. Stopniowo dowiedziano się, że ta grypa jest niezwykle - „nietypowym”, mówiły gazety - zapaleniem płuc. W marcu wiadomość potwierdzono oficjalnie: ostre zapalenie płuc o nieznanym charakterze rozprzestrzeniło się w Hongkongu i Kantonie, pochłaniając setki ofiar śmiertelnych. Zaraza rozwijała się także w Azji Południowo-Wschodniej. Wymieniano przypadki zgonów w krajach sąsiednich: w Hanoi w Wietnamie, w Singapurze.

Na panikę w więzieniu nie trzeba było długo czekać. Najpierw odbywali kwarantannę Chińczycy. Potem nikt nie chciał się do nich zbliżyć, jakby już byli zakażeni wirusem.



Następnie różni więźniowie zaczęli zdradzać objawy choroby. Gorączka, poty, kaszel... Objawy czysto psychologiczne, ale maseczki higieniczne były już na wagę złota. Także tradycyjne chińskie medykamenty, amulety, ocet...

A informacje wciąż napływały, coraz bardziej niepokojące: ogłoszono już alarm na skalę światową. Opisywano chorobę jako infekcję o piorunującym działaniu. Zabijała w kilka dni, bez możliwości wyleczenia. I wystarczyła odrobina zakażonej śliny lub potu, żeby się nią zarazić.

Jacques nie chciał ulegać panice. Podczas swoich podróży nie takie rzeczy widział. Stykał się z trędem, dżumą i mnóstwem zaraźliwych chorób. Zresztą jest już skazany. Ale musiał przyznać, że wiadomości nie są zbyt zachęcające. Był nawet zaskoczony, że dyrekcja więzienia dopuszcza tutaj takie informacje. Każdemu siedziała w głowie ta sama myśl: jeśli SARS przedostanie się do więzienia, w kilka tygodni wykończy wszystkich. Kanara przekształci się w gigantyczną hodowlę śmierci.

Telewizja przeszła na wojnę w Iraku, ale już nikt tego nie oglądał. W jadalni podnosił się szum. Niektórzy pytali, dlaczego więźniowie sprzątający więzienie nie są niczym chronieni. Inni mówili o petycji z żądaniem umieszczenia Chińczyków w oddzielnym budynku. Sami Chińczycy, skupieni w swoim kącie, zaczęli się awanturować. Wszystko to zapowiadało drakę.

Reverdi wołał się wycofać.

Na zewnątrz panowało podniecenie, jak zawsze o siedemnastej. Więźniowie uwijali się po dziedzińcu, załatwiali swoje sprawy, nim zostaną zamknięci znowu, na całą noc. Wymieniali rzeczy, kupowali, handlowali. Jedni kłócili się, miotali, denerwowali. Inni, przeciwnie, mówili po cichu, kryjąc w dłoni telefony komórkowe. Mrówki wydzierające sobie drobinki przestrzeni i nadziei...

Jacques przeszedł wzdłuż ściany stołówki i dotarł do dziedzińca kuchennego, gdzie cuchnęło tak, że nikt się tutaj nie zapędzał. O tej porze był to kwadrat różowej barwy przypominający wygasające ognisko. W środku płynął strumień: tłusta woda i płynne resztki. Jacques zaczął spacerować tam i z powrotem. Miał wrażenie, że brodzi w płynnym gnoju.

Przestał myśleć o SARS i przeszedł do swego ulubionego tematu: Elisabeth. Czekał na jej list. I ta niecierpliwość drażniła go coraz bardziej. Mała gra, w którą chciał wciągnąć studentkę, zajmowała o wiele za dużo miejsca w jego myślach. Myśliwy, żeby być skuteczny, musi być zawsze spokojny i chłodny.

A on wykręcał sobie palce i liczył dni.

Czwartek, dziesiąty kwietnia, rozmównica więzienna.

- Mam dobre wiadomości.

Reverdi westchnął.

- Zawsze masz dobre wiadomości.

Wong-Fat nie dał się zbić z tropu.

- Zdobyliśmy kolejny punkt. Marn...

- Wiesz, co mnie interesuje.

Jimmy zagryzł wargi. Jacques wyczytał w jego oczach rozczarowanie, które go rozbawiło. Chińczyk był zazdrosny.

- Mówi pan o listach? Przyniosłem. Ja...

Jacques zrobił wyrazisty gest. Adwokat wysypał koperty na stół. Tym razem było ich mniej. Skutki wojny. I SARS. Albo nawet efekt znudzenia: w Europie już o nim zapominano.

Przerzucił szybko listy. Jeden przytrzymał ręką. Rozpoznał pismo. W tym momencie widok rozdartych brzegów koperty zabolął go. Zrozumiał ostrzeżenie: nie mógł dłużej znosić tego pogwałcenia swojej intymności. „Ich” intymności.

Wziął do ręki list Elisabeth, resztę zostawił na stole.

- Odkładamy nasze spotkanie do jutra.

- Jacques, pański proces zaczyna się za parę tygodni i...

Reverdi potrząsnął mocno swoimi łańcuchami, żeby strażnik go od nich uwolnił.

- Jutro - powtórzył. - Jutro poproszą cię o przysługę.

- Jaką przysługę?

- Jutro.

\*

Znowu zmierzch.

Nie może się dostać do swojej zwykłej kryjówki.

O tej porze prysznic są zajęte. W „wieczory pokoju” pedzie chowali się tam, żeby uprawiać swoje erotyczne gry. W „wieczory Ramana” nikt tego nie ryzykował.

Nie mógł też pójść w okolice kuchni: nie potrafiłby czytać jej listu w wyziewach żarcia. Postanowił wrócić do celi, choćby miał zamknąć się w niej i wyrzec posiłku.

Okrażył centralne budynki, przeszedł wzdłuż bloku C i wstrzymał oddech, by minąć spokojnie blok D, gdzie znajdowało się to, co nazywał „ścianą płaczu”. Było to coś w rodzaju parapetu wychodzącego na niezabudowany teren: tam w dole polowali na klientów tajscy transwestyci. Większość więźniów nie miała za co zafundować sobie prawdziwego numeru, ustawiali się więc za tym murkiem i wyęzając wzrok, ugięci w kolanach, brandzłowali się jak

epileptycy, przyglądając się transwestytom powiewającym spódnicami. Reverdi chętnie spaliłby ich na miejscu z miotacza płomieni, tylko po to, by dodać światu parę stopni godności.

Dotarł do bloku B, gdzie znajdowała się jego cela. Wszedł po schodach i ruszył dalej wąskim korytarzem. W dole rozciągnięta była wielka siatka dla zapobieżenia próbom samobójstw. Zawsze widziało się na niej dogorywające ptaki, które zaplątały się w jej oka jak w pułapkę. Przeszedł szybko wzdłuż galerii. O mury odbijały się i mieszały ze sobą różne melodie - gwałtowne rapy i słodkawe romanse. W drzwiach otwartych cel grupy więźniów siedziały, grając w kości, kontynuując transakcje rozpoczęte na dziedzińcu, prowadząc niekończące się narady. Ich pot zamieniał się w cuchnącą mgiełkę, coś w rodzaju lepkiej wilgoci czepiającej się nagich stóp.

Jacques dotarł do swojej celi i bez wahania zatrzasnął drzwi, choć wiedział, że nie będzie już mógł ich otworzyć. Usiadł na podłodze po turecku i wsunął palce do rozdartej już koperty.

W myśli nakazał złożonej kartce, by nie ważyła się go rozczarować.

Paryż, 29 marca 2003 r.

Drogi Jacques, Pański list wprowadził mnie w prawdziwe uniesienie. Jestem taka szczęśliwa, że zrozumiał Pan moje intencje, wyczuł, że nic nie ukrywam!

Dziś prosi mnie Pan o rękojmię szczerości. Nie rozumiem, co to oznacza, ale odpowiadam: „Zrobię, co tylko Pan zechce”.

Wystarczy, by Pan zapytał, a nie będę miała przed Panem żadnych tajemnic. Ale uprzedzam: jestem tylko nieskomplikowaną studentką. Paryżanką, która chce studiować i próbować zrozumieć innych. W mojej osobowości jako takiej nie ma nic naprawdę pasjonującego. Mimo to, jeśli moje obnażenie może okazać się mostem przerzuconym między nami, to tak, powiem Panu wszystko...

Ale czy mogę liczyć na to, że potem Pan z kolei doręczy mi jakieś klucze do swojej osobowości? Czy mogę modlić się, by Pan poczynił mi kiedyś jakieś zwierzenia?

Jacques, drogi Jacques, czekam na pytania... Śpieszno mi przeczytać Pański list i zobaczyć, jak Pańskie pismo mówi do mnie pośrednio - o mnie. O nas.

Czekam na list. I żeby być całkiem szczerą - czekam już tylko na to.

Elisabeth

Reverdi patrzył przez więzienne okienko w niebo. Było ogniście czerwone. Ciepło listu rozpływało się w nim. Struga życia rozchodziła mu się po żyłach, wnikała w każde włókienko ciała. Powiew szczęścia.

Znów pogratulował sobie inteligencji. Wciąż był drapieżcą, który umie wybrać ofiarę. Uzyska od dziewczyny to, czego chce. A jej wyznania, pomijając bariery, które będzie musiała przełamać, niedyskrecje, jakie z nich wynikną, zapowiadały się nawet ciekawie...

Będzie mógł wniknąć w jej intymność.

I poznać kolor jej krwi.

## 22.

- Coś nie w porządku? Co z panem?

Jacques Reverdi nie był w stanie odpowiedzieć. Zwiął się na krześle, zgarbiony nad stołem. Ból przenikał mu brzuch jak paląca sonda. Przypomniały mu się te rozpalone żelazne pręty, które myśliwi na dalekiej Północy wbijają lisom w odbyty, żeby nie uszkodzić skóry.

Jimmy pochylił się nad biurkiem:

- Mam... mam wezwać lekarza?

Reverdi zwinął się w kłębek, pobrzękując łańcuchami. Wytrzymał jakoś do rozmównicy, ale teraz...

- Nie wytrzymam - wydusił z siebie. - Biegunka. Nie... Nie chce ustąpić. Musiałem nawet zatrzymać się w sraczu po drodze. Ja...

Nie dokończył zdania. Jęk zagłuszył jego słowa. Jimmy wstał i obszedł stół dookoła. Jacques spojrzął mu nad ramieniem. Zobaczył strażnika, który wahał się, czy też ma podejść. Zrozumiał, że ma czas. Porzucił na tę chwilę skarżący ton i powiedział cicho:

- W korytarzu. Sracz.

Jimmy wzdrygnął się.

- Cco?

- Trzecia kabina na lewo od drzwi - powiedział Reverdi bardzo cicho. - Za spłuczką.  
List.

- Co... Co pan mówi?

Reverdi chwycił go za klapy marynarki - plecy adwokata zasłaniały scenę strażnikowi.

- Słuchaj skurwielu. Nażarłem się wczoraj wieczór *cili padi* (papryki), żeby być dzisiaj w takim stanie. Żeby się zatrzymać w tym sraczu w porze wizyt.

- Wie pan dobrze, że nie mogę...

- Stul pysk. Wychodząc stąd, zrób to co ja. Idź się odlać. Zabierz list. Wsadź go sobie w portki. Trzecia kabina od drzwi.

- Co... Co mam z nim zrobić?

- Wyślesz go ze swego biura w Kuala Lumpur. Tak, jak ci powiem. Adres jest na kopercie.

Reverdi rozluźnił chwyt. Gwałtowny spazm skręcał mu wnętrzności, skwierczały

okropnie, niczym cynaderki smażone na patelni. Nie był pewien, czy nie zrobi kupy tutaj, wprost w rozmównicy.

- To... To niedozwolone - próbował jeszcze się bronić Jimmy.

- Co jest dozwolone? - odpowiedział, zaciskając pośladki. - Małe dziewczynki, które załatwiasz?

- Jeśli chce mnie pan szantażować, to ja...

- Zrobisz, co ci mówię, i basta.

Adwokat wsadził palec między szyję a kołnierz koszuli.

- A jeśli mnie zauważą? To uniemożliwi mi pracę w tym...

- Rób, co ci mówię. Wyślij ten list. - Wykrzywił się w uśmiechu. - Ale uwaga! Nie waż się go czytać. Jest jak blizna. Jeśli spróbujesz go otworzyć, ja to poczuję w moim ciele. Lepiej więc nie ryzykuj, bo pożałujesz.

## 23.

- Mam nadzieję, że to nie są narkotyki?

Marc nie odpowiadał. Wpatrywał się przez szybę w przesyłkę w rękach Alaina. Był zdumiony. Zaszedł na pocztę jak co rano, ale nie spodziewał się niczego przed dwudziestym kwietnia.

Tymczasem dziś, piętnastego kwietnia, list już czekał na niego.

Foliowana koperta z logo DHL.

- Co tam jest w środku? - spytał urzędnik.

- Pojęcia nie mam.

- Znowu z Malezji. - Alain pochylił się, rozejrzał się wokoło, potem wyszeptał z ustami tuż przy szybie: - Mętnie wygląda ta pańska historia...

Marc nie odpowiedział. Miał ochotę przeskoczyć nad kontuarem i złapać kopertę.

- Od kiedy korzysta pan z adresu na poste restante, dostał pan tylko trzy listy. Wszystkie z Malezji. Co to znaczy?

- Nie przejmuj się pan. Czy mogę dostać mój list?

Urzędnik zrobił minę, jakby nie miał zamiaru wypuścić go z rąk.

- A pańska przyjaciółka, jak się czuje?

- Moja przyjaciółka?

Alain uśmiechnął się, spoglądając na twarz Marca przyłapanego na tym, że nie pamięta swojej bajeczki. Odczytał z koperty nazwisko adresatki.

- Elisabeth Bremen. Pańska kumpelka. Podobno unieruchomiona w łóżku. Ta, co dostaje listy tylko z Malezji.

- Spędziła tam sporo czasu - zmyślił Marc na poczekaniu, czując, że sytuacja robi się nieprzyjemna. - Studiuje ekonomię.

- A jej biodro?

- Biodro?

- Wypadek. Przy siatkówce.

Marc w żaden sposób nie mógł się skupić na pytaniach Alaina. Myśli kłębiły mu się w głowie: a więc Reverdiemu udało się wysłać odpowiedź pocztą ekspresową, poza więzienną cenzurą. Co było w tej kopercie?

- Wychodzi z tego - powiedział z wysiłkiem. - Ale to potrwa jeszcze parę tygodni. Da mi pan, do cholery, mój list czy nie?

Alain zeszywniał. Powoli, jakby z żalem, położył foliowaną kopertę w bębnie, koło okienka.

- To w związku z jej studiami - uśmiechnął się Marc. - Niech się pan nie martwi.

Chwycił kopertę. Od razu zobaczył na górze po lewej adres nadawcy.

JIMMY WONG-FAT

7TH FLOOR, WISMA HAMZAH-KWONG HING

NO. 1. LEBOH AMPANG

50 100 KUALA LUMPUR, MALAYSIA

Adwokat Reverdiego. Zapamiętał jego nazwisko. Odtąd ich korespondencja będzie szła przez niego - na pewno chodzi o dyskrecję.

Marc wyszedł z poczty jak nieprzytomny. Musiał się hamować, żeby nie rozedrzeć od razu tu, na chodniku, brzegu koperty.

Pobiegł do pracowni, przyciskając swój skarb do serca.

Kanara, 10 kwietnia 2003 r.

Droga Elisabeth, przyjmujesz reguły naszej umowy. Cieszę się. A więc to Ty będziesz mówić pierwsza, a ja zabiorę głos potem.

Zrozumiałaś: potrzebuję rękojmi.

A ta rękojmia jest szkarłatna.

Istnieje przekład Biblii, zwany Biblią Jerozolimską, i jeden jego ustęp zawsze robi na mnie wrażenie. Mam na myśli Księgę Rodzaju, 9,1-6. Te cyfry na pewno nic Ci nie mówią, chodzi po prostu o koniec historii Noego i jego arki.

Wszyscy mamy w pamięci pozytywny obraz tego człowieka, który powraca w towarzystwie par zwierząt, żeby zaludnić ziemię. Prawda jest okrutniejsza: Noe wraca z pożywieniem dla ludzi. Po potopie gniew Jahwe ustąpił. Gatunek ludzki może żyć, ale tylko poświęcając zwierzęta. To jest łaska udzielona przez Boga: ludzie mają teraz prawo zabijać zwierzęta i żywić się nimi.

Ale Jahwe dodaje jeszcze coś, co ma zasadnicze znaczenie: nie będą mieli prawa pić krwi, która jest „Jego” własnością. To jest element stały we wszystkich religiach: krew zawsze wytacza się na ołtarz, nikt nie ma prawa jej tknąć. Bo krew - Biblia Jerozolimska stwierdza to wyraźnie - jest duszą ciała. A dusza należy do Boga.

Dlaczego Ci to mówię? Bo w tej myśli kryje się głęboka prawda. Pokaż mi swoją krew, a powiem ci, kim jesteś...

Wystarczy kilka pytań. Odpowiedz mi ściśle, a ja w zamian otworzę ci drzwi mojego



ducha.

Pisałaś w swoim pierwszym liście, że masz dwadzieścia cztery lata. Myślę, że nie miałaś jeszcze zbyt wielu miłosnych przygód. Ale przypuszczam, że już nie jesteś dziewczicą. Przeszłaś przez to, Elisabeth? W jakim wieku? Pamiętasz jeszcze tę pierwszą noc?

Nie chcę żadnych sentymentalnych szczegółów. Tylko jedna rzecz mnie interesuje: czy obejrzałaś, po akcie, ślad, który zostawiłaś w pościeli? Czy spojrzałaś dyskretnie, niemal odruchowo, na tych kilka cząsteczek siebie, które porzuciłaś na zawsze?

Czy pamiętasz kolor tej krwi? Opisz mi, Elisabeth, te małe brunatne wysepki szczegółowo, własnymi słowami. Opowiedz mi, co czułaś, kiedy zdałaś sobie sprawę z tej straty. Ta utracona krew, to poświęcona przez Ciebie odrobina Twojej duszy.

Pójdźmy jeszcze trochę dalej.

Przed utratą dziewictwa jest jeszcze jeden próg. Kobieca macica przebudziła się w Tobie. Wtedy też pojawia się krew. I to też jest nieodwracalne... Jak się odbył tamten „pierwszy raz”? Nie pytam Cię o okoliczności. Chcę tylko, żebyś mi opisała ten pierwszy okres, ciepły i nieznany.

Zanurz się w swoje wspomnienia i znajdź trafne słowa, żebym mógł zobaczyć, tu, na stronie Twojego listu, barwę tego intymnego płynu... Opisz mi też, jaka jest dzisiaj twoja krew menstruacyjna. Jak przeżywasz ten regularny upływ?

Ostatnie pytanie - widzisz, nie pytam Cię o zbyt wiele... Czy pamiętasz jakąś ranę - wypadek lub co innego - z której wypłynęłaby twoja krew? Jakiej była barwy? Co poczułaś na jej widok? Czy oprócz bólu nie miałaś jakiegoś innego uczucia, bardziej niepokojącego? Jakiejś nieokreślonej rozkoszy, zrodzonej z pojawienia się krwi, z jej wpływu na świat zewnętrzny?

Kończę na tym. Nie chcę Ci niczego sugerować. Odpisz mi szybko, Elisabeth. Niech Twe zwierzenia przypieczętują nasz pakt jak między dziećmi, które nacinają sobie nadgarstki, żeby zmieszać swoją krew.

Ostatni punkt, bardzo istotny: do następnego listu wsuń swoją fotografię. Chcę koniecznie przyjrzeć się Twojej twarzy. I mieć ją przed oczyma, myśląc o Tobie.

I jeszcze uwaga techniczna: nasza korespondencja w żadnym wypadku nie może przychodzić na adres więzienia. Musisz teraz wysyłać listy na adres mojego adwokata, przez pocztę DHL. Jeśli nasze kontakty mają się zacieśnić, niech też staną się szybsze. Czekam na Twoje pisanie - i na Twój widok.

Jacques

Marc był złodowaciały i rozgorączkowany jednocześnie. Drapieżca wychodził z lasu. Ujawniał swoją naturę - występłą i gwałtowną. Zdradzał swoją obsesję krwi. To już

samo w sobie było sensacją. Ale ten zwrot budził jednocześnie niepokój: Reverdi obwąchiwał Elisabeth jak ofiarę. Chciał poczuć zapach jej krwi. Po co? Żeby lepiej ją sobie wyobrazić pokrajaną nożem?

Marc wyciągnął przed siebie dłonie, jak zawsze w rękawiczkach: drżały mocno. Z podniecenia i strachu. Zamiast rozmyślać godzinami o tej przepaści, która właśnie otwarła się przed nim, wstał.

Zrobić mógł tylko jedno.

Wyruszyć na poszukiwanie odpowiedzi, jakich od niego żądano.

## 24.

- Przychodzi pan w sprawie żony?

- Nie jestem żonaty.

- Swojej przyjaciółki?

- Nie... ja właściwie...

- Właściwie co?

Pani doktor uśmiechała się, ale głos zdradzał zniecierpliwienie.

Miała pomarszczoną twarz, brązową i krągłą jak gryczany placuszek. Emanowała z niej podobna słodycz, podobnie swojski smak. Krótko obcięte, bardzo białe włosy kontrastowały z ciemną cerą, podkreślały jej doświadczenie, budziły zaufanie.

Gabinet pasował do tej atmosfery życzliwości: czuło się tu przytulność starych mebli, lakierowanych bibelotów, spatynowanych przez czas i ręce. Ciężarne kobiety musiały lubić tę przystań, leżącą w samym środku VI dzielnicy.

- Bardzo rzadko przyjmuję tu mężczyzn - wyjaśniła wobec milczenia Marca.

Spodziewał się takiej uwagi i miał przygotowane kłamstewko.

- Jestem pisarzem. W powieści, którą obecnie piszę, bohaterką jest kobieta. Otóż nie mam o tym pojęcia. To znaczy o tym, co stanowi intymność kobiety.

- Co pan nazywa „intymnością”?

- No cóż... Chcę, żeby czytelnik miał naprawdę wrażenie, że jest na jej miejscu, rozumie pani? Chciałbym zwłaszcza odtworzyć pewne jej wspomnienia... związane z krwią. Z krwią miesięczkową. Z dziewictwem. Z ranami.

- Czemu z krwią?

Patrzyła na niego uważnie swymi ciemnymi oczami. Miały szarą barwę czarnych pereł. Marc, zakłopotany, obciągnął na sobie marynarkę.

- Powiedzmy, że to jest „licencja” autora. Myślę, że to jest mocny symbol.

Lekarka nie wyglądała na przekonaną. Spotkanie zapowiadało się trudniejsze, niż przewidywał. Zdołał się na nie umówić w ostatniej chwili, po całym dniu bezskutecznych poszukiwań.

Najpierw w wyspecjalizowanych księgarniach przerzucił kilka podręczników ginekologii - nie zrozumiał nic. W dodatku te dzieła nie przynosiły najważniejszego - śladu

autentycznego przeżycia, głosu żywego świadka. Nazajutrz postanowił poradzić się specjalisty. Ta pani ginekolog była jedyną, która zaproponowała mu spotkanie jeszcze tego samego dnia, o dziewiętnastej.

- Co pan właściwie chce wiedzieć?

Wyciągnął notes i ołówek.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, że będę notował?

Machnęła lekceważąco ręką.

- Najpierw chciałbym wiedzieć, czy krew mężczyzn ma ten sam skład co krew kobiet?

- Oczywiście, że nie.

- Co je różni?

- Hormony. Krew kobiety zawiera estrogeny i progesterony.

Marc zapisał te terminy fonetycznie, tak jak je usłyszał - nie śmiał poprosić, żeby powtórzyła.

- Czy te hormony wpływają na kolor krwi?

- Nie. Raczej na samopoczucie. Gwałtowne zmiany ich stężenia w czasie cyklu menstruacyjnego powodują zmiany nastroju, okresy depresji. Muszę czasem zapisywać pacjentkom plasterki progesteronu, żeby uniknąć napadów chandry.

- Może mi pani coś opowiedzieć o krwi miesięczkowej?

- Z jakiego punktu widzenia?

- Chodzi mi o jej wygląd. Kolor. Przede wszystkim czy jest bardzo obfita?

Lekarka zastanawiała się dłuższą chwilę. Jej twarz ginęła w zapadającym zmierzchu.

- Różnie to u kobiet bywa. Czasem miesięczki są bardzo obfite. Kiedy indziej to tylko kilka kropel. To się zmienia także z upływem czasu. Młode dziewczyny krwawią czasem jak fontanny. Ich mechanizm nie jest jeszcze wyregulowany.

- A kolor? Zawsze taki sam?

- W zasadzie tak. Krew ciemna. Żyłna, mało tlenu.

- Przepraszam. Nie rozumiem związku między jednym a drugim.

- Widzę, że rzeczywiście musimy zacząć od samego początku... Ciało ludzkie zaopatrują w krew dwa obwody naczyń krwionośnych. Pierwszy to arterie: wychodzą z serca i rozprawdzają po organach krew zawierającą tlen. Drugi to sieć żył. To droga powrotna, hemoglobina nie zawiera już wtedy wiele tlenu. Jest więc znacznie ciemniejsza.

- Co ma jedno do drugiego?

- To tlen nadaje krwi jasny odcień.

- Dlaczego miesięczki należą do drugiego obwodu?

- Proszę, proszę, prawdziwy kurs anatomii... Kobieta ma na ściankach macicy śluzówkę, która z biegiem cyklu wypełnia się krwią. To jest rezerwa przeznaczona dla przyszłego dziecka. Matka karmi swego embriona tym, czym żywi swoje mięśnie i włókna: własną hemoglobina. Pod koniec cyklu owulacyjnego, jeśli embriona nie ma, macica reaguje automatycznie i pozwala spłynąć tej niepotrzebnej rezerwie. To są miesiączki. Ta krew, nawet jeśli nie posłużyła do wykarmienia zarodka, jest pozbawiona tlenu. Jest więc raczej ciemna. I jeszcze ciemniejsza przez to, że zawiera cząsteczki śluzówki.

Marc, notując, próbował sobie jednocześnie wyobrazić tę ciecz, której nigdy nie widział.

- Jeśli zawiera cząsteczki śluzówki, to znaczy, że nie jest zbyt rzadka?

- Nie. Raczej gęsta, trochę szlamowata.

Marc, schylony nad notesem, skrupulatnie wszystko zapisywał. Starsza pani nie zapalała światła i w gabinecie robiło się coraz ciemniej.

- Przejdźmy do krwi... Jak to powiedzieć... dziewiczej...

Pani doktor spojrzała szybko na zegarek - ta wizyta musiała jej się wydawać komiczna.

- Czy może mi pani wytłumaczyć to zjawisko? - zachichotał z zażenowaniem. - Tu też należałoby zacząć od zera.

- To jeszcze prostsze. W głębi sromu znajduje się membrana, błona dziewicza. Kiedy członek po raz pierwszy zagłębia się w otwór, przebija błonę.

- I to ona krwawi?

- Tak. Ale uwaga: na ogół już jest bardziej czy mniej naderwana. Wystarczy dotknięcie rękawicą kąpielową albo że dziewczyna się pieściła...

Marc podchwycił ten szczegół. Może to będzie sposobność do opisania jakiegoś intymnego wspomnienia z czasów młodości Elisabeth...

- Jakiej barwy jest ta krew? - zapytał.

Lekarka nie odpowiedziała od razu. Widać było już tylko jej białe włosy kontrastujące z cerą barwy palonej gliny. Chyba się zastanawiała. Marc swymi niezręcznymi pytaniami zmuszał ją do przypominania sobie podstawowych wiadomości.

- W tym wypadku także - powiedziała wreszcie - jest to krew bardzo ciemna. Zawiera cząsteczki błony dziewiczej. I oczywiście także wydzielin macicznych. W zasadzie to się wszystko wiąże z uczuciem rozkoszy.

- W zasadzie?

Marca interesowała każda dygresja, każda opinia osobista.

- Ta rozkosz pojawia się nie za często - wyjaśniała pani ginekolog. - Wchodzi w grę rozdarcie, nowość, jaką jest stosunek seksualny. To wszystko jest, czy kto chce, czy nie, bardzo brutalne. To jest krew z rany. Rany wewnętrznej. Oznacza ona koniec pewnej epoki...

W głosie kobiety wyczuwało się zadumę. Stopniowo do Marca zaczynało docierać, że coś osobliwego dzieje się w atmosferze gabinetu. Ściany, meble ciemniały jak mury jaskini. Słowa lekarki nabierały wymiaru przedwiecznego i magicznego. Miał wrażenie, że słucha jakiegoś wieszczka. Kobieta chyba zdała sobie z tego sprawę. Odchrząknęła i czar przysł.

- Wystarczy to panu? Mam jeszcze inne wizyty.

Kłamała. Nie chciała poddać się czarowi.

- Przepraszam - wtrącił szybko - ale mówiłem pani jeszcze o trzeciej krwi: krwi z ran, powiedzmy, przypadkowych... Może mi pani coś o tym powiedzieć?

Westchnęła i zapaliła lampę. Ażur z pergaminowanego płótna z czerwonymi żyłkami. W złocistym świetle jej twarz wydawała się jeszcze bardziej wiekowa. Oblicze pomarszczone, wyschłe, jakby ekshumowane z piasku.

- Nie mam nic do powiedzenia. To jest krew... zwykła.

- Krew mężczyzny od krwi kobiety nie różni się kolorem?

- Nie. Jej skład nic nie zmienia. Powtarzam panu: jeśli rana zahaczyła o arterie, krew będzie jaskrawoczerwona. Jeśli o żyły, będzie ciemniejsza. To wszystko.

- Ma pani zdjęcia?

- Zdjęcia?

- Tak. Różnych rodzajów krwi, o których mi pani mówiła.

- Nie wiem, co bym miała z nimi robić. Mam tylko zdjęcia medyczne, w skali mikroskopowej.

- Widać na nich kolory?

- Nie. Przykro mi - położyła ręce na biurku. - Teraz...

Przyszły mu na myśl słowa Reverdiego: „...i znajdź trafne słowa, żebym mógł zobaczyć, tu, na stronicy Twojego listu, barwę tego intymnego płynu...”.

- Chwileczkę - nie dał jej dokończyć. - Gdyby pani chciała potraktować rzecz metaforycznie, nadać każdej z tych krwi jakąś wartość symboliczną co by pani powiedziała?

- Proszę pana, ja...

- Tylko parę słów.

Kobieta zawahała się, potem rozsiadła się głębiej w swoim drewnianym fotelu. Przymknęła oczy. Zmarszczki wokół oczu zbiegły się w przelotny uśmiech.

- Powiedziałabym, że krew dziewicza jest gęsta. Obciążona. Jest w niej życie, ale i

śmierć. Koniec niewinności, wolności. Seksualność występuje również u dzieci, ale u nich nie jest więzieniem. Pożądanie to tylko zjawy przenikające ciało przelotnie. Wraz z dojrzałością z defloracją te błędne ogniki nabierają ciała, zabarwiają się na czerwono, stają się organicznymi mocami, z którymi dziewczyna już się nie rozstanie...

Otworzyła oczy.

- Powtarzam panu: to jest krew z rany. Skaleczenie, które nie zblizni się nigdy. To jest głos pożądania. Wieczne wezwanie. Nienasycone.

- Gdyby chciała pani określić jej kolor na palecie malarza, co by pani powiedziała?

- Czerwień brunatna. Między cytryną a truskawką. Coś, co przypomina osady rzeczne, ale także świeżość mięszu. „Czerwień kraplakowa”, tak bym dokładnie określiła ten kolor.

Marc notował gorączkowo.

- Nie wiem, czy interesuje się pan malarstwem. Jest taki obraz Bonnarda, który wymienia się zawsze, kiedy się chce objaśnić, co to jest czerwień kraplakowa: *Kobieta z kotem*. Tło jest właśnie tej barwy. Tło twarde, gęste, ale także pełne nowego życia, bogate, soczyste.

Marc nie mógł sobie wymarzyć lepszego rozmówcy. Pani ginekolog stawiała się poetką. Pytał dalej:

- A dla krwi miesięcznej ma pani jakieś określenie?

- Czerwona ochra. Tam jest też coś ze szlamu. Brązowy szlam, odpad. Okres to nieudane spotkanie. W tym strumieniu jest zawsze jakieś rozczarowanie, jakiś zamęt. To jest pożywienie, które nie znalazło zastosowania. - Przerwała i powiedziała bardziej stanowczo: - Tak, czerwona ochra. Brunatna żałoba. Ziemia karmicielka wrzucona do grobu.

- Może mi pani wymienić jakiś obraz?

- Nie. Raczej pejzaż. To te posępne miasteczka belgijskie czy holenderskie, całe z cegieł, wbite w ziemię, zalewane deszczami.

Marc pisał coraz szybciej - Elisabeth będzie miała czym zappełnić strony.

- Jeszcze tylko słówko na temat ran - wtrącił - i daję pani spokój. W mojej książce - wymyślił na poczekaniu - bohaterka ma wypadek samochodowy. Chciałbym przeciwstawić tę „zwyczajną” krew tamtej, bardziej kobiecej, o której mówiliśmy.

Skrzywiła się, co nadało jej twarzy wyraz maski pośmiernej. Przez sekundę Marc wyobraził sobie spalone twarze z Pompei.

- Kiedy odbywałam praktykę, widziałam wiele ofiar wypadków. Pamiętam swoje zdumienie na widok całej tej krwi. Byłam oszołomiona jej żywością jaskrawością jej... temperamentem. To było jak ukradzione życie, zaskoczony na gorącym uczynku aktywności.

Czerwień karminowa.

- Obraz?

- Obraz bardzo żywy, tak, gdzie kolor byłby jak fanfara. *Wielka Parada na czerwonym tle* Fernanda Legera. Zna pan?

- Nie.

- Niech pan spróbuje zobaczyć. Zrozumie pan. Tło obrazu jest pociągnięte wibrującą czerwienią. Postaci na pierwszym planie są zupełnie białe. - Uśmiechnęła się na wspomnienie obrazu. - Krwinki czerwone, krwinki białe: tak, w tej fanfarze jest prawda krwi.

Mówiąc te słowa, znów położyła ręce na biurku.

- No cóż, nieźle popracowaliśmy, prawda?

Rzeczywiście nieźle. W ciągu jednego spotkania uzyskał wszystkie odpowiedzi, których szukał. Zostawał mu jeszcze tylko ostatni problem: zdjęcie Elisabeth.

Od wczoraj wciąż o tym myślał. Nie było mowy, by mógł wysłać prawdziwą fotografię Elisabeth Bremen, tej z paszportu, który zachował. Przede wszystkim nie chciał jeszcze bardziej pakować w tę historię Szwedki, która, jak miał nadzieję, wróciła do kraju. Ale zwłaszcza jej twarz, kwadratowa jak kamień brukowy, nie odpowiadała gustom Reverdiego.

Trzeba było szukać gdzie indziej i Marc miał już pomysł.

Tym bardziej że to było raptem parę kroków dalej.



## 25.

- Mgiełka: jedyny sposób, żeby uchwycić urodę.

Olbrzym wyjął film i oznaczył go, ścisnąwszy między zębami.

Włożył nowy do aparatu.

- Prawdziwej urodzie nic po dokładnym, dopieszczonym obrazku. Pamiętaj, Chadidża, nie chodzi o wygląd, tylko o ducha. *Spirit*, kapujesz? Odwróć się. Nie. Trzy czwarte. Dobra.

Flesz obryzgał ją światłem, potem nastąpił długi świst. Chadidża zastanawiała się, czy nie wspomnieć olbrzymowi, że właśnie robi doktorat z filozofii, a jego dwugroszowe konsyderacje o mgiełce, duchu i urodzie nadawałyby się znakomicie do antologii największych głupstw myśli estetycznej. Wszyscy jednak zgadzali się co do jednego: Vincent Timpani jest fotografem genialnym. W małym światku modelek mówiło się tylko o nim i jego nieostrych zdjęciach, za którymi szalały magazyny i projektanci mody. On mówił dalej, jak echo jej myśli:

- Dlatego moje zdjęcia są w cenie. Nawet ci pieprzeni agenci i przygłupiaste redaktorki widzą różnicę. Tylko poruszone zdjęcie może uchwycić istotę tematu. Utrwalić to, co ulotne. Odwróć się jeszcze. Bardzo dobrze. Podnoszę rękę, ty robisz krok do przodu, a potem wracasz do poprzedniej pozycji...

W innych okolicznościach uznałaby to wszystko za śmieszne. Ale obracała się w groteskowym świetle i musiała się do niego przystosować. A tej sesji chciała sama. Pracowała ciężko, oszczędzała, zrezygnowała nawet ze zrobienia prawa jazdy, żeby z własnej kieszeni zapłacić za nowe klisze. Ostatnie stopnie ku sławie.

- Teraz. Patrzysz na mnie. Kiedy powiem, odchylasz się w prawo... Jazda... OK. - Strzelił kolejny flesz. - W filozofii buddyjskiej...

Chadidża nie słuchała. W gruncie rzeczy ten słów w wymiętym garniturze podobał jej się. W światku mody uważano go za zbiegłego z cyrku niedźwiedzia, który zdołał się pozbyć kagańca. Był ciężki, z gruba ciosany, całkiem szurnięty. Ale był też szczery, wesoły i robił wrażenie, że przedtem żył jakimś innym życiem. A poza tym był pierwszym od miesięcy facetem, który nie zapytał jej z przejęciem o wojnę w Iraku: „Co ty o tym myślisz jako muzulmanka?”.

- Teraz siadasz po turecku. Dobra... Super. Uwaga: szyja prosto. Na mój znak

pochylasz się do przodu i... kurde.

Flesz nie zadziałał. Vincent krzyknął gdzieś za parasole światła:

- Co się dzieje z fleszami?

Odpowiedziało mu głuche milczenie. Chadidża machinalnie osłoniła piersi ramionami, jakby była naga. W rzeczywistości miała na sobie wąską suknię w pastelową szachownicę, która przypominała jej łańcuszki cukierków, jakie ssała w dzieciństwie.

Fotograf ryczał, naciskając wściekle pilota, którego wyrwał z aparatu.

- Co jest znowu z tymi kurewskimi fleszami? Arnaud? ARNAUD!

Czyjaś sylwetka ruszyła się i pobiegła w te pędy do generatorów rozstawionych pod reflektorami. Vincent wysapał:

- OK, Chadidża. Robimy przerwę. Ja w takich warunkach nie pracuję.

- Ja też nie.

To był żart, ale nikt go nie usłyszał. Chadidża wślizgnęła się w cień, jak do kąpielii leczniczej. Jej oczy odnalazły dobroczynną ciemność. Kochała to studio: wielki kwadrat o betonowych ścianach pomalowanych na kolor wodnej zieleni, w którym stały tylko reflektory i w głębi - wysokie, barwne płócienne parawany.

Podeszła do wygaszonej podświetlarki, na której leżały jej pierwsze polaroidy. Żeby dodać sobie otuchy, udała, że je przegląda. Gdzieś tam szemrała cicha muzyka, trochę etniczna, trochę elektroniczna.

- Napije się pani czegoś?

Odwróciła się w stronę głosu i zobaczyła krępego mężczyznę, stojącego przed otwartą lodówką. Jego sylwetka odcinała się na tle wylewającego się z niej lodowatego światła: szerokie bary, krótkie ramiona. Zapaśnik w miniaturze w angielskiej marynarce, z białymi mankietami wyzierającymi z rękawów.

- Coli - odpowiedziała.

- Light?

- Nie.

Mężczyzna dał nurka w głąb lodówki, potem podeszedł z puszką coli w jednej ręce i butelką piwa w drugiej.

- Cukier przestał być największym wrogiem modelki?

- Jeszcze nie jestem modelką, więc korzystam.

Roześmiała się bez przekonania i wzięła puszkę do ręki. Nie znosiła takiego paplania, tej obowiązującej w Paryżu zupełnie bezsensownej konwencjonalnej lekkości. Nieznajomy uśmiechnął się, pewnie, żeby jej zrobić przyjemność, i pochylił się nad fotografiami: były to

pierwsze próby, bez makijażu.

Kiedy tamten gapił się na polaroidy, ona mu się przyglądała. Rzadko widywała kogoś tak oryginalnego. Był rudy i nosił - potworność absolutna - wąsy. Bardzo cienkie włosy opadały mu na czoło lekkim kosmykiem, gładkim jak mrożony karmel, a ubranie - marynarka w kratę, angielski kołnierzyk - podkreślało jeszcze jego *british* sylwetkę w stylu Sherlocka Holmesa.

Pił piwo drobnymi łyżkami, stale odrzucając suchym gestem opadający kosmyk. Choć było w nim coś wysilonego, brutalnego, wyczuwała w nim swoimi antenami Matki Teresy jakąś wrażliwość, jakąś ranę. A także zapach uzależnienia. Ten gość był naćpany, ale nie heroiną ani koką. Czymś zupełnie innym...

- Nie powiem pani nic o jej wyglądzie - zagadnął w końcu, unosząc głowę. - Pewnie już pani wszystko powiedziano.

- „Wszystko” to właściwe określenie.

Zachodziła w głowę, co by tu powiedzieć, żeby się wydać zabawną, błyskotliwą, paryską, ale na nic jakoś nie wpadła. Uratował ją głos Vincenta:

- Poznaliście się?

Wyszedł z ciemni. Zbliżył się do nich swoim ciężkim krokiem, od którego rozwiewały mu się poły marynarki, i wyrwał z rąk mężczyzny butelkę piwa.

- Chadidza Kacem - powiedział, pokazując ją szyjką butelki. - Przyszła gwiazda naszego małego, próżnego światka. Zresztą ona jeszcze tego nie wie, ale to wszystko - pokazał studio - dostaje gratis. Tak, królowo: jeśli się zgadzasz, wchodzimy w spółkę. Nie płacisz nic za klisze, ale umawiamy się co do przyszłych kontraktów.

Chadidza była zdumiona - nie wiedziała, czy to jakaś kombinacja, czy przeciwnie, świetna okazja. Nie wiedziała nawet, czy pozwala na to jej umowa z agencją. Na razie szepnęła:

- No cóż, dziękuję, ja...

- Marc Dupeyrat - przerwał Vincent, obejmując przyjacielskim gestem barki rudzielca.

- Mój najlepszy przyjaciel. I najbardziej uparty dziennikarz, jakiego znam. Zdrowo razem rozrabialiśmy za dawnych czasów.

Mężczyzna zgiął się wpół w ukłonie.

- W jakiej gazecie pan pracuje? - spytała Chadidza.

Odpowiedział Vincent:

- „Le Limier”. - Zrobił oko do przyjaciela. - Dziennik specjalizujący się w sensacji.

- Nie... nie znam - przyznała dziewczyna.

Dziennikarz znów odrzucił swój kosmyk.

- Nic pani nie traci.

Chadidza nie cierpiała mężczyzn, którzy lubili obniżyć swoją wartość. Na ogół była to oznaka nadmiernej próżności. Jakby w jakimś innym życiu mogli być wariaci o wiele więcej. Albo stawiali siebie z zasady tak wysoko, że mogli gardzić swoją egzystencją.

- Łowca zbrodni - odezwał się znów Vincent. - Amator bardzo krwistych trupów. Pan Dupeyrat mógłby kierować którąś z największych paryskich redakcji, ale nie: woli spędzać życie w sądach karnych i na miejscach zbrodni...

Chadidza już nie słuchała. Zaczynała zdawać sobie sprawę, że wszystko dookoła nabiera ostrości, wibruje, dosłownie śpiewa jej pod skórą. Czystość zielonych nagich ścian studia. Zapach lakieru na jej włosach. Ciężar srebrnych klejnotów na skórze... Każde wrażenie krystalizowało się, stawało bardziej intensywne, unieśmiertelniało chwilę. Znała te objawy, to utajone rozgorączkowanie całej swej istoty. Miłosne podniecenie. Vincent ocalił ją jeszcze raz.

- To jeszcze nie wszystko, musimy wracać. Mgiełka nie czeka. - Klasnął w dłonie. - Do roboty! Arnaud, flesze w porządku?

Chadidza patrzyła w ślad za Vincentem, który biegł w stronę *plateau*. Mimo jego tuszy, kiedy tylko zaczynał się ruszać, pojawiał się za nim coś w rodzaju wrzącego kilwatu, fosforyzującego śladu. Marc mruknął:

- Niech pani idzie. On nie jest z tych cierpliwych.

Chadidza uśmiechnęła się. Znów miała ochotę powiedzieć coś jeszcze, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Cholera. Wróciła na *plateau*. Wizażysta zatrzymał ją na granicy reflektorów, wymachując swoimi pędzelkami. Mimo woli spojrzała za siebie, w mrok. Przysięgłaby, że dziennikarz przygląda jej się, ale z miną zatroskaną niemal zafrasowaną. Narkoman - pomyślała. - Człowiek żyjący z obsesją której z nikim nie może podzielić. I poczuła, że robi jej się gorąco...

Charakteryzator ją zwolnił. Dała nurka na arenę. Miała rozkoszne poczucie, że jest księżniczką ze skupiającą się na niej wszystkie spojrzenia. Vincent rozkazał:

- Znów ta sama pozycja, po turecku. Zrób to bardzo czysto. Musisz wydobyć z siebie to, co masz w sobie z zen.

Chadidza uśmiechnęła się na ten kolejny idiotyzm, ale spełniła jego życzenie. Czowała się zawieszona, jakby przenikało ją i wypełniało jakieś nowe uczucie. Mgiełka wodna, lżejsza od powietrza.

W tej chwili, mimo pogodnego nastroju, mimo reflektorów, wszystko pociemniało.

Pomyślała o swojej tajemnicy.

O przekleństwie, które zakazywało jej miłości.

\*

Oparzenie indiańskie.

Małe dziewczynki nazywają tak torturę, którą sobie wzajemnie zadają. Polega na tym, że obejmuje się mocno nadgarstek ofiary obiema rękami, a potem wykręca się go w przeciwnie strony, powodując bolesne tarcie skóry.

Oparzenie indiańskie.

Nazwa dobrze oddawała charakter tortury. Kiedy Chadidza była mała, wyobrażała sobie zawsze Indian wkręcających kawałek drewna w drugi, przykryty warstwą suchych liści, aż pojawi się najpierw smużka dymu, a potem, stopniowo, żar...

Dokładnie to czuła, kiedy się kochała. Taki ból odczuwała podczas penetracji. Tarcie suchych ciał, gotowych zapłonąć. Radziła się kilku ginekologów. Diagnoza była zawsze ta sama: brak wydzielania wewnątrzpochwowego. Nie było żadnej somatycznej przyczyny. To wszystko z głowy, tłumaczono jej.

Poważnie? Lekarze mówili jej o oziębłości płciowej, o blokadzie, terapii... Zapisywali jej też lekarstwa, maści, „na wypadek pilnej potrzeby”, zarazem dyskretnie podając adres specjalisty, lekarza seksuologa.

Chadidza potakiwała, nie wyjaśniając, że ma już za sobą pięć lat terapii, która pozwoliła jej „przezwyciężyć” niektóre urazy, zwłaszcza skutki wychowania pod znakiem heroiny. Ale te lata introspekcji nic nie pomogły na owo palenie. Chadidza wciąż płonęła. Była wyschnięta na zawsze. Prawdziwa pustynia, zasypana zbielełymi od słońca kośćmi martwych zwierząt.

Mimo to często się zakochiwała. Wystarczył uśmiech, spojrzenie gdzieś na ławce sali wykładowej. Albo nawet w Cachan, w dziale samoobsługowym. Czuła się wtedy cała obolała, chora niemal. Dla niej miłość była promieniowaniem, gorącym, ale i niosącym ulgę, które rodziło się pod piersiami i ogarniało całe ciało. Czerwony koral: tak wyobrażała sobie budzące się w niej pożądanie. Odpowiedzią na nie była zawsze wzajemność. Istna królowa Saba podbijająca mężczyzn. Ale bardzo szybko docierało do nich, że coś tu nie gra. Swym niezawodnym instynktem, nakazującym unikać wszelkich komplikacji, wyczuwali, że Chadidza nie jest taka jak inne. Zbyt posępna, zbyt skomplikowana...

\*

- Ej, Chadidza? Co z tobą do cholery? Ostatni raz cię proszę, żebyś wstała. Słyszysz czy nie?

Posłuchała go. Między dwoma błyskami fleszów próbowała wypatrzeć rudzielca. Czy był tu jeszcze? Czy patrzył na nią? Czula, że coś ją ciągnie do tego dziwnego dziennikarza. A jednocześnie wszystkie anteny ostrzegały przed niebezpieczeństwem: obsesjonat, obojętny na innych, cały we władaniu swojej pasji.

- Teraz się odwróć. Stop! Dobra, trzy czwarte... Bardzo dobrze.

Darmo wpatrywała się w cień parasoli: nie było nikogo.

- Chadidża? Dupa. Mogłabyś się pozbyć tego rozanielonego uśmiešku, co?

Właśnie go wypatrzyła, kręcił się koło podświetlarki. I dokładnie w tej chwili, kiedy go zobaczyła, stał się cud. Scena miłosna, jaka zdarza się tylko w egipskich komediach muzycznych, za którymi przepadała.

Myśląc, że nikt go nie widzi, dziennikarz ukradł i wsunął do kieszeni jeden z jej polaroidów.

## 26.

Kiedy Jacques Reverdi dowiedział się, że do więzienia zwali się „gigantyczna” ekipa lekarska w celu wykrycia ewentualnych przypadków SARS, pomyślał, że to jest właśnie ów szczęśliwy traf, na który czekał. Nie wiedział jednak, w jaki sposób, konkretnie, skorzystać z tej okazji. Myślał nad tym cztery dni i nie znajdował odpowiedzi.

Teraz, dwudziestego trzeciego kwietnia o jedenastej rano, czekał na swoją kolejkę w ogromnym ogonku i wciąż nic nie przychodziło mu do głowy.

W gruncie rzeczy w tej chwili miał to gdzieś.

Bo od dwóch dni był w szoku.

W ten szok wprowadziła go twarz.

\*

Nigdy nie rozumiał lekceważenia, z jakim mówi się o urodzie przy ocenie kobiety. Jakby musiała być przede wszystkim geniuszem, świętą, matką, strażniczką wartości moralnych. Jakby podziwianie jej twarzy, ciała, wyglądu było obelgą. Same kobiety wołały zawsze być kochane dla ich „urody wewnętrznej”.

Czyste bzdury.

Piękno fizyczne jest darem Boga. Zwłaszcza twarz. Skupia się w niej cud harmonii, równowagi. Narzuca milczenie. Cicho, ani słowa... Podziw i nic więcej. Cała reszta to tylko żużel, brud, zanieczyszczenia. Wszystko, co się nazywa „wymianą”, „dzieleniem się”, „poznaniem drugiego”, to tylko kłamstwa. Z prostego powodu: kobieta, kiedy tylko zaczyna mówić - kłamie. Nie potrafi wypowiadać się inaczej. To jej odwieczna natura. Bezkształtna, zbita, zwodnicza ruda, z której nie potrafi się wydobyć.

Swe towarzyszkę dobierał zawsze dla ich urody. Dostrzec twarz na ulicy: tylko tyle i aż tyle. Cała reszta to już tylko strategia, kalkulacja, manipulacja. Od pierwszego odezwania się do swej „wybranki” sam zaczynał kłamać. Wkraczał w nikczemny krąg stosunków między ludźmi. Kiedy tym kobietom zdawało się, że go odkrywają, osaczają, właśnie oddalały się od niego, zagłębiały się w pułapkę, którą na nie zastawiał.

Przypomniała mu się piosenka Georges’a Brassensa, *Mijane*:

*Chcę ofiarować ten wiersz,*

*Wszystkim kobietom kochanym,*

*Przez kilka tajemnych chwil...*

Słowa tego wiersza prześladowały go zawsze. Uważał, że streszczają jego Poszukiwanie. Intymny i wieczny dramat: dostrzeżona w pociągu, w tłumie, na ulicy piękna twarz, której pozwala się odejść, chociaż jakiś nieodparty popęd ku niej popycha. Liczy się tylko to pierwsze olśnienie. Pierwotna iskra.

Właśnie dlatego przesłana fotografia zauroczyła go, chociaż miał zamiar tylko wydobyć z Elisabeth zwierzenia, by zabawić się jej kosztem.

Tego się nie spodziewał. Wcale. Każdy rys jej twarzy był dla niego objawieniem.

To, co wyłaniało się spod czarnych loków, było wyraziste, ostre, wsparte wysokimi kośćmi policzkowymi i mocnymi brwiami. Jednocześnie dolna część twarzy tchnęła jakąś łagodnością, czułością. Zwłaszcza usta, wargi, zakreślające jasny łuk, wyrażały zmysłowość przekorną, rozbawioną nawet.

Ale uwagę przykuwały zwłaszcza oczy. Czarne tęczówki, o przejrzystości kwarcu, otoczone lśniącym pierścieniem (może złotą obwódką, ale zdjęcie, polaroid, było czarno-białe) i z lekka asymetryczne. To dziwne przesunięcie na osi źrenic dawało efekt nieodparty. Przenikało na wskroś zwykłe filtry percepcji, przesady, nawyki, rozbijało w drobny mak wszystkie zabezpieczenia, każdą osłonę. Wobec tego spojrzenia widział się nagi, topniał, kapitulował, trafiony w samą głębię swej istoty.

„Trafiony” to było właściwe słowo.

Nieuleczalnie raniony. Pożądanie było aż bolesne. Wezwanie, niepokój... Gdyby Jacques spotkał tę „mijanę” na plażach Koh Surin czy wśród ruin Angkoru, wybrałby ją natychmiast. Nigdy nie pozwoliłby jej stać się którąś z tych „zawiedzionych jednodniowych nadziei”, o których śpiewał Brassens. I byłaby jego najpiękniejszą zdobyczą. Wyparłaby z jego pamięci wszystkie te, które niegdyś wybrał.

Ta twarz zmieniała wszystko.

Jacques zdecydował się zgodzić na wyznania.

A nawet na coś więcej.

\*

W kolejce wybuchło zamieszanie.

Jacyś ludzie miotali się, słyhać było krzyki. Reverdi ocknął się ze swoich rozmyślań. Może to był właśnie ten szczęśliwy traf, na który czekał. Przepchał się przez tłum i zobaczył leżącego na betonie człowieka podrzucanego konwulsjami. Toczył z warg krwawą pianę. Miał oczy w słup. Epilepsja, pomyślał Jacques. Facet za chwilę połknie własny język.

- Odsuńcie się! - wrzasnęła po malajsku.



Ściągnął z siebie T-shirt i podsunął go pod kark wstrząsanemu drgawkami mężczyźnie. Chwycił łyżkę, którą miał zawsze przy sobie, i wsadził w usta chorego. Musiał się do tego zabierać kilka razy. Wreszcie oparł swój instrument o podniebienie. Powietrze znów mogło dostać się do krtani.

Potem przewrócił ciało na bok, żeby chory nie udusił się swoimi wymiocinami. Niebezpieczeństwo minęło. Atak przejdzie. Dopiero teraz rozpoznał epileptyka: był to Indonezyjczyk, morderca kobiet przezywany „Witriol”, bo oszpecał swe ofiary kwasem.

- Co się dzieje?

Jacques odwrócił się w kierunku głosu. Wśród tłumu pojawiła się jakaś twarz osłonięta białozieloną maseczką chirurgiczną. Odsunął się. Lekarz zbadał Indonezyjczyka, któremu drgawki już przeszły. Zrobił to samo, co Reverdi, obejrzał choremu kark, gardło.

Opuścił maseczkę. Był to stary lekarz więzienny, Hindus nazwiskiem Gupta. Spytał mimochodem:

- Kto to zrobił?

Reverdi zrobił krok do przodu i powiedział po malajsku:

- Ja. Trzeba mu zrobić zastrzyk z valium.

Doktor zmarszczył brwi. Był to starzec o woskowej twarzy, z włosami spadającymi na czoło. Przeszedł na angielski:

- Jesteś lekarzem?

- Nie. Pracowałem jako ratownik.

Gupta zerknął na Indonezyjczyka: wymiotował krótkimi spazmami. Łyżeczka pobłyskiwała mu jeszcze w głębi ust, niczym dowód rzeczowy.

- Skąd jesteś? Z Europy?

- Z Francji.

- Za co cię tu wsadzili?

- Chyba tylko pan tego nie wie. Za morderstwo.

Lekarz potrząsnął głową jakby przypominał sobie teraz o „specjalnym więźniu”. Pojawiło się dwóch pielęgniarzy, położyli Witriola na noszach. Lekarz wstał, zdjął maseczkę i powiedział do Reverdiego:

- Idziesz ze mną.

\*

Reverdi dobrze znał izbę chorych: przed każdym obiadem przychodził tu po lekarstwa. Składała się z jednego segmentu o ścianach pokrytych listwami z czarnego drewna. Wewnątrz były trzy pomieszczenia: duża sala, w której stały żelazne łóżka, gabinet lekarski

oraz w głębi, po lewej, kłitka, gdzie spoczywały „archiwa”: kilogramy teczek pożółkłych przez kolejne pory roku, suche i monsunowe.

Zwykle ten barak był najspokojniejszym miejscem w więzieniu. Tylko kilka kalek jęczało na łóżkach, czekając na przeniesienie do szpitala. Dziś stał tu cały tłum: tłoczyli się między chwiejącymi się ścianami, rozpychali się łokciami, miotali tak, że niewiele brakowało, by baraczek się przewrócił. Lekarze, wyglądający jak kosmonauci, urządzili przy każdym z łóżek coś w rodzaju „gabinetu”, a wokół nich stali ciasno więźniowie: niespokojni, przerażeni, pilnowani przez uzbrojonych strażników, którzy wcale nie wyglądali na spokojniejszych od nich. Wszyscy zdawali się bać niewidzialnego nieprzyjaciela, gotowego zaatakować w każdej chwili: SARS.

- Chodź ze mną - syknął Gupta z za swojej maseczki.

Przecisnęli się przez tłum. Lekarz chodził dziwacznie, kołysząc ramionami, ni to chuligan, ni to garbus. Reverdi, wyższy od tłumy o głowę, podążył za nim. Usłyszał jakiegoś lekarza, który charczał z wysiłku, nie mogąc się uporać z niewidocznymi żyłami jednego z narkomanów. Inny wrzeszczał, bo trysnęła na niego strużka krwi.

Wyglądało na to, że cała wizyta lekarska ma na celu tylko pobranie od wszystkich krwi, która przelewała się strumieniami. Krew we flakonach, w rurkach, w żyłach. Dziesiątki różnych naczyń napełniano, opatrywano etykietkami i wynoszono w ażurowych skrzynkach. Reverdi był bliski mdłości. Nie mógł znieść widoku krwi - było to dokładne przeciwieństwo jego Poszukiwania. Krew męska. Krew nieczysta.

Gupta otworzył przesuwane drzwi. Reverdi z uczuciem ulgi wszedł do cichego gabinetu. Solidne dębowe biurko, porozrzucane tekturowe teczki, drewniana miarka do mierzenia wzrostu, waga, tablica okulistyczna z literami wszystkich wielkości. Prawdziwe prowincjonalne ambulatorium.

Lekarz zdjął stosik teczek z krzesła stojącego naprzeciw biurka.

- Siadaj.

Usiadł sam i znów zdjął maseczkę. Na jego brunatnej twarzy malowało się wyczerpanie i irytacja. Reverdiemu przyszła na myśl poduszeczka do tuszu, zbyt długo używana i nosząca ślady wielu pieczętek.

- Właściwie za co siedzisz?

- Za nic.

Gupta westchnął.

- Mam szczęście żyć w świecie samych niewiniątek.

- Nie powiedziałem, że jestem niewinny.

Stary człowiek przyglądał mu się uważnie.

- O co jesteś oskarżony? - spytał.

- Zabójstwo kobiety. Europejki. W Papanie. Jacques Reverdi: nie słyszał pan tego nazwiska?

- Mam pamięć jak rzeszoto - westchnął lekarz. - Tutaj to raczej atut. Zresztą nie obchodzi mnie, co zrobiłeś za tymi murami.

Skrzyżował ręce i znów zamilkł na dłuższą chwilę. Było to milczenie nerwowe, naelektryzowane. Pod stołem wciąż stukał obcasami w podłogę. Za drzwiami hałas się nasilał.

- Znam dobrze tego epileptyka... Witriol. Leczymy go, ale on odsprzedaje swoje lekarstwa. Wiesz, że uratowałeś mu życie?

- To chyba dobrze?

- Albo źle. Zabił przeszło dwadzieścia kobiet. Ale i w tym wypadku nie o to chodzi. Jesteś pod śledztwem?

- Tak.

- A więc nie ma dla ciebie roboty w warsztatach?

- Nie.

- Zgodziłbyś się nam pomagać w wypadku epidemii SARS?

- Żaden problem.

- Nie boisz się zakażenia?

- Już nie żyję. Na sto procent będę skazany.

- Bardzo dobrze. To znaczy, chciałem powiedzieć...

Za drzwiami hałas był coraz większy. Jakiś lekarz przeklinał, bo ktoś zrzucił na ziemię kilka flakonów. Jacques pomyślał o krwi - o całej tej krwi wydobytej z żył i świecącej w mętnym świetle...

Skojarzyło mu się to z listem Elisabeth. Jej zwierzenia były kolejną przyjemną niespodzianką. Wyrażała się inteligentnie, niebanalnie. Sposób, w jaki mówiła o swojej krwi - nazwy kolorów, porównania z obrazami - wprawił go w subtelne podniecenie. Te obrazy oddziaływały na wszystkie jego zmysły i musiał przyznać, że czytając raz za razem jej porównania, kilkakrotnie się onanizował.

- Hej, mówię do ciebie!

Jacques wyprostował się na krześle. Gupta wstał i znów założył масечkę.

- Zaczynasz jutro - powiedział zduszonym głosem. - Ja zajmę się papierkami. Tak czy inaczej, SARS czy nie, potrzebujemy ludzi.

Reverdi też wstał. W tym momencie zauważył to, czego podświadomie szukał od

chwili, kiedy wszedł do gabinetu: gniazdko telefonu. Uśmiechnął się mimo woli. To był ten szczęśliwy traf, na który czekał.

- Cieszę się, że będę mógł się przydać - powiedział cicho.

## 27.

Tydzień później wciąż jeszcze nie odpowiedział Elisabeth. Musiał najpierw upewnić się co do niektórych rzeczy. Jego zamysł wymagał przygotowań, czekał więc z przekazaniem jej swoich dyrektyw, aż wszystko wyjaśni.

Czternasta.

Poszedł na izbę chorych.

Poprzedniego dnia przysłano wyniki badań krwi: wszystkie negatywne. W więzieniu nie było ani jednego przypadku infekcji związanej z SARS. Zaniepokoił się, że odbiorą mu pracę na izbie chorych, ale Gupta zdołał przekonać władze więzienne, że numer 243-554 jest mu potrzebny. Reverdi korzystał więc teraz z pewnej swobody ruchów. Wyglądało na to, że wskutek wielkiego wstrząsu, jakim była rzekoma epidemia, całkiem o nim zapomniano. Nawet Raman poluźnił mu wodze.

Praca w ambulatorium była obrzydliwa, ale on się nie skarżył. W tydzień zorientował się, na czym polega. Głównym wrogiem były infekcje. Ropiejące rany, ciekące wrzody, galopujące gangreny. Były też egzemy, podrażnienia, alergie, tym liczniejsze, im było goręcej. Więźniowie drapali się do kości, puchli w oczach. Trafiły się też kontuzje, skutki upadków, otwarte złamania. No i codzienne tło: dyzenteria, beri-beri, malaria, gruźlica...

Co do nagłych wypadków to uczestniczył już w pięciu interwencjach. Samobójstwo za pomocą brzytwy, ciężkie pobicie, tajemniczy upadek ze schodów, inny, jeszcze bardziej tajemniczy upadek do kotła z gorącą zupą i wreszcie „psychol”, który próbował się udusić, połykając własne gówno. Rutyna.

W rzeczywistości „wielką sprawą” było co innego. Mimo starań Gupty o rzetelną opiekę medyczną izba chorych była przede wszystkim terenem nieustającego biznesu kontrolowanego przez Ramana. Za wejście się płaciło, a leczenie miało swoją cenę. Do tego dochodził jeszcze regularny handel środkami uspokajającymi i innymi lekami. Reverdi sam korzystał z tego systemu, nie mógł marzyć o lepszym miejscu do odsprzedawania swoich lekarstw i odnawiania klienteli: narkomani na głodzie stanowili pięćdziesiąt procent pacjentów więziennej izby chorych.

Jacques stał o parę metrów od bloku, kiedy ktoś go zawołał. Odwrócił się nieufnie: rozpoznał głos. Był to Raman.

- Chodź tutaj.

Jacques posłuchał, ale zatrzymał się poza zasięgiem pałki.

- Musimy pogadać - cicho powiedział nadzorca po malajsku, rozglądając się wokoło.

- O czym, szefie?

- O twojej nowej robocie.

Reverdi bez zmrużenia oka wpatrywał się w czarną twarz Ramana, przypominającą kawałek meteorytu, który spadł z jakiejś diabolicznej galaktyki. Wiedział, o czym sukinsyn chce mówić - o podziale zysków z nielegalnego handlu odbywającego się w izbie chorych, a zwłaszcza z jego własnych pigulek. Ale udął, że nie wie, o co chodzi:

- Może lepiej pogadać o tym z doktorem Gupta nie?

Raman nie drgnął, po czym uśmiechnął się nagle. Jego rysy zawsze jakby się czyły. Każda nowa mina zaskakiwała rozmówcę.

- Chcesz udawać idiotę? Proszę bardzo. Ja też mam pytanie. Wiesz, dlaczego skazańców wieszka się zawsze w obecności chirurga?

Jacques spał się.

- Nie, szefie.

- Bo wisielców - chwycił się za gardło - zawsze trzeba zszywać. Sznur rozdziera skórę, kapujesz? Mam nadzieję, że to przynajmniej nie jest sprzeczne z twoją religią?

Reverdi milczał przez dłuższą chwilę. Potem, naśladując Ramana, uśmiechnął się nagle.

- Lepiej być zszytym po śmierci niż za życia.

Zrobił do niego oko. Raman patrzył na niego niepewnie. W końcu powiedział:

- Przyszedł twój adwokat. Jest w rozmównicy.

\*

Jimmy czekał na niego w swojej zwykłej pozie. Gorąca kawa stała przed nim na stole. Jacques wpatrzył się w białą filiżankę. Adwokat zaczął swą okolicznościową przemowę, kiedy Reverdiego przykuto już do podłogi. Ale ten mu przerwał:

- Twoja kawa jest dobra?

Wong-Fat zawahał się, zerknął na strażnika.

- Doskonała.

- Lepsza niż zwykle?

Chińczyk przytaknął. Po jego woskowej twarzy spływał pot. Jacques wyciągnął rękę.

- Mogę spróbować?

Tamten skinął głową. Z kolei Reverdi zerknął na klawisza, który drzemał w upale.

Chwycił filiżankę tak, by strażnik jej nie widział. Zanurzył palce w gorącym płynie i wyciągnął z niego elektroniczny przyrządek zawinięty w plastik.

Przedmiocik drobniutki, chromowany, płaski jak kalkulator. Uśmiech.

Teraz już mógł pisać do Elisabeth.

## 28.

Kanara, 1 maja 2003 r.

Przepraszam za to opóźnienie, ale musiałem poczynić pewne przygotowania z myślą o naszych nowych stosunkach. W dodatku pracuję teraz na izbie chorych, co zabiera mi wiele czasu i energii.

Przeczytałem uważnie Twój ostatni list. Bardzo spodobały mi się Twoje odpowiedzi. Powiem więcej: ujął mnie styl wypowiedzania się, opisywania szczegółów, które dotyczą Cię najbliższej i które tak mi leżą na sercu.

Ale zwłaszcza odkryłem twoją twarz. Muszę wyznać, że byłem zachwycony. Nigdy bym nie podejrzewał, kiedy czytałem Twój pierwszy list, że za tamtą prostacką prośbą kryje się taka subtelna twarz.

Elisabeth, wierzę w twarze tak, jak się wierzy w mapy. Pokazują one otwarcie skład gleb, klimat regionów, dżungli w głębi ładu... A twarze odbijają wewnętrzną prawdę ludzi. Dostrzegłem w Twoich rysach inteligencję i wolę zrozumienia, dzięki którym powinniśmy razem zejść bardzo daleko.

Teraz kolej na moją odpowiedź. Ale muszę uprzedzić: nie potrzebuję Twoich pytań. Wiem, co Cię interesuje. Wiem, na co liczysz.

Muszę Cię jednak rozczarować: takich prawd się nie opowiada. Są to doświadczenia zbyt mocne, zbyt pełne, przesycające całą istotę człowieka. Nie mam ochoty rozpisywać się na taki temat. Zubażać go słowami, brukać wyjaśnieniami.

Jeśli chcesz, Elisabeth, zrozumieć moją historię, to droga jest tylko jedna: moja. W dosłownym sensie tego wyrazu.

Gdzieś w Azji Południowo-Wschodniej, między zwrotnikiem Raka a linią równika, biegnie inna linia.

Czarna linia.

Znaczona ciałami i przerażeniem.

Możesz ją dziś prześledzić, jeśli dasz się poprowadzić, z daleka, moimi radami. Czy to Cię interesuje? Oczywiście. Mogę sobie wyobrazić, jak błyszczą Twoje czarne oczy i drżą miodowe wargi, kiedy czytasz moją propozycję...

Jeśli zgodzisz się odbyć tę podróż, zrozumiesz, co naprawdę zdarzyło się na mojej drodze.

Twoja trasa nie będzie łatwa. Wskazówki nie będą liczne. I nie liczę, że będę objaśniał



bardzo wyraźnie. Sama musisz odgadywać wydarzenia, odczuć na własnym ciele tryby tej historii, przyczyny i skutki czarnej linii.

Na każdym etapie będziesz mi przysyłała swoje wnioski. Opiszesz mi dokładnie, co znalazłaś, co zrozumiałaś, co czułaś. Jeśli będziesz na dobrej drodze, dam Ci to, czego trzeba, by posunąć się dalej.

W razie błędu drugiej szansy nie będzie.

Zamilknę znów.

Ważne jest też, byś rozumiała jedno. Jeśli dziś odpowiesz mi „tak”, nie będzie już odwrotu. Będziesz związana ze mną na zawsze. Niewysłowioną tajemnicą.

I wreszcie ostatni punkt. Zasadniczy. Kiedy będę Ci opowiadał o czynach, które Cię interesują, nigdy nie powiem „ja”. Jestem może sprawcą tych czynów. Ale może chodzi o kogo innego, kogo dobrze znam, kto jest ze mną albo jest na wolności. Tylko ja znam odpowiedź i na razie nie jestem gotów Ci jej ujawnić.

Musisz się zadowolić postępowaniem wedle jego rad.

Czy jesteś gotowa na to doświadczenie, Elisabeth? Czy czujesz się dość mocna, by wziąć na siebie tę rolę? By dojść aż do źródła ciemności?

Napisz szybko i wyślij list, tą samą drogą. Potem zmienimy sposób komunikacji. Podaj mi swój adres e-mailowy. Zdołałem zorganizować sobie tutaj system, który pozwoli mi pisać do Ciebie incognito pocztą elektroniczną.

Wkrótce nie będę mógł czuć dotyku Twojej ręki na papierze.

Ani myśleć o Twojej pięknej twarzy, pochylonej nad stołem, kiedy piszesz do mnie. Ale wtedy będę sobie wyobrażał, jak wędrujesz po drogach Azji Południowo-Wschodniej.

Powiedziałaś mi kiedyś: „Różne bywają głębie. I wszystkie mnie ciekawia”. Nadszedł czas, by mi tego dowieść.

Całuję Cię, moja Elisabeth.

Jacques

Marc nie od razu podniósł głowę znad listu: płakał.

Z radości. Ze wzruszenia. A także ze strachu.

Tak długo czekał na ten kolejny list. Był szósty maja, a on oblegał pocztę od połowy kwietnia. Prawie oszalał od oczekiwania, już nie pracował, przestał się golić, źle sypiał.

Ale wynik był wart tych cierpień.

Seryjny morderca wreszcie mu się zwierzy.

Więcej: będzie go prowadził, wiódł po własnych śladach. Nie zdejmując rękawiczek, wziął kartkę papieru i bez chwili wahania napisał entuzjastyczną odpowiedź, zostawiwszy

tylko lukę na adres elektroniczny. Przeczytał swój tekst i uznał, że nie trzeba niczego poprawiać. Był to tekst miłosny, szalony, tekst zaślepionej młodej kobiety, gotowej na wszystko, by iść za swoim mentorem.

Nagle zdał sobie sprawę, że napisał swój list od razu pismem Elisabeth. Miało to swoją wymowę...

Podniósł wzrok i wpatrzył się w ścianę wznoszącą się naprzeciw niego. Rozwiesił na niej wszystkie portrety pletwonurka, jakie miał. Zbliżał się w ten sposób do swego współnika-przeciwnika. Teraz patrzył na niego cały las Reverdich. Reverdi triumfujący, ubrany w kombinezon do nurkowania. Reverdi uśmiechnięty w podzwrotnikowym słońcu. Reverdi posepny, w zbliżeniu, z podbródkiem podkreślonym paskiem z danymi antropometrycznymi...

„Gdzieś w Azji Południowo-Wschodniej, między zwrotnikiem Raka a linią równika, biegnie inna linia.

Czarna linia.

Znaczona ciałami i przerażeniem”.

Marc uśmiechnął się. Oczy paliły go od łez.

- Ile ich zabiłeś, draniu?

## 29.

Przed wszystkim adres e-mailowy.

Marc pobiegł do kawiarenki internetowej przy alei Trudaine. Nie mógł w żadnym wypadku użyć własnego komputera do założenia elektronicznej skrzynki pocztowej na nazwisko Elisabeth. Nie znał się w ogóle na technologii, ale był pewien, że aktywizacja adresu elektronicznego pozostawia jakieś ślady.

Siedząc przed anonimowym pecetem wybrał francuski portal Voila i wypełnił wstępny kwestionariusz, by założyć bezpłatną skrzynkę pocztową - każda płatność też pozostawia ślad.

Wszystkie informacje, jakie podał, były fałszywe i dotyczyły wyłącznie Elisabeth Bremen, nieistniejącej dwudziestoczteroletniej paryżanki. Wymyślił jej adres domowy w IX dzielnicy, żeby to się bardziej zgadzało z adresem poste restante, datę urodzenia, hasło, potem podał adres elektroniczny: lisbeth@voila.fr.

To był jego klucz do ciemności.

Następnie pobiegł ze swoim listem do biura poczty DHL na dworcu Bercy: nie mógł pod żadnym pozorem podać na przesyłce swego adresu domowego jako adresu nadawcy. W południe miał już ten pierwszy problem załatwiony. Wrócił w radosnym nastroju. Wszystko to przypominało jakąś grę. Mimo to podświadomie odczuwał lęk.

Niektóre ustępy listu były szczególnie niepokojące, na przykład ten, gdzie Reverdi wspominał o kimś „innym”, kto miałby być prawdziwym mordercą, przebywającym jeszcze na wolności...

Marc wzruszył ramionami: morderca blefował, był tego pewien. To po prostu środek ostrożności na wypadek, gdyby ich korespondencja została wykryta i wykorzystana przeciwko niemu.

W taksówce wiozącej go do domu sporządził listę zakupów oraz rzeczy do załatwienia przed podróżą. Zamierzał załatwić wszystko w dwa dni. Był szósty maja. Ósmy był dniem świątecznym, rozpoczynającym jeden z tych niekończących się „długich weekendów”, których Marc nie cierpiał. Mowy nie ma, żeby miał czekać do przyszłego tygodnia.

\*

Postanowił przede wszystkim oczyścić pole.

W kilka godzin przywrócił kontrolę nad własnym życiem. Wykąpał się, ogolił, wymuskał od stóp do głów. Potem poleciał do pralni chemicznej, gdzie zostawił kilka marynarek oraz masę spodni i koszul. „To jest pralnia, nie sklep komisowy”, wymamrotała właścicielka przez zęby. Marc zapłacił bez słowa.

Po powrocie do domu odkleił zdjęcia Reverdiego ze ściany i włożył je starannie do segregatora z materiałami archiwalnymi. Potem uporządkował wszystkie artykuły, notatki, wycinki. Zebrał razem kopie swoich listów i listy Reverdiego. Przy okazji wpadło mu w ręce zdjęcie Chadidży, z którego kazał sobie zrobić odbitkę.

Musiał przyznać, że dziewczyna była cudowna. Za regularnymi rysami kryła się jakaś nieujarzmiona żywotność, czyniąca ją piękniejszą, bardziej zniewalającą od większości modelek. Może to była sprawa źrenic, lekko niesymetrycznych. Albo nieco za wysokich kości policzkowych, które zależnie od światła rzucały pionowe, niemal surowe cienie na resztę twarzy. Albo zamyślenia, przesłaniającego jej oczy jak woal...

Kiedy tylko ją zobaczył, pomyślał o koncertach fortepianowych Bartoka i Prokofiewa, gdzie melodie, wsparte akordami dysonansowymi, zdają się wytryskiwać z pokładów gwałtowności i stają się przez to piękniejsze, czystsze. Położył zdjęcie na biurku i uśmiechnął się do niego.

Wirtualnie dzielił tę dziewczynę z mordercą.

Ale żaden z nich już się do niej nie zbliży.

Zamknął swoje pudło i umieścił w komórcie, małym pokoiku pachnącym grzybem. Odłożenie całej tej dokumentacji, z którą wiązał tyle nadziei, było gestem symbolicznym: wracał do rzeczywistego świata. Jego kontakt z Reverdim nie był już chimerą.

Ale konkretem były teraz także pieniądze.

Cały wieczór obliczał koszty, które będzie musiał ponieść. Bilet lotniczy do Azji Południowo-Wschodniej nie był zbyt drogi, pod warunkiem, że zna się dokładnie daty wylotu i powrotu. Ale Marc nie wiedział ani dokąd dokładnie polecą, ani jak długo zostanie. Przypuszczał tylko, że będzie krążył po krajach, w których kiedyś mieszkał Reverdi: Malezja, Kambodża, Tajlandia... Będzie więc musiał kupić bilet „open”, bez ustalonej daty powrotu, najdroższy. I już tam na miejscu kupować bilety na inne loty do każdego z tych krajów z osobna.

Był doświadczonym podróżnikiem. Swój budżet na ten wyjazd, licząc loty międzynarodowe, krajowe i wynajmowanie samochodów, oszacował na cztery tysiące euro. Do tego jeszcze hotele, restauracje, nieprzewidziane wydatki. Przyjął więc, że wszystko razem wyniesie pięć tysięcy euro.

Trzeba było jeszcze doliczyć kupno komputera i programów do niego - mowy nie było, żeby miał używać własnego maca i modemu do kontaktowania się z Reverdim. Oszacował, przyjmując ceny nowości, że dwa tysiące euro wystarczą. Jeśli dodać do tego jakiś margines na wygodę, wychodziła suma około ośmiu tysięcy euro.

Gdzie mógłby znaleźć taką sumę?

Dla czystego sumienia sprawdził swoje konto bankowe. Saldo wynosiło nie więcej jak tysiąc euro. Akurat tyle, żeby starczyło do końca miesiąca na jego zwykłe traperskie życie. Sprawdził inne swoje konta. Puste. Żadnej lokaty. Żadnych oszczędności. Od blisko sześciu lat Marc tak właśnie żył: bez żadnego zabezpieczenia, z dnia na dzień.

Z niedowierzaniem pomyślał o swoim złotym wieku, kiedy w „chudych” miesiącach zarabiał sto tysięcy franków. Co zrobił z całą tą forszą? Pomyślał o pracowni: to było wszystko, co miał. Czy był gotów ją sprzedać, żeby podjąć tę podróż? Nie. Nie był tak strasznie do niej przywiązany, ale wystawienie mieszkania na sprzedaż wymagałoby czasu. A zwłaszcza nie wyobrażał sobie, by mógł się przeprowadzić. To była jego nora. Jego schron wytapetowany notatkami i książkami. Przedłużenie jego mózgu.

Położył się, wpatrzony w swoją bibliotekę, która błyszczała w świetle latarni podwórka. Postanowił, że nazajutrz, tak wcześnie, jak to będzie możliwe, wystąpi w swoim banku o pożyczkę.

Z rana po kilku kawach wziął się do dzieła, ale nie zadał sobie trudu, by wyjść z domu. Był tak pewien odpowiedzi swojej agencji, że wyłożył wszystko przez telefon.

- Nie rozumiem - powiedział bankier po dłuższym milczeniu. - Czy to jest podróż zawodowa?

- Oczywiście.

- Dlaczego nie poprosi pan o pieniądze w swojej gazecie?

- To będzie prawdziwa bomba. Chcę mieć do niej pełne prawa. Proszę mi wierzyć, z tym się wiąże ogromny dochód.

Wyczuwał sceptycyzm rozmówcy. Zmienił taktykę i przypomniał sobie dobre czasy, kiedy składał na koncie czeki z pięcioma zerami. Nie zawsze był trudnym klientem...

- No właśnie - powiedział sucho bankier. - Pomagamy głównie klientom, którzy odbywają drogę w przeciwnym kierunku. Klientom „trudnym”, którzy robią się „łatwiejsi”, rozumie pan, prawda?

- Zapewniam pana, że chodzi o doskonałą inwestycję. Ten reportaż to będzie wielki sukces.

- No cóż, niech pan go odniesie. Potem się zobaczy.

Marc musiał się powstrzymać, żeby mu nie nawymyślać.

Odłożył słuchawkę. Nie była to pora na zmianę banku ani dodawanie do rozkładu zajęć mordegi z załatwianiem formalności.

Inną możliwością był „Le Limier”. W tym wypadku też znał z góry odpowiedź. Verghens nie wysupła nawet jednego euro, dopóki nie będzie wiedział, o co chodzi, i nie zapewni sobie praw do projektu.

- Na co ta forsa? - spytał, zanim Marc skończył mówić.

- To grubszy numer.

- Zrozumiałem. Ale o co chodzi?

- Nie mogę ci powiedzieć. Nie teraz.

- Jakaś bomba?

- Właśnie.

- Nie ma informacji, nie ma szmalu.

- Tak właśnie myślałem. Zadzwoń po powrocie.

Zaczęli pertraktacje w sprawie zwolnienia Marca z prac bieżących. Verghens się nie zgadzał, ale był winien Marcowi sporo dni urlopu. W końcu skapitulował i dał mu trzy tygodnie.

Pozostawało tylko jedno wyjście: Vincent. Na myśl, że będzie doił swojego dawnego wspólnika, tego, którego wszystkiego nauczył, kwaśny refluks podszedł mu pod gardło. Jak mógł się do tego doprowadzić? Żebrać u własnego ucznia... Pocieszył się, że prowadzi krucjatę. Jest wojownikiem. Misjonarzem. A misjonarze zawsze są biedni. Ta nędza jest nawet znakiem ich wielkości.

Kiedy w południe pchnął drzwi studia fotograficznego przy ulicy Bonapartego, postanowił wznieść się mentalnie ponad wszelkie zażenowanie, wszelki wstyd. Ale mimo tych postanowień upokorzenie zdławiło mu krtań, kiedy miał się odezwać. Vincent ułatwił mu sprawę.

- Ile? - zapytał.

Powodowany jakimś niejasnym rozżaleniem, Marc przemnożył przez dwa sumę, o którą miał zamiar poprosić.

- Dziesięć tysięcy euro.

Vincent przemierzył swój ogromny bunkier. Otworzył czarne drzwi ciemni. Marc wiedział, że w środku był sejf. Nie tylko na materiały fotograficzne, ale i na pieniądze, które dostawał gotówką od początkujących modelek.

- Pięć tysięcy - powiedział, kładąc plik na podświetlarce. - Wszystko, co tutaj mam.

Na resztę wypiszę ci czek.

Marc kiwnął głową ze wzrokiem wbitym w banknoty. Powinien był wypowiedzieć jakieś słowa podziękowania, ale mięśnie krtani miał zbyt ściśnięte. Ledwie zdołał wybełkotać, biorąc czek:

- Zwrócę ci...

- Nie ma pośpiechu.

- Dziękuję - wykrztusił wreszcie.

- To ja ci dziękuję. Gdybyś się nie zdecydował skończyć z tą pieprzoną zabawą w paparazzich, wciąż bym jeszcze siedział na drzewie, wypatrując gwiazdek. I zmarnowałbym szansę.

- Cóż, tym lepiej.

Marc spróbował się uśmiechnąć, ale twarz miał zeszywniałą. Vincent odprowadził go do wyjścia. Ciężka zasłona maskowała drzwi: grubą szybę we framudze z polakierowanej stali.

- W końcu - mówił dalej Vincent - ta historia z Dianą cały ten burdel to było moje wybawienie. Szkoda, że nie można tego samego powiedzieć o tobie.

Marc odczuł te słowa, jakby dostał szpicrutą. W głowie mu zapłonęło. Wyobraził sobie, że odbiera zwierzenia Reverdiego, odkrywa w głębi azjatyckiej dżungli jakiś niesłychany sekret. Widział siebie, jak pisze jedyny w swym rodzaju dokument, opisujący jego doświadczenie, jak zdobywa prestiżowe nagrody dziennikarskie, jak...

- Moja godzina też nadchodzi - powiedział przez ściśnięte zęby. - Nie przejmuj się.

- Co teraz pitrasisz?

- Tajemnica zawodowa.

- Kiedyś kota dostaniesz przez te historie o mordercach.

Jeszcze bardziej zaciskając zęby, Marc wymamrotał:

- To jest poszukiwanie. Mam ważne powody, by na nie wyruszyć.

- Znam ja te twoje powody. Powinieneś uciekać od nich w te pędy.

- Nie siedzisz u mnie w głowie.

Vincent uściśnął mu serdecznie ramię.

- Nikt by nie chciał siedzieć u ciebie w głowie.

\*

Godzina piętnasta, magazyn FNAC Digitale przy bulwarze Saint-Germain.

Marc lękał się tego rodzaju wypraw. Żargon techniczny. Odpowiedzi zawsze bardziej skomplikowane od pytań. Nieograniczony wybór produktów, chociaż jemu wystarczyłyby

pierwszy lepszy komputer...

- To jest właśnie to, czego panu potrzeba - zapewnił sprzedawca.

Marc przyjrzał się nowemu macIntoshowi, który mu proponowano: elegancki, lekki, nieznan. Wyobraził sobie, jak zagubiony w plikach pomocy traci dwie godziny na wytropienie funkcji, którą znajdował jednym pstryknięciem na swoim obecnym komputerze. Coś mu przyszło do głowy. Żeby nie tracić czasu, powinien kupić dokładnie taki sam model, jaki ma obecnie.

- Chciałbym sprzęt poprzedniej generacji.

- Pan chyba żartuje? Miałby co najmniej dwa lata!

Marc nie dawał za wygraną. Sprzedawca skrzywił się z obrzydzeniem.

- Takich antyków już się nie produkuje. Niech pan poszuka w sklepach z używanymi...

Po tych słowach jego pomysł spodobał mu się jeszcze bardziej. Kupić komputer, który już komuś służył, odnotowany pod nazwiskiem pierwszego właściciela. Odrobina szczęścia, a będzie miał jeszcze w sobie programy, które również będą gdzieś zarejestrowane na nazwisko poprzedniego użytkownika... Dodatkowy sposób na zatarcie śladów.

Wyszedł w świetnym humorze z adresem sklepu z używanym sprzętem elektronicznym, nieco dalej przy bulwarze Saint-Germain. Z rozkoszą myślał o wszystkich trybikach swojej strategii.

To była gra.

Ale groźna gra.

\*

Marc znalazł dokładnie to, czego szukał. MacIntosha Powerbook, działającego w starym systemie Mac OS 9.2, z modemem starego typu. Poczciwa stara maszyna, wypróbowana i oswojona.

Facet ze sklepu zaproponował, że wystawi fakturę na jego nazwisko. Marc odmówił. Zaoferował roczną gwarancję. Odmówił także: musiałyby podać swoje namiary.

Jeszcze w sklepie, uruchamiając maszynę, zauważył, że szczęście mu sprzyja: twardy dysk zawierał już programy tekstowe i pocztę elektroniczną na nazwisko dawnego właściciela. Doskonale. Sprzedawca przypomniał mu, że używanie tych programów jest niedozwolone. Zaproponował mu, żeby kupił takie same w nowszych wersjach.

- Zastanowię się - wymamrotał Marc, ale już był zdecydowany.

Zapłacił gotówką, po czym wybiegł z pudłem pod pachą. W samochodzie, wracając powoli na prawy brzeg Sekwany - była szósta po południu i już zaczynały się korki - Marc



liczył w myślach wszystkie swoje zabezpieczenia.

Komputer i programy na cudze nazwisko. Poczta elektroniczna założona przez Elisabeth Bremen. Linie telefoniczne kawiarenek internetowych. A wkrótce azjatyckich hoteli. Ani jeden element nie prowadził do Marca Dupeyrata.

Marc Dupeyrat po prostu nie istniał.

Ale czego właściwie się bał? Że Reverdi wykryje oszustwo? Jak mógł cokolwiek wysledzić, siedząc w więzieniu? To i tak cud, że potrafił wysyłać e-maile z Kanary. Jego adwokat? Nie: był pewien, że ów Wong-Fat nic nie wie. To tylko narzędzie, satelita krążący w galaktyce Reverdi.

Wiedział, czego się boi naprawdę: przypisywał nurkowi-mordercy zdolności paranormalne. Dar jasnowidzenia. Zdolność do wszechobecności. Tak: obawiał się go, jakby zabójca mógł wyjść z więzienia albo wślizgnąć się w obwody elektroniczne...

\*

O osiemnastej Marc zdołał wcisnąć się do agencji turystycznej przy ulicy Blanche, która już, już miała zamykać. Dowiedział się o ceny interesujących go lotów i konieczne formalności. Z trzech krajów, o które mu chodziło, tylko Kambodża wymagała wizy, ale można było ją otrzymać na miejscu, na lotnisku. Dowiedział się też o SARS: od tej strony nie było obaw. Choroba zdawała się opanowana. Przynajmniej w Azji Południowo-Wschodniej. Marc podziękował dziewczynie z za kontuaru i obiecał, że wróci, kiedy tylko będzie znał dokładną datę wyjazdu.

Tego wieczoru Marc przygotował - wirtualnie - swój bagaż podróżny. Sporządził listę rzeczy, których będzie potrzebował, i powiedział sobie że, na przykład, mały cyfrowy aparat fotograficzny może się przydać. Przebywając w kolejnych miejscach, które Reverdi mu wskaże, będzie mógł robić zdjęcia i porządnie rozpoznać teren. Kto wie? Może morderca poprowadzi go na miejsca swoich zbrodni...

Na tę myśl zadrzał znowu. Czy zdawał sobie naprawdę sprawę z tego, co robi? Do czego posłużą mu informacje zdobyte w tak pokretny sposób? Nie był nawet pewien, czy je wykorzysta. Pracował dla siebie. Może nigdy nie opublikuje swoich sensacji, ale najistotniejsze było co innego: zagłębi się w mózg zabójcy. Spojrzy prosto w oczy Zła.

I może wreszcie zrozumie.

O jedenastej w nocy zmęczenie spadło na niego jak kawał sufitu. Położył się bez kolacji, niemal po omacku.

Kilka godzin później wciąż jeszcze nie spał. Gapił się w ciemnościach na białą plamę, wiszącą nad jego łóżkiem mapy Azji Południowo-Wschodniej. Dobry nastrój, podniecenie -

wszystko wyparowało. Zostało mu tylko w piersiach jądro lęku, coraz twardsze, coraz bardziej uwierające. „Gdzieś między zwrotnikiem Raka a linią równika biegnie inna linia...”.

To była gra.

A zwłaszcza - groźna gra.

## 30.

- Wydobyto go z ziemi w nienaruszonym stanie. Ciało było nietknięte.

- Nie uległo rozkładowi?

- Mówię, że było nietknięte. Okazało się absolutnie odporne na zepsucie.

Chadidza była zdezorientowana. Kiedy Vincent zaprosił ją do siebie na kolację, spodziewała się, że spotka dziennikarki piszące o modzie, stylistów homoseksualistów, usłyszy hałaśliwą i błahą paplaninę. Tymczasem byli tu sami reporterzy i fotografowie.

- Niewiarygodne - upierał się opowiadający. - Jakby go pochowano poprzedniego dnia. - Roześmiał się. - Włosi już głoszą, że to cud!

Chadidza zorientowała się, że ten dziennikarz zrobił właśnie reportaż na temat cudów we Włoszech. Był obecny przy ekshumacji zwłok błogosławionego papieża Jana XXIII, dokonanej w związku z jego projektowaną kanonizacją. Otóż ciało przyszłego świętego, zmarłego w latach sześćdziesiątych, było doskonale zachowane.

Reporter nie był w stanie mówić o niczym innym: był to wychudzony facet w obcisłym granatowym swetrze. Twarz miał porytą zmarszczkami, ale starannie zaczesany kosmyk włosów i biały kołnierzyk koszuli nadawały mu wygląd bardzo grzecznego ucznia.

Stary Włoch z workami pod oczami i głosem gęstym jak likier wycelował swoje pałeczki (w menu było sushi) w podnieconego kolegę.

- Za długo siedziałeś we Włoszech.

Tamten zbył uwagę gestem ręki i zrobił minę niezrozumianego proroka.

- To z powodu konserwantów.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku osobie, która wypowiedziała te słowa. Była to chuderlawa blondynka o matowych włosach. Jej długa twarz przypominała biskopt zanurzony w szampanie.

- Jakich konserwantów? - zdziwił się dziennikarz. - Papież nie był zabalsamowany.

- Mówię o substancjach konserwujących w żarciu. Tyle tego żremy, że w końcu sami jesteśmy zakonserwowani... Nasze ciała się nie rozkładają. To jest dowiedzione naukowo.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym wszyscy wybuchnęli śmiechem. Blondynka upierała się przy swoim:

- Nie żartuję! Są badania i...

Pojawienie się Vincenta odwróciło uwagę od jej słów. Gospodarz niósł karawelę z jasnego drewna, pokrytą sushi. Mostek był wyłożony rurkami faszerowanymi awokado, pokład składał się z plasterków łososia, rolę żagli pełniły liście alg.

- A może byście tak przestali pieprzyć głupoty? Chadidza pomyślała, że jesteście jeszcze bardziej porąbani niż faceci od mody!

Kilka spojrzeń zwróciło się ku niej. Goście siedzieli na poduszkach wokół długiego, niskiego stołu ustawionego na środku pracowni fotograficznej. Vincent uprzedził z góry: „Mam mało krzeseł, robię wieczór japoński!”.

Chadidza jak zwykle chętnie znalazłaby jakąś dowcipną i zabawną ripostę, ale nic jej nie przyszło do głowy. Uśmiechnęła się niejasno i zarumieniona czekała, aż obecni zmienią temat.

Zastanawiała się, dlaczego Vincent ją zaprosił. Chciał ją poderwać? Nie, miał jakiś inny plan. Specjalista od „mgielki” wziął ją pod swoje skrzydła, była elementem jego wielkiego projektu „podbicia rynku”. Zapowiadał, że zrobi z niej top modelkę. W każdym razie musiała przyznać, że jego zdjęcia były wspaniałe. Dziwne i przymglone.

- Co pani o tym myśli?

Chadidza wzdrygnęła się.

- Przepraszam?

- O terroryzmie czeczeńskim: co pani o tym myśli, właśnie pani?

Znów przegapiła część rozmowy. Jej sąsiad wpatrywał się w nią uważnie: był łysy, a resztkę włosów układała mu się w koronę. Przypominał rzymskiego imperatora.

- No cóż...

Wybełkotała jakąś odpowiedź, ze wszystkich sił ściskając palczki w palcach. Była przygotowana na konflikt iracki, ale nie miała czasu obkuć się z terroryzmu islamistycznego. Czuli się coraz gorzej. Zapach alg, odór surowych ryb chwytały ją za gardło. Nie cierpiała sushi.

Wśród tej nudy miała jednak powód do zadowolenia.

On tu był, przy drugim końcu stołu.

Marc Dupeyrat. Zakochany samotnik, który miesiąc temu ukradł stąd jej zdjęcie. Skryty za swoim opadającym kosmykiem i okropnym wąsem, wydawał się bardziej uparty niż kiedykolwiek. Nawet na nią nie spojrzał. Nieśmiałość? Zmieszanie?

Od czasu kradzieży zaczęła układać sobie scenariusz filmu w stylu tych, za którymi przepadała. Miała całą kolekcję starych kaset VHS z egipskimi komediami muzycznymi. Odziedziczyła je po babci, która w latach sześćdziesiątych grywała w nich małe role.

Romantyczne historie, w których bohaterowie przy każdej okazji zaczynali śpiewać, gdzie miłość zawsze triumfowała, biedni stawali się bogaci, mężczyźni byli piękni, dobrzy i wypomadowani...

Kradzież polaroidu byłaby doskonałym początkiem takiego filmu. Chadidza wyobrażała sobie, jak Marc patrzy na jej zdjęcie, śpiewając w swoim mieszkaniu. Albo jak krąży wokół telefonu i nie śmie do niej zadzwonić. Albo znów jak jedząc kolację z Vincentem, próbuje dyskretnie sprowadzić rozmowę na jej temat. Kiedy przyszła na to przyjęcie, miała niejasną nadzieję, że on tu będzie. Ale teraz siedział przy tym samym stole, obojętny jak ściana.

Kolacja skończyła się wreszcie. Trzeba było działać. Wypiła raz za razem dwie sake, potem skupiła się na swoim wspomnieniu: mężczyzna kradnie jej fotografię. Uczepiła się tej sceny jak spadochronu i podeszła do niego, kiedy wszyscy goście próbowali wydostać się z niskiego stołu:

- Marc, chciałam panu powiedzieć...

Wyprostował się, w karku dziwnie mu trzasnęło.

- Co?

- Kupiłam numer „Le Limier”. Żeby zobaczyć, co to właściwie jest.

- Widocznie miała pani za dużo czasu...

Wciąż ten sarkastyczny ton. Wydał jej się nagle bardzo sztywny, bardzo nadęty. Ale za późno było się cofać.

- Przeciwnie. Pismo jest interesujące. Z socjologicznego punktu widzenia.

Pokiwał głową bez przekonania. Najwyraźniej ta rozmowa nie podobała mu się. Scena była komiczna: ona na czworakach, on siedzący wciąż na podłodze.

- Chciałabym z panem porozmawiać. Wie pan, oprócz zdjęć robię doktorat z filozofii. Pracuję nad kazirodztwem. Pan musiał robić reportaże na ten temat...

- Przykro mi. W tej chwili nic nie robię dla „Le Limier”. Jeśli pani chce, mogę pani podać namiary któregoś z kolegów.

Chadidza czuła, jak pod skórą wzbiera jej gniew. Usiadła po turecku i spojrzała mu prosto w oczy.

- Pan pracuje dla innej gazety?

- To przesłuchanie czy co?

- Przepraszam.

Uśmiechnął się w końcu.

- Nie. To ja przepraszam. Nie umiem się zachować. - Poprawił swój kosmyk. -

Wyjeżdżam.

- Reportaż?
- Coś w tym rodzaju. Projekt prywatny.
- Książka?
- Za wcześnie, by o tym mówić.

Im więcej mówił, tym mniej ujawniał. Chadidża czuła teraz perwersyjną przyjemność w dokopywaniu się do jego tajemnicy.

- Wyjeżdża pan na długo?
- Nie wiem.
- Dokąd?
- Pani jest naprawdę ciekawska. Przykro mi, ale to jest naprawdę... osobiste.

Miała ochotę dać mu po gębie, ale wyszeptała:

- Może przed wyjazdem będziemy mogli się zobaczyć?

Podniósł się jednym ruchem z dziwną, kocią zręcznością.

- Byłaby to dla mnie przyjemność. Ale nie zdążę.

Obszedł stół i zginął w dymie i w szmerze głosów, nie spojrzawszy na nią, bez pożegnania. Chadidża też wstała. Była osłupiała. Wypełniająca ją pustka ważyła tony, odrętwiała od niej po koniuszki palców.

Skąd taka postawa? Czy jej się śniło, że zwinął jej zdjęcie? Czy je zabrał z innego powodu? Fetyszysta? Maniak? Albo może wyczuł jej problem: indiańskie oparzenie?

Na tę myśl samotność ogarnęła ją jak gorejący krąg. W głębi, poprzez trzaskanie ognia, głos krzyczał:

- Mam piach w głowie! To twoja wina!

# 31.

Ale upierdliwa!

Szedł szybkim krokiem w dół ulicą Saint-Peres. Do diabła, czego ta dziewczyna chciała? Dosłownie zadreżczała go. I te pytania o wyjazd! Można by pomyśleć, że wie coś o jego projekcie...

Marc postanowił wrócić do domu pieszo, żeby trochę uspokoić nerwy. Ale kiedy doszedł do Luwru, wciąż jeszcze drżał z wściekłości. Przeszedł przez esplanadę, nie odrywając oczu od asfaltu. Nawet nie rzucił wzrokiem na błyszczącą piramidę. Nie zerknął na arkady, rysujące się długą serią sinawych łuków.

Obecność Chadidży od razu zepsuła mu humor. Przy kolacji męczył się okrutnie, czując, że ta kobieta obserwuje go, bada.

I na koniec musiała jeszcze podejść i rozmawiać z nim. A do tego okazała się intelektualistką! Nie było w niej nic ze standardowej początkującej modelki, bezbarwnej i banalnej. Nie rozumiał zachowania tej dziewczyny. W innej czasoprzestrzeni mógłby pomyśleć, że leci na niego.

Przy placu Palais-Royal uspokoił się nieco na widok jaśniejącego w ciemnościach gmachu Komedii Francuskiej. Druga nad ranem. Ciepły wiatr wiał poprzez paryską noc, jakby chciał wymieść resztki gazów spalinowych i uzyskać obraz czystszy, doskonalszy. Oświetlone fontanny. Kamienne kręgi. Długie galerie o szarych kolumnach. Prawdziwa siedemnastowieczna dekoracja, jakby z jakiejś sztuki Moliera. Niemal można się było spodziewać, że pod latarenkami pojawi się Komandor ścigający Don Juana.

Marc usiadł na cembrowinie jednej z fontann i poczuł, jak świeżość wody unosi się ku niemu, obejmuje go jak w baśni. Zamykał i otwierał powieki: za każdym razem światła arkad wnikały mu mocniej w świadomość, wżerały się w niego niczym igły do akupunktury drażniące jego meridiany mieszcucha.

Wraz ze spokojem wróciła jasność myśli. Włożył palce do lodowatej wody, potem przetarł ręką twarz i dopiero wtedy dopuścił do siebie prawdę.

Ta złość, którą odczuwał, była złością na siebie samego.

Nie ma co się oszukiwać. Chadidża urzekła go. Zresztą taka uroda urzekłaby każdego mężczyznę. Ale inny może spróbowałby szczęścia, a on ukradł jej zdjęcie, żeby je posłać

seryjnemu mordercy. Takim już był facetem...

Nie kochał miłości. Kochał śmierć.

Obraz Sophie wyparł od razu te rozmyślenia. Ciężko na nim przekleństwo, wiedział o tym. I biada temu lub tej, kto by się za bardzo do niego zbliżył. Miał już na to dowód. Dwa dowody. Dlatego musi trzymać się z dala od miłości. A nawet od przyjaźni. Marc Dupeyrat, czterdzieści cztery lata, bezzenny, bezdietny. Zwykły łowca zbrodni, niezdolny dzielić życia z kimkolwiek.

Wstał i ruszył przed siebie. Gniew ustąpił miejsca rozpacz. Aleja Opery raczej nie mogła poprawić mu nastroju. Długa, szeroka, pusta, teraz wyglądała na jeszcze bardziej opustoszałą z powodu martwych witryn sklepów dla turystów, jakby przeniesionych z innej planety.

Doszedł do pałacu Garnier, okrążył z daleka jego jaskrawe światła i zagłębił się w ulicę Chaussée d'Antin, zupełnie czarną, na której błąkało się parę prostytutek, jakby trafiły w jakieś nieswoje życie. Wreszcie dotarł pod wzgórze IX dzielnicy, wznoszące się nad kościołem Świętej Trójcy.

Pod jego czaszką torowała sobie drogę ogromna mroczna idea...

Kwadrans później wchodził do swojej pracowni. Zawahał się, czy zapalić światło. Zobaczył przyszpilone do ściany mapy Azji Południowo-Wschodniej, torbę, którą porzucił w połowie przygotowań do wyjazdu, a zwłaszcza komputer, którego otwarta pokrywa błyszczała w półmroku.

To była chwila prawdy.

Nie był zły na Chadidzę.

Ani na samego siebie, ani na swoją ryzykowną strategię.

Był po prostu rozdrażniony, załamany niepowodzeniem.

Jacques Reverdi nie przysłał mu e-maila.

Czekał już przeszło tydzień - i teraz stracił wszelką nadzieję. Codziennie sprawdzał swoją skrzynkę pocztową w którejś z pobliskich kawiarenek internetowych: nie było nic. Reverdi porzucił Elisabeth. Zrezygnował z ich wspólnych planów.

Usłyszał samego siebie, jak przed godziną oznajmia Chadidży: „Wyjeżdżam”. Nie mówił prawdy. Nikt go nie wzywał. Tysiąc razy wyobrażał sobie ten wyjazd, ale nie dostał listu. Najmniejszego znaku. Dziecko zapomniane z walizką na peronie dworca.

Wciąż stojąc na progu pracowni, poczuł prąd przebiegający mu przez nerwy. Znów zapragnął sprawdzić skrzynkę pocztową Elisabeth. Może tej nocy...

To było absurdalne. Sprawdził ją już po drodze do studia Vincenta, o dwudziestej, w



kawiarence internetowej przy bulwarze Saint-Germain. I nic nie mogło się zdarzyć od tego czasu: w Kanarze noc dopiero dobiegała końca. Mimo to rozgorączkowanie go nie opuszczało, czuł po prostu mrówki na ciele.

Ale dokąd pójść o tej porze? Była trzecia nad ranem. Znów spojrzął na komputer. Przysięgł sobie, że nigdy nie użyje do tej sprawy swojego maca ani swojego telefonu. Nie może dojść do żadnego bezpośredniego kontaktu na linii Marc Dupeyrat - Jacques Reverdi.

Ale tej nocy pokusa była zbyt silna.

Wybrał półśrodek: użyje swojej linii telefonicznej, ale włączy do niej nowy laptop, ten na nazwisko Elisabeth.

Maszynie wystarczyła minuta, by zaprezentować swoje powitalne logo.

Marc wybrał program poczty elektronicznej i podał hasło Elisabeth. Nagle opanował się. Niepotrzebnie ryzykuje. To wszystko tylko nerwy. Chwycił mysz, żeby przerwać operację, nim uzyska połączenie, kiedy dostał jak kamieniem w krtań. Stracił oddech.

\*

E-mail był.

Nieznany nadawca, przedstawiający się jako „krw@wanadoo.com”.

Szyfr idealnie przejrzysty:

„krw”, czyli „krew”.

„Krew”, czyli „Reverdi”.

Drżącą ręką otworzył list. W głowie mu zapłonęło, kiedy przeczytał:

„Teraz. Kuala Lumpur”.

# PODRÓŽ

## 32.

Marc przeszedł przez strefę bezcłową terminalu 2D lotniska Roissy-Charles-de-Gaulle. Papierosy, butelki z alkoholem, słodycze: towary stały murem jakby w przewidywaniu obłączenia. Znalazł inne sklepy, przeszedł przez opary perfum, minął obojętnie stoiska pełne szykownych strojów, sprzętu mechanicznego i elektronicznego, niepotrzebnych gadżetów. Kojarzyło mu się to z jakąś komorą konsumpcyjną, z oślepiającym światłem zatłoczonych witryn sklepowych nakazujących przechodniom kupować bez opamiętania, jakby mieli to zrobić ostatni raz.

Usiadł w sali dla odlatujących, bębniąc z lekka po walizeczce z laptopem. Trzeba mu było dwóch dni, żeby zdecydować się na wyjazd. Po liście Reverdiego, który wpędził go w podniecenie, otrzeźwiał raptownie: zdał sobie sprawę, o jaką stawkę naprawdę gra w tej podróży. Przez całą niedzielę myśli kłębiły mu się w głowie. Czasem drżał ze strachu i chciał na wszystko machnąć ręką. W następnej chwili ogarniało go dobroczynne ciepło - satysfakcja, że zdołał złapać w pułapkę groźnego mordercę. Właściwie czym ryzykował?

Niepokoił go kierunek pierwszej podróży. Dlaczego Malezja? Reverdi nie zechce chyba, żeby Elisabeth odwiedziła go w więzieniu w Kanarze? Niemożliwe: to nie mieściło się w regułach gry. Chodziło raczej o to, by uchwycić nić prawdy i posuwać się wzdłuż niej pod prąd, od końca. Od miejsca, gdzie dla Reverdiego wszystko się skończyło.

Krok po kroku dotrze do początku „linii”.

We wtorek zdecydował się wreszcie: wpisał się na listę oczekujących na śródowny lot Malaysian Airlines. Potem o dziesiątej rano zaryzykował wysłanie pierwszego e-maila do Reverdiego z kawiarenki internetowej w swojej dzielnicy. Zapowiedział swój wyjazd, ale nie podał ani dokładnej daty przybycia, ani numerów lotu: wciąż te same niewytłumaczalne środki ostrożności.

Tego ostatniego dnia spodziewał się odpowiedzi, ale jej nie dostał. Zapewne otrzyma jakieś zalecenia w Kuala Lumpur. Był teraz pewien, że Reverdi wyśle go do Papanu, na południowy zachód kraju, tam gdzie go aresztowano. W sali rozległ się głos hostessy: pasażerowie są proszeni na pokład.

Z przyjemnością zobaczył znajome logo Malaysian Airlines - ten znak przypominał mu lata, gdy pracował jako reporter. A także stewardesy, oczywiście chińskie, których błada

cera kontrastowała z turkusowymi sukienkami. Barwy, uśmiechy: wszystko miało już smak Azji, łagodny i słodkawy. Marc skulił się w swoim fotelu przy oknie i od razu poczuł, jak dopada go zmęczenie. Ucisk w uszach w chwili startu zmógł go ostatecznie.

Zasnął, zanim samolot osiągnął prędkość podrózną.

\*

Kiedy się obudził, wszystko było nieruchome. W półmroku słychać było tylko syczenie systemu podtrzymywania ciśnienia i daleki huk silników. Marc rozejrzył się wokół siebie. Pasażerowie owinięci w derki przypominali jakieś potworne kokony z bandażami na oczach. Marc przeciągnął dłonią po twarzy: wyrwał się właśnie ze straszliwego koszmaru.

Przepraszając po cichu i potrącając sąsiadów, poszedł odświeżyć się do toalety. Przyjrzał się sobie w lusterku, potem wymamrotał: „d’Amico”, „Prokofiew”, „La Fontaine”... Od jak dawna nie miał tego snu?

Wiedział, że to nie był sen, lecz wspomnienie.

Wrócił na swoje miejsce, usiadł i przygotował się na spotkanie z własną pamięcią.

\*

Rok 1976 rok. Liceum imienia La Fontaine’a.

Marc właśnie został przyjęty do klasy eksperymentalnej, gdzie uczniowie dzielili czas między przedmioty ogólnokształcące a muzykę. W tym ogólnokształcącym liceum przypominali rekrutów odmawiających wzięcia karabinu do ręki: powiedzieli „nie” fizyce i geografii, żeby mieć czas na harmonię i kontrapunkt. Wyróżniało ich jeszcze coś: byli w większości płci męskiej, chociaż „La Fontaine” było liceum dla dziewcząt. A zwłaszcza - byli biedni. Wielka osobliwość w tym rezerwacie panienek z dobrych domów, mieszczącym się w najelegantszej części XVI dzielnicy. Szesnastoletni Marc zrozumiał od razu, że jego droga do matury będzie przypominała pobyt na kwarantannie i trzeba będzie zapomnieć o jakichkolwiek próbach podrywu. Młode dziedziczki majątku i nazwiska spoglądały na niego i jemu podobnych jak na włóczęgów, którzy sforsowali bramy pałacu.

Gwizdał na to: interesowały go raczej różnice występujące w obrębie tej samej klasy. Jak w klawiaturze fortepianu były tam wśród uczniów klawisze białe i czarne. Nuty całe, dźwięki majorowe i pozbawione tajemnic, oraz dźwięki alterowane, minorowe, niespokojne. Byli muzycy należący do światła, do prostoty oraz inni, przynależni do bólu - zranione ptaki.

Pierwsi wybrali muzykę, tak jak się wybiera pracę w administracji państwowej. Byli w większości synami muzyków z orkiestr i sami też wybierali instrumenty przydatne w orkiestrze - fagot, altówkę, puzon... Inni, poeci, grali na fortepianie, skrzypcach, wiolonczeli. Widzieli się w marzeniach jako soliści, kompozytorzy, rewolucjoniści - i samobójcy.

Białe klawisze nie były mniej uzdolnione od czarnych. Przeciwnie. Muzyka spływała im z palców jako coś oczywistego. Dla nich słuch absolutny, zmysł harmonii, wirtuozeria były czymś, co rozumiało się samo przez się, jak zdolność oddychania lub chodzenia. Klawisze czarne grały namiętnie, ale często nie dostawało im techniki. W pewnym sensie, i to było najdziwniejsze, białe klawisze „były” muzyką. Nie przysparzała im ona żadnych problemów. A jeszcze mniej - niepokojów.

Czarne klawisze były mrokiem muzyki.

Marc należał, oczywiście, do ciemnej strony klasy. Związał się z elementami najciemniejszymi. Grégoire Debannier, żywiołowy homoseksualista, miłośnik muzyki renesansowej, który z zadowoleniem opowiadał o swoich wyczynach seksualnych w toaletach le Palace, po czym ni stąd, ni zowąd zaczynał śpiewać jakąś piosenką Clémenta Janequina. Éric Chausson, kolos o małych oczkach, próżniak, rugbista, ale także buddysta i czarownik. Grubianin schowany za murem milczenia, którego grube palce stale kartkowały tomiki serii *Que sais-je?*<sup>1</sup> [dosłownie: *Co wiem?*, znana francuska seria książeczek popularno-naukowych.] poświęcone duchowości i który potrafił nucić czysto i lekko jak nikt arpedžia z *Impromptu* Schuberta. Philippe Manganeau, który wyglądał banalnie jak biały klawisz, a przecież był jednym z najbardziej zbuntowanych. Mimo swych rogowych okularów, koszul w szkocką kratę, rodziców pracujących w ubezpieczeniach, odnosił się do swego mieszczańskiego pochodzenia jak do dziedzicznej choroby. Pieścił skrzypce jak terrorysta pieści bombę przed zamachem. A kiedy mówił, że trzeba rzucić w diabły to wszystko, każdy wiedział, że w razie czego on zrobi to pierwszy, bo miał absolutnie wszystko do stracenia i cieszył się na to z góry.

Ale najczarniejszy ze wszystkich czarnych klawiszy był d'Amico, prawdziwy książę ciemności. Marc nie pamiętał już jego imienia, wiedział tylko, że był z pochodzenia Włochem, miał wielką głowę i czarną rozczochraną czuprynę. D'Amico zaczął od wiolonczeli. Ale wyspecjalizował się w egzotycznych instrumentach strunowych: gitara peruwiańska, bałajka, wiola mongolska... Uważał, że w muzyce ukryte są znaki kabalistyczne, ujawniające tajemny sens wszechświata. Marc pamiętał pytania, jakie zadawał na porannych lekcjach matematyki: „Jak wyrazić Zło? - mamrotał. - Poprzez chromatyzm. Półtony wyrażają ruch ku Tanatosowi...”. Albo jego zamiłowanie do kwinty zmniejszonej, zwanej „kwintą diabelską”. Kiedy d'Amico komponował, to tylko serenady „złowieszcze”, oratoria dedykowane „widmom” albo kantaty „oszczercze”, pełne zrywów, dysonansów.

---

<sup>1</sup> dosłownie: *Co wiem?*, znana francuska seria książeczek popularno-naukowych.

D'Amico pasjonował się wszystkimi przedmiotami. Chętnie zabierał głos, zawsze zgłaszał się na ochotnika, kiedy trzeba było coś zreferować. Marc widział go jeszcze, jak stoi na katedrze i odgrywa przed zdumioną klasą finał *Drugiego koncertu fortepianowego* Prokofiewa, naśladowując z wydętymi policzkami i otwartymi dłońmi rożek angielski, pokrywający staccata fortepianu. Albo jak na lekcji literatury wygłasza referat na temat Howarda Philipa Lovecrafta, powtarzając, z uniesionym palcem wskazującym, zatapiając czarne spojrzenie w oczach pani profesor, jakby była osobiście odpowiedzialna za to, co on wygłasza: „Lovecraft był czyścicielem! Czyś-ci-cie-lem! Nikt nigdy go nie zrozumiał!”

Chłopak zdołał doprowadzić do tego, że nie znosił go nikt z wyjątkiem Marca. Jego wieczne rozgorączkowanie, jego nieprzewidywalne zachowanie, jego absurdalne uwagi wywoływały niezrozumienie i nienawiść. Różne drobiazgi pogłębiały jeszcze niechęć, jaką budził: śmiał się zawsze za głośno i, można powiedzieć, do połowy, jakby w zawieszaniu. Kiedy próbował być dowcipny, trafiał kulą w płot i denerwował się jak dziecko niezdolne zapanować nad sobą. Miał mnóstwo dziwacznych nawyków. Nosił buty z cholewkami z kiepskiej skóry i nigdy nie zaciągał w nich zamków błyskawicznych. Kiedy wycierał nos, przyglądał się długo swoim smarkom, po czym starannie składał chusteczkę. Co bardziej niepokojące - nie rozstawał się nigdy z brzytwą, przedmiotem przedpotopowym, z rogową rękojeścią, którą zwędził ojcu, fryzjerowi z Bagnolet. Często widywało się go, jak gdzieś w kącie dziedzińca szkolnego kroci powoli stronie swej ukochanej książki, *Mnicha*, Matthew Gregory'ego Lewisa. Posażne panny przezwwały go Kubą Rozpruwaczem.

W końcu brzytwa okazała się jedynym elementem, który miał jakiś sens. Blisko trzydzieści lat po wydarzeniach Marc wciąż zadawał sobie pytanie: czy mógł przewidzieć to, co się stało? Czy powinien był zrozumieć znaczenie tej broni, z którą młody wiolonczelista się nie rozstawał? Chodziło właściwie o to: ile czasu trzeba, żeby ciało ludzkie wykrwawiło się do końca?

Marc niepokoił się przez całą lekcję - czterdzieści pięć minut - nieobecnością swego najlepszego przyjaciela. Poszedł do gabinetu pielęgniarki i odruchowo zatrzymał się przy toaletach, na końcu korytarza trzeciego piętra. Przeszedł wzdłuż umywalek, popchnął kilkoro drzwi i w końcu zobaczył sterczące z ostatniej kabiny niezapięte botki. D'Amico leżał w kwadratowej kałuży krwi, z głową opartą o muszlę klozetową. Zamiast siedzieć na lekcji geografii wolał otworzyć sobie żyły. Dla efektu - ale efektu w jego stylu, zupełnie absurdalnego - wsadził sobie w usta trzonek od szczotki klozetowej.

Ten gest dawał się wyjaśnić: Marcowi wytłumaczył to Debannier, specjalista od Renesansu. To on wtajemniczył Włocha w rozkosze homoseksualizmu, a tamtemu spodobały

się te doświadczenia. Z pewnością aż za bardzo. Na myśl, że miałby powiadomić o tej przemianie rodziców - ojca fryzjera macho i matkę bigotkę - wolał wysiąść na dobre z pociągu.

Nie brzmiało to przekonująco. Marc wiedział, że d'Amico nie obawiałby się przyznać rodzicom do homoseksualizmu. Przeciwnie, nie pomijał żadnej okazji, żeby ich zgorszyć. Zresztą był pewien, że szczotka klozetowa w ustach była przeznaczona „osobiście” dla nich. Skąd więc to samobójstwo? Dla Marca powrót mógł być tylko jeden - a był on jak podpis d'Amico - ten, że żadnego powodu nie było. Był to jeszcze jeden bezsensowny czyn, przenoszący chłopaka na zawsze w krainę absurdu.

Sekcja zwłok wykazała, że d'Amico, siedząc na muszli klozetowej, zemdlął od utraty krwi. Ześlizgnął się na podłogę i złamał sobie kark o brzeg fajansowej muszli. Krwotok ustał. Nie było więc tam tyle krwi, ile w powtarzającym się wciąż koszmarze Marca. Po prawdzie on sam nic z tego nie pamiętał. Kiedy znalazł ciało przyjaciela - zemdlął. Ocknął się tydzień później z zupełną pustką w głowie. Nie pamiętał ani samej sceny, ani kilku godzin, które ją poprzedziły. To ta retroaktywna amnezja nie dawała mu spokoju. Był pewien, że rozmawiał z d'Amico przed lekcjami. Co sobie powiedzieli? Czy mógł przewidzieć to samobójstwo? Zapobiec mu? A może było jeszcze gorzej, może nieopatrznie powiedział coś, co doprowadziło go do tak desperackiego czynu?

W kabinie samolotu zapalił się sygnał świetlny.

Ładowali.

Zapiął pas i poczuł nowy przypływ energii. Znaczenie jego misji objawiło mu się na nowo. Zbliżał się do zabójcy. Zbliżał się do prawdy o śmierci. Miał niejasną nadzieję, że ta podróż uwolni go od jego własnych obsesji.

## 33.

KLIA - Kuala Lumpur International Airport.

Coś w rodzaju ogromnego, wielopoziomowego centrum handlowego, gdzie temperatura nie przekracza pewnie piętnastu stopni. Pasażer lądujący w Azji Południowo-Wschodniej jest przygotowany na duchotę i upał. Ale często trafia w polarne zimno, równie dotkliwe jak skwar czyhający na zewnątrz.

Marc odebrał swój bagaż, rozejrzał się wokoło, wypatrzył wewnętrzną kolejkę jadącą do innego budynku, z którego wreszcie po długim marszu zdołał się wydostać na tropikalną duchotę.

Szok nie trwał długo. W taksówce znów czekała na niego temperatura syberyjska. Moszcząc się na siedzeniu, odnajdywał Malezję, którą znał. Był tu dwukrotnie. Za pierwszym razem, by zrobić serię reportaży o rodzinach sułtanów panujących kolejno nad krajem. Za drugim, w roku 1997, by opisać kręcenie filmu *Osaczeni* z Seanem Connerym i Catherine Zeta-Jones, który opowiadał o włamaniu na szczycie wieżowców Petronas, najwyższych w Kuala Lumpur i na całym świecie.

Tonące w zieleni miasto płonęło na horyzoncie. Szklane wieżowce sterczały na okolonym wzgórzami i lasami płaskowyżu niczym figury gigantycznej szachownicy. Płomienie łupku, ostrza lodu, przezroczyście strzały - wszystko to mieniło się z daleka w słońcu i wyglądało jak flakony perfum lub płyn po goleniu.

Po wjeździe do miasta wpadało się w szerokie, zadrzewione, pełne powietrza aleje. Nic tu nie przypominało przegrzanych megapoli azjatyckich, mrowiących się od ludzi, pełnych nędzy i brudu. Kuala Lumpur, ogromne rezydencjonalne miasto, tchnęło bogactwem. Było całe pokryte sztucznym werniksem, charakterystycznym dla miast amerykańskich, gdzie wszystko jest nowe, piękne, starannie uczesane, ale które też mają w sobie coś fałszywego, udawanego. Tylko meczety o barwnych kopułach i stare angielskie budowle kolonialne nadawały tej dekoracji rys realności, przypominały, że jakieś życie istniało tu, zanim jeszcze zaczął się nowoczesny wzrost gospodarczy i gorączka biznesu.

Marc podał kierowcy nazwy alej w centrum miasta: Jalan Bukit Bitang, Jalan Raja Chulan, Jalan Pudu, Jalan Hang Tuah... To tam mieściły się wielkie centra handlowe i luksusowe hotele, ale także, w prostopadłych do tych arterii ulicach, małe *gest-houses*, po



rozsądnych cenach. W jednym z zaułków, między dwoma salonami masażu, wytropił hotelik na miarę swych możliwości.

\*

Postawił torbę na podłodze i od razu włączył swój przenośny komputer do gniazdka telefonicznego, żeby sprawdzić pocztę. Czekał na niego e-mail od Reverdiego.

Przedmiot: KUALA - Otrzymany 22 maja, 8. 23.

Od: krw@wanadoo.com

Do: lisbeth@voila.fr

Elisabeth,

zapewne dotarłaś już do Kuala Lumpur. Jest to miasto zbyt nowe, ale łatwo tu znaleźć sobie miejsce, poczuć się swojsko jak w ładnym nowoczesnym apartamencie.

Chcę Cię najpierw powitać i życzyć powodzenia. Mam najgłębszą nadzieję, że zdołasz osiągnąć „nasz” cel. Ale chcę też Ci po raz ostatni przypomnieć reguły gry.

Nie będziesz miała prawa do żadnych pytań. Musisz dawać sobie radę, mając wyłącznie te informacje, jakie ja Ci podam. Nie będziesz też miała prawa do błędu: wystarczy jeden fałszywy wniosek, a nie dostaniesz już nigdy wiadomości ode mnie.

Ale patrzę w przyszłość z ufnością: dowiodłaś mi już swojej inteligencji i zdecydowania. Przeczytaj zatem to, co poniżej. Twoja pierwsza wskazówka dotyczy Drogi Życia.

W Kuala Lumpur istnieje możliwość znalezienia zdjęć Pernille Mosensen. Mówię oczywiście o obrazach „po” jej przemianie. Znajdź te fotografie, Elisabeth, i przyjrzyj im się uważnie.

Odkryjesz Drogę Życia.

Drogę, którą On wytoczy w nagości ciała.

Ale uwaga, musisz obejrzeć zdjęcia ciała omytego. Całkowicie oczyszczonego. To najistotniejsze. Prawda objawi się tylko na czystości skóry.

Powodzenia.

Marc miał wrażenie, że klimatyzacja obniżyła temperaturę o kilka stopni. Gra się zaczęła. Ile miał czasu? Reverdi nie wyznaczył żadnego terminu. Ale Marc wiedział, że musi działać szybko. Musi dowieść sprawności Elisabeth i podsycić zainteresowanie swego korespondenta.

Zastanowił się nad pierwszym zadaniem. Dotrzeć do dokumentów medyczo-sądowych Pernille Mosensen i do zdjęć jej ciała. Reverdi sugerował, że te materiały znajdują

się w Kuala Lumpur. A przecież zbrodnia dokonała się w Papanie, a śledztwo toczyło się w Johor Bahru, stolicy prowincji Johore.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do swojego „źródła” w biurze AFP w Kuala Lumpur, dziennikarki imieniem Sana. Wy tłumaczywszy jej pokrótce powody swej obecności w Malezji - wyłączny reportaż na temat zbrodni w Papanie - zapytał o protokół sekcji zwłok. Sana potwierdziła jego obawy: wszystko działo się w Johor Bahru. „A więc nie ma szans, żeby znaleźć te dokumenty w KL?” Sana roześmiała się cieniutko, co mu przypomniało Pisaï, dziennikarkę z „Phnom Penh Post”. Ze względu na wagę sprawy powołano komisję ekspertów. Jednym z nich był Mustafa Ibn Alang, lekarz sądowy z Kuala Lumpur, sława, autor stałej rubryki sądowej w „New Straits Times”. Osobistość wielce malownicza, człowiek, który, zdaniem Sany, ma „język dobrze podwieszony”. Marc już wiedział, że trafił pod właściwy adres. Odnotował zamiary lekarza, obiecał dziennikarce, że podczas swego pobytu zaprosi ją na obiad, i odłożył słuchawkę.

Wybrał od razu numer i trafił, jak się spodziewał, na sekretarkę automatyczną. Najważniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć, poprosił o wywiad i podał swój numer w hotelu.

Znów odłożył słuchawkę. Kości zostały rzucone. Oficjalnie przebywał w Kuala Lumpur na reportażu. Jego nazwisko pojawi się gdzieś na peryferiach całej sprawy. Czy ta obecność zagrażała jego planowi? Wcale nie. Na tym polegała perfidia jego oszustwa: Elisabeth Bremen zdobywała pierwsze wskazówki, a śledztwo prowadził Marc Dupeyrat...

\*

Po letnim prysznicu jego podniecenie opadło i ustąpiło miejsca mdłościom - skutki różnicy czasu. Zwalił się na łóżko i włączył telewizor. Nie było nic innego do oglądania; jego maleńki pokoik nie miał okna.

Zaczął skakać po kanałach. Cały kalejdoskop różnych elementów rzeczywistości malezyjskiej przedefiniował przed jego wzrokiem. Jeden kanał pokazywał Radę Sułtanów: mężczyźni o cerze koloru ciemnego złota zasiadali w uroczystych pozach wokół owalnego stołu, z medalami na piersiach, odziani w ciemne tuniki i mieniące się turbany. Na innym kanale można było posłuchać słynnego chińskiego kuchmistrza, który z krzywym uśmiechem na ustach przypominał, że wszystko, co się w Malezji je, sprzedaje lub kupuje, jest pochodzenia chińskiego. Kolejny pokazywał obrazy jakiejś wspaniałej uroczystości, gdzie cudowne Eurazjatki w obcisłych sukniach od Diora lub Gucciego występowały obok kobiet noszących tudung, malajską zasłonę na twarz.

Dzwonek telefonu wydobył go z czarnej przepaści. Spał. Na ekranie piraci o

wrednych mordach szturmowali angielski statek.

- Halo?

- Morkdupero?

- *What?*

- *Mister Dupero?*

Marc rozpoznał wreszcie swoje nazwisko. Budzik na nocnej szafce pokazywał 17.10.

Spał przeszło trzy godziny. Odpowiedział po angielsku:

- Tak, to ja.

- Doktor Alang. Zostawił mi pan wiadomość.

Akcent był przeciągły, prawie amerykański. Marc zerwał się z łóżka, wyłączył piekielnie hałasującą klimatyzację, potem przedstawił się szczegółowo i na zakończenie poprosił o wywiad.

- Nie jest pan pierwszy, *man*.

- Wiem, ale...

- Śledztwo jest w toku. Nie mogę nic powiedzieć.

- Oczywiście, ale...

Tamten roześmiał się piskliwie.

- Zawsze możemy się zobaczyć. Czekam na pana w klubie polo Sengora.

- Gdzie?

Przesylabizował bardzo szybko nazwę klubu.

- Do prędkiego, *man*.

Rozłączył się, nim Marc zdążył odpowiedzieć.

## 34.

O zmierzchu Kuala Lumpur było różowobłękitne. Lśniące wieżowce płonęły łagodnym ogniem, niczym mozaiki żaru, podczas gdy inne gmaszyska, przezroczyściezielone, zdawały się przygaszać je swoją świeżością.

Marc podał kierowcy fonetycznie nazwę klubu polo. Wpatrywał się w sterczące na horyzoncie wieżowce Petronas, dokąd zmierzali. Z tej odległości przypominały dwa gigantyczne kaczany kukurydzy, zwieńczone ogromnymi antenami. Przejechali wzdłuż toru wyścigów konnych. Czuł się coraz bardziej jak we śnie. Wszystko zdawało się pikowane drobkami złota, osnute różową mgiełką. Ale najdziwniejsza była harmonia między błękitnawymi gmachami a zielonymi wzgórzami. O tej porze kolory obu ścian mieszały się niczym strugi płynu. Budynki przybierały barwę roślinną, a lasy błyskały szkliście, pokrywając się plamami srebra.

Taksówka zatrzymała się pod drzewami alei. Marc znalazł się na czymś w rodzaju prerii. Drewniane bariery ogradzały rozległy korral. Nazwa klubu polo była wypisana na szyldzie w stylu Far West. W głębi na tle szarego pyłu odcinały się budyneczki z drewnianych bali, a między nimi gdzieniegdzie prześwitywało zielone zwierciadło toru wyścigów konnych.

Marc wszedł za ogrodzenie. Stopy grzęzły mu w piasku. W powietrzu unosiły się wzywy łajna i końskiego potu. Mimo smrodu i zapuszczonego wyglądu stajni, Marc poczuł, że znalazł się w świecie bogatych. Zauważył kryty maneż, gdzie dzieci w koszulkach polo od Ralpa Laurena przeżyły się na siodłach, boksy, w których czekały cierpliwie konie pełnej krwi, z wysoko owiniętymi pęcunami. Istne garderoby artystów. Ale gdzie jest spektakl?

- *Jesteś the Frenchie?*

Marc odwrócił się. Chudy facet o wąskich ramionach, w białej kurtce, wychodził z jednej ze stajen. Miał długie czarne włosy i obwisłe wąsy meksykańskiego bandyty. Podszedł bliżej, ściągając okrwawione gumowe rękawice.

- Alang. - Ucisnął Marcowi rękę. - Cześć, *man*.

Mustafa Ibn Alang wyglądał odpowiednio do swego głosu.

Czystej krwi Malaj, odmiana nowoczesna. Złocista cera, rysy niepozorne, pod krzaczastymi brwiami spojrzenie czarne, ostre. Fryzura - z tych niebanalnych: nastroszona na

czole, spływająca na kark długimi, natłuszczonymi falami. Alang przypominał rockersa z lat siedemdziesiątych, wariant *glitter*. Wsunął rękawice do kieszeni bluzy, również zbryzganej krwią.

- Mam tu akurat godziny nadliczbowe - powiedział, przeciągając sylaby. - Dziś wrywamy młodemu koniom kły, to jest potrzebne do polo. Zawsze jakaś odmiana po tych moich truposzach!

Znów parsknął śmiechem. Białe zęby przecinały mu ciemną twarz, przypominało to pęknięty orzech kokosowy. Nagle przebiegły i konspiracyjny wyraz jego twarzy stał się szczerzy, szlachetny, olśniewający. Marc przypomniał sobie słowa dziennikarki: „Malownicza osobistość”. Tak, miał przed sobą jedną z gwiazd KL. Ziemia zaczynała drżeć.

- Zaczynamy mecz. Browarek w *club-house*, masz coś przeciw?

\*

*Club-house* był długim tarasem na palach, ocienionym palmami. Tropikalny bar z czarnego drewna tronował pośrodku. W powietrzu unosił się mocny zapach rozgrzanego słońcem piwa.

W oddali, na boisku do polo, jeźdźcy to ruszali galopem, to znów wracali spokojnie, jakby ochłonawszy po ataku gniewu. Marc podszedł w stronę trybuny. Z tej odległości konie przypominały małe, na wpół wyssane karmelki, a gracze - białe, podskakujące kulki. Niebo w górze było cudowne: długie chmury koloru malwy, czerwone, srebrne, rozciągnięte nad zielonym horyzontem niczym omdlewające księżniczki nad basenem pełnym nenufarów.

Alang wrócił z dwoma kuflami. Przedstawił Marcowi jakichś siedemdziesięcioletnich arystokratów, złotych młodzieńców w skórzanych kurtkach, zgrywających twardzieli z przedmieścia, piękne Chinki, bardzo seksowne w swych strojach do polo z płowej skóry. Muskularne, mokre od potu, stanowiły absolutne przeciwieństwo kilku Malajek w tudungach, nieruchawych i tłustych, pogryzających z obrażonymi minami łakocie i otwarcie ignorujących zawody.

Marc spojrział na zegarek. Godzina już minęła. Miał duże doświadczenie w przeprowadzaniu wywiadów. Na pierwszy rzut oka odgadywał charakter swego rozmówcy: niepoohamowany gaduła, który zasypie człowieka niepotrzebnymi szczegółami, milczek, któremu trzeba wydzierać każde słowo, albo mistrz dygresji, z którym dopiero po dłuższej rozmowie da się przejść do rzeczy. Alang należał do tej ostatniej kategorii. Jakby chcąc potwierdzić jego obawy, lekarz sądowy zapytał:

- Jadłeś kolację?

\*

Marc, umordowany różnicą czasu, liczył na małą europejską restauracyjkę, dyskretną, w spokojnym punkcie. Alang tymczasem zaprowadził go do Hard Rock Café, w samym centrum miasta. Miejsce pełne ryku, źle oświetlone, gdzie zapachy sosu barbecue niosły się nad głowami jak cyklon.

Zasiedli w boksie obwieszonym relikwiami rocka: gitara Erica Claptona, okulary Eltona Johna, spencerek Madonny... Marc z niedowierzaniem rozglądał się wokół siebie. Kelnerzy w czerwonych fartuchach, z ołówkami za uchem, biegali między stolikami, utrzymując w równowadze góry tacos i cheeseburgerów. Klientela była mocno mieszana: wrzeszczący młodzi ludzie w jakichś amerykańskich łachach, zawoalowane matrony, królujące nad gromadkami uczniów, już teraz zbyt zapasionymi, zawiani Europejczycy z obleśnie szyderczymi minami popatrujący w kierunku baru.

To tam znajdował się gwóźdź widowiska: młode kobiety, o wiele zbyt wyzywające jak na zwykle klientki. Chinki, Tajki, Birmanki, Hinduski... Cery brązowe, miedziane, porcelanowe, oczy o nieskończonej różnorodności azjatyckich kształtów i ciała wyszukanie giętkie, kołyszące się w rytm starych, dobrych przebojów France Musique.

- Nie są w menu.

Marc odwrócił się do Alanga. Od muzyki drżały nakrycia.

- Co?

- Mówię: nie są wliczone w menu, ale przy deserze mogę pójść z nimi pogadać.

Marc poczuł, że się rumieni. Zagłębił się w karcie.

- Ile masz lat? - ryknął lekarz.

- Czterdzieści cztery.

- Ja czterdzieści sześć. Lubisz rocka?

- Co?

Marc nie słyszał połowy tego, co mówił Alang. Ten przysunął się. Oko błyszczało mu przebiegle.

- Wiesz, czego słuchamy?

- *Sweet Home Alabama*. Lynyrd Skynyrd.

- Nieźle. Wiesz, co się z nimi stało?

- Część zespołu zginęła w wypadku samolotowym w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym.

- Widzę, że mam przyjemność ze znawcą. Rock to moja pasja. Przygotowuję encyklopedię rocka w Azji Południowo-Wschodniej, po angielsku.

Marc wyczuł niebezpieczeństwo. Alang oparł łokcie na stole. Nosił sygnet i złoty

łańcuszek.

- Co byś powiedział na mały quiz?

Marc nagle zauważył, że jego uczesanie było dokładną kopią fryzury Davida Bowie z okresu Diamond Dogs.

- Co mogę wygrać? - zapytał.

- Jeśli przejdziesz test, możesz mnie pytać, o co tylko chcesz.

- O sprawę Reverdiego?

- O wszystko, co wiem na ten temat. Żadnej cenzury.

Marc miał ogromną kulturę muzyczną. Wprawdzie fortepian go kiedyś zdradził, ale nigdy nie zapomniał swojej pierwszej namiętności. I chociaż jego specjalnością była muzyka klasyczna, to znał też doskonale świat rocka.

Wypił jednym haustem swoje piwo i oznajmił:

- Czekam na pytania.

Nie zabrakło niczego. Dlaczego David Bowie ma oczy różnej barwy? W dzieciństwie bójka z kolegą unieruchomiła mu lewą źrenicę. Nazwisko piosenkarza soul, który po upadku z estrady został pastorem, bo uznał, że jego wypadek to „znak od Boga”? Al Green. Nazwisko muzyka, który zdobył sobie pozycję w pewnej słynnej grupie, wyrzucając perkusistę z miejsca w trakcie koncertu i zabierając mu pałeczki? Keith Moon, legendarny perkusista Who...

Dwie godziny później wyszli w duchotę nocy. Marc chwiał się na nogach. Nie tknął nic na talerzu. Kolejne piwa, pytania Alanga, bliskość prostytutek - wszystko to zamieniło jego głowę w płonące ognisko.

Na chodniku jakiś Indonezyjczyk o mętnych oczkach podał im wizytówki. Marc myślał, że to reklama pizzy z dostawą do domu, ale karteczka, na której w miejscu nazwiska figurowało PAN RAYMOND, informowała: „Wszystkie dziewczyny, jakich ci trzeba!”. Wystarczy zadzwonić.

- Chodź - powiedział Alang, rzucając wizytówkę na ziemię. - Znam coś o wiele lepszego.

Znów wsiedli do samochodu Alanga. Przejechali przez jakąś budującą się dzielnicę, potem wzdłuż niezabudowanych terenów, wreszcie zagłębili się w małą uliczkę i zatrzymali pod czerwonym neonem oznajmającym „El Nino”. Nawet zalany, Marc zdawał sobie sprawę z absurdalności sytuacji. Druga runda quizu miała się odbyć w barze meksykańskim. I to w stolicy Malezji.

Marc stanął na wysokości zadania: okazał się nie do pobicia. Który pieśniarz *destroy*

wystawił swoją kandydaturę na burmistrza San Francisco pod hasłem *Apocalypsis novi Jello Biafra*, lider Dead Kennedys. Który kompozytor karał swoich muzyków grzywnami za fałszowanie? James Brown. Który artysta omal nie został uduszony w dzieciństwie, kiedy bandyta włamał się do jego domu? Marilyn Manson.

O drugiej rano, po kilku tequilach, Marc spróbował wrócić do interesującej go sprawy. Zamiast odpowiedzi Alang obrzucił spojrzeniem znawcy przysypiające wśród butelek małe Filipinki, przebrane za Meksykanki. Z głośników waliło *Hey Joe!* w wersji *mariachi* w wykonaniu Willy'ego de Ville.

- Wiesz może, kim jest jego żona? Mam na myśli żonę Willy'ego?

- Jest czarownicą. Czarownicą wudu w Luizjanie.

Lekarz sądowy wzniosł do góry swój małeńki kieliszek.

- *Man*, naprawdę mi się podobasz.

- Pomówmy o Reverdim...

- Cierpliwości. Cała noc przed nami.

Znaleźli się w jakimś klubie jazzowym. Było gęsto od dymu. W głębi sali błyszczały płowe odbicia kontrabasu i lśnił lakier fortepianu. Migało też kilka czerwonych sukni chińskich kurewek. Marc zaczynał się zastanawiać, kim właściwie jest Alang? Dlaczego poświęca mu całą noc? Zaczął się obawiać jakichś pomysłów homoseksualnych...

- Pamiętasz Petera Hamilla? - szepnął mu towarzysz nocy do ucha.

Marc już nie wytrzymał, ale przytaknął: Hamill był liderem jednej z kultowych grup lat siedemdziesiątych, Van Der Graaf Generator. Wyjątkowy autor i wykonawca o rozdzierającym głosie, przezywany „Jimi Hendrix głosu”.

- Znasz jego albumy solowe, które zarejestrował po rozpadnięciu się grupy?

Marc już nie odpowiadał. Tamten mówił dalej:

- Wszystkie te albumy mówią tylko o jednym, *man*: o jego rozwodzie. - Alang ścisnął go za ramię w geście pijackiej solidarności. - Powiem ci: rozwód to coś, po czym człowiek się już nie podnosi...

Marc zrozumiał wreszcie komu - albo czemu - zawdzięcza tę koszmarną noc. Alang był mężczyzną porzuconym, otwartą raną która nie chciała się zabiścić.

Dopiero o czwartej nad ranem, w knajpie techno, w podziemiu jednego z wielkich hoteli, zapytał wreszcie:

- Właściwie, co chcesz wiedzieć?

Marc przygotował sobie całą serię pytań, które miały stopniowo i subtelnie doprowadzić go do zdjęć oczyszczonego ciała Pernille Mosensen. Ale po godzinach, które



teraz przeżył, i z zawartością alkoholu, jaką miał w żyłach, powiedział po prostu:

- Chcę zobaczyć ciało ofiary.
- Dawno pochowana w Danii.
- Mówię o zdjęciach. Zdjęciach ciała. Obmytego.

W ciemności przeszywanej stroboskopowymi błyskami Alang pochylił się do niego.

- Kto ci dał cynk?

Marc wytrzeźwiał w jednej chwili. Lodowata sonda przeszła mu całe ciało. Miał tu, na wyciągnięcie ręki, odkrycie zasadniczej wagi.

- Nikt - skłamał. - To tylko dla... uzupełnienia materiałów.

Alang wstał i klepnął Marca po barach.

- No, to nie przyjechałeś na darmo!

## 35.

To był rysunek.

Precyzyjna siateczka ran.

Marc już na pierwszy rzut oka zrozumiał, co Reverdi chciał pokazać Elisabeth. Nacięcia były liczne, ale układały się w prawdziwy schemat anatomiczny, składający się z poziomych szram, prowadzących od skroni przez krtań, dalej ponad obojczykami, następnie wzdłuż ramion - przez bicepsy, doły łokciowe, nadgarstki... Na tułowiu motyw zaczynał się na nowo pod pachami, okrążał płuca, potem zbiegał się ku biodrom. Stąd nacięcia schodziły jeszcze niżej, ku częściom rodnym i wreszcie sięgały nóg.

Całość przypominała przerywane linie na patronach, używanych przez projektantów konfekcji, wskazujące, gdzie trzeba kroić, ciąć, szyć...

Była mowa o dwudziestu siedmiu ciosach nożem i o bestialskim charakterze morderstwa. Marc, jak wszyscy, wyobrażał sobie jakąś anarchiczną przemoc, barbarzyński chaos. Wbrew temu omyte zwłoki ukazywały ślady czynu dokonanego starannie i metodycznie.

Mimo pory dnia i mimo mdłości Marc odzyskał pełną jasność umysłu. Te zdjęcia zmieniały całkowicie obraz sprawy. Reverdi nie był kompulsywnym zabójcą, działającym pod wpływem nagłego kryzysu. Wyrysowanie tego ohydneho wzoru zabrało mu niemało czasu, tortura trwała całe godziny.

- Droga krwi, *man*.

Marc podniósł wzrok. Siedzieli w gabinecie Alanga w General Hospital Kuala Lumpur. Kilka metrów kwadratowych zarzuconych skoroszytami i aż lodowatych od klimatyzacji. Z dala słychać było śpiewy muezinów. Piątek rano: całe miasto drżało od modlitw.

Lekarz, rozparty w fotelu, pogryzał batonik czekoladowy. Powtórzył:

- Droga krwi. Reverdi trzymał się sieci żył.

Droga Życia, przypomniał sobie Marc.

- Wyjaśnij mi to - poprosił.

Alang wstał i okrążył biurko. Wskazał na zdjęcie swoim batonikiem, rozsiewając po błyszczącym papierze ziarenka sezamu.

- U nasady szyi: żyły szyjne. Pod pachami: żyły pachowe. W kroczu: żyły biodrowe. W udach: żyły udowe... Mógłbym ci wymienić wszystkie nazwy. Przeciął wszystkie najważniejsze żyły. Za to starannie unikał arterii.

- Dlaczego?

Lekarz wrócił za biurko i usiadł. Jego beznamiętny styl pasował do chłodu gabinetu.

- Bo ją wykrwawił. Za życia. I chciał długiej rozkoszy. Gdyby poprzecinał arterie, krew trysnęłaby kilku potężnymi strugami i basta. W żyłach ciśnienie jest niższe. Krew płynie wolniej. Z tego samego powodu ominął serce i płuca. Chciał, by maszyna działała do ostatniej chwili.

- To znaczy jak to zrobił?

Alang naśladował batonikiem ruchy mordercy.

- Opierał nóż ostrzem równoległe do ciała, potem przecinał każdą z żył, przerywając bieg strumienia krwi. Dokładnie tak jak nasi plantatorzy nacinają korę hewei, żeby zbierać mleczko kauczukowe. Mówię ci, skurwysyn się nie śpieszył. Chciał widzieć, jak krew się rozlewa i spływa, jak ofiara wykrwawia się do końca. Pielęgniarki, którzy weszli do jego chałupy, musieli włożyć kalosze, żeby dostać się do dziewczyny.

Marc przyjrzał się następnemu zdjęciu. Zbliżenie czarniawego nacięcia, częściowo pokrytego strupem.

- Trzeba mieć jakąś wiedzę medyczną, żeby wykonać taki... rysunek?

- Raczej tak. To była prawdziwa robota anatomopatologa. Nie wiem, skąd nabrał tej wiedzy...

- Był instruktorem nurkowania. Musiał mieć pojęcie o ratownictwie.

- No, to się może zgadzać. Układ żył: od tego się zaczyna na kursach pierwszej pomocy. Chodzi o zastrzyki, kroplówki...

Marc przyjrzał się dokładniej fotografii. To, co wziął za strup, było czymś innym.

- Te czarne ślady wokół rany wyglądają na oparzenia...

- Zgadza się. Reverdi przypalił albo po prostu ogrzał rany.

- Po co?

- Wciąż z tego samego powodu. Żeby nie dopuścić do zastygnięcia krwi. To tak jak podgrzewarka do dań: nie dopuszcza, żeby tłuszcz zastygł. Tłumaczę ci: jego kręci widok spływającej krwi.

Ta uwaga przypomniwała Marcowi jeszcze jeden szczegół.

- W chacie nie znaleziono śladów spermy?

- Ani kropli. Nasz koleżka nie puścił sosu.

To była jedna z osobliwości Reverdiego. Zasadniczo seryjnym mordercom śmierć zastępuje miłość. Morderstwo pełni rolę aktu seksualnego. Najczęściej doznają rozkoszy na miejscu zbrodni, przed, podczas lub po zabójstwie. Chyba że szukają jeszcze czego innego.

- Prawdziwą tajemnicą - dodał Alang - jest liczba nacięć. Przeszło połowa była niepotrzebna.

- Co masz na myśli?

- Wyobraź sobie taką scenę. - Alang rozłożył ręce, jakby rozsuwał kurtynę. - Nacina najpierw skronie, potem krtań. Zanim dojdzie do bioder, ofiara jest już wykrwawiona. Z pierwszych ran wylała się cała krew, jaka była w ciele. A więc po co kaleczył dalej?

Marc badał na pierwszym zdjęciu rozgałęzienia ran, doskonale symetryczne, aż po koniuszki palców.

- Dla urody gestu - podsunął. - Chciał naciąć każdy z członków, każdą część ciała w ten sam sposób.

- Może. Ale inne rany wciąż krwawiły. W końcu musiało tam wyglądać jak w jatce. Nie wiem nawet, jak on się w tym wszystkim połapał.

Marc wpadł na pomysł.

- Może zastosował opaski zaciskające?

- Myśleliśmy o tym, ale wtedy ślady byłyby inne. Krwiaki. Nie, tu jest jakaś tajemnica.

Marc próbował zebrać myśli. Im więcej się dowiadywał, tym bardziej Jacques Reverdi objawiał mu się jako morderca skomplikowany, działający z rozmysłem. Człowiek, który zmierzał do jakiegoś tajemnego celu.

- Sporządziliście oficjalny raport?

- Oczywiście. Wszystko jest teraz w rękach Sądu Najwyższego w Johor Bahru.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

Alang uśmiechnął się.

- Na szczęście nie wszystko mówi się dziennikarzom. Zwłaszcza zagranicznym. Jest jeszcze coś, czego nie wiesz.

Lekarz, wciąż rozwalony w swoim krześle, otworzył nonszalancko jedną z teczek i wyciągnął z niej plik spiętych ze sobą kartek.

- Toksykologiczne analizy ofiary. Krew Pernille Mosensen była osłodzona.

- Co?

Alang wstał. Przerzucił szybko kartki i wskazał ustęp podkreślony zielonym atramentem.

- Normalny poziom glukozy we krwi to jeden gram. Tu mamy gram i trzydzieści setnych.

- Pernille Mosensen była chora?

- Zaraz pomyśleliśmy o cukrzycy. Ale zasięgnęliśmy informacji: była zupełnie zdrowa. Nie, ten cukier ma związek z morderstwem.

Marc poczuł, jak mięśnie napinają mu się pod skórą.

- Jaki?

- Chyba uraczył ją tuż przed zabójstwem jakimiś słodczymi. Analizy wykazały ślady witamin, mikroelementów. Prawdziwa uczta.

Marcowi przez głowę przeszła piekielna wizja: Pernille odmawia połykania łąkoci, pomadek owocowych, czekolady. Jej wykrzywione usta, zaciśnięte zęby, zbyt słodka ślina spływająca jej z warg...

- Czy krew jest od tego bardziej... płynna?

- Nie. Doszliśmy do innego wniosku.

Alang milczał przez kilka chwil. Podtrzymywał napięcie. Wziął z biurka skalpel, którego używał pewnie jako noża do papieru, i wycelował go w kierunku Marca.

- Reverdi zmienił smak tej krwi. Chciał, by była mniej cierpka, słodsza...

- Chcesz powiedzieć?...

- Tak, zapewne ją pił. To wampir, *man*. Rąbnięty gość, który lubi słodką krew. W Papanie mu przerwano, ale jestem pewien, że tak samo załatwił inne i wtedy strzelił sobie swój kufelek. Kiedy rybacy wdarli się do chaty, był w transie. Wyglądało na to, że nawet nie rozumie, co się dzieje. Reverdi miewa prawdziwe napady, podczas których się... przeistacza, staje jakimś stworem. Wampirem. Potworem z filmu.

Marc zrobił minę, jakby się zgadzał, ale nie wierzył w to. To by było za grube, za wulgarne. I jaki by miało związek z Drogą Życia? Przeszedł do następnych pytań.

- Kontaktowaliście się z władzami kambodżańskimi, żeby porównać wasze materiały z tymi, które dotyczą Lindy Kreutz?

Alang położył nogi na biurku.

- Oczywiście. Rozmawiałem nawet z lekarzem, który robił sekcję zwłok w Siem Reap. Gość jest mniej stanowczy co do przebiegu ran. Ciało zostało uszkodzone wskutek przebywania w wodzie. Ale Khmer zgadza się z nami w sprawie nacięć. Nasz DPP, Deputy Public Prosecutor, pojedzie może do Phnom Penh.

Marc pomyślał o niemieckim adwokacie i o dwóch innych ofiarach w Tajlandii. Gdyby można był odnaleźć ich ciała, zobaczyliby zapewne na skórze ten sam motyw. Podpis

Reverdiego. Ślad jego szaleństwa.

Wstał. Czuł skurcz w żołądku - nie jadł nic od przeszło dwudziestu godzin.

- Mogę zachować zdjęcia?

- Nie.

- Dziękuję.

Alang roześmiał się.

- Nie przesadzasz trochę? I tak powiedziałem o wiele za dużo.

Marc milczał. Lekarz westchnął, po czym otworzył szufladę.

- Chyba czuję miętę do ciebie.

Położył na stole kasetę wideo VHS.

- Prezencik. Pierwszy wywiad z Reverdim po przywiezieniu go do szpitala psychiatrycznego w Ipoh. Szefowa oddziału to moja kumpelka. Masz tu prawdziwą bombę. Nawet prokurator tego nie widział.

Marc poczuł, jak pot zastyga mu na twarzy. Chwycił kasetę i spytał drżącym głosem:

- Reverdi... Mówi o morderstwie?

- Jest w stanie szoku.

- Mówi o nim czy nie?

Marc podniósł głos. Alang skrzywił się z dezynwolturą.

- Tak i nie. To jest dziwne.

- Co jest dziwne?

- Sam się zorientujesz.

Marc pochylił się nad biurkiem.

- Chcę znać twoje zdanie. Co jest dziwne?

- Mówi o zabójstwie, jakby był jego świadkiem, a nie sprawcą. Jakby był obecny przy wydarzeniu, ale w nim nie brał udziału. To jest jeszcze bardziej przerażające niż cała reszta. Reverdi sprawia wrażenie niewinnego. Niewinnego, który przybył z głębi czasu.

- Z głębi czasu?

Alang po raz pierwszy wyzbył się swego sarkastycznego tonu.

- Z głębi własnego dzieciństwa.

## 36.

- Jak pan się nazywa?

Milczenie.

- Jak pan się nazywa?

Milczenie.

- Jak pan się nazywa?

- Jacques... - Chwila wahania, a potem: - Reverdi.

Marc musiał porządnie potrząsnąć Chińczykiem z hotelu, żeby dostać magnetowid. Oglądał teraz najnowsze ujęcia mordercy Pernille Mosensen. Pasek na dole ekranu głosił: „February 11th, 2003”.

Z ogoloną czaszką, wychudzony, ubrany w szpitalną kamizelę z zielonego płótna, pletwonurek był przytroczony do poręczy stalowego fotela, stojącego u końca stołu. Głos miał bezdźwięczny, jakby zniekształcony działaniem lekarstw. Psychiatra, niewidoczny na ekranie, zadawał mu pytania po angielsku.

- Wie pan, o jakie przestępstwo jest oskarżony?

Milczenie. Reverdi sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał: rysy zaostrzone, szara cera; mimo opalenizny jego twarz miała ten sam kolor kamienia, co krótko przy skórze ogolone włosy. Siedział na krześle wyprężony, z napiętymi mięśniami. Oszołomiony i jednocześnie napięty jak łuk.

O jakie przestępstwo, Jacques?

Marc pochylił się nad ekranem, żeby lepiej przyjrzeć się oczom Reverdiego, ale kamera zdejmowała go z góry. Mizerna jakość obrazu też nie pomagała. Zobaczył tylko - albo zdawało mu się, że zobaczył - rozszerzone źrenice skupione na jakimś urojonym punkcie.

- Jest pan oskarżony o zabójstwo Pernille Mosensen.

Reverdi wyciągnął szyję, jakby uwierał go kołnierzyk. Milczał dłuższą chwilę, zanim odpowiedział po angielsku:

- To nie ja.

- Znalaziono pana na miejscu zbrodni koło ofiary.

Milczenie.

- Kobieta otrzymała dwadzieścia siedem ciosów nożem.

Głos psychiatry nie był ani niski, ani wysoki, co wzmagało jeszcze napięcie. Reverdi jakby przełknął ślinę. Albo pohamował szloch.

Marc spodziewał się, że zobaczy potwora. Jakaś przerażająca maskę. Widział tylko wariata. Wysokiego. Przystojnego. I tragicznego.

Głos, wciąż tak samo monotony, odezwał się znów:

- Jacques, to był pański nóż.

Milczenie.

- Był pan pokryty krwią tej kobiety.

Milczenie, a potem:

- To nie ja.

Marc zamrugał kilkakrotnie powiekami, żeby wyzwolić się z ogarniającej go fascynacji. Przyjrzał się miejscu, gdzie odbywało się przesłuchanie. Zalany słońcem, prawie pusty pokój, który mógł być celą więzienną albo gabinetem urzędowym, w dowolnym miejscu pod zwrotnikami. Tylko monitor do oglądania zdjęć rentgenowskich, umocowany na prawej ścianie, przypominał, że rzecz dzieje się w szpitalu.

Lekarz nalegał:

- Na nożu były pańskie odciski palców.

Reverdi poruszył się na krześle. Jego skrupowane nadgarstki pulsowały rytmicznie. Na grzbietach dłoni nabrzmiały żyły.

- Nie ja. Ktoś inny - wymamrotał.

- Kto?

Nie było odpowiedzi.

- Kto inny mógł dokonać tego zabójstwa?

Reverdi wciąż patrzył nieruchomym, szklistym wzrokiem, ale jego ciało poruszało się coraz bardziej. Jakby coś coraz mocniej go uwierało. W kącie obrazu na chwilę pojawili się dwaj pielęgniarze. Dwa olbrzymy gotowe do skoku. Napięcie rosło.

Nurek powtarzał matowym głosem:

- ...inny... ktoś inny.

- Ktoś inny... wewnątrz pana?

- Nie. W Izbie.

- W izbie? Ma pan na myśli... chatę?

Lekarz mówił teraz głośniej. Marc zrozumiał wreszcie, dlaczego ten głos go zaintrygował: mówiła kobieta.

- Chata była zamknięta od wewnątrz, Jacques. Nikogo z panem nie było.



- Czystość. To czystość.

- Jaka czystość? O czym pan mówi?

Przedramiona przesłuchiwanego uniosły się nagle. Krępujące go więzy zatrzeszczały. Wydawało się, że żyły rąk za chwilę przetną skórę.

- Jacques? - Lekarka mówiła jeszcze głośniej, głos jej drżał: - Kto był z panem, Jacques?

Brak odpowiedzi. Trzeszczenie rzemieni.

- Kiedy pana znaleziono, był pan sam.

Żadnego komentarza.

- Sam w chacie. Z kobietą pokrytą ranami.

Żadnego komentarza.

- Jacques, dlaczego to zrobiłeś?

- Schowaj się - wymamrotał to polecenie po francusku. Ledwie uchwytnym szeptem.

- Co? - spytała lekarka po angielsku. - Co pan powiedział?

Reverdi wyciągnął szyję. Żyły na szyi sterczały mu niczym korzenie wychodzące spod ziemi. Otworzył usta. Rozległ się przerażony, dziecinny głosik:

- Schowaj się! Schowaj się szybko!

- Jacques, o czym ty mówisz? Kto ma się schować? Kobieta zrozumiała francuskie zdanie. Płetwonurek wyprężył się jeszcze bardziej. Podniósł podbródek i popatrzył na lekarke, ale tak jak człowiek pijany, który niczego już nie rozróżnia.

- Schowaj się szybko, tato idzie!

Lekarka pochyliła się. W kadrze pojawiło się jej ramię: zapisywała coś w notesie. Na twarzy miała zasłonę. Drugą ręką dała wyrazisty znak pielęgniarzom: niech będą gotowi dać zastrzyk.

Odezwała się po francusku z silnym akcentem:

- Jacques, co pan mówi? Niech mi pan to objaśni!

Zamiast odpowiedzi Jacques Reverdi zamknął powieki, jakby zaciągał kurtynę nad swym wewnętrznym teatrem.

- Jacques?

Żadnej odpowiedzi. Twarz wyciągnęła mu się, rysy zapadły, zbladł. Jego orbity przypominały czarne dziury. Wargi miał wąskie jak kable.

Psychiatra opuściła notes i rzuciła się ku niemu. Położyła dwa palce na krtani Reverdiego i krzyknęła coś po malajsku. Alarm bojowy w pokoju. Jeden z pielęgniarzy chwycił maskę tlenową, drugi strzykawkę. Marc nic nie rozumiał.

Kobieta w tudungu chwyciła Reverdiego za głowę i krzyczała do niego po francusku:

- Oddychaj, Jacques, ODDYCHAJ!

Jeden z pielęgniarzy przeszedł przed obiektywem, potrącił kamerę. Wszystko zmętniało.

Ekran był czarny.

Marc wyłączył magnetowid, potem nacisnął na klawisz *back*. Był cały spocony. Żeby nie stracić ani słowa z taśmy, nie uruchomił klimatyzacji. Był oszołomiony tym, co zobaczył. Okno otwarte na szaleństwo zabójcy.

Wstrząsnęły nim zwłaszcza ostatnie sekundy. Bezdech. Nurek skrył się w bezdech. Był to schron, zbroja, chroniąca go przed światem zewnętrznym.

A nawet coś więcej. Wstrzymując oddech, Reverdi zabezpieczał się nie tylko przed światem zewnętrznym, ale i przed sobą samym. Przed swoimi wewnętrznymi głosami. Ogarnięty wspomnieniem lub halucynacją, przestał oddychać. „Schowaj się szybko, tato idzie”. Co to mogło znaczyć?

Marc usiadł na łóżku i myślał. Ojciec był w życiorysie Reverdiego wielkim nieobecny. „Urodzony z nieznanego ojca”. Biografie nie wspominały nigdy o żadnej ojcowskiej postaci. A przecież zabójca wygłosił - głosem małego chłopca - to niezrozumiałe zdanie: „Schowaj się szybko, tato idzie!”. Jakby nagle przeżył na nowo jakieś konkretne wzruszenie...

Marc spojrzął na zegarek: ósma rano. Czyli pierwsza w nocy w Paryżu. Poszukał w swoim elektronicznym notesie numeru telefonu Jérôme'a, archiwisty „Le Limier”. Nie spał.

- Wiesz, która godzina? - wybełkotał.

- Jestem w podróży.

- Gdzie?

- W Malezji.

Jérôme roześmiał się.

- Reverdi?

- Jeśli powiesz coś Verghensowi, ja...

- Nic nigdy nikomu nie mówię.

To była prawda. Zagrzebany w swych papierzyskach archiwista wypowiadał się tylko wtedy, kiedy go pytano. Marc powiedział najłagodniej, jak mógł:

- Zastanawiałem się... Czy mógłbyś coś dla mnie sprawdzić?

- No, mów...

- Chciałbym, żebyś poszukał w aktach Reverdiego, czy na pewno urodził się z

nieznanego ojca?

- Tak. Znana jest tylko tożsamość jego matki. Monique Reverdi.

Ani chwili wahania. Pamięć Jérôme'a była warta tyle, co wszystkie komputery razem wzięte. Marc pytał dalej:

- Mógłbyś zwrócić się do Urzędu do spraw Socjalnych z prośbą o zidentyfikowanie ojca?

- Nigdy niczego nie załatwią specjalnie dla nas.

- Nawet przy twoich stosunkach?

- Mogę spróbować. Ale szanse są słabe.

- A czy jest może sposób, żeby się dowiedzieć, czy sam Reverdi próbował tą drogą zdobyć nazwisko ojca?

Jérôme roześmiał się znowu.

- To leży w granicach moich możliwości...

- Przyślij mi e-mail, jak będziesz coś wiedział.

Podziękował i odłożył słuchawkę. W tym momencie znów poczuł mdłości. Jego ciało straciło wszelką orientację w czasie, organizm posuwał się tyłem do przodu, między nocą, którą przepuścił, a tą, która wisiała teraz nad Francją. Głód pogarszał jeszcze jego samopoczucie. Powinien coś zjeść, jeśli nie chciał się zwalić na podłogę, ale przerażający dziecięcy głosik znowu zadzwonił mu w uszach. I znów zobaczył pobladałą jak kamień twarz, napięte żyły na szyi. Potrzebował kawy.

W hotelu nie było obsługi na piętrach. Marc zszedł na parter, gdzie stał dystrybutor z gorącą wodą. Torebek z neską nie znalazł.

Z braku laku musiał wziąć sobie herbaty - marnego liptona bez smaku. Parzył go bardzo długo. Poruszając w filiżance torebką jak wachlarzem, próbował uporządkować myśli.

Zapowiadało się, że podróż okaże się owocna. Był w Malezji niecałe dwadzieścia cztery godziny, a już dokonał paru odkryć. Technika wykrwawiania. Nowa twarz Reverdiego, „zabójcy metodycznego”. Niemal pewność, że Linda Kreutz poddana była takim samym torturom. Szczegół z cukrem, który budził podejrzenia o wampiryzm...

A teraz ten dziecięcy głos, który wskazywał na jakiś szok związany z ojcem. Marc znów zobaczył przed sobą porytą zmarszczkami, zdrtwiałą twarz nieoddychającego już Reverdiego. Tajemnica zabójcy tkwiła tam, za tą maską.

Na tę myśl przypomniała mu się Elisabeth. Omal nie zapomniał napisać do Reverdiego. Wyrzucił torebeczkę po herbacie do kubła na śmieci i wrócił schodami do pokoju. Włączył klimatyzację na cały regulator i wziął się do roboty, żując dwa kawałki

kruchego ciastka, które porwał spod dystrybutora.

W kilka minut wpasował się w słowa, zwroty, „muzykę” studentki. Po takiej nocy, po godzinach śledztwa, które prowadził w skórze Marca Dupeyrata, zakrawało to na cud. Najdziwniejsze było, że list miał ton radosny; mimo tematu, mimo przemocy, studentka była dumna ze swych odkryć.

Elisabeth opowiedziała o „swoim” spotkaniu z lekarzem sądowym. O omytym ciele Pernille. O siatce żył - Drodze Życia. Pisząc, Marc cenzurował się. Nie wspomniał ani słowa o innych poszlakach. O cukrze. O bezdechu. O ojcu.

System działał wciąż dwubiegowo.

Elisabeth torowała drogę, Marc ją pogłębiał.

Wysłał e-mail. Czuł się mocny. Na razie kontrolował sytuację. Ale nie mógł opanować niepokoju. Oto wcielał się w kobietę, by utożsamić się z mężczyzną. Miał być Elisabeth, żeby stać się Reverdim. Naprawdę - można było dostać schizofrenii.

Z tą myślą zasnął w ubraniu na łóżku.

## 37.

Kiedy się obudził, nie wiedział, gdzie jest. Światło wciąż się paliło, ale jego pokój bez okien utrudniał orientację. Tylko szum klimatyzacji sprawiał, że czuł się, jakby siedział w głębi silnika samolotowego.

Spojrzał na zegarek: szesnasta. Usiadł na łóżku i chwycił się obu rękoma za czoło. Migrena ścisnęła mu głowę. Czuł w ustach swój ogromny język. Mruknął: „Kawy”. Ale myśl, że miałby zejść na parter i włączyć dystrybutor, przyprawiła go o nowy atak mdłości.

Podniósł wzrok i zobaczył na stoliku swój komputer.

Na wszelki wypadek włączył modem.

Przedmiot: KUALA 2 - Otrzymano 23 maja, 11. 02.

Od: krw@wanadoo.com

Do: lisbeth@voila.fr

Moja Lise,

dodajesz mi siłę i pocieszasz.

Spośród wszystkich tych, którzy próbowali się do mnie zbliżyć, pisać do mnie, wypytywać, wybrałem Ciebie. Dziś wiesz o sobie tego. Byłem pewien, że okażesz się godna swego zadania.

Znalazłaś Drogę Życia. Wiesz, czego On szuka i co lubi oglądać. Zrozumiałaś zatem, że stoimy, On i ja, po drugiej stronie uświęconej granicy.

Granicy krwi.

Poruszamy się po terytorium rzadko odwiedzonym, Lise. Terytorium niebezpiecznym, na którym gramy na równych prawach z Bogiem. Mówiłem Ci już o tym ustępie z Biblii Jerozolimskiej, w którym Pan przypomina, że krew jest duszą. W tym samym rozdziale, w wersecie szóstym, powiedziano: „Ktobykolwiek wylał krew człowieczą, będzie wylana przez ludzi krew Jego”. Bo tylko Bóg ma prawo ją przelewać. Kto przekracza to prawo, staje się rywalem Pana.

Ten, po którego śladach kroczysz, zrobił ten krok. Rzucił wyzwanie Bogu - i przyjmuje odpowiedzialność za tę obrazę. Jeśli chcesz go zrozumieć, musisz szukać dalej. Obrzęd określają inne jeszcze reguły. Bardzo konkretne etapy. Powinnaś zorientować się, jak On postępuje. Jak przygotowuje obnażenie duszy...

Musisz odnaleźć Znaki Wieczności.

Które Latają i Obradzają...

Nabierz wysokości, Lise. Szukaj w niebie. I pamiętaj o tej prawdzie: jest tylko jeden sposób, by ujrzeć wieczność - zatrzymać ją choćby na kilka chwil.

Moje serce jest z Tobą.

Jacques

Kawy.

Kawy, kurwa, natychmiast!

Zszedł schodami w dół, przytrzymując się ścian. „Znaki Wieczności”. „Które Latają i Obradzają”. Reverdi robił się coraz bardziej tajemniczy. I Marc czuł, że ten hermetyczny język będzie mu coraz trudniej zrozumieć. W miarę jak morderca zacznie otwierać bramy swojego świata, jego słownik stanie się coraz bardziej ezoteryczny - i niezrozumiały.

Tymczasem dostarczono neskę. Zaparzył sobie brunatnego płynu i spróbował go, pomyślał, że może jednak wolałby dzisiejszą poranną herbatę. Kręcąc w filiżance plastikową pałeczką, obracał w głowie słowa Reverdiego: „Szukaj w niebie”. „Nabierz wysokości”. Powiedział sobie, że te słowa oprócz swej metaforycznej wymowy mają może również jakieś całkiem konkretne znaczenie.

W kilku skokach przebiegł po schodach w górę. Wziął do ręki mapę Malezji i przyjrzał się oznaczeniom wysokości. Kraj leżał tuż nad morzem i szczytów nie było tu za wiele. Zwrócił uwagę na Cameron Highlands, górski region leżący jakieś dwieście kilometrów na północ od Kuala Lumpur, którego najwyższe partie przekraczały tysiąc pięćset metrów nad poziomem morza. Nazwa z czymś mu się kojarzyła. Mówiono mu już o tej rezydencjonalnej miejscowości wakacyjnej, w której turyści mieli do dyspozycji luksusowe hotele i pola golfowe. Zajrzał do przewodnika i znalazł potwierdzenie tego, co pamiętał.

Czy Reverdi podsuwał mu ten kierunek? W górach instruktor nurkowania nie miał nic do roboty. Przyszło mu do głowy coś, co pomogłoby mu potwierdzić pewne podejrzenia. Może tam na wyżynach zdarzyło się jakieś morderstwo? Może ktoś tam zaginął?

Zadzwoił do „News Straits Times”. Kobięcy głos w aparacie był przyjazny. Marc chciał tylko dowiedzieć się o godziny otwarcia archiwum, ale postanowił spróbować szczęścia przez telefon. Przedstawił się i powiedział, o co mu chodzi, nie wspominając, że sprawa ma związek z Reverdim. Czy w ostatnich latach sygnalizowano jakieś morderstwo w regionie Cameron Highlands? Albo czyjeś zaginięcie?

Archiwistka nie umiała odpowiedzieć z pamięci. Poprosiła, żeby się nie rozłączał.

Usłyszał trzaskanie klawiszy komputera, po czym dziewczyna znów podniosła słuchawkę: nie znalazła nic. Ani śladu morderstwa czy poważniejszego wypadku w tych okolicach od co najmniej ośmiu lat. Żeby szukać we wcześniejszym okresie, musiałby sam przyjść i przejrzeć dane...

Marc po paru grzecznościowych zwrotach rozłączył się. Nie wiadomo dlaczego jego przekonanie jeszcze się umocniło. Reverdi grasował w tamtych stronach. Zostawił na wyżynach ślady owych tajemniczych „znaków”. Postanowił pojechać tam nazajutrz rano.

W tym momencie burczenie w brzuchu przypomniało mu, że wkrótce miną całe dwa dni, od kiedy nic nie jadł. To już nie było roztargnienie, tylko strajk głodowy. Wziął klucz i zatrzaskał drzwi od pokoju.

Światło dzienne podziało na niego tak, jakby wsadził głowę między dwa grzmiące czonele. Skutki upału też poczuł natychmiast. Wydało mu się, że skóra mu się rozplywa, i po chwili miał palce pomarszczone od potu. Odniósł wrażenie, jakby kompletnie ubrany znalazł się w saunie.

Na ulicy, przy której stał jego hotel, tarasy restauracji wychodziły na trotuar, a nawet na jezdnię - samochody, jadąc powolutku, musiały omijać stoliki i uważać, żeby widelce nie porysowały im karoserii.

Marc zamówił *fried rice*, klasyczne danie chińskiej kuchni. Przepadał za tym ryżem, kryjącym w sobie tyle niespodzianek. Krewetki, warzywa, migdały, cebulki, kawałki omletu... Wszystko to ugotowane, roztopione, podduszone w tej samej złocistej fali. Cameron Highlands.

Powtarzał te sylaby przy każdym łyku.

Był pewien, że czeka go tam jakaś wskazówka.

## 38.

Jalan Ruching.

Droga Kotów.

Według jego planu, tędy należało jechać, żeby wydostać się z miasta.

Marc z samego rana wynajął samochód. Był to proton, standardowy w Malezji wehikuł, z kierownicą po prawej stronie. Wyjechał pomiędzy wysokich gmachów śródmieścia i ruszył na północ. Przedmieścia ciągnęły się bez końca, na zmianę parki i dzielnice rezydencjonalne. Marc widział dalekie wzgórza, wznoszące się w świetle rodzącego się dnia.

Znalazł autostradę, Express 1, i zanurzył się w innym świecie, złożonym z ciemnych sadów, gdzie z czerwonej ziemi sterczały w idealnie wyrównanych rzędach pnie drzew: hewee. Jechał tak, cały czas prosto na północ, sto pięćdziesiąt kilometrów, mijając od czasu do czasu skaliste filary, hinduistyczne świątynie udekorowane jak jarmarczne budy, meczety o kopułach z zielonej ceramiki.

Idealny krajobraz do rozmyślań.

Tego samego ranka dostał wiadomość od Jérôme'a. Archiwista nie znalazł nic: żadnych informacji o rodzicielu Reverdiego, żadnego śladu, by zainteresowany starał się w Urzędzie do spraw Socjalnych dowiedzieć o swoje pochodzenie. Ślepy zaułek.

Skreślił w zjazd nr 132 w kierunku miasta Tapah i wjechał na dwukierunkową drogę krajową, na której wszyscy kierowcy zachowywali się, jakby była jednokierunkowa. W dali wzgórza nabierały wielkości, majestatu, z wolna stawały się górami.

Marc dostrzegł drogowskaz CAMERON HIGHLANDS. Już miał skreślić w tę stronę, kiedy inna nazwa kazała mu gwałtownie zahamować. IPOH 20 KILOMETRÓW. Miasto, gdzie mieścił się szpital psychiatryczny Reverdiego. Ten, gdzie nakręcono kasetę wideo.

\*

Marc spodziewał się jakiegoś instytutu w stylu angielskim: kamiennej bramy, nieskazitelnych trawników, białych zabudowań. Zobaczył gigantyczne więzienie, miasto w mieście, otoczone drutami kolczastymi, z własną bocznicą kolejową i stacją.

Była pierwsza po południu. Mimo soboty wyglądało na to, że praca wre. Personel medyczny wracał z lunchu. Marc musiał długo czekać, aż sfera rowerzystów, motocyklistów,



kierowców i pieszych przewali się przez wysoką betonową bramę - wyglądało to jak początek dnia pracy w chińskiej fabryce.

Wjechał za innymi i wkrótce trafił do administracyjnego centrum szpitala, które tworzyło odrębną dzielnicę. Czekał na kogoś z kierownictwa, przyglądał się przez okno miasteczku, wielkiej równinie wypełnionej szarymi budynkami i polami uprawnymi. Domyślił się, że praktykowano tu coś w rodzaju psychiatrii wyzwolonej: pacjenci żyli we wspólnocie, pracując jako rolnicy lub rzemieślnicy.

Wreszcie przyjął go dyrektor. Był to Hindus o obojętnej twarzy i wielkich oczach jak z laki. Marc przedstawił swoją sprawę: Francja, śledztwo dziennikarskie, Reverdi. Dyrektor długo milczał, po czym zawiadomił przez telefon doktor Rabaiah Mohd Norman, lekarza, który leczył mordercę.

Kilka minut później otworzyły się drzwi i pojawiła się kobieta, którą Marc widział na kasecie. Była ubrana w długą beżową suknię, twarz przesłaniała jej tudung tej samej barwy. Całość nadawała jej wygląd glinianego posągu, w którym wymodelowano tylko głowę.

Pani doktor okazała się bardzo dowcipna. Nie przestawała żartować, podkreślając swe słowa szerokim uśmiechem, ukazującym śnieżnobiałe końskie zęby.

- Oprowadzę pana po naszym gospodarstwie - powiedziała. - Porozmawiamy po drodze.

Kraśli po terenie samochodem Marca. Mijali gospodarstwa, uprawy, boiska. Ogromna swoboda panowała pod tutejszym słońcem. Doktor Norman podawała liczby: było tu dwa tysiące pacjentów, sześćdziesięciu pięciu na oddział, pięćdziesięciu na jednostkę rolną...

- Dojeżdżamy do oddziału dla niebezpiecznych.

Znaleźli się na ogrodzonym, starannie strzeżonym terenie: wieże strażnicze, wygięte słupy, druty kolczaste, kraty na wszystkich oknach. Istny obóz koncentracyjny. Tyle że kraty były pomalowane na zielono i odznaczały się wielką różnorodnością motywów, przypominały cyzelowane okna meczetów.

Koło parkingu Marc zauważył snujących się po trawniku pierwszych pacjentów: czarni, śniadzi, ogoleni. Wszyscy mieli na sobie zielone kamizele - takie jak Reverdi na kasecie - i pod oślepiającym słońcem wyglądali na jeszcze czarniejszych niż w rzeczywistości. Spłaszczony rysy, bezbarwne spojrzenia były jakby przesłonięte światłem.

Weszli do budynku, za którym rozciągał się rozległy dziedziniec. Wokół niego biegła galeria z arkadami, przez którą przechodziło się do korytarzy, gabinetów, sal. Całość zbudowana była z betonu obłożonego kolorowymi tynkami, łuszczącymi się, spłowiałymi od

słońca, deszczów, upałów.

Poszli jednym z korytarzy, wzdłuż którego pojawiał się co jakiś czas napis FORENSIC WARD. Marc nie pamiętał dokładnego znaczenia tych słów, ale wiedział, że mają coś wspólnego z medycyną sądową. Weszli do jednego z gabinetów: zwykły drewniany stół był dosunięty do ściany, a przed nim, wprost na podłodze, leżał długi sznur pożółkłych teczek.

Lekarz, w obecności strażnika, przepytывał pacjenta. Siedzieli po dwóch stronach stołu i nie było wątpliwości, kto tu występuje w jakiej roli: po jednej stronie biały kitel, po drugiej kajdanki. Doktor Norman, wciąż miło uśmiechnięta, zamieniła z lekarzem kilka słów po malajsku, po czym odwróciła się do Marca:

- Nowy. Algierczyk. Chyba mówi po francusku.

Nachyliła się i powiedziała więźniowi po angielsku, pokazując Marca:

- Ten pan przyjechał z Paryża. Jeśli ma pan ochotę, może pan z nim mówić po francusku.

- *No way* - powiedział Algierczyk z zaciętą miną.

Twarz miał kościstą. Źrenice tonęły mu gdzieś w głębi orbit. Marc zauważył, że miał kajdany również na nogach. Pani doktor odwróciła się raptownie.

- Jak pan chce. Chciałam tylko pana rozerwać.

Marc już szedł za nią kiedy usłyszał: „Szfie...”. Odwrócił się na dźwięk francuskiego słowa. Algierczyk uśmiechał się do niego, ukazując piękną kolekcję krzywych zębów. Oczy mu błyszczały głęboko pod łukami brwiowymi. Ruchem głowy wskazał na lekarzkę:

- Jak rozedrę piczkę tej tutaj, to ją wpięprzymy razem. - Zrobił do Marca oko. - Wolisz ją na surowo czy ugotowaną?

Marc odszedł, nie odpowiadając. „Surowa czy ugotowana”? Dogonił panią doktor, która skręcała już gdzieś w lewo. Minęli jadalnię, potem szli kolejnym korytarzem, wiodącym wzdłuż zaryglowanych cel. Było pusto. Na końcu strażnik otworzył przed nimi nowe drzwi.

Weszli do wielkiej sali pogrążonej w półmroku. Zasłony były zaciągnięte. Marc kilka razy zamrugał powiekami, zanim zobaczył dokładnie miejsce, w którym się znaleźli. Była to ogromna sypialnia, gdzie pod sufitem obracały się z wolna wentylatory, pod ścianami stało co najmniej pięćdziesiąt łóżek. Było tu jeszcze spokojniej, ciszej niż w poprzednich pomieszczeniach. Gdzieś niezbyt głośno przemawiał telewizor. Spali tu jacyś mężczyźni. Inni przechadzali się po środkowej alejce, szurając nogami. Ci nie nosili zielonych kamizelek, tylko zwykłe ubrania.

- Czekają na zwolnienie? - próbował zgadnąć Marc.

- Przeciwnie, ci tutaj nie wyjdą nigdy. Przeszli przez amok.

- Co?

- Amok. Tak nazywa się w Malezji mordercze szaleństwo. Ten młody chłopak, którego pan tam widzi, w białym T-shircie, wylupił oczy swojej córeczce, żeby nie oglądała telewizji. Ten drugi, o tam, zabił żonę, poćwiartował ją i wyrzucił kawałki z okna czwartego piętra. Tamten w głębi...

- Myślę, że zrozumiałem.

Doktor Norman uśmiechnęła się jeszcze szerzej, pokazując wszystkie zęby naraz.

- No, to dobry pan jest. Ja tu pracuję dwadzieścia lat i wciąż nie rozumiem.

Szli dalej. Lekarka ścisnęła dłonie, uśmiechała się, uchylała swojej zasłony, czuła się bardzo swobodnie. Istny ambasador UNESCO. W końcu sali za zasłoną znajdowało się następne pomieszczenie. Pracownia informatyczna, gdzie zamiast łóżek stało kilka monitorów. W rogu obita płótnem kanapa. Usiedli na niej oboje. Pacjenci przyglądali im się, nie śmiać się zbliżyć, i obchodzili ich wielkim łukiem.

- Od czasu doktoratu - mówiła specjalistka - pracuję nad zjawiskiem amoku. Na Zachodzie już od dawna zastąpiliście pojęcia opętania czy zaczarowania takimi terminami jak „histeria” czy „schizofrenia”. W Malezji to nie takie proste. Wszyscy przyznają, że amok wiąże się z atakiem demencji, w czysto medycznym sensie słowa. Ale też wszyscy uważają, że demony mają z tym coś wspólnego.

Zrobiła szeroki gest.

- Wiążemy zawsze psychiatrię z różnymi wierzeniami. Nie jest zresztą powiedziane, że to jest mniej skuteczne od podejścia czysto klinicznego. Skoro pacjent wierzy, że opętały go diabły, to w jakimś sensie one istnieją, prawda? Rozum to tylko pewien stopień regulacji jasności myślenia. Wszystko jest prawdziwe, bo wszystko jest percepcją...

Marc już nie bardzo śledził ten wywód, ale pozwalał się ukołysać temu łagodnemu głosowi, niezmiennemu uśmiechowi. Niemal zapomniał o Reverdim. Uważne spojrzenia pacjentów przywołały go do rzeczywistości.

- To tutaj był... przetrzymywany?

- Jacques? W ostatnich dniach tak.

Wymówiła jego imię z angielska: „Jack”.

- Pani zdaniem działał... w amoku?

- Działał pod wpływem jakiegoś kryzysu, to pewne. Sądzę jednak, że nigdy nie utracił kontroli. Jego rozum nie był wyłączony.

- Był świadomy swych czynów?

- Powiedziałabym raczej, że działał pod wpływem jednej ze swoich świadomości.

- Jest schizofrenikiem?

Podniosła dłonie do góry, jakby chciała powiedzieć: „Nie tak szybko”.

- Każdy z nas ma niejedną osobowość. Są mocniej lub słabiej zaznaczone.

- Ale czy można powiedzieć, że Reverdi, który zabił Pernille Mosensen, to ten sam człowiek, który był mistrzem świata w nurkowaniu?

Usiadła głębiej na kanapie, patrząc z roztargnieniem na wciąż znieruchomiałych pacjentów.

- Świadomość ludzka to nie jest jakieś twarde jądro. Raczej krąg. Pole możliwości. Loteria, która kręci się i zatrzymuje od czasu do czasu na jakiejś cyfrze. Morderstwo jest jedną z cyfr Jacka.

Marc postanowił grać z doktor Norman w otwarte karty. Wspomnił o kasecie. Uśmiech znikł z twarzy lekarki.

- Kto ją panu dał?

Marc przemilczał pytanie. Odpowiedziała za niego:

- Alang, prawda? Zastanawiam się, dlaczego naszym najlepszym ekspertem od patologii kryminalnej jest takie dziwadło... - Spojrzała na niego z ukosa. - Jakie są pańskie wnioski?

- Moje wnioski?

- Tak. Co pan myśli o tej scenie?

Marc pomyślał, że jest to idealny moment, by sprawdzić swoje przypuszczenia.

- Uważam, że Reverdi chroni się za bezdechem.

- Zgadza się. Ale przed czym?

- Przed innymi. Ale także przed samym sobą. Przed swoim szaleństwem.

Specjalistka znów się uśmiechała.

- Ma pan rację. Jack używa bezdechu jako pancerza. Przeciwko osobowościom, które go oblegają. Przeciwko schizofrenii.

- Teraz to pani użyła tego słowa...

- Przedtem chciałam zrelatywizować pański pogląd na sprawę. Ale to pewne, że Jacka dręczą rozmaite osobowości. Chcą zająć miejsce tego Reverdiego, którym on stara się być. Reverdiego oficjalnego. Zna pan jego historię, prawda?

- Na pamięć.

- To są dzieje człowieka wielkiej siły woli. Człowieka z jednej bryły, który zawsze osiągał to, czego chciał. Jack trzymał się zawsze idealnie prostej linii. Jej prostota jest

odwrotnie proporcjonalna do zagrożenia rozpadem, które go prześladowe.

Marc był przekonany o słuszności tej diagnozy. Była to oczywistość, która stopniowo wychodziła na jaw.

- Teraz - ciągnęła lekarka - pomówmy o bezdechu. Studiowałam tę sprawę. Chciałam zrozumieć, dlaczego Jack był przekonany, że takie zachowanie go chroni. Oczywiście liczy się autonomia fizyczna. W stanie bezdechu człowiek nie potrzebuje świata zewnętrznego. Ale jest też coś innego, głębszego. Wie pan, co się dzieje w organizmie, kiedy się nie oddycha?

Marc czuł wpatrzone w niego rozszerzone oczy „amokowców”.

- No cóż, do krwi nie napływa tlen i...

- Ciało jest w niebezpieczeństwie. Wbrew temu, co się zwykle opowiada o pełni i spokoju, nurkowanie bezdechowe powoduje napięcie, stan alarmu. Organizm skupia się sam na sobie. W górnych i dolnych kończynach pojawia się odruch skurczu naczyniowego. Krew wraz z zapasem tlenu odpływa ku organom o żywotnym znaczeniu: do serca, płuc, mózgu. Trudno sobie wyobrazić silniejsze skupienie. Człowiek staje się dosłownie twardym jądrem. Skupionym na swych siłach życiowych. Dokładnie do tego dąży Reverdi. Skupia się cały w obronie przeciw swym wewnętrznym demonom... Ale myślę, że można rozciągnąć to zjawisko także na morderstwa.

Marc zadrżał:

- Na morderstwa?

- Niech pan sobie przypomni, co zrobił tej młodej Duncie. Wykrwawił nieszczęsną dziewczynę. Myślę, że w takich chwilach scena zabójstwa staje się dla niego czymś w rodzaju przedłużenia własnej osoby. On rozwija siebie w tej przestrzeni i tłoczy do niej krew, żeby się lepiej osłonić. Dokładnie tak, jak wtedy gdy krew napływa do jego serca i płuc.

- Skąd pani to wie?

- Mam do pana inne pytanie - powiedziała zamiast odpowiedzi. - Pamięta pan jego ostatnie słowa zarejestrowane na kasecie?

Marc odpowiedział bez wahania, po francusku:

- „Schowaj się szybko, tato idzie”.

Pokiwała powoli swoją okrytą tudungiem głową.

- To może być wspomnienie. Jakaś trauma. Albo może halucynacja. Nie uzyskałam na to odpowiedzi. Ale jedno jest pewne. Tym, co uruchamia jego obronne zachowanie, jest symboliczne przybycie ojca. Jest to ostateczne zagrożenie: osobowość ojca. Boi się, że ta osobowość wniknie weń. Boi się zostać swoim ojcem.

Psychiatra porządkowała najważniejsze elementy jak kostki układanki, ale inaczej,

niżby to zrobił Marc. Zaoponował:

- Wedle moich informacji Jacques Reverdi nie znał swojego ojca. Jak mógłby obawiać się jego nadejścia? Albo jego wpływu?

- Właśnie to mam na myśli: liczy się jego nieobecność. Bo skoro tak, to postać ojca może przybrać każde oblicze, każdą osobowość. Ta wielokształtna obecność jest źródłem schizofrenii Jacka. Boi się zostać swoim ojcem. Czyli nie wiadomo kim, nie wiadomo czym. Kiedy ma atak, jego istota staje się znakiem zapytania, ziejącą wyrwą.

Marc od razu zrozumiał, co doktor Norman ma na myśli.

- Sądzi pani, że te potencjalne postaci mogłyby być negatywne?

- Zawsze są negatywne.

- Mogłyby być zbrodnicze?

Odchyliła się nieco, oparła na poręczy sofy, żeby być dalej od Marca i przyjrzeć mu się uważniej.

- Jacques Reverdi jest przekonany, że jego ojciec był przestępcą. Zabija, kiedy już nie jest w stanie obronić się przed tym przekonaniem. Kiedy już nie może schronić się w bezdech. Jego ojciec wchodzi wtedy w głąb niego. Rozpuszcza się w ego Jacka niczym trucizna we krwi.

- Nie rozumiem. Dopiero co mówiła pani coś przeciwnego, że morderstwo to rytuał obronny.

Przybrała ironiczny ton.

- Wszystko naraz, *mon cher*... Jack sięga po krew ofiary, żeby umocnić swoją twierdzą, jak dziecko, które wznosi mur z piasku przeciwko morzu. Ale już jest za późno. Fala już doszła. Niszczy wszystko. Jego zbrodniczy czyn jest dowodem, że „tato przybył”... Każde jego zabójstwo jest mieszaniną paniki i rezygnacji. Buntu i przyzwolenia.

Marc zastanawiał się przez chwilę. Te wnioski zgadzały się z jego domysłami, dotąd dość mglistymi. Teraz rozumiał inną prawdę, oczywistą, jeśli się przyjrzeć kolejom życia Reverdiego. Do czternastego roku życia chroniła go przed zagrożeniem matka. Kiedy popełniła samobójstwo, nagiego, bezbronnego chłopaka osaczyło groźne wyobrażenie ojca... Wypowiedział tę hipotezę na głos. Lekarka przytaknęła.

- Byłoby też wiele do powiedzenia na temat zniknięcia jego matki... To jest druga trauma, która ukształtowała osobowość Reverdiego. Ta zdrada - bo Jack uważa jej samobójstwo za zdradę - była iskrą, która rozpałała jego zbrodniczy popęd.

Marc zadrżał.

- Chce pani powiedzieć, że zabija od wczesnej młodości?

- Nie. Przejście do czynu zawsze wymaga czasu, to musi dojrzeć. Jako specjalista zna pan te dane: seryjni mordercy zaczynają swe ponure dzieło w wieku dwudziestu pięciu lat. Myślę, że sylwetka Jacka potwierdza tę regułę. Brak ojca i zdrada matki „dojrzały” w nim jak nowotwór, aż przekształciły go w drapieżnika. Zabija, by upodobnić się do ojca i zemścić się na matce. Nienawidzi kobiet. Wszystkie są zdrajczyniami. Chce, by się „wykrwawiły”.

To słowo przypomniało Marcowi inny fakt: Monique Reverdi przecięła sobie żyły. „Jack” odtwarzał pierwotną zdradę.

- Dlaczego go uwolniliście? - spytał. - To znaczy dlaczego wysłaliście takiego... chorego do zwykłego więzienia?

- Bo się tego domagał! Kiedy ocknął się ze swych urojeń, tylko to go obchodziło. Koniecznie chciał wrócić między zwykłych przestępców. Byle nie siedzieć wśród wariatów. Nie miałam żadnego powodu, by mu tego odmawiać. W końcu pozostało mu tylko kilka tygodni życia.

- Wypuściliście go tak zwyczajnie, bez leczenia, bez pomocy?

- Nie. Przechodzi kurację w Kanarze, a jeden z naszych psychiatrów odwiedza go tam raz na tydzień.

Doktor Norman spojrzała na zegarek i wstała. Spotkanie było skończone. Poszli w kierunku drzwi. „Amokowcy” wciąż gapili się na nich swoimi szeroko otwartymi, płonącymi oczyma. Na progu lekarka zapytała Marca:

- Mogę panu zadać pytanie... osobiste?

Przytaknął ruchem głowy i usiłował się uśmiechnąć, ale lęk paraliżował mu twarz.

- Kontaktował się pan z Reverdim?

- Nie - skłamał. - Nie chce udzielać żadnych wywiadów.

Ujęła go za obie ręce.

- Jeśli uda się panu kiedyś zbliżyć do niego, porozmawiać z nim, niech pan dotrzymuje danych mu obietnic. - Uśmiechnęła się, jakby chciała złagodzić ostrzeżenie. - Niech go pan nigdy nie zdradzi. To jedyna rzecz, której nie będzie mógł panu wybaczyć.

## 39.

Nie cierpiał piłki nożnej.

Piłkę rzuca się psu, nie człowiekowi. Siedząc na sklejonej domowym sposobem trybunie stadionu, przyglądał się, jak inni więźniowie rozgrywają mecz. Wrzeszczeli, objęli się wzajemnie, biegali za „piłką”. I to już o dziesiątej rano, kiedy słońce waliło się wielotonowym ciężarem. Co za dupki.

Prawem kontrastu Jacques pomyślał o swojej dyscyplinie. Żadnego porównania z tym przyziemnym sportem. Nurkowanie na bezdechu dawało klucz do świata leżącego nie na dnie morskim - tak jak wielu sądziło - lecz gdzie indziej.

Na ogół nie przywoływał wspomnień z nurkowania. Przede wszystkim - żeby nie popaść w melancholię. Ale także po to, by nie zbrukać głębin kontaktem z powierzchnią. Dzisiaj jednak był w pogodnym nastroju i zamknąwszy oczy dał folgę wspomnieniom. Mimo woli zrobił krótki ruch głową: sygnał, by spuszczone „bombę”.

W następnej sekundzie już był w wodzie.

Otoczył go bulgot bąbelków. Potem pojawiła się wielka, błękitna, nieruchoma masa, przez którą przenikały ławice ryb - chmury łusek i światła. Rzut oka w dół: pod stopami widział bezkresny horyzont. Ale ciężar bomby ściągał go już ku innym wrażeniom.

Minus dziesięć metrów. Ciśnienie było już wszechobecne. Co dziesięć metrów dodatkowy kilogram na centymetr kwadratowy.

Zanurzając się z obciążeniem, płetwonurek sunie w dół z szybkością dwóch metrów na sekundę. Głębia dosłownie wsysa go. Ocean zamyka się nad nim.

Minus dwadzieścia metrów. Jacques wciąż dmuchał w maskę, żeby zrównoważyć stale rosnące ciśnienie. Bezlitosny ucisk, przenikający przez skórę, działający na każdy mięsień, każdy organ. Na głębokości minus dwadzieścia pięć metrów płuca zamieniają się w dwie zaciśnięte pięści wypełnione sprężonym powietrzem.

Minus trzydzieści metrów. Światło oddalało się. Błękit ciemniał. Stawał się gęstszy. Mimo to żadnego strachu. Żadnego niepokoju. Przeciwnie: ciężenie wody rozprowadzało ostatnie cząsteczki tlenu po całym układzie krwionośnym. Organizm był odżywiony, zaspokojony, zrównoważony. Arterie i żyły tworzyły jedną wielką dmuchawę, w którą morze bez przerwy dęło przez skórę. Ciało działało jak obieg zamknięty. Było absolutnie niezależne.



Minus pięćdziesiąt metrów. Kolor indygo. Dotarcie do tej granicy zajęło tylko kilka sekund, a teraz czas już się nie liczył. Wszyscy uważają, że czas nurkującego na bezdechu jest bardzo skąpo wyliczony, przyprawia o panikę. To nieprawda, bezdech stawia człowieka poza czasem.

Minus sześćdziesiąt metrów. Czuł swoje serce bijące teraz w tempie dwudziestu uderzeń na minutę zamiast normalnych siedemdziesięciu. Ograniczyć ruchy ciała... Zmniejszyć zużycie tlenu... Żyć tylko z siebie... Totalna autarkia w ciemności i chłodzie...

Słuchał oceanu, złączony z nim stosunkiem zupełnej bliskości. Milczenie morza: kolejny komunał. Na tej głębokości niezmierna masa wód sprasowywała, krystalizowała każdy dźwięk do tego stopnia, że przekształcała go w przedmiot materialny, przejrzysty, o szklistych krawędziach.

Minus osiemdziesiąt metrów. Trzewia morza. U kresu zanurzenia jest rekord. W głębi ciemności leżała płytką, którą należało schwytać. Płytką granicy. Zakazu. Potem będzie czas odrzucić „bombę”, otworzyć „spadochron” i wynurzyć się. Ale pobić rekord to mało, trzeba było dokonać czegoś jeszcze.

Minus sto metrów. Ciemności, nareszcie. Ogromne obszary niebytu. W takiej chwili był w pełni suwerenny. Ani zagubiony, ani zagrożony rozpadem. Był po przeciwnej stronie. W tej nieporównanej samotności czas było otworzyć drzwi.

Przejść na drugą stronę morza.

Nie wolno było się pomylić, szukać w otaczającej ciemności. Tu tych drzwi nie było. Przeciwnie: musiał obrócić wzrok ku wnętrzu. W głąb samego siebie. To jest tajemnica płetwonurka: ostatnie drzwi, te, które prowadzą ku światłu, znajdują się w najdalszej głębi jego świadomości...

Nagle otworzył usta, żeby odetchnąć ciepłym od słońca powietrzem. Przywołane wspomnienie było tak silne, że omal nie omdlał. Zmrużył oczy i odkrył ze zdumieniem, co go otacza. Naga, poślizka płaszczyzna, którą tu nazywano stadionem. Druty kolczaste, wieżyczki strażnicze, ławy z szarego drewna, służące za trybuny. I te tępaki biegające wciąż za piłką.

Uśmiechnął się. Dziś przyglądał im się z czułością. Kochał ich. Wszystkich. Bez wyjątku. Wspomnienie pogodziło go z terażniejszością.

Zwłaszcza że rozświetlała ją inna obecność.

Elisabeth.

Od kiedy otrzymał jej list, czuł się wyniesiony gdzieś wyżej.

Dostrzegał w swych losach tajemną logikę. Kilka tygodni przed śmiercią, u kresu drogi, napotkał wreszcie miłość. Ta kobieta była inna. Oczywiście miała w sobie jakąś

częstkę niewinności, ale także prawdziwą ciemność, dzięki której mogła go zrozumieć i pójść za nim bez obaw, bez przesądów.

Instynktownie odgadywał, że mógłby ją kochać taką, jaka jest. Nie wymagała oczyszczenia, jak inne. Godziła się z jego ciemnością. Już teraz przeczuwała Barwę Kłamstwa. Dlatego była go godna. Dlatego zrozumie jego dzieło.

Wystarczyło jej kilka godzin, by zobaczyć obrazy ostatniej świętości - ciało Pernille Mosensen. Odgadła, co się stało. Domyśliła się, na czym polega Obrzęd i do czego on zmierzał swoją cierpliwą pracą. Teraz nie wątpił, że dziewczyna zdoła dotrzeć do prawdy.

Za kilka dni zidentyfikuje Znaki Wieczności.

Potem kolejne etapy.

Aż dotrze do Niego.

Był też zadowolony, choć rzecz była mniejszej wagi, ze skuteczności ich sposobu komunikowania się. Bez trudu używał swego maleńkiego notesu elektronicznego. Najpierw miał zamiar podłączyć się do jakiegoś telefonu komórkowego, ale klawisze polowały na nie bezlitośnie. Wrócił więc do swego pierwotnego pomysłu. Obnażył druty wewnętrznej linii telefonicznej izby chorych, znalazł w tej płataninie kable linii zewnętrznej i podłączył do nich swój notesik. W ten sposób wysyłał listy nie do wykrycia. Te połączenia oficjalnie nie istniały.

Założył też bezpłatny adres elektroniczny na portalu o wielkiej pojemności - Wanadoo. Nikt poza Elisabeth nie znał tego adresu. Wśród milionów połączeń przechodzących przez sieć mógł całkiem swobodnie wysyłać i odbierać listy. Ten romantyczny gest był tajny, technologiczny - i niewidzialny.

Więźniowie wciąż wrzeszczeli, starając się wbić piłkę do improwizowanych bramek. Szwargotali po malajsku, po chińsku, po angielsku. Papka językowa na obraz ich mózgow. Prawem kontrastu jego własne myśli i pragnienia wydały mu się wyszukanie czyste.

Zadumał się. Przywołał inne wspomnienie. Czarno-białego filmu, który jako młody chłopiec oglądał w marsylskiej filmotece. *Kieszonkowiec* Roberta Bressona. Historia człowieka, który postanowił stanąć ponad prawem. Na ogół czyny przestępcy opisuje się jako działania potajemne, skryte, niższe. W tym filmie droga złodzieja była wzniosłym, transcendentnym Poszukiwaniem, drogą łaski. Przyglądając się tym obrazom, Jacques od razu zrozumiał, że to jest właśnie jego przeznaczenie. I dziś widział, że ta równoległość wciąż się sprawdza.

W filmie Bressona złodziej spotyka na swej drodze kobietę. Nie od razu dostrzega w niej postać ukochanej. Uparcie chce pójść swoją drogą samotnie. Ale w ostatniej scenie, po

aresztowaniu, szepcze do swej towarzyszki przez kratę rozmównicy: „O, Jeanne, jaką dziwną drogę musiałem przebyć, żeby dojechać do ciebie...”.

Sięgnął do kieszeni, wydobył zdjęcie Elisabeth i powtórzył: „Jaką dziwną drogę musiałem przebyć, żeby dojechać do ciebie”.

Spostrzegł, że odezwał się na głos, i od razu tego pożałował. Żadna jego myśl nie powinna przekroczyć progu warg. Jego tajemny świat był niczym jaskinia skalna, której malowidła korodują w kontakcie z powietrzem.

Ławka koło niego zatrzeszczała. Eric. Reverdi wsunął zdjęcie do kieszeni.

- Muszę z tobą pogadać.

Jacques pomyślał, że chodzi o handel lekarami, którym zajął się na własne konto w izbie chorych.

- Nie przejmuj się lekarami. Dostaniesz swoją działkę.

- Fajnie. Ale przyszedłem pogadać o czym innym.

- O czym?

- O Ramanie.

Jacques westchnął: naczelnym sukinysem był lejtmotywnym wszystkich rozmów. Demonem wypełniającym wszystkie umysły.

- Co znowu?

Zającza Wargę zrobił konspiracyjną minę i przysunął się bliżej. Kości twarzy miał wciśnięte w głąb, jakby ktoś bił w niego młotkiem.

- Chodzą słuchy, że ma AIDS.

- Miesiąc temu każdy Chińczyk miał SARS.

- Reverdi, mnie nie odbiło. Pobrali mu krew jak nam wszystkim. Miał wynik pozytywny. Teraz ich zaraża.

- Kogo?

- Dzieciaki z bloku E. Nieletnich.

Reverdi znów westchnął. W Kanarze wszyscy chyba uważali, że tylko „wielki Jacques”, może stanąć do walki z Ramanem. Odruchowo pomyślał o Elisabeth. Mowy nie ma, żeby się wychylił. Musi pozostać wzorowym więźniem i żyć w marzeniach ze swoją ukochaną.

- Nie moja broszka.

- To dzieciaki. Zmusza je, żeby mu obciągały. Ten szajbus posuwa je od tyłu bez kondoma. Wykończy wszystkie.

- Nic nie poradzę.

Eric pochylił się jeszcze bliżej. Oddech śmierdział mu zgnilizną. Jacques wyobraził sobie jego język jako kawałek padliny. Gnom powiedział, ni to poważnie, ni to ironicznie:

- Reverdi, jesteś tu panem. Nie możesz pozwolić na coś takiego na swoim terytorium.

Pochlebstwo było grube, ale słowo „pan” coś w nim poruszyło. Był zły na siebie, że wciąż ulega takiej próżności. Zwłaszcza w tym królestwie degeneratów. Ale Eric miał rację: pisane było, że strażnik musi umrzeć. Od chwili gdy zmusił go, właśnie jego, do zdrapywania śladów potu ze ścian. Dokładnie - od chwili kiedy zmusił go do ukłęknięcia. Żadna istota ludzka, która go upokorzyła, nie mogła pozostać przy życiu.

A skoro tak, to czemu nie przyspieszyć sprawy i nie uratować paru dzieciaków? Uderzyła go pewna myśl. Włączy Elisabeth w krąg swej decyzji: „Kiedy znajdzie Znaki - powiedział sobie - ofiaruję jej głowę Ramana”.

- Zaczekajmy parę dni - powiedział. - Nie można działać tak z bomby.

## 40.

W Malezji góry Cameron były sławne.

Wystarczyło zajrzeć do przewodnika, żeby trafić na długi wywód poświęcony temu regionowi. Dla wszystkich Malajów te ziemie były niemal rajem, bo otwierały dostęp do cudu: do chłodu. Na wysokości tysiąca pięciuset metrów było się daleko od wilgotnych monsunów i upalnych pór roku. Nad mgłami unosiło się zimno.

Anglicy, którzy pierwsi skolonizowali te szczyty, budowali tu dworki, zakładali pola do krykieta i plantacje herbaty oraz zakazywali wstępu Malajom. Potem, kiedy pozbyto się kolonizatorów, ich miejsce zajęli bogaci autochtoni, którzy wybudowali tu luksusowe hotele, pozakładali pola golfowe, znów, jak poprzednicy, karczując ogromne pierwotne puszcze.

Bo na drodze do tych zielonych rajów rosła dżungla.

Marc jechał teraz pod wysokim sklepieniem z liści. Droga wiła się serpentynami wciąż wyżej i wyżej, po prawej wznosiły się obrośnięte lianami skały, po lewej otwierały się szmaragdowe przepaście. W dole widać było asfaltową nić przebytej już trasy.

Marc rozkoszował się tym pierwszym spotkaniem z dziewiczą puszczą. Wyłączył klimatyzację swojego protona i jechał z opuszczonymi szybami, by mocniej czuć świeżość górskiego powietrza, z każdym wirażem wyraźniejszą. Czasami nawet zamykał oczy i rozmarzał się, usiłując znaleźć nazwy dla zapachów wychodzących mu na spotkanie. Właściwie improwizował, powtarzając niczym modlitwę nazwy, które wyczytał w przewodniku: palmy, palmy kokosowe, cezalpinie, orchidee, raflezje...

Kiedy indziej wyrwały go z rozmarzenia strzępy niedawnej rozmowy z doktor Norman. „Niech go pan nigdy nie zdradzi. To jedyna rzecz, której nie będzie mógł panu wybaczyć”. Ogarniał go wtedy lęk, od którego robiło mu się jeszcze zimniej niż od górskiego powietrza. Znów pytał sam siebie: czy grozi mu jakieś niebezpieczeństwo? Tak czy nie? Czy Reverdi może odgadnąć kombinację? Biorąc pod uwagę najgorsze: wykrycie jego oszustwa, co ryzykuje? Morderca był za kratami i do tego wirtualnie skazany.

Droga wciąż szła w górę. Pojawiły się pierwsze ślady Imperium Brytyjskiego. Najpierw plantacje herbaty. Schodzące w regularnym rytmie tarasy rozsiewały w powietrzu zapachy wilgoci, niemal stęchlizny. Z dala te uprawy przypominały piętra jakichś dawnych królestw, wciśnięte w ogromne obszary zieleni. Czasem pola były brązowe, zwarte, milczące.

Kiedy indziej błyszcząły niczym bułeczki z mchu, lekkie i świetliste.

Potem przyszła kolej na hotele. Białe dworki z pruskiego muru, czarne belkowania, okna z barwnymi witrażami i dziedzińce pokryte szarym żwirem w najczystszy *stylu british*. Zaraz potem znów zamykała krajobraz pierwotna dziewicza dżungla. Jakby to, co było przedtem, tylko mu się śniło. Ale znów pojawiało się pole golfowe. Albo luksusowy hotel z turkusowym basenem...

Marc był chyba już powyżej tysiąca pięciuset metrów, kiedy zobaczył pierwsze chaty. O tym też pisano w przewodnikach: Orang-Asli, dosłownie - „lud początków”. Leśni ludzie w przepaskach na biodrach, zbrojni w dmuchawki, którzy żyją tu sobie nadal pośród placów budowy i turystów przejeżdżających tędy w samochodach z napędem na cztery koła.

Zwolnił i zrozumiał, że ci ludzie również są tylko kolejną atrakcją turystyczną. Zamiast przepasek mieli na sobie T-shirty od Reeboka, a dmuchawki ustąpiły miejsca antenom radiowym. Siedząc w kucki przed swoimi chałupkami, sprzedawali leśne produkty: miód, sadzonki kwiatów, skarabeusze lub skorpiony przyszpilone do kawałków kartonu.

W tym momencie z porośniętych dżunglą wzniesień wyszła cała grupa. Mieli w rękach jakieś narzędzia. Marc dogonił ich i przyjrzał się długim drewnianym prętom, które nieśli na ramionach. Siatki na motyle. Pewnie jeszcze jedna specjalność tych okolic...

Zahamował gwałtownie.

„Szukaj w niebie”.

„Znaki Wieczności, które Latają i Obradzają”.

Motyle!

\*

Już w pierwszym miasteczku, Ringlet, rzut oka na sklepy potwierdził jego domysł: motyle były specjalnością okolicy. Podszedł do jednego z kramów i poprosił o wyjaśnienie zjawiska: w Cameron Highlands rozwinęły się gatunki miejscowe, przystosowane do wysokości, najpiękniejsze w świecie.

Ruszył dalej. W Tanah Rata - na wysokości dwóch tysięcy metrów - znalazł chińską restaurację i usiadł w głębi sali. Teraz, o trzeciej po południu, było tu pusto. Zamówił kawę. Motyle. Nie potrafił wyrzucić z głowy tej myśli. „Szukaj w niebie”. „Znaki Wieczności, które Latają i Obradzają”. To mogło się zgadzać.

Pijąc małymi łydkami ciemne piwo pachnące chlorkiem, wyobrażał sobie jakieś mordercze i perwersyjne praktyki z wykorzystaniem motyli. W myślach widział Reverdiego, pokrywanego tymi owadami ciała zakrwawionych kobiet, przylepiającego barwne skrzydełka do ran, obserwującego ten pieszczotliwy trzepot na okaleczeniach.

Przyszedł mu na myśl pewien szczegół: anormalny poziom glukozy. Reverdi zmuszał Pernille Mosensen do przełykania słodyczy. Żeby przyciągnąć motyle?

Zamówił następną kawę. Naszła go pewna wątpliwość. Ta hipoteza przypominała powieść Thomasa Harrisa *Milczenie owiec*, w której zabójca wpychał w gardło swych ofiar poczwarę. Otóż Marc był pewien, że Reverdi nie działał pod niczym wpływem. Nigdy nie wzorowałby się na cudzych zbrodniach. A zwłaszcza nie na powieści. Na fikcji, która dla niego była zwykłą chimerą. A zatem co?

Siedząc w słabo oświetlonej sali, widział za tarasem główną ulicę miasteczka. Wciąż ta sama mieszanka stylów: azjatyckie sklepiki spożywcze, domy w stylu kolonialnym, a także, co dziwniejsze, szalety górskie, góralskie domki - Tanah Rata przypominało wioskę alpejską.

Skupił się na obserwowaniu przechodniów. Uczniowie z tornistrami na plecach. Snujący się nonszalancko dorośli wszelakiego pochodzenia: Malajowie, Chińczycy, Hindusi. Także turyści, wprowadzający tu własną, egzotyczną nutę. Jego uwagę zwróciły zwłaszcza dwie młode kobiety, jasnowłose i różowe, w ciężkich buciorach i z ogromnymi plecakami. Jego przekonanie umocniło się jeszcze.

Reverdi tu był.

Polował w tych górach.

Marc wstał i zapłacił.

Motyle: jeszcze trzeba było to sprawdzić.

\*

Obszedł pracownie ramiarzy, gdzie układano łuskoskrzydłe w oszklonych pudełkach. Zadawał pytania, przyjmowane wszędzie z obojętnością. Chińscy pracownicy ledwie raczyli odrywać oczy od swoich zajęć. Wyruszył na obchód szklarni za miastem, gdzie uprawiano tajemnicze rośliny - pokarm gąsienic najpiękniejszych gatunków motyli. Kolejne niepowodzenie. Wszyscy rozpoznawali Reverdiego na zdjęciu, ale dlatego, że widzieli je w gazetach. Wdrapał się na wzgórza otaczające miasto i tam dzwonił do drzwi bogatych hańskich hurtowników, eksportujących na cały świat motyle, owady, gady. Same zaprzeczenia: nikt nigdy nie spotkał Reverdiego.

O osiemnastej Marc zaczął szukać hotelu. Choć kompletnie wyczerpany, wciąż nie chciał uznać się za zwyciężonego. Ale zmierzch mącił mu myśli. Zaczynały ogarniać go wątpliwości. Reverdi mówił mu o wyżynach, a on popędził w góry. Następnie wymyślił cały scenariusz na temat tych motyli. Wszystko bez żadnych podstaw...

Hotele w mieście były przepełnione. Marc zapędził się aż w okolice Tanah Rata.

Trafił tam na dworek otynkowany na biało, z oknami obrośniętymi bluszczem, wysokimi kominami i parasolami w białe i czarne pasy na tarasie. Lake House.

Hindus z recepcji spytał go, z przesadzonym akcentem brytyjskim:

- Pójść po pański sprzęt?
- Mój sprzęt?
- Pan nie łowi? Nie jest pan łowcą motyli?
- Nie, wcale.

Ciemna twarz wykrzywiła się w służalczym uśmiechu.

- Przepraszam. Mamy tu Francuza. Bardzo znanego zbieracza motyli. Myślałem więc...

Marc powtórzył sobie w myślach wszystko po kolei. Łowca. Francuz. Puszcza. Ten opis jakoś niejasno kojarzył się z Reverdim. Postanowił spróbować szczęścia. Ostatni raz w tym dniu.

- Ten pan... Wrócił już z dzisiejszych łowów?

Portier uśmiechnął się ironicznie.

- Przeciwnie, dopiero co wyszedł.
- O szóstej wieczorem?
- Proszę pana, mówimy o motylach nocnych.



# 41.

Zielona godzina.

Takie określenie przyszło mu do głowy, kiedy wysiadał z samochodu. Pojechał zgodnie ze wskazówkami Hindusa: szosą do drogowskazu „Misja luterańska”, potem prosto ścieżką zagłębiającą się w las. Jechał trzysta metrów, do miejsca, gdzie już nie mógł dalej poruszać się samochodem. Droga kończyła się u zbocza wzgórza. Zaczynała się gęsta dżungla, wznosząca się piętrami, tworząca sklepienie nad jego głową.

Zielona godzina.

Chwila, kiedy cień rozchodzi się pod drzewami. Kiedy wszystko zdaje się zmawiać ze sobą po to, by las usnął, a on tymczasem przeciwnie - budzi się. Marc był oczarowany. Odgłosy wokół niego wprost ogłuszały. Serie kastanietów, wysokie poświsty, głuche skrobania: to watahy niewidzialnych ptaków podniecały się na gałęziach. Czasami rozlegały się inne przelotne dźwięki: chrapliwy lot kruków, kłaskanie rozbawionego dzioba, który ledwie usłyszany, już się oddalał. Ale zwłaszcza w tle tego wszystkiego słychać było nieustający szelest wysokich traw, trzciny, palm, paproci rosnących wzdłuż ścieżki i zapraszających go, niczym fale, by zanurzył się w ich nurcie.

Ruszył w drogę. Portier powiedział mu: „Niech pan zaczeka do zmroku i idzie w stronę światła”. Nocny myśliwy używał reflektorów. Marc zszedł w dół zbocza. Wiatr kąsał coraz zacieklej. Podniósł kołnierz kurtki i wszedł głębiej w las.

Trawy i drzewa poruszały się, pochylały, wyginały, jakby w zetknięciu z mrokiem ogarnęło je jakieś zmysłowe podniecenie. Zapachy unosiły się w górę, gęstniały. Puszcza wyteżała wszystkie swoje zmysły. Marc nie mógł się zorientować w przyczynach tego przebudzenia. Czego oczekiwała dżungla? Czemu się tak ożywiła?

I wtedy spadł deszcz.

Najpierw kilka kropli. Potem regularny plusk zagłuszył krzyki ptaków. Puszcza, spragniona, wysuszona przez palące godziny dnia, oczyszczona z olejków eterycznych przez skwar, budziła się, żeby pić.

Marc wciąż schodził w dół. Wśród liści ukazał się stary kort tenisowy. Wciąż ten sam paradoks: kiedy już myślał, że nawiązał kontakt z pierwotnym, nieskażonym światem, trafiał na wszechobecne ślady cywilizacji. Tym razem w wersji zapuszczonej: miejsce siatki i linii

zajęły martwe liście, liany, bluszcze.

Okrażał właśnie kort, kiedy zaczęła się prawdziwa ulewa. Nie próbował się schować. Przeciwnie, podchodził do brzegu przepaści, żeby podziwiać mieniące mu się pod stopami piętra dżungli. Korony drzew przypominały teraz ciemne rulony, kołyszące się w deszczu, roztopiające się w zielonkawą pianę. Rośliny chwiały się, lśniły, cała ta zieleń nie była już kolorem, lecz krzykiem.

Zszedł jeszcze niżej i ujrzał rzekę. Odwrócił się odruchowo: w ciemnościach nie było już widać drogi, którą tu dotarł. Ani ścieżki, ani kortu tenisowego, ani samochodu... Tylko jakiś rozmazany krajobraz, jakby noc odwróciła się od niego plecami. „Niech pan idzie w stronę światła”. Nigdzie wokoło nie było nawet śladu reflektora.

Postanowił przedostać się na drugą stronę wody przez kamienisty bród, który z trudem wypatrzył w ciemnościach kilka metrów po lewej. Kiedy mokry po pas dotarł do przeciwległego brzegu, zmrok dokończył już swego dzieła. Posunął się jeszcze trochę naprzód, po omacku, wymyślając sobie za to, że nie zabrał ze sobą latarki, i w tym momencie rozległ się czyjś głos:

- *What's going on? Who is here?*

Zdumiony Marc powiedział parę słów po francusku. Odpowiedziało mu milczenie. Po czym nagle, kiedy niczego się nie spodziewał, na drzewa padł snop białego światła, jaskrawego jak w sali operacyjnej.

Marc zasłonił sobie oczy. Mrugając powiekami, zauważył, około dziesięciu metrów w górze, prostokąt idealnie jasnego światła, bez plamki ani skazy. Jednocześnie usłyszał warkot generatora. Na tle prześcieradła - bo było to białe prześcieradło rozpięte na metalowej ramie - odcinała się sylwetka odziana w nieprzemakalną pelerynę.

Mężczyzna podszedł bliżej i powiedział po francusku:

- Proszę to założyć.

Podał mu okulary przeciwsłoneczne. Sam miał pod kapturem okulary z lustrzanymi szklami.

- Moje światło jest bardzo mocne w widmie ultrafioletowym. Lepiej się zabezpieczyć.

Marc założył okulary i przyjrzał się pułapce, która już pokrywała się owadami.

- Nie wiadomo, czemu światło je przyciąga. Przypuszcza się, że gwiazdy służą im za punkty orientacyjne, rzucają się więc na każde, choćby najslabsze źródło światła. Głupieją od tego. Mają po kilka tysięcy oczu, wie pan? Co pan tu robi? Interesuje się pan motylami?

Marc przyglądał mu się. Twarz, zamaskowana kapturem i srebrzystymi okularami, była mało widoczna. Ale rysy zdawały się wyraźne, grube, jakby omyte deszczem.

Marc postanowił rozmawiać z nim szczerze.

- Jestem dziennikarzem. Specjalizuję się w sprawach kryminalnych. Zbieram materiały o Reverdim.

Łowca motyli gwizdnął z podziwem.

- Musi pan być bardzo napalony, skoro dotarł aż do mnie.

Marcowi zrobiło się ciepłej pod przemoczonymi łachami.

A więc facet znał Reverdiego.

- Jakie miał pan z nim stosunki? - zapytał obojętnym tonem.

Entomolog podszedł bliżej do rozpiętego płótna. Prostokąt był już czarny od owadów, które chrzęściły, drapały prześcieradło swymi maleńkimi, przylepnymi łapkami.

- Spotkaliśmy się parę razy - powiedział, biorąc ostrożnie w palce szarego motyla. Osy, pszczoły, moskity tworzyły wokół niego bzykającą chmurę.

- Gdzie?

- Tu. W puszczy.

- Nocą?

- Tak, nocą. Krążył tu. Tak jak ja.

Marc zadrżał. Wyobraził sobie Reverdiego: smukłego, milczącego, czujnego. Nie wiadomo dlaczego „widział” go w kombinezonie płetwonurka. W czarnej skórze, matowej i lśniącej jednocześnie. Pantera...

- Łowił motyle?

- Nie sędzę, chyba nie. Nigdy nie widziałem go ze sprzętem.

W wilgotnym powietrzu rozszedł się mocny zapach amoniaku.

Kolekcjoner motyli trzymał w ręku plastikowy pojemniczek. Wsadził owada do środka. Marc pomyślał, że majaczy: motyl krzyczał. Mężczyzna wcisnął korkową zatyczkę i uśmiechnął się.

- To sfinks. Przedstawiciel jednego z najważniejszych gatunków nocnych motyli. Ten się nazywa *Acherontia atropos*. Sfinks „trupia czaszka”. Nazwany tak od motywu na skrzydełkach. Krzyczy i nie boi się atakować uli, żeby kraść miód. Pamięta pan *Milczenie owiec*? Takiego właśnie motyla morderca wkłada swym ofiarom do gardła.

Znowu *Milczenie owiec*. Nie, stanowczo, ten trop nie przemawiał do niego. Mordercze szaleństwo Reverdiego nie mogło być naśladownictwem. Marc wymachiwał rękoma, opędzając się od owadów.

- Amoniak... - mamrotał łowca motyli. - To je paraliżuje przed egzekucją.

Wyciągnął strzykawkę. Marc mimo woli odwrócił głowę. Na prześcieradle miriady

żyjątek walczyły ze strugami ulewy.

- Czego, pana zdaniem, mógł szukać w lesie? - zapytał.

Tamten zamknął swoją ofiarę w słoiku, potem schował wszystko pod pelerynę.

- Nie wiem. Chyba jakiegoś konkretnego owada. Jakiejś rzadkiej sztuki.

- Nigdy z panem o tym nie mówił?

- Nie.

- Niczego się pan nie domyśla?

- W pewnej chwili myślałem, że pracuje nad jakimiś gatunkami dziennymi, których gąsienica żywi się bambusem.

- Dlaczego?

- Bo go kilka razy spotkałem wśród tych drzew. Ale w rzeczywistości szukał czego innego. Nigdy nie dowiedziałem się czego.

- Jaki był? Mam na myśli - w sensie ogólnym.

Miłośnik motyli odpowiedział bez wahania:

- Równy gość. Popijaliśmy trochę o świcie, po powrocie do hotelu. Mówił, że nie potrzebuje światła, żeby „widzieć” las. Że kiedy zbliża się do zdobyczy, przestaje oddychać. Był trochę dziwny... Ale raczej *cool*. - Zamilkł na chwilę, zdawało się, że się zastanawia. - To prawda, co piszą o nim w gazetach?

Marc nie odpowiedział. Latające maszynki atakowały ze zdwojoną zaciekłością. Walczył z neodpartym pragnieniem, by wziąć nogi za pas i zwać stąd. Tamten zaczął mówić znowu, jakby w naturalny sposób wrócił myślami do swego hobby.

- Moim zdaniem blefował. To nie on polował.

- A kto?

- Orang-Asli. Prawdziwi specjaliści. Pewnie pokazywał im, jakich owadów szuka, a oni szli na łowy.

- Mógłbym ich wypytać?

- Nie. Nie mówią po angielsku. A większość jest nawalona od rana do wieczora. A już żeby znaleźć dokładnie tych, co pracowali dla Reverdiego...

- Jest jakiś inny sposób?

Łowca wypatrzył następnego sfinksa na prześcieradle pełnym owadów.

- Niech pan porozmawia z Wong-Fatem. To chiński handlarz.

Marc wciąż wymachiwał ramionami. Czarne płatki kołowały nad jego głową.

- Dzisiaj obszedłem ich wszystkich. - Dmuchał i spluwał, żeby nie połknąć jakiegoś owada. - Żaden nie zna Reverdiego.

- Wong-Fat go zna. Zna wszystkich. To jest boss. Mieszka na wzgórzach Tanah Rata. Wielka willa na palach: nie może jej pan przegapić.

Marc czuł zniecierpliwienie człowieka, który bez przerwy obserwował swoją pułapkę. Ale miał jeszcze jedno pytanie:

- Czy motyle przyciąga cukier?

- Nie. Raczej sól.

- Sól?

- Znam tu w okolicy solanki, przy których można obejrzyć wspaniałe skupiska.

Ciekawi to pana?

Scena, którą sobie wyobraził - motyle wysysające osłodzoną krew kobiet, rozwiła się.

- Nie, dziękuję.

Zdjął przeciwsłoneczne okulary i oddał rozmówcy. Dopiero wtedy zorientował się, że światło elektryczne przygasło. Kiedy spojrzął na reflektor ustawiony za prześcieradłem, zobaczył, że lampa jest cała pokryta owadami. Czarny, ruchomy pancerz lepił się do palącego szkła. Twarz łowcy motyli też była pokryta ruchomymi, brunatnymi zmarszczkami.

Marc wybełkotał parę słów podziękowania i zbiegł ze zbocza w dół.

## 42.

Dom Wong-Fata przypominał kalifornijską willę. Budowla na palach, z brunatnego drewna, stała na szczycie wzgórza wznoszącego się nad miastem. Dzwoniąc do bramy, Marc zauważył poniżej przecinające powietrze kable telefoniczne, wstęgę szosy, coraz cieńszą, w miarę jak schodziła w dół. Przypomniało mu się San Francisco i jego strome uliczki.

Brama otworzyła się. Kazano mu czekać w małym, szarym ogródku. Składał się z cementowej płyty wokół turkusowego baseniku, nie większego od studni. Tylko jedno drzewo rosło przy ogrodzeniu. Jego korzenie przeorały kamień i wślizgnęły się aż pod różową huśtawkę ogrodową. Łowca motyli miał rację: tego kupca Marc nie odwiedził.

Wzdłuż muru stały rzędem metalowe pojemniki. Puszki po konserwach, puszki po farbie brzęczały, wibrowały i najwyraźniej były skłonne przesuwać się bez pomocy. Marc bez trudu wyobraził sobie, co mrowiło się tam w środku. Poprzedniej nocy po wyprawie do lasu śniły mu się cały czas osy i trzmiele. Występowały w tych snach także butelki pełne miodu i słoje z woskiem pszczelim.

- Czego pan chce?

Ton był nieprzyjazny. Wong-Fat stał w oszklonych drzwiach koło huśtawki. Miał pewnie około sześćdziesiątki, ale wyglądał tak, jak w tym wieku wyglądają Chińczycy: żadnych zmarszczek, żadnych siwych włosów. Twarz pokryta dziobami jak skórka pomarańczy. Trudno było cokolwiek o nim powiedzieć.

Marc przeprosił - była niedziela - i wyjaśnił, wciąż w swej możliwie najlepszej angielszczyźnie, powód swojej wizyty. Zbieranie materiałów. „Le Limier”. Jacques Reverdi.

- Nic panu nie powiem.

Przynajmniej jasno powiedziane. Minęło parę sekund w ciszy przerywanej trzaskami i buczeniem dochodzącym od puszek. Marc nie miał żadnego pomysłu ani energii. Powiedział bez przekonania:

- Proszę posłuchać... Przejechałem dwanaście tysięcy kilometrów i...

- Ani słowa o tym człowieku. Do widzenia panu.

Buczenie wokół nich nasiliło się, jakby owady wyczuły rozdrażnienie swego pana. Marc machnął ręką ze zniechęceniem i odwrócił się. Potem wzdrygnął się i zawrócił.

- Proszę pana. To dla mnie bardzo ważne.

- Nie mam panu nic do powiedzenia. Gdybym miał mówić, to z policją mojego kraju.

Marc wyczuł jakiś utajony niuans w intonacji Chińczyka. Kiedy przeprowadzał wywiady, wsłuchiwał się bacznie w odcienie, akcenty głosu. Zawsze można było wyczuć jakiś podtekst. A więc handlarz owadami chciał powiedzieć coś dokładnie przeciwnego. Rozmawiać z policją to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę. Marc spróbował blefu.

- No to chodźmy razem. Opowie pan wszystko na posterunku w Tanah Rata.

Tamten spojrział na niego z wściekłością.

- Do widzenia.

Skierował się ku bramie i chwycił za klamkę. Marc poszedł za nim, ale po to, by mu zagrozić drogę.

- Doskonale. Idę tam sam i wracam z policją.

Palce gospodarza domu zacisnęły się na kratkach bramy.

- Czego pan właściwie chce?

Głos był teraz mniej agresywny.

- Chcę wiedzieć wszystko, co pan wie o Reverdim. Co od pana kupował i po co. Przysięgam, że to zostanie między nami.

- Między nami? Między mną a dziennikarzem?

Słońce stało już wysoko. Marc schronił się w cień drzewa.

- Napiszę o tym tylko w moim artykule, nie wymieniając źródła wiadomości.

- Jaką gwarancję może mi pan dać?

- Gwarancję zdrowego rozsądku. Moi czytelnicy to Francuzi. Ciekawi ich Jacques Reverdi, a nie Wong-Fat. Pańskie nazwisko nic nikomu nie powie.

Kupiec nie puszczał furtki, ale wyraźnie się odprężył. Marc jednak wyczuł, że tamten się stąd nie ruszy. Cała rozmowa odbędzie się tutaj, w kilka minut. Zaczął więc z miejsca:

- Co pan sprzedawał Reverdiemu?

- Nie mogę powiedzieć.

- Obawia się pan oskarżenia o współudział?

Wong-Fat spojrział na niego ze zdumieniem.

- Nie chodzi o to. Wcale.

- No to czego się pan boi?

Chińczyk stał ze wzrokiem wbitym w ziemię. Cienie liści tańczyły po jego ospowatej twarzy.

- Chodzi o mojego syna.

- Pańskiego syna?

Marc nic nie rozumiał.

- Mój syn... - Pokazał gestem dom, basen, puszki, wciąż dygocące. - Cokolwiek sprzedałem, każdego skorpiona, każdego motylka, to tylko dla niego. Żeby miał wszystko co najlepsze. Prywatne szkoły. Studia prawnicze w Wielkiej Brytanii...

Przerwał. Uwięzione żyjątka też jakby się uspokoiły. Solidarnie ze swoim panem.

- Mój syn to nicpoń. Zły człowiek.

- Zły?

Twarz jakby stężała mu na tę myśl. Lekkość cieni kontrastowała z zaciętością rysów. Marc rzucił okiem na gałęzie: były usiane długimi zielonymi owadami w kształcie gałązek. Nagle przypomniała mu się nazwa tych stworzeń: patyczaki. Skąd mu się wzięła ta wiedza?

Wong-Fat powtórzył:

- Złe skłonności.

Marc nie widział związku z Reverdim. Ale nie przerywał tej spowiedzi.

- Jesteśmy w kraju, gdzie pewne sprawy są łatwiejsze niż gdzie indziej... Za kilka ringgitów można zaspokoić wiele pragnień. W Tajlandii jest jeszcze gorzej. Garść bahtów i wszystko możliwe.

Mężczyzna przerwał. Mówił właściwie sam do siebie. Marc patrzył zafascynowany na szeregi patyczaków defilujące mu po twarzy.

- Po powrocie z Anglii syn zaczął coraz częściej jeździć na północ, ku granicy z Tajlandią. Raz pojechałem za nim. Odnotowałem sobie każdy burdel, do którego wchodził. Wypytywałem *tauke* - tak się nazywa Chińczyków, właścicieli tego rodzaju zakładów - pytałem o gusta, zamiłowania mojego syna. To, czego się dowiedziałem, przerażyło mnie.

Znowu milczenie, a w tle pianissimo kotłów, cichy warkot wielkiego bębna.

- Z początku szukał po prostu dziewic. - Przez twarz przeleciał mu krótki uśmiezek, właściwie coś w rodzaju tiku. - To ohydne, ale w naszych okolicach zwyczajne. Zwłaszcza od pojawienia się AIDS. A do tego wśród Hanów dziewice uchodzą za źródło młodości, ale nie to interesowało mojego syna. Wcale nie to.

Owady wciąż rysowały przerażający szkic na jego śniadej cerze.

- Pił ich krew. - Spojrzał Marcowi prosto w oczy, jakby chciał go sprowokować do wyrażenia opinii. - Rozprawiczał je i pił ich krew.

Marc pomyślał o podejrzeniu Alanga: Reverdi jako wampir. Przypomniał sobie, jakich wiadomości morderca żądał od Elisabeth: krew miesięczkowa, krew dziewicza. Nie. Nie wierzył w to. Wong-Fat mówił dalej, zapalał się coraz bardziej.

- Wykryłem jeszcze obrzydliwsze rzeczy. Od innych dziewcząt domagał się, żeby



przechowywały dla niego zużyte prezerwatywy, żeby na niego sikały albo obwiązywały mu członka, aby uniemożliwić wytrysk. Robił młodziutkim dziewczynkom rzeczy, których nie ośmielę się panu powtórzyć. Zorientowałem się, że kradł skorpiony i węże i używał ich do swoich seansów. Dziesięcioletnie dziewczynki! Był postrachem wszystkich burdeli pogranicza. I ja za to wszystko płaciłem!

Znów milczenie. Słońce było już nie do wytrzymania. Kupiec jakby tego nie zauważał.

- Kiedy wróciłem do Tanah Rata, chwyciłem go za mordę. Nie zareagował. Plunałem mu w oczy. Uśmiechnął się i powiedział: „Rób tak dalej, przepadam za tym”. Zacząłem go bić. Waliłem ze wszystkich sił.

Wong-Fat z trudnością hamował szloch. Marc pomyślał, że nieczęsto widuje się płaczącego Chińczyka.

- Nie mogłem przestać. Biłem i biłem... Wylała się ze mnie jakaś straszna nienawiść. Jakbym nienawidził go zawsze.

Uśmiechnął się nagle, zdawało się, że podziwia spustoszony krajobraz swego życia.

- Kiedy się wreszcie opanowałem, był cały we krwi. Usłyszałem coś piskliwego, cichego... Płakał. Mój chłopczyk płakał. Rzuciłem się do niego. Cała nienawiść wyparowała ze mnie. Wziąłem go w ramiona i wtedy... myślałem, że umrę: on się śmiał. Śmiał się!

Wong-Fat przerwał, potem kopnął leżącą na ziemi puszkę po cykorii: pokrywka odpadła i z puszek wyleciały, rycząc jak helikoptery, grube, rogate chrząszcze.

- Ten łajdak, zwinięty w kłębek, przeżywał orgazm. Widziałem jego ręce: obie miał zaciśnięte na kroczu. Kiedy ja go lałem, on się onanizował.

Spojrzał na Marca swymi czarnymi oczyma o żółtawych obwódkach.

- Jestem prostym człowiekiem, proszę pana. Zawsze miałem wokół siebie owady. Wszystko, co zarobiłem, im zawdzięczam. Nie rozumiałem takiego zbroczenia. Wypędziłem go. To potwór.

Długie milczenie. Marc wciąż nie pojmował przyczyn tej spowiedzi. Zauważył patyczaka truchtającego mu po ręce. Nie poruszył się, z obawy, że kupiec przerwie zwierzenia.

- A Jacques Reverdi? Co on ma wspólnego z pańskim synem? Znają się?

- Mój syn jest teraz adwokatem w Kuala Lumpur.

- No więc?

- Mój syn jest adwokatem Reverdiego. Niby to został mianowany z urzędu. Ale wiem, że zapłacił, żeby to właśnie jemu powierzono sprawę. Jest zafascynowany tym mordercą.

Rewelacja huknęła Marcowi w głowie jak wybuch. Jak mógł sobie tego nie skojarzyć? Przecież wysyłał listy na adres „Jimmy Wong-Fat”! Jacques Reverdi miał za obrońcę wampira. Nagle ogarnął go niepokój: Jimmy był jedyną istotą ludzką poza nim i Reverdim, która wiedziała o istnieniu Elisabeth. Potrząsnął ramieniem, żeby się pozbyć owadów.

- Poszedł do Reverdiego jak uczeń do mistrza - powiedział Chińczyk. - Żeby wydoskonalić się w czynieniu zła. Nie chcę, by wiadano, że ja też znam tego mordercę. To mogłoby nasunąć podejrzenia w stosunku do mojego syna.

Marc wyczuł, że starzec zakończył zwierzenia. I nie zdradził mu najważniejszego.

- Może mi pan powiedzieć przynajmniej, co u pana kupował?

Kupiec pokręcił przecząco głową i otworzył furtkę.

- Nie. Chcę zapomnieć o tym wszystkim. Teraz, kiedy wiem, że Reverdi jest zabójcą, domyślam się, co robił dziewczętom.

- Co?

Mężczyzna splunął.

- Niech pan da spokój. To przechodzi ludzkie pojęcie.

Prawda była tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, ale Marc już wiedział, że jej nie uzyska.

- Proszę pana... Co on od pana kupował? Niech mi pan odpowie. Inaczej pójdę do glin i...

- Idź pan choćby do diabła. Mam to gdzieś. W gruncie rzeczy czekam tylko na jedno: żeby powiesili Reverdiego. Jak najszybciej. Zanim zrobi z mojego syna mordercę.

## 43.

Szosa płonęła w zmierzchu.

Marc jechał z gazem do dechy, nie przejmując się tym, czy jedzie po prawej, czy po lewej stronie. Zalewało go poczucie klęski. Reverdi rzeczywiście wskazał mu kierunek Cameron Highlands. To tam kryła się jakaś tajemnica, którą należało wydobyć. Ale nie udało mu się. Nie wykrył Znaków Wieczności.

Cała podróż na nic.

I konsekwencje nie do naprawienia.

„Nie będziesz miała prawa do błędu”, napisał Reverdi. Marc czuł, jak posmak goryczy pali mu gardło. Uderzył ręką w kierownicę i skupił się na prowadzeniu.

Puszcza była coraz gęstsza, linia horyzontu płonęła. Cały krajobraz zamienił się w jakiś różowy płyn, ciężki, zmysłowy. W tym obrazie samochody niczym strzały z rozpalonego metalu pędziły, wibrowały jak na filmie puszczone w przyśpieszonym tempie. Był niedzielny wieczór: powrót z weekendu, wersja „czarny dzień na drogach”.

Przy zjeździe z autostrady w okolicach Ipoh, na krajowej, którą zapamiętał jako szczególnie niebezpieczną, kiedy jechał w przeciwną stronę, chaos dochodził do szczytu. Pejzaż coraz bardziej zachodził cieniem, a samochody gnały, nie zwracając na nic uwagi. Wyprzedzały z prawej, z lewej, środkiem, zawadzały o pobocza, trąbiły, by sobie wywalczyć pierwszeństwo przejazdu.

Marc, wczepiony w kierownicę, odplącał pięknym za nadobne, ledwie unikając zderzeń. Wkrótce ochrowy pył był już tak ciemny, że aż czarny. Ruch spowolniał. Wszyscy kierowcy musieli przejść na stępa. Kałuże oleju na jezdni: wypadek. Czarniawy dym buchał kłęбами: obraz piekła.

Jakiś samochód zjechał ze swego pasa na prawy i wpakował się w pędzącą w przeciwnym kierunku ciężarówkę. Palił się teraz, wbity pod naczepę. Trudno było nie myśleć o kierowcy, przeciętym na dwoje. Nie było nic widać, ale krew, płomienie, smród, mówiły dość wyraziście, co się tu stało. Marc, jak wszyscy, dojechawszy do miejsca wypadku, spojrzał w tamtą stronę przez zmrużone oczy, bojąc się tego, co może zobaczyć...

Karetki jeszcze nie nadjechały, ale kilku kierowców szło wzdłuż szosy z telefonami komórkowymi w rękach. Marc nie zatrzymał się. Właśnie pomyślał z ulgą, że minął

niebezpieczną strefę, kiedy zauważył w trawie jakiś ciemny kształt.

Ramię.

Oderwane ramię, wyrzucone o dwadzieścia metrów od miejsca zderzenia.

Kilku kierowców dostrzegło je, ale żaden nie śmiał go podnieść. Marc dojrzał w tym potwornym szczególe wróżbę. Musi zrezygnować ze swego śledztwa - nawet jeśli, co mało prawdopodobne, śledztwo nie zrezygnuje z niego. Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu. Musi przerwać tę machinację. Wrócić do Paryża możliwie najprędzej.

W tym momencie zdał sobie sprawę, czego się właściwie boi. Była to myśl, jeszcze niesprecyzowana, że Jacques Reverdi nie działa sam. Że jego adwokat, perwersyjny grubas, może mu posłużyć, poza więzieniem, za narzędzie zemsty. Co będzie, jeśli morderca wykryje kombinację? Jeśli rzuci swego „psa” w pościg za oszustem?

Dodał gazu, nie odwracając się.

\*

O dziesiątej wieczorem był znów w pokoju hotelowym.

Bez powietrza i bez okna. Włączył klimatyzację na cały regulator i wśród szumu wentylatora opróżnił kieszenie. Miał jeszcze w gardle zapach spalonego ciała. Czuł się brudny, zbrukany, przesycony śmiercią i kurzem.

Położył na nocnym stoliku kluczyki, wizytówki doktor Norman i handlarzy owadami, których spotkał, oraz jakąś kartę pokrytą chińskimi znakami.

Odwrócił ją: druga strona była zapisana alfabetem łacińskim.

Wizytówka „Pana Raymonda”, którą ktoś mu wcisnął na chodniku pod Hard Rock Café. Tekst pod numerami telefonicznymi głosił: „Wszystkie dziewczyny, jakich ci trzeba”.

Czemu nie?

Żeby zatrzeć smak śmierci, potrzebował terapii uderzeniowej.

\*

Od razu spodobała się Marcowi.

Drobna, mocno zbudowana jak gimnastyczka juniorka. Jej mocne uda, wypukłe piersi rozpychały cienką sukienkę z czarnego muślinu. Emanowała zmysłową energią, siłą pożądania, które zapierało oddech, wysuszało gardło.

Usiadła niezręcznie w jedynym fotelu w pokoju i czekała, patrząc spod spadającego loka. Twarz pasowała do topornego ciała: twarde rysy, sterczące kości policzkowe, oczy jak ucha igielne. Uroda sztyletu, pomyślał Marc. Wyraźnie ponosiła go wyobraźnia: była to zwykła chłopska gębuła, ucharakteryzowana na *pin-up girl*.

- *Where do you come from?*

- *Miam-Miam.*

- *I'm sorry. I didn't get the name. Where do you come from?*

- *Miam-Miam.*

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że pochodzi z Myanmar, co było nową nazwą Birmy. Zapłacił z góry i nieporozumienia zaczęły się na nowo. Marzyło mu się, że sam zdejmie jej sukienkę, albo jeszcze lepiej - łagodnie podciągnie ją powyżej ud. Ale Birmanka rozebrała się kilku szybkimi ruchami, jak w szatni dla dziewcząt przed zawodami pływackimi.

Pokazała mu palcem prysznic. Marc uśmiechnął się. Już sobie wyobrażał jej pieszczoty w obłokach pary, jej długie włosy muskające mu pierś. Profesjonalistka założyła czepek kąpielowy, po czym rzeczowo wzięła się do mycia jego członka. Robiła to starannie, jakby zdrapywała rdzę ze starego ogrodzenia.

Kiedy znaleźli się w łóżku, usiadła mu na brzuchu jak na koniu i położyła mu ręce na piersiach. Nareszcie, masaż... Marc zamknął oczy, oczekując, aż małe szczypty rozkoszy rozejdą mu się po ciele, a potem jęczyczek będzie zwilżał mu mięśnie, powoli docierając do członka. Zamiast tego dostał parę razy pięściami po żebrach, a potem, kiedy otworzył oczy, zobaczył, że mała grzebie w swojej torebce. Wyciągnęła stamtąd prezerwatywę, rozdarła kopertkę zębami, jak torebeczkę do jednorazowej strzykawki. Każdy gest był krótki, suchy, profesjonalny.

Marc spodziewał się jakiejś szaleńczej Kamasutry.

Trafił na zabieg medyczny.

Kilka minut później fala rozkoszy jednak napłynęła. Była krótka, tyle co przełknąć kulkę ryżową. Dziewczyna udała, że śpi, żeby uniknąć rozmowy po angielsku. Nie знаła języka.

Marc wstał po cichu i usiadł koło nocnego stolika. Postawił obok siebie nocną lampkę i skierował abażur ku ścianie. Potem otworzył komputer. Nie mógł dłużej czekać. Musiał napisać do Reverdiego. Przyznać się do porażki i znaleźć sposób, by zasłużyć na wybaczenie ze strony mordercy.

Chęć powrotu do Paryża minęła. Strach przed Jimmym też. Nie było żadnego powodu, żeby miał zostać odkryty. Albo żeby obawiać się zboczonego maminsynka.

Zaczął pisać bez namysłu. Wystarczyło mu słuchać głosu serca, głosu swego rozczarowania, rozgoryczenia, swej wścieklej woli wywiązania się z zadania, która doprowadziła go do impasu. Porwany własnym - czyli Elisabeth - stylem, prosił/prosiła Reverdiego, by dał mu/jej jeszcze jedną szansę.

Po półgodzinie Marc poczuł się lepiej, jakoś pokrzepiony, jakby wszedł w skórę tej młodej kobiety, która nie chciała zostać porzucona. Chociaż każde słowo sprawiało mu ból, chociaż każda sylaba przypominała mu jego fiasko, smakował ten intymny stosunek, tę duchową więź, która pozwalała mu mówić otwarcie o jedynej interesującej go rzeczy: o tajemnicy mordercy.

Usłyszał trzaśnięcie drzwiami.

Zobaczył swój pokój, gołe ściany, rozbabrane łóżko. Miam-Miam znikła. Był tak pochłonięty listem, że nawet nie słyszał, jak wstawiała, ubierała się, brała torebkę...

Po paru chwilach dopiero dotarła do niego posępna prawda.

W tym momencie wołał pisać do Reverdiego, niż znów pieprzyć się z prostytutką.

Wolał być Elisabeth Bremen niż Markiem Dupeyratem.

## 44.

L'Axe była jedną z najbardziej *trendy* restauracji paryskich. Chadidza знаła ją już ze słyszenia i obawiała się najgorszego. Ale na pierwszy rzut oka doceniła wystrój. Wielka, biała, czysta ściana, wzdłuż której ciągnął się rząd otwartych alków. Wąski kontuar przy przeciwległej ścianie podkreślał jeszcze perspektywę tej przestrzeni.

Te jasne linie przypominały jej pewne stare marzenie. Miała nadzieję, że będzie mogła kiedyś zwiedzić kaplicę w Ibaraki, w Japonii, której zdjęcia widziała. Architekt Tadao Ando wyciął w tylnym murze dwie osie, pionową i poziomą, przez które wchodziło słońce, zarysowując znak krzyża. Chadidzę zachwycił ten pomysł: krzyż z czystego światła. Przysięgła sobie, że kiedy będzie ją na to stać, pojedzie do Japonii, by pomodlić się w tej kaplicy. Był to jej tajemny cel.

Vincent czknął, nastrój kaplicy się rozwiął.

- Przepraszam. Małe SOS organizmu. - Staął na palcach: - Nie wiem, co oni tam, do cholery, robią, że każą nam czekać...

Stali w słabo oświetlonym holu. Panowała tu atmosfera niepokoju, jak zwykle w modnych restauracjach, gdzie każdy czeka, rozgorączkowany, na stolik, w obawie że go posadzą na kiepskim miejscu albo co gorzej - nie wpuszczą wcale. Chadidza przeciwnie: była w beztroskim nastroju. Nie obchodziło jej, gdzie zjedzą z Vincentem kolację. Ciekawiło ją tylko, co też on chciał „uczcić” tego wieczoru?

Ulokowano ich przy jednym z najlepszych stolików. Alkowa za drewnianą kratą przyjemnie pachnącą żywicą.

- Uprzedzam cię - zapowiedział Vincent, zdejmując marynarkę - że tu jest raczej postnie. Styl taki więcej „Anonimowi Anorektycy”.

Chadidzy podobał się coraz bardziej. Gruby, szeroki w barach, nieprzejmujący się niczym, zdawał się z prawdziwą przyjemnością dokuczać wszystkim wokoło. Koszulę miał zawsze poplamioną. Spod pach wyzierały mu obszerne aureole. I rozsiewał woń, której daleko było do wyrafinowanych zapachów zachwalanych przez kolorowe czasopisma. W środowisku ludzi zajmujących się modą Vincent był jak kamień rzucony w kałużę. Ale kamień z pumeksu: ochlapywał, lecz tonąć nie chciał.

Chadidza przeczytała dokładnie kartę, bawiąc się skojarzeniami słów, rodzajów,

nawet języków. Nazwy egzotycznych przypraw mieszały się z nazwami chłopskich sałatek. Najbardziej klasyczne gatunki mięs występowały tu przyprawione cukrem i jakimiś słodkimi smakami. Ryby bałtyckie spotykały się z tropikalnymi warzywami.

Sama należała do tej skundlonej kultury. W Maghrebie nigdy jej noga nie powstała, ale swój codzienny strój - bluzę i džinsy - doprawiała elementami etnicznymi w stylu „Sahara”. Ciężkie srebrne naszyjniki, tuniki z mory, oszałamiające perfumy, mieszanki jaśminu z piżmem... Nawet malowała sobie palce henną.

- Wybrałaś? - spytał Vincent.

- Niewiele z tego rozumiem.

- Chcesz, żebym ci objaśnił?

- Nie. Gwiżdżę na to.

Vincent zarechotał szyderczo.

- Największy snobizm to brak snobizmu, co?

- Po prostu trzymam się od tego z daleka. Jestem z Gennevilliers. Z osiedla Banan. Wyobrażasz sobie, prawda? Próbuję szczęścia w tym zawodzie, żeby zarobić na życie. Nie po to, żeby zmienić skórę.

Vincent wznosił toast - zamówił już koktajl z lodem, drobne ziarenka soli otaczały brzeg szklanki.

- Za Banana!

Przy tej okazji Chadidza odnotowała szczegół, na który dotąd nie zwróciła uwagi. Na serdecznym palcu lewej ręki Vincent miał biały ślad.

- Byłeś żonaty?

Vincent machinalnie spojrział na swoje palce. Cięż przeszedł mu po twarzy. Pokiwał powoli głową.

- Nieprzyjemne wspomnienie?

- Powiedzmy, że sparzyłem się przy tej zabawie.

Chadidza nie powiedziała nic. Domyślała się, że Vincent powie coś więcej. I rzeczywiście.

- Dla mnie - dodał - małżeństwo było czymś w rodzaju chemicznego pożaru.

Żeby rozładować poważny ton, w jaki zaczynała wpadać rozmowa, rzuciła ironicznie:

- Dość oryginalna metafora.

- To nie metafora, to doświadczenie... praktyczne. - Wciąż mówił zupełnie poważnie. -

Z upływem lat między mężczyzną a kobietą wszystko się pali, wszystko płonie. Mam na myśli to, co było w nich najlepszego. Pewnego dnia budzą się pośród popiołów.



- Ale dlaczego „pożar chemiczny”?

- Bo pozostają między nimi substancje najtwardsze, kawałki niepalne. Nienawiść. Rozgoryczenie. Uraza. I strach. Jako fotoreporter byłem przy wielu katastrofach. Karambole na szosie. Wybuchy w fabrykach. Zawsze zostają jakieś szerniałe szkielety, jakieś cacuszka nie do zdarcia, których ogień się nie ima. Takie obrazki przypominają mi moje małżeństwo.

Przyszedł kelner. Zamówili. Kiedy zniknął, Vincent wpatrzył się w dno swojej szklanki. Kręcił nią, obserwując obracające się refleksy.

- Zrozumiałem przynajmniej jedno - wymamrotał. - Kobiety noszą miłość w sobie.

- Chyba tak samo jak mężczyźni, nie?

- Nie. W nich jest święty ogień. One „wierzą” w miłość, tak jak integryści wierzą w Boga. Każda spotkana dziewczyna, bez względu na jej styl bycia, na pozorną beztroskę, kryje w sobie zawsze, czasem gdzieś bardzo głęboko, ten święty ogień.

Chadidza z dreszczem przyjmowała kolejne wzmianki o ogniu Jakby Vincent celowo używał tego porównania. Ale czuła jednocześnie nawiązujące się między nimi zrozumienie. Fotograf mówił dalej:

- Jak te kobitki w starożytności, co czuwały przy nigdy niegasnącym ogniu.

- Westalki.

- Właśnie. - Zrobił do niej oko. - Powinno być więcej modelek w twoim rodzaju.

Sztywnym krokiem podszedł kelner od win. Vincent wyjął mu z ręki butelkę i dał znak, żeby się zabierał.

- Każda kobieta jest świątynią - ciągnął, napełniając kieliszki. - Z tym wewnętrznym płomieniem, który nigdy nie gaśnie.

Chadidza była zdumiona kierunkiem, jaki przybierała rozmowa. Mówić o tych antycznych postaciach z „królem mgiełki”? Naprawdę Paryż był pełen niesamowitych niespodzianek. Spytała mimo woli:

- No a wtedy, jak sobie dałeś radę?

Dopił swój koktajl jednym haustem.

- Dzięki alkoholowi - zakasłał cicho. - Nie, wygłupiam się. Dzięki jednemu facetowi, z którym przez parę lat tworzyliśmy zespół. Piekielny tandem. Byliśmy paparazzimi.

Chadidza odgadła od razu. Serce zabiło jej szybciej.

- Z tym rudzielcem, twoim kumplem?

- Z nim. Marc Dupeyrat. Ten, co ci wpadł w oko.

- Uważam, że jest raczej... osobliwy.

- Najdelikatniej mówiąc. On też przeżył dziwne doświadczenie.

- Także sprawę ze „świętym ogniem”?

- I to o wiele gorszą od mojej.

Vincent powiedział to jeszcze poważniej. Atmosfera robiła się po prostu grobowa. Chadidza skrzyżowała ramiona i spojrzała rozmówcy prosto w oczy.

- Powiedziałeś albo za dużo albo za mało, papciu...

Próbował się roześmiać, pokręcił przecząco głową i długimi włosami.

- Zapomnij o tym wszystkim, przyszliśmy tu się zabawić.

- Zrobimy to później.

- Wątpię, czy będziemy jeszcze mieli ochotę.

- Zaryzykuję.

Vincent sapnął ciężko, obejrzał się, czy nie przychodzi kelner z daniami, ale oczywiście na horyzoncie nikogo nie było widać. Musiał więc zacząć.

- To się stało, zanim go poznałem. W dziewięćdziesiątym drugim. Pracował nad dość gorącym tematem związanym z mafią sycylijską. Musiał spędzić na Sycylii kilka tygodni. Poprosił narzeczoną, żeby do niego przyjechała.

Chadidza poczuła ucisk w gardle.

- Jak się nazywała?

- Sophie. Dla niego ten wyjazd był czymś w rodzaju zaręczynowej. Mieli się pobrać niedługo potem.

Chadidza pochyliła głowę, by ukryć ogarniające ją pomieszanie: każde słowo ją raniło.

- Co się stało?

- Dziewczyna została zamordowana.

Chadidza podniosła wzrok. Vincent uśmiechał się smutno, napełniając na nowo swoją szklankę. Wypił łyżeczek i mówił dalej:

- Zamieszkali w Katanii, jednym z większych miast Sycylii. Pewnego popołudnia, kiedy Marc wracał do domu po odwiedzeniu więzienia dla nieletnich w Bicocca, znalazł jej ciało w pensjonacie, w którym mieszkali.

Chadidza rozumiała teraz, dlaczego Marc zachowuje się tak dziwnie. Zadawniona trauma. Mogłoby to stworzyć jakąś więź między nim a nią, ale nie: ta historia odsuwała Marca od niej. Wdowiec hermetycznie zamknięty na zawsze w swoim bólu.

- Zapłata mafii?

- Nigdy się tego nie dowiedziano, ale to nie było w stylu mafii. Raczej dzieło świra. Z gatunku „seryjny morderca”.

- Co jej zrobił?

- Zdaje się, że włączymy na bardzo grząski teren. Temat zupełnie nie nadaje się do kolacji przy świecach.

- Opowiedz.

- Jesteś pewna, że chcesz znać szczegóły?

- Nie jestem mimozą, możesz mi wierzyć.

Vincent zgarbił się na swoim krześle i zagapił na butelkę wina, której czarne refleksy kojarzyły się teraz z czarodziejską lampą. Zaczął znowu swoim głębokim głosem:

- Marc nigdy nie chciał mi podać szczegółów. Ale tak samo jak ty chciałem wiedzieć coś więcej. Zadzwoiłem więc do kolegów, do włoskich paparazzich, a ci z kolei mieli swoje dojścia do karabinierów na Sycylii. Po tygodniu miałem wszystkie informacje. Dostałem nawet pełne akta śledztwa. Wiesz, we Włoszech paparazzi są...

- Czego się dowiedziałeś?

- Najgorszego. Dziewczynę dopadł psychopata.

Przerwał, zawahał się. Wziął do ręki butelkę i znów napełnił kieliszek. Po łyku ciągnął znowu:

- Przede wszystkim solidnie ją stłukł. Potem zakneblował i przywiązał do łóżka sznurami od zasłon. Poszedł do kuchni i znalazł gumowe rękawice. Pogrzebał w szafie i zabrał trampki Marca, też na gumie. Następnie wyciągnął skądś przedłużacz do kabla, obnażył druty z jednej strony. Włączył go do gniazdka i zaczął torturować ofiarę. Włożył jej, wiesz gdzie, kabel pod napięciem dwustu dwudziestu wolt. Potem zrobił to samo z drugiej strony, wciąż tym przedłużaczem. Wyciągnął knebel i zmusił do wzięcia do ust drutu pod napięciem. Wedle raportu z sekcji zwłok dźwięka miała kompletnie spalone. Części rodne też.

Vincent znów upił łyk. Mimo woli dał się ponieść swym zwierzeniom.

- To nie wszystko. Sukinsyn nie zaprzestał jatki. Była już martwa. Przynajmniej mam nadzieję. Po elektrowstrząsach morderca znalazł w kuchni nóż rybacki z zakrzywionym ostrzem, używany do filetowania. Otworzył ją od krocza po krtań. Powyciągał wnętrzności i rozrzucił po pokoju.

Przyniesiono zamówione dania. O wiele za późno. Vincent ciągnął swoim chrypliwym głosem:

- Kiedy Marc wrócił do domu, trafił na taki widok. Zakrwawione wnętrzności na podłodze. Szerniałe usta zastygłe w potwornym grymasie. Trampki, jego własne trampki, w zaschniętej kałuży.

Chadidza milczała. Zawisła w jakimś niebycie. Nie spadała: szybowała, lekka, nad

przepaściami nicości. Wreszcie po całym wieku usłyszała swój głos:

- Jak on zareagował?

- Nie zareagował. Popadł w śpiączkę. Na trzy tygodnie. Kiedy się przebudził, nie pamiętał nic. Mówił o Sophie w czasie terażniejszym. Miesiące trwało, nim pogodził się z rzeczywistością. Leczył się w wyspecjalizowanej klinice w Paryżu. Ze wszystkimi szukanami. Ale nigdy nie odzyskał pamięci. Wie o tej sprawie tylko to, co mu opowiedziano.

- Podano mu szczegóły?

- Sam ich poszukał. Wrócił na Sycylię. Dręczył włoskich gliniarzy. Prowadził własne śledztwo. Bez skutku. W Katanii, krainie *omerta*, nie miał szans. Wtedy jego obsesją stał się zbrodniczy popęd jako taki. Próbował najpierw pozbyć się tej obsesji, pracując, tak jak ja, w prasie od plotek, ale po latach przerzucił się na sprawy kryminalne. To była dla niego jedyna możliwa droga.

- Ale dlaczego?

- Żeby zrozumieć. Zrozumieć, jak ktoś mógł zrobić coś takiego jego kobiecie.

Chadidza miała teraz kompletną pustkę w głowie. To było potworne: była zazdrosna o zmarłą. Vincent roześmiał się z wysiłkiem. Po winie głos miał jeszcze niższy.

- Nie rób takiej miny. Marc w jakimś sensie odzyskał równowagę. - Roześmiał się znowu. - Chwiejną, rzecz jasna, ale daje sobie radę sam. Bez psychiatry, bez pigułek. To już nieźle. Nawet jeśli, moim zdaniem, jego terapia jest ryzykowna.

Chadidzy przyszło nagle do głowy inne pytanie.

- A gdzie jest teraz? Mówił coś o podróży...

- Moim zdaniem kombinuje coś w związku z Reverdim.

- Reverdi?

- Nie czytasz gazet? Gość, który załatwił turystkę w Malezji. Były mistrz nurkowania bezdechowego. Czekają na proces. Marc wbił sobie do głowy, że wydobędzie z niego zwierzenia. To jego marzenie: wniknąć, choćby na chwilę, w mózg zabójcy.

Chadidza nie miała już pytań. Była załamana. Żeby cokolwiek zrobić, chwyciła za serwetkę i znalazła pod nią kopertę, z pewnością wsuniętą tam przez Vincenta.

- Co to jest?

- Niespodzianka. Twój pierwszy kontrakt. Szkoda, że spaskudziliśmy sobie cały nastrój.

Chadidza rzuciła okiem na kopertę i uśmiechnęła się.

- Jeśli to ma być dowcip, to niezabawny. Tu jest napisane „stawka czterdzieści”.

Vincent znów wznosił szklanekę do góry.

- Właśnie to mieliśmy dziś uczcić, moja słodka. Teraz twoje życie będzie jednym wielkim dowcipem.

## 45.

- Chodź, coś pilnego.

Eric chwycił go za ramię. Sam ten ruch świadczył, że sytuacja jest poważna: Eric nigdy nie ośmieliłby się go dotknąć, gdyby nie zdarzyło się coś wyjątkowego. Jacques odłożył ciężarki i poszedł za Francuzem. Była pierwsza po południu. Więzienie tonęło w skwarze.

Truchtem przebiegli przez dziedziniec - beton parzył ich nagie stopy. Cienie wokół nich były gęste i tak krótkie, że zdawały się przylepione do ziemi. Odzyskali oddech, kiedy znaleźli się w cieniu stołówki i przykucnęli przy ścianie.

- Gdzie mnie ciagniesz?

Eric nie odpowiedział. Z rękoma opartymi na kolanach wskazał ruchem głowy blok C. Jeszcze pięćdziesiąt metrów w słońcu.

Gnom zaczął biec i Jacques niechętnie ruszył za nim. Biegli, podnosząc wysoko nogi, starając się tylko muskać podłogę. Kilka sekund później byli znów w cieniu. Eric patrzył gdzieś dalej: najpierw było boisko, daleko za nim skraj bagnisk. Jacques miał dość.

- Dokąd idziemy? - warknął. - Gówno!

Eric nie odpowiedział i znów ruszył biegiem. Jacques, hamując gniew, za nim. Przebiegli przez bramę obrzeżoną drutem kolczastym i znaleźli się na stadionie. Na dwieście metrów przed nimi nie było nawet śladu jakiegoś schronienia z wyjątkiem nieużywanych bramek do piłki nożnej, które w tej pustce przypominały szubienice.

Już nie mogli biec: upał miażdżył ich, rozgniatał ciała na drobny proszek. Ale dalej szli szybkim krokiem, podnosząc wysoko pięty, co przypominało mechaniczne ruchy mistrzów maratonu. Karzeł i olbrzym, obaj w takich samych białych T-shirtach, obaj w obwisłych płóciennych spodniach. Duet komiczny, powiedział do siebie Jacques, zaciskając zęby.

W końcu ten absurdalny bieg był jakimś odprężeniem. Od dwóch dni obracał w myślach niepowodzenie Elisabeth. Nie mógł się uspokoić. W przypiływie wściekłości nawet omal nie podarł jej zdjęcia. Jak mogła tak nawalić? Pojechała do Cameron Highlands i nie znalazła wskazówki? Pomylił się: ta dziewczyna nie była warta więcej od innych.

Doszli do skraju boiska, potem zbiegli przez pochyłą płytę rozgrzanego do białości

betonu.

- Jesteśmy - powiedział Eric.

- Gdzie?

Tamten pokazał palcem. Reverdi dostrzegł wielkie rury kanalizacyjne na końcu dziedzińca. Wzdłuż betonu ciągnęły się niedbale rozwieszane płótna. Dalej, płatanina drutów kolczastych. I jeszcze dalej - bagna...

- Oddział chorych na AIDS.

Reverdi poczuł na plecach strugę zimnego potu. Mówiono mu już o tym. Raz klawisze, w rękawicach i maskach, przynieśli na izbę chorych trupa z tej strefy. W Kanarze AIDS było wciąż jeszcze traktowane jak trąd. Strażnicy nie śmieli nawet bić nosicieli HIV. Dyrektor zgromadził tych chorych w jednym bloku. Ale w ciągu dnia spotykali się tutaj. Na uboczu. Wykluczeni spośród wykluczonych.

Podeszli bliżej. Reverdi mimo woli odczuwał ciekawość zmieszaną z obawą. Chorzy w ostatnim stadium nie przechodzili przez izbę chorych. Przenoszono ich bezpośrednio do Szpitala Centralnego. W jakim stanie byli ci tutaj? Wyobrażał sobie rachityczne ciała, pozbawione barier immunologicznych, trapione najrozmaitszymi dolegliwościami...

Mylił się. Tubylcy wyglądali jak zwyczajni więźniowie: opaleni na czarno, potargani, w łachmanach. I w formie. Niektórzy grali w karty, inni tłoczyli się przy ogniskach w pobliżu rur. Panowało tu szalone, beztroskie życie.

Nieco z boku płonęło wielkie ognisko, z którego unosił się gęsty, czarny dym, a wokół niego uwijało się z dziesięciu więźniów o twarzach owiniętych w podkoszulki. Smród był nie do wytrzymania.

- Produkują meth.

Reverdi znał ten narkotyk. Paskudztwo, które łatwo było sporządzić z rozpuszczalników, środków odchudzających, płynów do udrażniania klozetów... Prawdziwy nektar. Z produkcją wiązał się tylko jeden kłopot: ryzyko wybuchu. Nikt nie chciał się bawić z taką niepewną mieszanką. Ale tu znaleźli się fachowcy od tego narkotyku. Faceci i tak już skazani, którzy nie bali się rozpaść na kawałki.

Eric skierował się do wylotu rur kanalizacyjnych. Reverdi szedł za nim. Po zejściu ze słońca szok ciemności podział na niego jak uderzenie młotem. Musiał się zatrzymać: nic nie widział. Stopniowo oczy przywykły do mroku. Była to prawdziwa aleja, cylindryczna, zatłoczona jak korytarz metra w godzinach szczytu. Ludzie siedzieli grupkami, oparci plecami o zakrzywioną ścianę rury. W przejściu stały namioty sporządzone z łachmanów. Eric szedł naprzód, odsuwając wiszące szmaty. Mocno pachniało naftą, pełgały płomyki kaganków.

Niektórzy z tutejszych lokatorów siedzieli w kucki, w zwierzęcych pozycjach. Inni leżeli, szcękając zębami, przykryci szmatami. Reverdi nie wiedział, czy ci faceci chorowali na AIDS, ale w każdym razie wszyscy byli na głodzie.

Rozpoznał widma, które przychodziły na izbę chorych żebrać o byle jakie lekarstwo, które ulżyłoby ich cierpieniu. Potem wracali tu, do tych porzuconych rur. Żeby ze swoich pigulek i nieświeżej wody zrobić sobie coś do wstrzyknięcia i zarażać się nawzajem używanymi strzykawkami. Nie zastanawiał się już, o co chodzi Ericowi. Pewnie w tej umieralni ktoś się ukrywał.

Przeskakiwali przez bezwładne ciała. Jacques rozpoznawał znajome objawy. Żyłki napuchnięte i twarde. Kończyny fioletowe od krwiaków. Twarze wyschłe do kości. Zauważał też dłonie i stopy bez palców. Typowe dla więzienia: heroinomani, pogrążeni w swoim tripie, tracili zupełnie wrażliwość i wtedy szczury wyżerały im palce. Budzili się żywcem obgryzieni do kości.

Reverdi zorientował się, że trafił do czegoś w rodzaju „sali konferencyjnej”. Mężczyźni z zastygłym wzrokiem siedzieli nieruchomo po turecku wokół płonącego ogniska. Żyłki tylko ich szczęki. Żyli niezmordowanie. Usta poruszały się jak w transie, reszta ciała była martwa.

- *Dross* - szepnął Eric. - Osad, który zostaje w fajeczce do opium. Paskudztwo jest takie twarde, że nie daje się palić. Więc jedzą to. Przeżuwają tak długo, aż mogą połknąć i coś z tego mieć...

Reverdi poczuł, że zalewa go nowa fala wściekłości.

- Mam po jaja tego zwiedzania i ciebie jako przewodnika. Powiesz mi wreszcie, po jaką cholere my się tu wpięrzamy?

Zajęcza Warga uśmiechnął się do niego. Ociekał potem. Wyglądał jak rybia główka oblana tłuszczem.

- Nie denerwuj się. Jesteśmy na miejscu.

- Ale niby gdzie, do kurwy nędzy?

Eric wskazał coś w głębi rury, po lewej. Dygotał tam jakiś zwinięty w kłębek cień z kolanami pod brodą. Reverdi nachylił się. Był to Hadza, złoty młodzieniec, który ciągnął szmal od matki, podczas gdy ojciec myślał, że dostaje tu szkołę życia. Trudno było go poznać. Skóra i kości. Zapadłe oczy. Sapał bez przerwy.

Eric wymamrotał:

- Chciał być cwany i robić interesy bezpośrednio z Chińczykami. Za karę Raman wezwał do siebie jego ojca i wszystko mu opowiedział. O forsie pod stołem. O narkotykach.



O wszystkim. Ojciec zakręcił kran na dobre. Hadza nie brał nic od pięciu dni. I siedzi po uszy w długach.

Reverdi przypomniał sobie, że chłopak, widocznie coś przeczuwając, już prosił go o pomoc.

- Możesz mi powiedzieć, co ja mam do tego?

- Jeśli nie zapłaci, Chińczycy napuszczą na niego Filipińczyków...

Jacques odwrócił się bez słowa. Eric chwycił go za koszulkę. Tym razem Reverdi przycisnął go do wklęsłej ściany rury.

- Nie upieraj się - wysyczał - bo...

- Tylko ty możesz coś zrobić - powiedział karzeł błagalnie. - Pogadaj z Chińczykami.

Niech mu dadzą trochę czasu... Jego ojciec w końcu zabuli...

Jacques zwinął rękę w pięść, żeby mu na dobre wepchnąć zajęczą wargę w gardło, ale w tej samej chwili coś go olśniło i powstrzymało. Na twarz Erica nałożyły się cudowne rysy Elisabeth. Jej czarne, lekko asymetryczne źrenice. Jej blady uśmiech, ledwie widoczny na śniadej twarzy. Po co się oszukiwać? Kochał ją. Szalał na jej punkcie: nie mógł jej zostawić.

Opuścił rękę, pozwolił Ericowi ześlizgnąć się po ścianie rury. Podjął decyzję. Zrobi to nie dla Hadzy, tylko dla swojej ukochanej. Poda jej nową wskazówkę. A jeśli jej się uda, on uratuje dzieciaka...

- Odpowiem za dwa dni - powiedział i spojrzał mimochodem na znieruchomiałego szczeniaka.

## 46.

Zieleń była kolorem Kuala Lumpur.

Barwą Phnom Penh była szarość.

Po obu stronach wielkich arterii wznosiły się płaskie jednopiętrowe budynki koloru cementu. Drzewa o koronach tak obfitych, że stykały się ze sobą nad asfaltem, też były szare. Na jezdni tysiące równie bezbarwnych rowerów, motorynek, rikszy rowerowych. A na nich sylwetki odziane w sarongi, powiewające z siodełek niczym popielate sztandary.

Ładując w Phnom Penh o siedemnastej, Marc musiał przestawić zegarek: było tu o godzinę wcześniej niż w Kuala Lumpur. W rzeczywistości cofnął się o wiek albo dwa. Nie było tu śladu wielkich szklanych wieżowców, galerii handlowych, konsumpcyjnego szaleństwa. Azjatyckie marzenie wyglądało tu o wiele skromniej - na miarę wątych ramion Khmerów. Rozwój gospodarczy ledwie raczkował. Wracało się tu do Azji cichej, odwiecznej, rozmnażającej się.

W taksówce Marc szalał z zachwytu. Jeszcze tego ranka myślał, że już po wszystkim. Reverdi nie dawał znaku życia. Umowa była zerwana. Przez cały poniedziałek wahał się, co robić dalej: pojechać jeszcze raz do Cameron Highlands? Kontynuować śledztwo samotnie? Wrócić do Paryża i uznać się za zwyciężonego? Nie mógł pogodzić się z klęską.

We wtorek po południu skapitulował. Ze śmiercią w duszy zadzwonił do malezyjskich linii lotniczych, żeby dowiedzieć się o godziny powrotnych lotów, i zarezerwował miejsce.

Nazajutrz, zaglądając do elektronicznej skrzynki pocztowej, żeby sprawdzić rezerwację, znalazł list Reverdiego, e-mail niesłychanie pytyjski, oznaczający jednak ponowne nawiązanie kontaktu. Morderca napisał po prostu:

Kambodża.

Marc spakował torbę i popędził na lotnisko, by poszukać samolotu do Phnom Penh. Zdołał się dostać na lot o szesnastej - rekord szybkości. Niecałą godzinę później lądował w khmerskiej stolicy. Podczas lotu pieścił w myślach to proste słówko niczym złoty samorodek. Reverdi dawał mu nową szansę. Nowy ślad, pozwalający odnaleźć Znaki Wieczności.

„Kambodża”.

Kierował go na trop innego morderstwa.

Linda Kreutz.

Luty 1997 roku.

Angkor.

Z palcami zaciśniętymi na torbie Marc zagłębiał się teraz w ponure miasto. Był już tu raz, w roku 1994, kiedy robił reportaż o rodzinie królewskiej. Pamiętał ospałą atmosferę miasta. Wielką szarość, pokrywającą wszystko. Nie tylko mury, ale i dusze. Dziesięć lat później Kambodża była wciąż w stanie szoku, ogłuszona ludobójstwem Czerwonych Khmerów. Był to kraj zamieszkanym przez widma, gdzie mówiono szeptem, a każdy wegetował jakoś ze swymi ranami i swymi zmarłymi.

Przez szybę taksówki Marc zauważył jednak nieśmiałe ożywienie. Budynki były zupełnie bez charakteru, ale sklepy kipiały od kolorów, towarów, ozdobnych napisów. Tkaniny, tafty, sprzęt hi-fi wylewały się na chodniki... Chociaż wyciszone i przygłuszone, jednak tętniło tu życie. Wdzierało się na powierzchnię i paradoksalnie - zdawało się bardziej rzeczywiste niż w Kuala Lumpur. W przeciwieństwie do stolicy Malezji, gdzie wszystko było gładkie, uporządkowane, klimatyzowane, tu materia i ludzie mieli charakter, wypukłość, zmysłowość.

Wieczorem arterie robiły się z wolna kremowe, beżowe, różowe, wyraźniejsze stawały się ich chodniki z laterytu, gliniane pobocza wydeptane przez nagie stopy. Budynki zdawały się parować, ukazywały swe ceglane cielska w chmurach czerwonego pyłu.

Powietrze nabierało barw, rozpadało się na miliardy cząsteczek. A na końcu alei słońce przyciągało do siebie te purpurowe chmury, zostawiając ciemnościom martwe cienie... W różowawym tyglu nawet motorynki, czarne kresczki przyłączone do ziemi, zdawały się wznosić w górę ku niebu i szturmować chmury.

I wtedy ukazał się Pałac Królewski.

Lśniące dachy, cyzelowane ornamenty, mieniące się iglice otoczone wysokimi, szafranowo żółtymi ślepyimi murami. Jakby złocista flotylla o dumnie sterczących masztach powracała z wolna do portu, tam, wewnątrz murów.

Marc był na miejscu. Nie znaczy to, że miał zamiar nocować w pałacu, tylko że znał hotel dokładnie naprzeciw niego. Renakse, hotel dla gości z Zachodu, równie zaniedbany, jak jego sąsiad z przeciwka był wymuskany. Marc nocował tu podczas swojego poprzedniego pobytu.

Budynek naprawdę miał wdzięk. Stał w głębi parku, osłonięty wysokimi, suchymi drzewami. Dwie wychodzące na ogród ażurowe galerie o posadzkach z kremowych i czekoladowych płyt prowadziły do pokoi. Wielkie trzcinowe fotele rozstawione na głównym tarasie skłaniały do tropikalnego rozmarzenia.

Wypełniając przy kontuarze formularz, Marc zauważył rozpartych w fotelach kilku typowych i dobrze pasujących do scenerii przybyszów z Zachodu. Nie byli to zwykli turyści. Raczej obieżyświaty, znużeni dziennikarze albo ochotnicy z licznych w tym odbudowywanym kraju organizacji pozarządowych, jak zawsze wyglądający na przepracowanych i niepotrzebnych.

Marc wślizgnął się w głąb galerii, obawiając się spotkać jakiegoś starego znajomego albo być zmuszonym do nawiązania rozmowy. Jego pokój był pusty. Wielki, ciemny, nie było w nim nic poza łóżkiem z czarnego drewna i zepsutym wentylatorem na suficie. Okna, najwyraźniej wychodzące na kuchnię, były zasłonięte zaryglowanymi okiennicami. Musiało tu być chyba przeszło trzydzieści pięć stopni ciepła.

Wzruszył ramionami: nie miał zamiaru pozostawać dłużej w Phnom Penh. Jego śledztwo powiedzie go z pewnością śladami Lindy Kreutz, do Siem Reap, niedaleko świątyni Angkor.

Jego śledztwo...

Ale od czego zacząć?

Nie czekał już na żadną wiadomość. Wiedział, że Elisabeth jest poddawana próbie: musi sama posuwać się dalej. Mimo to uruchomił swój komputer i włączył do gniazdka telefonu.

Otrzymał nowy znak. Reverdi napisał po prostu:

Szukaj fresku.

## 47.

Marc obudził się o dziewiątej rano. Zaklął, zasnął na lot do Siem Reap. Będzie musiał spędzić cały dzień w Phnom Penh, czekając na wieczorny samolot. Czym się zająć? W nocy zastanawiał się nad poleceniem Reverdiego: „Szukaj fresku”. Gra w podchody zaczynała się na nowo. I nie było wątpliwości, gdzie ma szukać: świątynie Angkoru, w których było tysiące płaskorzeźb i ornamentów. Wyglądało to obiecująco.

Po lekkim śniadaniu postanowił wykorzystać tych kilka godzin w stolicy i wrócić do starych dobrych metod. Takich, których by użył francuski dziennikarz, żeby posunąć się naprzód przy zbieraniu materiałów. Po kilku rozmowach telefonicznych wynajął „taksówkę motorynkę” i udał się do redakcji głównej francuskojęzycznej gazety w mieście: „Cambodge Soir”.

Mieściła się przy ulicy o nawierzchni z ubitej gliny, w samym sercu śródmieścia. Szary budynek ze śladami wilgoci, ozdobiony niebiesko-białą tablicą w stylu dawnych paryskich tablic z nazwami ulic.

Poprosił o spotkanie z redaktorem naczelnym, podał swoją wizytówkę i zaczął spacerować tam i z powrotem po holu. Było to ponure pomieszczenie o ścianach z nagiego betonu, gdzie trzymano śmierdzące benzyną motorynki. W głębi pod schodami widać było jeszcze ciemniejszą salkę, której jedyne okno zasłaniały sterty gazet. Marc podszedł w tamtą stronę, zaciekawiony tym kafamaum.

Archiwum redakcyjne.

W swej karierze widział ich sporo, ale to było wszelkie rekordy bałaganu i zapuszczenia. Wszystkie ściany były zastawione pudłami, z których wyzierały stopy zakurzonego papieru. Stare i wystrzępione gazety wyglądały raczej jak martwe liany niż drukowane zbiorniki pamięci. Na środku pokoju wznosił się stos popsutych komputerów, przemieszanych z połamanymi, powywracanymi fotelami i usmolonymi książkami.

Nie wiadomo dlaczego ta posępna nora przypominała mu inne archiwum, skądinąd znacznie czystsze. Było to na Sycylii. Po śmierci Sophie poszedł tam, żeby poszukać zdjęcia jej ciała, takiego, jakie znalazł i którego nie pamiętał. Teraz miał przed oczami te odbitki: zwęglone usta, rozplątany brzuch, wnętrzności na podłodze. Ale widział je tak, jak wyglądały na błyszczącym papierze. Nie był w stanie przypomnieć sobie żadnego szczegółu w jego

rzeczywistym kształcie.

- Chodzi panu o Reverdiego?

Marc odwrócił się. W drzwiach odcinała się pod światło męska sylwetka. Pytanie zdumiało go: skojarzenie ze sprawą papąską wydało mu się trochę za szybkie.

- Nie jestem pierwszy? - zaryzykował domysł.

- Ani ostatni, obawiam się - powiedział mężczyzna, podchodząc bliżej. - Po aresztowaniu znów się nim zainteresowano.

Wyciągnął rękę ponad zepsutymi komputerami.

- Rouveres. Redaktor naczelny.

Ręka w dotyku miała coś z walających się wokół papierzyk. Marc nie przypuszczał, że taka karykatura może jeszcze gdzieś istnieć. Rouveres wyglądał jak typowy kolonialny wrak ludzki z dziewiętnastowiecznych powieści przygodowych. Mógł być zrujnowanym plantatorem, przemytnikiem dzieł sztuki albo byłym oficerem wojsk kolonialnych w Indochinach...

Nie był wprawdzie wcale taki stary, ale lata picia należałoby zaliczyć mu podwójnie lub nawet potrójnie. Pięćdziesięcioletni starzec o szarej cerze i prawie łysej czaszce. Marc zwrócił uwagę na jego rozpięty rozporek i zapięte krzywo guziki przy koszuli. Piękny model eksportowego Francuza.

Marc przedstawił się, potem zaczął w sposób możliwie najbardziej ogólny.

- Co pan może mi powiedzieć o Reverdim?

- Dużo rzeczy - powiedział Rouveres z zadowolonym uśmiechem. - Jestem z pewnością najlepszym specjalistą od tej sprawy w całym Phnom Penh. Niestety, nie mogę spędzać życia, udzielając informacji przyjeźdnym.

- A więc?

Rouveres był wyraźnie zadowolony.

- Odpowiem na trzy pytania. Wybór należy do pana. Jak w bajkach dla dzieci. - Kiwał głową i wymawiał każdą sylabę z osobna. - Będę dobrym dżinem ukrytym w lampie.

Dobry dżin miał takie worki pod oczami, że Marc poczuł nagle ochotę, by je nakłuć strzykawką tylko po to, żeby zobaczyć, jaki zawierają płyn. Zresztą zgadnąć nie było trudno: albo whisky, albo koniak...

Skupił się, żeby znaleźć dobre pytanie, najpożyteczniejsze. Powiedział niespodziewanie dla siebie:

- Chciałbym zobaczyć zdjęcie.

- Zdjęcie?

- Portret Lindy Kreutz. Za życia.

Prośba była absurdalna. Widział już twarz ofiary, nic mu to nie da. Ale miał ochotę poznać ją lepiej.

- Żaden problem.

Rouveres przelazł przez stos starych pecetów i wypatroszonych foteli jak brodzący w bagnie rybak w długich gumowych butach. Zdołał dotrzeć do przeciwległej ściany, przy której stała metalowa szafa. Otworzył ją i zza drzwi ukazały się półki wypełnione kopertami z szarego papieru.

Przerzucił cały stos i wyciągnął zdjęcie. Marc na stojąco przyglądał się fotografii. Pamiętał pierwsze zdjęcia, wydobyte skądś przez Vincenta, na wpół zatarte i jakby zamazane ziarnem druku. Tym razem miał w ręku wyraźną i kolorową odbitkę, formatu 21x29,7.

Linda Kreutz pozowała na nim z młodym mnichem w jaskrawopomarańczowym stroju. Uśmiechali się oboje i podobieństwo tego uśmiechu łączyło ich ze sobą jak jedwabna wstążeczka dwa kwiaty. Miała na sobie obszerne bufiaste spodnie, skórzane sandały, biały sweterek. Wzruszający, młodziutki luzak.

Ale zwłaszcza jej twarz budziła prawdziwą czułość.

Błada cera obsypana drobnymi piegami. Ruda, lekka grzywa spadała jej na twarz. Podobna była do wesołego i nieśmiałego zwierzątka. Wyglądała też w tej chwili na kogoś, kto jest szczęśliwy. Marc zaczął sobie wyobrażać marzenia tej dziewczyny, która w wieku dwudziestu dwóch lat zatrzasnęła za sobą drzwi rodzicielskiego domu w Hamburgu. Wyruszyła pewnie do Azji w poszukiwaniu przygód, przeżyć mistycznych, ale także wielkiej miłości...

Rouveres skomentował swym bezbarwnym głosem:

- To jest zdjęcie, które znaleziono w jej rzeczach w hotelu w Siem Reap.

Marc nagle zrozumiał, że jej radosny wyraz twarzy był skierowany do obiektywu. Do kogoś, kto robił zdjęcie. Dreszcz przeszedł go na myśl, że to może sam Reverdi zrobił tę fotografię w ruinach Angkoru.

- Czekam na pańskie drugie pytanie - ponaglił go Rouveres.

Marc chciał zadać jakieś przydatne pytanie, które zbliżyłoby go do jego tajemnicy, do Znaków Wieczności. Ale rozmyślił się; te słowa, chociaż nie potrafił ich rozszyfrować, były jego mocnym punktem, osobistym atutem. W żadnym razie nie powinien o nich rozmawiać z nieznajomym.

Przypomniał sobie ostatnie polecenie Reverdiego: „Szukaj fresku”. Te słowa nie dotyczyły może prawdziwego ornamentu, namalowanego lub rzeźbionego, lecz raczej

rysunku zadanych ran. Zabójca podpowiadał mu, by przypatrył się okaleczeniom Lindy Kreutz, żeby w końcu zrozumiał, co to są Znaki... Zanim zdążył zastanowić się dobrze nad tą hipotezą, powiedział:

- Interesują mnie jej rany.

- Proszę precyzyjniej sformułować pytanie.

- Czy rany Lindy Kreutz były symetryczne? Czy można było zauważyć coś w rodzaju... rysunku na jej ciele?

Rouveres, wciąż tkwiąc po kolana w stosie zepsutych komputerów i rozwalonych krzeseł, zastanowił się.

- Ciało leżało kilka dni w rzece - powiedział wreszcie. - Było w bardzo złym stanie.

- Ran woda nie mogła zatrzeć.

- Woda nie, ale węgorze tak.

- Węgorze?

- Ciało Lindy było nafaszerowane słodkowodnymi węgorzami. Wślizgnęły jej się do brzucha przez usta, krocze, no i przez rany. Ciało, skoro zależy panu na szczegółach, było... wypatroszone od wewnątrz. Ostatnie pytanie?

Znów impas. Miał już tylko jedną szansę wydobywania z pijaka jakiejś rewelacji. Rouveres zdawał się wyczuwać zakłopotanie Marca. Pogrzebał w stosach gazet i wyciągnął kilka numerów „Cambodge Soir”.

- Proszę - powiedział, podając mu je. - Tu ma pan serię artykułów, które poświęciłem tej sprawie. Odkrycie ciała. Aresztowanie Reverdiego. Fakty wykryte przez śledztwo. Wszystko tu jest. Zanim zmarnuje pan swoją ostatnią szansę, niech pan to wszystko przeczyta. Czemu by nie miał pan wrócić tu jutro?

Marc nie chciał tracić czasu. Chwycił egzemplarze gazety i wpatrzył się w nie intensywnie, jakby jednym rzutem oka mógł się zapoznać z całą zawartością. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Niech pan mi poda odpowiedź - zażądał.

- Jak mam to rozumieć?

- Odpowiedź wedle pańskiego wyboru. Taką, która by mnie naprawdę posunęła naprzód.

Rouveres uśmiechnął się szeroko. Worki pod oczami zmarszczyły się.

- Pan szachruje, staruszk.

- Niech pan postąpi tak, jakbym postawił panu pytanie.

Redaktor wyprostował i pochylił się z lekka w tył, jakby chciał lepiej przyjrzeć się



propozycji. Milczał dłuższą chwilę, wreszcie powiedział cicho:

- Prawdziwą tajemnicą tej sprawy jest fakt uwolnienia Reverdiego. Wyniki śledztwa dowodziły jego winy. Skąd więc uniewinnienie?

Marc nie spodziewał się takiego prawniczego podejścia do sprawy. Pamiętał zastrzeżenia niemieckiego adwokata: niekompetencja sędziów, proces poprowadzony byle jak, sytuacja polityczna. Zaryzykował przypuszczenie.

- Z powodu ogólnej sytuacji w Kambodży?

- Tak. Ale nie tylko. Reverdi został uniewinniony dzięki zeznaniom pewnego świadka.

- Ma pan na myśli alibi?

- Nie, rękojmia moralna. Pewna ważna osobistość stanęła w jego obronie.

Marc nigdy o tym nie słyszał.

- Kto?

- Księżniczka. Członek rodziny królewskiej.

- Księżniczka Vanasi?

Imię samo wyrwało mu się z ust. Ze wszystkich książęcych osobistości, z jakimi się zetknął, to ona zrobiła na nim największe wrażenie. Żywa legenda. Rouveres uśmiechnął się z podziwem. Marc wyjaśnił:

- Robiłem kilka lat temu reportaż o rodzinie królewskiej.

Rouveres pokiwał głową, jego mizerne włosy poruszyły się na łysinie.

- Poznała Reverdiego w dolinie Angkor podczas prac konserwatorskich. Zgłosiła się na świadka. Opisała go jako człowieka dobrej woli, wykształconego, szlachetnego. Ten portret zmienił nastawienie sędziów. Było to coś w rodzaju amnestii królewskiej. Niech się pan z nią spotka: jej punkt widzenia jest dość... nieoczekiwany.

## 48.

Czternasta.

Zaraz po otwarciu bramy Pałacu Królewskiego Marc zapłacił za bilet wstępu. Najlepsza osłona: wejść w skórę anonimowego turysty. Kupił sobie nawet torbę, coś w rodzaju chlebaka, żeby wyglądać jeszcze bardziej niewinnie.

Nie miał wyboru. Nie wspomniał Rouveres'emu o pewnym szczególe: w oczach rodziny królewskiej był spalony. Jak zawsze, publikując swój reportaż, nie dotrzymał obietnicy zachowania dyskrecji. Jego nazwisko mogło jeszcze zalegać na jakiejś czarnej liście służby protokołu. Wymyślił więc zuchwały plan, by spotkać księżniczkę mieszkającą w prywatnej części pałacu.

Marc poszedł za resztą zwiedzających wzdłuż wąskiej alei pod gołym niebem aż do wielkiej bramy w murze otaczającym pałac. Za nim rozciągała się ogromna, pokryta trawnikami esplanada, na której stały świątynki i złożone pawilony o dachach lśniących w słońcu, jakby były posypane świetlistym pyłkiem.

Wyprzedził innych turystów, którzy zatrzymywali się przy każdej pagodzie, i znalazł się w ażurowej galerii.

Oślonięty przed słońcem doszedł do wież pawilonu Chanchaya, gdzie miał nadzieję spotkać księżniczkę. Ta część pałacu była odgradzona murem. Wciąż idąc wzdłuż galerii, szukał jakiegoś przejścia, luki w murze.

Zobaczył uchylone podwójne drewniane drzwi, zagrodzone łańcuchem. Dwóch żołnierzy stało przy nich na straży. Marc ukrył się w cieniu kolumny i uzbroił w cierpliwość. Był pewien, że wcześniej czy później czujność strażników osłabnie.

Usiadł przy filarze i udał, że czyta przewodnik. Pozwolił błędzić myślom. Nie chciał wciąż analizować swojego śledztwa: za dużo pytań, za mało odpowiedzi. Nie wiedział nawet, dlaczego chce spotkać się z księżniczką Vanasi. Może po prostu dla przyjemności.

Zamknął oczy i zaczął przypominać sobie tę kobietę.

Pierwsze z nią spotkanie było chwilą niezapomnianą.

Vanasi została wychowana przez swoją cioteczną babkę, królową Sisowath Kossomak, która opiekowała się zespołem „niebiańskiego tańca”. Dorastając w pobliżu pawilonu Chanchaya, gdzie ćwiczyły tancerki, dziewczynka zapaliła się do sztuki tańca i

wykazała do niej wyjątkowy talent. W wieku szesnastu lat została primabaleriną baletu. Więcej niż artystką: czymś w rodzaju bóstwa, pośredniczki między rodziną królewską a bogami. W tym czasie nazwano ją Apsara, tak jak główne bóstwo kosmogonii khmerskiej.

Potem, w roku 1970, doszło do pierwszego zamachu stanu, po którym musiała udać się na wygnanie, najpierw do Chin, potem do Korei Północnej. Tymczasem Czerwoni Khmerzy zdobyli władzę i wymordowali połowę ludności kraju. Wiele lat później przeniosła się nad granicę tajlandzką, do obozów uchodźców, by wśród swojego ludu uczyć tańca. W latach dziewięćdziesiątych jej rodzina mogła wrócić do Phnom Penh. To wtedy poznała Reverdiego.

Nazwisko zabójcy wyrwało Marca ze wspomnień. Spojrzał machinalnie w kierunku drzwi. Od jego przyścia minęła godzina. Strażników już nie było. Chwycił torbę, zerwał się z miejsca i wszedł do zakazanych ogrodów.

Dziedziniec, na który się dostał, był porośnięty kwitnącymi krzewami. Lekki szmer polewaczek zastąpił szmer głosów turystów. Do pawilonu Chanchaya było zaledwie pięćdziesiąt metrów.

Skierował się w stronę gigantycznego kamiennego okapu, z którego strzelały w górę iglice i złote rogi. Wchodząc po schodach, doznał tego samego szoku co za pierwszym razem. Przestrzeń, otwarta na wiatr i słońce, była zupełnie pusta: goła marmurowa powierzchnia, poprzecinana skośnymi cieniami cienkich kolumn, przykryta malowanym plafonem przedstawiającym bogów i demony khmerskiego tańca. Zza tarasu dochodziły odgłosy samochodów, jadących leżącym poniżej bulwarem de Gaulle'a.

Marc szedł dalej. W głębi stał na ołtarzu wielki Budda, wokół niego snuł się dym z pałeczek kadzidła. W przesianym światłem powietrzu unosił się zapach miedzi pomieszany z cierpką wonią drewna sandałowego. Podszedł jeszcze bliżej: u stóp posągu leżały na trójnogach metalowe maski tancerek. Wszystko zdawało się tonąć w złotobrazowym miłosierdziu Buddy.

Usłyszał po prawej jakiś szelest.

Była tu, oparta łokciami o balustradę, ze wzrokiem wpatrzonym w ruch uliczny.

Krucha, drobna, owinięta w długą błękitną tkaninę. Marc pamiętał, że błękit to barwa królewska. Księżniczka była jedyną osobą która mogła nosić ten kolor w obrębie pałacu. Ale szczególnie zwracała uwagę faktura tkaniny: był to szorstki jedwab lamowany złotem, którego każda załamująca się fałdka dawała oszczędny, niemal matowy odbłask.

Marc chrząknął. Księżniczka obejrzała się przez ramię, ale nie zdradziła żadnego zdziwienia.

- Wasza Wysokość - powiedział po francusku, wykonując komiczny rewerans. - Pozwoliłem sobie... To znaczy, nie wiem, czy Wasza Wysokość mnie sobie przypomina... Jestem dziennikarzem. Nazywam się...

- Pamiętam pana.

Stała do niego przodem i oparła się o balustradę, splatając ręce za plecami.

- Obiecał nam pan długi artykuł w „Figaro Magazine”.. Odnależliśmy się we „Voici”, razem z listą codziennych wydatków naszej rodziny. Artykuł nosił tytuł „Pałacowe życie w Kambodży”.

Mówiła po francusku doskonale, bez śladu akcentu. Marc uklonił się znów.

- Proszę nie mieć do mnie żalu. Ja...

- Czy wyglądam, jakbym miała do pana żal? Czemu pan znów przyjechał? Napisać jeszcze jeden artykuł o moim życiu prywatnym?

Marc nie odpowiedział. Vanasi była taka sama jak w jego wspomnieniach. Rysy jak wryte w korze, niewzruszone. Oczy bardzo czarne, leciutko skośne. Wyraz twarzy miała poważny, trochę nieobecny. Ale przez jej czarne źrenice przelatowały ognie, błyskawice wśród chmur.

- Interesuje mnie Jacques Reverdi, zbieram materiały na jego temat - powiedział, czując, że powinien zmierzać prosto do celu. - Wasza Wysokość na procesie zeznawała na jego korzyść.

Potwierdziła ruchem głowy. Zdawała się coraz mniej zdziwiona. Marc mówił dalej:

- Wracam z Malezji, gdzie Reverdi jest więziony za zabójstwo młodej kobiety. Nie ma żadnej wątpliwości, że jest winny. I myślę, że nie ulegało to wątpliwości również tu, w Kambodży.

Milczała, przyglądając się z roztargnieniem ogrodowi za plecami Marca. Spróbował ją sprowokować.

- Gdyby nie został uniewinniony w dziewięćdziesiątym siódmym roku, pewna kobieta w Malezji żyłaby jeszcze.

Suknia spływała jej do samych stóp i gdy zrobiła kilka kroków wzdłuż balkonu, wyglądała, jakby ślizgała się po marmurze.

- Pan pamięta moje dzieje, prawda?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi.

- Miałam wszystko, a potem wszystko straciłam... - Uśmiechnęła się, jej ręka gładziła delikatnie balustradę. - W pewnym sensie była w tym jakaś równowaga. Byłam księżniczką, primabaleriną, niemal bóstwem. Poznałam królewski przepych, życie gwiazdy. Potem

znalazłam się na wygnaniu. Smutek Pekinu. Niesamowity reżim Korei Północnej, gdzie mój wuj kręcił filmy.

Marc pamiętał to niesłychane dziwactwo. Poza polityką księżę Sihanouk miał tylko jedną namiętność - kino. Kręcił filmy, romantyczne melodramaty, zmuszał do grania w nich ministrów, generałów, zachodnich ambasadorów, których obsadzał w rolach „cudzoziemców”. Vanasi mówiła dalej:

- Zetknęłam się z morderczym szaleństwem. Z ludobójstwem Czerwonych Khmerów. Nie było mnie w kraju, nie mogłam tego widzieć, ale wiedziałam, co się tu dzieje. Wypędzenia. Głód. Praca przymusowa. Niemowlęta zabijane bagnietami, mężczyźni i kobiety zatłukiwani na śmierć kijami, porzucani w bagnach. W roku siedemdziesiątym dziewiątym przyjechałam do obozów nad granicą tajlandzką. Chciałam być blisko mojego ludu. Opowiadano, że wróciłam, bo chciałam uczyć tańca, rozbudzać świadomość, ratować naszą kulturę. To nieprawda: przyjechałam, żeby umrzeć wśród swoich. Było nas blisko milion, zagubionych w dżungli, bez opieki medycznej, żywności. Kto miał wtedy głowę do khmerskich tańców? Dopiero później, w latach dziewięćdziesiątych, wróciłam do Kambodży i zajęłam się ratowaniem naszej kultury, zwłaszcza tu, w Angkor. Jacques Reverdi pracował z saperami rozminowującymi teren.

Zamilkła, a po chwili powiedziała rozmarzonym głosem:

- Całymi wieczorami mówił mi o nurkowaniu bezdechowym. O swoich zanurzeniach w głębokich morzach, o pamięci koralu, o inteligencji morskich ssaków. Pasjonowała go też architektura świątynna. Był to ktoś... rzadki.

Marcowi stanęły przed oczami precyzyjnie rozrysowane rany Pernille Mosensen. Przypomniały mu się węgorze, które wślizgnęły się przez rany Lindy Kreutz. Jak ta kobieta mogła być do tego stopnia zaślepiona?

Dodała sucho:

- Wystarczyło, że opowiedziałam to wszystko na procesie, by oskarżenie się załamało. Nie mam tu nic do dodania.

- Myślę, że to zwłaszcza obecność Waszej Wysokości zaważyła na wyroku. Fakt, że księżniczka pojawiła się osobiście, by wziąć w obronę oskarżonego.

- Nie. Zarzuty nie miały wystarczających podstaw. Nie było bezpośrednich dowodów. Dopóki istnieją wątpliwości, dopóty nie można skazać człowieka.

- A teraz, co Wasza Wysokość o tym myśli?

Spojrzała w kierunku bulwaru. Odgłosy miasta nasilały się w świetle.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że on to zrobił.

- Został schwytany na gorącym uczynku. W Papanie znaleziono go przy ciele.

- W takim razie nie był sam.

Marc zadrżał.

- Proszę?

- Jest jeszcze ktoś.

Marcowi zaparło dech w piersiach. Oparł się o kolumnę. Księżniczka podeszła do niego i powiedziała głośniejszym głosem:

- Ktoś dyktuje mi, co ma robić. Albo działa zamiast niego. Jakaś potępiona dusza mająca na niego przemożny wpływ. Nikt mi tego nie wybijie z głowy. Jacques Reverdi nie może być jedynym winowajcą.

Marc był oszołomiony. Pod jego czaszką białość słońca przekształciła się w granatowy poblask, wydobywając nagle przepaści dotąd pograżone w ciemnościach. Przypomnił sobie, że Jacques zawsze mówił o mordercy w trzeciej osobie. A jeśli ów „On” istnieje naprawdę?

Pomyślał znów o wielkim nieobecny w tej całej historii: o ojcu Reverdiego. A jeśli jeszcze żyje? Jeśli to on jest mordercą, jak przypuszczała doktor Norman, i istnieje w rzeczywistości, nie tylko w wyobraźni pletwonurka?

Marc odrzucił natychmiast te hipotezy. Musi się trzymać własnych tropów i wskazówek samego Reverdiego.

Vanasi szła w kierunku ogrodów. Marc pobiegł za nią.

- Wasza Wysokość... Ostatnie pytanie.

- Jakie?

- Czy wiadomo, dlaczego Reverdi interesuje się motylami?

Zatrzymała się.

- Motylami? Kto to panu powiedział?

- No cóż, mnie... Wydawało mi się, że w dżungli...

- Motyle? Nigdy w życiu. Pasjonowały go pszczoły.

- Pszczoły?

- Pszczoły i miód. Zwłaszcza jakiś bardzo rzadki gatunek. Nie pamiętam nazwy.

Marc opadło nagle kilka obrazów. Tubylcy siedzący w kucki na poboczu drogi i oferujący miód w butelkach po coca-coli. Taras Wong-Fata i flakony ze złocistobrazowym płynem. Miał prawdę wprost przed oczami i nie umiał jej dostrzec.

„Znaki, które Latają i Obradzają”.

„Szukaj w niebie”.

Pszczoly.

Miód.

Spytał z zaschniętym gardłem:

- Gdzie kupował miód?

- Nie jestem pewna... Chyba w Angkor. Jest tam jakiś słynny pasiecznik. Nazywają go  
Złotym Mistrzem.

Wszystkie punkty łączyły się w doskonałą figurę geometryczną.

Miód.

Angkor.

Linda Kreutz.

Marc pożegnał się pośpiesznie z księżniczką i ruszył biegiem, przyciskając do boku chlebak. Przez chwilę miał ochotę przeskoczyć przez balustradę i wylądować wprost na bulwarze.

## 49.

Linie krajowe, lot do Siem Reap.

Duchota potworna.

Czterdzieści minut z oczami wbitymi w notes, zapisywanie wniosków. Albo raczej hipotez.

Mordercę fascynował miód. Otóż krew Pernille Mosensen była anormalnie nasycona cukrem. Prawdopodobnie Jacques Reverdi zmuszał swe ofiary do pochłaniania wielkich ilości miodu. Dlaczego? Marc nie potrafił powiedzieć, ale przeczuwał, że ta substancja odgrywała w obrzędzie rolę oczyszczającą.

Niejasno snuły mu się jeszcze po głowie słowa księżniczki Vanasi o „rzadkości” Reverdiego. Jej panteistyczna wypowiedź. Miód był częścią tego świata. Zanotował: „Nie pije krwi swych ofiar. Daje im miód, żeby je oczyścić, przybliżyć do natury. Ocukrzona krew otacza ofiarę, tak jak płyn owodniowy osłania embrion”. Jacques Reverdi przybierał coraz bardziej w jego oczach postać „mordercy ekologicznego”.

Ekolog.

I mistyk.

Marc dopatrywał się w samej naturze miodu powinowactwa z pewnego rodzaju poezją religijną, pradawną, którą dobrze znał, bo zajmował się nią, kiedy pisał pracę magisterską. Była to poezja, która mogła przybierać dwoiste, erotyczne znaczenie. Najsłynniejszym przykładem była Pieśń nad Pieśniami. Marc zanotował u dołu stronicy cytaty z niej:

„Plastrem płynnego miodu wargi twoje, oblubienico!”.

Znał na pamięć ten biblijny tekst, w którym stale powtarzały się przerośnięte związki z płynami: krwią, winem, mlekiem, miodem... A także z zapachami występującymi w przyrodzie: mirry, lilii, kadzidła... Podobnie Reverdi uświęcał swój związek z ofiarą za pomocą substancji organicznych, pierwotnych.

Był to akt miłosny.

Obrzęd zarazem kosmiczny i erotyczny.

Marc pisał drżącą ręką. „Dowiedzieć się też o procesy fizjologiczne związane z miodem”. Ile go trzeba wchłonąć, żeby krew osiągnęła taki wskaźnik nasycenia glukozą jak w wypadku Pernille Mosensen? Jak długo się ją trawi? Czy Reverdi więził swoje ofiary przez



kilka dni, czy tylko przez kilka godzin?”.

Musiał zwłaszcza dowiedzieć się, dlaczego Reverdi łączył ze sobą pojęcia „znaków” i „wieczności”. Co mają wspólnego pszczoły i nieskończoność?

Jedno było pewne: te słowa maskowały jakiś akt okrucieństwa. Miód wiązał się z konkretną torturą. Wong-Fat, handlarz owadami, powiedział: „Teraz, kiedy wiem, że Reverdi jest zabójcą, domyślam się, co robił dziewczętom”. Otóż Chińczyk nie wiedział o słodzonej krwi, bo prasa o tym nie pisała. A jednak zrozumiał, jaką rolę odgrywa miód w ofercie. Dlaczego?

Dźwięk podwozia szorującego o beton lotniska przeniknął go niczym promień śmierci.

\*

Siem Reap było logicznym przedłużeniem Phnom Penh.

Przynajmniej sądząc z tego, co Marc mógł zobaczyć w środku nocy. Wysokie drzewa o obwisłych koronach. Szary pył nabierający w świetle reflektorów samochodu srebrzystego odcienia. Budynki płaskie, zwarte, surowe.

Zatrzymał się w centrum w pierwszym lepszym hotelu. Golden Angkor Hotel. Piętnaście dolarów za noc. Śniadanie wliczone w cenę. Klimatyzacja. I nieskazitelna czystość.

W pokoju zobaczył z ulgą jasne ściany, idealnie czyste linoleum. Pachniało środkami czystości. Zupełnie jak w galerii sztuki współczesnej. Rolę wystawionej rzeźby pełnił wiszący u sufitu ogromny wentylator.

Wnętrze czyste.

Wnętrze sprzyjające myśleniu.

Tego właśnie było mu trzeba.

\*

Wyciągnął się na łóżku i znów zagłębił w rozmyślaniach. Pytania bez przerwy kłębiły mu się pod czaszką. Przede wszystkim czy powinien wysłać e-maila do Reverdiego? Nie. Lepiej poczekać, co przyniesie wyjazd do Angkor i spotkanie z pszczelarzem. Dopiero wtedy Elisabeth dowiedzie, że potrafiła wykorzystać swoją drugą szansę.

Zgasił światło. Zaczęły go dręczyć inne pomysły. Na przykład to, co powiedziała Vanasi o jakimś drugim człowieku. Zasiała mu w głowie wątpliwości. Marc nie mógł wykluczyć koncepcji współnika.

Znów stanęła przed nim tajemnica ojca. Czy to możliwe, by gdzieś istniał jakiś zbrodniczy ojciec, który wpływał na Reverdiego, nakłaniał syna do popełnienia tych wszystkich odrażających czynów, czy wręcz pomagał mu w tym? Królewska tancerka

powiedziała mu: „Jacques Reverdi nie może być jedynym winowajcą”. A doktor Alang bąknął, mając na myśli kasetę wideo: „Mówi o zabójstwie, jakby był jego świadkiem, a nie sprawcą”. Marc jeszcze słyszał cienki głosik Reverdiego przemienionego w dziecko: „Schowaj się szybko, tato idzie...”.

Marc potrząsnął mocno głową. Nie. To niemożliwe. Nie może przyjąć tej absurdalnej tezy. Raz już oblał się zimnym potem, kiedy wyobraził sobie, że szurnięty adwokat, ten cały „Jimmy”, jest narzędziem Reverdiego. Nie będzie teraz wymyślał idącego w ślad za nim diabolicznego ojca...

Zapędził wszystkie swoje majaczenia w jakiś zakątek głowy i zamknął oczy z tą uspokajającą myślą:

Jacques Reverdi jest sam.

A jego jest dwoje, licząc Elisabeth.

## 50.

Nazajutrz rano Marc wynajął skuter. Do ruin Angkor miał tylko pięć kilometrów. Przemierzył całe Siem Reap, wielkie prowincjonalne miasto, niczym się niewyróżniające, po czym dojechał do szlabanu, gdzie pobierano opłatę za wjazd na teren badań archeologicznych.

Zanim dostał się do środka, zafundował sobie azjatyckie śniadanie: dużą miskę ciepłych klusek z kawałkami wołowiny i wiórkami zimnej marchewki. Pokrzepiony tym zapłacił myto zaspanym strażnikom. W przejściu zapytał o pszczelarza. Mężczyźni pokiwali głowami, unosząc kciuki do góry: *Honey very good...*

Marc ruszył dalej szosą. Była idealnie prosta i prowadziła przez szare zarośla. Bez żadnych skrzyżowań ani zakrętów, po prostu betonowy pas wycięty w puszczy, by dowieźć ludzi „tam”.

Mijał chłopów na rowerach, zgiętych pod snopami liści palmowych; lepianki, w których sprzedawano benzynę w butelkach po whisky; słonie przygotowywane do ciężkiego dnia pracy przy przejażdżkach turystycznych. Przyglądał się zwłaszcza wielkim srebrzystym drzewom, których nazwy też wyczytał w swoim przewodniku: figowce, drzewa kapokowe, bananowce...

Wiraż go zaskoczył: był to raczej kąć prosty. Dalej droga prowadziła wzdłuż nieruchomej rzeki pokrytej nenufarami. Marc zatrzymał się i zapatrzył w stojącą wodę. Żadnego drogowskazu.

Żadnego przechodnia. Czysto intuicyjnie poczuł, że coś się rysuje za linią drzew i pierwszym meandrem rzeki.

Wrzucił bieg i ruszył w tamtą stronę. Droga była coraz bardziej sucha i zapyłona. Małe listki zaścieniały grunt. Terkot motoru mieszał się z ich szelestem na asfalcie. Marc co chwila spoglądał ku brzegowi, oczekując, że wkrótce coś się pojawi.

I nagle zobaczył sterczące nad powierzchnią nenufarów i zielonymi frędzlami listowia legendarne wieże Angkor Wat: pięć kaczanów kukurydzy o cyzelowanych konturach, ustawionych w wachlarz, które stały się w zbiorowej świadomości absolutnym symbolem świątyń narodzonych w puszczy.

W pierwszej chwili Marc nie uwierzył własnym oczom. Jak zawsze w zetknięciu z

jakimś aż nazbyt znanym widokiem nie mógł odnaleźć punktów orientacyjnych. Nie rozpoznawał obrazu, który miał w głowie. Wszystko tu brzmiało fałszywie. Nic mu się nie zgadzało. Ale niemal natychmiast opanowało go przeciwne uczucie: całe otoczenie wydało mu się naturalne, swojskie, jakby zawsze żył w sąsiedztwie tych budowli.

Nie zatrzymał się. Wedle planu miał jeszcze przed sobą długą drogę do Bajon, innej słynnej świątyni, przy której pasiecznik trzymał ule. Jechał dalej tą samą drogą, wciąż prostą, wciąż nagą, wiodącą wzdłuż rzeki.

Po dziesięciu minutach za kamiennym mostem objawiły mu się monumentalne wrota z rzezbami wojowników i smoków po bokach. Ciężki ostrołuk z szarozielonych kamiennych bloków był zwieńczony ogromną pogodną twarzą, a z jej uśmiechniętych ust zdawały się wypływać, niczym parująca mgiełka, mądrość i łagodność.

Po drugiej stronie nie było miasta, tylko znowu dżungla. Marc jechał dalej. Rozmiary całego kompleksu były zawrotne. Dżungla, wysoka, powietrzna, ciągnęła się w nieskończoność. Z rozwianym włosiem, wdychając przesycone słońcem powietrze, Marc rozkoszował się pejzażem. Podziwiał wysokie popielate pnie, ogromne korony drzew, które otwierały się przed nim niczym dłonie w powitalnym geście.

Nieco dalej, u końca drogi, drzewa zdawały się nieruchomieć. Marc myślał, że to jakiś efekt świetlny. Ale nie: w miarę jak się zbliżał, szczyty drzew przestawały się oddalać, liście już się nie poruszały. Układały się teraz w proste, w krzywe, w ornamenty.

Kamienne. Pierwsza świątynia, wyciosana tuż przy puszczy, była w pełni widoczna. Wieże i tarasy wrzynały się w głąb zieleni. Nagle Marc ujrzał twarze. Twarze na powierzchni dżungli... Każda krecha laterytu, każdy blok piaskowca przedstawiał jakieś czoło, spojrzenie, uśmiech. Świątynia zbliżała się do niego jak procesja bogów, spokojna i powolna.

Był na miejscu. Przed świątynią Bajon, zwaną „lasem twarzy”. Marc objechał ją dookoła. Na trzecim boku zauważył w górze schodów rzeźbiony mur. Zsiadł ze skutera i podszedł bliżej, przeskakując setki zwałonych i rozrzuconych po ziemi bloków kamiennych.

Ta fasada była niesamowicie skomplikowana: kilka tarasów wznosiło się piętrami, zdobiło je dziesiątki twarzy, każda o innym wyrazie, spojrzeniu, inaczej zwieńczona. W niszach stały tancerki, od ścian odcinali się rycerze. Wszystko wyciosane, wyszlifowane, cyzelowane.

Marc, wciąż ze swym chlebakiem turysty, myślał o artystach, którzy wyrzeźbili te cuda. Miał wrażenie, że wnika w ich mózg. Jakby każdy szczegół, każdy załom muru ujawniał jakiś aspekt ich świadomości, pragnień, obsesji. Ta refleksja przypomniała mu Reverdiego i jego nocne imperium.

„Szukaj fresku”.

To było miejsce, które on mu wskazywał. Chodziło o te płaskorzeźby w ruchu, z których żołnierze spoglądali na gospodarstwo pszczelarza.

Tak, był tego pewien, miód znajdował się niedaleko.

# 51.

Marc odnalazł farmę o pięćdziesiąt metrów dalej na osi płaskorzeźb za kępą wysokich drzew kapokowych. Dwa brudne budynki ustawione w kształcie litery L z dachami obsypanymi martwymi liśćmi. Tablica głosiła dumnie: LABORATORIUM PUSZCZAŃSKIE. Po lewej stało na palikach kilkadziesiąt drewnianych skrzynek. Były to ule. Wokoło bzykały chmary pszczół.

Mali chłopcy, zwinni jak dzikie koty, tańczyli, kręcili się, biegali między rzędami uli, ścigając się z owadami. Wśród tej hordy Marc zauważył sylwetkę nie wyższą od innych, ale na oko o wiele bardziej wiekową. „Złoty Mistrz” - przydomek pasował idealnie do jego wyglądu. Wynędzniały szkielet, głowa owinięta wytartym sarongiem poczerwieniałym od laterytu. I jeszcze słomkowy kapelusz, z którego zwisał strzep zielonej siatki do ping-ponga.

Mężczyzna podszedł do Marca i uchylił swej woalki, ukazując pod nią spaloną słońcem pomarszczoną twarz. Dzieci szły przy nim. Jeden z chłopców miał na sobie buciory bez sznurowadeł, inny był owinięty w marynarkę z imitacji tweedu, przepasaną sznurkiem, jeszcze inny miał nałożony na gołe ciało płaszcz nieprzemakalny. Wszystkim przed oczami wisiały takie same zielone siatki. *Los Olvidados* w wersji azjatyckiej. Doszedłszy do Marca, podnieśli je jednym ruchem i spojrzeli na niego jednakowymi sprytnymi oczkami.

Marc przedstawił się po angielsku. Pasiecznik musiał rozpoznać jego akcent i odpowiedział po francusku. Był to francuski starej szkoły.

- Bardzo mi miło, proszę pana... Nazywam się Som.

W jego twarzy przypominającej sosnową szyszkę kpiącym blaskiem lśniły oczy. Dzieciaki wokół niego cały czas ćwierkały i popychały go. Pszczelarz wybuchnął śmiechem - połowę zębów miał złotych.

- A to synowie i wnuki. W pewnym wieku żyć bez dzieci to wyschnąć na szczapę. Bardzo smutno żyć dla samego siebie. Nie uważa pan?

Marc przytaknął bez przekonania. Ostatnie dzieciaki, z jakimi miał naprawdę do czynienia, spoczywały w szufladach z nierdzewnej sali w głębi kostnicy. Morderstwa. Pedofilia. Kazirodztwo. Zwykła sarabanda.

Chcąc uniknąć jakichkolwiek pytań o swoją rodzinę, zaczął od razu mówić o śmierci Lindy Kreutz. Cały czas wymachiwał przy tym ręką, żeby opędzić się od pszczół. Scena

przypominała mu Cameron Highlands: wciąż obracał się w tym samym kręgu.

- Ta młoda kobieta... - skrzywił się pszczelarz. - Doprawdy, to bardzo smutne. Ale ile wokół niej hałasu! Wie pan, ilu morderców jest jeszcze wciąż na wolności w Kambodży?

Marc zrobił minę stosowną do okoliczności. Spodziewał się nieodmiennego lamentu na temat khmerskiego ludobójstwa, ale mylił się: Som nie był zrzędą. Zdjął rękawice i spytał:

- Przychodzi mnie pan wypytać o Reverdiego?

Jego francuszczyzna nie była wolna od błędów, ale umysł miał całkiem sprawny. Marc przytaknął. Zauważył jednocześnie, że poplamione laterytem ręce starego pokryte były całą gamą czerwieni i brązów - od ochry poprzez różne odcienie karminu do pomarańczowego. Pszczoły i dzieci znikły. Szalały dla odmiany ptaki.

- Nie usłyszy pan ode mnie żadnych sensacji - mówił starzec, otrzepując rękawice o ramię. - Bardzo lubiłem Jacques'a. Odwiedzał mnie, kiedy pracował przy wykopaliskach w Ba-Phuon.

Marc nie był w nastroju do wysłuchiwanie nowych pochwał.

- Słyszał pan może, że w Malezji został przyłapany na morderstwie?

Starzec potrząsnął mocno swoim słomkowym kapeluszem.

Przy każdym jego ruchu rozchodził się słodkawy, lekko mdlący zapach.

- To prawda. Ale trudno mi w to uwierzyć. Zwłaszcza metoda. Taka barbarzyńska. Jacques jest człowiekiem bardzo rozważnym, bardzo... - skierował swe czerwone palce w stronę piersi - ...wewnętrznym.

Marc nie chciał kolejny raz opowiadać o rozmaitych osobliwościach zabójcy. Powiedział stanowczym tonem:

- Proszę posłuchać...

- Nie. Pan. Proszę słuchać. Jacques, wielki człowiek do medytacji. Nurkowanie przyniosło mu spokój ducha. Wie pan, jak uprawia się medytację?

- Nie.

Starzec skierował w górę palec wskazujący i zaczął nim kręcić.

- Dziś wieczór w swoim pokoju niech pan obserwuje wentylator. Łapy wirują tak szybko, że nie można ich rozróżnić. Mózg ludzki to samo. Nasze myśli pędzą za szybko. Nie można ich rozplątać.

Obracał palcem coraz wolniej.

- Ale proszę wyłączyć wentylator. Niech pan się przyjrzy, jak każde ramię zaczyna rysować się ostrzej, odzyskuje swój kształt... Niech pan zrobi to samo z umysłem. Oddzieli każdą myśl. Spojrzy na nią ze wszystkich stron. To jest rola medytacji. Przekształcić myśl w

stały przedmiot...

Marc westchnął.

- Co to ma wspólnego z Reverdim?

- Był mistrzem. Mistrzem! Potrafił odizolować myśl, rozpatrywać ją ze wszystkich punktów. Nurkowanie dało mu moc.

Uwagę Marca odciągnął dziwny szelest, słyszalny pod krzykiem ptaków. Omdlewający szelest, który, jak teraz zdał sobie sprawę, rozlegał się tu od chwili jego przybycia.

Odwrócił głowę i zobaczył za sobą na prawo od uli ścianę drobnych gęstych listków, bardzo zielonych, bardzo lekkich, które kołysały się i chwiały niczym fale. Bambusy. Częścią tego „laboratorium puszczańskiego” był również gaj bambusowy.

Chcąc się oddalić od tego szumu, podszedł do kontuaru, na którym stały lepkie, złociste butelki i słoje. Musiał wrócić do celu swej wizyty.

- To ten miód Reverdi kupował od pana?

Pszczelarz kuśtykał u jego boku.

- Nie. To miód do jedzenia. Jacques kupował miód do pielęgnowania.

- Do pielęgnowania?

Stary chwycił swoją czerwoną ręką mały flakonik.

- Miód bardzo rzadki: zabliznia rany. - Złączył palec wskazujący i kciuk i ścisnął mocno. - Zagęszcza krew. Jak wy to po francusku mówicie? Ho-me-o-sta-tycz-ny.

Marc wyjął mu flakonik z ręki. Lepił się. Pszczoły znów latały wokół niego.

- Ten miód pozwala zlepić zranione ciało?

- Najlepszy do zablizniania. Reverdi go kupował do ran, powodowanych przez korale. Zwykle zablizniają się bardzo powoli. Z tym miodem - żaden problem... Kładzie pan na ranę. Miód schnie, naczynia i skóra zamykają się. W kilka sekund. Nic lepszego!

Marc miał wrażenie, że zapada się w głąb siebie.

Wpatrywał się w błyski na szkle, jakby w dno tygla alchemika. Słowa Wong-Fata uwierały mu pamięć jak rana: „Teraz, kiedy wiem, że Reverdi jest zabójcą, domyślam się, co robił dziewczętom”. I dodał: „To przechodzi ludzkie pojęcie”.

Marc omal nie wybuchnął śmiechem.

Śmiechem przerażenia.

Tak, to przechodziło ludzkie pojęcie.

On też rozumiał teraz okrucieństwo obrzędu.



*Modus operandi.*

Jadąc pełnym gazem na skuterze, Marc wyciągał wnioski ze swego odkrycia.

Punktem wyjścia była uwaga doktora Alanga: dlaczego morderca zadał dwadzieścia siedem ran, by wykrwawić ciało, które po dziesiątym nacięciu było już zupełnie wykrwawione?

Odpowiedź: bo krew jeszcze nie wyciekła.

Reverdi po każdym nacięciu zalepiał brzegi rany miodem homeostatycznym. Każdą, nawet głęboką ranę uszczelniał płynem, który natychmiast wysychał. Dokończywszy dzieła, wypuszczał całą krew za jednym zamachem.

Jak?

Ogniem.

Przybliżając do ciała świecę lub zapalniczkę, rozpuszczał miód, którym uprzednio zlepił rany. Otwierały się wtedy i wszystka krew spływała naraz.

Marc miał dowód, że zabójca tak właśnie postępował: ślady oparzeń widoczne na zdjęciach. Alang przypuszczał, że ogień miał nie dopuścić, by krew zastygła. Mylił się: ciepło służyło do przywrócenia miodowi płynności.

Wyjaśniało to jeszcze jedną tajemnicę: obecność cukru we krwi. Alang od razu uznał, że ta krew została wzbogacona cukrem poprzez jedzenie. Tymczasem cukier i krew mieszały się na powierzchni ciała, kiedy miód rozpuszczał się w krwi wyciekającej z ran!

Marc zaciskał ręce na kierownicy. Widział drogę jak przez mgłę. Miał teraz wszystkie odpowiedzi na pytania Reverdiego. Rozumiał każdy termin, każdy przecinek jego ezoterycznego języka.

Znaki „Latające i Obradzające”?

Rany pokryte miodem i symbolicznie „zamieszkane” przez pszczoły.

Znaki Wieczności?

Nacięcia otwierające się, z opóźnieniem, ku śmierci.

Czyż Reverdi nie napisał w formie wskazówki: „Jest tylko jeden sposób, by ujrzeć wieczność - zatrzymać ją, choćby na kilka chwil”?

Tak, za pomocą miodu Reverdi powstrzymywał śmierć.

Zatrzymywał płyn życia, żeby potem uwolnić go za jednym zamachem.

I przekształcić swą ofiarę w źródło krwi.

## 52.

W jego pokoju południowe światło padało na białe ściany z nieznośną gwałtownością. Jednym ruchem zaciągnął podwójne zasłony. Półmrok uspokoił go. Zza brunatnej tkaniny wyzierała tylko pomarańczowa poświata o herbacianym odcieniu. Wyciągnął laptop z walizeczki, ale kiedy go otwierał, doznał halucynacji.

Na ścianie naprzeciwko łóżka zobaczył jak na ekranie filmowym scenę zamordowania Lindy Kreutz. Zwalił się na łóżko i nie spuszczał już wzroku z przerażającego ruchomego obrazu.

Obrzędu Reverdiego.

\*

Widział chatę.

Szałas z dachem z liści palmowych, z plecionymi ścianami. W głębi, w mroku, siedziała przywiązana do krzesła młoda kobieta. Naga. Szarpała się, ale nie była w stanie ani sama się poruszyć, ani przesunąć wkopanego w ziemię krzesła, na którym siedziała. Próbowwała też krzyczeć, ale knebel nie pozwalał jej wydać głosu. Tylko zwiewne włosy poruszały się bezgłośnie jak sztandar rozpachy.

Marc nie umiałby powiedzieć dlaczego, ale „widział” świece stojące przed nią łukiem na podłodze. Jego punkt widzenia przesunął się poziomo i ukazał mu się Reverdi, także nagi, siedzący po turecku, po drugiej stronie chwiejących się płomyków. Był pogrążony w modlitwie.

Nagle zerwał się jednym skokiem. W jego prawej ręce pojawił się nóż pletwonurka, który w świetle świec wydawał się złotą lodygą. Oparł jego czubek pod prawym obojczykiem Lindy. Skóra, ściśnięta więzami, była napęczniała i zdawała się sama zapraszać ostrze. Zagłębił je bez wysiłku.

Marc z trudem pohamował jęk.

Reverdi trzymał ostrze w ciele, a drugą ręką przybliżał do tego miejsca pędzelek lśniący miodem. Pomazał nim kontur rany. Dopiero wtedy zaczął bardzo powoli wyciągać nóż, wygładzając jednocześnie zlepione miejsce kilku dotknięciami pędzla ze słodką substancją. Kiedy poczuł, że miód schnie i zlepia ze sobą brzegi rany, wyciągnął ostrze do końca.

Nie zważając na nieme krzyki kobiety, na jej rozpaczliwą szarpaninę, zadał kolejną ranę. Nowy Znak Wieczności wzdłuż Drogi Życia. Potem zabrał się do następnej...

Marc na ścianie swego pokoju widział wszystko. Złocistobrazowe światło chaty. Chwiejny cień mordercy na wyplatanych ścianach. Dwa nagie ociekające potem ciała, razem zanurzone w delikatnej zawieszynie zmysłowości i religijności.

Nie wiedział już, czy śpi, czy czuwa. Utracił poczucie czasu. Nagle stwierdził, że ciało jest przygotowane. Pokryte nacięciami, lśniące od miodu, lecz bez jednej kropli krwi - gotowe pęknąć dosłownie i w przenośni.

Reverdi powoli odłożył swoją broń i pędzel, po czym wziął do ręki jedną ze świec. Szybko i precyzyjnie omiółł każdą z ran płomieniem, roztapiając ślady miodu. Za każdym razem na powierzchni rany tworzyły się złote bąbelki, a po chwili jej brzegi rozchyłały się, pojawiała się krew. Wszystko to działo się tak szybko, jakby morderca trzymał w ręku błyskawicę, zygzak światła.

I nagle, niczym tama pękająca pod potęgą napierającej wody, ciało Lindy Kreutz otwarło się. W niemym krzyku przerażenia młoda Niemka wytrzeszczyła oczy na widok wypływającej z niej krwi. Niesamowita powódź zalewała jej brązowe ciało. Strużki, strumienie, rzeki... Sok spływał, całe ciało ciemniało, płyn rozlewał się na matach podłogi, przekształcając chatę w przerażającą puszkę Pandory.

Marc rzucił się do toalety i wyrzygał cały swój strach, obrzydzenie, całą siłę swojej wizji. Rzygał swoją bliskością z mordercą. Rzygał mordercą, który teraz tkwił w nim. Skurcze podrywały go z podłogi. Dławił się, dusił, konał...

Padł na kolana, przyłożył twarz bokiem do muszli. Chłód fajansu zdawał się przynosić jakieś niezwykle, bezgraniczne ukojenie. Ale jego twarz wciąż płonęła. Żyły na skroniach nabrzmiały tak, że czuł, jakby mrowiły się na powierzchni skóry. Nie zmieniając pozycji, wyciągnął ramię w kierunku umywalki i na ślepo namacał kran. Puścił wodę i podstawił pod nią dłoń.

Minęły długie minuty, chłód z wolna rozchodził się po ciele. Wreszcie zdołał się podnieść. Spryskał sobie twarz i wrócił do pokoju. Upał wydał mu się nie do wytrzymania. Włączył klimatyzację, mechaniczny wentylator i dopiero w tej chwili dostrzegł poprzez zasłony, że już jest ciemno.

Jego szaleństwo trwało całe popołudnie.

Postanowił wziąć prysznic.

Żeby w pełni odzyskać przytomność umysłu.

Pół godziny później Marc leżał wyciągnięty na łóżku, umyty, uczesany i przytomny. Albo prawie. Dwudziesta. Gdyby był rozsądny, wyszedłby coś przelknąć, na przykład porządną michę ryżu. Ale na samą myśl o wzięciu czegośkolwiek do ust poczuł znów ból w żołądku. Nie, ma teraz coś lepszego do roboty. Teraz musi napisać.

Do potwora.

Do oprawcy.

Uruchomił komputer, włączył modem i usiadł ze sprzętem na łóżku. Trzeba było teraz przedstawić wnioski Elisabeth z najdrobniejszymi szczegółami. Udało jej się, zrozumiała prawdę. W zamian za to jej „ukochany” powinien jej podać nowe wskazówki.

Marc już nie mógł wypuścić zabójcy z rąk.

Postanowił pójść na całość.

Temat: ANGKOR. Wysłano czwartek, 29 maja, 20:00.

Od: lisabeth@voila.fr

Do: krw@wanadoo.com

Mój Ukochany,

omal Cię nie utraciłam i już myślałam, że oszaleję. Wróciłeś do mnie i teraz jest tak, jakby światło wypełniło mnie na nowo, zalało mnie szczęściem.

Ale Twoja nieobecność przyniosła również coś dobrego. Wywołała we mnie rozdarcie, które wymiotło z mego ducha ostatnie zanieczyszczenia i pozwoliło zajrzeć w głąb własnej duszy. Kiedy wydało mi się, że mnie opuściłeś, poczułam się naga, zagubiona, jakby oderwana od samej siebie. Zrozumiałam wtedy, że sensem mego życia jest iść za Tobą... aż do końca.

Odtąd wiem, że to poszukiwanie jest niespodziewanym darem, podróżą, która nada sens memu życiu. Poszukiwaniem, które mnie wzbogaca, porywa, oczyszcza i zawiązuje między nami niespotykaną więź.

Mój ukochany, dałeś mi nową szansę i uchwyciłam się jej oburącz. Postąpiłam wedle Twego rozkazu, wedle Twych słów.

Znalazłam angkorski fresk. Rozmawiałam ze Złotym Mistrzem, pszczelarzem, który wie wszystko o hodowli pszczół i otrzymywaniu miodu, którego Ty używasz.

Wreszcie znalazłam Drogę. Zrozumiałam, co znaczą Znaki Wieczności...

Marc pisał przeszło godzinę w tym samym namiętym stylu. Podał wszystkie najdrobniejsze szczegóły swoich poszukiwań, opowiedział o wizycie w „Cambodge Soir”, o spotkaniu z księżniczką Vanasi. Nie chciał pominąć żadnego swojego zwyczajstwa. Wiedział,

że Reverdi będzie sobie wyobrażał, jak piękna Elisabeth, w postaci Chadidzy, przemierza ulice Phnom Penh, dziedziniec Pałacu Królewskiego, ruiny Angkor Thom...

Następnie opisał to, co sobie wyobraził: nacięcia idące wzdłuż żył, szybkie zabliznienia po posmarowaniu miodem, otwieranie ran płomieniem.

Zakończywszy swoją długą epistołę, wysłał ją, nie czytając. Nie chciał nic poprawiać, zależało mu na tym, by zachować jej spontaniczność. Bardziej niż kiedykolwiek dziwił się swej zdolności wchodzenia w skórę Elisabeth. Ten płomienny ton, ten miłosny podziw przychodziły mu w sposób naturalny. I wołał nie zagłębiać się w siebie za bardzo, nie dowiadywać się, skąd wyławia te niejasne słowa...

Ale było też coś gorszego: napad majaczeń, który przeżył po południu. Przez kilka godzin był Reverdim.

Jego własna osobowość mętniała coraz bardziej. Pięćdziesiąt procent Elisabeth. Pięćdziesiąt procent Reverdiego. A gdzie był prawdziwy Marc?

\*

Trzecia nad ranem.

Nie mógł zasnąć. W ciemności, z rękami skrzyżowanymi na karku, wpatrywał się w uporczywie obracający się wentylator. Przypomnił sobie słowa pszczelarza: „Łapy kręcą się tak szybko, że nie można ich rozróżnić. Mózg ludzki to samo. Nasze myśli pędzą za szybko. Nie można ich rozplątać”.

Dla rozrywki spróbował w myślach wyizolować jedną z części śmigła. Jeśli mu się uda, może wpadnie na jakiś nowy pomysł. Starzec powiedział: „Przekształć myśl w stały przedmiot”.

Nagle wyprostował się: uderzyła go pewna oczywistość. Musi opowiedzieć światu o wynikach swoich poszukiwań. Nie mógł ich zachować tylko dla siebie.

Książka.

Musi napisać książkę.

Dokument, w którym opisałby swoją przygodę. Jedyne w swym rodzaju świadectwo zejścia do piekieł. Musi upowszechnić swoje doświadczenie, ujawnić innym tajemnicę, którą właśnie wydobywa. Niczym badacz, uczony, wyizolował złośliwy wirus. To przecież data w dziejach wiedzy ludzkiej!

W tym momencie krew zastygła mu w żyłach. Przecież, prawdę mówiąc, nie mógł nic opublikować. Nawet po straceniu Reverdiego. Z bardzo prostego powodu: oskarżono by go natychmiast o „ukrywanie dowodów przestępstwa” i „utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości”. Wyszłoby na jaw, że na własny użytek prowadził śledztwo, że zdołał

zdobyć istotne informacje, ale biernie śledził proces, nie oferując żadnego własnego wkładu.

Potępiono by jego nikczemne metody: oszustwo, kłamstwa. Zarzucono by obojętność na ludzką tragedię. Nawet nie przyszło mu do głowy podać rodzicom wiadomości na temat zniknięcia ich dzieci...

Cyniczna szmata, łajdacki dziennikarz zasługujący na ukaranie: taką sławę by zyskał.

Nie licząc tego, że już dwukrotnie został skazany, w roku 1996 i 1997, za „nękanie”, „pogwałcenie życia prywatnego” i „kradzież z włamaniem”. Ledwie uniknął pudła. Tym razem dostałby karę więzienia bez zawieszenia.

Chciał się odprężyć. Znow zaczął wpatrywać się w wentylator, kolejny raz próbował zatrzymać mentalnie jego ruch, by zobaczyć jedno z ramion. W miarę jak skupiał uwagę, czuł, że rodzi mu się w mózgu inny pomysł. Myśl jeszcze niejasna, ale gotowa wyłonić się z tunelu...

I wtedy, nagle, zrozumiał.

Powieść.

Musi napisać powieść z fabułą, która opowiadałaby prawdę, ale tak, by nikt tego nie wiedział. Wystarczy, jeśli odrzuci fakty oficjalnie znane, ujawnione przez media, a wszyscy będą przekonani, że to historia zmyślona. Tak. Napisze powieść, która będzie brzmiała wściekle „prawdziwie”, ponieważ wszystko, lub prawie wszystko, będzie w niej prawdziwe.

Jakaś fala uniosła się w nim, w środku. Coś utajonego, pogrzebanego w jego sercu od lat. Jego niespełnione marzenia o pisaniu. Jego zdławione nadzieje pisarza. Ileż to lat temu zrezygnował z napisania dzieła literackiego? Od iluż to lat pochował te plany w lamusie swych rozczarowań?

Ale dziś postanowienie zapadło.

Jego historia będzie tematem niesamowitego thrillera.

Thrillera pisanego od wewnątrz.

Pod dyktando mordercy.

## 53.

Jacques Reverdi przyglądał się ciału Hadży Elahego Tengku Numahy, członka rodziny panującej sultanatu Perak.

Chłopaka właśnie znaleziono w celi martwego.

O trzeciej rano, podczas obchodu.

Wezwano dwóch „ochotników” do przeniesienia trupa. Jacques był jednym z nich. Położyli ciało w gabinecie izby chorych, gdzie miało czekać na przeniesienie do kostnicy Szpitala Centralnego. Wyrwany ze snu doktor Gupta poprosił Reverdiego, by pilnował ciała, po czym poszedł położyć się na nowo.

Pierwsze poszlaki wskazywały na samobójstwo. Młody arystokrata powiesił się w celi na kablu od swojego telewizora. Powiesił się: Reverdi zgadzał się z tym. Ale na pewno nie z własnej nieprzymuszonej woli. Znaleziono chłopaka klęczącego na podłodze, ze złamanymi kręgami szyjnymi, z kablem zawiązanym na rurach umywalni.

Kto wiesz się, klęcząc, samą siłą woli?

Mężczyzna taki jak Jacques - może, ale na pewno nie taki dzieciak jak Hadża, syn rodziny, gdzie najmniejszy wysiłek topiono w żelatynie forsy.

Kiedy tylko znalazł się sam na sam z ciałem, Reverdi obmacał dolne kończyny trupa. Stawy nóg były miękkie, połamane. Łatwo było wyobrazić sobie scenę. Filipińczycy, nasłani przez Chińczyków za życzliwym przyzwoleniem Ramana, zaskoczyli Hadżę w celi. Zakneblowali go i zacisnęli wokół szyi kabel od telewizora, który przymocowali do rur. Potem z całej siły ciągnęli go za nogi, aż mu popękały kręgi.

Pod paznokciami ofiary Reverdi zobaczył też ślady skóry. Chłopak próbował się bronić, kiedy tamte sukinsyny go rozciągały. Jakie miał szanse przeciwko mordercom, którzy zlikwidowałiby każdego za paczkę papierosów?

Hadża raz poprosił go o ochronę.

On odpowiedział: „Zobaczy się”.

Potem o pomoc poprosił go Eric.

Odpowiedział: „Zobaczy się”.

No i właśnie - teraz widział.

Nie ruszył małym palcem w obronie tego szczeniaka.

Nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Więzienie nie działa w systemie wzajemnej pomocy czy solidarności. Jest to świat, gdzie interesy osobiste współistnieją, ale nie łączą się. Przy jakiejś okazji mogą się zbiec ze względu na wspólny cel, ale regułą jest nie wychodzić nigdy z kręgu własnej egzystencji. Logika szczurów, w której inteligencja służy wyłącznie przetrwaniu, w najprostszym sensie.

A jednak teraz wszystko było inaczej.

Korzystając z tego żalobnego czuwania w opustoszałej izbie chorych, w otoczeniu słoii z formaliną i substancjami dezynfekującymi, Jacques z pomocą swego miniaturowego elektronicznego notesu sprawdził, czy ma coś w skrzynce.

Czekał go cud: Elisabeth znalazła Drogę. Zrozumiała, co znaczą Znaki Wieczności. I pisała do niego językiem czystej miłości.

Teraz z kolei Jacques odpowiedział jej, tak jak ona, dając swobodę słowom i przekazując nowe instrukcje. Przez cały czas odczuwał niejasny niepokój. Czy dobrze robi, ufając jej tak bardzo? Te słowa, te fakty, do dziś nie wychodziły nigdy poza granice jego świadomości...

Ale nie miał wyboru.

To była jedyna droga, która mogła go połączyć z Elisabeth.

Godzinę później, przed porannym apelem, odprowadzono go do celi.

Poszedł do swojej kabiny prysznicowej i chwycił szczoteczkę do zębów.

Na końcu rączki, między włoskami, ukryte było ostrze żyłki. Mordercze, zupełnie niewidoczne ostrze. Przesunął po nim ostrożnie palcem.

Czas pomścić Hadzę.

I ofiarować daninę krwi Elisabeth.



## 54.

Niedziela, 1 czerwca, Tajlandia.

Trzynasta.

Wyspa Phuket dobrze skrywała swoje prawdziwe oblicze. Skromne lotnisko, sklepiki z pamiątkami, kolorowe budy agencji turystycznych: wszystko pachniało tropikalnie i wyspiarsko. Idealny cel egzotycznego wypadu.

W rzeczywistości Phuket była jednym z najbardziej śliskich miejsc w Tajlandii. Stolicą turystyki seksualnej. Marc wiedział, że wkracza w kolejny krąg piekła. Najpierw Malezja i krwawy rysunek na ciele, potem Kambodża i rany zlepione miodem. Co teraz odkryje w Tajlandii?

W sobotę rano, kilka godzin po wysłaniu swego listu, otrzymał odpowiedź.

Temat: TAKUA PA - otrzymano 31 maja, 8:30.

Od: krw@wanadoo.com

Do: lisbeth@voila.fr

Moja Ukochana,

czekałem niecierpliwie, byś odnalazła drogę. Naszą drogę. Tę linię, co nas łączy, rozpiętą pod światem pozorów i nędznym światem ludzi.

Lizo, ukochana moja, zdołałaś zadzierzgnąć tę więź. Zdecydowałaś się nawet wyzwolić nasz język i jestem Ci za to wdzięczny.

Dla mnie też to milczenie było prawdziwą raną...

Dzięki twym odkryciom możemy teraz zbliżyć się jeszcze bardziej. Wkrótce nie będzie już w naszym związku żadnych granic.

Ale najpierw musisz przejść trzeci etap. Powinnaś wyruszyć do Tajlandii. Dokładniej - na jedną z wysp południowego zachodu...

Marc nie złapał porannego samolotu z Siem Reap i musiał czekać do wieczora, żeby wrócić do Phnom Penh. Tam stanął znów w hotelu Renakse i czekał do następnego rana na samolot do Bangkoku. Kiedy tylko wylądował, przesiadł się, nie opuszczając lotniska, na kolejny samolot, do Phuket. Było około jedenastej rano.

Kolejny rewir myśliwski zabójcy: pletwonurek uprawiał tu swoje zajęcie przez lata. Jego wskazówki były coraz dokładniejsze.

W Phuket wynajmij samochód i jedź wzdłuż wybrzeża na północ. Przejedź przez most i dostań się na kontynent, dalej kieruj się ku granicy birmańskiej. Kiedy dotrzesz do Taksa Pa, otrzymasz nowe wskazówki.

Bardzo ważne: musisz teraz wypożyczyć telefon komórkowy, do którego podłączysz swój laptop, żeby móc otrzymywać ode mnie listy wszędzie po drodze.

Na zakończenie Reverdi przedstawiał nową wskazówkę, którą Marc musiał odnaleźć.

Metoda to nie wszystko, kochana moja. Obrzęd potrzebuje szczególnej przestrzeni. Świętego miejsca, gdzie każdy gest nabiera wyższego sensu, gdzie każdy ruch jest symbolem.

Zmierzasz teraz do jednego z tych miejsc. Do Izby Czystości. Utrzymaj kierunek. Wkrótce wkroczysz w samą przestrzeń Tajemnicy...

Droga Życia.

Znaki Wieczności.

A teraz - Izba Czystości.

Reverdi prowadził go po prostu do miejsca zbrodni. Marc wewnętrznie wprost kipiał: czuł fizycznie, że przybliżył się do mordercy, wkracza w jego królestwo.

Pięćdziesiąt metrów od lotniska, pod palmami, zauważył kilka agencji najmu samochodów. Były to zwykłe kioski z białego drewna. Wybrał suzuki caribbean, coś w rodzaju dżipa z odsuwającym dachem, pokrytego błękitnym płótnem i zaopatrzonego w klimatyzację. Wypożyczył też telefon komórkowy i na podstawie tej samej umowy wykupił abonament.

Szef agencji odprowadził go do samochodu i ostrzegł przed monsunem. Właśnie zaczynał się na północy. Marc omal mu nie odpowiedział, że nie boi się burz.

Przeciwnie - jechał w kierunku oka cyklonu.

\*

Po drodze rozmyślał o swojej powieści. Przez dwa ostatnie dni zdążył uporządkować notatki wokół wątku kryminalnego. Nic prostszego: jego podróż była sama w sobie powieścią kryminalną. Od kiedy wpadł na ten pomysł, nie miał już żadnych wątpliwości. Ten projekt wspomagał go w jego poszukiwaniach, i to pod każdym względem. Praca nad fikcją

pozwalala mu lepiej utozsamić się w wyobraźni z zabójcą. Teraz w swych notatkach, kiedy przyjmował punkt widzenia mordercy, pisał „ja”.

Marc zaczął też pieścić w myślach obrazy mniej bezinteresowne. A jeśli uda mu się napisać bestseller? Nagle zamarzył o powodzeniu, sławie, pieniądzach...

O siedemnastej dotarł do Takua Pa, prowincjonalnego miasta, płaskiego, zakurzonego, z kilku wieżami ciśnień jako punktami orientacyjnymi. Ta leżąca w głębi ładu dawna faktoria portugalska nie przypominała zupełnie miejscowości turystycznych, które mijał przez cały dzień. Nie było tu ani jednego cudzoziemca i musiał długo krążyć po mieście, nim znalazł nocleg.

Wreszcie za jedyną stacją benzynową trafił na szaro-biały, odrapany blok, przypominający dawny budynek szpitalny, który przeznaczono do innych celów. Był to jedyny hotel w Takua Pa.

Wewnątrz analogia narzucała się jeszcze mocniej: długie, szare korytarze, wąskie drzwi, zakratowane okna. Prawdziwy szpital psychiatryczny. Marc zapłacił z góry i udał się na czwarte piętro.

Zapadał zmierzch. Zaświecił gołą żarówką, która stanowiła całe oświetlenie pokoju. Zwykła cela, bez mebli, niczym nieozdobiona. Stacja przejściowa, gdzie niczego nie można ukraść. Nawet wspomnienia.

Włączył komputer. E-maila nie było. Postanowił zjeść gdzieś na mieście. Niedaleko stacji benzynowej znalazł taras z paru stolikami i przełknął swój tradycyjny *fried rice*. Kiedy wrócił do pokoju, dochodziła dziewiętnasta. Wciąż nie było listu. Wyciągnął się na łóżku i wpatrzył się dokładnie w mapę tajskiego wybrzeża. Do granicy birmańskiej było jeszcze dwieście kilometrów. Dokąd Reverdi go prowadził?

Znów otworzył komputer i zagłębił się w swoje bruliony. Dopracował nieco konspekt powieści. Jedyną różnicą w porównaniu z jego prawdziwą przygodą było to, że w powieści morderca nie był jeszcze za kratami. Reporter, przebiegły od Marca, uzyskiwał swoje wyniki dzięki własnej pracy śledczej, bez pomocy ani rad zabójcy, którego wyczyny czytelnik śledził równolegle.

O dwudziestej drugiej wyłączył swój laptop, sprawdzwszy przedtem jeszcze raz skrzynkę pocztową, po czym zgasił światło. Ostatnią rzeczą, jaką widział, była kolumna mrówek drapiąca się w górę po ścianie.

Nagle poczuł, że jakaś ręka chwyta go za ramię. Marc pomyślał niejasno o facecie z recepcji, ale nie prosił przecież o budzenie. Uniósł głowę i zobaczył świecę w męskiej ręce. Wosk, który spływał na zaciśnięte palce, był miodem. Odwrócił się gwałtownym ruchem:

nachylał się nad nim Reverdi. Błada twarz, ogolona czaszka, naga pierś. Uśmiechał się do niego i mamrotał: „Schowaj się szybko, tato idzie!”.

Marc spadł z łóżka.

Koszmar.

To tylko koszmar.

Spojrzał na zegarek. Czwarta czterdzieści pięć.

Włączył komputer. List był.

Temat: KUALA - Otrzymano 2 czerwca, 4:10.

Od: krw@wanadoo.com

Do: lisbeth@voila.fr

Kochana moja,

jestes teraz w Takua Pa. Korzystam z dyżuru w izbie chorych (awansowałem tutaj), żeby Ci przekazać nowe zalecenia.

Kiedy tylko przeczytasz te słowa, ruszaj dalej w drogę. Wciąż prosto na północ. Aż do Khuraburi. Tam jedź aż do wyjazdu z miasta: po prawej zobaczysz agencję turystyczną Jinda Tours.

To jedyna, która organizuje rejsy statkiem na pobliską wyspę Koh Surin.

Kup bilet jednodniowy w obie strony. Nie nocuj tam. Żadnych podwodnych wypraw z przewodnikiem. I nie podawaj fałszywego nazwiska. Nie staraj się przejść niezauważona. Pamiętaj zawsze o starej zasadzie: mniej się kryjesz, mniej cię widzą.

Kiedy już znajdziesz się na wyspie, odłącz się od grupy i idź swoją drogą. Izba Czystości nie będzie daleko. Znaleźć ją to Twoja sprawa. Wejdz do środka i obejrzyj każdy szczegół. Wtedy zrozumiesz, co się naprawdę stało w tej przestrzeni ukrytej przed światem.

Moje serce jest z Tobą.

Jacques

Marc zamknął walizeczkę z laptopem i torbę, po czym zszedł na parter. Było jeszcze ciemno. Hol hotelowy był pusty. Portier drzemał w półmroku. Wyszedł bez hałasu i wsiadł do samochodu. Odjeżdżał jak złodziej.

Złodziej tajemnic.

## 55.

Dwie godziny później, o świcie, dotarł do Khuraburi. Miasto stało jedną nogą w namorzynach. Niskie domki zdawały się ześlizgiwać ku samej wodzie. Na końcu głównej alei Marc znalazł agencję. Była dopiero siódma rano, ale wszystko zdawało się już spalone słońcem.

Marc zapisał się na rejs o ósmej. Umieszczono go natychmiast w autobusie z innymi zachodnimi turystami, którzy pojawiali się kolejno grupkami, zaspani, nastroszeni.

Byli tam Szwedzi, Niemcy, Amerykanie i Tajowie. Na szczęście nie zauważył żadnego Francuza. Marc obawiał się, że musiałby się tłumaczyć z celu swojej podróży. Jednocześnie miał posępne uczucie, że jego tajemnica jest widoczna - jak wrodzone znamię na twarzy.

Po kilku kilometrach jazdy dotarli do nadbrzeża. Czekala na nich wielka łódź motorowa, biała i gładka. Wsiedli. Zanosilo się na burzę. Marc przypomniał sobie ostrzeżenia faceta, u którego wynajął samochód. Ale w miarę jak stateczek sunał między meandrami bagnisk, zza chmur wychylało się słońce. Na pełne morze wyszli w jasnym, niczym nieprzycmionym blasku. Monsun musi zaczekać.

Siedząc na rufie statku, Marc zastanawiał się nad postscriptum listu Reverdiego, będącym czymś w rodzaju dodatkowej rady.

Lizo, kochana moja, kiedy będziesz szukała Izby Czystości, kiedy będziesz szła przez dżunglę, nie zapominaj rozglądać się uważnie wokoło. W pobliżu Izby będzie na Ciebie czekał jeszcze inny znak. Coś, bez czego nic nie byłoby możliwe...

Pamiętaj o „Znakach Latających i Obradzających”. W dżungli będzie inny jeszcze ruch i musisz go dostrzec. Tchnienie, drżenie, które zapowie, że Izba jest tuż...

Obrzęd żyje, ukochana moja. Nie jest nigdy martwą literą. Szukaj ruchu pośród roślinności, a znajdziesz Izbę...

Marcowi nie spodobała się aluzja do Znaków, przez które jego poszukiwania omal nie spaliły na panewce. Nie miał ochoty trafić jeszcze raz na jakąś roślinną czy zwierzęcą tajemnicę. Co miał na myśli Reverdi? Rój owadów? Ptasi klucz? Rzekę?

Przypuszczał, że morderca włącza swój obrzęd w życie puszczy, uważa go za jeden z elementów natury. Za żywy, organiczny akt, wpisujący się w biorytm dżungli. Być może uważał go za warunek sine qua non równowagi fauny i flory. Marc pamiętał o pewnym seryjnym mordercy ze Stanów Zjednoczonych, niejakim Herbercie Mullinie, który uważał, że swoimi morderstwami zapobiega trzęsieniom ziemi i z wnętrzości swych ofiar wyczytywał stopień zanieczyszczenia powietrza.

\*

Po dwóch godzinach dopłynęli do Koh Surin. Była to szmaragdowa wyspa, leżąca na ciemnym błękitcie. Wszystko tu robiło wrażenie pierwotnej dziewiczości. Świata bez ludzi.

Mimo to, stawiając stopę na lądzie, Marc ujrzał przed sobą setki turystów biwakujących na plaży w ustawionych rzędami namiotach, w cieniu drzew. Mrowili się jak karaluchy, rozłazili na wszystkie strony, niszcząc piękno, które niby to podziwiali. Prawdziwa katastrofa.

Marc zasięgnął przedtem informacji: wyspa Surin była parkiem narodowym. Wszelkie budownictwo było tu zakazane. Tajscy przedsiębiorcy obeszlą prawo, zakładając gigantyczny kemping. Kilka drewnianych baraków zapewniało podstawowe usługi. Na jednym z nich widniały ręcznie wymalowane napisy reklamujące nurkowanie: DIVING, SCUBBA, SNURCKLING. Reverdi z pewnością pracował tutaj jako instruktor...

Marc porwał z kontuaru mapę wyspy i zostawił swych towarzyszy podróży, którzy przymierzali już maski i pletwy, szykując się do *diving tour*.

Koh Surin miała kształt orzeszka ziemnego i nie więcej niż dwa kilometry długości. Marc mógł bez trudu do wieczora obejść całą wysepkę i dołączyć do swojej grupy przed odjazdem. Udał się plażą na wschód, mijając ogromne korzenie namorzynów, po czym wszedł między palmy. Od razu trafił na ścieżkę na zboczu wzgórza, prowadzącą wzdłuż wybrzeża górą, w cieniu drzew.

Była jedenasta. W puszczy drżały cienie i światło. Liście i liany poprzez plamy słońca zwierzały sobie szeptem jakieś tajemnice. Od czasu do czasu Marc dostrzegł w dole morze. Przy każdej zatoczce kolor wody się zmieniał. Lekkie odcienie turkusu i nefrytu. Miętowe głębie, lawenda grubości kwasu.

Gdzieś tam widział grupy Tajów, którzy kąpali się w bardzo oryginalny sposób: w pełnym ubraniu i w kamizelkach ratunkowych obnosili dumnie maski i rury do oddychania pod wodą, chociaż woda sięgała im ledwie po kolana.

Cała wyspa mrowiała się od zdumiewająco licznych turystów, ale mimo to Marc miał poczucie zupełnej samotności. Wiedział, że w tej chwili czuje tak samo jak Reverdi: samotny

i tajemniczy w miejscach aż nazbyt rojnych, wciąż zagrożonych przez cywilizację.

Marc wyczuł wokół siebie jakąś zmianę, jakby otaczające go dźwięki stały się lżejsze, bardziej wyrafinowane. A także jakąś uwagę, życzliwość, skierowaną ku sobie. Dżungla pochylała się ku niemu, otaczała go, pieściła... Dopiero po paru chwilach zrozumiał: bambusy. Znajdował się w wielkim gaju, gdzie te ogromne trawy chwiały się zmysłowo na wietrze. Marc intuicyjnie zagłębił się w zarośla: w lewo schodziła ścieżka dochodząca do wznoszącej się nad morzem skały.

Nie zrobił nawet dwudziestu kroków, kiedy zobaczył ukryty pod listowiem czarny dach. I już wiedział z niezachwianą pewnością, że znalazł Izbę Czystości. Chatę, w której mieszkał Jacques Reverdi i gdzie z pewnością złożył w ofierze jedną ze swych ofiar.

## 56.

Na maleńkiej polance stał sześcianik z desek i liści palmowych. Przy najlżejszym podmuchu wiatru liście bambusa lizały jego ściany, zasłaniały dach. Marc wyteżył słuch: wewnątrz nic się nie poruszało. Obszedł ostrożnie budynek: drzwi i okna były zaryglowane.

Zdecydował się sforsować wejście.

W środku uderzył go jakiś nieokreślony mocny zapach. Jednocześnie powietrze w chatce było bardzo suche. Z pewnością została w jakiś sposób zabezpieczona przed skutkami pory deszczowej.

Zrobił parę kroków i rozejrzał się. Nagie ściany, drewniana podłoga, w najdalszym kącie po prawej stół i krzesło. Po lewej wystrzępiona mata z rafii. Ani śladu krwi. Żadnego znaku przemocy. Marc wypatrzył w półmroku leżący przy ścianie sprzęt do nurkowania: ołowiany pas, butla ze sprężonym powietrzem, reduktor, kurtka z neoprenu, lampa czołowa...

Tak, był rzeczywiście w kryjówce Jacques'a Reverdiego, instruktora nurkowania.

Ale dlaczego Izba Czystości?

Wszedł głębiej. Coś się tu nie zgadzało. Jakiś szczegół nie pasował do stanu tej chaty. Marc zamknął drzwi. Ogarnęły go kompletne ciemności. Dlaczego? Przecież w takich chatynkach światło słoneczne wnika zawsze przez całe mnóstwo szpar.

Otworzył znowu drzwi i przyjrzał się uważnie ścianom: rowki między deskami były starannie uszczelnione roślinnymi włóknami. Rattanem albo rafią. Podniósł wzrok i przyjrzał się dokładnie spojeniu dachu ze ścianami - zwykle w takich miejscach znajdzie się jakaś szpara, jakiś naturalny dopływ powietrza. Tutaj wszystko zostało uszczelnione zwiniętymi liśćmi palmowymi, powiązаныmi włóknami rattanu. Marc spojrział w dół. Niewiarygodne: odstępy między deskami podłogi były też zatkane silikonem. Przyjrzał się drzwiom i stwierdził, że i one zostały potraktowane tak samo: uszczelniono je roślinnymi włóknami w taki sposób, by po zamknięciu nie mogła się tu dostać ani odrobina powietrza.

Izba Czystości.

Reverdi starannie przygotował swoją celę, żeby żaden paproch, żaden pyłek nie mógł się tu przedostać.

Marcowi przypomniały się słowa z jednego z jego ostatnich listów: „Obrzęd



potrzebuje szczególnej przestrzeni. Świętego miejsca, gdzie każdy gest nabiera wyższego sensu, gdzie każdy ruch jest symbolem”.

Pomyślał o bezdechu, w który chronił się Reverdi, zamykając się przed światem. Tu uczynił to samo na inną skalę. Uszczelniona chata stawała się dla niego przestrzenią ego, obszarem jego szaleństwa. Przedłużeniem jego osoby. Doktor Norman powiedziała: „...Scena zabójstwa staje się dla niego czymś w rodzaju przedłużenia własnej osoby. On w tej przestrzeni rozwija siebie i wtłacza do niej krew, żeby się lepiej osłonić...”.

Również tym razem lekarka wykazała przenikliwość. Mimo upału Marc zaczął drżeć. Przez chwilę wyobraził sobie, że jest w ciele pletwonurka, w chwili kiedy ten nie oddycha. Wyobraził sobie krew napływającą do jego organów, czerwonych i drżących, jak węgle w głębi paleniska... W tej izbie zachodził identyczny proces: krew koncentrowała się w jej centrum, w kwadracie czystości.

Marc dusił się. Mimo woli wstrzymał oddech.

Skierował się ku drzwiom.

Na progu odwrócił się.

Scena zbrodni rysowała się przed nim wyraźnie.

Jacques Reverdi siedział w pozycji lotosu z zamkniętymi oczyma, otoczony świecami, pałeczkami kadzidła, flakonami miodu. Cisza, jasność zdawały się krążyć w pomieszczeniu. Nie przedostawał się do niego żaden pyłek, ani jeden gram powietrza. Słysząc było tylko szelest bambusów na zewnątrz niczym szmer modlitw odmawianych przez wiernych.

Jacques otworzył oczy i przyglądał się kobiecie, która miotła się skrepowana więzami. Otaczał ją mrok, przypominała poczwarkę bólu, skręcającą się, by wypuścić z siebie motyla krwi. Wstał...

Marc oparł się o framugę drzwi. Chciał uciekać, ale nie mógł. Czuł panujący w chacie skwar. Oddychał oparami. Zapachami napływającymi z bardzo daleka, przesyconymi suchą ziemią i wilgocią dżungli. Przez myśl przeszły mu słowa Pieśni nad Pieśniami:

*Któraż to jest, co występuje z pustyni  
jako promień dymu z wonnych rzeczy, mirry i kadzidła  
i każdego pachnącego prochu?*

Reverdi zadał pierwszy cios nożem: w gardło. Marc wrzasnął. Poczł w końcach palców zgrzyt ostrza o krąg. Wypadł z chaty i biegł przed siebie, rozgniatając nogami bambusy. Wydawało mu się, że słyszy jęki zakneblowanej ofiary.

## 57.

O siedemnastej Marc był na przystani Koh Surin, gotów do odjazdu. Turysta, jeden z wielu. Nie drżał. Z jego twarzy nic nie można było wyczytać. Ten wyczyn zadziwił jego samego. Nikt nie mógł zgadnąć, przez jakie doświadczenie dopiero co przeszedł. Usiadł na dziobie łodzi, tak samo jak kiedy płynął w tę stronę, i przyglądał się oddalającej się ziemi.

Stateczek okrążał na niskich obrotach skraj wyspy. Marc patrzył na brzeg, który przemierzył pieszo. Słyszał nawet szelest bambusów na wietrze. Znowu poczuł liście na twarzy, zielonkawe fale, przez które „płynął”.

Uzmysłowił sobie pewną nową prawdę.

Kiedy wybrał ten kierunek, myślał, że robi to instynktownie. W rzeczywistości przypomniał sobie podświadomie ostatnie słowa Reverdiego: „Szukaj ruchu pośród roślinności, a znajdziesz Izbę...”.

Bambusy.

To na nie wskazywał mu zabójca.

Przypomniał sobie inne fakty. Chata w Papanie, gdzie została zabita Pernille Mosensen, była w gaju bambusowym. Łowca motyli z Cameron Highlands kilkakrotnie spotykał Reverdiego wśród tych roślin. Marc miał też w pamięci szelest, który towarzyszył jego spotkaniu z pasiecznikiem z Angkor.

Jacques zabijał w cieniu bambusów.

Marc był nawet przekonany, że pełniły one jakąś rolę w całym obrzędzie. Czy miały własności oczyszczające? Czy trzeba było przejść przez nie, żeby „obmyć się” ze świata zewnętrznego? Czy może przeciwnie, takie spotkanie wzmagało napięcie? Pełniło rolę zapalnika, który przypominał Reverdiemu jakąś traumę i wywoływał w nim pragnienie zabicia? Marc znowu poczuł dotyk liści na skórze - dziwną pieśczoć przypominającą pieśczoć nonszalanckich dłoni...

Statek płynął teraz po pełnym morzu. Marc zamknął oczy i jeszcze bardziej zagłębił się w myślach. Utożsamił się z Reverdim. Kiedy las ruszał się wokół niego, kiedy drżały przed nim cienie, kiedy liście muskały mu skronie, był bliski szaleństwa. Jego mordercze pragnienie wydobywało się na powierzchnię i rozrastało jak jadowita roślina.

Marc otworzył powieki i spojrzał wokół na pasażerów. Nikogo nie poznał. Śpieszno

mu było znaleźć się w samochodzie, samemu, i pojechać wprost do Phuket. Tam umieści wszystko w komputerze i wplecie w fabułę swojej powieści.

Pomyślał nagle, że nie ma tytułu dla swego thrillera.

## 58.

„French kiss”, „Pinocchio”, „Soi Cow-Boy”... Wypisane świetlnymi literami nazwy nocnych lokali tańczyły w kałużach deszczu. Każda fasada chełpiła się czymś oryginalnym, jakimś nieoczekiwanym pomysłem. Nad jedną świeciła końska podkowa. Nad inną - pierścień Saturna. Jeszcze inna naśladowała wejście do łodzi podwodnej. Ale na progu każdej stały kobiety.

Raczej młode dziewczyny w strojach bardziej czy mniej dosłownie nawiązujących do nazwy swej firmy. Kurtki z frędzlami, wycięte uniformy albo najprościej - stringi i kawałki tkaniny owiewające ciało jak płomienie. Wszystkie tańczyły w rytmie ogłuszającego techno. Czasami ustawiały się w szereg, plecami do ulicy, z rozstawionymi nogami, starając się, by kostki lodu wyrzucane z baru nie trafiły w ich wypięte tyłki. Kiedy indziej podchodziły do potencjalnego klienta i dla zachęty wsuwały mu dłoń między uda. Niektóre zbliżały się, podrzucając dłońmi nagie piersi z sutkami ozdobionymi fosforyzującym sercem.

Marc szedł z bagażami w rękach, zdając sobie sprawę, że wygląda dziwacznie. Prowadził samochód całe popołudnie. Mimo deszczu, mimo zmroku, który zapadł o szóstej po południu, zdołał utrzymać swoją średnią szybkość. O dwudziestej drugiej, kiedy jechał bez planu przez wyspę, źle oświetloną drogą, trafił w prawdziwy gwiazdny wir. Patang: najbardziej ognista dzielnica Phuket. Nie mógł się oprzeć. Zostawił swoje suzuki na strzeżonym parkingu, po czym zanurzył się w tutejszym szaleństwie. Szukał hotelu. I nowych wrażeń.

Domyślał się niejasno, że Reverdi kręcił się po takich miejscach.

Otaczały go zapachy zarcia. Czosnek, cebula, pieprz, kolendra... Pragnienia i apetyty mieszały mu się w organizmie. A złote i drobne dziewczyny przypominały małe karmelizowane cukierki. Mimo ciężaru toreb, mimo zmęczenia, Marc czuł rosnące podniecenie: młode Tajki miały prawdziwie magnetyczną moc. Nie przez swoje skąpe stroje czy prowokujące zachowanie, lecz przeciwnie, dlatego że cokolwiek robiły, była w nich zawsze jakaś niewinność, drobinka czystości, domagającej się, by ją zbrukać. Małe kocie pyszczki nieokrzesanych chłopek i ich wystające kości policzkowe, które gasiły efekty makijażu i wyzywających strojów: właśnie te „wspomnienia ryżowych pól” podniecały najbardziej.

Przyglądał się też zachodnim turystom. Z kuflami piwa w rękach młodzi trzymali się razem i maskowali zakłopotanie rubasznym śmiechem. Starzy siedzieli sami, pływali tu jak rekiny w spokojnych wodach. Zmordowani podróżnicy spoglądali na cały ten cyrk zblazowanym wzrokiem, ale w głębi wszystkich oczu kryło się zawsze to samo nagie pożądanie. Ten sam apetyt, surowy i nikczemny, przyłapany na gorącym uczynku...

Marc ciekawiła szczególnie inna kategoria: cudzoziemki. Skołowane, zakłopotane tą atmosferą małżonki, uwieszone u ramion swych mężów. Młode dziewczęta z plecakami, szukające taniego noclegu i próbujące oburzonym wyrazem twarzy manifestować swoją pogardę dla tego „jarmarku niewolnic”. Wszystkie zdawały się zagubione. Oglupiały. Zaklinowane między męskim pożądaniem, wyraźnym jak nigdy, ale nie do nich skierowanym, a nienawiścią tajskich kurew, które nie cierpiały ich za to, że gapią się na nie tak samo jak mężczyźni.

Marc pomyślał o Lindzie Kreutz, o Pernille Mosensen.

O dwóch przypuszczalnych ofiarach Reverdiego w Tajlandii. Był coraz mocniej przekonany, że drapieżnik polował tutaj. Ta dzielnica też była puszcza, jeszcze bardziej szaloną, bardziej nieprzebytą od dżungli Cameron Highlands czy Angkoru. Wyobrażał sobie, jak zabójca pociesza swe młode towarzyszy, zabiera dalej od tego piekła, tłumaczy im zrezygnowanym tonem, że „no cóż, w Azji tak to jest”. I już samym tym swoim niskim głosem uspokaja je, uwodzi, hipnotyzuje... Przyśpieszył kroku w poszukiwaniu hotelu.

\*

W pokoju nie położył się na łóżku, żeby od razu nie zasnąć, i zmusił się do napisania do Reverdiego. Głos miała Elisabeth. Opowiedziała o wyprawie do Koh Surin, opisała swoje odkrycia. Wszystko jednym tchem, bez chwili wahania. Marc ledwie miał jeszcze siłę włączyć modem do gniazdko telefonicznego i wysłać swój list. Jeszcze się na dobre nie wyciągnął, kiedy już spał.

Kiedy jego nóż znów utknął na kości, otworzył oczy. Stwierdził, że jest w swoim pokoju, przez który przebiegały błyski różowego i błękitnego światła. Od muzyki trzęsły się ściany i podłoga. Opuścił wzrok: dłoń miał jeszcze zaciśniętą na urojonej broni. Druga w nocy. Spał tylko trzy godziny. I oczywiście śniło mu się morderstwo. Rany pokryte strupami i słodkie. Ciała torturowane jakimiś chromowanymi urządzeniami. Zbrodnia już go nie opuszczała. Czy nie na to właśnie liczył?

Pokuśtykał do kabiny i wlaź pod prysznic. W gorących rurach woda była letnia. Stojąc nad umywalką, przyglądał się sobie w lustrze. Ogorzały, wychudły, potargany: podróżny, który za długo przebywał na słońcu i całkiem stracił orientację. Kim był dzisiaj?

Powtórzył sobie swoją rytualną formułę: pięćdziesiąt procent Elisabeth, pięćdziesiąt procent Reverdiego, czyli sto procent oszusta.

Jego sny, podobnie jak halucynacja w chacie były nowego rodzaju. Były w nich rzeczywiste fizyczne odczucia. Marc już nie wyobrażał sobie zbrodni, przeżywał ją. Co się z nim działo? Nie umiał wyjaśnić, ale postanowił skorzystać z tego, że ma jeszcze ten sen świeżo w pamięci, i napisać fragment powieści. Odnotować konkretne, patologiczne uczucia zabójcy.

Pismo automatyczne...

Jego dłonie zaczęły tańczyć po klawiaturze komputera bez udziału myśli ani świadomości. Ktoś inny, nie on, opisywał żądzę mordu, przyjemność, z jaką patrzył na ściekającą krew, rozkosz płynącą z zadawania cierpienia. W jakimś zakątku głowy Marc godził się z tym. Zachowywał dystans wobec wymyślonego tworu, który wypowiadał się teraz zamiast niego. Czy w tym momencie nie wykonywał właśnie pracy powieściopisarza? Czy nie było jego rolą odstępować na czas pisania własny mózg swemu bohaterowi?

Nagle zrobił odkrycie, od którego zamarł: dokładnie w chwili, kiedy opisywał scenę morderstwa, doznał erekcji. W panice spojrzął za okno: wstawał świt.

Naciągnął koszulę, chwycił za klucz i wyskoczył z pokoju. Dopinał się, już zbiegając po schodach. Musiał w ten czy inny sposób przeciąć ten wrzód, ukoić swoje ciało.

## 59.

Na ulicach nie było już młodych dziewcząt, nic wdzięcznego do poderwania. Zostało tylko kilka mocno zużytych kurew. Nie, nie były to starsze panie, tylko raszple bez wieku, umordowane, umęczone, upacykowane krzyczącym makijażem. Na widok snujących się jeszcze ostatnich klientów unosiły spódniczki nad tłustymi udami albo nawoływały ich syrenimi głosami. W dziennym świetle widowisko zdawało się szare, ohydne, koloru ropy.

Marc skierował się ku barom, które zauważył poprzedniego wieczoru. Zamknięte. Albo puste. Szedł dalej. Zamiatacze ulic tryskali z węży wodą na jezdnie. Jakieś pary kuśtykały w poszukiwaniu swego hotelu. Pojawiali się pierwsi żebracy. Kobiety wychodziły na zakupy z niemowlakami przewieszonymi przez ramię, nie zwracając uwagi na stiukowe fasady, pogaszone reklamy. Dzień ujawniał całą brzydotę, całe oszustwo dekoracji. Malowidła łuszczyły się. Mury nosiły na sobie ślady wilgoci.

Marc, bez reszty ogarnięty pożądaniem, widział w tym zapuszczeniu tylko przeszkodę, coś, co przeszkadza mu ulżyć sobie. Mijał teraz prawdziwe potwory, kurwy wychudłe bądź przeciwnie, ogromne, gotowe eksplodować we wschodzącym słońcu, ale podniecające obrazy przesłaniały mu smętną rzeczywistość. Cienisty rowek między wypukłymi piersiami, delikatne włoski na młodym sromie, bruzda między pośladkami, krągłymi i słodkimi... Szedł naprzód, przyśpieszając kroku. Gdzie one się podziały? Gdzie są dziewczyny? Powinien może zagłębić się w podwórka, poszukać na zapleczach sklepików, po pokojach...

Usłyszał niskie śmiechy: to wsparci łokciami o bar gawędzili tajscy gliniarze, w błyszczących mundurach, przy broni. Dalej, w załomie ulicy, zobaczył innych: okładali jakiegoś mężczyznę kolbami. Tak, zwijano dekoracje. Na wierzch wychodziły ohydne tryby maszyny. Tej, dzięki której przedstawienie mogło się odbywać, a zachodnia zaraza przychodzić tu, by upijać się i pobierać co wieczór swoją porcję seksu. Marc niemal biegł. Był chory. Musiał znaleźć swoje lekarstwo...

Na przeciwległym rogu zobaczył kilka ohydnych sylwetek: sterczące piersi, wyraźny zarost. Transwestyci. Bez zastanowienia ruszył w ich kierunku. W tym momencie zatrzymało go widowisko, jakiego się nie spodziewał.

Morze.

Za zakrętem ulicy roztaczał się ogrom, lśniący, spokojny. Znieruchomiał na ten widok. Nic nie było bardziej przytłaczające, bardziej obce jego chorobliwemu pragnieniu niż ten ogrom - nieskończony, wolny, obojętny. W tym momencie inna obecność unicestwiła ostatecznie jego mroczne ciagoty.

Na jasną już ulicę, zasłaną jeszcze zatłuszczonymi papierami i pustymi butelkami, cichą procesją wychodziły z burdeli młode dziewczyny. Nie miały nic wspólnego z szalejącymi wampami wczorajszego wieczoru. Miały mokre włosy, twarze bez makijażu, ubrane były w zwykłe sarongi. Każda niosła w ręku miseczkę ryżu i stawiała ją na jezdni. Marc nie rozumiał, o co tu chodzi, ale w tej chwili zobaczył tamtych: nadchodzili.

Sylwetki obleczone w pomarańczowe tkaniny, lekkie w porannym wietrze jak delikatne papierowe lampiony. Mnisi. Ich ogolone głowy błyszczały w słońcu. Niektórzy mieli w rękach parasole, inni szli parami, pod rękę. Zdawali się nierzeczywiści na tym dymiącym jeszcze pobojowisku. Zabierali ofiary, skłaniając po kilkakroć głowy, podczas gdy dziewczęta klęczały z dłońmi złożonymi przed czołem. Godzina modlitwy i przebaczenia...

Marc stał w słońcu, oszołomiony.

I kompletnie wytrzeźwiały.

\*

Mimo wszystko wąż nadal skręcał mu się w brzuchu.

W pokoju płomień przebudził się, palił mu krocze. Bez wahania pobiegł do łazienki, odrzucił plastikową pokrywę sedesu i zaczął się onanizować. W głowie wirowały mu chaotyczne obrazy. Zerwane ubrania, odsłonięte piersi, nagie sromy otwarte, oszołamiające... W głowie tkwiły mu kawały ciała, jak ledwie podeschłe zdjęcia zamocowane na rzeźniczych hakach. Gwałcił dziewczęta. Wdzierał się w nie, smakował ich łzy, upokorzenie. Było to ohydne, ale gdzieś bardzo daleko, za kulisami swego teatru notował z ulgą - nie było tam scen morderstwa ani obrazów ran.

Przynajmniej nie podniecała go krew.

Wreszcie po długich gorączkowych skurczach nastąpiło wyzwolenie. Było w tym wytrysku coś chorobliwego. Jak oczyszczenie ropiejącej rany. Poczul się spokojny. Więcej niż spokojny: inny. Nie miał nic wspólnego z wariatem, którym był jeszcze kilka sekund przedtem.

Jak wszyscy mężczyźni od dawna znał to uczucie. To absolutne zerwanie, tę ostrą granicę między płomieniem pożądania a gwałtownym nawrotem rozumu. Ale tego ranka ów przełom był niespotykane gwałtowny. Stał się dosłownie kimś innym. Patrzył z osłupieniem na poplamione spermą palce i nie rozumiał, co się stało.



Wyciągnął z tego pewien wniosek dotyczący mordercy. Z Reverdim wszystko musiało się dziać tak samo: dopóki nie zaspokoił swego głodu zniszczenia, nic innego nie mogło się liczyć. Musiał podporządkować swoim fantazmatom cały świat. Potem, odprawivszy swój taniec śmierci, popadał zapewne w stan osłupienia, niedowierzania. W Papanie, kiedy znaleźli go rybacy, był kompletnie oszołomiony. Wydawało się, że jednocześnie z nimi odkrywa trupa Pernille Mosensen. Marc pamiętał człowieka o poszarzałej twarzy, który przypięty do fotela w gabinecie szpitala w Ipoh powtarzał: „To nie ja...”. Jacques był wtedy jeszcze w szoku. Musiał odczuwać niejasną panikę na myśl o popełnionej zbrodni. I odrzucać myśl, że to on jest jej sprawcą...

W końcu sprawy przedstawiały się może prościej, niż Marc sobie wyobrażał. Jacques był sam, w sensie dosłownym i przenośnym. Nie miał współnika. Nie cierpiał na schizofrenię. Dostawał tylko napadów chorobliwego popędu, który ilekroć wybuchał, musiał być bezwzględnie zaspokojony.

Lecz kiedy wybierał sobie ofiarę, kiedy kupował miód, kiedy przygotowywał Izbę Czystości, wciskając w każdą szparę pasemka rattanu, działał na zimno. Przygotowywał każdy szczegół ceremonii, wiedząc, że kryzys nadejdzie, że nieodparte wezwanie wkrótce się rozlegnie. Trochę tak, jak pierwotne plemiona przygotowują ołtarz ofiarny, czekając, aż jakiś „tygrys - Bóg” czy inny „King Kong” przybędzie i zażąda daniny świeżego ciała.

Oto kim był Reverdi: po prostu człowiekiem wierzącym.

We władzy swoich demonów.

Marc wstał z sedesu i znów wszedł pod prysznic. Stał długo z zamkniętymi oczami pod letnim strumieniem, czekając, aż będzie obmyty, na ciele i duszy, z ostatnich miazmatów swego transu. Nie zapominał, że przed jego żalosną wyprawą pierwszą erekcją pobudziła w nim scena morderstwa. Potem nie chciał zabijać, rzecz jasna, tylko kogoś zerznąć. Ale to było to samo szaleństwo, ta sama utrata kontroli... Jak daleko był jeszcze od „czarnej linii”? Ile jeszcze kroków musiałby zrobić, żeby ją przekroczyć?

Wyszedł spod prysznica i podjął decyzję. Musi opuścić Azję jak najszybciej, jeśli nie chce stracić rozumu. Musi skończyć z Reverdim. Odkryć jego ostatnią tajemnicę i rzucić tę sprawę, zanim będzie za późno. Wróci do Paryża. Skończy książkę, zapomni o koszmarze i osiągnie sukces.

W nagłym odruchu złapał za telefon komórkowy i wybrał numer Vincenta. Chciał usłyszeć jakiś przyjacielski głos. Głos rzeczywisty, normalny. Nikt nie podjął słuchawki. W Paryżu była druga w nocy. Olbrzym spał albo nie wrócił jeszcze do domu.

Wtedy pod wpływem kolejnego niezrozumiałego odruchu Marc wyszukał w swojej

torbie zdjęcie Chadidży, które zabrał ze sobą, żeby w razie odpływu natchnienia łatwiej wchodzić w skórę Elisabeth. Ze łzami w oczach podziwiał tę cudowną twarz, to dziwne spojrzenie, które zawsze kojarzyło mu się z dysonansem muzycznym, po czym nagle zasnął, trzymając w ręku odbitkę.

## 60.

Dziesiąta rano, w pełnym słońcu.

Jacques Reverdi leżał nieruchomo na krawędzi jednej ze ścian dzielących kabiny prysznicowe i czekał. Raman nie wywinie się.

Obecnie chłoptasiem, który cieszył się jego względami, był Indonezyjczyk imieniem Kode, szesnasto- lub siedemnastolatek odsiadujący dożywocie za to, że poderżnął własnej matce gardło odłamkiem rury wydechowej. Codziennie około osiemnastej, kiedy więźniowie wracali do swoich cel, szef straży więziennej przychodził tu do niego.

Reverdi uśmiechnął się.

Dziś będzie inaczej.

Słońce jak ogromna masa oślepiająco białego płynu zalewało kabiny pod gołym niebem, odbijało się od ceramiki jaskrawymi błyskami. Każda ściana, każdy kąt wibrowały jak tablice odblaskowe używane przez fotografów. Jacques starał się nie opuszczać oczu, żeby nie zostać oślepiiony i nie stracić równowagi.

Leżał nieruchomo na osi ściany, z brzuchem i twarzą przyciśniętymi do krawędzi, wdychając zapach szpachlówki spajającej kafelki. Miał na sobie tylko slipy i nie czuł już słonecznego żaru. W tym stadium sam był niczym płonące ognisko, łatwopalna materia, której każda cząsteczka była rozżarzona, a każdy ruch rozsiewał ogniste opary.

Kiedy bóle mięśni stawały się nie do zniesienia, Reverdi przypominał sobie, na kogo tu czeka, i cały jego organizm, zdrętwiałe członki od razu były gotowe do walki jak naboje w zamku karabinu.

Raman się nie wymknie.

Jacques odwiedził Kodego. Kazał mu po śniadaniu podniecić klawisza i zwabić go do łaźni, właśnie do tej kabiny. Strażnik będzie nieufny, ale Reverdi mógł liczyć na wdzięk małej cioty. W kilka tygodni przebił wszystkich transwestytów z bloku D.

Jacques znał nawyki Ramana. Nadzorca rozbierał się, zachowując za cały strój swoje pantofle na sznurkowych podeszwach i pałkę elektryczną. Zaczynał od tego, że aplikował dzieciakom bardzo mocne elektrowstrząsy, by wywołać u nich maksymalny skurcz pośladków i doznawać w chwili penetracji uczucia rozprawiczania. Rozdzierał im odbyt, delektując się krwią, która ściekała im między nogami i podczas stosunku działała jak smar,

pieszcząc ich skórę, drżącą jeszcze od kontaktu z prądem...

Reverdi zacisnął ręce na swej szczoteczce-brzytwie. Przyniósł ze sobą szorstkie rękawice, bo Raman zwyczajem indyjskim przed seksem smarował ciało olejkami sezamowym. Czuł pod językiem chirurgiczną igłę z nicią, zabraną z izby chorych. Spojrzał w dół i wypatrywał koło kabin prysznicowych kubel wypełniony flakami. Słyszał z daleka, niczym echo swego planu, jak Chińczycy hałasują przy kuchni: herszt hańskich gangsterów obchodził dziś urodziny. Od tygodnia on i jego ludzie zajęci byli przygotowywaniem bankietu dla całej chińskiej kolonii więziennej.

Reverdi uśmiechnął się na myśl o tym święcie.

Dołożył się skromnie do menu.

Nagle usłyszał jakiś odgłos.

Białe światło ożyło, zatrzepotało wzdłuż kabin. Jacques napiął mięśnie. Odruchowo sięgnął szybkim ruchem do swojej pelady, jakby dotykał maskotki, po czym naciągnął rękawiczki. Usłyszał chichot chłopaczka. I zaraz potem - okrzyk bólu. To Raman uspokoił swego towarzysza uderzeniem pałki.

Drzwi kabiny otworzyły się gwałtownie.

Kode, kompletnie nagi, dał nurka głową naprzód na cement. Reverdi widział jego włosy błyszczące od oleju kokosowego, mięśnie chodzące pod skórą jak małe perły. Raman wszedł za nim i zamknął drzwi. Też był goły, w ręku miał pałkę, na nogach pantofle na sznurkowej podeszwie. Jacques był zaledwie o pół metra od jego głowy.

Indonezyjczyk zwinął się w kłębek tyłkiem do góry. Raman uderzył go kilka razy po lędźwiach, pośladkach, udach. Każde wyładowanie rzucało chłopaczka o ścianę i unosiło wyżej jego tyłek, napięty, drgający, podniecający. Mały skowytał.

Reverdi nie reagował. W końcu ta „ofiara” poderznęła gardło własnej matce, od ucha do ucha.

Cios.

Wstrząs elektryczny.

Przyglądał się zafascynowany czarnym plecami Ramana. Kręgi igrały mu pod lśniąco skóra niczym palce w rękawiczce z czarnego jedwabiu. Jego ciało było splecione z mięśni. Maszyna zbudowana wyłącznie do przemocy, wydzielająca zarazem słodkawy zapach sezamu.

Jeszcze jeden cios.

Matkobójca błagał o litość. Zaciśnięte pośladki drżały. Nawet na Reverdim robił wrażenie ten spektakl seksualnego upokorzenia.

Kiedy poczuł własną erekcję, wiedział, że musi działać.

Wyciągnął ramię w lewo i zdołał dosięgnąć przeciwległej ściany. Mając dwa punkty oparcia, nasunął się ciałem nad kabinę, rzucając nagle na nią ogromny cień. Raman odwrócił się ze wzniesioną pałką, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Reverdi skoczył. Pchnął klawisza na ścianę, podłożył ostrze pod genitalia i zacisnął mu dłoń na ustach. Tamten wyprężył się, wybałuszając oczy. Jacques rozkazał szczeniakowi:

- *Get out.*

Smarkacz, wstrząsany spazmami, nie ruszał się.

- *I said: GET OUT!*

Mały zmył się. Drzwi trzasnęły o kafle. Reverdi zamknął je piętą, nie puszczając ofiary. Też został w pantoflach: elektryczna pałka siała iskry na mokrej podłodze. Pomyślał z zadowoleniem, że pamiętał o rękawiczkach: zwyrodnialec ociekał oliwą.

Raman nie ruszał się, oddychał nozdrzami. Reverdiego uderzyła uroda ich zapasów: ciało brązowe kontra ciało miedziane. Dwaj atleci w walce - lub w akcie miłosnym. Na razie nie było to jasne.

Wbił z lekka w ciało swoją szczotkobrytwę. Na tyle tylko, żeby pojawiły się pierwsze krople krwi. Czuł jeszcze przy swej zaciśniętej pięści mięśnie brzucha strażnika, twardsze od stalowego muru. Przez chwilę obawiał się, że jego ostrze nie zdoła przebić takiego pancerza, ale poczuł ciepłą wilgoć. To go uspokoiło: krew już płynęła.

Nozdrza Ramana poruszały się szybko. Jego nalane krwią oczy mówiły: „Nie odważysz się”. Ale brwi podnosiły się w górę, marszcząc czoło i wyrażając coś wręcz przeciwnego. Wątpliwość. Niepewność. Panikę. Właśnie zobaczył wnętrzości leżące w kuble.

Jacques uśmiechał się o kilka centymetrów od jego twarzy.

Czuł pod językiem igłę i nić. Zapytał po malajsku:

- Pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałem?

Raman drżał, mrugając powiekami. Reverdi dodał:

- Lepiej być zszytym po śmierci niż za życia.

Jednym ruchem wbił w genitalia Malaja ostrze i pociągnął nim aż do płuc.

# 61.

Marc obudził się o czternastej.

Pokój był zalany światłem. Jego prześcieradła nadawały się do wyżęcia. Nie pamiętał nic ze swoich snów i był z tego zadowolony. Miał wciąż w ręku pogniecione zdjęcie Chadidży. Odłożył je jak jakąś relikwię i zobaczył na krześle na wprost łóżka swój komputer.

Swoje koło ratunkowe, drogowskaz, jedyny punkt orientacyjny. Wyciągnął rękę i chwycił maszynę.

Temat: RANONG - Otrzymano 3 czerwca, 810.

Od: krw@wanadoo.com

Do: lisabeth@voila.fr

Kochana,

weszłaś do Izby Czystości i nie wiedząc o tym, wdarłaś się do Jego serca. Do bijącego serca Najwyższego Rzemieślnika. Kolejny raz zrozumiałaś wskazówkę. Kolejny raz weszłaś w porozumienie z Jego Dziełem.

Lise, kocham Twoje słowa, Twoje dedukcje, Twoje wnioski. Twój sposób pojmowania i opisywania tego, czego nie można wypowiedzieć. Wchodzenia niczym jasna woda w Jego Ślad.

Teraz istnieje już tylko jedna tajemnica wymagająca wykrycia. Inne wskazówki, inne etapy były tylko stopniami pozwalającymi dojść do tego celu.

Do Barwy Prawdy.

Taki jest zamysł Dzieła: zobaczyć przez parę ułamków sekundy Barwę Prawdy, która jest również Barwą Kłamstwa.

Jeśli postąpisz dokładnie według moich instrukcji, będziesz mogła sama przynajmniej wyobrazić ją sobie, a może ją ujrzeć.

Odtąd sposób komunikacji między nami musi się zmienić. Ze względów, które Ci później wytłumaczę, czeka nas, w Kanarze, draka. Może się okazać, że przez kilka dni nie będę mógł pisać do Ciebie ani czytać Twoich listów.

Dodaję więc do tego listu kilka załączników, które masz otwierać w porządku chronologicznym. Uwaga: możesz przeczytać każdy z nich dopiero po wypełnieniu zaleceń poprzedniego.

To jest warunek zasadniczej wagi. Zresztą zrozumiesz ich znaczenie, jeśli będziesz przestrzegała tej reguły.

Poszukiwanie dobiega końca, kochana moja. Kiedy osiągniesz Ostateczną Wiedzę, będę w pewnym sensie wolny. Będę nagi przed Tobą. A Ty będziesz odziana w światło.

I wtedy będziemy mogli się połączyć.

Kocham Cię.

Jacques

Marc wołał nie zatrzymywać się przy tych miłosnych deklaracjach. Co Reverdi chciał powiedzieć, obiecując, że połączy się z Elisabeth? Nie chciał też zastanawiać się nad nowymi terminami, które pojawiły się w tej grze w podchody: Barwa Prawdy, Barwa Kłamstwa. Zwykły ezoteryczny sos.

Musiał po prostu trzymać się rozkazów. Otworzył pierwszy załącznik pisany programem Word.

Gdziekolwiek jesteś w Phuket, wróć do centrum wyspy i jedź drogą 402 w kierunku lotniska. Napotkasz na tej drodze Bangkok Phuket Hospital.

Na oddziale doraźnej pomocy jest specjalny gabinet dla prostytutek i narkomanów. Leczą tam za darmo i dają gratis rzeczy służące do profilaktyki - prezerwatywy i strzykawki jednorazowe.

Idź tam i weź strzykawkę próżniową. Potem dopiero otworzysz drugi załącznik.

Lodowaty prąd przeszył mu żyły. Wzmianka o strzykawce kazała myśleć o zastrzyku - albo o pobraniu. Czego? Od kogo? Odpowiedź mogła być tylko jedna: Jacques Reverdi kierował go teraz ku jednej ze swoich ofiar. Pobrania trzeba będzie dokonać na trupie.

W gruncie rzeczy nie był zdziwiony, że tak to się kończy. Zawsze przeczuwał, że jego Wtajemniczenie musi się ostatecznie dokonać w jednym z sanktuariów zabójcy. Reverdi zabijał wielokrotnie. Gdzie były ciała? Jak je ukrywał? Odpowiedź znajdowała się w załącznikach, w pamięci jego komputera. Miał ochotę pootwierać je od razu - było ich siedem - ale się rozmyślił. Musi przestrzegać reguł. Strategia mistrza.

W szpitalu wylądował o czternastej. Z pustym brzuchem i głową w gorączce. Strzykawkę zdobył bez trudu. Żadnych pytań, żadnego formularza do wypełnienia. Personel był przyzwyczajony do szmatławej klienteli. I Marc od niej nie odstawał. Zresztą jakiś lekarz chciał go zbadać. Marc wymówił się, ale poprosił o *something for headache*. Od migreny

omal nie pękała mu czaszka.

Połknął jedną aspirynę, resztę opakowania zabrał ze sobą na wszelki wypadek. Na parkingu przed szpitalem przeczytał drugi załącznik.

Ruszaj znów szosą prowadzącą na kontynent, kierunek Takua Pa. Tym razem jedź dalej. Kierunek - Ranong przy granicy birmańskiej. To jakieś czterysta kilometrów, czyli dziesięć godzin jazdy.

Nie wahaj się zatrzymać, żeby się przespać, bo musisz znaleźć się w okolicach Ranongu za dnia, żeby zauważyć znak przy szosie. Szukaj koła, moja śliczna. Oka w ziemi. Kiedy tylko je zauważysz, otworzysz następny dokument.

Bądź cierpliwa: stale zbliżasz się do mnie...

Jechał prosto na północ.

Oszołomiony, drżący, ze strzykawką w plastikowym opakowaniu walającą się na siedzeniu pasażera.

Z nastaniem nocy nie był jeszcze nawet w Takua Pa. Zatrzymał się w małym ośrodku turystycznym składającym się z kilku bungalowów na wzgórzu, z widokiem na morze. Zasnął o dwudziestej, nawet nie włączywszy komputera.

Nazajutrz o piątej rano znów siedział za kierownicą.

Było jeszcze ciemno, droga przecinała czarną dżunglę. Stopniowo roślinność robiła się szara, a w miarę jak horyzont się rozjaśniał, ściana lasu błękitniała. Liany, pnie, liście - wszystko razem wyglądało jak puszcza ze snu. Para unosiła się powoli nad koronami drzew - dżungla budziła się. Wreszcie błękit wyrwał się z mroku i przemienił w samą świeżość, żyźność, obfitość. Zieleń. Wybuchowa mieszanka zarośli i koron...

Marc nie spuszczał wzroku z asfaltu i jednocześnie kontrolował zegar na tablicy rozdzielczej. O dziesiątej minął Takua Pa. W południe - Khuraburi. Drogowskazy zapowiadające Ranong pojawiały się coraz częściej. Gdyby cały czas jechał z gazem do dechy, mógłby dotrzeć do granicy birmańskiej przed szesnastą.

Pięćdziesiąt kilometrów przed Ranongiem ruch samochodowy zmniejszył się. Znikły autobusy i turyści. Region powracał do swego pierwotnego majestatu. W tym momencie rozpalona do białości puszcza robiła wrażenie, jakby miała za chwilę zapłonąć. Soki, żywice parowały zapachami, olejkami, eterycznymi gazami... Mimo to Marc szcząkał zębami w samochodzie, gdzie klimatyzację miał nastawioną na cały regulator. Kiedy ścierał pot z powiek, miał wrażenie, że dotyka lodu. „Szukaj koła” - powtarzał sobie w myślach - „Oka w ziemi”. Stale obserwował doliny pojawiające się kolejno poniżej szosy. Czego miał szukać?



Drogowskazu? Jakiejś budowli? Drogi?

Dwadzieścia kilometrów przed Ranongiem zauważył wylot wystającej ze wzgórza ogromnej rury. Zwolnił. Betonowy cylinder przypominał jakąś uszkodzoną część ciała, sterczącą z rozplatanego brzucha. Marc zdał sobie sprawę, że źle ocenił odległość. Ta rzecz znajdowała się znacznie dalej, niż sądził na pierwszy rzut oka: na dnie przepaści. Było to coś w rodzaju porzuconego placu budowy.

Ogromna kula wznosiła się nad zakrzywionymi rurami, nad zatopionymi w błocie metalowymi szynami. Nagle pod ścianami pojawili się ludzie, mniejsi od mrówek. Wszyscy mieli na głowach zapalone jeszcze lampy czołowe. Górnicy. Marc zrozumiał, że dotarł na miejsce. Oko w ziemi: kopalnia. Zaparkował na poboczu i otworzył trzeci dokument.

Za kołem skręcisz w pierwszą drogę na lewo. Po mniej więcej pięciu kilometrach zobaczysz przystań. Nie szukaj drogowskazu, to nawet nie jest port, tylko zwykły pływający pomost, od którego odbijają poszukiwacze bursztynu, zapuszczający się za granicę birmańską.

Tam znajdź jakiegoś właściciela łodzi i poproś, żeby cię zawiózł na Koh Rawa-Ta, jedną z wysp niedaleko od brzegu. Nawet z twoim akcentem - zrozumie Cię. Bądź hojna: dostęp do Koh Rawa-Ta nie jest łatwy z powodu przybrzeżnych raf koralowych.

Kiedy będziesz miała wyspę w zasięgu wzroku, otwórz, jeszcze na łodzi, następny dokument. Znajdziesz w nim ostatnie instrukcje.

Drzę, pisząc te słowa, ukochana, bo wyobrażam sobie, jak je czytasz. Znaczy to, że tylko kilka kilometrów dzieli Cię od Prawdy.

Lizo moja, podaję Ci rękę. Ponad ludźmi. Ponad pozorami i kłamstwami.

Ponad przeciętnością i rozumem - odnalazłem Ciebie.

Teraz to Ty musisz mnie odnaleźć.

Marc zamknął ostrożnie pokrywę swego laptopa. Odnotował, że poniesiony namiętnością Reverdi nie używał już trzeciej osoby. Maski opadały. Czas dystansu, środków ostrożności minął. Uruchomił kluczykiem silnik i ruszył w kierunku wyspy.

## 62.

Kiedy dotarł do pomostu, zanosiło się na burzę. Marc uśmiechnął się mimo woli. Wszystko zgadzało się doskonale. Wczoraj w Koh Surin nie doszło do spotkania z monsunem, więc czekało go ono dziś, na decydującym etapie podróży.

Kiedy parkował samochód, spadły pierwsze krople deszczu. Nie był to spodziewany potop, tylko jego nieśmiała zapowiedź. To, co Azjaci nazywają *pockets rain*. Kieszenie deszczu czy kieszonkowy deszcz? Marc nigdy tego dobrze nie zrozumiał.

Przystań była nędzna. Przypominała cmentarz statków przy cieśninie morskiej. Barki wyciągnięte na ląd, jakieś porzewiałe łajby do połowy zapadnięte w czarnym błocie, przeżarte solą i porostami. Po drugiej stronie spomiędzy namorzynów wyglądało kilka baraków, stojących na palach wysokich jak kominy fabryczne. Było zupełnie pusto.

Znalazł jednak jakiegoś rybaka: siedział na swojej barce i naprawiał sieci. Miał cerę jaguara, zupełnie czarną. Marc wymówił kilkakrotnie nazwę wyspy Koh Rawa-Ta. Facet zaczął od trzech tysięcy bahtów. Marc targował się trochę pro forma. Zastanawiał się zwłaszcza, jak zmieści się w czasie. Pokazał rybakowi swój zegarek: siedemnasta trzydzieści. Tamten pokazał na tarczy, że na wyspę dotrą o szóstej, czyli praktycznie po ciemku. Będzie miał tylko pół godziny na znalezienie ostatniego znaku.

Ale nie mógł dłużej czekać. Za nic w świecie nie chciał spędzić tu jeszcze jednej nocy. Pobiegł do samochodu po pelerynę od deszczu, latarkę, komputer i strzykawkę. Mężczyzna pomógł mu wejść na pokład i zainkasował dwa tysiące bahtów. Marc usiadł na dziobie. Była to typowa w tych okolicach barka, bardzo wąska, z jednym tylko silnikiem, zamocowanym na długim pręcie, na którego końcu obracała się śruba.

Rybak manewrował. Płynęli przez bagnisty labirynt, aż dotarli do ujścia. Woda była czarna, jakby zarażona burzą. Każda zmarszczka na wodzie, każda fala miały gęstość mazutu. U wyjścia z mokradeł pojawiły się fale. Najpierw brunatnożółte, żelaziste. Marc miał uczucie, że przepływa przez jakieś prehistoryczne epoki. Wiek brązu, wiek żelaza...

Horyzont przypominał ołowiany drut, napięty i czarny. Wydawało się, że cały monsun tu się skoncentrował, tworząc twardy i zwarty pas. Przez chmury barwy zastygłej krwi przelatowały błyskawice. Kurtyny deszczu tworzyły miejscami strefy ciemności i nadawały wszystkiemu jeszcze posepniejszy wygląd.

Marc osłaniał swój sprzęt peleryną. Morze wokół łodzi miało teraz kolor indygo. Spojrzał na rybaka. Stał na tyle łodzi niczym gondolier i wskazywał ruchem podbródka w prawo. W zmętniałym powietrzu ukazały się samotne wyspy.

Pokryte dżunglą przypominały szmaragdy leżące na powierzchni wody. Rybak wyciągnął przed siebie palec. Koh Rawa-Ta była środkową z nich. Jakby po to, by podkreślić jego gest, z nieba wystrzeliła błyskawica i oświetliła tę właśnie roślinną kopułę.

Płynęli jeszcze dwadzieścia minut. Marc zaczął teraz zauważać szczegóły: połacie szarych skał nadmorskich, drzewa uginające się pod ciężarem lian, obwódki białej piany znaczące granicę między morzem a lądem. Właściciel łodzi zgasił silnik o dwieście metrów od brzegu. Nie można było płynąć dalej: dno było za blisko. Reverdi uprzedzał o tym Marca. Ale musiało być jakieś przejście, jakiś sposób, żeby dobić do brzegu... Nadszedł już czas, żeby otworzyć czwarty list. Rozpostarł pelerynę nad laptopem i kliknął na ikonkę.

Ukochana,

dotarłaś zatem w poblize wyspy. Teraz będziesz musiała poczuć wnętrze klejnotu. Przypomnij sobie: w Koh Surin znalazłaś oddech, otaczający każdą Izbę Czystości. Poszukaj tu tego samego tchnienia i trafisz na miejsce...

Bambusy. Musi znaleźć na Koh Rawa-Ta gaj bambusowy. Ale jak przybić do brzegu? Czytał dalej.

Kiedy już odnajdziesz Izbę, będziesz musiała zagłębić się w jej cień. Tam coś czeka na Ciebie. Kościół.

Musisz znaleźć ten kościół, moja słodka, i przejść przezeń. Minać nawę, transept, absydę... Aż znajdziesz ramiona krzyża, gdzie oddycha się wonią kadzidła.

Wtedy pobierz strzykawką, unoszącą się na tych wysokościach czystość. To tu znajduje się Tajemnica.

Barwa Prawdy.

Która jest też Barwą Kłamstwa.

Teraz, ukochana moja, zamykam oczy.

I wyobrażam sobie Ciebie w obliczu Tajemnicy.

Kiedy już olśni Cię to ciemne światło, będziemy mogli się połączyć. Tajemnica zespoli nasze dusze i ciała w jedną jedyną Łaskę.

Kocham Cię.

Marc zaklął przez zęby pod peleryną. Nic nie rozumiał z tego listu. Ani cienia

wskazówki, jak dotrzeć do wyspy. Co do rozważań o kościele i ramionach krzyża, to były one wszelkie rekordy hermetyczności.

Tymczasem zbliżyli się jeszcze trochę, o jakieś sto metrów. Marc zmrużył oczy, ale nie wypatrzył pośród liści żadnej szczególnej jasności: jak okiem sięgnąć - żadnych bambusów. Dał rybakowi znak, że chciałby opłynąć wyspę wokół. Tamten skrzywił się w odpowiedzi. Rozpostartą dłoń pokazywał stale, jak tutaj jest płytko. Marc wyciągnął następne tysiąc bahtów. Mężczyzna wsunął je do kieszeni i burcząc coś pod nosem, uruchomił silnik.

Kuter zatoczył tyłem i zrobił pętlę, żeby okrążyć wyspę z prawej. Rybak posuwał się znaną sobie trasą pośród ławic koralowych zalewanych wodą. Marc wciąż nie dostrzegał małych listków. Tylko w gęstych gajach, brązowych i gęstych, tworzyły się czasem zielone luki. Pomyślał o *Wyspie umarłych*, słynnym obrazie Böcklina. To była ta sama chorobliwa obecność, to samo tajemne skupienie skryte w głębi dżungli.

Światło wciąż przygasało. Marc wyliczył sobie, że ma do dyspozycji nie więcej niż kwadrans. Płynęli teraz wzdłuż skalnego brzegu spadającego stromo wprost do morza. Pojawiła się plaża z palmami tak pochylonymi, że zdawały się rosnać poziomo.

Wciąż nie było bambusów.

Robiło się ciemno. Deszcz padał coraz mocniej. Rybak zrobił ręką wyrazisty gest: muszą wracać. Marc odpowiedział mu innym znakiem: płyn dalej! Taj pokręcił przecząco głową i nie czekając na odpowiedź, zaczął zawracać.

W tym momencie charakterystyczny szelest dotarł do uszu Marca. Lekki szmer, gęsty, omdlewający. Wiatr przynosił dźwięki i natychmiast unosił je dalej jak jakiś muzyczny cud. Teraz Marc był pewien: bambusy są tu gdzieś blisko za skałami.

Łódź obróciła się, wpłynęła między dwie fale i w tej samej chwili Marc zobaczył tuż ponad plażą jasnozieloną wstęgę. Liście zdawały się tworzyć między twardymi pniami dwóch palm jakiś niematerialny obłok. Wrzasnął, wskazując tam palcem. Rybak znów pokręcił przecząco głową i kontynuował obrót.

Marc bez wahania zacisnął w kieszeni jednorazową strzykawkę, po czym zdjął pelerynę i skoczył w morze. Chłód wody odebrał mu oddech. Miał wrażenie, że wchodzi w ciało burzy. Prąd porwał go natychmiast i wciągnął w korytarz między dwiema rafami. Wymachiwał ramionami, objął się, ścierał sobie brzuch, ranił łokcie o kamienie. Ale oto stał się mały cud: prąd niośł go ku brzegowi... Siłą woli znieruchomiał: zrobił się lekki, czuł, jak czubki koralu muskają go po ciele.

Dotarł wreszcie do brzegu i wyszedł z wody. W świetle księżycy plaża wydawała się

blada jak kreda. W miarę jak oddalał się od przybrzeżnego przyboju, lepiej słyszał śpiew liści. Ich szelest był już ogłuszający. Jak śmiech wiedźm. Marc odwrócił się w stronę morza. Rybak tkwił w tym samym miejscu. Wydawał się wściekły. Mimo wszystko Marc był pewien, że na niego zaczeka.

Skierował się ku rosnącemu na plaży gajowi bambusowemu. Po kilku krokach wyraźniej dostrzegł kształt, który, jak mu się wydało, zobaczył z łodzi.

Chata na palach, oparta o skałę.

Zwykły bungalow z tarasem. Około czterech metrów wszerz. Pięć w głąb. Kryjówka Robinsona Crusoe. Albo po prostu składzik na sprzęt do nurkowania. Nagle ogarnął go niewytłumaczalny niepokój. A jeśli tam na niego ktoś czeka? Jeśli Reverdi zorganizował mu spotkanie z kimś innym? W jednej chwili wróciły do niego najbardziej zwariowane hipotezy: ojciec, adwokat... Opanował się, ale postanowił obejść najpierw chatę dookoła.

Zapalił latarkę i wślizgnął się między tylną ścianę a skałę. Oczywiście - nikogo. Przyjrzał się powierzchni ścian. Jeden rzut oka potwierdził mu to, czego był z góry pewien: bungalow został uszczelniony. W każdej szparze tkwiły włókna rattanu lub silikon.

Kiedy znalazł się znów z drugiej strony chaty, zauważył, że noc się rozjaśniła. Podniósł oczy. Chmury pierzchały. Księżyc w pełni błyszczał jak zimne słońce. Mieniący się piasek, podziurawiony strugami deszczu, przypominał powierzchnię z macicy perłowej. Zgasił latarkę i zanurzony w nocnym świetle poczuł się lepiej.

Wszedł na taras. Znów stwierdził ślady uszczelniania. Próg. Szpary okienne. Spojenie ściany z podłogą. Wszystko było zatkane. Przez krótką chwilę myślał, że w środku jest trup, ale to było niemożliwe. Reverdi nie postawił stopy w Tajlandii od co najmniej sześciu miesięcy, nigdy nie zostawiłby ciała, by gniło przez tyle czasu, nawet w zabezpieczonym pomieszczeniu.

Marc stanął na wprost drzwi i kopnął w nie. Przemoczone ubranie krępowało mu ruchy. Drzwi ustąpiły. Wyrwał je do końca z zawiasów, żeby blask księżycy przedostał się do środka. Chatynka była pusta lub prawie pusta. Butla ze sprężonym powietrzem. Reduktor zbielewały od soli. Ciężarki do zanurzania. Lampa czołowa. Żadnych oznak walki czy aktu przemocy. Żadnego śladu krwi lub wosku ze świecy. Żadnego podejrzanego przedmiotu. Niewinne schronienie człowieka stroniącego od ludzi.

Co właściwie miał tu znaleźć? „Kiedy już odnajdziesz Izbę, będziesz musiała zagłębić się w jej cień. Tam coś czeka na Ciebie. Kościół”. Pojmował teraz rozumowanie zabójcy. Poświęcając swe ofiary, wierzył, że je oczyszcza. One same stawały się świętymi przybytkami. „Kościółami”.

Tupnął obcasem w podłogę. Nie wyczuł pod nią drugiego dna. Przypomniawszy sobie, że bungalow stoi na palach. Najprostsze rozwiązanie: Reverdi zakopał trupa w piasku pod chatą.

Wyszedł i dał nurka pod budynek. Na czworakach przyglądał się powierzchni gruntu, martwym liściom, palom nadgryzionym przez zielsko - nic się nie wyróżniało. Bez wahania, nie bardzo nawet wiedząc, co robi, zaczął kopać gołymi rękami.

Bardzo szybko wpadł na najlepszą technikę posuwania się w głąb: wsunąć obie dłonie w piach, spleść je i ruchem koparki odrzucać, co zgarnie, za siebie. Od czasu do czasu zmieniał pozycję, siadał w dziurze, odpychając nogami kupki wykopanego piasku.

Po jakimś czasie, półprzytomny ze zmęczenia, był już w prawdziwej fosie. Kopał dalej, głową naprzód, czując, jak kraby ocierają mu się o czoło, przebiegają po ramionach. Kiedy wykopał dół na metr głęboki, wyprostował się i powiedział sobie, że wariuje. Nie ma tu żadnego ciała.

Nagle zamarł. Dziura u jego stóp poruszyła się. W ciemnościach coś błyszczało, mieniło się, ruszało. Rozległ się syk, potem drugi, zduszony przez piach. Węże. Marc odskoczył i starał się wydostać na powierzchnię. Na próżno. Bestie wślizgiwały mu się między stopy. Bieląły w świetle. Wiły się. Ohydne. Znieruchomiał. Węże znikły, nie ukąsiwszy go: cud.

- Strażnicy świątyni - szepnął do siebie.

Nie miał żadnej wątpliwości: to sam Reverdi umieścił tu gniazdo. Ostatni środek zabezpieczający przed ewentualnymi nieproszonymi gośćmi. Ale jak mógł ryzykować śmierć Elisabeth? Marc wyobrażał sobie logikę wariata: składał ją w ofierze losowi. Jeśli jest Wybrana, węże ją oszczędzą. Jeśli nie, to nie ma czego żałować...

- Bydlę kurewskie - mruknął Marc.

Ta pułapka przywróciła mu energię. Dowodziła, że pod spodem rzeczywiście coś się znajduje. Sprawdził dno rowu, by się upewnić, że droga wolna, i znowu zaczął kopać, ze ściśniętymi zębami, ze zdwojoną wściekłością. Zgięty wpół, zasapany, zagłębiał się w jamę coraz bardziej. Miał piach w ustach, w oczach, w uszach. Ciągle nic. Opadał z sił. Stał, zachwiał się, wreszcie osunął się na tyłek.

To było jak wyładowanie elektryczne.

Mimo swej wagi nie wywołał swym upadkiem głuchego odgłosu. Raczej szelest. Zerwał się jednym skokiem i zaczął gorączkowo usuwać piasek. Po kilku ruchach jego ręce natrafiły na jakiś przedmiot owinięty w plastik. Nie obawiał się kontaktu ze zwłokami. Przeciwnie, ten kształt, blady, srebrzysty, który odsłaniał się stopniowo, działał na niego hipnotycznie. Zdołał odsłonić tułów aż po biodra.

Pod plastikiem zwłoki były doskonale zachowane. Głowa, ramiona, biodra, wszystko rysowało się bardzo dokładnie. Skóra, niezwykle biała, zdawała się niepokalana, z wyjątkiem czarnych ran, które pod przejrzystym opakowaniem wyznaczały Drogę Życia. Całość sprawiała wrażenie aseptycznej czystości.

Od kiedy ta kobieta była martwa? Powinna być obgryziona przez robaki i kraby. Reverdi zastosował z pewnością jakąś technikę balsamowania. Albo niezwykle skuteczną metodę zabezpieczania przed gniciem. Marc przypomniał sobie własny reportaż o niemieckim „artyście anatomicznym”, wynalazcy techniki konserwacji ciał, którą nazwał „plastinacją”.

Odsłonił całkowicie nogi zabitej. Nie namyślając się, zawrócił i zaczął odrzucać piasek po obu bokach ciała, tworząc tunel prowadzący na zewnątrz. Potem położył się na brzuchu i chwycił trupa pod ramiona. Ręce ślizgały mu się po plastiku, który wydawał się pokryty jakąś oliwą, nasycony ochronnym balsamem. Wreszcie zdołał chwycić ciało i wyciągnąć je na zewnątrz. W tym momencie poczuł obrzydzenie, którego miał nadzieję uniknąć.

Oczywiście była to kobieta.

Jej twarz była sina, koścista. Oczy, lśniące w głębi orbit, przypominały szklane kulki. Nadzwyczaj cienkie wargi, uniesione, odsłaniały blade dziąsła, z których sterczały małe, okrutne ząbki układające się w zastygły grymas. Trup albinosa, pomyślał Marc. Nawet widoczne pod plastikiem włosy wydawały się białe.

Przeciągnął ciało jeszcze dalej, żeby je wydobyć spomiędzy liści otaczających pale. Było bardzo drobne. Jak zwłoki dziecka. Fosforyzująca skóra dziewczyny zdawała się przechowywać w sobie blask księżyca. Marc usiadł w wilgotnym piasku i przyglądał się kopercie leżącej na ciele, przymocowanej wielkimi agrafkami. Nagle przyszedł mu do głowy szalony pomysł.

Ta ofiara nie została zabalsamowana: poddano ją liofilizacji.

Reverdi ją wysuszył. Wydobył z niej cały płyn i w ten sposób zabezpieczył przed groźbą rozkładu. Potem zdołał umieścić ją w próżni jak żywność, którą się chce na długo zakonserwować.

Marc nie znał tej metody, ale był pewien, że morderca wykorzystał swój sprzęt do nurkowania. Zwłaszcza kompresor, żeby wytworzyć pod plastikiem próżnię.

Teraz Marc mógł przystąpić do pobrania. Wyciągnął z kieszeni strzykawkę. Klęknął przed kobietą, jakby się modlił, i skupił się jeszcze raz na wskazówkach zabójcy:

Minać nawę, transept, absydę... Aż znajdziesz ramiona krzyża, gdzie oddycha się

wonią kadzidła.

Marc wyobraził sobie plan kościoła i nałożył go w myśli na ciało. Nawą był z całą pewnością biust. Ale absyda? Pamiętał niejasno, że to tylna część kościoła, łuk, gdzie znajduje się ołtarz. A więc głowa. Transeptem musiała więc być część pośrednia między nawą a absydą, krtań, gdzie się znajdują niezbędne do życia organy. Wszystko to było naprawdę mętne. Ale gdzie się znajdowały ramiona krzyża? Po obu stronach nawy. Nagle go olśniło: płuca.

Hipotezę potwierdzał ten fragment listu:

...gdzie oddycha się wonią kadzidła.

Musiał wkłuć się w tę strefę, żeby pobrać resztki powietrza, którym ofiara oddychała w chwili śmierci. Fizyczne ślady lotnej materii, cząsteczki pigmentu wdychanego podczas agonii.

To była owa apoteoza.

Pochylił się i przyjrzał klatce piersiowej. Nie znał się na anatomii. Gdzie, dokładnie, znajdowały się płuca? Czy jego igła będzie dość długa, żeby dosięgnąć do pęcherzyków? Pomyślał o żebrach. Musiał wbić igłę między górne żebra, pod piersi.

Zaczął obmacywać tułów poprzez plastik. Robiąc to, zrozumiał inny jeszcze aspekt obrzędu. Reverdi nie uszczelniał Izby, żeby ją zabezpieczyć przed jakimś niebezpieczeństwem z zewnątrz. Przeciwnie: nie chciał dopuścić, by zapach z niej przedostał się na zewnątrz. Chciał „owijać” ciała w kadzidło, w wonie, przenieść je w inną sferę dzięki tym olejkom.

Marc postanowił wkłuć się między pierwszym a drugim żebrzem, licząc od górnej części klatki piersiowej. Ale znów się zawahał: czy ma zerwać powłokę, w którą trup był zawinięty, czy kłuć poprzez nią? Czy ma zdjąć folię, w którą była zapakowana strzykawka, czy po prostu przekłuć ją, wbijając igłę. Zdecydował się kłuć poprzez powłoki, niczego nie ruszając. Żeby zachować wszystko w maksymalnie aseptycznym stanie.

Zamknął oczy i wbił igłę. Ciało nie stawiało żadnego oporu. Jak sypki pył. Podciągnął tłok. Otworzył oczy i popatrzył na strzykawkę. Nie widział nic. W każdym razie żadnego koloru w cylindrze.

Kiedy tłok doszedł do samej góry, pochylił się jeszcze bardziej, żeby jak najostrożniej wyciągnąć igłę. Robiąc ten ruch, oparł się mimo woli na lewym barku trupa. Ramię złamało



się. Marc zawył. Plastik rozdarł się. Zobaczył, jak kończyna rozpada się, a pył skóry i kości rozsypuje wśród przezroczystych fałd. To ciało było tak suche, że kruszyło się jak szkło.

Marc zrozumiał, że zlikwidował próżnię. Teraz trup rozłoży się w kilka dni. Powstrzymując jęk, wsunął strzykawkę do kieszeni. Zepchnął ciało z powrotem w jego mogiłę i odwracając wzrok, ponownie zasypał piaskiem. W myślach prosił o wybaczenie tę nieznaną, której twarz miały niedługo pożreć kraby.

## 63.

- Mamy problem.

Na progu celi stał Jimmy Wong-Fat. Jacques zastanawiał się, jakim cudem adwokat zdołał dotrzeć aż tutaj. Od kiedy znaleziono ciało Ramana, wszystkie budynki były zamknięte na mur. Żaden więzień nie miał prawa wyjść. Wizyty odwołano na czas nieokreślony.

- Mamy problem.

Reverdi wyprostował się na swojej macie i gestem pokazał adwokatowi miejsce obok siebie. Chińczyk jednak stał dalej.

- Zrobiono sekcję zwłok Ramana. Pewne szczegóły „techniczne” rzucają podejrzenia na pana.

- Jakie szczegóły?

- Nić, której użyto do zszycia warg, oczu i brzucha to nić chirurgiczna. Takie nici znajdują się tylko w izbie chorych.

- Nie tylko ja tam pracuję. I nie ja jeden miałem problemy z tym bydlakiem. Nawet tutaj trzeba dowodów, żeby człowieka oskarżyć.

Adwokat pominął tę uwagę milczeniem.

- Jest też tajemnicza sprawa z wnętrznościami.

- Wnętrznościami?

- Wnętrznościami znalezionymi w ciele Ramana. Nie należały do niego.

- Nie?

- To wnętrzności wieprzowe.

Jacques uniósł brwi. Jimmy przyglądał mu się swoimi skośnymi oczyma.

- Wieprzowe! Zdaje pan sobie sprawę, co to znaczy dla muzułmanina? Zabójca wyciągnął z brzucha jego organy i włożył w to miejsce flaki prosiaka. Potem zaszył ciało!

Jacques wyobraził sobie minę lekarza sądowego, który przeprowadzał sekcję. Muzułmanin pewnie nigdy nie widział z tak bliska wieprzowiny.

- A skąd wziął ten... surowiec? - spytał obojętnie.

Wong-Fat stanął przed nim na rozstawionych nogach. Wciąż trzymał w ręku swoją czerwoną teczuszkę jak małe oswojone zwierzątko.

- Z kuchni. Wszystko wskazuje na to, że były to flaki prosiaka, którego kolonia

chińska sprowadziła do więzienia z okazji jakiejś uroczystości. Mój Boże, i tak już był cały skandal przez tego prosiaka!

Reverdi wyobrażał sobie, że wykrycie wymierzonej przez niego kary rozbawi go bardziej. W rzeczywistości nie czuł nic szczególnego, myślał tylko o Elisabeth. Śpieszno mu było znów nawiązać z nią kontakt. Zapytał dla przyzwoitości:

- Czy znaleziono... „wnętrze” Ramana?

- Nie. I nikt nie zauważył, że wieprzowe flaki znikły. Wie pan dlaczego, prawda?

- Domyślam się, tak.

- Morderca wsadził wnętrzności Ramana do ciała zwierzęcia. A jego flaki Chińczycy zżarli wczoraj wieczorem. O Boże, ludzkie flaki!

Jacques oparł się o ścianę. Nie czuł nic, ale doceniał doskonale zgranie w czasie całej sprawy. Chińczycy, zlecniodawcy śmierci Hadży, wpięprzyli swojego zleceniobiorcę.

- No cóż, szef kuchni poleca... - mruknął.

Jimmy podniósł do góry palec wskazujący. Żyły pod skórą nabrzmiały mu z gniewu.

- Nie powinien pan dowcipkować, Jacques. Wszyscy wiedzą, że to pańska robota.

Tylko pan jest zdolny do takiej zbrodni!

Nie odpowiedział. Adwokat odezwał się znowu:

- I pomyśleć, jaki materiał dla pana zebrałem! Teraz wszystko na nic. Co pana naszło?

- Pochylił się, świecił się cały od potu i zdumienia. - Czy pan gwizdże na to, co się z panem stanie?

Reverdi zerwał się i chwycił jedną ze świec, które płonęły po drugiej stronie celi wśród pałeczek kadzidlanych, stojących na odwróconej skrzynce. Całość przypominała ołtarzyk domowy.

- Wierzysz w reinkarnację?

- Nie.

Jacques złapał drugą świecę, zgaszoną, i podszedł do adwokata.

- Jest pewna klasyczna metafora, objaśniająca wędrówkę dusz - powiedział i zapalił drugą świecę od pierwszej. - Ciała spalają się, ale ogień przechodzi po prostu z jednego do drugiego. Jest wieczny.

- I co to ma znaczyć?

Reverdi uśmiechnął się i włożył mu do ręki jedną ze świec.

- To znaczy, że nie umrę. Ożyję w innym wcieleniu.

Wong-Fat gapił się na mały płomyk między swoimi palcami: nie wiedział, co z nim zrobić. Postawił świecę, na pulpicie pełniącym funkcję ołtarzyka. W tym momencie zauważył

zdjęcie przymocowane do ściany ponad płomykami i kadzidłem.

- Kto jest na tym zdjęciu?

- Moja żona.

Chińczyk odwrócił głowę:

- Co?

- Jeszcze nie mamy ślubu. Ale chcę go zawrzeć, zanim mnie stracą.

Jimmy przyglądał się portretowi.

- To jakaś wykształcona dziewczyna? Paryżanka? - zapytał, dziwnym głosem.

- Malezyjskie prawo pozwala na to.

Jimmy wyprostował się. Twarz mu się zmieniła: rysy pogłębiły się, wargi drżały.

Wydawał się wstrząśnięty.

- Ale... naprawdę, mówi pan poważnie? Chce pan się połączyć z...

Nie był w stanie dokończyć zdania. Jacques spojrział na niego: grubas mało nie płakał. Można było ryczeć ze śmiechu. Wyobrażał więc sobie jakąś głębszą więź między nimi. Koleżeństwo, przyjaźń, a może nawet coś więcej... Reverdi szepnął tonem pocieszenia, jakby chciał mu dodać otuchy:

- To nie tak zaraz. Ona nie jest jeszcze gotowa.

- Jeszcze niegotowa?

Adwokat wrócił do zawodowego tonu.

- Ale o czym do diabła pan mówi?

Reverdi ukląkł przed zdjęciem. Musnął palcami twarz Elisabeth.

- Jej wtajemniczenie jeszcze się nie dokonało.

- Jest pan z nią wciąż w kontakcie? Nie było już więcej żadnego listu, nie...

Reverdi zamknął oczy.

- Czuję, jak nadchodzi. Zbliża się do mnie...

Wstał i spojrział Wong-Fatowi prosto w oczy.

- To już tylko kwestia dni.

## 64.

Piąty list składał się z trzech słów: „Jedź do Bangkoku”. Marc nie dał się prosić. Znad granicy birmańskiej ruszył ostro i jechał całą noc, zatrzymując się tylko dla nabrania benzyny. Po dziewięciu godzinach jazdy dotarł o piątej rano do lotniska w Phuket. Tam przespał się przez dwie godziny, zwinięty w kłębek w swoim suzuki, ściskając wciąż pod peleryną strzykawkę - swój łup, swój talizman. Obudził się na wpół zlodowaciały, na wpół w gorączce, w samą porę, żeby złapać pierwszy lot do Bangkoku.

Od czasu wyprawy na wyspę zmarłych sprawa zawartości strzykawki nie dawała mu spokoju. Na oko sądząc, zawierała tylko lotny gaz, lekko zabarwiony limfą i jakimiś różowawymi cząsteczkami. Czy naprawdę była to Barwa Prawdy? Co pobrał z płuc ofiary? W jaki sposób ta próbka ma pozwolić mu zrozumieć cały obrzęd?

Przyjechawszy do stolicy, uspokoił się nieco. Był szczęśliwy, że odnalazł normalne życie, monotonne huczenie samochodów, znajomą obojętność drapaczy chmur. Widziany z autostrady błękit megapolii podziałął na niego kojąco. Był to z pewnością efekt czystego nieba odbijającego się w przeszklonych wieżowcach.

W samym mieście wrażenie było zupełnie inne. Bangkok pękał od własnej siły. Dusił się od nowych budowli, od ruchu, od dławiącego rytmu. Ogromne betonowe mosty wdzierały się gwałtem w ulice, rozpychając budynki, narzucając panowanie nowego świata, ślepego i triumfującego. Asfalt był wszędzie, pokrywał całe dzielnice, zalewał uliczki. Wydawało się, że wszystkim tu śpieszno pogrzebać przeszłość, jakby była trupem, którego wypada się wstydzić.

Podskakując razem z taksówką na wybojach, Marc czytał instrukcje zawarte w szóstym załączniku:

Udaj się do szpitala Siriraj. Jedź z lotniska taksówką wzdłuż rzeki, aż dojedziesz do przystani autobusów rzecznych. Kup bilet do przystanku Pran Nok, zwanego też Wang Lang. Kiedy tam dotrzesz, otwórz następny dokument.

Marc zapłacił kierowcy i wszedł na pokład. Otepiały przyglądał się obojętnie kontrastom miasta. Na porośłych zielenią wyspach stały baraki z brązowego drewna, a nad

nimi wznosiły się nowoczesne wieżowce. Stupy i pagody wciskały się między cytadele ze stali i betonu. Barki w kształcie liści mijały się z ryczącymi ślizgaczami... Cały ten świat zdawał się pogrążony w gorączce, chory. Nawet pasażerowie jadący z nim razem wyglądali na skołowanych, szarych, brudnych.

Wokół targowiska przy Pran Nok tłum był tak gęsty, że uniemożliwiał zejście ze statku. Marc znalazł pustą ławkę w oddzielonej kratą części stacji i otworzył siódmy załącznik. Przypomniała mu się Siódma Pieczęć Apokalipsy.

To, co przeczytał, wprawiło go w osłupienie, ale nie miał już wyboru.

Wcisnął się w tłum. Handel zalewał chodniki i wypływał aż na jezdnię. Niezliczone budki z grillami, maszynkami gazowymi, płytkami elektrycznymi powiększały jeszcze panującą w powietrzu duchotę. Przepychał się przez ten galimatias, zauważając mimochodem aromatyczne naleśniki, kłęby gorącej pary, przezroczyste ciasta o świetlistych kolorach, chrupiące racuchy, ryby o przypieczonej skórce i białym mięsie...

Doszedł do szpitala Siriraj, ale minął go. To nie był jego ostateczny cel. Reverdi wskazał mu laboratorium analiz medycznych, mieszczące się kilka numerów dalej przy tej samej ulicy. Miał tam odnaleźć chemika nazwiskiem Kantamala, ekologa, który robił cichaczem analizy próbek, świadczące o machinacjach wielkich firm przemysłowych.

Gdzie Reverdi go poznał? Marcowi było wszystko jedno, miał inne rzeczy na głowie. Musiał się teraz wykazać znajomością rzeczy przed fachowcem. Znał nazwiska, terminy, a nawet odpowiedzi, którymi miał wspierać swoją prośbę.

Popchnął matowe drzwi laboratorium i znalazł się w środku przed kontuarem białym jak kawał kry lodowej. Spytał o Kantamale. Po paru sekundach pojawił się wysoki Taj w niepokalanie białym kitlu. Ciemna cera, długie włosy związane w koński ogon, niechętny wyraz twarzy. Rozchmurzył się, kiedy Marc wymówił nazwisko angielskiego ekologa, które podał mu Reverdi.

Wyszli na zewnątrz. Kantamala zapalił papierosa. Kron Tip, miejscowa marka. Zapytał po angielsku konspiracyjnym szeptem:

- Co mamy dzisiaj?

- Trupa. Otrucie.

Kantamala zmarszczył brwi.

- Trup? Gdzie?

- Nic nie mogę powiedzieć.

Taj łączywie zaciągał się papierosem. Na potwornie zanieczyszczonej ulicy wyglądało to na podwójne samobójstwo.

- Potrzebuję dokładniejszych danych. Trup to gorąca sprawa. Nie jestem przyzwyczajony...

- Sam nic nie wiem. Zdaje się, że chodzi o kopalnię, niedaleko Ranongu...

Improwizował, ale nazwa zdawała się podobać Kantamali.

- To mnie nie dziwi! Używają tam rtęci i...

- W każdym razie to pilne. Czekamy na wyniki, żeby rozpocząć śledztwo.

Chemik kiwnął głową potakująco. Zaciągając się w skupieniu papierosem, stale rzucał nieufne spojrzenia przez ramię.

- Ale co z tym trupem? - upierał się. - Co się stało?

- Nie mam pojęcia. Wdychał jakiś gaz. Coś podejrzanego.

- Jaką masz próbkę?

Marc podał chemikowi swoją strzykawkę.

- Zrobiono punkcję płuc.

- Gówno.

Marc zrobił stanowczą minę.

- Jeśli dla ciebie to za ciężkie, to ja...

Kantamala wyrzucił swojego peta.

- Przyjdź za dwie godziny.

\*

Marc usadowił się przy stoliku w restauracji. Zakład mieścił się wprost na chodniku, więc mógł mieć stąd oko na matowe okna laboratorium. Mając taki punkt obserwacyjny, uspokoił się, jakby Kantamala nie mógł uciec z „jego” dowodem rzeczowym.

Zamówił herbatę. Nie był pewny swego żołądka, więc nie chciał ryzykować kawy. Miał w tej chwili kompletną pustkę w głowie, wyczerpanej przez zbyt wiele rozmyślań, odkryć, niepokojów. W świadomości zabrzmiały mu wersety Pieśni nad Pieśniami:

*Któraż to jest, co występuje z pustyni*

*jako promień dymu z wonnych rzeczy, mirry i kadzidła*

*i wszelkiego pachnącego prochu?*

Czekał tylko na to. Na zidentyfikowanie perfum lub kadzidła, których użył Jacques Reverdi. Wtedy - był tego pewien - zdarzy się cud. Ta ostatnia informacja zamknie koło, nada jakąś spójność całej sprawie.

Powtarzał to sobie w kółko niczym modlitwę. Ale bez przekonania. Śmierzące powietrze, upał, zmęczenie wprawiały go w senność.

Ocknął się i spojrzął na zegarek. Minęły dwie godziny, a on nawet tego nie spostrzegł.

Na ulicy nic się nie zmieniło. Z targu wciąż dochodziły te same nieznośne zapachy, z rur wydechowych samochodów wciąż wydzielał się trujący gaz. Marc ruszył w stronę laboratorium. Nogi uginały się pod nim.

- Jaja sobie ze mnie robisz?

Chemik, z piętami przylepionymi do wargi, wydawał się wściekły.

- Co znalazłeś?

- Nic.

- Jak to nic?

- Żadnego śladu zanieczyszczenia ani obcej substancji.

- To niemożliwe... Próbkę pobrano z płuca. On...

- Wierzę, ale twój facet nie umarł otruty. Umarł uduszony.

Marc podniósł oczy: widział rozmówcę jak przez mgłę.

- Twoja strzykawka zawierała mioglobinę, barwnik występujący w tkance mięśniowej i magazynujący tlen. Zanalizowałem ją. Jest nasycona w osiemdziesięciu procentach dwutlenkiem węgla.

Marc nie wiedział, co odpowiedzieć. Kantamala mówił dalej, zaciągając się wściekle swoim papierosem:

- Nie było żadnego otrucia. Twój gość niczego nie wdychał. Niczego. Nawet od tego właśnie umarł. Został uduszony. Ale nikt mu nie przycisnął poduszki do twarzy. Nie ma żadnego śladu urazu. Najmniejszego śladu wysięku w opłucnej. Takiego żółtawego płynu, który pojawia się wokół płuc po gwałtownej śmierci. Nie, twój klient umarł powoli, z braku tlenu, wdychając wytworzony przez jego własny organizm dwutlenek węgla.

Ulica kołysała się Marcowi pod nogami. Chemik podniósł głos:

- Nie wiem, co tam u was jest grane, ale ja już w wasze kombinacje nie wchodzę. Ten numer nie ma nic wspólnego z ekologią. To morderstwo, kapujesz?

Marc cofnął się w stronę jezdni między samochody, stragany, przechodniów. Oszłamiająca prawda jakby go poraziła.

Narzędziem zbrodni nie był nóż.

Była nim chata.

Izba Czystości działała jak maszynka do duszenia.

To był znak Reverdiego.

Mistrz bezdechu zabijał swoje ofiary, pozbawiając je tlenu.



## 65.

Marc dał nurka w tłum i wrócił ulicą Pran Nok do przystani autobusów rzecznych. Znalazł swoją ławkę ukrytą za kratą i zebrał w myśli wszystkie znane sobie elementy. Miał wreszcie modus operandi, ze wszystkimi szczegółami.

Najpierw zabójca zamykał swoją ofiarę w dokładnie uszczelnionej chacie i czekał spokojnie, aż zużyje cały znajdujący się w Izbie zapas tlenu. Jak długo mogła trwać ta tortura? Co najmniej wiele godzin. A może nawet dni...

Marc wyobrażał sobie kobietę zakneblowaną, skępowaną, oddychającą z coraz większym trudem, w miarę jak węglowa trucizna wypełnia jej płuca. Jacques Reverdi przyglądał się jej. Kontemplował śmierć, siedząc po turecku w przeciwległym kącie chaty i rozkoszując się widokiem dziewczyny, która związana, zakneblowana, jęczała bezgłośnie...

Kiedy nacinał ją nożem? Zapewne podczas tego oczekiwania. Ale wbrew temu, co Marc sobie przedtem wyobrażał, nie otwierał ran od razu. Zanim wykrwawił swoją ofiarę - pozwalał jej się udusić.

Tu w jego hipotezie coś się nie zgadzało. Dojście do krytycznego progu, do chwili kiedy ofiara zaczynała się dusić, musiało trwać wiele godzin: jak Reverdi to wytrzymywał? To oczekiwanie przekraczało jego możliwość utrzymywania bezdechu. Nagle, jak w świetle lampy błyskowej, jakby ostatni trybik wskoczył na swoje miejsce w maszynie, zobaczył w myślach butlę ze sprężonym powietrzem w pierwszej kryjówce i potem w drugiej. Nie zwrócił uwagi na ten szczegół, ale butle odgrywały tu szczególną rolę. Kiedy ofiara konała, zabójca oddychał sprężonym powietrzem, trzymając w ustach reduktor.

W tym stadium kobieta stawała się czymś w rodzaju barometru do mierzenia składu powietrza. Wedle tego, jak miotła się i dusiła, Reverdi oszacowywał stopień rozrzedzenia powietrza w Izbie. Każdy jej niemy jęk, każdy charkot stawał się dla niego wskaźnikiem rodzącej się czystości. Kiedy ofiara była tylko o kilka sekund od śmierci, Izba była gotowa.

Reverdi mógł przejść do czynu.

Zrywał maskę i przechodził na bezdech.

To była ta niewiarygodna prawda: Reverdi nie obawiał się morderczej przestrzeni, bo mógł wytrwać sporo czasu bez oddychania. Czystość chaty była „jego” czystością.

Marc przypomniał sobie, co mówiła doktor Norman: że scena zbrodni była

przedłużeniem osoby Reverdiego. Lekarka i tym razem miała absolutną rację. Izba Czystości była projekcją ciała Reverdiego. Jego istota, jego moc, obejmowały całą Izbę.

Ofiara umierała w „królestwie” Reverdiego. W jego twierdzy, w bezdechu.

Marc znów zaczął odtwarzać w myślach scenę zbrodni. Zdątnego do oddychania powietrza praktycznie już w Izbie nie było, płomyki świec drżały, kobieta słabła.

I wtedy, zanim wydała ostatnie tchnienie, Reverdi chwycił świecę i przybliżył ją kolejno do ran, by płomień roztopił zaschły miód. Jednocześnie wyciągał knebel, aby ofiara mogła po raz ostatni pochwycić nieco powietrza. Ta metoda była skrajnie obrzydliwa, bo ciężko dyszące usta i płomień walczyły ze sobą o ostatnie cząsteczki tlenu. Świeca zabijała kobietę na dwa różne sposoby: roztopiając miód zlepiający rany oraz odbierając jej powietrze...

Marc zatrzymał w myśli ten obraz. Dlaczego Reverdi zabijał swoją ofiarę na dwa sposoby? Dusząc ją i wykrwawiając?

Wciąż nie mógł tego zrozumieć.

Skupił się znów i spróbował spojrzeć na wszystko oczami zabójcy. Widział krew tryskającą z ramion, ud, tułowia (odnotował przy okazji rację bytu lampek czołowych, które zalegały podłogę: w pomieszczeniu pozbawionym powietrza świece w końcu gasły; żeby widzieć swe dzieło do ostatniej chwili, Reverdi musiał korzystać z latarek na baterie). Marc podziwiał mimo woli krew wyciekającą z wielu źródeł niczym górskie strumienie. To umięzione ciało stawało się topniejącym w ogniu krwawym lodowcem.

Olśniła go kolejna myśl. Czerwień. To był jedyny cel „obrzędu”: podziwiać barwę szkarłatu w absolutnie czystej przestrzeni.

Brak tlenu musiał wpływać jakoś na barwę krwi. Musiało dojść do reakcji chemicznej między hemoglobina a dwutlenkiem węgla.

Marc potrzebował eksperta. Do głowy przyszło mu tylko jedno nazwisko: Alang, lekarz sądowy. Przeszukał kieszenie i znalazł telefon komórkowy, który wypożyczył w Phuket.

Lekarz odezwał się od razu. Kiedy tylko rozpoznał głos, wybuchnął śmiechem. Ta spontaniczność, ta radość trafiły Marca prosto w serce. Omal się nie rozplakał, ale opanował się i skupił na tym, co miał powiedzieć:

- Dzwonię z prośbą o radę. Mam pytanie.

- Ja też: trubadur szkocki, występujący w czerwonym płaszczu, który przerzucił się na hodowlę łososi?

Marc westchnął. Musiał wyrwać się z chwili obecnej, zastanowić, pogrzebać w swych

wspomnieniach muzycznych. Absurdalność sytuacji sięgała szczytu.

- Ian Anderson z grupy Jethro Tull.

- Uwielbiam cię. Co chcesz wiedzieć?

Marc zamknął oczy. Upał gniótł go z całych sił. Na powiekach zbierała mu się kurtyna potu.

- Wyobraź sobie, mówię wyraźnie, wyobraź sobie krew spływającą w pomieszczeniu całkowicie pozbawionym tlenu...

- Mów ściśle, chodzi o krew przechowywaną w laboratorium czy o krew z ранego ciała.

- Z ciała. Z rany.

- To ma związek z Reverdim?

- A niby z kim? Z ran spływa krew w uszczelnionym pomieszczeniu pozbawionym tlenu.

- Nie rozumiem, w takim razie twoja ofiara już nie żyje?

Marc omal nie zawył, ale zmusił się do zachowania spokoju.

- Wszystko dzieje się naraz: ofiara traci krew, a jednocześnie się dusi. Rzecz się dzieje w pokoju, gdzie panuje próżnia, rozumiesz?

- Mów dalej.

- Czy ten brak tlenu może mieć wpływ na barwę krwi?

- Raczej tak.

- To jaki kolor miałyby ta krew w takiej sytuacji?

- Czarny.

- Co?

- Krew byłaby czarna. Doskonale czarna. To tlen nadaje hemoglobinie czerwoną barwę. Bez niego krew byłaby bardzo ciemna. Dlatego żyły, które widać przez skórę, są błękitne: krew w nich zawiera mało tlenu, więc jest brunatna. Dlatego też ciało ofiary uduszenia jest szare. Zjawisko jest znane, nazywa się to sinicą, inaczej cyjanozą, od greckiego *kuanos*, czyli ciemnoniebieski. Moim zdaniem w tym wypadku krew byłaby szczególnie ciemna.

Marc spytał z niedowierzaniem:

- Dlaczego?

- Bo hemoglobina nie miałaby żadnego kontaktu z cząsteczkami tlenu, ani wewnątrz ciała, ani na zewnątrz. Byłaby to hemoglobina odtleniona, *dezoksyhemoglobina*. Krew tak ciemna, że aż czarna. W Malezji ta „czarna krew” jest przedmiotem wielu legend. Uchodzi tu

za kolor śmierci i...

Nie słyszał już słów Alanga. Przecież zawsze to wiedział. Pani ginekolog, z którą rozmawiał, kiedy zbierał materiały w Paryżu, powiedziała mu: ciemna krew. Krew z żył, krew z małą zawartością tlenu.

Czerń.

Czarna krew.

Jacques Reverdi i jego Poszukiwanie.

Przekształcić każdą kobietę w źródło czarnej krwi.

„Barwa Prawdy, która jest także Barwą Kłamstwa”.

Marc wyłączył się. W białym świetle słońca chwiał się na nogach. Ciemne plamki tańczyły mu pod powiekami. Był na granicy omdlenia. Prawda przenikała go jak sok, gęsty, wolno płynący, nasycony oczywistością, logiką, szaleństwem...

Musiał spojrzeć temu szaleństwu prosto w oczy.

Bo to był właśnie ów zbrodniczy popęd, który go intrygował, którego tajemnicę chciał poznać.

Ile kobiet zabił Reverdi, żeby zachwycać się widokiem absolutnej czerni?

## 66.

Uciekać.

Uciekać razem z tajemnicą.

Marc znów złapał taksówkę i przez cały Bangkok pojechał na lotnisko. Nic nie widział, nic nie słyszał, nic nie czuł. Ogłuszało go bicie własnego serca. Ścisnął torbę palcami tak mocno, że aż pobieleły mu kostki. Opuścić ten kraj. Opuścić ten koszmar. Zabrać swoją tajemnicę jak najdalej stąd.

Z uczuciem ulgi znalazł się w neutralnej atmosferze lotniska. Skierował się do kontuaru drugiej klasy, po czym się rozmyślił. Biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdował, i skarb, jakim dysponował, postanowił zafundować sobie powrót w pełnym luksusie.

Skierował się do okienka Cathay Pacific, jednej z najbardziej prestiżowych azjatyckich kompanii lotniczych, i kupił bilet pierwszej klasy. Potężny cios młotkiem w skarbonkę: całe pięć tysięcy euro za lot w jedną stronę. Mówi się trudno. A może to właśnie dobrze? Może to sposób, żeby uszarpnąć coś z zaliczki na honorarium, którą wydusi od wydawców? Odruchowo wciąż ścisnął swoją torbę. Swój laptop. Swoją książkę. Swoją przyszłość.

Jego bilet dawał wstęp do lotniskowego salonu dla VIP-ów. Wielka złotobrazowa przestrzeń cała w prostych, symetrycznych liniach.

Marc dopatrywał się w tej rygorystycznej przestrzeni symbolu. Wkraczał w czas porządku, ładu. W oczekiwaniu na lot postanowił zastanowić się nad ostatecznym kształtem fabuły swej powieści. Teraz, kiedy miał już punkt końcowy, łatwo było nakreślić linię przewodnią.

Skierował się do baru i nałożył sobie na talerz mnóstwo drobnych przekąsek. Wziął sobie też kielich szampana, po czym poszedł prosto do biznes center, wielkiej, oszklonej klatki, gdzie w równym szyku stały komputery, telefony, faksy.

Usiadł i włączył swój laptop do gniazdka elektrycznego. Zanim wziął się do właściwej pracy, połączył się z serwerem Voila i otworzył stronę logowania. Kilku kliknięciami zrezygnował z abonamentu. Program spytał go, czy jest pewien swojej decyzji, i zasygnalizował, że w skrzynce jest jeszcze jeden list: było to z pewnością zaproszenie na ostatnie spotkanie z Reverdim w rozmównicy więzienia Kanara. Marc jednym ruchem

potwierdził likwidację skrzynki pocztowej. Usunął na zawsze ostatni list i swój adres e-mailowy.

Odtąd żaden kontakt z Elisabeth nie był możliwy.

Elisabeth Bremen była martwa.

Martwa i pogrzebana.

Za kilka tygodni jej los podzieli Jacques Reverdi.

Osądzony i stracony.

Nic nie zostanie z tej epistolarnej namiętności, z tej fikcyjnej wielkiej miłości. Nic oprócz powieści, która, jeśli Marc przyłoży się nieco, może przynieść mu sukces.

Ale Elisabeth zasługiwała na bardziej uroczysty pogrzeb. Zamknął laptop, wsunął go do walizeczki, a potem, niosąc ją pod pachą, poszedł do toalety, zabrawszy przedtem z lady baru pudełko zapalek. Zaryglował kabinę i wsunął rękę do zewnętrznej kieszeni walizeczki. Trzymał w niej jako maskotkę zdjęcie Chadidży.

Sprawdził, że nie ma nad sobą czujników ciepła, po czym trzymając ostrożnie fotografię nad muszlą, zapalił ją. Przyglądał się, jak ogień pożera błyszczący papier, zjada twarz młodej Arabki. Uśmiechnął się do niej i mruknął:

- Żegnaj, Elisabeth...

Gdy ostatnie poczerńiałe szczątki wylądowały na dnie muszli, spuścił wodę i przypomniał sobie identyczną scenę sprzed lat. Kiedy w toalecie słynnego pisma zniszczył akt zgonu lady Diany. Wtedy ten mały stos ofiarny był jego pożegnaniem z księżniczką - i z zawodem paparazza.

Dziś był znowu na zakręcie życiowym.

Opuszczał Elisabeth i zostawał pisarzem...

Wrócił do biznes center i wziął się ostro do planu powieści. Dziwił go własny spokój. W gruncie rzeczy był to spokój pozorny, chwiejny. Wciąż czuł mdłości, a jego lęki mogły w każdej chwili eksplodować. Był współnikiem mordercy. Jako jedyny na świecie znał jego tajemnicę.

Przez krótką chwilę kusiło go, by zawrócić o sto osiemdziesiąt stopni: powrót do Malezji, kontakt z sędzią, zeznanie pod przysięgą, listy w charakterze dowodów rzeczowych... Nie trwało to długo. Wypił szampana i wziął się do pisania. Czemu miał ujawniać te zbrodnie na procesie, którego wynik i tak był przesądzony, skoro można z tego zrobić znakomity thriller?

Skupił się na swoim konspekcie. Zredagowanie tekstu zajęło mu niecałą godzinę. W trakcie pisania niczego nie poprawiał. Przeczytał tych dwadzieścia stron i był zadowolony.

Nie, słabo powiedziane: smakował każde słowo z zachwytem, niemal jak w transie. Ręce mu drżały. Serce waliło nierówno. Był pewien, że ma niesamowitą fabułę. Małą rewolucję w literaturze tego typu. Był tego pewien, tym bardziej że nie miał w tym żadnej zasługi.

To, co widział na lśniącej powierzchni swego laptopa, było czystym brylantem. W pełni przejrzystym szaleństwem Jacques'a Reverdiego. To on znalazł ten klejnot, wydobył go, oczyścił - a teraz oglądał ze wszystkich stron.

W zapale pomyślał, że mógłby już teraz zacząć szukać wydawcy. Znał tylko jednego, specjalistę od sensacyjnych afer, dla którego napisał już kiedyś kilka tekstów.

Znalazł jego adres elektroniczny w książce adresowej - tej prawdziwej, z poczty Marca Dupeyrata.

Przekształcił konspekt w list elektroniczny i napisał parę wierszy wprowadzenia, w którym wyjaśniał, że podczas podróży po Azji Południowo-Wschodniej przyszedł mu do głowy pomysł takiej fabuły. Zakończył pytaniem: „Czy wydawnictwo jest zainteresowane?”.

Znał odpowiedź. Miał zamiar wysłać całość, kiedy spostrzegł się, że wciąż nie ma tytułu. Bez wahania wypisał nad tekstem dużymi literami słowa:

**CZARNA KREW**

**POWRÓT**



## 67.

Kiedy otworzył oczy, samolot przebijał się przez chmury nad Paryżem.

Marcowi ten widok kojarzył się z przybrudzonymi starymi łachmanami. Miał w oczach, w nozdrzach brud i zapach Bangkoku i zdawało mu się, że czuje to nawet w samolocie, w tej biznesowej klasie, którą leciał. Wyrzął przez okienko: drobniutkie światełka Ile-de-France drgały w mętym świetle świtu. Tego ranka, piątego czerwca, Marc nie był zdolny zebrać myśli.

Spał tylko kilka godzin, kręcąc się bez przerwy w fotelu. Podróż przeszła mu w nieustannym napięciu. Członki miał sztywne, ręce mu płonęły. Zaraz po starcie podniecenie, które ogarnęło go w salonie dla VIP-ów, zamieniło się w niepokój i nic nie mogło go załagodzić: ani szaszłyk malajski, ani śliczne stewardesy, ani dobór filmów na ekranie. Marc odbierał wszystko poprzez przeżycia ostatnich dni. Lot stał się dla niego czternastogodzinną chorobą.

- Proszę zapiąć pasy.

Zastosował się do polecenia. W miarę jak się budził, jego myśli wracały na właściwe miejsce. Zauważył na składanym stoliczku tackę ze śniadaniem. Pochłaniając jajecznicę i rogaliki, myślał o swojej przygodzie, o swoich odkryciach, o swojej książce. Udało mu się. Przeniknął umysł mordercy. Znalazł się wewnątrz jego szaleństwa, niczym archeolog, który dostał się do grobowca królowej. A teraz był daleko. O dwanaście tysięcy kilometrów od zabójcy. Bezpieczny w swoim mieście. Miał ze sobą swój łup. Będzie mógł kontynuować swą podróż w wyobraźni. Niesiony fikcją, pogłębi swe badania, wykorzysta najmniejszy znak, najmniejszy ślad logiki w świecie mordercy.

Kiedy samolot dotknął ziemi, jego przecucie zmieniło się w pewność. Dotarł do kresu strachu: czekało na niego światło, prawdzie miała odtąd towarzyszyć sława, bogactwo i nareszcie - spokój wewnętrzny.

O szóstej rano lotnisko Roissy przypominało metafizyczne obrazy Giorgia De Chirico. Ogromna, pusta rotunda, w której egzystencja ludzka zdaje się tracić wszelkie punktu orientacyjne, wszelkie prawa. Wielkie odludzie w kształcie muszli, gdzie nieustannie rezonuje pustka bytu.

Na ruchomej taśmie jego torba ukazała się jako jedna z pierwszych - był to przywilej

VIP-ów. Chwycił ją i wyszedł w niepewne światło dnia. W taksówce wrażenie złachmanienia jeszcze się nasiliło. Pospępane światło osiadało na szybach jak kurz. Wzdłuż autostrady ciągnęła się równina, jakieś zapomniane, niezabudowane tereny, pobojuwiska, z których uprzątnięto trupy. Po długiej podróży, o świcie, często ogarniało go takie poczucie końca świata. Wrażenie, że kiedy go tu nie było, coś się stało: wojna atomowa, trzęsienie ziemi... Tylko tablice reklamowe wznosiły się pionowo jak ostatnie konwulsje zwyciężonego świata.

Marc patrzył na nie, nie widząc. Były to gigantyczne billboardy, zawieszzone na linach, powiewające w porannym wietrze jak żagle.

Nagle wrzasnął do szofera:

- Stój pan!

Tamten wzdrygnął się:

- Co jest?

- Proszę się zatrzymać!

- Chory pan jest? Chce pan... na wymioty się panu zbiera?

- STOP!

Kierowca niechętnie zwolnił i wjechał na pas awaryjny.

- Proszę się cofnąć.

- Co pan, nieprzytomny?

Marc zaklął, otwierając drzwiczki.

- Do kurwy nędzy...

Zeskoczył na asfalt, nie wypuszczając z ręki laptopa. Miał przeszło trzysta metrów do plakatu, który przed chwilą zauważył. Minął go i pobiegł jeszcze trochę dalej, żeby spojrzeć z większego dystansu.

Wreszcie zatrzymał się zasapany.

Chadidża, wysoka na cztery metry, stała przed nim i wpatrywała się swymi czarnymi oczami w horyzont.

Marc nie mógł złapać tchu, serce podeszło mu do gardła. Szukał wyjaśnienia gdzieś w głębi czaszki. A przecież sprawa była prosta: Vincent zrobił dobrą robotę. W czasie nieobecności Marca załatwił początkującej modelce poważny kontrakt.

Chadidża w kilka tygodni została gwiazdą.

Twarzą, którą pewnie można zobaczyć w niezliczonych egzemplarzach na wszystkich ulicach Paryża.

Zasługiwała na to. Ta absurdalna myśl przeleciała mu przez głowę. Była cudowna. Zwrócona do widza w trzech czwartych, obrzucała świat swym ciemnym, mocnym

spojrzeniem. W głębi tych nefrytowych tęczywek była też słodycz, wilgotne drzenie, przypominające błyski laki. Niedostępna czułość, osłonięta wysokimi kośćmi policzkowymi. To wrażenie twierdzy, mineralnej osłony, wzmacniały jeszcze czarne loki, które - pomysł stylistki czy fotografa? - były utrwalone żelem i przyklejone do skroni niczym tatuaż wykonany tuszem.

Obraz miał kolor sepii z odcieniem złota. Barwa nieco arabska, bliska henny, współgrająca ze szczupłą twarzą Chadidży i jej strojem - białą dopasowaną bluzą z kołnierzykiem à la Mao, haftowaną w arabeski podobne do ornamentów na kaszmirze.

Przypominała jednocześnie mużę z lat hippisowskich i jakąś begum, która uciekła z pałacu swojego nababa, ukradłszy mu jego strój. U dołu plakatu ozdobne litery podawały nazwę perfum, „Elegia”, obok flakonika, którego kształt kojarzył się z lampą Aladyna.

Marc padł na kolana.

Ona była cudowna, a on był robakiem.

W jednym skurczu zwymiotował całe śniadanie: jajecznicę, rogaliki, sok pomarańczowy. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z rozmiarów katastrofy. Ale domyślał się, że wpakował się na jakąś maszynę piekielną, działającą w swoim rytmie, poruszaną swoimi trybami.

Chwiejąc się, potykając, wycierając wargi mankietem, dotarł do taksówki. Kiedy padł na siedzenie, kierowca zawołał, podając mu papierową chusteczkę:

- Pan to nie jest taki jak inni...

- Jedziemy.

- Żaden problem! Po to tu jesteście.

Marc nie słyszał już nic, mózg miał jak w wacie. Paliło go w przętyku, a serce wybijało mu w piersiach dziury powietrzne.

- Ma pan komórkę?

Taksówkarz zaśmiał się szyderczo.

- Coraz lepiej! Co pan sobie myśli? Nie wynajął pan limuzyny, staruszku, a...

Marc rzucił na siedzenie obok kierowcy garść euro.

- Dawaj pan komórkę!

Szofer zerknął na banknoty.

- Dobra. Po co te nerwy.

Pogrzebał w kieszeni marynarki i lewą ręką podał Marcowi telefon. Marc wybrał numer telefonu stacjonarnego Vincenta, stojącego obok jego łózka. Po ośmiu dzwonekach olbrzym podniósł słuchawkę.

- Taa?

- To ja, Marc.

- Marc? Skąd dzwonicz? W Paryżu jest teraz strasznie wcześnie i ja...

- Jestem w Paryżu.

Szelest pościeli, matowy głos: niedźwiedź budził się.

- Co z tobą?

- Właśnie wylądowałem. Widziałem afisze.

- Afisze?

- Z kampanii reklamowej Chadidży.

Głos zrobił się jaśniejszy.

- Widziałeś? Niesamowite, co? - aż puchł z dumy. - Pierwszy strzał i od razu w dziesiątkę, jak to się mówi. Uprzedzałem cię... Ta mała to nowa Laetitia Casta. Żebyś widział wysokość kontraktu!

- Chciałbym wiedzieć, jaki jest zasięg kampanii: krajowa czy międzynarodowa?

Chwila milczenia.

- Po co ci to? - spytał wreszcie Vincent.

- Odpowiedz.

Olbrzym westchnął ze znużeniem.

- Podróż ci nie wyszła na dobre. Krajowa. Robią wielką promocją we Francji. Potem się zobaczy. To jest konsorcjum producentów perfum. Idą na całość i... - przerwał. - Nie rozumiem: co cię to wszystko obchodzi? Dopiero przyjechałeś do Paryża i...

- A prasa, co jest przewidziane?

Vincent westchnął znowu:

- Klasyczne media: prasa kobieca, tygodniki... Naprawdę, twoje pytania to...

- Reklama pojawi się w międzynarodowych wersjach tych pism?

- Nie. Kontrakt stawia to zupełnie jasno. Wyłącznie Francja i kraje frankofońskie.

- Pewien jesteś?

- To ja negocjowałem kontrakty - wybuchnął śmiechem. - Masz przed sobą agenta, stary. I co powiesz? Jestem teraz nowym człowiekiem. Odmienionym. A jak tam twoja podróż?

Marc wyłączył się, nie odpowiadając. Dojechali właśnie do Porte Bagnolet. Nad bulwarem okrężnym trzy kolejne billboardy ukazywały sylwetkę Chadidży.

Z tym kołnierzykiem à la Mao wyglądała na wspaniałego anioła śmierci.

## 68.

- Nie rozumiem pana.

Wydawcą Marca była kobieta.

Renata Santi. Brzmiało to jak pseudonim i rzeczywiście - było pseudonimem. Renata wymyśliła to nazwisko, kiedy debiutowała. Założyła wtedy wydawnictwo Santi, potem wyszła za mąż i utworzyła nową firmę na nazwisko męża - Casal. Później, kiedy rozwiodła się i sprzedała swoje udziały w obu przedsiębiorstwach, mogła wrócić do panieńskiego nazwiska, ale wtedy nikt by nie wiedział, kim jest. Zachowała więc swój pseudonim i utworzyła nowy dom wydawniczy - Lorenzo - od imienia swego syna.

Można było się w tym pogubić i Marc nie był pewien, czy wszystko dobrze zrozumiał. Pracował z Renatą nad kilku książkami-wywiadami, które trzeba było szybko podredagować i zaktualizować.

- Nie rozumiem pana - powtórzyła. - Pana konspekt jest pasjonujący, dlaczego pan rezygnuje?

Marc nie odpowiedział. Siedzieli w gabinecie Renaty na pierwszym piętrze domu o łukowych oknach w VI dzielnicy.

- Jeśli obawia się pan, że to będzie zbyt pracochłonne - mówiła dalej - możemy panu pomóc. Mamy specjalistów. Ale wiem przecież, że pan pracuje szybko i dobrze.

Marc uśmiechnął się na ten komplement. Czekał z zawiadomieniem Renaty o swojej decyzji do wtorku, dziesiątego czerwca, po wolnym od pracy poniedziałku. Tymczasem jego najgorsze przewidywania potwierdziły się: twarz Chadidży można było zobaczyć na wszystkich murach Paryża. Nie mógł nic zrobić przeciwko tej kampanii. Najwyżej schować się gdzieś w kącie w nadziei, że Reverdi nie trafi na to w jakimś francuskim piśmie.

- Dla naszej firmy to okazja, na jaką długo czekałam. Zrobić naprawdę wielki numer w dziedzinie beletrystyki. Moglibyśmy nawet zdążyć na wrzesień i zaskoczyć wszystkich bestsellerem w nowym sezonie wydawniczym.

Marc przyglądał się swojej rozmówczyni. Prawdziwy fenomen: wiek pod sześćdziesiątkę, włosy bardzo czarne, pewnie farbowane, długie i wijące się, niemal zakrywające upudrowaną na biało twarz. Szeroka w ramionach, przypominała hardrockowego piosenkarza, tym bardziej że ubierała się zawsze na czarno. Przyglądając się tym ciemnym

strojom, odkrywało się osobliwą kokieterię: miękka kamizelka, marynarska bluza, T-shirt z Petit Bateau, spodnie trzy czwarte sięgające do łydek, mocnych jak u kolarza, obciągniętych satynowanymi rajstopami.

- Jeśli to sprawa pieniędzy...

- Pieniądze nic do tego nie mają.

Wyprężyła się na fotelu w pozie władczyni. Mięiste, ciemnobrązowe wargi nadawały jej wygląd obrazonej.

- A więc co?

- Projekt mnie już nie interesuje, to wszystko.

- Szkoda. Naprawdę szkoda.

Machinalnie kartkowała konspekt, który Marc wysłał jej z lotniska w Bangkoku. Po co więc dzisiaj przyszedł?

- To jest pewny sukces. W dodatku pańska osobowość...

- Moja osobowość?

- Dobrze pan wie...

- Nie. Nie wiem.

- Ma pan... gorącą przeszłość. Były paparazzo. Tropiciciel skandali. A teraz specjalista od afer kryminalnych. Wszystko to przydałoby dodatkowej wiarygodności pańskiej książce.

- To nie jest dokument.

Uśmiechnęła się - jej górna warga odsłoniła białe zęby.

- Oczywiście. Ale widać wyraźnie, co pana natchnęło.

W Marcu krew zastygła.

- Co pani ma na myśli?

- Ten morderca pletwonurek aresztowany w Malezji. Wzorował się pan na Reverdim, prawda?

Na sam dźwięk nazwiska zabolął go brzuch. Jak mógł sobie wyobrażać, że nikomu to się nie skojarzy?

- Jeśli jego pan się boi - mówiła dalej - to Jacques Reverdi niedługo będzie tylko wspomnieniem. - Przysunęła mu jakąś gazetę. - Dzisiejsze wydanie „Le Monde”. Reverdi nie ma żadnej szansy, nie uniknie kary głównej. Jego adwokat popełnił samobójstwo.

Marc omal nie spadł z krzesła. Tytuł zajmował lewą szpaltę na pierwszej kolumnie dziennika. Przeczytał tylko kilka wierszy wprowadzenia do artykułu. Jimmy Wong-Fat powiesił się podczas weekendu w szopie swego ojca na Cameron Highlands.

Marc nie wiedział, co ma myśleć o tej wiadomości. W głowie pojawiały mu się tylko

strzępy wspomnień. Motyle. Szklarnie. Twarz Wong-Fata ojca, usiana owadami, jego krzyk: „Chcę, żeby umarł!”.

Owionął go intensywny zapach piżma. Renata pochylała się nad nim.

- Trochę szczęścia - powiedziała cicho swym niskim głosem - i moglibyśmy wydać w dniu egzekucji...

Marc wstał, chcąc wydobyć się z tego chwilowego zlodowacenia. Instynktownie domyślał się, dlaczego adwokat skończył z sobą. Reverdi znęcał się nad nim i pewnie zrezygnował z jego usług. Zboczony tacinsynek, który miał nadzieję na „wtajemniczenie”, zasłużył sobie na jego wściekłość. A ta wściekłość mogła mieć tylko jeden powód: brak wiadomości od Elisabeth.

Jej zdrada.

Był pewien: odpowiedzialny za to samobójstwo był Reverdi. Potrafił zabijać na odległość. Poprzez mury więzienia. Czy jego potęgą zdoła dosięgnąć również jego, Marca?

Odepchnął gazetę w kierunku swej rozmówczyni.

- Przykro mi, Renato. Nie napiszę tej książki.

## 69.

Tydzień później zmienił zdanie.

Renata dzwoniła do niego z dziesięć razy. Podniosła swoją propozycję finansową do pięćdziesięciu tysięcy euro. Niebotyczna suma: za swoje inne książki Marc nigdy nie dostał więcej niż dziesięć tysięcy. Takie honorarium świadczyło o nadziejach szefowej wydawnictwa.

Ale pieniądze nie miały nic wspólnego z jego decyzją.

Przez tych kilka dni śledził pilnie aktualne wydarzenia związane z Reverdim, którym zainteresowano się na nowo po samobójstwie Wong-Fata. Przeczytał wszystkie artykuły. Skontaktował się ze znajomymi korespondentami i dziennikarzami z Kuala Lumpur, nie wspominając nic o swoim pobycie w Malezji.

Założył nawet teczkę z materiałami poświęconymi Jimmy'emu i dowiedział się szczegółów o jego ostatecznym gościu. Adwokat wrócił do ojca, do jego domu na wyżynach Cameron Highlands, w niedzielę ósmego czerwca. Powiesił się w pomieszczeniu, które służyło za skład owadów przeznaczonych na sprzedaż: Marc mógł sobie wyobrazić szopę pełną motyli, skarabeuszy, skorpionów. Koszmarne miejsce dla obrzydliwej śmierci. Jimmy nie zostawił ani słowa - i nigdzie nie znaleziono materiałów, które przygotowywał do obrony Reverdiego.

Czytając to wszystko, Marc dowiedział się też, że szef straży więziennej w Kanarze, niejaki Raman, został kilka dni wcześniej zamordowany. Zdaniem malajskich dziennikarzy poważne podejrzenia ciążyły na Reverdim, ale nie znaleziono żadnego dowodu. Jeszcze jeden gest wywołany wściekłością? Nie: w tym czasie Jacques nie miał żadnego powodu, by podejrzewać Elisabeth o zdradę. Marc pamiętał natomiast, że trzeciego czerwca uprzedzał on Elisabeth, że w więzieniu będzie draka. Wiedział więc, że Raman zostanie zamordowany. Bo on sam miał to zrobić?

Ale najważniejsza była inna informacja. Jacques Reverdi nie szedł ku śmierci: biegł do niej. Odmówił wynajęcia nowego adwokata i wedle tego, co pisali dziennikarze „New Straits Times” i „Star”, popadł w kompletną niemotę, której nikt nie umiał sobie wytłumaczyć. Odwiedzał już tylko więziennych duchownych - imamów i kaznodziejów muzułmańskich. Jednocześnie dobiegało końca wstępne śledztwo. Jego ustalenia nie



pozostawiały wątpliwości co do winy Reverdiego.

Marc nie musiał więc niczego się obawiać ze strony tego potwora. Nie było też żadnego ryzyka, że pletwonurek odkryje w ten czy inny sposób oszustwo ze zdjęciem. Pograżony w milczeniu, otoczony islamskimi fundamentalistami, był teraz - i na zawsze - odcięty od świata zewnętrznego.

Stwierdziwszy to, Marc postanowił doprowadzić swój zamiar do końca.

Przepracował całe lato.

Najpierw u siebie w pracowni.

Potem w pewnym domu na południu Francji, użyczonym przez Renatę.

Jego notatki, dokładne, pisane na gorąco, pozwalały mu posuwać się naprzód bardzo szybko. Ponad dwadzieścia stron dziennie. Marc pisał w nieustającym transie. Czasem przerywał i odczytywał ukończone części: sam był przerażony. Z biegiem rozdziałów utożsamiał się coraz bardziej z mordercą. Rozwodził się nad okrutnymi, sadystycznymi szczegółami zbrodni. Pisał tonem tak prawdziwym, jakby to był osobisty dziennik. W takich chwilach przypominał sobie Patang, swój kryzys, pogoń za prostytutkami...

Mimo tego utożsamienia Marc był jednak rozczarowany. Nie uchwycił najważniejszego - samej istoty zbrodniczego popędu. Rozkoszy, jaką daje zbrodnia. W pewnym sensie przekroczył Czarną Linie. Był to jakiś sukces, ale pragnienie zniszczenia, głód zadawania bólu były mu nadal obce. Zbliżył się tylko do potworności, ale ani jej nie rozumiał, ani nie odczuwał. Wciąż nie czuł smaku zła, podniecenia krwią.

Właściwie powinien się z tego cieszyć.

Przeciwnie jednak - czuł jakieś dziwne rozgoryczenie. Nie wypełnił swojej misji. Nie dotarł tak daleko, jak powinien był przez pamięć dla Sophie.

Pod koniec lipca miał w ręku pierwszą wersję książki.

Przez dwa miesiące był kompletnie obojętny na rzeczywistość. Nie zwrócił uwagi ani na upały nękające całą Europę, ani na śmierć Marie Trintignant zatłuczonej na śmierć przez kochanka.

Przebywał teraz w innym świecie.

Pisał *Czarną krew* - historię pletwonurka mordercy.

Zachował w zasadzie fabułę nakreśloną w konspekcie.

Przygody samotnego dziennikarza, który wędruje przez Azję śladami seryjnego zabójcy. Odstąpił od oficjalnej historii Reverdiego, ale zachował dwa kluczowe elementy, które były pomostem do prawdziwego mordercy: wszystko działo się w Azji Południowo-Wschodniej, a bohater był instruktorem nurkowania, byłym wyczynowym pletwonurkiem.

Zachował etapy własnych poszukiwań. Drogę Życia. Znaki Wieczności. Izbę Czystości. Czarną Krew. Co do scenerii, to wystarczyło mu przepisać swoje notatki - opisy mijanych okolic. Pozmieniał tylko nazwiska i miejsca.

Poza tym wzmocnił napięcie, wymyślając dramatyczny kontrapunkt. Równoległe z poszukiwaniami bohatera morderca więzi młodą turystkę, którą ma zamiar złożyć w ofierze. Książka ukazywała na zmianę dwa punkty widzenia, dwie historie, łączące się z sobą w chwili ostatniego starcia.

Jedynym słabym punktem książki było wydarzenie, które Marc musiał po prostu zmyślić: szok przeżyty przez zabójcę. Nie wiedział, dlaczego Jacques Reverdi stał się bezlitosnym drapieżnikiem, spragnionym czarnej krwi. Podobnie jak nie wiedział, co oznacza to zdanie: SCHOWAJ SIĘ SZYBKO, TATO IDZIE! Albo dlaczego liście bambusa uruchamiały jego morderczy popęd.

I tym razem wziął za punkt wyjścia okrucy rzeczywistości. Wyobraził sobie, że morderca, jako mały chłopiec, znalazł ciało swej matki wykrwawione do ostatniej kropli. Było to prawdą w wypadku Reverdiego, ale w książce Marca bohater znalazł matkę jeszcze żywą i ona umierając, zdradziła mu tożsamość ojca, potwornego człowieka. Pieściła przy tym twarz dziecka okrwawionymi rękoma. Rękoma poczerńiałymi, lepкими, których widok i dotyk wywołał podwójny szok - czarnej krwi i dotyku liści.

Marc odczytał swoją pierwszą wersję i był zadowolony. Nie była to wielka literatura, ale w porywach, zwłaszcza w ustępach poświęconych aktom przemocy - przeszedł sam siebie. Czy będzie w końcu pisał jak Reverdi? Czy jak Elisabeth, którą jej mistrz uczynił wizjonerką?

Pracował dalej. Przetrwał kanikule, nie odczuwszy jej. Słyszał piąte przez dziesiąte o tysiącach zmarłych ofiar upałów. Widział w gazetach zdjęcia trupów przechowywanych w chłodniach hal targowych w Rungis. Wszystko to było mu zupełnie obojętne. Nie odrywał się od powieści. Pisał, pocił się, chudł i każda kolejna stronica pochłaniała go całego.

Na początku września skończył książkę. Czterystustronicową cegłę, którą postanowił osobiście odnieść Renacie Santi. Czuł się lżejszy w przenośni i dosłownie: stracił siedem kilo. I mimo opalenizny był kompletnie osłabiony, wykrwawiony.

Upał nieco zelżał, ale nie opuszczał miasta, dalej zanieczyszczał powietrze, jak powolny oddech płonącego zwierzęcia.

Kiedy taksówka wyjechała z ciasnych ulic okolic placu Saint-Georges i przejeżdżała przez bulwar Haussmanna, twarz Chadidży witała go jeszcze na murach.

Była to najdłuższa kampania w dziejach reklamy.

## 70.

- To jest wspaniałe.

Renata Santi przeczytała maszynopis w dwa dni. Podniosła głowę i teatralnym gestem potrząsnęła swymi długimi lokami - przypominała Ludwika XIV z karykatury.

- Ten zabójca i jego poszukiwanie czarnej krwi... Skąd pan bierze takie pomysły?

Marc skromnie wzruszył ramionami.

- Pańska wyobraźnia... mrozi krew w żyłach. Bez pochlebstw, to jest jeden z najlepszych thrillerów, jakie kiedykolwiek czytałam. Mamy bestseller, proszę mi wierzyć. Kiedy myślę o tych nędznych opowieściach, nad którymi razem pracowaliśmy... Ale nadrobimy stracony czas!

Marc był posepny. Mimo tych komplementów fakt, że skończył tę książkę, wpędzał go w jakiś niezrozumiały smutek.

Renata mówiła dalej:

- Musimy działać bardzo szybko. Zrobić koło tego dużo szumu. Nie ma tu wiele do poprawiania. Moglibyśmy wydać w październiku. Co pan na to?

Marc nie odpowiedział. Z tremy ścisnęło go w brzuchu.

- Tego roku początek sezonu literackiego jest płaski jak chodnik uliczny. Stworzymy wydarzenie! - Zrobiła szeroki gest ramieniem, jakby rozciągała jakieś olśniewające horyzonty. - Przede wszystkim kampania reklamowa. Afisze. Pogaduszki w radio.

Marc przytaknął. Renata mówiła gardłowym głosem, jakby brakowało jej tchu:

- Mam już to i owo w głowie... W związku z kolorem krwi. Obiecuję panu coś naprawdę bombowego!

Milczał.

- Trochę szczęścia i możemy trafić akurat... - dodała tonem zwierzenia.

- Akurat w co?

- No, przecież pan wie... Proces Reverdiego.

Marc zeszywniał.

- Zdawało mi się, że umowa stoi: mowy nie ma, żeby w jakikolwiek sposób wiązać powieść z tamtą sprawą, jasne?

Renata uniosła obie dłonie.

- Żaden problem. Ale dziennikarze sami na to wpadną. To będzie pierwsze pytanie, jakie panu zadadzą.

- W takim razie nie będę dawał wywiadów.

- Nie rozumiem pańskich obaw ani pańskich skrupułów. Przede wszystkim drapieżna bestia jest w klatce. A zwłaszcza pańska powieść to beletrystyka. Można pomyśleć o Reverdim, co prawda, na samym początku. Ale to, co pan pisze dalej, jest tak... specyficzne. Każdy uzna potęgę pańskiej wyobraźni.

Marc miał wyschnięte gardło. Czy będzie miał odwagę kłamać do końca? I dość bezczelności, by bronić nie swojej książki?

- A teraz - znów przemówiła Renata - do roboty. - Uderzyła dłonią w maszynopis. - Zaznaczyłam żółtymi karteczkami miejsca, które powinien pan poprawić. Jest tego tyle co nic. Przez ten czas pomyślimy o okładce. Za dwa tygodnie będziemy w drukarni!

Marc siedział na swoim krześle jak sparaliżowany. Wspomnienie o Reverdim wydrążyło mu w brzuchu ogromną dziurę. Przyszło mu do głowy odległe wspomnienie. Czasy, kiedy rozrabiali z Vincentem: byli bogaci, dumni, pełni życia - i szurnięci. Pewnej nocy postanowili przyłączyć się do grupy, która skakała na bungee z mostu Chatou.

Tamtej nocy nie chciał dać plamy. Obwieszony rzemieniami i pętlami wdrapał się na balustradę. Przed sobą miał przepaść. Jeszcze przed skokiem poczuł, że umiera. O czterdzieści metrów pod stopami widział w czarnych falach, jak w zwierciadle, swoją śmierć. A jednocześnie te fale przyciągały go, wypełniały go sobą.

Teraz miał to samo uczucie.

Tyle że dziś nie miał na sobie ani rzemieni, ani uprząży, ani żadnej gumowej liny przywiązanej do stóp.

# 71.

- Sie masz, Elisabeth!

Marc odwrócił się oszołomiony. Dźwięk tego imienia odczuł jak cios pałą w kark. Przechodził właśnie przez plac Saint-Georges i jakaś ręka dotknęła jego ramienia. Musiał się skupić przez chwilę, by poprzez iskry tańczące mu pod powiekami poznać stojącego obok mężczyznę.

Alain.

Urzędnik z poczty.

- Jak ona się miewa? - zapytał ze śmiechem.

Marc wyrzucił z pamięci tego człowieka, który kiedyś trzymał jego los w swoich rękach. Wszystko to wydawało mu się sprawą sprzed wieku. Alain, stojąc na chodniku, wydawał się jeszcze mniejszy, niż kiedy siedział za swoim kontuarem. Matowa cera i koński ogon: czerwonoskóry w miniaturze.

Marc odruchowym gestem odrzucił włosy z czoła i szukał w myślach odpowiedzi: nie znajdował nic. Nie wiedział nawet, czy urzędnik mówi o jakiejś rzeczywistej Elisabeth, czy już od dawna rozumiał, że ona nigdy nie istniała.

Wybełkotał w końcu:

- Hmm... teraz już wszystko w porządku.

Alain zrobił do niego oko.

- Powinna przyjść po swoje listy.

- Dostała listy?

Wietnamczyk roześmiał się znowu.

- Dwadzieścia osiem!

Trzydzieści minut później Marc wychodził z urzędu pocztowego z rękoma pełnymi kopert. Alain zechciał mu je wydać, chociaż umowa o przekazywaniu była już od dawna przeterminowana.

Zatrzymał się, żeby obejrzeć koperty. Wszystkie miały ten sam nadruk, jakieś słowa pisane arabskim alfabetem. Najwidoczniej po śmierci Jimmy'ego Reverdi skorzystał z usług jakiegoś muzułmańskiego stowarzyszenia, żeby dyskretnie wysyłać swoją korespondencję. Zrozumiał teraz lepiej artykuły, według których Jacques przebywał w towarzystwie

islamistów.

Marc obejrzał daty na stemplach pocztowych. Przez blisko trzy miesiące morderca pisał co trzy dni jeden list. Były ułożone chronologicznie. Nie oparł się pokusie i kilka otworzył od razu tu, na chodniku.

Zaczął od pierwszego, z datą dwunastego czerwca.

Ukochana,

od dziesięciu dni nie otrzymałem od Ciebie żadnego e-maila. Byłem bardzo niespokojny. Bałem się, czy nie spotkał Cię na ostatniej wyspie jakiś wypadek. Ale nie, usłyszałbym coś o tym. Chodzi zapewne o jakąś awarię techniczną. Z jakiegoś powodu nie znajduję Twoich listów w skrzynce pocztowej. Nie wiem, czy Ty otrzymujesz moje. Dla większej pewności piszę je na nowo na Twój adres paryski...

Marc wsunął arkusik do koperty. Otworzył następny list pisany piętnastego czerwca. Jego oczy padły na następujące wiersze:

...Coraz mniej rozumiem Twoje milczenie... Co się stało w Phuket? Skąd ten brak wiadomości?...

Trzeci list z dziewiętnastego czerwca. Radykalna zmiana tonu:

...to, co brałem za awarię, okazuje się świadomym anulowaniem Twojego adresu elektronicznego...

Marc przeskoczył kilka akapitów i przeczytał:

...Czyżby to była gra? Jeśli tak, to nie mogę uznać, że robisz coś nieświadomie. Wiesz teraz, kim jestem. Wiesz, że to ja ustalam reguły...

Pod koniec tekstu zabójca mówił już łagodniej:

...To boli nie czytać Cię już, ale to szczęście móc pisać do Ciebie ręcznie, jak w naszych początkach...

Marc zgniótł list. Wyłowił kopertę z datą z początku lipca. Pismo było mniej regularne.

Elisabeth,

Twoje milczenie nabiera teraz znaczenia, jakiego staram się do siebie nie dopuszczać. Dwie sylaby, których nie chcę wymówić. Bo wiesz przecież, że mogłyby mieć konsekwencje ostateczne. Jesteś moją wybraną. Tą, którą ja wybrałem. Daję Ci jeszcze trochę czasu...

Marc prześlizgnął się nad tekstem i przeczytał zakończenie:

... Możesz jeszcze pisać do mnie na mój adres e-mailowy. Zrób to szybko, dopóki nie będzie za późno. Ani ty, ani ja tego nie chcemy.

Zrezygnował z czytania następnych, nowszych listów. Drżał na całym ciele. Rozejrzał się wokół siebie: przechodnie, samochody, sklepy... Widział to wszystko w jakiejś wersji zamazanej, jakby na dnie akwarium. Już nie należał do tego zwykłego świata. Miał teraz na sobie czerwone piętno, które go wykluczało, skazywało. Oparł się o ścianę domu i usiłował wziąć się w garść.

Co takiego się stało, czego nie przewidział? Czy nie wyobrażał sobie tysiącrotnie tej wściekłości? Czego właściwie się obawiał? Znowu przypisywał Reverdiemu zdolności nadprzyrodzone. A przecież za kratami nic nie mógł zrobić. I nie wiedział nawet o istnieniu Marca Dupeyrata.

Za kilka tygodni wróg będzie osądzony i stracony.

Sprawa zamknięta.

To rozumowanie nie przyniosło mu żadnej ulgi. Przycisnął pocztę do piersi. Musi się tego pozbyć. Spalić te listy. Odczynić przekleństwo.

## 72.

Kiedy taksówka dojechała do końca tunelu dzielnicy Defense, Marc niczego nie mógł rozpoznać. Chyba zabłądził. Nigdy tu nie odnajdzie tych niezabudowanych pól, które były krajobrazem jego dzieciństwa. Nanterre narodziło się na nowo. Budowle były tu tak nowe, tak błyszczące, że przesłoniły nawet wspomnienie o ugorach, których szukał.

- Gdzie właściwie jedziemy?

- Proszę jechać prosto - odpowiedział kierowcy. - Do placu La Boule.

Wskazał to miejsce na los szczęścia. Próbował sobie przypomnieć te dzielnice. Na północy rozległa strefa wieżowców, której bloki nosiły poetyczne nazwy Fontenelles, Champs-aux-Merles, wieże Aillaud, zwane wieżami-chmurami... Stare Nanterre w zachodniej części miasta, z ceglanymi, ciasno stojącymi domkami. Potem, jeszcze dalej, za prefekturą i uniwersytetem, prawdziwy *no man's land*, getto usiane niezabudowanymi placami, odrapanymi osiedlami, złomowiskami i opuszczonymi fabryczkami. Zmierzał właśnie do tej dzielnicy, gdzie najslynniejsze osiedle nazywało się bardzo trafnie: *La Folie* - szaleństwo.

- A teraz?

Dojechali do La Boule. Rondo, nad którym wznosił się kiedyś wiadukt, było teraz płaskie i uporządkowane jak park miejski. Naokoło Marc widział tylko gmachy z błękitnego szkła, trawniki, odnowione pawilony.

- Niech pan jedzie do dworca Nanterre. Potem się zobaczy.

- Dalej zaczyna się strefa przemysłowa.

Aż tak daleko nie chciał się zapuszczać. Przyglądał się teraz ulicom, przy których wyrósł, gdzie jego rodzice mieli aptekę. Od ilu lat nie zajrzał nawet na cmentarz w pobliskim Mont-Valérien, gdzie byli pochowani? Od jak dawna nie widział swojej siostry? Zawsze czuł się obcy w swojej rodzinie, nie obchodziły go własne korzenie. A przecież teraz, kiedy chciał się zgubić gdzieś na ziemi, znaleźć we wszechświecie tajemne schronienie, odruchowo skierował się właśnie w stronę Nanterre.

- Niech pan jedzie bulwarem Sekwany.

- Jest pan pewien?

- Tak, w stronę osiedla Komarowa.

Nazwa sama pojawiła mu się na ustach. Było to ostatnie osiedle przed rzeką.



Samochód przejechał pod mostem kolei podmiejskiej i na widok szarych budynków, fabryk, bocznic kolejowych... Marc doznał ulgi.

- Muszę kupić benzynę.

Kierowca spojrzał na niego podejrzliwie.

- Zabrakło mi - wyjaśnił Marc. - Mój samochód stoi zaparkowany dalej. Proszę dojechać do stacji benzynowej.

Taksówka zatrzymała się po chwili. Marc kupił kanister i napełnił go. W tej samej chwili rozpętała się burza. Powolne, czarne chmury zalewały horyzont, ocierając się o siebie i strzelając iskrami. Marc pomyślał o wyspie zmarłych, kiedy monsun towarzyszył mu w ostatniej podróży. Nowy znak - powiedział sobie.

Ze stelaża przy kasie wziął zapalniczkę i zapłacił za wszystko razem. Potem pobiegł do taksówki: deszcz akurat zaczynał padać.

- Proszę prosto, a potem w pierwszą na prawo.

Jego wspomnienia powoli się precyzowały. W dzieciństwie przychodził tu z innymi dziećmi, jak on synkami z dobrych domów, żeby straszyć się nawzajem, drażnić psy i biedaków.

Bulwar Sekwany kończył się na pustej ulicy, po jednej stronie stały ogromne zbiorniki, po drugiej - małe opuszczone pawiloniki z zamurowanymi oknami. Wszystko było takie jak dawniej. Niewesołe miasteczko...

Kiedy zobaczył czarniawe prostopadłościany osiedla Komarowa, powiedział:

- Tutaj.

Kierowca był coraz bardziej sceptyczny.

- Uprzedzam: nie będę na pana czekał.

Marc powtórzył, że jego samochód stoi zaparkowany nieco dalej, i zapłacił. Kiedy wysiadł z taksówki, deszcz się nasilił. Tłusty, ciemny, oleisty. Mieszał się z różowawym pyłem, który unosił się z ziemi pod uderzeniami kropel.

Minął budynki o powyłamywanych drzwiach i skręcił w małą uliczkę. Szedł w ten sposób około dziesięciu minut, wciąż trzymając koperty w jednej ręce, a kanister z benzyną w drugiej. Szedł wzdłuż ślepego muru pokrytego graffiti i ogłoszeniami „różowych telefonów”. W głębi czekał na niego szary muł Sekwany.

Doszedł do czerwono-białego szlabanu, na którym ktoś flamastrem, dużymi literami napisał: „Panie Boże, proszę Cię o wybaczenie moich grzechów...”. Prośba bardzo odpowiednia do okoliczności.

Przeszedł pod tą przeszkodą, dotarł do brzegu i znalazł się na torze przeciągania barek

po lądzie. Naprzeciwko widać było gęste lasy wyspy Saint-Martin. Zdziwiła odosobnienie tego miejsca znajdującego się przecież w samym mieście: połączenie zabitej wsi z przemysłową graciarnią. Marc był nigdzie... i właśnie u celu.

Poszedł z biegiem wody, mijając ogromne pomosty przeładunkowe. Po drugiej stronie rzeki w porzewiałej żelaznej barce mieszkali dzicy lokatorzy, ich psy wyły na deszczu. Na kilometr wokoło była to jedyna żywa obecność. Idąc dalej, trafił na zbiornik przeciwpożarowy, budowlę bez okien stojącą na wbitych w wodę palach. Dał nurka pod tę konstrukcję i przysiadł pod jednym z filarów.

Tam na żelaznej poręczy ułożył pierwsze listy - te już przeczytane - i oblał je benzyną. Zgniół jedną z kopert, zapalił ją jak żagiew i rzucił na nasiąkniętą benzyną kupkę. Płomienie trzasnęły głucho. Unosiły się nad szarą wodą płynącą pod kratowaną kładką.

Marc przyglądał im się. Zawsze palił swoje wyrzuty sumienia - to było jego przeznaczenie. Akt zgonu księżnej Diany. Zdjęcie Chadidży. Ale tym razem nie był pewien, czy te płomienie wystarczą.

Już miał dorzucić ostatnie listy, ale się powstrzymał. Otworzył jeden, datowany na koniec lipca. Pismo było drżące, niespokojne.

...Dwie sylaby, których nie chciałem dotąd wymawiać, po prostu w trosce o Ciebie, wybuchają mi teraz w mózgu: zdrada.

Marc przypomniał sobie słowa psychiatry z Ipoh: „Niech go pan nigdy nie zdradzi. To jedyna rzecz, której nie będzie mógł panu wybaczyć”. Kilka akapitów niżej przeczytał (dym gryzł go w oczy):

...Uciekłaś, porzuciłaś mnie. Właściwie nie mogę mieć do Ciebie żalu: jaką byś miała ze mną przyszłość? Nie mam też do Ciebie pretensji o to, że skorzystałaś z sytuacji. Nic się nie ryzykuje, uciekając od człowieka siedzącego za kratami. Ale jest coś, o czym, zdaje się, zapomniałaś: masz coś, co należy do mnie. Moją Tajemnicę... Musisz mi ją zwrócić.

Marc zgniół kartkę w kulę i wrzucił do ognia. W odruchu wściekłości cisnął prawie wszystkie listy. Przemoczony do kości, patrzył, jak strzępy szerniałego papieru ulatują nad rzeką. Miał ochotę rzucić się w ten mokry ogień, w ten ciężki prąd, który unosił papier w niebyt.

Miał w ręku już tylko dwa listy. Otworzył jeden. Pismo było nierówne, a papier

miejscami przedarty.

...Zmuszasz mnie do podjęcia decyzji, o których nigdy nawet nie chciałem myśleć.  
Ale powtarzam: zabrałaś ze sobą coś, co jest mi drogie... I jest tylko jeden sposób,  
żebym mógł to odzyskać...

Marc już nie mógł oddychać. Duszności dławiły go tak, że omal nie pękały mu żebra.  
Co Reverdi miał na myśli? Przeskoczył kilka wierszy i przeczytał:

...Moja Elisabeth... Przypomnij sobie słowa: „Ten papier to twoja skóra, ten atrament  
to moja krew”. Zawarliśmy pakt. Tak czy inaczej musisz dotrzymać przysięgi...

Marc wrzucił pogroźkę do ognia. Pismo skręcało się w płomieniach. Ale teraz już był  
pewien: nie, tym razem ogień nie wystarczy. Nic nie zostanie zatarte. Nic nie będzie  
zapomniane.

Został jeszcze jeden list. Wrzucił go do ognia, nie otwierając. Ostatni cytat wciąż  
kręcił mu się po głowie:

„...Ta kartka to twoja skóra, ten atrament to moja krew...”. Nie wiedział kiedy i jak,  
ale był pewien, że za to wszystko odpowie.

Krew się poleje. Na pewno.

## 73.

Renata Santi świetnie wszystko urządziła.

Zamiast zorganizować koktajl literacki u siebie w wydawnictwie albo w jakiejś staromodnej restauracyjce, wynajęła na cały wieczór nowo otwarty nocny lokal, Les Remises, mieszczący się nad Sekwaną w ostatnim z opuszczonych doków przy moście Tolbiac. Owego wtorku czternastego października świętowano tam ukazanie się *Czarnej krwi*, debiutu powieściowego Marca Dupeyrata, zapowiadającego się na bestseller.

Miejsce było niezwykle, ale pasowało do strategii Renaty: chciała się ostentacyjnie odciąć od konwencji świata wydawniczego. Z nieukrywaną przyjemnością grała obrazoburcę, publikując swój thriller w szczycie nowego sezonu literackiego i rozgłaszając z wielkim hukiem, że ma zamiar uczynić z niego wydarzenie sezonu.

Jak na razie brała przeszkody bez jednej zrzutki.

Zgodnie z obietnicą udało jej się wydać książkę w jeden miesiąc. Marc był pełen podziwu. Zdarzało mu się pracować nad książkami dokumentalnymi, dotyczącymi spraw najbardziej aktualnych, które wydawano w kilka tygodni, myślał jednak, że powieść zajmie więcej czasu. Ale Renata nacierała na wszystkich frontach jednocześnie. W miarę jak on pracował nad poprawkami, jego maszynopis przechodził od razu w ręce korekty.

Równolegle projektowano okładkę i makietę. Renata za każdym razem radziła się Marca, ale tylko dla formy. On sam dobrze rozumiał, kto tu rządzi. Pod koniec września wszystko było gotowe, pozostawał tylko druk, fragmenty do publikacji w prasie były już rozesłane dziennikarzom i zaczynała się akcja marketingowa.

Tego wieczoru widać było wyniki: książka jeszcze nie trafiła do księgarń, a już odniosła sukces. Mówiono o niej w mediach i było w dobrym tonie bąknąć mimochodem, że ten „kryminał” to najlepsza książka rozpoczynającego się sezonu. Renata zacierała ręce: podczas gdy autorzy walczyli zaciekle, by się znaleźć na listach nagród literackich, ona zbierała zamówienia i rozsyłała całe palety egzemplarzy do supermarketów. „Fenomen!”, „Apokalipsa!” - wołała, przebiegając przez swoje wydawnictwo.

Marc był wniebowzięty. Oszołomiony, pozwalał się nieść tej łagodnie wznoszącej się fali. Komplementy, pochlebstwa, propozycje - no i czek: dostał właśnie drugą połowę zaliczki. W pierwszym odruchu, teraz, kiedy robota była skończona, chciał zwrócić

Vincentowi to, co pożyczył na koszty podróży. W ten sposób zamknąłby ostatecznie sprawę Reverdiego.

Od czasu ponurych egzorcyzmów, które odprawił w Nanterre, jego niepokoje rozwiały się. Data procesu pletwonurka była wyznaczona na piątego listopada. Morderca został przesłuchany przez DPP, ale odmówił odpowiedzi, co określono jako postawę szczególnie „obciążającą”. Czekala go jeszcze wizja lokalna, po czym oskarżony miał być przewieziony do więzienia w Johor Bahru, gdzie będzie sądzony. Prasa malezyjska pisała, że sędziowie wyślą go na szubienicę w kilka dni.

Jeszcze jedno uspokajało Marca: plakaty z Chadidzą znikły wreszcie z murów Paryża. I kampania prasowa była zakończona. W przyływie ostrożności sprawdził również inny szczegół: Elisabeth Bremen - ta prawdziwa, ta, której paszport wciąż miał u siebie - opuściła w czerwcu miasteczko uniwersyteckie i więcej się nie pojawiła. A więc jeszcze jeden rygiel został zasunięty.

Wreszcie Marc postarał się odsprzedać swój komputer, wciąż zarejestrowany na nazwisko dawnego właściciela. Sprzęt przeszedł w kolejne ręce, a jego własne nazwisko nigdzie i nigdy się w związku z nim nie pojawiło. Przeszłość była pogrzebana. Mógł teraz spokojnie smakować przyszły sukces i - czemu nie? - pomyśleć o nowej powieści...

Nonszalanckim krokiem skierował się w stronę baru. Z przyjemnością odkrywał to nieco zwariowane miejsce. Było to coś w rodzaju składu o niemalowanych ścianach i stalowym szkielecie, gdzie muzyka rezonowała jak na dnie cynkowego kotła do bielizny. Zapachy alg i stęchlizny unosiły się w powietrzu, z pewnością z powodu bliskości Sekwany, która tam, pod ich stopami, lizała filary całego bloku. Zresztą wystarczyło się oddalić od rozpalonych reflektorów, żeby zacząć szcząkać zębami z powodu wilgoci. Uśmiechnął się: myśl, żeby wstrząsnąć nieco środowiskiem literackim, niezbyt przyzwyczajonym do tego rodzaju atmosfery, podobała mu się. A poza tym muzyka była taka głośna, że nie sposób było rozmawiać. Dobry sposób, żeby zmusić wszystkich do milczenia i zdusić w zarodku wszystkie uwagi krytyczne i złośliwości.

Marc dotarł do baru w stanie nieważkości.

\*

Chadidza dała nurka w tłum.

Znała Les Remises. Przepadała za tym opuszczonym dokiem, gdzie jej koleżanki modelki przychodziły na łowy. Jedne szukały „mężczyzny swego życia”, inne próbowały wytropić gości ze szmałem albo po prostu faceta z superkutasem. W tych lodowatych dawnych składach, w zgiełku godnym trzęsienia ziemi odbywał się nieustający handel

wszelkiego rodzaju kontaktami.

Ona też tego wieczoru dobije swego targu. Była pewna, że znowu go zobaczy. Na początku lata, kiedy dowiedziała się, że Marc wrócił, wysłała mu powitalny e-mail. Odpowiedzi nie było. Zaryzykowała potem zostawienie wiadomości na sekretarce automatycznej. Milczenie absolutne.

Pod koniec lipca, przy okazji sesji zdjęciowej, wypytała dyskretnie Vincenta: Marc zaszył się gdzieś na południu, żeby dokończyć książkę. Jaką książkę? Vincent nie wiedział. Ważne było co innego: Marc był usprawiedliwiony. Siła wyższa. Nie trzeba było przeszkadzać „artyście”.

Teraz już rzecz była oficjalnie wiadoma: Marc Dupeyrat napisał książkę beletrystyczną, *Czarna krew*, o której krążyły bardzo pochlebne opinie. Chadidża aż drżała z ochoty, by mu pogratulować. Postanowiła przejść nad wszystkim do porządku.

Zapomnieć o jego nieprzyjemnej postawie, jego milczeniu, jego grubiaństwach. I zachować w pamięci tylko jeden gest: kradzież polaroidu na wiosnę... Chętniej rozpamiętywała tę kilkusekundową scenę niż wszystkie te komedie egipskie, które miała nagrane na kasetach.

Pracowała w tłoku łokciami. Śpieszyło jej się zobaczyć tego niewysokiego mężczyznę przemienionego w pisarza. A czy ona sama nie zmieniła się? Co tydzień trafiała na błyszczące strony magazynów, spacerowała po wybiegach. Zaproponowano jej nawet kilka kontraktów na wyłączność ze znanymi markami perfum i wyrobów kosmetycznych.

Przeprowadziła się do czteropokojowego mieszkania, które specjalnie wybrała w budynku, gdzie spędziła trzy lata życia uwięziona na poddaszu w pokoiku dla służącej. Zdała też egzamin na prawo jazdy i postanowiła przełożyć obronę doktoratu na następny rok. Pieniądze były na wyciągnięcie ręki, trzeba tylko chwytać. Freud i Levi-Strauss mogli poczekać.

To prawda: i Marc, i ona przebyli cholerny kawał drogi.

Teraz był czas go odnaleźć - na szczycie.

Ale gdzie on jest?

\*

Marc, siedząc trochę z boku, kiwał głową w rytm muzyki i przyglądał się wystrojowi sali. Nad tłumem wznosiła się estrada, na której kilku tancerzy odcinało się od tła niczym chińskie cienie. Prawdziwy teatr balijski. Jeden szczegół podkreślał jeszcze złudzenie: ogromne wentylatory wstrząsały sylwetkami, niczym figurkami z papieru. Po prawej, nad estradą, didżej zdawał się łokciami odkurzać swoje platynowe krążki: dziś stawiał na lata

osiemdziesiąte i ostrzeliwał salę przebojami pełnymi starych charczących syntetyzatorów i potwornie piskliwych głosów.

Szampan zaczynał działać. Marc przyglądał się twarzom. Nie poznawał nikogo. I nie bez powodu: Renata zajęła się wszystkim. Zaprosiła wielkie postacie świata wydawniczego, sławy, jet-set”. Otóż Marc nie wiedział nic o świecie literackim i już dawno nie śledził losów galaktyki *people*.

Nagle jednak rozpoznał jakąś twarz. Potem jeszcze dwie. Trzy. Coś tu się nie zgadzało: ci faceci - sprawozdawcy sądowi, dziennikarze od sensacji, fotoreporterzy - byli jego kolegami.

Czego tu szukali? Zauważył nawet Verghensa, którego nie zaprosił...

Przedarł się przez tłum i zobaczył Renatę, pogrążoną przy bufecie w gorącej dyskusji z kilku osobami. Chwycił ją za ramię i odciągnął na bok.

- Co ma znaczyć całe to gówno? - ryknął. - Mówiła mi pani o koktajlu literackim, a tu są wszystkie kruki i wrony Paryża. Specjaliści od sensacji kryminalnych. Umówiliśmy się, że nie będziemy tego w żaden sposób wiązać z Reverdim!

Renata uwolniła się z jego uścisku i zrobiła obrażoną minę.

- Nie mam z tym nic wspólnego, może mi pan wierzyć! Parę osób musiało się wślizgnąć, ja...

- Bierze mnie pani za dupka? Moja książka to powieść. O Boże! Przecież to jest fikcja! Żadnego związku z rzeczywistością!

Renata zmieniła wyraz twarzy, jej usta wygięły się w zgryźliwy uśmiech.

- Nudziarz z pana. Proszę na nich spojrzeć! - powiedziała, sama z kolei chwytając go za ramię. - Zielenieli z zazdrości. Osiągnął pan to, co nikomu z nich się nie udało. Przekształcił pan swoje reporterskie doświadczenie w twór artystyczny. Miał pan dość wyobraźni, żeby napisać powieść. Prawdziwą!

Marca przeszył nieprzyjemny dreszcz. Tym razem on wyrwał się jej i skrył w tłumie. Ocierał się o ramiona, łokcie, tkaniny. Przypomnił sobie tajlandzką dzunglę. Liście bambusa. Złoty miód roztopiający się pod płomieniem, zanim nóż...

Wspiął się na końce palców, żeby wypatrzeć bar.

Kieliszek, szybko.

\*

Chadidza wciąż się przepychała.

Znała tu wielu ludzi, przynajmniej z widzenia. Zauważała gwiazdy, ludzi, o których się dużo mówiło, twarze widywane w „Gala” i „Voici”. Wokół krążyły w regularnym rytmie

konwencjonalne uśmieški, muskały ją niczym elektrostatyczne iskierki, a ona od razu odsyłała je tą samą powietrzną drogą.

Były tu też osobistości ze świata intelektualnego. Filozofowie, socjolodzy, pisarze, o których nigdy by nie pomyślała, że może ich spotkać. Uśmiechali się i wznosili w jej kierunku kieliszki.

Mała lekcja życia: a więc łatwiej było zbliżyć się do tych wspaniałych ludzi w skórze modnej modelki niż w charakterze doktora filozofii. To spostrzeżenie umocniło ją w jej zamiarach. Musi grać swym wyglądem jak bronią, „a zagwią będzie jej ciało”.

Ogromny cień zastąpił jej drogę. Nagłe zaćmienie.

- Gdzie byłaś? - ryknął Vincent. - Szukam cię od dziesięciu minut.

Trzymał w każdej ręce po kielichu musującego płynu. Chadidza wrzasnęła mu do ucha:

- Podziwiałam! Super, no nie?

- Genialne - podsunął jej kieliszek. - Szampana?

Nie piła nigdy. Nie ze względu na zasady islamu, gdyż nie była praktykującą mużulmanką, ale z powodu rodziców, którzy pili zbyt często. Pokręciła przecząco głową, po czym pomyślała o Marcu.

Na myśl, że może go zobaczyć, złapała kieliszek i wypła jednym haustem.

- Tańczymy?

\*

Trzecia whisky.

Ze szklaneczką w ręku, oparty o filar, Marc odpowiadał jeszcze ruchem głowy na uśmiechy i gratulacje, ale był już znudzony. Na szczęście muzyka uniemożliwiała jakąkolwiek rozmowę. Był zaskoczony, że tak szybko niepokój ogarnął go na nowo. Jedna aluzja do rzeczywistości - procesu Reverdiego - i oto już dygotał jak epileptyk. To wrażenie ulgi, jakie odczuwał w ostatnich tygodniach, było tylko cienką warstwą pokostu. Jacques Reverdi wciąż z nim był i będzie już zawsze.

Jakiś mężczyzna pochylił się ku niemu.

- Huśta jak cholera!

- Co?

- Mówiłem: bombowa atmosfera!

Marc przytaknął. Oddychał z trudem. Wypił solidny łyk whisky. Rytm muzyki unosił się huczną sarabandą, wypełniał go, zalewał, w miarę jak płomień alkoholu wsączał się w żyły.



Marc cofnął się. Widział wokół siebie poszarzałe twarze niczym maski zastygłe w świetle albo strzępy zwiędłej skóry przylepione do kości. Stroboskopowe reflektory wychwytywały na mgnienie oka miny, wyjaskrawiały rysy, rozkrawały sylwetki. Spojrzał na swoją szklankę: złociste iskierki przelatowały mu między palcami. Przyjrzał się naczynku jak talizmanowi, źródłu jego halucynacji, po czym wypił jeszcze łyk. Już nic nie słyszał i zaczynał grzęznąć w czystym przerażeniu.

W tym momencie zobaczył ją.

Jej sylwetka falowała w podmuchach wentylatorów. Ciało kołysało się, brązowe loki i bransolety na rękach huštały się w rytm jej ruchów. To roztańczenie zdawało się wydobywać, uwydatniać wibrację bioder i złote błyski opinającej je sukni. Marc pomyślał o sicie, na którym przesiewa się piasek, zawierający nieliczne ziarenka złota.

Przypomniał sobie dziewiętnastowiecznych malarzy, którzy w plecy swych modeli wstawiali dodatkowy krąg, by podkreślić ich wiotkość i wdzięk. Ile kręgów dodano Chadidży? Stał jak zahipnotyzowany. Patrzył, jak wygina biodra, opiera się lekko to na lewej stopie, to na prawej, tworząc wokół swej talii pierścień Wenus, podczas gdy na końcu jej szczupłych ramion srebrne pierścienie obracały się niczym szale bardzo starej wagi...

Inny obraz wybuchnął mu pod powiekami: Chadidża poruszała się teraz na krześle - pręgiem posmarowanym miodem - a sznury wpijały jej się w ciało. Zlepione rany puchły, a ona prężyła się, by nabrać powietrza. Nagle jej śniada skóra otworzyła się w wielu miejscach i wytrysnął z niej czarny tusz, rysując na ciele fatalne nacięcia...

Marc opuścił wzrok i zobaczył w pustej szklance zniekształcone odbicie swej twarzy. Fotografiją tej zmysłowej brunetki zaostrzył pożądanie mordercy. Ofiarował ją szalonemu zabójcy. A jednocześnie, przez całe tygodnie, „był” nią, myślał, działał, pisał jak ona.

Szklanka pękła na kawałki w zbyt mocno zaciśniętych palcach.

Oślepiały przyglądał się, jak krew spływa po dłoni.

Przedtem „był nią”.

A teraz zrozumiał, że ją kocha.

\*

Mimo oślepiających reflektorów wypatrzyła z estrady stojącego w odległym kącie rudzielca. Smutnego jak porzucony diabełek. Jednym skokiem znalazła się na ziemi. Omal się nie wywalila i zdała sobie sprawę, jak bardzo była wstawiona: szpilki plus szampan, z równania wychodziła niemal katastrofa. Mimo to, zanim rzuciła się na swoją ofiarę, jeszcze raz przedarła się do baru i wyrwała barmanowi z rąk nowy kielich. Trzymając go nad głowami tłumu, zdołała zawrócić, nie tracąc ani kropli trunku.

O kilka metrów od Marca schowała się za kolumnę, po czym wyskoczyła ze swojej kryjówki za jego plecami.

- Cześć! - powiedziała, wybuchając śmiechem.

Marc odwrócił się bez słowa. Nie miał zachęcającej miny.

- Jak zawsze miły!

Parsknęła i oparła się o jego ramię, żeby nie upaść.

- Już od dawna chcę ci powiedzieć jedną rzecz - krzyknęła mu do ucha. - Naprawdę, adonis to ty nie jesteś!

Zachichotała i jednym haustem wypła swój kieliszek. W zmaconej świadomości to wszystko wydawało jej się szalenie zabawne. Marc spojrzął na nią ze złością.

- Upiłeś się czy co?

- W każdym razie staram się! Przez godzinę udało mi się dopchać do baru tylko dwa razy.

Roześmiała się jeszcze raz, ale Marc był posepny. Chwycił stojącą na stole butelkę whisky i jakby z powściąganą wściekłością napełnił szklanę Chadidży. Widok tego mocnego trunku w cienkim pucharku wydał jej się nieprzyzwoity. W nagłym przebłysku jasności pomyślała, że to wszystko jest ponure, zalatuje śmiercią.

Ogarnęło ją uczucie, że dzieje się coś niedobrego. Inaczej sobie wymarzyła ich ponowne spotkanie. Łzy napłynęły jej do oczu, podłoga chwiała się pod obcasami. Miała wrażenie, że dok oderwał się od brzegu i spływa Sekwaną. Wypiła jeszcze jeden zbyt ciepły łyk i wyprostowała się, oparta plecami o filar.

- Wiesz, że my z Vincentem też mamy dziś coś do uczczenia?

- Co?

- Nową kampanię. „Elegia”.

Marc chwycił ją za nadgarstek, wciskając jej bransoletki w ciało.

- Chyba nie za granicą?

Chadidża uwolniła się i opuściła wzrok: jej ramię było poplamione krwią.

- Co to?

Marc znów chwycił ją za rękę - tym razem poczuła na sobie lepkość krwi - był ranny. Krzyknął jej w same ucho:

- Za granicą?

Ten gość to wariat, pomyślała i w jednej sekundzie zniecierpiała go.

- Ogromna kampania w Azji, kochaniutki - rzuciła mu triumfalnie w twarz. - Japonia, Chiny, Tajlandia, Malezja. Niesamowity numer. A jaki szmal! Marc! Marc? Dokąd idziesz? -

zawołała załamującym się głosem.

## 74.

Marc otworzył oczy po pierwszym dzwonku: leżał w łóżku w swoim domu. To był cud. Nie miał zielonego pojęcia, w jaki sposób wrócił. Poruszył dłonią i zobaczył, że jest zabandażowana. Drugi cud. W ogóle nie pamiętał, żeby był tej koszmarnej nocy w szpitalu czy choćby przelotnie widział lekarza.

Następny dzwonek.

Spróbował się poruszyć i zdał sobie sprawę ze swej przemiany. Jego czaszka - nie tylko kości, ale także opony i mózg zamieniły się w kamień. Nieprawdopodobnie ciężka i twarda głowa była wbita w poduszkę. Nigdy jego kark nie będzie dość mocny, by unieść taką masę.

Kolejny dzwonek.

Bliski, przenikliwy, nie do wytrzymania. W myślach ukształtował mu się obraz Chadidży. Tańczyła na scenie, jej ciało falowało tajemniczo. Usłyszał, jak woła przechylona ku niemu: „Naprawdę, adonis to ty nie jesteś!”

Czwarty dzwonek. Teraz mógł już poruszyć powiekami. Wracał do życia. Trzeba mu było tylko kilku sekund, żeby przypomnieć sobie o katastrofie zapowiedzianej przez Chadidżę. „Elegia” rozpoczynała nową kampanię reklamową w Azji. Koszmar nie kończył się. Twarz Elisabeth pojawi się w więzieniu Reverdiego. Nie może jej nie zauważyć.

Wyobraził sobie jego wściekłość. Wściekłość, która wkrótce zwali się na niego i zmiążdży jak owada. Widział, jak w nim narasta, tak jak na pustyni przeczuwa się nadejście burzy piaskowej.

Marc zdołał poruszyć się odrobinę. Po chwili dłużej jak nieskończoność udało mu się przewrócić swoje ciało na bok. Zgiął się wpół jak żołnierz ranny w brzuch. Ten ruch wystarczył, by poczuł przelewającą mu się po wnętrznościach kałużę whisky. Miał nie tylko kaca, ale i atak wątroby.

Dzwonki nie ustawały.

Oparł się na łokciu, wyciągnął w stronę telefonu drugie ramię. Słońce skośnymi promieniami wypełniało pracownię. Która może być godzina? Wziął do ręki słuchawkę.

- Halo?

- Verghens.

Głos przebił się przez kilka warstw mgły, zanim dotarł do odpowiedniego płata mózgu. Przypomniał sobie, że facet był na wieczorze.

- Co jest? - sapnął.

- Mam nadzieję, że cię nie budzę? - spytał głos z ironią. - Uroczą ta twoja imprezka. Musisz jednak wyleźć z nory. Mam dla ciebie robotę.

Marc odzyskał parą strzępów świadomości. Powiedział głosem przypominającym papier ścierny:

- Już nie piszę artykułów.

- Wiem, że masz ciężką głowę, chłopie, ale mamy przypadek siły wyższej. Chodzi o artykuł pośmiertny.

- Kto?

Verghens westchnął i milczał parę chwil. Marc pamiętał, jak na kolegiach redakcyjnych zawsze trzymał informacje dla siebie, podsycając napięcie. Wreszcie dziennikarz powiedział:

- Reverdi zmarł wczoraj. O szesnastej czasu malezyjskiego. Wiadomość przyszła tej nocy.

Marc ześlizgnął się na ziemię. Poczł pod sobą twardą powierzchnię podłogi. Reverdi nie mógł zostać stracony, nie było jeszcze procesu.

- Jak?

- Wypadek drogowy. Bryka, która wiozła go na południe na wizję lokalną, nagle na moście skręciła, przebiła balustradę i zapikowała w rzekę.

Kurtyna lodu owinęła mu mózg. Widział teraz wszystko z absolutną jasnością. Obecność wody oznaczała tylko jedno: Reverdi żył.

- Ciało znaleziono? - spytał.

- Jeszcze nie. Tylko ciała strażników. Teraz policja przeszukuje rzekę. Ale zdaje się, że prąd jest bardzo mocny i... Co jest? Nie wszyscy w domu?

Marc z lekkim opóźnieniem zdał sobie sprawę, że się śmieje. Śmiał się coraz głośniejszym śmiechem wypełniał go, wybuchał mu w gardle. Wszystko to wydawało mu się tak okropnie komiczne... Jego historia, jego fortel, jego kłamstwa - a teraz jego sukces, tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, i jego przekleństwo, które mu go odbierze.

Bo nie miał cienia wątpliwości.

Reverdi, mając rzekę za współnika, uciekł.

I zmierzał ku niemu.

## 75.

W pierwszym odruchu chciał się zaszyć u siebie w pracowni i czekać na mordercę.

Cały dzień piętnastego października spędził na czytaniu artykułów z „New Straits Times” i „Star” oraz komunikatów różnych agencji prasowych. Reuter. Associated Press. AFP.

Udało mu się odtworzyć, co następuje: czternastego rano Jacques Reverdi miał być przewieziony z Kanary do Johor Bahru, bo nazajutrz w Papanie, na wybrzeżu Morza Chińskiego, miano przeprowadzić wizję lokalną.

Karetka więzienna wyruszyła o szóstej, kierując się przez North South Expressway na południe. Dwieście kilometrów dalej, w okolicach Tangkaku, o dziewiątej, na wielkim moście przerzuconym przez rzekę Muar pojazd z niewiadomych jeszcze przyczyn nagle zjechał raptownie ze swojego pasa, przebił balustradę i spadł do rzeki z wysokości dwudziestu metrów.

Uderzenie z całą pewnością zabiło kierowcę i pasażera z przedniego siedzenia. Wedle pierwszych zebranych świadectw karetka zatонуła w parę sekund, a przez ten czas prąd znosił ją w dół, daleko od miejsca wypadku. Jeden z dwóch strażników siedzących z tyłu, spięty kajdankami z Reverdim, utopił się i został wyłowiony o czternastej przeszło pięć kilometrów dalej. Gdzie znajdował się teraz Francuz? Dlaczego nie był przykuty do łańcucha? Nikt nie mówił jeszcze o ucieczce. Trwały poszukiwania trupów - jego i drugiego strażnika. Zdaniem ekspertów szanse na ich odnalezienie były niewielkie, ze względu na bardzo mocny prąd na tym odcinku i liczne meandry, które wpływały w namorzyny, siedlisko krokodyli.

Taka była wersja oficjalna. Ale Marc wyobrażał sobie, co się zdarzyło naprawdę. Reverdi w ten czy inny sposób spowodował wypadek na moście. Kiedy tylko maszyna dotknęła powierzchni rzeki, stosunek sił się odwrócił. Skuty kajdankami więzień stał się panem sytuacji. Klawisze, zaplątani w swoje mundury, z bronią i łańcuchami, wpadli w panikę. Miotali się bezradnie, kiedy woda wlewała się do wnętrza samochodu. Utopili się w kilka minut.

Płetwonurek przeciwnie, zachował spokój. Wstrzymał oddech, spowalniając rytm pracy swego serca, pozwolił zalać się wodą. Potem przeszukał kieszenie otaczających go trupów i uwolnił się z kajdan. Otworzył drzwiczki karetki lub wybił szybę i dopłynął do

brzegu. Może nawet dotarł do niego, nie wysuwając głowy z wody? Ile czasu zabrała taka podwodna ucieczka? Trzy minuty? Cztery? W każdym razie - czas całkiem do przyjęcia dla płetwonurka jego klasy.

Marc nie miał żadnej wątpliwości: Jacques Reverdi żył.

On zaś był trupem.

Nie odpowiadał na telefony. Ani na komórkowy, ani na domowy. W końcu wczesnym popołudniem odebrał telefon od Vincenta. To on, razem z Chadidzą, odnalazł go na schodach Les Remises i zaprowadził na ostry dyżur szpitala Cochin. Potem zawiózł nieprzytomnego do domu.

Marc podziękował mu, ale nie wspomniał o sprawie Reverdiego. Najwyraźniej olbrzym nie znał nowiny. O siedemnastej, pod wpływem nagłego odruchu, odebrał też telefon od Renaty, która dzwoniła już pięć razy. Zrobił ostatnią próbę uniknięcia katastrofy.

- Trzeba wstrzymać publikację - powiedział jej bez żadnych wstępów.

- Przepraszam?

- Trzeba wszystko zatrzymać.

Roześmiała się na całe gardło.

- Oszalał pan? Dlaczego?

- Mam swoje powody.

- To przez śmierć Reverdiego? Naprawdę, Marc, coraz mniej rozumiem...

- Niech pani wstrzyma publikację!

- To niemożliwe. Książki są już od rana w księgarniach.

- Chyba można zatrzymać następne dostawy, nie?

- Dwadzieścia tysięcy egzemplarzy już rozprowadzono. Niech pan nie będzie dzieckiem, Marc. Pogniewam się w końcu. Zresztą ta historia z wypadkiem w Malezji jest doskonała. Od telefonów z prośbą o wywiad nie mogę się opędzić i...

Marc wyłączył się. Zsunął się z łóżka na podłogę i siedział tak kilka godzin, wysłuchując wiadomości gromadzących się jedna za drugą na jego sekretarce automatycznej. Hysteryczne żądania Renaty, kolejne wezwania Verghensa, ataki kolegów dziennikarzy, a także - to już był szczyt - kilka połączeń od Chadidży, która dzwoniła z zapytaniem, czy czuje się lepiej.

Wreszcie, przez zaciągnięte story do pracowni wcisnęła się noc. Wciąż się nie ruszał. Nie miał nawet siły zaparzyć sobie kawy. Zastawiona przez niego sama pułapka zamykała się na nim i to poniekąd sprawiało mu ulgę. Od początku wiedział jedno: to się źle skończy. Nie pozostawało nic innego, jak czekać na śmierć.

Ani na chwilę nie przyszło mu do głowy, żeby spakować walizki i uciec. Tak jak nie pomyślał o zawiadomieniu policji. A przecież było to rozwiązanie najbardziej racjonalne. Z początku trudno byłoby mu przekonać gliny, ale miał solidne materiały, zwłaszcza listy Reverdiego. Dokumenty, które jednocześnie obciążały jego samego: ukrywanie dowodów winy, współudział w zabójstwach... Widział znów siebie, jak wykopuje trupa na wyspie umarłych.

Tak, był współuczestnikiem. Mógł przyspieszyć postępy śledztwa, a nic nie powiedział. Mógł zawiadomić rodziców zaginionych dziewcząt, pomóc adwokatom zajmującym się sprawą - na przykład Schreckerowi - ale nie ruszył nawet małym palcem. Wolał pisać książkę, nie zwracając uwagi ani na proces, ani na tragedię rodzin. Jak skończony egoista. Nagroda Pulitzera w kategorii świństw, oto na co zasługiwał. A przy okazji - na parę lat pierdła...

Marc był już dwa razy skazany przez francuskie sądy: za pogwałcenie ogniska domowego i kradzież z włamaniem. Dostałby więc wyrok bez zawieszenia. Więzienie lub śmierć: czy można się wahać?

Nie, oczywiście. A jednak, kiedy w środku nocy zastanawiał się nad tym rozwiązaniem, odrzucił je. Przerażała go myśl o więzieniu. I nie mógł się zdobyć na to, by oddać się w ręce policji, nie będąc niczego pewnym. W końcu może sam sobie namieszał w głowie? Może Reverdi był trupem, a droga była wolna?

\*

Czwartek, szesnasty października.

Kisił się w domu drugi dzień z rzędu.

Ruszył się tylko po to, żeby przejrzeć gazety w Internecie. Nie było nic nowego. Policja wspominała już o przerwaniu poszukiwań.

Następnej nocy o drugiej - w Malezji była dziewiąta rano - nagle go olśniło. Mógł zareagować. A przynajmniej uzyskać informację z pierwszej ręki, kontaktując się z osobami, które znał. Nazwisko Alanga w naturalny sposób przyszło mu na myśl.

Lekarz sądowy nie mówił swoim zwykłym tonem. Marc domyślił się od razu, że tamten coś wie.

- Co się dzieje?

- Sekcja zwłok kierowcy karetki. Dzwonił do mnie lekarz sądowy z Johor Bahru... z prośbą o radę.

- W związku z czym?

- Jest pewna... anomalia. Kierowca nie umarł utopiony. Ani od uderzenia wskutek



upadku.

- Co mu się stało?

- Znalaziono go z igłą od strzykawki w karku. Po analizie lekarze wykryli też pęcherzyki powietrza w jego rdzeniu kręgowym. Wstrzyknięto mu powietrze między kręgi szyjne. Śmierć musiała nastąpić natychmiast.

Marc pamiętał, że Reverdi pracował w izbie chorych. Czy miał dostęp do strzykawek?

- Czy mógł dosięgnąć karku kierowcy? - zapytał.

Alang wahał się z odpowiedzią. Wreszcie odezwał się bezbarwnym głosem:

- Reverdi nie jechał typową karetką więzienną, ale zwykłym samochodem, zabezpieczonym tylko kratą między kierowcą a tylnym siedzeniem. Mógł wsunąć igłę przez kratę i spowodować wypadek. Informacja jest poufna, ale...

Marc uciął od razu ostrożne zastrzeżenia Alanga - zrozumieli się. Podziękował i obiecał, że niedługo zadzwoni. Ucieczka Reverdiego nie ulegała już wątpliwości.

Ta pewność podziałała na niego z siłą elektrowstrząsu.

\*

W piątek o świcie postanowił działać.

Nie będzie uciekał.

Nie zawiadomi policji.

Stanie do walki z Reverdim.

A przede wszystkim spróbuje odgadnąć, co tamten zamierza zrobić?

Ile czasu będzie potrzebował, żeby wrócić do Europy?

Zwykły zbieg miał niewielkie szanse ukrycia się w Malezji. Ale Reverdi znał doskonale kraj i miejscowy język. Znał też sąsiednie kraje - Tajlandię, Wietnam, Birmę... - i z pewnością wiedział, jak się tam dyskretnie przedostać. Poza tym był człowiekiem zawsze przygotowanym na tego rodzaju sytuacje. Musiał już dawno mieć jakiś plan B.

Marc wziął do ręki mapę Azji Południowo-Wschodniej i spróbował wyobrazić sobie trasę uciekiniera, obliczając jednocześnie czas, który musiała mu zabrać. Sunął palcem wzdłuż biegu rzeki Muar. Reverdi mógł dopłynąć morzem do Indonezji. Mógł też zjechać na południe i dotrzeć do Singapuru, ale Marcowi wydawało się to mało prawdopodobne: byłby za blisko Johor Bahru. Mógł też wrócić do Kuala Lumpur i zaszyć się gdzieś w mieście...

Marc przypuszczał, że Reverdi zbiegnie do któregoś z sąsiednich krajów i tam zaszyje się w dżungli.

Stamtąd może się przedostać w okolice turystyczne. Wśród drzew nie widać drzewa. Białe wśród białych... Hotele międzynarodowe, kluby, agencje turystyczne... Tam zdobędzie

nowy komplet dokumentów - paszport, prawo jazdy... oraz gotówkę i ulotni się z jakąś grupą zachodnich turystów.

Taka marszruta zajmie mu dwa do trzech dni, nie więcej. Następnie będzie mógł odlecieć z Bangkoku czy Hanoi i znaleźć się w którymś z krajów europejskich. Belgia. Holandia. Wielka Brytania. Niemcy. I stamtąd dojedzie do Paryża pociągiem lub samochodem. W przeciwieństwie do zwykłego uciekiniera, który czekałby, aż sprawa przycichnie, i dopiero potem ruszył w drogę, Reverdi będzie działał najszybciej jak się da. Jeszcze zanim władze malezyjskie ostatecznie uznają, że uciekł.

Trzy dni w Azji, jeszcze trzy dni, żeby zatrzymać się w jakimś kraju europejskim i ruszyć do Francji z nową tożsamością. Razem sześć dni.

Jacques Reverdi uciekł czternastego.

Dziś był siedemnasty.

Marc miał jeszcze trzy dni, żeby się przygotować.

Właściwie na co?

Znów się zastanowił.

Od czego Reverdi zacznie po przyjeździe do Paryża?

Odpowiedź była prosta: uda się pod adres Elisabeth.

Poste restante, ulica Hipolita Lebas, IX dzielnica.

Marc złapał marynarkę i ruszył biegiem.

Musi uprzedzić Alaina.

I ochronić go.

## 76.

- Jak to nie ma go?

Marc był zlany potem; z domu na pocztę cały czas biegł. Wbił wzrok w kobietę siedzącą na miejscu Alaina.

- Jest na urlopie?

Panienska z poczty stale poprawiała okulary i marszczyła nos. Jej twarz wyrażała sprzeczne uczucia: była zarazem osłupiała i nieufna.

- Nie ma go, po prostu go nie ma.

- Chory?

Popatrzyła na niego poprzez szybę i okulary.

- Czemu pan pyta?

Marc musiał odpowiedzieć natychmiast. Nie było co mówić o Elisabeth Bremen ani o niczym, co by dotyczyło poczty. Olśniło go nagle.

- Chodzi o niedzielną uroczystość. Jestem właścicielem lokalu, gdzie oni się schodzą na mszę.

Marc mieszkał przez kilka lat w domu przy ulicy Montreuil, który sąsiadował z wietnamskim kościołem katolickim. Była to zwykła szopa, gdzie ich wspólnota spotykała się co niedziela. Wzrok urzędniczeki rozjaśnił się.

- W Vanves?

Marc trafił celnie, ale nie chciał posuwać się za daleko.

- Nie. Mówię o parafii przy ulicy Montreuil. Na sobotę była przewidziana pewna uroczystość. Ale to się okazało niemożliwe. Muszę porozmawiać z Alainem. Ma pani jego namiary?

Kobieta odwróciła na drugą stronę formularz do listów poleconych i podała mu go.

- Niech pan napisze tu do niego parę słów. Przekażę mu.

- Muszę pomówić z nim osobiście!

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

Jej nos zmarszczył się znowu.

- To jego dzień hemodializy.

Marc przyjął cios. Pamiętał niejasno, że Alain parę razy żartował na temat swych kłopotów zdrowotnych i „wymiany oleju”. Wtedy Marc nie rozumiał, o co chodzi. Po prawdzie - nawet nie słuchał.

- Zabieg odbywa się w szpitalu?

- Nie. U niego w domu. Hemodializa w miejscu zamieszkania. Sprzęt ma u siebie.

- Proszę mi podać adres.

- Nie mam.

- Przynajmniej nazwisko. Nawet nie wiem, jak się nazywa!

Urzędniczka wahała się. Marc uderzył pięścią w kontuar.

- Boże mój, stu Wietnamczyków zejdzie się tam jutro po nic!

Wrzeszczał. Akcent szczerości przekonał widać urzędniczkę.

- Nazywa się Alain van Hêm.

Marc złapał długopis przymocowany łańcuszkiem do podstawki i spytał:

- Jak „nem”?

- Bardzo dowcipnie.

Marc spojrział na nią tak, że kobieta aż odsunęła się z krzesłem.

- Nie żartuję. Niech mi pani przeliteruje jego nazwisko.

- VAN, a potem HEM. Z akcentem nad „E”. Mieszka w trzynastce. W chińskiej dzielnicy.

Marc pobiegł do drzwi. Na progu zatrzymał się i nagle zapytał niepewnie:

- Nikt nie pytał o pocztę na nazwisko Elisabeth Bremen?

- W życiu nie słyszałam tego nazwiska. - Znów zmarszczyła nos, jej szkła powędrowały do góry. - Co to ma wspólnego z pańskim kościołem?

Marc wyskoczył na zewnątrz. Chwiał się na nogach w zanieczyszczonym powietrzu Paryża, oszołomiony własnymi kłamstwami, strachem, samochodami jadącymi pełnym gazem. Wsadził ręce w kieszenie i ruszył w poszukiwaniu jakiegoś baru z telefonem. Wszedł do pierwszego, jaki napotkał, i zamówił espresso, nie zatrzymując się nawet przy kontuarze.

Zbiegł do sutereny i wpadł do kabiny telefonicznej. Pod pulpitem znalazł książkę telefoniczną. Zaczął przerzucać kartki, starając się oddychać powoli. Dializa czy nie dializa - nieobecność Alaina van Hêma nie podobała mu się. Zwłaszcza dziś. Jest:

ALAIN VAN HÊM

JAVELOT 70

WIEŻOWIEC SAPPORO

Spróbował zadzwonić na podany tam numer telefonu. Odpowiedzi nie było. No to w

drogę, do chińskiej dzielnicy.

\*

Przed budynkiem znalazł się o trzynastej.

Miał pietra nie do opanowania. Pot zalewał mu ciało jak warstwa wody, która wciska się pod kostium do nurkowania i rozgrzewa skórę. Tyle że w jego wypadku ta warstewka była lodowata.

Idąc szybkim krokiem, widział, jak drapacz chmur przybliża się do niego. Zdawał się rosnąć, wchłaniać w siebie cały widnokrąg. Wszedł w jego cień niczym Jonasz do brzucha wieloryba.

Pchnął pierwsze oszklone drzwi i zaklął przez zęby. Nie znał kodu, żeby otworzyć drugie. Musiał czekać, pocić się, kręcić kółko między jednymi drzwiami a drugimi, dopóki nie nadszedł jakiś stary Chińczyk.

W holu omal nie ryknął, kiedy zobaczył całą ścianę skrzynek na listy. Zmusił się do cierpliwości i odczytał metodycznie jedno nazwisko po drugim, zaczynając od lewej, rząd po rządzie. Pośrodku czwartego znalazł swojego człowieka: dwunaste piętro, numer 12 238.

Wezwał pierwszą z czterech wind, ale zauważył, że obsługuje tylko numery nieparzyste. Nacisnął na inny guzik. Zły wybór: ta jechała bezpośrednio na dwudzieste piętro. Piekielny wieżowiec. Marc znalazł wreszcie właściwą windę i wskoczył do niej.

Dwunaste piętro. Szedł wzdłuż korytarzy, na które w regularnym rytmie wychodziły czerwone drzwi, wszystkie identyczne. Numery były wypisane w górze po lewej, na miedzianych tabliczkach: 12 236... 12 237... 12 238. Marc oparł się jedną ręką o framugę drzwi, żeby złapać oddech. Wreszcie zadzwonił.

Nikt nie otwierał.

Przytknął ucho do drzwi. Żadnego odgłosu. Zadzwonił znowu. Czyżby przyszedł akurat w trakcie „wymiany oleju”? Poczul w krtani kwaśny refluks. Uderzył w drzwi mocniej, pięścią, potem przyjrzał się zamkowi. Zwykły model „bezpieczny”, na cylinder.

Oparł rękę na górnej części drzwi i mocno nacisnął. Odchyliły się z lekka; nie były zaryglowane. Marc wyjął z kieszeni wizytówkę i wsunął ją pod zapadkę zamka. Jednocześnie naparł mocno barkiem i uniósł drzwi z zawiasów. Mechanizm ustąpił.

Nozdrza od razu skurczyły mu się od osobliwego zapachu.

Mieszanka żarcia i metalu.

Krew.

Przypomniał sobie o hemodializie. Wiedział, na czym ten zabieg polega: filtruje się krew, przepuszczając ją przez system błon. Jeśli Alain dokonał tego zabiegu dziś, to nic

dziwnego, że taki odór wciąż utrzymuje się w powietrzu. Mimo to strach go nie opuszczał. Wszedł w głąb przedpokoju. Serce biło mu dyskretnym rytmem, narastającym crescendo niczym *Bolero* Ravela.

Trafił do małego saloniku, wyglądającego jak domek lalki. Tapeta w paski; kanapa w kwiaty, niski stolik, bibeloty na etażerce; książki o identycznych okładkach, na pewno kupione korespondencyjnie. Poszedł dalej korytarzem. Po lewej kuchnia. Po prawej sypialnia. Obie puste. W głębi uchylone drzwi, zza których widać było białe kafelki: łazienka.

Zapach był już tak ciężki jak w świeżo malowanym pokoju.

Wszystkie receptory Marca były w stanie alarmu.

Dwoma palcami popchnął drzwi i musiał oprzeć się o framugę.

Tak, to był dzień dializy.

Ale Alainowi ktoś musiał pomóc.

Siedział nagi w regulowanym fotelu szpitalnym, przywiązany sznurem do bielizny i kablem od telewizora. Obok stał aparat złożony z długiej rury, licznika i dwóch pomp: maszyna do filtrowania krwi.

Ktoś przeciął rurkę umocowaną w zgięciu łokciowym Wietnamczyka, zagiął ją, jak wąż do podlewania roślin, i skierował do naczyń, ustawionych przy jego stopach. Słoiki po przyprawach, flakony od sosu kwaśno-słodkiego, butelki po wodzie mineralnej z odciętymi szyjkami - wszystkie te naczynia, ociekające i lepkie, zostały najpierw opróżnione z zawartości, a potem zapełnione po same brzegi.

Marc cofnął się w kąt wyłożony fajansowymi kafelkami.

Musiał pomylić się w swych obliczeniach.

Bo Jacques Reverdi był już w Paryżu.

Wyobraził sobie całą scenę. Drapieżnik, przesłuchując swoją ofiarę, zatykał kciukiem koniec odciętej rury. Jeśli Alain nie odpowiadał, uwalniał strugę krwi, zapełniając naczynie. Nowe pytanie - nowy flakon. I tak dalej.

Ale Reverdi na tym nie poprzestał.

Uzyskawszy odpowiedź na swoje pytania, zagłębił rurkę w krtań Alaina i zmusił do picia własnej krwi. I ten napój zadusił biedaka. Świeża jeszcze krew wyciekała mu przez usta, nos, uszy. Głowę miał napuchniętą, policzki pełne, skronie napęczniałe.

Marc podszedł bliżej i stwierdził, że maszyna wciąż jeszcze jest w ruchu: ostatnie mililitry, pchane ciśnieniem, przenikały wciąż do mózgu Alaina. Jego twarz niedługo eksploduje.

Marc był sam zdziwiony, że zachowuje jeszcze zdolność myślenia. Tylko pilność

sprawy trzymała go na nogach. Co urzędnik pocztowy mógł powiedzieć? Niewiele, tylko tyle, że to mężczyzna przychodził po listy dla Elisabeth. Poza tym Alain znał jedynie imię Marca. Raz tylko poprosił go o paszport, kiedy zawarł z nim „umowę o reekspedycji”, osiem miesięcy temu. Nie było możliwości, by cokolwiek zapamiętał.

Marc miał zatem trochę czasu. Cofnął się ostrożnie, starając się przypomnieć sobie, czy gdzieś oparł się ręką. Nie. To był stary odruch wężyciela, który nigdy nie zostawia śladów.

Już na progu łazienki powiedział sobie, że powinien wyłączyć maszynę, żeby nie dopuścić do jeszcze gorszej profanacji. Zawrócił, ale przy guzikach sterowniczych zamarł. Nie miał najmniejszego pojęcia o działaniu mechanizmu i na myśl, że mógłby zrobić coś nieostrożnego - na przykład zwiększyć ciśnienie i spowodować wybuch czaszki - wołał zrezygnować.

Wrócił do salonu, otworzył drzwi mieszkania ręką owiniętą w rękaw marynarki i wyrzwał na korytarz: nikogo. Nim uciekł, poszukał w pamięci jakiejś modlitwy, choćby parę słów, żeby prosić Alaina o wybaczenie.

Nie znalazł nic.

Zostawił Wietnamczyka pod ciśnieniem.

## 77.

Na wszelki wypadek poszukał schodów i zszedł piętro niżej pieszo. Na jedenastym wezwał windę. W kabinie załamał się. Przykucnął na podłodze, oparty plecami o metalową ścianę, i zaczął szlochać. Był zgubiony i - wiedział o tym - wirtualnie martwy. Nie chciał nawet myśleć o czekających go cierpieniach.

Drzwi otworzyły się na piątym piętrze. Ledwie miał czas wstać. Weszło dwóch roześmianych chińskich nastolatków. Marc przycisnął się do tylnej ścianki, wstrzymując oddech i szloch. Chłopcy wysiedli na parterze, nawet nie spojrzawszy na niego. Pozwolił drzwiom się zamknąć. Kabina zjechała jeszcze jedną kondygnację niżej.

Kiedy drzwi rozsunęły się ponownie, zobaczył przed sobą galerię handlową wychodzącą na ogrody na świeżym powietrzu. Zrobił kilka kroków i wytrzeszczył oczy. Na dystansie jednego piętra został przerzucony do Hongkongu albo Pekinu. Wszystkie twarze były chińskie. Wszystkie głosy chińskie. Neony rzucały światła czerwone, niebieskie, żółte, układające się w hieroglify. W powietrzu wisiły zapachy chińskich dań przesiąkniętych czosnkiem i soją.

Marc utykał. Jakiś mężczyzna potrącił go. Oparł się o witrynę sklepu z płytami CD i DVD. Zza ścian dochodziła jakaś romantyczna melodia. Z rękoma skrzyżowanymi na piersi stał jak sparaliżowany.

Z trudem ruszył znowu, ścigany ciekawym głosikiem piosenkarki. Widział tylko tyle, by ominąć przeszkody, ale nie rozpoznawał dobrze ani twarzy, ani żadnych innych rzeczy. Szedł przed siebie jak somnambulik, żaden szczegół nie pobudzał go do jakiegokolwiek myśli czy reakcji.

Zdał sobie sprawę, że stoi. Przed nim na wystawie księgarni tronowały dumnie na stojaku cztery egzemplarze tej samej książki. Okładka głosiła czerwonymi literami na czarnym tle: *CZARNA KREW*. Gdzieś w innej czasoprzestrzeni ten widok uszczęśliwiłby go lub wzruszył.

W tym momencie jednak nie był ani szczęśliwy, ani wzruszony.

Tylko przerażony.

Czy Jacques Reverdi szedł przez tę galerię handlową, opuściwszy mieszkanie Alaina? Czy widział książkę? Ile czasu potrzebował, żeby wszystko dotarło do niego? Marc nie



wątpił, że poczciarz podał zabójcy jego imię. Dzięki powieści Reverdi znał teraz również nazwisko.

Marc pobiegł pod arkadami. Nie zrobił nawet dwóch kroków, kiedy dostał nowy cios. Z wystawy perfumerii patrzyła na niego twarz Chadidży.

Chwiejąc się na nogach, podszedł bliżej. Była to kartonowa tablica na stelażu. Marc nigdy nie postawił stopy w perfumerii, nie wiedział więc, że kampania reklamowa „Elegii” trwa wciąż, bardzo dyskretnie, w punktach sprzedaży.

Czy Reverdi zobaczył Elisabeth na jednej z tych wystaw?

Spróbował znów ruszyć biegiem, ale tkwił jak zaklinowany między okładką swej książki a plakatem z Chadidżą. Czuł się jak traper, który wpadł w zastawioną przez siebie pułapkę i stoi z nogą przytrzaśniętą żelaznymi szczękami.

Odwrócił się gwałtownie: wydało mu się, że w szybie wystawy zobaczył odbicie mężczyzny o ogolonej czaszce. Mężczyzny, który mógł być Reverdim. Ale nie było nikogo. W każdym razie nikogo białego.

W tym momencie nagle coś go olśniło.

Jego wargi wymówiły mimo woli:

- Chadidża.

## 78.

W drodze na ulicę Jacob Marc dzwonił raz za razem do Vincenta. Żadnej odpowiedzi. Nawet żadnej wiadomości głosowej. Nie znaczyło to, że fotograf jest nieobecny. Przeciwnie - kiedy pracował, wyłączał telefony, komórkowy i stacjonarny. Marc poprosił kierowcę, żeby jechał gazem, ale wywołał tylko westchnienia i uwagi na temat „coraz bardziej gównianego ruchu” w Paryżu.

Marc zatopił się w myślach, które sprowadzały się do jednego: uratować Chadidzę. Trzeba było ją ukryć, osłonić i - w ten czy inny sposób - wyjaśnić jej wszystko. Spośród wszystkich powodów do paniki najbardziej dojmująca była właśnie perspektywa wyjaśnień.

Jak jej opowiedzieć tę całą historię?

Taksówka już się nie posuwała: korek na bulwarze Saint-Michel. Spróbował jeszcze raz wybrać numer Vincenta. Na próżno. Był pewien, że kolos wiedziałby, gdzie jest w tej chwili dziewczyna. Miał też zamiar go ostrzec. Marc w myślach posuwał się drogą mordercy: na podstawie afiszów skontaktuje się ze stowarzyszeniem producentów perfum lub z agencją reklamową. Wystarczy mu kilka telefonów, żeby znaleźć namiary Vincenta, a nawet Chadidży.

Samochód wciąż stał w korku. Marc zapłacił kierowcy, tłumacząc, że dalej pójdzie pieszo. Kierowca burknął: „Niech żyje solidarność”. Marc pobiegł truchtem w górę bulwaru, potem skręcił w prawo w ulicę Médicis, wzdłuż Ogrodu Luksemburskiego. Kiedy dotarł do rogu ulicy Tournon, w głowie pojawił mu się nagle obraz Renaty Santi. Ona też była zagrożona. Nie zwalniając kroku, wybrał jej numer.

- Marc? Gdzie pan jest? Od trzech dni...

- Widziałem książkę.

- Jest pan zadowolony?

Jej niski głos sprawiał, że słowa zawsze brzmiały, jakby się śpieszyła.

- Super.

- Ale pan nie odpowiedział na prośby tego...

- Renato, muszę panią o coś spytać.

- Proszę bardzo. Po pierwszych reakcjach, jakie otrzymuję z księgami, pańskie życzenia są dla mnie rozkazem.

- Czy jakiś mężczyzna kontaktował się z panią w związku z książką? Ktoś dziwny?

- W jakim sensie dziwny?

Marc zdał sobie sprawę, że powiedział głupstwo. Nigdy Reverdi nie wyglądałby dziwnie ani podejrzanie. Przeciwnie. Powiedział jednak:

- Nie wiem. Dziennikarz, którego pani współpracownicy nie znają. Facet, który chciałby z tego czy innego powodu spotkać się ze mną. Nie było tego rodzaju telefonów?

- Nie.

- Żadnego podejrzanego typu przed wydawnictwem?

- Zaczynam się bać...

Marc pędził ulicą Bonapartego z telefonem przy uchu.

- Proszę mnie posłuchać. Jeśli chce mi pani naprawdę sprawić przyjemność, to proszę opuścić swój gabinet i znaleźć jakiś spokojny kąt, ale nie swoje mieszkanie. A zwłaszcza niech pani nie śpi u siebie tej nocy.

- Co to za historia? Pan robi się po prostu niepokojący, Marc.

- Wszystko pani wyjaśnię jutro. Przysięgam. Ale tego wieczoru proszę postępować wedle moich instrukcji, zgoda?

- No cóż... - Jej oddech wydawał niskie tony. - To dość oryginalna prośba, ale zgoda... Znałam wiele osobliwych ptaków, ale panu należy się złoty medal!

Marc rozłączył się - był przy ulicy Jacob. Skręcił w lewo, stanął przed bramą. Serce waliło mu pod żebrami. Chwiał się na nogach. Studio wyglądało jak zwykle: wielkie okna zasłonięte storami. Wyciągnął rękę do dzwonka.

Nie dokończył ruchu.

Szklane drzwi były otwarte. Marc stwierdził, że nogi flaczeją mu na dobre. Odwrócił się i oparł o szybę. Poczul w ciele dźwięk roztrzaskującego się szkła. Jakby wszystkie kości w jego wnętrzu popękały naraz.

Jacques Reverdi wyprzedził go.

I może jeszcze tu był...

Przypomniał sobie, że o sto metrów stąd, przy ulicy Abbaye, mieści się komisariat. Ale pomyślał o Vincencie i odwrócił się twarzą do framugi. W końcu tylko on sam był odpowiedzialny za ten koszmar.

Popchnął bezgłośnie drzwi. Studio tonęło w świątynnej ciszy. Wszystkie zasłony były zaciągnięte. Jedyne kilka okrągłych okienek u góry przepuszczało strumyczek światła. Wystarczyły dwa kroki, by jego obawy się potwierdziły: Reverdi tu był - i już poszedł.

Setki zdjęć wały się po podłodze. Morderca przewrócił do góry nogami całe

archiwum Vincenta, żeby znaleźć fotografie i namiary Chadidży Kacem, alias Elisabeth Bremen.

Ale było coś znacznie gorszego.

W fotelu na kółkach, który Reverdi przesunął na środek *plateau*, za wygaszonymi reflektorami, plecami do Marca siedział Vincent. Grubas miał opuszczoną głowę i był zwrócony w kierunku wielkich wielobarwnych płacht zwisających aż do ziemi. Jego pozycja nie pozostawiała żadnej wątpliwości: już ostygł. Wokół niego łukiem leżało mnóstwo zdjęć.

Marc podszedł bliżej, sam ledwie żywy. Jego głowa przypominała ciemnię, w której wywołuje się wyłącznie obrazy zniszczenia.

Vincent był nagi jak Alain, ale w rozmiarze XXL, ogromny. Fałdy ciała, ściągnięte paskami taśmy samoprzylepnej, którymi był przymocowany do fotela, były zwinięte w grube wałki. Jego ciało wieloryba nosiło ślady licznych skaleczeń. Innych niż te, które Reverdi zadawał swym kobiecym ofiarom. Nie były to delikatne i precyzyjne, starannie wykonane nacięcia, lecz wielkie, otwarte rany. Zadane z wściekłością, barbarzyńskie, głębokie. Sądząc z brązowych strug, które z nich wytrysnęły, Reverdi tym razem wybrał nie żyły, lecz arterie: obfity wypływ i mocne ciśnienie.

Marc zorientował się jednak, że morderca i tym razem najpierw zabezpieczył rany taśmą samoprzylepną. Znow zastosował ten swój szantaż krwią, czekając ze „spuszczeniem sosu”, aż ofiara odpowie na jego pytania. Przy każdej odmowie, przy każdym przemilczeniu zrywał ten prowizoryczny bandaż i otwierał śmiertelny upust.

Marc podszedł bliżej i zauważył osobliwy szczegół. Długie włosy całkowicie zakrywały pochyloną twarz, ale niektóre kosmyki zdawały się zlepione w pasemka i twarde, jak dredy Jamajczyków. Ostrożnie, bardzo ostrożnie Marc podsunął dłoń pod podbródek Vincenta i uniół jego twarz do góry.

Morderca wydarł fotografowi oczy i wcisnął mu w orbity rozwinięte błony fotograficzne. Sekundę potem Marc zrozumiał, że głowa trupa została nakierowana w konkretne miejsce. Ta twarz z wylupionymi oczyma „patrzyła” na coś, co znajdowało się za plecami Marca.

Odwrócił się i zobaczył krwawe ślady ciągnące się wzdłuż wielkich płacht z kolorowego papieru. Bez wahania zerwał je po kolei i zobaczył przed sobą dalszy ciąg przesłania.

Na ostatniej jasnioletowej zasłonie morderca wypisał krwią swej ofiary:

**WIDZIEĆ NIE ZNACZY WIEDZIEĆ!**

Marc cofnął się i potknął o trupa. Wydało mu się, że cały pokój wiruje wokół niego, i

poczuł, że traci przytomność. W ostatniej chwili chwycił się za ramię swego umęczonego przyjaciela. I wtedy zawył rykiem wychodzącym z głębi brzucha, rykiem, który wstrzymywał od czasu odwiedzin u Alaina. Zawył jeszcze raz i jeszcze. Zgięty w pół, wściekły, przerażony, z trudem łapał powietrze. Ryczał do naderwania strun głosowych.

Potem padł na kolana, szlochając nad rozsypanymi po podłodze zdjęciami zlepionymi zaschlą krwią.

W tym momencie zrozumiał sens przesłania.

Na wszystkich odbitkach była tylko Chadidża.

Czy Vincent dał mu jej adres? Z całą pewnością.

Co mógł jeszcze powiedzieć? Nic. Vincent nie wiedział nic.

Na myśl o torturach, które musiał znieść, Marc czuł, że chwyta go nowa fala płaczu. Ale zapanował nad sobą.

Może zdoła jeszcze uratować dziewczynę.

Wstał, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę stacjonarnego telefonu Vincenta. Numer komórki Chadidży był zarejestrowany w pamięci aparatu. Odpowiedzi nie było. Marc przypomniał sobie Marinę, osobistą wizażystkę modelki. Jej numer był też zaprogramowany. Odezwała się po trzecim dzwonku.

- Marc! Jak leci?

Rzucił okiem na bezokie orbity fotografa, na krwawy napis, na zlepione zdjęcia Chadidży.

- W porządku.

- O co chodzi?

Odwrócił się plecami do sceny masakry i powiedział pewniejszym głosem:

- Szukam Chadidży.

- Ha, ha, ha... - zaśmiała się dziewczyna.

- Wiesz, gdzie jest?

- Tu koło mnie. Mamy właśnie sesję zdjęciową.

Poczuł taką ulgę, że gdzieś tam, w głębi klatki piersiowej, coś mu trzasnęło.

- Gdzie jesteście?

- W studiu Daguerre.

- Adres?

- Ulica Daguerre 56, ale...

- Zaraz tam będę.

- Sesja jeszcze nie skończona, mam...

- Zaraz będę.

Już miał się rozłączyć, ale zapytał:

- Czy ktoś dzwonił do niej dzisiaj po południu? Na jej komórkę?

- Pojęcia nie mam. Dlaczego?

- Posłuchaj mnie uważnie. Do mojego przyścia niech nie odpowiada na telefony. Nie odsłuchuje wiadomości z poczty głosowej. Nikt nie może się do niej zbliżyć poza ekipą zdjęciową. Rozumiesz?

Marina zaśmiała się ironicznie:

- Robisz się bardzo wyłączny. Będzie za-chwy-co-na!

## 79.

*Plateau* studia fotograficznego otaczały lśniące parawany. Były to wielkie płachty aluminium, od których po całym pomieszczeniu rozchodziły się matowe błyski i szum statków kosmicznych.

Wyglądało na to, że ta roziskrzona sceneria sprawia ogromne problemy techniczne. Pięcioro asystentów biegało we wszystkich kierunkach i żaden z reflektorów nie był skierowany na samo *plateau*, tylko pochylony skośnie, żeby uzyskać oświetlenie pośrednie.

W studiu było cicho jak na sali operacyjnej. Zdjęcia profesjonalne. Zebranie ekspertów. Marc zbliżył się o kilka kroków, najdyskretniej jak potrafił do granicy oślepiającej polany.

Była tam Chadidza, sama, oblana białym światłem.

Ubrana w ażurowy srebrzysty kombinezon, przypominała jakieś pozaziemskie stworzenie, które spłynęło tu przed chwilą z planety Doskonałość. Z planety, gdzie każdy mieszkaniec miał wymiary nieskazitelne, a każda poza była kwintesencją wdzięku.

- OK. Ta sama pozycja co przedtem. Z tamtej strony światło, w porządku?

Marc zachwiał się jak po ciosie. Głos fotografa wydającego z półmroku polecenia przypomniał mu przyjaciela. Tyle razy przychodził do niego do pracowni... Vincent dyryguje wykonaniem swych nieostrych zdjęć z pomocą pseudofilozoficznych komentarzy... Vincent wybuchając śmiechem otwierając puszkę piwa... Vincent wyciąga sprośne fotografie z kieszeni wymiętych spodni... Marc wstrzymał oddech, żeby się nie rozplakać, i wpatrzył się w Chadidzę.

Stała z rękami na biodrach, z rozstawionymi nogami jak jakaś James Bond Girl z lat siedemdziesiątych. Jakby rzucała wyzwanie białej poświacie, która ją otaczała i zacierała kontury sylwetki.

- Teraz krok do przodu. Stajesz w pozycji trzy czwarte. Dobra. Uśmiechasz się. Troszeczkę arogancko...

Jasne wargi przybrały żądany wyraz. Taki uśmiech wpływał bezpośrednio, ostro, na najgłębsze pokłady osobowości, potracał przedwieczną, zapomnianą strunę. Jak te sondy, które wdzierają się w ciemności ziemi i odkrywają nisze wypełnione przedpotopowymi, falującymi jeszcze płynami.

- Mucha nie siada. Teraz znów en face. Lekko się pochyl.

Chadidza wypełniła polecenie. Linia pleców zmiękła. Ruch mógł być wulgarny, prowokujący, ale w jej wykonaniu była to naturalna nonszalancja, która zdawała się spływać bezpośrednio od uśmiechu do najdalszych zakątków ciała. Marc dygotał w miejscu: miał ochotę przejść przez *plateau*, wziąć ją za rękę i uciec razem z nią. Trzeba ukryć ten skarb, nim będzie za późno.

Rozległo się niskie klik migawki, zaraz potem syk flesza, wreszcie zgrzyt mechanizmu przesuwającego błonę. Klik. Syk. Zgrzyt... Trójdzielny rytm. Ale też dzwon na trwożę. Obraz Vincenta wciąż ranił mu pamięć. Odwrócił się w półmroku: tym razem wybuchnie. Rozpłacze się lub zwymiotuje. Albo jedno i drugie.

- Dobra. Kończymy!

Marc, wciąż zgięty w pół, oparł się o ścianę i nagle poczuł zapach perfum, bardzo gęsty, mieszankę ostrych pigmentów i łagodnych olejków. Odwrócił się gwałtownie: przed nim stała Chadidza. Zarazem nierealna i aż nazbyt obecna w swym błyszczącym kombinezonie.

- Byłeś na samym końcu listy spodziewanych gości.

Nie wyglądała na zaskoczoną - Marina ją uprzedziła.

- Pilna wiadomość? - spytała.

- Chciałem cię zaprosić na weekend.

- Po prostu...

Spróbował się uśmiechnąć, ale z wysiłku jęknął boleśnie.

- Ja... Ja chciałem ci pokazać miejsce, które bardzo lubię. Niedaleko Paryża.

- Kiedy?

- Teraz.

- Coraz lepiej. Wielki pisarz porywaczem młodych dziewcząt.

Ironia z żartobliwej zrobiła się sarkastyczna. Marc postanowił zagrać inną kartą - urażoną dumą.

- Słuchaj - powiedział porywczo - naszło mnie to nagle. To dla mnie i tak dosyć trudne. Jeśli nie masz ochoty, to po krzyku. Żaden problem.

Nie spuszczać z niego oczu, skinęła głową. Czarne loki okalały jej twarz.

- Zaczekaj na mnie. Pójdę po rzeczy.



## 80.

Marc doskonale pamiętał to miejsce.

Pałacyk przerobiony na zajazd leżał niedaleko Orleanu i składał się z głównego budynku oraz zabudowań gospodarczych rozmieszczonych w kilkudziesięciohektarowym parku. Kiedy był paparazzim, często zasadzał się w okolicach tego hotelu. Kryjówka mało znana, elitarna, gdzie sławne osobistości przyjeżdżały konsumować swoje pokątne związki z dala od niedyskretnych oczu. W tamtych czasach paru facetów z personelu, odpowiednio posmarowanych, regularnie informowało go o przybyciu „obietujących” par.

Na szczęście Chadidża była posiadaczką samochodu - bo on zaprosił ją na wieś, ale własnego auta nie miał. Dziewczyna, która na tyle swojego twingo miała wymalowane dumne A, znak początkujących kierowców, prowadziła z wyraźną przyjemnością. Przyznała się, że dopiero co zrobiła prawo jazdy i to jest jej pierwsza dłuższa trasa!

Podczas jazdy Marc chciał podtrzymywać jakoś rozmowę, ale strach, zmieszanie, cierpienie kłębiły się w nim tak, że z trudem udawało mu się kończyć zdania. Wyregulował prawe zewnętrzne lustro w ten sposób, by mógł sam obserwować drogę za samochodem na wypadek, gdyby ktoś za nimi jechał. Chadidża była tak skoncentrowana na prowadzeniu, że nawet tego nie zauważyła.

Zjechali z autostrady w boczną drogę. Mimo zapadającego zmroku Marc bez trudu znajdował kierunek. Wreszcie za jednym z zakrętów zauważył mur posiadłości, pozieleniały od mchu, przesłonięty drzewami, potem sterczące ponad koronami drzew dwie wieże dworku.

Auto minęło bramę i wjechało na zwirowany dziedziniec. Chadidża gwizdnęła z podziwu na widok porośniętej bluszczem fasady. Mimo zdenerwowania Marc dostrzegał urok tej dziewczyny: każde wypowiedziane przez nią słowo, każdy jej gest tchnęły oszałamiającą spontanicznością, świeżością, które nie miały nic wspólnego z jej wizerunkiem wystylizowanym na boginię pustyni. Im bardziej ją poznawał, tym mniej miała w sobie z nietykalnej ikony. Była przede wszystkim pogodną młodą kobietą wykształconą mówiącą wprost, co myśli, i obnoszącą swoją urodę niczym lekki płaszczyk, którego zapomniała zdjąć.

Zaparkowała przy wtórze mnóstwa przekleństw i zgrzytania zębów, szarpiąc niemiłosiernie kierownicą i drążkiem zmiany biegów. Wyszli z samochodu i przyjrzeni się rzęsiście oświetlonej w mroku budowli. Główny budynek był szarym dworem w kształcie

litera „U”, a w lewym skrzydle, w dawnych stajniach, mieściły się sale konferencyjne i restauracja. Okna sypialni ciągnęły się równym rzędem wzdłuż pierwszego piętra głównego korpusu. Naprzeciw pałacyku, w parku, stały dawne budyneczki gospodarcze, w których teraz urządzone były, niczym wysepki dyskrecji, apartamenty. Marc odprężył się nieco, mając wokół siebie mury posiadłości i wiekowe dęby, po raz pierwszy tego dnia czuł się bezpieczny.

Hol wejściowy również robił wrażenie rustykalnej niewymuszonej wygody. Ściany z nieotynkowanego kamienia, gruby dywan na drewnianej woskowanej podłodze, żelazne szafy dumnie wypinające pierś. Marc obawiał się tylko jednego: że portier lub któryś z boyów poznają go i szepną mu jakąś niedyskretną informację, która niegdyś mogła zainteresować Śmietniczkę. Ale nie: personel się zmienił i potraktowano ich jak normalną parę, która zafundowała sobie weekend przy świecach.

Marc poprosił o dwie sąsiadujące z sobą sypialnie połączone drzwiami. Nie chciał bowiem wyglądać na uwodziciela zastawiającego sieci. Załatwił sprawę tak, by Chadidza nie słyszała jego rozmowy w recepcji. Gdzieś tam w zakątku głowy, gdzie strach jeszcze wszystkiego nie zniszczył, czuł, że wygląda na podrywacza, chcącego uwieść swoją sekretarkę, i cierpiał wskutek tej sytuacji.

Sypialnie wyglądały jeszcze bardziej karykaturalnie. Łóżko z baldachimem, na nim aksamitna kapa, minibar wypełniony butelkami szampana: składniki pułapki. Marc nie śmiał spojrzeć na Chadidzę. Zwijał się ze wstydu.

Kiedy tylko portier wyszedł, a dziewczyna poszła do swojej sypialni, Marc starannie przeszukał swoją. Czynność absurdalna: Reverdi nie mógł się ukryć w szafie ściennej. Spojrzał przez okno w prawo, w stronę parkingu. Nic niepokojącego. Nie pojawił się żaden nowy samochód, żaden nowy gość, nie czaił się żaden cień.

Marc spojrzął na zegarek: dwudziesta trzydzieści. Zaraz zejść na kolację. Wtedy porozmawia z Chadidzą. Jak zareaguje? Będzie chciała, żeby zawiadomić policję? Na pewno. Nie było innego wyjścia. Sam tak uważał.

Ale najpierw - musi wszystko wytłumaczyć.

Dziś wieczór.

\*

Chadidza w milczeniu czytała kartę.

Jednocześnie kątem oka obserwowała Marca. Kiedy indziej parsknęłaby śmiechem. Sam wystrój stołu był jak z powieści: nakryć pięć razy więcej, niż trzeba, świece świeciły jak wyregulowane potencjometrem, każdy stół z osobna, odgradzony parawanem, tworzył

przytulną alkowę.

Tak, w innych okolicznościach pękałaby ze śmiechu. Ale nie tego wieczoru. Bo tę żalną kolację, tę patetyczną zasadzkę przygotował nie kto inny, tylko Marc. I wszystko w jego zachowaniu, od chwili wyjazdu z Paryża, trąciło fałszem. To zaproszenie, ta zmiana stosunku do niej, jego rozradowany ton. Mimo wysiłków wydawał się zupełnie obcy temu, co tutaj się działo.

O co mu chodziło?

Dlaczego ją tu sprowadził?

Tydzień wcześniej ta wyprawa wprowadziłaby ją w szalony zachwyt - lub rozterkę - ale nie teraz. Miała w pamięci ten przykry wieczór, ten nieudany koktajl, którego bohater, ze swoją skaleczoną ręką i grubiańskim zachowaniem sięgnął dna. Patrzyła teraz na niego z politowaniem. Był w nim jakiś twardy punkt, jakaś tajemnica, której, zdawało się, nic ani nikt nie był w stanie przeniknąć. Człowiek w pancerzu. Samotny, zrozpaczony, niezrozumiany. A dzisiejsza okropna kolacja umacniała jeszcze to wrażenie.

Postanowiła postawić sprawę jasno.

- Chcesz mi coś powiedzieć, prawda?

Zadała mu to pytanie już w samochodzie, ale wtedy nie odpowiedział. Tym razem też się wykręcił:

- Nie. - Uśmiechnął się. - Albo raczej tak, ale nie teraz. Co wybierasz?

Mówił aksamitnym głosem, jakby pod tymi słowami jeszcze coś się kryło. Mój Boże, za kogo on ją bierze? Znow zaczęła przeglądać kartę.

- Nic się nie znam na tym wszystkim.

Marc zaproponował rozbawionym głosem:

- Nie miałabyś ochoty spróbować farandoli z przegrzebka w sosie z karmelizowanej dziczyzny, spryskanej olejkami cytrusowymi?

Uśmiechnęła się.

- A może potrawki z pulardy, z nóżkami na niebiesko?

Włączyła się w zabawę.

- Spróbuję raczej grzybów shitake duszonych w szczelnym rondelku.

- Rozumiem cię. Ale nie zapomnij o młodej cykorii w sosie z niedojrzałych owoców.

- Ani o faszerowanej dzikiej kaczce w cieście półfrancuskim!

Wybuchnęli śmiechem. W mgnieniu oka ustanowiło się między nimi porozumienie. Komitywa oczywista, przejrzysta, błyskotliwa. Jakaś chwila uwolnienia. Jak po łyku alkoholu w żołnierskim okopie. Ale poczuła od razu, że długo to nie potrwa.

I rzeczywiście, twarz Marca nagle zastygła. Jego cera przybrała barwę kredy.

- Przepraszam - bąknął.

I zerwał się od stołu.

\*

Był pewien.

Zauważył go przez okno. Ogolona czaszka. Twarz długa i szara. Ogromny wzrost. Żadnej wątpliwości. Reverdi. Marc przeszedł przez salę restauracyjną. Nie wiedział, co robi - nawet nie miał żadnej broni. Ale musiał mieć pewność.

Zatrzymał się na ganku jak nad brzegiem przepaści. Przyjrzał się rozświetlonemu kwadratowi dziedzińca. Popatrzył bacznie na szare kamienie, wdychał przez chwilę mocny zapach wilgoci, wsłuchiwał się w szelest liści. Nic. Próbował coś wypatrzeć dalej poprzez ciemność. Nikogo. Noc na wsi, ani bardziej, ani mniej groźna od innych.

Poczuł na ramieniu dotyk ręki.

Odwrócił się z krzykiem, poślizgnął na schodkach i zatoczył się w tył. Omal nie upadł, ale przybrał pozycję obronną. W świetle parkowych latarenek podszedł do niego jakiś mężczyzna, z szerokim uśmiechem na ustach.

- Bardzo mi przykro. Przestraszyłem pana. Jestem dyrektorem hotelu.

Marc próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć głosu.

- Niech się pan niczego nie obawia, nasz parking jest strzeżony dniem i nocą.

Ledwie rozumiał, co ten człowiek mówi. Cały dygotał pod ubraniem. Pot szczyptał go w twarz, czuł się, jakby miał na niej maskę ze szpilek. Znow próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał. Dyrektor szedł koło niego przez dziedziniec, wciąż mówiąc coś niezrozumiałego. Marc wymamrotał wreszcie jakieś „dobrze, bardzo dobrze” i wrócił z opuszczoną głową na salę, potrącając po drodze kelnera.

Usiadł przy stole. Drżał tak, że nie czuł ani rąk, ani nóg. Jego kończyny zdawały się oddzielone od reszty ciała, a do tego bolały go. Pomyślał o żołnierzach, którzy wciąż czują amputowane nogi.

- Co się dzieje? - spytała Chadidza. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył widmo.

- Miałem pilny telefon. Wszystko w porządku.

Żeby wrócić do siebie, wziął znow kartę do ręki, ale natychmiast ją odłożył. Ręce mu trzępotały jak skrzydełka owada. Wsunął je pod uda i skupił się na nazwach potraw, które skakały mu przed oczami.

Mój Boże, musi z nią porozmawiać.

\*

- Nie przeszkadza ci, że zostawię drzwi otwarte?

Pytanie było śmieszne, jak i cała reszta. Nigdy nie była na tak absurdalnej kolacji. Ledwie zaczęte słowa zamierały na wargach i milczenie, ciężkie jak kamień nagrobny, przytłaczało oboje. Nie rozumiała, co się dzieje. Tak kiedyś marzyła o spotkaniu z nim...

Przeszła do łazienki i przyjrzała się sobie w lustrze. Na twarzy widoczne były jeszcze ślady makijażu do sesji zdjęciowej. Zastanowiła się. Czy mają się kochać tej nocy? Byłaby to jedna niedorzeczność więcej. Czy się zgodzi? Nie. Żadnej wątpliwości. Ale w jedną noc temperatura może się tak bardzo zmienić... Zaniepokoiła się: otworzyła torebkę. Nie miała pigułek ani żadnej maści. Jeśli do czegoś dojdzie, to co ma zrobić?

Otworzyła kurek przy wannie, po czym wróciła do pokoju. Trzeba było przyjmować tę scenerię z humorem. Kolosalne łóżko pokryte aksamitną kapą. Na ścianie kilim przedstawiający dworską scenę miłosną. Na poduszce położono nawet dwie skrzyżowane łodygami czerwone róże.

W łazience woda wciąż jeszcze lała się do wanny. Nie słyszała żadnych odgłosów z sąsiedniego pokoju. Powiesiła płaszcz w szafie i zdecydowała się rozesłać łóżko.

Wzięła do ręki róże i odchyliła narzutę.

\*

Wrzask zaskoczył Marca, kiedy obserwował dziedziniec.

Jednym skokiem przebiegł swoją sypialnię i zobaczył skamieniałą z przerażenia leżącą na podłodze Chadidzę. Wpatrywała się w kapę. On też spojrzął i poczuł, jak flaki przewracają mu się w brzuchu.

Oczy.

Na posłaniu leżały oczy.

Marc wiedział, skąd się wzięły. Pozbawiona oczu twarz Vincenta. WIDZIEĆ NIE ZNACZY WIEDZIEĆ. Zauważył też dwie skrzyżowane róże. Strużki krwi ciągnęły się między płatkami a oczami. Były ukryte wewnątrz kwiatów.

Witał ich Jacques Reverdi.

Na swój sposób.

Marc rzucił się do drzwi i dwa razy przekręcił klucz, po czym pobiegł do swej sypialni, żeby ją dobrze zamknąć. Wrócił do Chadidży i wziął ją w ramiona. Drżała tak, że już nic nie ważyła, wydawała się bezcielesna.

Odruchowo spojrzął znowu na łóżko. Na brzegu prześcieradła zauważył ślady krwi. To nie były bryzgi z płatków róż. Przypomniał sobie płachty ze studia i ostrzeżenie Reverdiego. Tu też przesłanie było dłuższe.

Bez wahania schwycił kołdrę i zerwał ją jednym ruchem, zrzucając na ziemię róże i gałki oczne.

Z prześcieradła przykrywającego materac wyciągały do niego pazury krwawe litery:

**SCHOWAJ SIĘ SZYBKO, TATO IDZIE**

# 81.

- Ale co się dzieje?

Nie odpowiadając, chwycił ją za rękę i poderwał z podłogi. W czasie kiedy on otwierał drzwi z klucza, ona zdążyła tylko zabrać torebkę z łazienki. Zbiegli ze schodów, a potem przelecieli przez hol, odprowadzani zdumionym spojrzeniem recepcjonisty.

Na progu Marc nagle się zatrzymał. Rozejrzał się po oświetlonym dziedzińcu. Zaparkowane samochody. Szeleszczące drzewa. Za nimi ciemności wydawały się jeszcze głębsze niż przedtem. Marc zatrzymał spojrzenie na samochodzie Chadidży. Przez krótką chwilę miał ochotę wskoczyć do auta i wrócić do Paryża. Ale Reverdi i tam mógł przygotować jakąś pułapkę. A może siedział w samochodzie. Przyjrzał się potężnemu dębowi. Zmienił zdanie: on jest tam, za tą srebrzystą korą. Potem spojrzał na pogrążone w ciemnościach drzwi stajni. Reverdi był wszędzie. Swoją groźną obecnością nasycił całą przestrzeń wokół nich.

Zostać w hotelu? Wezwać policję? Wrócić na górę i zamknąć się do świtu w pokojach? Marc jak w błysku flesza zobaczył oczy toczące się u stóp łóżka i rozedrgane, brunatne litery: SCHOWAJ SIĘ SZYBKO, TATO IDZIE. Uciekać. Trzeba uciekać. A przede wszystkim nie można zostać ani chwili dłużej w tym pałacyku.

Ścisnął palce Chadidży i ruszył naprzód. Gdzieś daleko huczała burza. Ciemności zdawały się z każdą chwilą coraz bliższe. Przeszli wzdłuż parkingu. Marc przyglądał się każdemu samochodowi, każdej cząsteczce ciemności. Doszedłszy do rogu budynku, zauważył ścieżkę, która zagłębiała się w noc.

- Zdejmij buty - powiedział.

Biegli wśród drzew, cieni, szelestów. Noc na wsi. Ten świat na zewnątrz, na który patrzy się z dreszczem przez okno dobrze ogrzanego domu. Ta kwintesencja czerni, o której myślimy z ulgą, że nie musimy się z nią zmierzyć. Oni nie patrzyli już na nią przez szybę: byli w niej zanurzeni. Przebiegali przez nią, deptali ją, gwałcili. Niczym jakieś święte tabu, którego nikt inny nie ośmielił się naruszyć.

Gałęzie trzaskały pod ich nogami. Trawy raniły stopy. Potykali się o korzenie. Posuwali się, nie wiadomo dokąd, bez żadnych punktów orientacyjnych. Nad głowami wiatr poruszał koronami drzew, zrywał liście, bił w posępne sklepienie nieba.

- Gówno.

Przed nimi otwierał się las wierzb, miotany przeciągłymi dreszczami. Marc przypomniał sobie bambusy. Wyobraził sobie liście na skórze mordercy i jego twarz pełną nienawiści, nagle muśniętą przez gałęzie. Widział, jak się zatrzymuje, rozkoszuje delikatnością tych dotknięć, odczuwa ogarniające go z wolna zbrodnicze szaleństwo, przywołane roślinną pieśczętą...

- Nie tędy - szepnął.

Znów ścisnął Chadidżę za rękę i skręcił w lewo, w pola. Biegła za nim pokornie. W duchu był z niej dumny: z jej milczenia, z jej odwagi.

Uciekali teraz niczym nieosłonięci, grzęznąc, zapadając się w bruzdy roli. Minęli nagie pole i znów wpadli w jakiś zagajnik. Marc przeklinał ten wrogi wiejski krajobraz, rozbudzony wiatrem, ożywiony deszczem. Ale nie śmiał ani zatrzymać się, ani zawrócić. Była to dosłownie ucieczka, gdzie oczy poniosą.

Kiedy zobaczył oborę, wiedział, że tu muszą się zatrzymać. Schronienie albo ślepy zaułek. Albo Reverdi ich zgubił i będą mogli doczekać dnia w tych czterech ścianach, albo ściga ich i wszystko się skończy w tej szopie. Znów pociągnął Chadidżę za rękę. Słyszał, jak dziewczyna sapie, dyszy, ale ani razu nie jęknęła.

Naparł barkiem na drzwi i wyważył je. Mimo odoru, który chwycił go za gardło, mimo lodowatego zimna, poczuł ulgę. Uwalić się pod tym dachem, przeczekać noc: dalej myślą nie sięgał. Było prawie zupełnie ciemno. Weszli do środka. Smród można było krajać nożem, stąpali po ubitej glinie, pokrytej kawałkami wyschłego łajna.

Marc zamknął za sobą drzwi - i noc. Zastanawiał się, czy nie zachował przypadkiem w kieszeni zapalniczki, której użył w Nanterre, nad rzeką. Ale w tym momencie w ciemnościach błysnął płomień. Zaśniły loki Chadidży: to ona trzymała w ręku zapalniczkę. W następnej chwili światelko zamieniło się w prawdziwe ognisko. Marc już chciał na nią krzyknąć, ale dziewczyna uprzedziła go.

- Tylko mi nie mów, że nas zauważą.

Zamarł z otwartymi ustami. Miała rację. Co mógł wiedzieć o prawach polowania? O regułach wojny? Na zewnątrz szalała ulewa. Chmury były tak nisko, że pochłoną dym, jeśli wydostanie się przez okienko, które Chadidża właśnie otwierała. Wróciła i usiadła przy ogniu. Marc usiadł przy niej: podsycala ogień, dorzucając najbardziej wyschnięte placki łajna.

Mimo ciepła, które zaczęło się rozchodzić od ognia, wciąż szczykała zębami. Zdjął marynarkę i narzucił jej na ramiona - przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić. Zaraz potem wstał. Myśli tańczyły mu w głowie. Przygotować się do oblężenia. Zorganizować obronę.



Jak? Nie mieli nic. Ani broni, ani osłony, ani prowiantu...

- Siadaj. Mdli mnie, kiedy tak się kręcisz.

Marc znieruchomiał. Zaskoczył go jej władczy ton, ale jeszcze bardziej spokój, z jakim mówiła. Niewiarygodne: nie bała się. Opadł na ziemię naprzeciwko niej. Między nimi trzaskało płonące łajno, z którego tryskały krótkie, nerwowe płomienie o dziwnym zielonkawym odcieniu.

- Słucham - powiedziała. - Chcę znać całą historię.

\*

Opowiedział. O wcieleniu się w Elisabeth. O pierwszych listach.

O kradzieży zdjęcia. O pakcie z Reverdim. O swojej podróży na „czarną linię”, ciągnącą się między zwrotnikiem Raka a równikiem.

Potem o tajemnicy czarnej krwi.

Opowiadał jej w najdrobniejszych szczegółach, zafascynowany rytuałem zabójcy. Nacięcia. Miód. Hermetyczna izba. I akt końcowy.

Chadidża, objawszy nogi ramionami, z podbródkiem opartym na kolanach, milczała cały czas. Wpatrywała się w chwiejne płomienie. Coś w niej opierało się panice. Wydawała się zdolna stawić czoło temu wszystkiemu. Marc pomyślał o tych „kobietach szufladach” z obrazów Salvadora Dali, kryjących swe tajemnice w zakamarkach ciała. Gdzie Chadidża ukryła sekret swej siły?

Przeszedł do chwili obecnej. Ucieczka Reverdiego. Zamordowanie Alaina van Hêma, jedynego łącznika z Elisabeth i jej adresem poste restante. Potem wściekłość mordercy, kiedy w perfumerii zobaczył twarz Chadidży, a w księgarni powieść *Czarna krew*. Marc próbował wyjaśniać, że chciał uniknąć innych nieszczęść, uratować Vincenta, uchronić ją Chadidżę... Wahał się parę sekund i w końcu wyznał najgorsze: śmierć fotografa.

Chadidża zadrzała, ale nie odwracała wzroku od ognia. Nie zadała żadnego pytania, ale on wyczuwał, że coś się w niej zaważyło, jakiś fundament. Mówił dalej. Niczego nie chciał przed nią ukryć. Opisał męczeństwo Vincenta. Wykrwawienie. Wyrwane oczy - oczy z kapy w hotelu. Podeptane zdjęcia Chadidży.

I napis w głębi: WIDZIEĆ NIE ZNACZY WIEDZIEĆ.

Teraz Reverdi był tu, gdzieś blisko, niedaleko stodoły.

Opętany pragnieniem zemsty.

Dziewczyna milczała. Marc spojrzał na zegarek. Była pierwsza w nocy. A atak wciąż nie następował, wciąż nie było żadnych niepokojących sygnałów. Czy go zgubili? Poczł odprężenie. Siedzieli teraz w ciepłe. Przywykali do zapachu palonego łajna. Przywykali do

czekania na śmierć.

- Nie powiedziałaś mi najważniejszego - powiedziała nagle Chadidza. - Po co to wszystko? Po coś wyruszył na to poszukiwanie?

Marc wybełkotał parę słów, spróbował uzasadnić swoje śledztwo. Przerwała mu:

- Dlaczego nie mówisz mi o Sophie?

Podsłoczył, jakby dostał żarem z ogniska po oczach.

- Kto ci o niej mówił?

- Vincent.

Przytaknął powolnym ruchem. A więc znała najważniejszą część historii. Zaczął mówić szeptem - jego słowa mieszały się z trzaskaniem płomieni.

- Dwa razy zetknąłem się ze śmiercią. Z krwawą śmiercią.

O dwa razy za wiele jak na zwyczajne życie. Za pierwszym razem miałem szesnaście lat. Mój najlepszy przyjaciel, muzyk, otworzył sobie żyły w licealnej ubikacji. Nazywał się d'Amico. Najlepszy wiolonczelista, jakiego kiedykolwiek spotkałem. To ja go znalazłem martwego. Za drugim razem to była Sophie. Została... Zresztą...

Głos mu zamarł. Chadidza oszczędziła go.

- Vincent mi opowiadał. Ale dlaczego zareagowałeś w ten sposób? Po co było ścigać zło, zamiast, przeciwnie, starać się zapomnieć?

- Te dwa wydarzenia wzbudziły we mnie jakiś chorobliwy pociąg. Zafascynowanie śmiercią. A zwłaszcza wolę dowiedzenia się, zrozumienia. Śmierć d'Amico nie miała nic wspólnego ze zbrodniczym popędem, ale była jakby preambułą. Przedpokojem zgrozy. Ciało Sophie stało się apoteozą. Pytaniem otwartym jak rana. Jak to było możliwe? Jak można było zrobić coś takiego? Te wydarzenia wycisnęły na mnie piętno. Zostałem wybrany, wezwany do zrozumienia najgłębszej natury przemocy. Myślę, że gdzieś na dnie kryje się też wyrzut sumienia.

- Wyrzut sumienia?

Marc nie od razu odpowiedział. Dotykał najintymniejszych warstw siebie samego, takich, o których nigdy na głos nie wspominał.

- Kiedy znalazłem ciało mojego przyjaciela, a potem Sophie, zemdlałem. Zniknąłem ze świata. Nie chodzi o krótkie omdlenie. To była prawdziwa śpiączka. Za pierwszym razem sześć dni. Za drugim trzy tygodnie. Podobno to się zdarza po ciężkich urazach. Ale ta śpiączka spowodowała też wsteczną amnezję.

- To znaczy?

- Szok zatarł chwilę znalezienia ciał i godziny, które to poprzedziły. Jakby moja

świadomość rozprysnęła się w dwie strony na skali czasu, rozumiesz?

- Nie rozumiem tylko twoich wyrzutów sumienia.

Marc niemal krzyknął:

- No przecież nie wiem, co robiłem tuż przed ich śmiercią! - Uderzył się pięścią w dłoń. - Może mogłem temu zapobiec... Może nawet to sprowokowałem. Może powiedziałem jakieś zbyt ostre słowo do d'Amico albo może nie powinienem zostawiać Sophie samej, nie wiem. Mój Boże, nawet nie pamiętam naszych ostatnich słów...

Chadidza milczała, pozwalając upływać sekundom.

- W każdym razie - powiedział Marc, streszczając w tych kilku słowach swój los - byłem winien to śledztwo im obojgu. Ich śmierć to czarna karta w mojej głowie. Chcę odkryć prawdę o śmierci, krwi, złu, żeby nadrobić to zapomnienie. Nie znam zabójcy Sophie. Nikt nigdy nie wpadł na jego ślad. Ale przynajmniej zbliżyłem się do tej złowrogiej siły, która ją zabiła. To jest ta sama siła, która kryje się w każdym mordercy, a ja mogłem na nią spojrzeć od wewnątrz. Dzięki Reverdiemu.

Chadidza wyprostowała się. Te ostatnie słowa jakby jej coś przypomniały.

- Ten napis na prześcieradłach, tam w hotelu: SCHOWAJ SIĘ SZYBKO, TATO IDZIE, co to znaczy?

- Nie wiem. To jest strefa cienia Reverdiego, której nie zdołałem przeniknąć.

- Dlaczego posłużył się nią jak groźbą?

- Pojęcia nie mam. Albo raczej tak: myślę, że zanim nas zabije, chce nam objawić ostatnią rewelację. To wariat, rozumiesz?

Nie odpowiedziała. Przyglądała się Marcowi w skupieniu, z rękami opartymi za sobą o ziemię, z głową wciśniętą w ramiona. Jej złote źrenice tańczyły pod powiekami, jakby fotografowała każdy najmniejszy szczegół twarzy Marca.

Wreszcie spojrzała przez okienko otoczone wiązками słomy - wstawał świt.

- Pójdziemy na policję. Módl się, żeby nas wpakowali do więzienia i chronili. A zwłaszcza módl się, żeby cię nie posłali do domu wariatów.

## 82.

Prowadziła z rękoma mocno zaciśniętymi na kierownicy.

Zaproponował, że on będzie prowadził, ale odmówiła: to jest jej samochód i ona kieruje, koniec kropka. Zresztą nie był w lepszej formie od niej.

O szóstej opuścili kryjówkę i zagłębili się w szary świt. Szli przez opustoszałe pola, błotniste i mokre od rosy. Dwoje paryżan zabłąkanych w nieznanym wiejskim terenie. Godnych litości. Tym bardziej że hotel stał zaledwie kilkaset metrów od ich kryjówki: owej niespokojnej nocy po prostu kręcili się w kółko. Naprawdę godni litości.

W zajeździe personel powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza. Marc i Chadidza wyglądali na parę, która ma za sobą bardzo, bardzo ciężką noc. Parę, która kłóciła się aż do świtu, a teraz wracała do Paryża leczyć rany. Marc poszedł na górę - Chadidza nie miała odwagi pójść z nim. Zrobił „porządek” i zszedł: blady, milczący, nieprzenikniony. Uregulował rachunek, zrezygnował z kontynentalnego śniadania wliczonego w cenę noclegu, po czym wsiedli do samochodu. Po prostu.

W miarę jak krajobraz nabierał kolorów, myśli Chadidzy odzyskiwały żywość i wigor. Przede wszystkim - musi pozostać sobą. Niezniszczalnym blokiem, którego nie mogą naruszyć żadne ataki z zewnątrz, choćby najbardziej szaleńcze. Twardym orzechem, na którym życie łamie sobie zęby. Właśnie tak zawsze dawała sobie radę. Wojna trwała, to wszystko.

Marc nie miał w sobie takiej siły, czuła to. Walczył, ale już nie wierzył w zwycięstwo. Stawiał opór dla niej, z obowiązku, z konieczności, ale bez przekonania. Był skazany. We własnej głowie.

Pewne było co innego: już go nie kochała. Za wiele złowrogich fal, za wiele widm krążyło wokół tego mężczyzny. Mimo to żałowała go i nie chciała opuścić. Człowiek nie umknie prawu cykliczności: zamiast mieć do niego żal, gotowa była dalej go pielęgnować, tak jak przez lata pielęgnowała łajdaka, któremu musiała wkuwać się między palce u nóg i karmić małą łyżeczką.

Porte d'Orleans.

Aleja generała Leclerca.

Alesia.

Jednym z najważniejszych ośrodków policyjnych Paryża jest komisariat XIV dzielnicy przy alei du Maine. Chadidża od razu pomyślała o tym sztabie, mieszczącym się na trasie ich powrotu. Znała go, bo jako nastolatka lądowała tu wielokrotnie w sobotnie wieczory podczas tradycyjnych łapanek na młodzież arabskiego pochodzenia.

Zaparkowała dokładnie naprzeciw, po drugiej stronie alei, przed restauracją La Marée. Marc chwilę się wahał, czy wysiąść z samochodu. Popatrzyła na niego:

- Albo to, albo Reverdi, co wybierasz?

\*

Marc spojrzął na zegarek: podpierali tu ścianę od blisko godziny. Sala była pełna. Gliniarze, pokrzywdzeni, kryminaliści. Wszystko wokół huczało po wczorajszych aresztowaniach: zwykły poranek po piątkowej nocy w dzielnicy Montparnasse.

Z cel dla zatrzymanych coraz to wychodzili podejrzani w kajdankach, przemierzali hol z opuszczonymi głowami albo przeciwnie, z wrzaskiem, po czym znikali w sąsiednich gabinetach. Byli też „porządni ludzie”, którzy domagali się sprawiedliwości. Stali przy kontuarze dla interesantów, jakby zamawiali duże piwo.

I gliny, w mundurach i w cywilu, próbujący uspokoić poranne rozgorączkowanie.

Jakiś porucznik obiecał, że wkrótce ich przyjmie. Marc nie zdenerwował się. Nie zagrał roli „głównego świadka w sprawie wyjątkowej wagi”. Był na to zbyt przygnębiony. Zresztą nie był ani poirytowany, ani niecierpliw: po prostu śmiertelnie zmęczony. To, co działo się wokół niego, było zarazem przygłuszone i ostre. Dochodziły do niego dźwięki dziwne, nieznanne, jakby był zanurzony w wodzie. Odgłosy, zapachy komisariatu docierały do niego jak poprzez grube mury.

A przecież po nocnych emocjach powoli zaczynały się wyłaniać pewne prawdy. Zdał sobie na przykład sprawę, do jakiego stopnia jego egzystencja została zniszczona. Zakatowany Alain, umęczony Vincent, długi nie do spłacenia, od których nigdy się nie uwolni. Ostatniej nocy zgrywał bohaterskiego wojownika, samuraja gotowego do walki, ale wtedy nie myślał o swojej odpowiedzialności, bo był pewien, że zginie.

Dziś rano wciąż żył.

I będzie musiał za wszystko zapłacić.

Nie krwią, nie cierpieniem, ale drobną monetą. Będzie się wypłacał w gabinecie sędziego i w celi więzienia. Jedyne sensowne pytanie brzmiało: dlaczego wcześniej nie poszedł na policję? Czy mógł zapobiec śmierci Alaina i Vincenta?

Była też pewna znacznie groźniejsza tajemnica: dlaczego Reverdi nie wykończył ich ostatniej nocy? Nie mógł sobie wyobrazić, że mu się wymknęli. Drapieżnik szedł ich tropem.

Pilnował ich całą noc. Dlaczego? Na co czekał, by ich poświęcić?

Chadidza wstała.

- Dokąd idziesz?

- Na siusiu. Mogę?

- Nie.

- Żartujesz chyba?

Wskazała na ludzi w mundurach, na oficerów przechodzących z protokołami w ręku.

- Myślę, że tu wolno przynajmniej oddychać, nie?

Marc pozwolił jej zniknąć w korytarzu. Przyglądał się kajdankom, kolbom rewolwerów, srebrzystym plakietkom policyjnym i uspokoił się. Oparł się sztywno o ścianę. Przysypiał. Nagromadzone w nim zmęczenie rozlewało się po jego ciele jak letnia fala. Nie powinien zasypiać. W żadnym wypadku nie...

Wzdrygnął się.

Zasnął na dobre. Głęboko. Spojrzał na zegarek: po dziesiątej. Rozejrzał się na prawo i lewo: w komisariacie było coraz więcej ludzi, ale Chadidzy nie widział. Zaczęto ją przesłuchiwać bez niego? Niemożliwe.

Zerwał się z krzesła i zapytał o dziewczynę policjantów pełniących wartę. Żaden jej nie widział. Spytał, którędy do toalet, i pobiegł korytarzem. Tu było mniej ludzi. A za pierwszym zakrętem nie natknął się na nikogo. Białe jarzeniówki. Brudnawe rury. Zakratowane okna. Marc szedł dalej. Ten komisariat miał oddzielne toalety dla każdej płci. Mężczyźni z jednej strony, kobiety z drugiej. Wszędzie było pusto.

Stanął na progu i zawołał:

- Chadidza?

Odpowiedział mu szum spuszczonej wody. Po lewej - kabiny. Po prawej - umywalki, nad nimi lustra.

- Chadidza?

Jedne drzwi otworzyły się: wyszła kobieta w mundurze i popatrzyła na niego nieprzyjaźnie. Skierowała się ku umywalkom. Marc machinalnie odwrócił wzrok i poszedł w kierunku wejścia do toalety dla mężczyzn. Usłyszał szmer wody spływającej z kranu. Trzaśnięcie dystrybutora papierowych ręczników. Przeształ w korytarzu z nogi na nogę, czatując na policjantkę.

Kiedy pojawiła się, zaczął ją:

- Przepraszam... Widziała pani może młodą kobietę, brunetkę, bardzo wysoką, bardzo ładną? Poszła jakiś czas temu do toalety i...

Kobieta skrzywiła się na słowa „wysoka” i „ładna”. Miała metr pięćdziesiąt wzrostu i kwadratowy tyłek. Nie odpowiadając, zaciągnęła zamek błyskawiczny przy rozporoku i odeszła kaczym krokiem.

Marc został sam. Zaryzykował krok do środka. Kompletna cisza. Gdzie ona jest? Nie mogła uciec. Może zasnęła w którejś z kabin? On przecież zapadł w sen tam na ławce...

- Chadidża?

Pchnął drzwi pierwszej kabiny: nikogo.

- Chadidża?

Otworzył następne drzwi: nikogo.

Wszedł o krok dalej.

Szelest za jego plecami.

Jacques Reverdi tu jest.

Czaszka porośnięta krótkimi włosami. Szary płaszcz nieprzemakalny. Głina: prawdziwszy od prawdziwego.

- Ja...

Tępe ukłucie w kark.

I noc.

## 83.

Wnęki.

Ogromne wnęki. Owalne wgłębienia, wysokie na kilka metrów, wydrążone w stalowej albo aluminiowej ścianie. W jakimś srebrzystym materiale, łagodnie błyszczącym w świetle.

Oprzytomniał. Przyjrzał się dokładniej ścianie przed sobą i dostrzegł nowe szczegóły. Wyglądało na to, że wnęki ciągną się w nieskończoność. Było też, na podłodze, na suficie, trochę mniejszych, rozmieszczonych z tą samą hipnotyczną regularnością. Wskutek złudzenia optycznego zdawały się poruszać, jak na obrazie Vasarely'ego.

Przymrużył oczy jeszcze mocniej i uzyskał nowe informacje. Ściana była nie tylko kolistą. Zaokrąglą się u podstawy i u szczytu. Jestem w kuli, stwierdził. Potem jednak zmienił zdanie: pomieszczenie nie było dokładnie kuliste. Raczej zakrzywione i spłaszczone jednocześnie. Coś w rodzaju piłki do rugby z chromowanego metalu, ze ścianami pełnymi wgłębień i występów. Nigdy nie widział takiego wnętrza.

Dziwny słodkawy zapach unosił się w powietrzu.

- Wymiennik gazu.

Głos rozległ się za jego plecami. Chciał odwrócić głowę. Nie mógł. Był przywiązany do krzesła. Nie tylko ciało, głowa też. Nie przywiązany, przyklejony. Plecy, pośladki, przedramiona, kark. Wszystkie te punkty były przymocowane do jakiejś zimnej, metalicznej powierzchni. Spostrzegł, że jest nagi, ciasno przytroczony do stalowego fotela, który zdawał się wpuszczony w podłogę.

- Wymiennik - powtórzył głos. - Ośrodek chemii przemysłowej, całkowicie niedostępny.

Pamięć mu wróciła: zniknięcie Chadidży, toalety w komisariacie. Reverdi w płaszczu nieprzemakalnym, strzykawka... Gdzie jest Chadidża?

Omdlał znowu, po czym się ocknął.

Słodkawy, ciężki zapach znów drażnił mu nozdrza.

- Miesza się tu bardzo niebezpieczne gazy pod niezwykle wysokim ciśnieniem.

Głos był coraz bliżej. Ten z kasety z Ipoh. Niski, budzący zaufanie. Znów spróbował odwrócić głowę, ale poczuł tylko oparzenia i ból. Włosy miał przylutowane do metalu. Pojawiły się inne odczucia: bóle w mięśniach, kurcze.



Reverdi pewnie go pobił.

- Ale dziś - mówił dalej zabójca - rozprowadzimy tu po prostu dwutlenek węgla, żeby przyspieszyć ceremonię.

Marc rozróżniał teraz bardzo wyraźny syk - to ulatniał się CO<sub>2</sub>. Jacques Reverdi uruchomił system. Dwutlenek węgla szybko wyprze tlen.

Pot wystąpił mu na skórze. Sala stawała się Izbą Czystości. Za kilka minut w tej atmosferze nie da się żyć. A on posłuży do złożenia ofiary czarnej krwi.

Z wysiłkiem opuścił wzrok: miał na ciele ślady licznych nacięć. Nie bito go. Przebijano, krajano, nacinano. Jego rany zostały zaklejone, ale tylko po to, by łatwiej je było wkrótce otworzyć...

Dopiero teraz rozpoznał słodkawy zapach: miód.

Jego rany były nasycone miodem. Wyteżył wzrok i bez zdziwienia zobaczył stojący na podłodze złotawy flakon. A obok pędzel i wąty płomyk lampki oliwnej. Rozglądał się dalej: pod zakrzywioną ścianą leżała butla do nurkowania z ustnikiem.

- Chadidża... - wymamrotał. - Gdzie jest Chadidża?

Jacques Reverdi pojawił się w jego polu widzenia. Był ubrany w kombinezon do nurkowania z czarnego neoprenu. Przy każdym wdechu i wydechu jego ciało rzucało matowe błyski, przypominające poblask mazutu.

Marc był oszołomiony. Zabójca był wstrząsająco prawdziwy. Siwe skronie, zmarszczki wokół oczu, nabrzmiałe żyły pod ogorzałą cerą. Tak: Jacques Reverdi istniał. Był istotą rzeczywistą. Nie drapieźnikiem z koszmaru. Jeden osobliwy szczegół sprawiał wrażenie niemal komiczne: do nadgarstka miał przymocowany spory licznik. Prawdziwy płetwonurek, gotowy do zanurzenia. W jaką przepaść?

- Gdzie Chadidża? - powtórzył Marc.

Reverdi zrobił ruch ręką. Coś srebrzyście zabłysło mu w dłoni. Nóż do nurkowania.

- Tutaj. Z nami.

Marc spojrzał tam, gdzie wskazywał. Naprężając kark i włosy, zdołał ją zobaczyć. O trzy metry od niego siedziała naga, przywiązana do stalowego krzesła. Z opuszczoną głową, twarzą zasłoniętą ciemnymi lokami. Nieprzytomna. Wiedział, że nie jest martwa: widział pozalepiane rany na jej ciemnej skórze. Reverdi wykrwawi ją później, kiedy w pomieszczeniu zapanuje absolutna próżnia.

- Obudzi się, nie martw się - powiedział cichym głosem. - Ale zabezpieczyłem się, żeby nie mogła nam tu zrzędzić. Wiesz, jakie są kobiety...

Marc z przerażeniem zobaczył między jej czarnymi włosami jakieś szczególne

okaleczenia. Zabójca spiął wargi dziewczyny agrafkami, które wbił jej w ciało. Urodę straciła na zawsze. Ale przecież nie będzie żadnego „zawsze”: te zabawy były tylko ostatnim przystankiem przed końcem.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego - jęknął. - Wysłałem ci tylko jej zdjęcie, żeby...

- Stul pysk.

Reverdi zrobił parę kroków i znieruchomiał w równej odległości od obu swoich ofiar. Czarny, chudy, ogromny, tworzył trzeci wierzchołek trójkąta równobocznego.

- Nieważne, kto co zrobił - powiedział bardzo łagodnie. - W gruncie rzeczy jestem szczęśliwy, że jesteście parą. We trójkę odtwarzamy pierwotny trójkąt. Ojciec, matka, dziecko. Trójkąt kłamstwa, na którym wszystko się oparło. Będziemy mogli na nowo rozegrać pierwotną zdradę. I przeżyć ostateczne katharsis.

- Błagam... Ona nic nie wiedziała!

Tamten przytknął nóż do warg.

- Ćśś! Posłuchaj... Słyszysz ten szmer? Nie mamy wiele czasu. Za niecałe pół godziny zawartość tlenu spadnie poniżej krytycznego progu dziesięciu procent.

Chadidza uniosła głowę. Jej powieki poruszyły się powoli, ukazując tylko białka oczu. Te jasne szparki ostro kontrastowały z ciemną cerą. Z ust wydarł się jęk. Przy wydechu nabrzmiały wargi i agrafy zagłębiły się jeszcze głębiej w ciało.

- Proszę, nasza księżniczka się budzi. Bardzo dobrze. Wszystko idzie zgodnie z rozkładem.

Wyciągnął zza pleców elektronicznego pilota.

- Nic się nie bój - skomentował, jakby czytał w myślach Marca. - Znam te maszyny. Działają na tej samej zasadzie co kesony ciśnieniowe nurków. Na razie doszliśmy do dwudziestu procent. Zaczniecie się pocić...

Podniósł wzrok. Oczy błyszczały mu osobliwym blaskiem zadowolenia i podniecenia jednocześnie. U stóp chwiał się wciąż błękitny płomień lampy.

- Przede wszystkim muszę wam wyjaśnić, jak się tu znaleźliśmy i jakim cudem trafiliśmy do tej kulistej kadzi.

Zrobił kilka kroków. Z profilu był wąski jak kabel. Marc pomyślał o czarnych kablach, biegnących po dnie oceanów, wkopanych w piasek, naładowanych technologią i energią. Zauważył przy okazji, że morderca jest bosy. Płetwonurek, gotów do zanurzenia...

- Pominę nasz paryski kontredans na początku. Wpaść na wasz trop było łatwo. Wystarczyło popatrzeć na wystawy... Potem był ten pościg, trochę komiczny, tam na wsi. Widziałem, jak się kryjecie w tej oborze... Naprawdę byliście dość żalostną zwierzyną łowną.

Marc próbował się odezwać. Zamiast tego zakasłał. Niedostatek tlenu był coraz dotkliwszy, ostrzejszy. Ciało miał pokryte potem. Migrena wkradała mu się w każdą fałdę mózgu. Odchrząknął i zdołał wymówić:

- Dlaczego nas wtedy nie zabiłeś?

- Nie byliście dostatecznie dojrzały. Strach musiał najpierw was trochę oczyścić. Odebrać wam trochę przekonań, punktów orientacyjnych. Kiedy szedłem wczoraj za wami, grzęznąc w tym szarym poranku, stwierdziłem, że zaczynacie dojrzewać...

Rzucił okiem na swój licznik. Był to elektroniczny analizator składu atmosfery.

- Potem wszystko zaczęło się gmatwać. Wiedziałem, że znalazłszy się u kresu sił, pójdziecie na policję. Na który komisariat? Oczywiście ten z alei du Maine. Jeden z największych. Najbardziej znany. A zwłaszcza - jedyny przy trasie, którą wracaliście. Zobaczyłem, jak wchodzić do gmachu. Zaczekałem kilka minut, potem sam wszedłem do środka.

Po prostu zrobiłem zaaferowaną minę i wmieszałem się w cały ten burdel panujący w komisariacie. Przypominałem porucznika policji albo lekarza, którego wezwano, bo ktoś zasłabł w celi. Przypomnij sobie, „Elisabeth”, co ci kiedyś napisałem: „mniej się kryjesz, mniej cię widzą”.

Rozejrzałem się. Zobaczyłem was siedzących na ławce. Stanąłem w pewnej odległości, czekając na okazję. Nie wiedziałem jeszcze dokładnie, co zrobić, ale w walizeczce miałem rzeczy przygotowane na różne sytuacje. Kiedy Chadidza wstała i poszła w kierunku toalety, zrozumiałem, że chwila nadeszła. Jeden zastrzyk i już musiałem tylko udawać troskliwego lekarza. Odprowadziłem ją, na wpół śpiącą, przez tylne wyjście na parking, gdzie zostawiłem swój samochód ze znakiem kaduceusza. Żaden problem.

A potem czekałem na ciebie w toalecie. Jakoś nie przychodziłeś, więc wróciłem na główną salę. Kiedy zobaczyłem, że śpisz, omal nie parsknąłem śmiechem. Wróciłem do swojej kryjówki. Kiedy zrobiłem ci zastrzyk, poszedłem znów do samochodu, możliwie najmniej dyskretnie, podtrzymując cię za ramiona. To wszystko.

Marc usiłował opanować dygot. Bolało go przy każdym wstrząsie, każdej konwulsji, które naciągały mu skórę przylepioną do metalu. Żeby dostać swoją porcję tlenu, musiał oddychać mocniej i częściej. Czuł też głęboki i jakoś nierzeczywisty ból od swoich ran wewnętrznych. Wyobrażał sobie, jak krew burzy się pod skórą, wyciekając przez nacięte żyły, gotowa wypłynąć, kiedy płomień otworzy rany.

Reverdi mówił dalej:

- Ale prawdziwe pytanie brzmi: jak zdołaliśmy znaleźć się tutaj? A przede wszystkim

gdzie jesteśmy? Mogę powiedzieć tylko jedno: jest to ośrodek przemysłowy o wielkim stopniu ryzyka. Gdzieś na przedmieściu Paryża, blisko rzeki. Rzeka: to bardzo ważne. Ty, Marc, to wiesz i może powiedziałeś Chadidży, że gdzie jest woda, tam jestem niezwyciężony. Dostać się tutaj było trudniej niż na komisariat, możesz mi wierzyć. Trudne, ale nie niemożliwe. Wystarczyło parę sfalszowanych papierków i odpowiednie argumenty, żeby przekonać strażników, że odbywa się próbny alarm. A jak już znalazłem się w środku, to porobiłem trochę zastrzyków. Za kilka godzin przebudzą się, każdy z obłożonym językiem i migreną. Właśnie tak, jak wy w tej chwili. Ale dla was to już nie ma znaczenia.

Reverdi znów użył swojego pilota. Syk się nasilił.

- Piętnaście procent. Niedługo mdłości...

Marcowi coraz bardziej brakowało w piersi powietrza. W brzuchu natomiast robiło mu się coraz ciężiej, pogłębiało się poczucie obrzydzenia.

Morderca usiadł po turecku i ułożył przed sobą flakon z miodem, pędzel i lampkę oliwną. Westchnął ze znużeniem, jakby teraz musiał przejść do bardziej przykrych spraw.

- Czytałem twoją książkę, Marc. Powinienem powiedzieć: moją książkę.

Chwycił za walizeczkę leżącą w głębi jednej z wnęk. Wyciągnął z niej *Czarną krew*. Ostrzem noża przerzucał z roztargnieniem kartki powieści.

- Właściwie to nieźle sobie dałeś radę. Trzeba przyznać, że informacje miałeś z pierwszej ręki. Ale są pewne prawdy, które chciałbym wyjaśnić, choć jest za późno, żeby wprowadzić poprawki do tekstu. - Podniósł do góry nóż. - Wprowadzimy po prostu te zmiany do twojej głowy. Nim zostaniesz złożony w ofierze, musisz być absolutnie czysty. Omyty z wszelkiego kłamstwa.

Marc spojrzał na Chadidżę. Jej oczy były nalane krwią. Przez loki przelatywały czerwone błyskawice. Miotając się, szarpała włosami tak mocno, że wrywała sobie z głowy strzępki skóry.

Reverdi odchylił się w tył i oparł na rękach, nie spuszczać oczu ze swoich ofiar.

- Wszystko zaczęło się od mojej matki - powiedział tonem bazarza. - Ale nie tak, jak sobie wyobrażasz - zaśmiał się sam do siebie. - Kiedy byłem sławą w świecie płetwonurków, jeden dziennikarz napisał, że morze jest we mnie. Chciał powiedzieć, że jestem wypełniony, opętany, zalany morzem. Zgadzała się tylko pierwsza litera.

Odchylił głowę w tył i zrobił taką minę, jakby przyglądał się wnękom na suficie.

- Tak, od samego początku jest we mnie matka.

## 84.

- Ty, Marc, znasz moje dzieje. A przynajmniej zdaje ci się, że je znasz: chłopak bez ojca, który wyrastał przy mamie w kolejnych blokowiskach. Dalej już sporo nazmyślałeś. Ta postać nieobecnego ojca, który staje się obsesją dziecka, przyszłego mordercy, to jakieś groźne widmo, rozdzielające syna i matkę. Mogę cię zacytować, co?

Otworzył powieść na zagiętej kartce i przeczytał na głos:

- „Ilekroć Claude słyszał dzwonek u drzwi, wyobrażał sobie, że ojciec wraca. Nie mógł zasnąć, dopóki cień, gęsty i czarny, nie pochylił się nad jego posłaniem. Kiedy słyszał, jak inni uczniowie mówią o swoich rodzicach, zawsze przenikał go dreszcz. Tworzyła się w nim jakaś wyrwa, rozlegało jakieś wezwanie, otwierała jakaś bolesna rana, a winą za to obciążał w duszy matkę. To przecież ona pozwoliła ojcu odejść!”.

Reverdi odłożył książkę.

- Nieźle, nieźle... Ale moja sytuacja była prostsza. I znacznie bardziej banalna. Prowadziliśmy całkiem zwyczajne życie. Nawet spokojne. Przynajmniej z tego punktu widzenia. Nigdy nie rozmawialiśmy o moim ojcu. Było nas dwoje, po prostu. I w przeciwieństwie do matki bohatera twojej książki, moja nie była dewotką, stukniętą na punkcie dobroczynności, bezwzględną dla siebie i innych.

Wyprostował się, wciąż siedząc po turecku.

- Nie, żeby ci przedstawić rzecz pokrótce, matka miała tylko jeden problem: za bardzo lubiła się pieprzyć.

Podniósł swój nóż niczym dźwignią, opierając go trzonkiem o brzuch, i patrzył na Chadidzę, która opuściła oczy.

- Musiała to mieć między nogami, kapujesz? Solidny, twardy ogon, od którego by cała chodziła. Porządny wycior.

Zamknął oczy, jakby rozważając tę myśl.

- Tak, moja matka, kochana i święta pracownica socjalna, była nimfomanką. Kompletnie szurniętą na punkcie dupy. A jej zawód, tak zwane powołanie, służył tylko do tego, żeby ściągać do siebie bezrobotnych, urodzonych w niedzielę, całe stada łatwych do przywabienia ogierów...

Marc nie był już pewien, czy dobrze słyszy, ale wydawało mu się, że z sykiem CO<sub>2</sub>

miesza się inny dźwięk. Coś ostrzejszego.... Nie było wątpliwości: Reverdi zgrzytał zębami. Kiedy wspominał o swojej matce, zaciskał szczęki z nienawiści.

- Pragnienie penisa - mówił dalej - to było to, co ją napędzało, kiedy dzień w dzień obchodziła osiedla...

Zwrócił się w kierunku Chadidzy, która patrzyła na niego z przerażeniem. Agrafy wbijały się w nią coraz głębiej, zalewając wargi okropną czerwienią.

- Ty też to lubisz, co? - Zwrócił się znowu do Marca. - Składa się wpół, kiedy jej dajesz? Myśleliście o mnie, kiedy jedno włożyło na drugie? Myśleliście o chłopczyku, który nigdy nie zrozumiał swej „mamuski”?

Nagle zaczął mówić ciszej.

- Nie trzeba było wierzyć jej melancholijnej urodzie i jej małym okrągłym kołnierzykom. Jej dziura była otworem w zlewie. Włazem ścieku. Otwierała się do wszystkich, głęboko, aż po flaki...

Wstał, jakby chciał się opanować. Zaczął się przechadzać. Tlen wciąż uciekał, ale to jakby go nie dotyczyło. Wzruszył ramionami.

- Ale właściwie, dlaczego nie? To nie są sprawy dla małych chłopców. Zresztą kiedy ci mężczyźni ją odwiedzali, ja zwykle już spałem. Ale ona była zboczona. Musiała mnie wciągnąć, w ten czy inny sposób, w swoje zabawy. Kiedy ją spytałem, kto ją odwiedza nocami, ona szepnęła, tonem zwierzenia: „To twój tato”. I roześmiała się. Miałem sześć albo siedem lat. To nagle pojawienie się mojego ojca, o którym nigdy mi nikt nie mówił, wstrząsnęło mną. Odtąd myślałem tylko o jednym: zobaczyć go.

Co wieczór czatowałem w swoim pokoju, starałem się uchwycić jakieś szczegóły, usłyszeć jego głos, poczuć jego zapach. Ale nie śmiałem otworzyć drzwi. Słyszałem tylko jakieś zduszone odgłosy, jęki. Wyciągałem z tego wnioski. Mój ojciec przychodził nocą, żeby zadawać mamie ból. Wyobrażałem sobie jakiegoś demona o twardych, haczykowatych palcach, który ją ranił, patroszył, zdzierał z niej skórę. Zacząłem go nienawidzić z całych sił. Ale jednocześnie zżerała mnie ciekawość. Wciąż o nim myślałem. Zadręczałem się, wyobrażając go sobie. Nocą wciskałem twarz w szparę drzwi aż do bólu, żeby go zobaczyć. Z rana szukałem jego śladów - w saloniku, w sypialni matki, wśród obrzydliwych zapachów seksu. Szukałem pod łóżkiem, w fałdach prześcieradeł, pod dywanem. Znajdowałem należące do niego przedmioty: zapalniczkę, papierosy, gazetkę totalizatora wyścigów konnych... Wszystko to przechowywałem w pudełku. W pudełku na skarby.

Pewnego dnia zdobyłem się na odwagę i spytałem mamy, dlaczego tato zadaje jej ból. Czy on jest zły? Z początku nie zrozumiała... Potem znów wybuchnęła śmiechem, tym swoim

niskim śmiechem. Odchrząknęła. Jeszcze teraz widzę jej wąską twarz, przeciętą zbyt mięsistymi ustami. Powiedziała mi z uśmiechem, że tak, że jest bardzo zły. I dlatego nigdy nie powinienem go widzieć... Od tej chwili nie kładła mnie spać, kiedy czekała na niego, a potem, kiedy dzwonił do drzwi, szeptała mi tonem udawanego przerażenia: „Schowaj się szybko, tato idzie!”. Przerazony uciekałem do mojego pokoju. Zwijalem się w kłębek pod drzwiami i nasłuchiwałem każdego szmeru, każdego znaku, wyobrażałem sobie najgorsze tortury. I bałem się, że mnie zauważy... Ale już nie mogłem wytrzymać: musiałem go zobaczyć. Zrobiłem dziurkę w drzwiach. Przez szparę najeżoną drzazgami zobaczyłem go wreszcie. Wielki chłop, bardzo ciemny, bardzo zarośnięty. Od razu mi się spodobał. Wyglądał jak niedźwiedź.

Ale tej nocy pierwszy raz zobaczyłem to, czego nie powinienem był widzieć. Splecione kończyny, drgające ciała, jakieś fioletowe kolory. Mama z czymś w ustach. Brązowe pośladki. Dziewczęcy „siusiak”, wyglądający jak rozdarta rana. I wciąż te zwierzęce krzyki, te charkoty, te sapania... Nie umiałem tego nazwać, ale to, co widziałem, było gwałtem, gwałtem na gatunku ludzkim, na wszystkim, co wiedziałem, jak mi się zdawało, o „dorosłych”.

Byłem chory. Nie chciałem dłużej tego znosić. A mimo to co wieczór stawałem na swoim posterunku przy drzwiach. Chciałem znowu zobaczyć mojego tatę. I wtedy zacząłem się gubić. Bo tato za każdym razem był inny! Czasem mały, chuderlawy, białutki. Kiedy indziej - tłusty, łysy, opalony. Innego wieczoru był Murzynem, ogromnym, o powolnych ruchach i czarnej, połyskliwej cerze. Szalałem. Mówiłem sobie: jeśli mój tato ma wiele głów, to ja też nie jestem jeden. Zrobiłem się nerwowy, wiotki, nie zrównoważony. Rankami, kiedy myłem zęby, miałem wrażenie, że moja twarz rozsypuje się pod szczotką. Traciłem tożsamość. Rozpadałem się...

Reverdi wciąż chodził, kręcąc się tam i z powrotem po stalowej sali. Mówił z opuszczoną głową. Jakby uginał się pod ciężarem wspomnień. Cierpiał, a jego długa czarna sylwetka, przeszywana granatowymi błyskami, nadawała temu cierpieniu coś zwierzęcego. Jakiś ciemny, mocny odcień, właściwy mieszkańcom głębin.

- Pewnego dnia - zaczął znów - matka zaskoczyła mnie, kiedy stałem za drzwiami. Jeszcze dziś słyszę jej chichot. To, że złapała mnie na gorącym uczynku, podsunęło jej nowy pomysł. Skoro to mnie tak bardzo interesuje, to dobrze, będę zostawał z nimi. W sypialni. Schowany w szafie. Ta szafa była czymś w rodzaju ustawionego pionowo rattanowego kufra, jakie wówczas robiono, stała naprzeciw łóżka. Odtąd stale powtarzał się ten sam rytuał. Co wieczór, kiedy rozlegał się dzwonek u drzwi, ona szeptała mi do ucha: „Schowaj się szybko,

tato idzie...”, i wpychała mnie do szafy, między wiszące suknie. Ile razy słyszałem to zdanie! Jest wypisane we mnie, w głębi mojego mózgu, w pramózgowiu, tam gdzie gnieźdzą się pierwotne instynkty. Głód. Nienawiść. Pożądanie...

Głos Reverdiego zamarł. Siedział nieruchomy, nieobecny, jakby się zapadł we własną pamięć.

Marc czuł coraz silniejsze podrażnienie w gardle. Głowa mu pękała jak ściśnięta imadłem.

Absurdalnie przyszła mu na myśl lekarka ze szpitala psychiatrycznego w Malezji. Zawołowana kobieta miała rację, gdy mówiła o schizofrenii Reverdiego, o utracie tożsamości, wielości twarzy jego ojca. Ale to, co uważała za urojenia, było rzeczywistością.

Płetwonurek odezwał się znowu tym samym tonem towarzyskiej konwersacji:

- Dlaczego moja matka to robiła? Można powiedzieć: bo była nienormalna. Ale to jest odpowiedź zbyt prostacka. Było coś innego. Coś, co łączy nas wszystkich. Jako dorosły też poczułem, że pociągają mnie skrajności, sprzeczności, które łamią bariery i wyzwalają rozkosz. Te zboczenia, które w jakiś dziwny, magiczny sposób wzmagają poczucie rozkoszy. Dziś wiem, że moja obecność w szafie wprowadzała jakiś dysonans w jej intymność i podsycala zadowolenie. Moja bliskość pogłębiała jej nagość, gotowość, uległość, wszystko, na czym opierała się jej rozkosz kobiety krzyżowanej przez mężczyznę.

Głos mu się załamał. Chwycił się obiema rękami za głowę, jakby dostał nagle piorunującej newralgii. Przez kilka sekund znów zgrzytał zębami. Potem wyprostował się, twarz miał już spokojną.

- Dla mnie te chwile spędzone w szafie były... jak to powiedzieć? Bardzo kształczne. Tysiąc razy chciałem wyjść, żeby ratować matkę, bo wciąż jeszcze myślałem, że cierpi, ale paraliżował mnie lęk. Bałem się ojca. A zwłaszcza matki. Znałem jej kryzysy - utajony sadyzm, którego doświadczałem: zbyt słone jedzenie, kąpiele w lodowatej wodzie, raptowne przebudzenia... Matka twierdziła zawsze, że mnie kocha, ale nie było w niej nic prócz kłamstwa. Była wcielonym kłamstwem. Jak wszystkie kobiety.

Reverdi stanął naprzeciw Marca i spojrzał mu prosto w oczy.

- Wiem, że lubisz szczegóły. Mógłbym ci mówić godzinami o tej wyplatannej szafie, która stała się moją drugą skórą. Moją puszką Pandory. Mógłbym ci opowiedzieć, jak dygotałem w ciemności, dręczony kurczami, jak próbowałem patrzeć przez szpary. Ilekroć widziałem nową twarz mojego ojca, jego rysy wnikały mi pod skórę tak, że aż miękły mi kości. Zdarzało się, że mężczyzna prostował się w łóżku i pytał: „Nie słyszałaś czegoś?”. Wstawał, zbliżał się do szafy na wyciągnięcie ręki. Wtulałem się w głębi mej kryjówki,



wstrzymywałem oddech. Był tak blisko, że czułem jego ciężki oddech, cuchnący piwem albo konopiami. Słyszałem, jak moja matka śmieje się: „Daj spokój, to pewnie mysz!”. Potem powtarzała głośniejsz, już pod moim adresem: „Wstrętna, mała, zepsuta myszka!”. I wybuchała śmiechem, a tamten bydlak wracał do niej do łóżka.

Reverdi naśladował każdy z głosów: mężczyznę, kobietę, przerywany oddech dziecka. Widok, jak ten atleta o budowie olimpijczyka wciela się kolejno w każdą postać opowieści, był bardziej przerażający niż cokolwiek. Również pod tym względem miała rację doktor Norman: Jacques Reverdi nie składał się z jednej osobowości. Współżyło w nim kilka różnych istot jakoś ze sobą powiązanych, ale niestanowiących żadnej spójnej całości.

Marc wyprężył się. Migrena stawała się nie do wytrzymania. Czarne plamy tańczyły po kulistym pomieszczeniu. Nie był pewien, czy przeżyje do końca opowieści.

Płetwonurek zaczął znowu, jakby chciał nawiązać do myśli Marca.

- Ale zwłaszcza cierpiałem od braku tlenu. W mojej kryjówce brakowało powietrza. Z trudnością oddychałem. Bałem się okropnie. Niemal umierałem. Wtedy, sam nie wiem jak, znalazłem sposób...

Jego rysy nagle rozluźniły się w szeroki uśmiech, promienny, dumny.

- Znalazłem broń, która miała mnie uczynić niezwyciężonym. Bezdech. Wszystkie moje biografie opowiadają, że odkryłem tę dyscyplinę w Marsylii, po śmierci matki. Sam rozpowszechniałem tę legendę. Ale to nieprawda. Odkryłem bezdech na paryskim przedmieściu. W głębi szafy. Nie wiem, jak to się stało, ale pewnego dnia, zamiast szukać rozpaczliwie tlenu poprzez oka plecionej ścianki, wstrzymałem oddech. I stał się cud. Poczulem się nagle wypełniony nadzwyczajną siłą. Westchnienia matki oddaliły się, zagrożenie ze strony ojca, jego mnogie twarze - wszystko to odeszło gdzieś dalej... Bezdech ustawiał między mną a światem zewnętrznym ścianę, nieprzepuszczalną przegrodę. Wszystko rozbijało się o mój pancerz. Stałem się nieprzenikniony. Zacząłem trenować co noc w mojej kryjówce. Nie wsłuchiwałem się już w ich krzyki, jęki, obelgi. Koncentrowałem się na tym, żeby poprawić mój czas. Symboliczny szczegół: mierzyłem czas na zegarku zapomnianym przez jednego z „ojców”. Byłem co wieczór lepszy. Co wieczór mocniejszy. Nie bałem się już szafy: sam byłem sejfem, hermetycznym, niedostępnym, chroniącym przed innymi moją tożsamość.

Dzięki tej dyscyplinie zdołałem dorosnąć. Odepchnąłem moje koszmary, ale i moje popędy coraz posepniejsze. Moja dojrzałość nie była przebudzeniem się miłości, tylko śmierci. Oczywiście moje pragnienie mordy skupiło się na matce. Jakieś głosy przemawiały do mnie, podpowiadały, żeby ją zabić. Ale ilekroć kryzys dochodził do szczytu, kiedy już

miałem przejść do czynu, bezdech mnie zawsze ratował. Jednocześnie sytuacja w domu zmieniała się. Matka przestawała się mną interesować. Byłem za duży, by uczestniczyć w jej występnych zabawach. Pojawił się zarost. Zmieniał mi się głos. W wieku dwunastu lat miałem ponad metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Wcale nie byłem zabawny. Przeciwnie, zmienił się stosunek sił. Już nie można było mną rządzić, znęcać się nade mną. Ona sama się zresztą zmieniła. Jej uroda przywiędła. Malowała się zbyt jaskrawo. Piła. I kiedy ze swoją upacykowaną gębą dzwoniła do drzwi swoich bezrobotnych podopiecznych, jej czar już nie działał. Wraciała do domu z niczym, zrozpaczona, pijana w trupa.

Kiedy miałem trzynaście lat, zacząłem się nią opiekować. Pielęgnować, karmić, układać do snu. Utrzymywałem ją przy życiu, tak jak hodowca tuczy gęś z myślą o święcie nienawiści. Czekałem, aż dojrzeje. Żeby ją złożyć w ofierze. Ale miała szczęście. Z dala od szafy, z dala od tortur, z dala od seansów seksualnych moja wściekłość z wolna opadała. Zacząłem nawet litować się nad tym wrakiem, tym pętającym się po domu strzępem ludzkim. Zwłaszcza kiedy rozpoznałem chorobę, która ją wciąż drążyła, tego nieuleczalnego raka, który w niej tkwił. Seks. Matka była nienasycona, jej dupa stale i wciąż na głodzie.

Miałem czternaście lat. Bywałem bardziej czy mniej regularnie w liceum na lekcjach. Wystarczająco często, żeby profesorowie zwrócili uwagę na moje możliwości intelektualne. Znali moją sytuację rodzinną. Mówili, że dobrze byłoby, gdybym nie mieszkał z matką. Mówili o internacie dla mnie, o zakładzie specjalnym dla niej. To było może jakieś rozwiązanie. Może opuściwszy dom, zdołałbym przezwyciężyć swoje koszmary, popędy, stać się normalnym człowiekiem. Ale jak zwykle - ona wszystko popsuła.

Zaczęła być dla mnie dziwnie czuła, pieszczotliwa. Instynktownie wyczułem niebezpieczeństwo. Nie myliłem się: ta wariatka liczyła teraz, że to ja ją zaspokoję. Fizycznie. Kiedy zaryzykowała pierwsze natarcie, kiedy położyła mi rękę na członku, podpisała na siebie wyrok śmierci. Moja nienawiść rozpełtała się na nowo. Od razu wiedziałem, co zrobić. W tej samej chwili, kiedy wziąłem do ręki jej dłoń i odsunąłem od siebie, jak obgryzione udko kurczaka, zaplanowałem jej egzekucję.

Jacques Reverdi uśmiechnął się.

Marc przyglądał mu się zafascynowany: choć był pewien, że umrze, choć samo oddychanie sprawiało mu teraz straszliwy ból, czuł dla swego przeciwnika współczucie. W tym olbrzymie w czarnym kombinezonie, w tym oszalałym drapieźniku widział tylko małego chłopca, zaszokowanego, przerażonego, ukrytego w głębi wyplatanej szafy.

- Wziąłem się do pracy. Wróciłem do pomysłu, na który wpadłem z myślą o matce dwa lata wcześniej. Zabrało mi to kilka tygodni: sprzęt, przygotowania, próby. Pewnego

wieczoru po potężnym kacu matka ocknęła się na swoim posłaniu. Zauważyła, że nie może się ruszyć, była przywiązana do drążków łóżka. Podniosła głowę i zobaczyła mnie, siedzącego na podłodze. Przyglądałem się jej z pełnym spokojem ducha. Ona najpierw się śmiała, potem wyła, wreszcie jedno i drugie naraz, wymiotując na swoją nieświeżą sukienkę. Z początku nie zdziwiła się, że ma migrenę - do objawów kaca była przyzwyczajona. Ale kiedy zaczęła kasłać, chwytać powietrze małymi haustami, zrozumiała, że coś tu nie gra. To było coś więcej niż zwykły synowski żart.

Przez dwa tygodnie starannie uszczelniłem każdy otwór w jej sypialni. Kratę wentylacyjną, spojenia drzwi i okien. Pozatykałem wszystkie otwory włóknami rattanu. Na pamiętkę szafy. Chciałem, żeby moja matka zasmakowała tych wrażeń, które kiedyś zaaplikowała mnie. Poczucia, że się dusi. Strachu. Ciemności. Podczas gdy ona szlochała na swoim łóżku, ja się nie ruszałem. Czekałem, aż ciemność wypełni pokój. Wypełni jej usta, jej mózg. Tortura dopiero się zaczynała. Wedle moich obliczeń uduszenie miało nastąpić dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach. Ale jej zapadła pierś przyspieszyła sprawę: nazajutrz wieczór, około jedenastej, zaczęła się dusić. Nie ruszałem się: byłem cieniem w cieniu. Może ona tego nie zauważyła, ale używałem do oddychania butli do nurkowania, podczas gdy ona zdychała, z trudem łapiąc powietrze.

Minęło kilka godzin. Widziałem, jak dygocze, krzyczy, otwiera szeroko usta i dusi się dwutlenkiem węgla, którym pokój był już przesycony. Im więcej się miotła, tym bardziej przyspieszała proces umierania. Próbowalem ją uprzedzić, ale mnie nie słuchała. Płakała, wymiotowała, błagała mnie swym spojrzeniem starej lubieżnej suki. Zadygotała jeszcze parę razy i w końcu opadła jak popsuta lalka.

Czułem nieopisaną radość. Złote cząsteczki tańczyły mi w oczach. Moje serce biło powoli. Wyrwałem z ust końcówkę butli i przeszedłem na bezdech. Chciałem widzieć, jak ona wypluwa z siebie ostatnie tchnienie. Wyssać te ostatnie cząsteczki tlenu, który mi ukradła, kiedy byłem dzieckiem. Jej oczy skierowały się w moją stronę - i zastanowiłem się, dlaczego czekałem tak długo z wykonaniem wyroku.

Mój plan miał również drugi akt. Musiałem upozorować jej egzekucję na samobójstwo. Zaplanowałem sobie, że przetnę żyły tam, gdzie sznury ją poraniły, zanim umrze ostatecznie. Wciąż na bezdechu zdjąłem jej więzy i wziąłem z góry przygotowany nóż, najostrzejszy, ten, którego ona używała do czosnku i cebuli. Starannie nacinałem nadgarstki, starając się trafić w siatkę żył.

I wtedy stał się cud.

W tym pokoju, w którym nie było już tlenu, wypływająca krew była czarna.

Absolutnie czarna.

W pierwszej chwili cofnąłem się przerażony, a potem wpadłem w zachwyty. Podziwiałem ciało, które wydzieliło z siebie taki nektar. Nigdy nie widziałem równie pięknego widoku. Obrazu tak czystego, tak prawdziwego. Była to zwykła sinica, skutek braku tlenu, ale ja widziałem w tym zło opuszczające ciało mej matki. Złem była ta czarna smoła. Prawda tej kobiety - występki i kłamstwo - była tą czarną krwią.

Wstałem, miałem łzy w oczach i spostrzegłem, że spuściłem się w gacie. Po raz pierwszy w życiu przeżyłem orgazm. Stało się to w czystości bezdechu. Dla mnie miało już nie być odtąd innej drogi. Wiem, że w tej samej chwili na moim karku pojawiło się znamię. Z tyłu czaszki wypadło mi, by nigdy nie odrosnąć, pasemko włosów. Ten ślad był znakiem mojego przeznaczenia.

Umysł Marca działał na zwolnionych obrotach. Jego mózg nie był dostatecznie utleniony. Reverdi podszedł do niego. Głos miał wciąż tak samo wyraźny.

- W swojej książce nie posunąłeś się dość daleko. Nie chciałeś, może nie mogłeś, pójść za mną do końca. Tam, gdzie motywy są już krystalicznie czyste. A przecież wydaje mi się, że dużo pisałem o tym do Elisabeth...

Marc spojrział w kierunku Chadidży. Łapała powietrze z potwornym świstem, jak ryba wyrzucona na brzeg. Marc szalał z bezsilności. Sam był bliski zapaści. Między dwoma atakami kaszlu wymamrotał prawie bezdźwięcznie:

- I... ile ich... zabiłeś?

- Co roku - uśmiechnął się Reverdi - w Azji Południowo-Wschodniej znika tysiące osób. Ja pobierałem haracz od tej liczby. Dla mnie czarna krew nie jest zjawiskiem fizycznym ani przypadkiem. A tym mniej byle jak napisaną książką. To jest ciągle poszukiwanie, Marc. To w tych głębokich wodach zanurzam swoją istotę. Moim prawdziwym bezdechem, moją prawdziwą granicą stu metrów było zawsze właśnie to zanurzenie, nic innego...

Kulista sala zawierała już tylko kilka cząsteczek tlenu. Błękitnawy płomień lampki oliwnej wciąż jeszcze się opierał. Zabójca spojrział na swój komputer.

- Dziesięć procent. Czas nagli. - Odwrócił się do Chadidży. - Wyznajesz islam, moja piękna?

Nie zareagowała. Była zemdlona. Może już martwa. Ciągnął, jakby ona mogła go słyszeć:

- Nie? Nie znasz tego ustępu z Koranu? „Napisane jest, że Prorok przed swoją Misją padł kiedyś na ziemię i zasnął głęboko. I dwaj biali ludzie zeszli i stanęli po obu bokach jego ciała. I biały człowiek z lewej strony przeciął mu złotym nożem pierś i wyjął z niej serce, z

którego wydobył czarną krew. A biały człowiek z prawej przeciął mu złotym nożem brzuch i wyjął z niego wnętrzności, które oczyścił. I włożyli serce i wnętrzności na miejsce i odtąd Prorok był oczyszczony, by głosić wiarę...”.

Reverdi złapał za ustnik butli ze sprężonym powietrzem. Po raz pierwszy w jego głosie słychać było gniew.

- Podziękuj mi, Marc. Podziękuj mi za siebie i za nią. Po wszystkich waszych kłamstwach, wszystkich waszych świętokradztwach oczyszcze was, omyję, jak zrobili to biali ludzie z Koranu...

Marc nie miał już sił unieść głowy: ciemne płamy mąciły mu świadomość. Jego mózg wytworzył tylko jedną myśl: zyskać na czasie. Kilka sekund. I spróbować coś zrobić, cokolwiek, żeby uratować Chadidzę.

Morderca już brał do ust reduktor, kiedy Marc wysapał:

- Czekaj.

## 85.

Jego głos był już tylko szmerem.

- Bambusy, dlaczego? Dlaczego liście dają ci znak do zabijania?

Reverdi znieruchomiał i uśmiechnął się.

- To z powodu sukien.

- Sukien?

Tamten przesunął palcami po swej twarzy z góry na dół.

- Suknie mojej matki, te od Laury Ashley... Kiedy siedziałem w szafie, kiedy zdychałem z przerażenia, kiedy się dusiłem, one wisały tam na ramiączkach i pieściły mnie po twarzy. Te muśnięcia skojarzyły mi się na zawsze z cierpieniem. Ilekroć liście bambusa pieszczą mnie po twarzy, jestem na powrót w szafie. Czuję jej suknie na skórze. Słyszę moją matkę, jej jęki rozkoszy. I znów ogarnia mnie pragnienie czarnej krwi.

Reverdi zagryzł w zębach ustnik. Potem spokojnie przysiadł na piętach, po azjatycku, patrząc wprost w oczy Marca.

To był koniec.

Chadidza z pewnością już nie żyła. A on miał jeszcze przed sobą tylko parę sekund. Słyszał sztuczne oddychanie Reverdiego, a sam dusił się, wiedział, że zatruwa się dwutlenkiem węgla.

Reverdi śledził uważnie każdy jego wdech. Nie potrzebował już analizatora powietrza. Wystarczyło, że patrzył na twarz Marca. Kiedy jego rysy znieruchomieją płuconurek zdejmie maskę, wstrzyma oddech i zbliży mały płomyk do zlepionych ran, żeby trysnęła czarna krew.

Krew.

Na krawędzi niebytu Marc znalazł sposób.

Mógł zrobić tylko jedno: zepsuć Reverdiemu obrzęd.

Rozpaczliwym wysiłkiem nappełnił płuca powietrzem i napiął mięśnie. Sam ten wysiłek omal go nie zabił. W następnej sekundzie wypuścił wszystko z płuc, aż cały zapadł się w sobie. Nic nie uzyskał, tylko w głębi świadomości pojawiła się czarna dziura, spowodowana napływem dwutlenku węgla.

Od razu zaczął na nowo: zrobił głęboki wdech, wyteżył wszystkie mięśnie. Dusił się,

umierał, ale zanim to nastąpi, dopóki cała sala nie oczyści się ostatecznie, on zacznie krwawić. Uprzedzi sinicę.

Manewr udał się: straszliwe napięcie skóry sprawiło, że otworzyły się zlepione miodem rany. Jeszcze raz rozluźnił mięśnie klatki piersiowej, brzegi ran zmiękły, pojawiły się pierwsze krople krwi.

Reverdi wyrwał z ust reduktor i spojrzał na analizator powietrza. Krzyknął głosem zniekształconym przez brak tlenu:

- Nie! Jeszcze nie!

Marc nie zaprzestawał swej gimnastyki: napięcie, rozluźnienie, napięcie, rozluźnienie... Jego rany rozszerzały się, ciepła krew spływała po ciele. Udało mu się opuścić wzrok. Jego krew była ciemna, ale wciąż jeszcze czerwona. Udało mu się zbezcześcić obrzęd.

- Jeszcze nie!

Reverdi rzucił się na niego z nastawionym nożem. Marc uśmiechnął się. Co mógł mu zrobić? Zabić go? Krzesło przewróciło się. Obaj mężczyźni runęli na podłogę. Twarz mordercy była zbryzgana krwią. Padając, nacisnął na rany Marca. Krew tryskała, jej strugi, wyciskane z ciała ciężarem Reverdiego, krzyżowały się w powietrzu, a ten miotał się, krzycząc dyszkantem:

- Jeszcze nie... jeszcze nie...

Próbował zatykać rany rękoma. Ale ciecz uparcie wypływała przez jego zaciśnięte palce.

Marc zamknął oczy. Gorące fale przepływały mu przez obojczyki, żebra, uda. Jego ciało poddawało się łagodnie wśród zmieszanych zapachów miodu i metalu. Rozlewała się pod nim ciepła rzeka, która miała stać się jego lepkiem grobowcem. Miał wrażenie, że się zapada - zarazem w ziemię i w samego siebie. A jednocześnie miał poczucie odlotu, wyzwolenia, niemal beztroski.

Znów otworzył oczy. Reverdi ryczał, wciąż wczepiony w jego ciało. Ale Marc nie słyszał już jego głosu. Nie czuł już jego ciężaru. Zdawało mu się, że morderca żegna się z nim, a tymczasem ogromne wnęki sali tańczyły, patrząc, jak on odchodzi.

Przy ostatniej konwulsji dosłyszał głuchy łoskot w otaczającej ich kuli.

Obrócił głowę.

Oślepiły go białe sylwetki.

Jacyś ludzie wpadali do sali. W oślepiająco białych kombinezonach, rękawicach, maskach gazowych. Jacyś strzelcy alpejscy z pistoletami maszynowymi w rękach.

Marc wiedział, że jest za późno.

Przeleciał na stronę śmierci.

Ale jeszcze zobaczył Reverdiego, który wczepiał się w niego, kiedy zamaskowani ludzie chwyтали go za ramiona. Poczul, jak palce mordercy wpijaja się w jego lepkie ciało. Jak jego wargi otwieraja się, wymawiając bezgłośnie jakieś modlitwy. Pomyślał o rozdzierających krzykach ojca, któremu zabierają syna.

Był to ostatni obraz, jaki zabrał ze sobą.



## 86.

Biały pokój.

Ale jednocześnie pokój i jej czaszka.

Białe światło.

Ale jednocześnie światło i wewnątrz jej powiek.

Flesze. Komety. Smugi fosforu przelatują jej przez myśli. Oślepiające wybuchy rozdierają ciemność. Ona krzyczy. Po każdym krzyku rozlega się inny krzyk. Echo pierwszego. Krzyk w krzyku. Krzyk napiętej skóry. Krzyk palących warg. Krzyk rozdartej krtani.

Znowu ten sen. Stalowe szczypce otwierają czaszkę. Ręce w rękawiczkach zanurzają się w niej, obnażają mózg. Mruży oczy. W niezrozumiały sposób ten ruch otwiera przed nią widok operacji z lotu ptaka. Widzi dłonie, które gdzieś niosą jej mózg. Wydaje jej się brunatny, z fioletowym odcieniem.

Lekarze kładą go do stalowego naczynia. Wygląda jak pulsujące jajo z czarnego mięsa. I nagle rozumie. Niebezpieczeństwo czyha. Chadidża chce krzyczeć, uprzedzić chirurgów: ta rzecz to ośmiornica! Jej mózg to stwór, który skoczy im w twarz. Chce krzyczeć, ale zdaje sobie sprawę, że to niemożliwe: pazury są wciąż w niej, spinają jej wargi.

- Chadidża?

Czyjaś twarz pochyła się nad nią.

Mały siwy człowieczek unoszący się gdzieś w przestrzeni.

Jest łysy. Ona go gdzieś już widziała. Miał coś wspólnego z jej snem. Teraz widzi z bliska jego czoło - szare i dziobate. Z pumeksu. Mamroce:

- Marc?

Ból natychmiast rozdiera jej wargi. Mężczyzna uśmiecha się. Wymówiła „Ork” albo „Orgii”. Gardłowy dźwięk.

- To z powodu szwów. Proszę się nie odzywać.

Chadidża zamyka oczy. Wraca do niej wspomnienie. Kawalki metalu w jej ciele. Stalowy bluszcz zaciskający jej wargi. Reverdi i olbrzymie wnęki...

Znów otwiera powieki, znowu próbuje.

- Mork?

- Jest na oddziale intensywnej opieki. Lekarze z zespołu ratunkowego dokonali cudów.

Ona zamyka oczy. „Mork...”. Jest spragniona ciemności. Spragniona spokoju. Ale usta wciąż ją palą. Każda sylaba przedziera się przez drut kolczasty.

Nagle rozumie, że jest oszpecona.

Mdleje.

\*

Mijają dni, mijają noce.

Koszmary, majaczenia nie ustają... Złodzieje mózgu. „To ośmiornica!”. Reverdi w kombinezonie nurka, z nożem w ręku. Gorączka spada na nią jak płonąca tkanina, która oplata ją i pożera. Ona płonie zlane potem, rozplywa się w parę pod prześcieradłami.

No i ból.

Ból uderza przez całe ciało, jakby był żywą istotą, budzi się za każdym razem w innym miejscu, zależnie od pory dnia czy nocy. Jest stworem porywczym, nieujarzmionym, więzieniem ciała, który chce się wydostać na zewnątrz przez ledwie zabliźnione rany. Żeby wybuchnąć w krtani.

Okrutne ukąszenie niewidocznej szczęki, która wyrzywa jej wargi.

\*

Nowy kryzys świadomości.

Lepiej kontrolowany.

Pokój szpitalny jest biały, prawie pusty. Ściany - wyszarzała biel, szkielet łóżka - biel srebrzysta, okna z weneckimi storami - biel pasiasta.

Mężczyzna z pumeksu stoi przed nią. Uśmiecha się teraz cieplej, mniej ironicznie. Jego obecność przynosi to samo uczucie co zapach lekarstw. Pokrzepienie zmieszane ze smutkiem, niepokojem.

- Za kilka dni zdejmujemy pani szwy.

Chadidża nie może odpowiedzieć ani jakkolwiek zareagować. Wie, że jest oszpecona. Lekarz ściska delikatnie jej dłoń.

- Niech pani się nie przejmuj, wspaniale pani wygląda. Z czasem zapewne nie będzie nawet widać blizn. - Robi minę, jakby oglądał się przez ramię. - Operował panią nasz najlepszy lekarz. Jeden z najlepszych chirurgów plastycznych szpitala Salpêtrière. Wyszło mu małe arcydzieło.

Ona wciąż mu się przygląda. Każde przymrużenie oczu jest niemym pytaniem. Mężczyzna mówi dalej:

- Ja zajmowałem się reanimacją. Leczeniem ran. Było ich dużo, ale powierzchownych. Żyły zabiłniają się bardzo szybko. Były też oparzenia od kleju, ale też niegroźne. Jest pani na drodze do wyzdrowienia. Naprawdę, to nie żadne bajki.

Chadidza znów próbuje coś powiedzieć.

- Marc?

Tym razem lepiej. Uczucie palenia łagodnieje.

- Wciąż w śpiączce. Ale przebudzi się. Mamy jego dossier lekarskie. To mu się już dwa razy zdarzyło. Nie ma powodu sądzić, że nie przebudzi się jak w poprzednich wypadkach.

- Jego... rany?

- Krwotok. W środku prawdziwa miazga. Ale zrobiliśmy, co się dało. Szwy na każdej żyły. Mrówcza praca. Już mu się zabiłnia.

Chadidza zamyka oczy. Czuje wciąż ból, ale ból radosny. Nagle przelatują jej przez głowę pocieszające obrazy: dom, dzieci, harmonia z Markiem... Obrazy rozpadają się: nie, nic z tego. Nigdy nie będą żyć razem, a zwłaszcza nigdy nie zapomną sali z wnękami.

- Re... verdi?

Lekarz krzywi się niepewnie.

- Nie żyje.

- Jak?

Wzrusza ramionami i bierze do ręki wiszący w nogach łożka grafik.

- Nie znam szczegółów. - Ogląda krzywą temperatury. - Będzie u pani policja. Opowiedzą.

Chadidza znów zamyka oczy. Myśli jej się płaczą. Reverdi martwy, Marc żyje: powinna być szczęśliwa, spokojna, ale w głębi ducha czuje niepokój. Kłębi się tam coś ciemnego, coś, co czeka tylko na jakiś prąd, jakiś bodziec, by wydobyć się na powierzchnię.

- Proszę za wiele nie myśleć. Odpoczywać. - Idzie ku drzwiom, na progu odwraca się. - Z krótkimi włosami jest pani bardzo dobrze.

Chadidza unosi brwi, nie rozumie.

- Pani włosy były mocno przyklepione do krzesła, do którego on panią przywiązał. Ludzie z zespołu ratowniczego musieli je na miejscu odciąć, kiedy pani była pod tlenem. Fryzurę dopieściliśmy dopiero tutaj - śmieje się wesoło. - I z tego jesteśmy najbardziej dumni!

\*

Pewnego ranka - Chadidza nie ma tu zegarka, ale doskonale rozpoznaje subtelności

cieni i światel na ścianach - jakiś mężczyzna przychodzi ją odwiedzić.

Gładkie blond włosy.

Pozłocisty uśmiech, jakby pociągnięty woskiem pszczelim.

Przedstawia się. Jest policjantem. Chadidza nie zapamiętuje jego imienia - miewa jeszcze krótkie zakłócenia świadomości. Gość podchodzi bliżej. Twarz ma pociągłą, łagodną, ogorzałą. Ma na sobie budrysówkę, bije od niego jakiś słodkawy zapach. Znow przypominają jej się pszczoły, miód. Krtań jej się zaciska: widzi znow przed sobą błyszczący słoń i pędzelek...

- Były dwa systemy zabezpieczające - tłumaczy glina, wymawiając starannie każdą sylabę z oddzielną, jakby mówił do głuchej. - To ośrodek o dużym stopniu zagrożenia, gdzie normy bezpieczeństwa są bardzo ścisłe.

Ostrożnie siada na brzegu łóżka: plecy pochylone, ręce splecione, jasny uśmiech.

- Reverdi zneutralizował pierwszy system - strażników, alarmy, rygle automatyczne. Ale zlekceważył system kontroli atmosfery. Kiedy tylko powietrze nie odpowiada ustalonym normom, automatycznie uruchamia się mnóstwo procedur. Do akcji weszła brygada specjalna.

Chadidza usiłuje przypomnieć sobie akcję ratunkową. Widzi tylko mężczyzn w bieli, zamaskowanych, ich ostrożne ruchy - i Marca, taplającego się we własnej krwi.

- Moi koledzy sądzą, że Reverdi nie wiedział o tym drugim poziomie zabezpieczeń. Ja przeciwnie, jestem pewien, że wiedział. Ale myślał, że ma czas „zrobić, co ma do zrobienia”.

- Uśmiecha się z lekka. - Nie wiem, co wam naopowiadał, ale to mu zamąciło w głowie. Nie zdawał sobie sprawy, że czas płynie. To was uratowało.

Chadidza potakuje niepewnie. Na stoliku na kółkach zauważa mały bukietik gardenii. Niewiarygodne: kupił jej kwiaty. Pomięty bukietik, podobny do zaciśniętej pięści. Znow patrzy na policjanta, on z kolei przytakuje przelotnym uśmiechem. Facet ma wdzięk, ale przypomina wiecznie porzucanego narzeczonego. Chadidza wyobraża sobie jego życie w postaci szarego brzegu, z którego ogląda się stracone okazje.

Otwiera ostrożnie usta - już jej zdjęto klamry.

- Za... biliście go?

Mężczyzna wstaje. Jego zapach rozchodzi się od razu po pokoju. Blond włosy rozsypują się. Śniadanko z miodem. Robi w milczeniu parę kroków i wsuwa ręce w kieszenie. Chadidza spręża się, żeby wymówić pełne zdanie:

- Za... biliś... cie... go... czy... nie?

- Tak. Nie ma żadnej wątpliwości. - Pauza. - Ale nie mamy ciała.

Ona zamyka oczy, uczucie paniki. Tamten znów zaczyna mówić, jakby odczytywał strach z jej twarzy.

- Spokojnie. Z komory Reverdi zdołał się wymknąć. Chłopcy byli skrupowani swoimi kombinezonami, maskami gazowymi. On wyslizgnął się bosy, na bezdechu. W korytarzach nikt nie odważył się strzelać, było zbyt niebezpiecznie.

Chadidża wyobraża sobie kręty labirynt, stalowe korytarze, maszyny. Reverdi w czarnym kombinezonie, z zablokowanymi płucami, znikający wśród chromowych błysków...

- Na dziedzińcu strzelcy trafili go. Dostał co najmniej pięć kul. To są strzelcy wyborowi. Faceci wytrenowani jak nikt. Można im ufać.

- Dlaczego... go... nie ma... ciała?

- Mimo ran zdołał wydostać się za ogrodzenie po zachodniej stronie. Zakłady mieszczą się w Nogent-sur-Marne, wie pani, prawda? Myślmy, że wskoczył do rzeki, która płynie wzdłuż ośrodka.

Przerywa, podchodzi do stolika na kółkach i głaszcze z roztargnieniem kwiaty.

- W pewnym sensie to dość przerażające. Proszę pomyśleć: ten facet w kombinezonie nurka wpada do wody, jak zwierzę wracające do swego naturalnego środowiska.

Policjant bezmyślnie zrywa parę płatków.

- Wpadł do wody. Już nie żyje. To pewne. Od sześciu dni. Przeszukujemy rzekę.

Dziewczyna zamyka oczy. On powtarza z naciskiem, jakby odgadywał jej myśli:

- Chadidża, on nie żyje. Nie ulega wątpliwości.

Mówi coś jeszcze, ale ona słyszy głos Reverdiego, stojącego tam, w komorze ciśnieniowej: „...gdzie jest woda, tam jestem niezwyciężony”.

## 87.

Na początku listopada Marc się przebudził.

Chadidza już od wielu dni wstawała z łóżka. Poszła się z nim zobaczyć. Leżał w sąsiednim pokoju, ale dopiero pierwszy raz pozwolono jej wejść. Kiedy go zobaczyła, przeraziła się. Nie z powodu otaczających go przyrządów czy monitorów rejestrujących działanie jego organizmu, tylko z powodu wyrazu twarzy. To pochylone uparte czoło, pod którym, zdawało się, wciąż jeszcze kryły się ciemności, te włosy na jeża - jego też najpierw ogolono - sprawiały, że tak jak ona wyglądał na ofiarę.

Mimo bolących warg zmusiła się do uśmiechu. Bardzo schudł. Kości twarzy sterczały mu spod skóry, od czego pogłębiły się cienie na jego bladej cerze. Trupia czaszka. Jednocześnie jednak ta bladość była żywa, niemal fosforyzująca pod jego złocistymi włosami. Pomyślała o tych małych lampkach z kory drzew pomarańczowych, których biała miazga pali się bez końca.

Podeszła bliżej. Na każdym nacięciu miał opatrunek. Na skroniach, na krtani, na obojczykach, na przedramionach. Wiedziała, że tak samo wygląda jego ciało pod koszulą szpitalną. Ona też miała takie opatrunki, a lekarz nie kłamał: rany zablizniły się w kilka dni. Ironia losu: zdaniem doktora, to obecność miodu wsączonego w rany sprzyjała szybkiemu uleczeniu.

Pierwsze zdanie, jakie Marc wypowiedział, brzmiało:

- Nie mają go. Nie mają ciała.

Chadidza uśmiechała się jeszcze ze smutkiem na to wspomnienie. Od kiedy otworzył oczy, musiał dręczyć się tą obsesyjną myślą Reverdi żył. Reverdi był na ich tropie. Reverdi ich zniszczy...

Zrozumiała, że psychoza Marca jest beznadziejna: nawet stojąc przed trupem mordercy, bałby się nadal najgorszego, przypisywałby zabójcy nadprzyrodzone zdolności. Marc wydobył się ze śpiączki, ale nie z koszmaru.

Z tego nie wydobędzie się nigdy.

Był nieuleczalnie chory.

\*

Chadidza opuściła szpital.

Opuściła Marca, szarawego lekarza, uśmiechniętego glinę.

Wszystko, co mogłoby ją wiązać z przeżyta traumą.

Znów znalazła się w swoim mieszkaniu przy ulicy Ségur. Jej biurko. Jej doktorat. Jej filozofowie. Ale już z niczym nie czuła związku. Po tym, co przeżyła, teorie filozoficzne wydawały jej się raczej abstrakcyjne. Żeby nie powiedzieć absurdalne.

Za to ku swemu zaskoczeniu znów zwrócił się do niej świat mody. Nie zapomniano o niej. Kilku agentów było gotowych zastąpić Vincenta. Dzwonili fotografowie, agencje, projektanci. Czy nie wiedzieli, że jest oszpecona? W świecie superdoskonałości, kto by chciał dziewczynę o podziurawionych wargach?

Myliła się. Marina, wizażystka, pierwsza wyjaśniła jej, że tych śladów nie będzie widać na zdjęciach. To kwestia pudru, oświetlenia. Ale przede wszystkim jej wygląd jest *trendy*, a dopóki tak będzie, może sobie mieć nawet drewnianą nogę, fotografowie dadzą sobie radę.

Zresztą - to był inny nieoczekiwany fakt - jej twarz dzięki krótkim włosom miała jeszcze większy urok. Jej ostra uroda cięła teraz jak krzemień.

Wreszcie sprawa Reverdiego narobiła dużo hałasu i przydała jej ziarna prawdy, zapachu siarki, co było rzadkie wśród dziewcząt z tej branży. Chadidza nigdy nie była przejrzysta. Teraz była olśniewająca - zimą roku 2003 to ona królowała na scenie.

Potraktowała to jak wyzwanie i zaczęła przyjmować kontrakty.

Znów ruszyła drogą światła.

\*

Wbrew postanowieniu, bardzo szybko zaczęła odwiedzać Marca.

Po prostu z solidarności, myślała.

Codziennie przychodziła do jego zalanego słońcem pokoju. Po słowach powitania zalegała między nimi mleczna cisza. Biała, gładka, bez jednej fałdki. Marc zapadał się w swoim milczeniu. Chadidza nie próbowała go zakłócić. Wiedziała, że to zaćmienie kryje w sobie myśli nie do rozwikłania - i nie miała ochoty ich znać.

Na korytarzach spotykała czasem lekarzy, którzy uspokajali ją: Marc wracał do zdrowia. Być może niedługo wyjdzie. Słyszała również to, czego jej nie mówiono: był pod obserwacją. Wszyscy niepokoił się o jego zdrowie psychiczne.

Nie rozmawiał, ledwie jadł, dużo spał. Zdawał się chronić w sen. Jeśli dręczyły go te same koszmary co Chadidzę, to raczej nie było to zbyt uspokajające. Ale ona domyślała się, że Marc dobrowolnie zanurza się w te wizje. Jakby te najstraszniejsze wspomnienia przyciągały go niczym magnes. Jak gdyby - sama ta myśl mroziła jej krew w żyłach - chciał

dotrzeć do Reverdiego przez kładkę snów...

Na zewnątrz jednak Marc okazywał ciągły lęk. Przez adwokata zażądał, by pod jego drzwiami postawiono strażnika. Sędzia śledczy nie dał się prosić, zdradzając tym samym, czego wszyscy się obawiali: że Reverdi przeżył starcie w Nogent-sur-Marne.

\*

Dwunastego listopada Chadidża zdołała spotkać się z psychiatrą, który opiekował się Markiem Dupeyratem. Drobny, suchy, bardzo ciemny brunet, nosił kwadratową brodę i akcentował niektóre sylaby na sposób niemiecki.

Dłubiąc w fajce, oznajmił stanowczo:

- Nie istnieją choroby psychiczne. Są tylko nieodpowiednio kontrolowane konflikty.

Chadidża założyła nogę na nogę i powiedziała sobie: „ho, ho”. W tym momencie mężczyzna przyjrzał jej się uważnie. Pewnie zauważył blizny. Sześć małych dziurek nad górną wargą, sześć pod dolną otaczało jej usta niczym tatuaż zrobiony henną. Powiedziała:

- Jeśli chodzi o konflikty, to Marc swoje dostał, jak sądzę.

- Właśnie - zerwał się, jakby podrzucony sprężyną. - Właśnie...

Chodził wokół biurka, rozpalając fajkę.

- Marc nie może udźwignąć całej tej przemocy. Jego psyche zamiast przyjąć odrzuca ją. - Przeciął powietrze fajką. - Fffft! W przeszłości tę rolę odegrały śpiączki. Czarne pole. Skasowana taśma. Dlatego teraz tyle śpi: jego umysł znów się chroni w nieświadomość. Jego superego...

Chadidża przerwała ten specjalistyczny wywód.

- Na co właściwie cierpi?

Uśmiechnął się, jakby tym pytaniem trafiła w sedno.

- Na nic. Nie ma psychozy. Nie ma zaburzeń neurologicznych. Można powiedzieć, że Marc cierpi na rzeczywistość.

- Na rzeczywistość?

- Niedokładne zgranie jego psychiki z wydarzeniami. Wydarzeniami o wyjątkowym natężeniu przemocy, to fakt.

- Fakt.

- Oto co się dzieje - powiedział, rozkładając ręce. - Obecnie proces odwraca się. Wszystko to zaszło za daleko. Agresja Reverdiego złamała bariery mentalne Marca, jego system ochronny. Nie jest już w stanie trzymać tej przemocy na dystans.

- Co to konkretnie znaczy?

Wskazał fajką na swoją skroń.



- Przemoc weszła mu w mózg. Rozlewa się wszędzie. Marc nie może już myśleć o niczym innym. Niektóre zwierzęta widzą w świetle podczerwonym, ale nie w zwykłym. Marc nie chwyta już życia codziennego. Prostyich wrażeń. Jego umysł nie potrafi już ich rozróżnić. Jest całkowicie przesycony Reverdim, wchłonięty przez niego i jego okrucieństwo.

Kiedy tak słuchała lekarza, wydało się jej, że jego akcent jest raczej włoski. Przed kilkoma laty Chadidża pisała referat na temat antypsychiatrii włoskiej: lata sześćdziesiąte, szkoła Franca Basaglego. Czasy, kiedy otwierano drzwi wszystkich szpitali psychiatrycznych. Ten facet doskonale wpisałby się w tamten obraz.

- Powtarzam - powiedział stanowczo - nie ma chorób psychicznych. Są tylko konflikty...

- Uprzedzam, jeśli spróbujecie go wsadzić do szpitala wariatów, ja...

- Nic pani nie zrozumiała. Marc potrzebuje zwykłego życia. To dla niego jedyne lekarstwo. Wychodzi jutro.

\*

Kiedy Marc wrócił do domu, Chadidża czekała na niego.

Za jego zgodą weszła do jego pracowni. Poprzedniej nocy porządkowała, odkurzała, czyściła. Pod poziomem podłogi wykryła komórkę, coś w rodzaju małego pokoiku, gdzie Marc trzymał książki specjalistyczne i swoje *dossiers*. Nie oparła się. Zagłębiła się w te archiwalia. Miała wrażenie, że wnika do mózgu Marca. Dziesięciolecia morderstw, gwałtów, przelanej niewinnej krwi. Świadczenia, biografie, studia psychologiczne, wszystko było starannie usystematyzowane, opatrzone odsyłaczami, opisane. Taksonomia okrucieństwa.

Ale co najważniejsze - znalazła materiały dotyczące Reverdiego. Przeczytała jego listy, wycinki prasowe, obejrzała zdjęcia. Zdała sobie sprawę z charakteru zastawionej pułapki. Wszystko to wykraczało daleko poza dziennikarską staranność. Marc utożsamiał się ze swoją machinacją.

Wczytała się zwłaszcza w kopie odręcznych listów Elisabeth i powiedziała sobie, że tak, stanowczo, ten facet jest kopnięty. Chory. Szurnięty. Mimo to, kolejny raz, przyznała mu okoliczności łagodzące. Do świtu szukała jakichś materiałów o Sophie, ale niczego nie znalazła. Ani jednego zdjęcia, ani jednej linijki na temat zabójstwa „kobiety jego życia”. O piątej rano zamknęła drzwi komórki tak, jak odwraca się ostatecznie stronicę książki.

Kiedy Marc przekroczył próg loftu, wszystko było gotowe. Nieskazitelnę. Uśmiechnął się, podziękował i zaparzył kawę w chromowanej maszynie, której ona nie śmiała dotknąć. Potem z filiżanką w rękę usiadł naprzeciw wielkiego okna wychodzącego na wybrukowany dziedziniec i - milczał.

Domyśliła się, że nic nie powie.

Reguły zostały ustalone.

Znaleźli swój rytm. Było to współzycie nieme, oparte na wzajemnym współczuciu. Rekonwalescencja, podczas której dzielili ze sobą pracowitą codzienność. Marc siedział całymi dniami przed komputerem. Nie pisał: surfował po Internecie. Czytał dzienniki, depesze agencji prasowych. Spędzał tak po wiele godzin, wychwytyjąc każdy szczegół, każdą wiadomość dotyczącą Reverdiego.

Więcej niż dwa zdania po kolei zdarzało mu się wypowiadać bardzo rzadko, tylko przez telefon ze swoim adwokatem. Dzięki prawnikowi uniknął sprawy o „utrudnianie działania wymiarowi sprawiedliwości i zatajenie dowodów”, które groziło mu wskutek skarg ministerstwa z Kuala Lumpur. Malezja domagała się nawet jego ekstradycji.

Adwokat liczył na to, że teraz upora się z zagrożeniem ze strony francuskiej prokuratury, powołując się przed sędzią śledczym na to, że wprawdzie Marc Dupeyrat popełnił błędy, ale też zapłacił za nie z nawiązką. Z dwóch czy trzech podsłuchanych rozmów Chadidza zorientowała się, że sprawy posuwają się raczej w dobrym kierunku, mimo pośredniej odpowiedzialności Marca za zabójstwa Alaina Van Hêma i Vincenta Timpaniego.

Co do niej to postawiła biurko w przeciwległym końcu pokoju i tam podłączyła swój laptop. Założyła sobie nową linię telefoniczną, specjalnie dla Internetu, z jego pomocą ściągała fragmenty książek, cytaty filozoficzne i korespondowała ze specjalistami ze swojej dziedziny. Przez większość czasu pisała doktorat, całe strony. Nie była pewna, czy je zachowa, ale pisanie po prostu wypełniało jej czas.

Marc surfował.

Chadidza pisała.

Pstrykanie dwóch komputerów wypełniało pracownię.

Klekot dwóch szkieletów w tańcu śmierci.

Przeszukiwanie Marny trwało.

Bez skutku.

\*

Przez ten czas nad ich głowami przetaczały się rozmaite zjawiska atmosferyczne, potężne ruchy mas powietrznych. Ruchy, które dotyczyły ich bezpośrednio, ale pozostawiały obojętymi.

Na fali „niedawnych wydarzeń” *Czarna krew* utrzymywała się wciąż na czele rankingów sprzedaży w księgarniach. Renata Santi uważała, że liczba sprzedanych egzemplarzy przekroczy trzysta tysięcy - „trzęsienie ziemi!”. Marc przyjmował ten sukces z

kamienną twarzą; odmawiał udzielania wywiadów, podpisywania książek, jakichkolwiek kontaktów.

Chadidza z kolei była jedną z najbardziej rozchwytywanych modelek końca roku. Wielu projektantów mody wybrało ją do swoich pokazów, a propozycje zdjęć nadlatywały ze wszystkich zakątków świata. Nakazała swemu nowemu agentowi godzić się wyłącznie na sesje odbywające się w Paryżu. Nie chciała słyszeć o wyjeździe z Francji i pozostawieniu Marca samego.

On: autor bestsellera, bogaty, podziwiany.

Ona: top modelka, etniczna księżniczka nadchodzących trendów.

Dwie gwiazdy, dwoje nieudaczników zamkniętych w pracowni w IX dzielnicy.

Pod ciężarem swych urazów zaczęli zdawać sobie sprawę z rozmiarów kłamstwa, rządzącego biegiem świata. Powodzenie, sukces, komfort nie mają żadnego smaku.

Marc surfował.

Chadidza pisała.

A przeszukiwanie Marny trwało.

Bez skutku.

## 88.

O dziewiątej tamtego wieczoru Chadidza przekreśliła klucz w drzwiach do pracowni.

Była sobota. Właśnie skończyła całodzienną sesję zdjęciową dla jakiegoś japońskiego magazynu. Umordowana i zdziwiona własnym sukcesem. Dziś fotograf specjalnie rzucił więcej światła na jej ślady po szwach i wyszeptał znad aparatu: „Blizny - super. Wyglądają jak skaryfikacje”.

Na te słowa wybuchnęła płaczem. Takie bzdury przypominały jej od razu Vincenta. Do wygadywania z natchnioną miną takich dyrdymałów był jedyny. A zwłaszcza tylko od niego można było je znosić. Chadidza coraz bardziej uświadamiała sobie, jak bardzo go jej brakuje. Każda godzina, każdy dzień pogłębiały jej smutek.

Już otwierając drzwi, była w nastroju pod psem. Jak długo jeszcze będzie znosiła to groteskowe otoczenie? Żeby usprawiedliwić się sama przed sobą, powtarzała sobie, że to jest rodzaj osobistej terapii. Pozwalając się fotografować, pokazując swoje blizny, przechodziła do porządku nad swymi ranami wewnętrznymi.

Reverdi był martwy - ona żywa.

Tamten leżał na dnie rzeki - ona wzniosła się na szczyt popularności.

Ale to była witryna na pokaz. Na niższym piętrze, pod arkadami jej świadomości, chodziło głównie o sposób na uporanie się z własnym strachem, z utajoną pewnością, że Jacques Reverdi nie zginął. Krążył gdzieś. Zraniony. Wściekły. Zdecydowany. Jeśli żył wciąż na tym świecie, to mógł widzieć nowe zdjęcia Chadidzy. Żywej. I triumfującej.

Położyła pęk kluczy na przeznaczony do tego mosiężnej miseczce i powtórzyła w myślach postanowienie, które tego dnia podjęła: opuści Marca. We dwójkę nigdy się z tego nie wygrzebią. Wobec zniknięcia ciała Reverdiego, wobec niepewności, trzymali się siebie kurczowo, po prostu odruchowo. I wciągali się wzajemnie w podwójny upadek.

Była zdecydowana powiedzieć mu to tego wieczoru.

Już słyszała jego milczenie, jego nieprzeniknione zamknięcie się w sobie.

- Marc?

Nie było odpowiedzi.

Poszła zdecydowanym krokiem naprzód i powtórzyła:

- Marc?

Był tutaj, koło swego biurka, zwinięty w kłębek na podłodze. Chadidza podbiegła. Jego ciało było twarde jak drewno. Pomyślała o trupiej sztywności, ale nie, skórę miał ciepłą. Położyła mu rękę na szyi i poczuła, jak bije puls - powoli i słabo.

Nie był martwy. Śpiączka.

Rzuciła się do telefonu. Numer pogotowia sam wyskoczył jej spod palców. Ten numer, który tylekroć wykręcała, kiedy musiała radzić sobie z ojcem lub matką po przedawkowaniu.

Rozmawiając z dyżurnym, już wyobrażała sobie dalszy ciąg: przyjazd karetki, miotanie się ludzi, ich ciężkie kroki w pracowni. Chaotyczny najazd, który burzył całą egzystencję, gwałcił codzienność, przewracał do góry nogami dom... Mieszanka paniki i akcji ratunkowej, która była stałym motywem jej życia na Bananie, w Gennevilliers.

Odłożyła słuchawkę. Zdała sobie sprawę, że wciąż jest w stroju, który miała na wybiegu na końcu pokazu: zamszowe buty, futrzana kurtka - materiały organiczne, okrutne, kojarzące się ze śmiercią i krwią, bardzo tej zimy modne. Materiały stosowne do okoliczności, które w jakiś tajemniczy sposób czyniły ją mocniejszą, bardziej pierwotną.

Wróciła do Marca, wciąż nieruchomego, i przyjrzała się jego rudej głowie, wciśniętej w ramiona, pod którą przedtem wsunęła poduszeczkę. Ostatecznie „poległy za sprawę”.

Była zdecydowana bardziej niż kiedykolwiek.

Zadba o umieszczenie go w szpitalu, posprząta budę i szybciotko da nogę.

\*

- Kompletna histeria.

Lekarz pogotowia nie zdjął kurtki. Było to wielkie chłopisko, wyglądał, jakby spał w ubraniu, miał ogromną, rozczochraną głowę. Chadidza podała im kawę, jemu i kapitanowi Michelowi, złocistemu glinie ze szpitala, który przybiegł jej na pomoc. Dwaj inni mężczyźni położyli Marca na noszach, przykryli błyszczącą folią termoizolacyjną i wynieśli.

- Histeria? - spytała.

Lekarz wypił parzącą kawę jednym haustem.

- Pani mąż zdradza wszystkie kliniczne objawy katatonii. Ale żadnego objawu somatycznego. Wszystko dzieje się w jego głowie. W pewnym sensie to dobra wiadomość. Wyjdzie z tego, żaden problem. Jutro lub pojutrze będzie na nogach. Zabieramy go do Świętej Anny. Jego przypadek zainteresuje naszych „przyjaciół psychicznych”.

- Nie, tylko nie tam.

- A niby dlaczego?

- Proszę posłuchać - próbowała tłumaczyć Chadidza. - Marc miał już problemy...

psychiatryczne.

- Niemożliwe! - roześmiał się lekarz, oddając jej pustą filiżankę.

- Proszę mnie wysłuchać! - Prawie krzyknęła. Potem powiedziała o ton ciszej: - Jeśli się przebudzi u Świętej Anny, jego stan może się jeszcze pogorszyć. Ostatnio leczono go w La Salpêtrière. Mogę podać panu nazwiska lekarzy, którzy się nim opiekowali. Jest wśród nich psychiatra.

Mężczyzna westchnął i wyciągnął telefon komórkowy.

- Zobaczę, czy mają miejsce.

\*

Dwudziesta trzecia.

Chadidza była teraz sama. Nie była głodna. Nie chciało jej się spać. W głowie kłębiły jej się myśli puste, bez rezonansu. Postanowiła się spakować.

Ale najpierw porządku.

Otworzyła okno, żeby przepędzić zapach ludzi z pogotowia, poprzesuwała meble na miejsca, uporządkowała biurko Marca, układając równo jego notatki, wydrukowane strony, klawiaturę komputera.

Ten gest wystarczył, żeby zaświecić na nowo ekran, który był tylko wygaszony.

Pracownia zawirowała wokół niej.

Marc dostał e-mail.

To ten list spowodował jego nowy atak.

Na ekranie widniały słowa:

Nie wszystko skończone.

## 89.

- Siedzimy w gównie.

Chadidza spojrzała na fosforyzujący zegar. Druga w nocy. Dopiero co zgasła światło. Po swoim odkryciu zadzwoniła do kapitana Michela, który natychmiast przyjechał. Pokazała mu e-mail, a on i jego ludzie zabrali komputer Marca. Wszystko razem zajęło niecałe pół godziny. A kapitan już dzwonił.

- Siedzimy w gównie - powtórzył.

Zrobiła z nawyku ruch, którym odrzucała swoje loki, i przypomniała sobie, że już ich nie ma. Wpatrzyła się w ciemną podłogę.

- Co się dzieje?

- Zidentyfikowaliśmy komputer i linię telefoniczną przez które wysłano list.

Zabolało ją w krzyżu.

- Skąd go nadano? Gdzie jest Reverdi?

Glina milczał.

- Wypluj pan to: skąd pisał?

- Od pani. Z pracowni.

Jakby dostała garścią żwiru w twarz. Mężczyzna mówił dalej:

- Użył pani nowej linii telefonicznej. Tej, do której podłącza pani modem. Nasi specjaliści nie mają wątpliwości. Autor listu użył pani komputera. I pani własnej skrzynki pocztowej. Czy żeby mieć do niej dostęp, trzeba znać hasło?

- Nie.

- Nie było pani w domu o piętnastej dziesiątej?

Chadidza wyjaśniła mu, że była na sesji zdjęciowej, ale własny głos wydawał jej się dochodzić z daleka. Czowała, jak jej ciało robi się cięższe, brzuch zapada.

- Nie ulega żadnej wątpliwości, to Reverdi - mówił dalej glina. - To jest akurat w jego stylu. Czysta prowokacja. Chce nam pokazać, że może się bez trudu dostać do was. Wysłałem ludzi, żeby pilnowali pani drzwi. Będą tam najdalej za parę minut. Przyjadą też technicy, trzeba założyć u pani podsłuch. Od razu.

Po omacku, nie odkładając słuchawki, znalazła przełącznik nocnej lampki. Przy świetle stwierdziła z zaskoczeniem, że w pracowni wszystko jest w absolutnym porządku.

Rzeczywistość istniała, solidna, swojska.

- Chce pani, żebym przyszedł?

Policjant zapytał o to tonem zarazem poważnym i czułym, przypominającym jego bukiet przywiedłych kwiatów. Z czystego okrucieństwa zmusiła go do powtórzenia pytania:

- Co?

- Chce pani, żebym przyszedł? Chcę powiedzieć... osobiście?

- Nie.

\*

Przysięgła sobie, że nie będzie się więcej bała.

Obietnica bardzo dawna. Geneza - osobista.

Wstała ze swego spartańskiego posłania, materaca leżącego na podłodze przy szafce kuchennej, wciągnęła dzinsy i pokręciła się po mieszkaniu, znów poprawiła to i owo. Kiedy tylko przestawała się krzątać, mnóstwo rozmaitych cichych dźwięków zaczynało się rozlegać z różnych kątów. Wszystkie brzmiały złowrogo.

Jacques Reverdi dostał się tutaj.

Nagle zamarła: a jeśli jeszcze tu jest? Miała wrażenie, że serce w niej opada w dół i kaleczy się o żebra. Przystąpiła do regularnej rewizji, robiąc możliwie najwięcej hałasu, jak w dzieciństwie, kiedy była sama w domu. Trzaskała wtedy drzwiami i nastawiała głośniejszą telewizję, żeby wystraszyć cienie...

Nie ma nikogo, oczywiście.

Cisza znów zaczęła swoje. Skrzypiała. Jęczała. Dygotała. Chadidża stanęła przed oknem, zasłoniętym białym płótnem.

A jeśli jest na podwórzu? Jeśli obserwuje ją przez szparę w zasłonach?

Złapała swoje klucze, w szafce licznika elektryczności znalazła latarkę i bez zastanowienia, boso, w dzinsach i T-shircie, wyszła.

Snop światła z latarki drżał przed nią. Serce waliło jej mocno, huczało echem w całej klatce piersiowej. Myślała o Marcu. Już nie może go opuścić. Teraz nie. Przedtem chciała go zostawić razem z jego szaleństwem, ale jeśli Reverdi żyje, to znaczy, że Marc nie jest wariatem: po prostu widział to, czego nie widzieli inni.

Poszła w głąb podwórza. W budynku naprzeciw pracowni nie świeciło się ani jedno okno. Skierowała latarkę w lewo, w stronę bramy. Nikogo. Słyszała tylko dalekie odgłosy ruchu ulicznego, który w Paryżu nie zamiera nigdy. I czuła zapach miasta, kwaskowaty, nieczysty, ale łagodniejszy, lżejszy o tej porze: oddech przez sen.

Opuściła latarkę. Zwyciężyła swój strach. To wszystko zrodziło się w jej głowie.



Wszystko... Wrzasnęła, kiedy usłyszała kroki.

Latarka wypadła jej z ręki, potoczyła się po pochyłym gruncie i zatrzymała przy podkutych czubkach ciężkich butów.

- Panna Kacem? Przysłała nas kapitan Michel.

\*

Piąta rano.

Najdłuższa noc jej życia.

Technicy skończyli nadziewać „pluskwami” telefony stacjonarne, komórkowe, komputery, modemy. Podała im jeszcze kawy - stopniowo nauczyła się posługiwać maszynką - potem ich odesłała. Dwóch gliniarzy czuwało teraz pod jej drzwiami.

Chadidża, nieprzytomna ze zmęczenia, zgasiła światło i wślizgnęła się pod kołdrę. Zasnęła natychmiast.

Nowy dzwonek telefonu wyrwał ją z niebytu. W sekundę była przytomna. Chwyciła słuchawkę.

- Halo?

Szpara między zasłonami jaśniała. Był dzień. Rzut oka na zegar: dziewiąta trzydzieści rano. Powtórzyła: „Halo?” głosem pełnym lęku.

- Pani Kacem? Nazywam się Solin. Porucznik Solin. Widzieliśmy się na komendzie, nie wiem, czy pani mnie pamięta...

- Pańscy ludzie już tu byli.

- Wiem, bardzo mi przykro. Dzwonię, bo... Mam wiadomość... Ja... Chyba lepiej, żeby pani to wiedziała od razu: kapitan Michel nie żyje.

- Nnnie żyje?

Nie była w stanie mówić. Agrafki znów spinały jej wargi. Nie mogła ich otworzyć.

- Ccco... ccco sssię stało?

- Miałem po niego zajechać o ósmej. Znalazłem go w jego mieszkaniu. Był... No więc... Zamordowano go.

- U niego w domu?

- Jestem na miejscu. Z pewnością zaskoczono go, kiedy wracał od pani.

Szwy. Ukąszenia. Oparzenia.

Zmusiła się do otwarcia ust.

- Zabity przez Reverdiego?

Milczenie. Wreszcie policjant wymamrotał:

- Jeszcze za wcześnie, żeby...

- Adres?

Udał, że nie słyszy, i mówił dalej:

- ...ale tak, to prawda, są mocne poszlaki, że...

- JAKI ADRES, DO KURWY NĘDZY?

## 90.

Cała jasność tego mężczyzny rozprysła się.

Zbryzgała ściany, mokiet, sufit.

To była pierwsza myśl Chadidży, kiedy weszła do mieszkania. Kapitan Michel mieszkał w nowoczesnym budynku przy ulicy de la Convention. Trzy pokoje, kwadratowe, białe, niezagracone.

Ale jeden z nich został przerobiony.

Salon spryskano złotem.

Zabójca poodsuwał meble i umieścił swoją ofiarę na środku, z nagim torsem, przymocowanego do krzesła o trzcinowym oparciu. Wszędzie wokół niego na małych bryłkach z naturalnego wosku, wysokości od dwudziestu do sześćdziesięciu centymetrów, stały świece, niektóre jeszcze płonęły. Każdy płomień odbijał się w ściankach pozostałych bryłek, rysując w nich rude smugi.

Chadidża miała wrażenie, że znalazła się w olbrzymim ulu. Brakowało tylko bzykania pszczoł. Słodkawy zapach wosku ogarniał wszystko, niczym jakaś pachnąca żywica. Nawet te małe płomyki przypominały płynny miód, który znalazł się w stanie nieważkości i wznosił ku jasnemu sufitowi.

Policjant miał opuszczoną głowę. Jego gładkie włosy rozsiewały jasne błyski, mieszając się w kolor ikony. Miedziana pierś też wpisywała się w kolor obrazu. Krew zalewała mu całą pierś, a odbłask świec nadawał jej dziwną barwę starego złota.

\*

- Niesamowite - wyszeptał porucznik Solin. Technicy z laboratorium, w białych kombinezonach, pobierali tymczasem próbki. - Morderca zrobił mu tracheotomię. Według lekarza najpierw zaklecił mu usta taśmą samoprzylepną a potem przeciął gardło. I natychmiast zaklecił ranę. Zdaje się, że jakimś specjalnym woskiem. Następnie wtopił mu ten sam wosk do nozdrzy. Michel nie mógł oddychać. Usiłując złapać powietrze, napiął płuca i tchawicę tak mocno, że otworzył sobie ranę. Próbuje oddychać, sam wylał z siebie krew. Morderca pewnie patrzył, jak się wykrwawia.

Chadidża mimo woli opuściła wzrok: kałuża krwi rozlewała się w promieniu metra wokół krzesła. Była zdumiona własnym spokojem. To może przez tę inscenizację. Przez

niereczywistość tego wszystkiego. Tkwiła w środku tego różowozłotego teatru.

I sama w to nie wierzyła. Nie mogła uwierzyć, że sytuacja zmieniła się: teraz była sama. Absolutnie sama wobec mordercy. Jedynej glina, któremu ufała, był martwy. A Marc - ani żywy, ani martwy.

- Jest gdzieś jakiś napis?

- Nie.

- Okna i drzwi zostały uszczelnione?

- Nie. Nie miał czasu przygotować pokoju tak starannie. To i tak niesamowite, że zdołał zmusić Michela, by usiadł na tym krześle. Michel wyglądał na aniołka, ale wcale nie był łatwy, on...

Mężczyzna powściągnął szloch. Miał twarz, głos, ruchy rozpaczliwie zwyczajne. W jego zawodzie był to z pewnością atut, ale Chadidża nigdy by go nie poznała na ulicy.

- Najdziwniejsze - zaczął mówić, wytarłszy nos - że sąsiedzi nic nie słyszeli. Może mu coś przedtem wstrzyknął. Dowiemy się z analiz. W każdym razie to cały Reverdi. Nie ma już żadnej wątpliwości: sukinyś żyje.

Chadidża nie ruszała się. Polarne zimno usztywniało jej palce rąk i nóg i zmierzało z wolna do środka ciała. Zaczęła chodzić, żeby całkiem nie zdrętwieć. Obserwowała mężczyzn, którzy robili zdjęcia, a potem ostrożnie zdmuchiwali świece, brali do ręki bryłki wosku i wsuwali je do plastikowych torebek.

- Ten wosk to może jest jakiś ślad - skomentował gliniarz. - Takie produkty chyba piechotą nie chodzą Wypytamy pszczelarzy i...

- Proszę pana tylko o jedno - przerwała mu.

- O co?

- To ja uprzedzę Marca Dupeyrata.

# 91.

- Co robisz?

- Pakuję torbę. Spływam stąd.

Marc stał w swoim pokoju szpitalnym i pakował rzeczy. Ocknął się z „lekkiej śpiączki” dwie godziny wcześniej.

- Wszystko wiem.

- Skąd?

Ruchem głowy wskazał drzwi.

- Tam o niczym innym nie mówią.

- Ja...

Marc przyskoczył do niej i ścisnął ją za ramiona.

- Uprzedzałem was, nie? - potem trochę ciszej: - Wszystkich was uprzedzałem. Mój Boże. Reverdi żyje. Załatwi nas wszystkich.

- Nie możesz wyjść - powiedziała słabym głosem, uwalniając się z jego uścisku.

- Akurat, będę się krępował.

- I gdzie pojedziesz?

- Za granicę.

- Za granicę? Ale... ale lekarze ci nie pozwolą.

- W szpitalu brakuje łóżek, a ja widziałem się dziś z psychiatrą. Żaden problem. Jego zdaniem jestem chory na rzeczywistość. Mam się dać porwać zwyczajnemu życiu. No to nie ma co tracić czasu!

Chadidza rzuciła na stół nową kartę:

- Gliny nie pozwolą ci opuścić Francji. Jesteś świadkiem zasadniczej wagi. I mogą cię zatrzymać do przesłuchania.

Zapiął torbę i włożył marynarkę.

- Nie jesteś na bieżąco, Chadidzo. To już nieaktualne. Mój adwokat zabezpieczył mnie przed tymi wszystkimi bzdurami. Mogli mnie wsadzić w Malezji. Ale tu, we Francji, jestem poszkodowanym. Poszkodowanym! A co do mnie jako świadka, to policja ma moje zeznanie. Nie wiem, co bym mógł dodać. Chyba tylko mojego obecnego pietra.

Zrobił ruch w kierunku drzwi. Zagroziła mu drogę.

- Gdzie jedziesz? Mam prawo wiedzieć!

- Sycylia. - Uśmiechnął się dumnie. - Znam taką dziurę, w której ten sukinsyn nie będzie mnie szukał.

Oczy są jak otwarte książki. Spojrzenie Marca było zawsze zamknięte, ale Chadidza nauczyła się w nim czytać. Zrozumiała jego prawdziwe zamiary.

Marc nie uciekał przed Reverdim.

Przeciwnie, chciał go wciągnąć na teren, który znał.

Zastawić na niego pułapkę.

Ze zdumieniem usłyszała swój własny głos:

- Jadę z tobą.

## 92.

Wszystkie jesienie powinny przypominać sycylijską.

Chadidza zrozumiała to już w chwili lądowania, nazajutrz, o siedemnastej.

Samolot dał nurka w chmury, wyrównał lot, a potem umościł się w łuku płynnego, cudownie łagodnego światła. Za oknem pejzaż parował miedzianymi pigmentami, poprzez które, między dwoma rozbłyskami światła, można było zobaczyć błyszczącą, barwy indygo, powierzchnię morza. Dalej widać było brzeg: cytrynowozieloną równinę, jakby rozjaśnioną tym, że nazbyt płonęła całe lato. Potem, przy samej ziemi, ukazały się szare budynki, a zwłaszcza skały. Pancierz wyspy. Czarny kamień, zarazem twardy i gładki, wyrastający ze zwęglonych traw.

Katania.

Nigdy nawet nie słyszała tej nazwy.

A jednak na betonie lądowiska, wdychając morskie powietrze, przesycone solą i zapachem alg, poczuła się od razu u siebie. Powiedziała sobie, że jesień w krajach, z których pochodzili jej rodzice, musi przypominać tę ciepłą pieszczotę. Nigdy nie postawiła stopy ani w Algierii, ani w Egipcie, ale to właśnie ta jesień krążyła w jej żyłach od czasu, gdy była dzieckiem.

Nawet taksówka jej się spodobała: mała, szara, zwyczajna, nieznannej marki. Przypominała samochody jej pierwszych chłopaków w Gennevilliers - odrapane fiaty i lady... Usadowiła się głębiej na siedzeniu i z dreszczem rozkoszy usłyszała pisk resorów.

Na przekór wszystkiemu - ucieczce, zagrożeniu, przemocy - była szczęśliwa. Gdzieś w jej świadomości trzepotały słowa, których nie ośmieliłaby się wymówić: „miesiąc miodowy”...

W miarę jak oddalali się od lotniska, pejzaż stawał się bardziej posępny. Czarny, monotony, ponury, jakby lawina popiołów pokryła tu wszystko, utrwalając najmniejszą fałdę terenu, dusząc wzgórze pod szarą skorupą.

- Co tu się stało?

- Nic specjalnego - odpowiedział Marc ze wzrokiem zwróconym ku oknu. - Etna jest bardzo blisko. To są skały wulkaniczne.

I wtedy go zobaczyła.

Wulkan. Na końcu horyzontu. Czarna góra, która zdawała się przyciągać do siebie linię chmur. Posepny szczyt przypominający siedzibę wieszczków, miejsce misteriów. Nie wiedząc czemu, Chadidża wyczuwała tu teraz jakąś antyczną obecność, bardzo stare dzieje, które drgały tu jeszcze, rozsiewając wokół symbole i przesłania.

Pomyślała znowu, że Marc chce ściągnąć Reverdiego na tę pradawną ziemię. Czy chciał zetrzeć się z nim na szczycie wulkanu wśród palących gazów? Nic by mu nie przyszło z tego, że ściągnąłby go tam, na górę. Pomyślała o morzu. Jeszcze większy absurd: to było ulubione środowisko Reverdiego. Miasto? Wyobrażała sobie ciasne czarne uliczki. Czy Marc znał ten labirynt tak dobrze, żeby zastawić tam pułapkę na mordercę?

Machinalnie zacisnęła rękę na telefonie komórkowym, który miała w torebce. Przed wyjazdem po cichu zadzwoniła do Solina. Próbował zniechęcić ją do wyjazdu, ale z tonu jego głosu Chadidża wywnioskowała, że Marc mówił prawdę: jego adwokat wyciągnął ich oboje poza zasięg jakiegokolwiek procedury karnej. Byli wolni i mogli podróżować, gdzie chcieli.

Chadidża obiecała policjantowi, że kiedy tylko przyjedzie, prześle mu faksem namiary ich hotelu. Solin za to uprzedzi tutejszą policję, żeby Sycylijczycy byli przygotowani na każdą okoliczność. Ale i tym razem wyczuła coś w jego głosie: policjanci z Katanii mieli inne sprawy na głowie.

Wciąż trzymała w ręku komórkę, gdy wjechali do miasta.

\*

Już nazajutrz była zakochana.

Zakochana w swoim pokoju, w malutkim pensjonacie, zupełnie pustym, stojącym w głębi ślepej uliczki. Zakochana w wypłowiałych deseniach zasłon i kapy na łóżko, w obrączkach na serwetki i kranach ze starej miedzi. Zakochana w szarych dachach, w krzyżach kościołów, antenach satelitarnych, które mogła podziwiać spokojnie z balkoniku z kutego żelaza, przypominającego szpon orła.

Wybrała się do miasta. Włoczyła się po alejach, uliczkach, czarnych i rozgrzanych placach, które zdawały się przechowywać jeszcze przygaszony, pradawny ogień. Podobały jej się te brązowe garbate chodniki, jakby rozbite młotem kowala, te ściany z ciemnego kamienia, te podwórka, ogrody, obrzeżone wystygłą lawą. Rzecz osobliwa - kamień wulkaniczny ożywiał każdy kontrast, podkreślał każdy szczegół. Wszystko tu wyglądało jak rysunek kolorową kredą na wielkiej popielatej tablicy.

Chadidżę zachwycało też sycylijskie życie, zmienność tego miasta, zarazem krzykliwego i skrytego, gwałtownego i cichego. Place zadymione, zmacerowane zapachem idącym z bud, w których sprzedawano panini, bułeczki, placuszki z owocami morza.



Starożytne posągi, niezrównane okazy szarości i rozpadu, kiwające się na cokołach, wokół których ze śmiechem uganiały się dzieci. Srebrzyste płyty, migoczące pod ulewami, które co jakiś czas nawiedzały miasto, nie zatrzymując się nigdy na dłużej.

Tak, stanowczo, Chadidza była zakochana w Katanii. Całymi dniami włóczyła się po mieście, zapominając o swoich lękach, spychając w niepamięć czyhające wciąż zagrożenie ze strony Reverdiego i częste nieobecności Marca. Co rano zostawiał ją, udając się do jakichś tajemniczych zajęć. Wynajął samochód i codziennie wyjeżdżał za miasto. Kiedy pytała go o te wypadki, mówił jej o czuwaniu, sprawdzaniu, ochronie. W gruncie rzeczy gwizdała na to. Mówiła sobie, z całą niewinnością, że przeżywa tu spokojny rozejm.

Pociągała ją nawet utajona gwałtowność Katanii. W mieście, zajmującym pierwsze miejsce we Włoszech pod względem przestępczości, było pełno zabójstw, tajemniczych wypadków, ostrzeżeń. Jak ta obcięta głowa, znaleziona pod pomnikiem Garibaldiego. Albo ten bar przy północnym Trapetto, w którym doszło do masakry.

Katania była miastem słońca i cieni, ale także miastem mafii.

Tak minął tydzień.

Wczesnym rankiem Marc i Chadidza udawali się do kawiarenki internetowej - celowo nie zabrali ze sobą laptopa. Przeglądali wydania gazet francuskich. Wciąż mieli nadzieję, że trafią na wiadomość o aresztowaniu Reverdiego. Albo przynajmniej na coś nowego na jego temat. Gazety były jednak lakoniczne. Śledztwo najwyraźniej nie posuwało się naprzód.

Z upływem dni śledziła sprawę z coraz większym dystansem. Nie odsłuchiwała już swojej sekretarki automatycznej, nie zwracała uwagi na nowe kontrakty, które negocjował jej agent. Odsuwała się od samej siebie. Żyła w zawieszeniu, a miasto miało z tym coś wspólnego. Było chorobą, oddalającą ją od rzeczywistości. Rekonwalescencją, w czasie której wszystko zdawało jej się mętne i bez znaczenia.

Prawdziwe życie było w Katanii. Tu dreszcz podniecenia nadawał kształt każdej chwili, każdemu wrażeniu, jak te kryształki cukru na wielkich śniadaniowych rogalach, od których zaczynała dzień. Cały ranek przesiadywała w *gelateni*, koło matowych szyb, skąpana w zbyt mocnym zapachu kawy, i czytała włoskie gazety, z których rozumiała co drugie słowo.

Pasjonowała ją kronika kryminalna, na przykład historia pielęgniarki z przedmieścia Katanii, która uchodziła za świętą, a właśnie śmiertelnie poparzyła męża kwasem solnym. Kiedy czytała, nie szukała już odpowiedzi na niemożliwe pytania: co właściwie tu robi w towarzystwie Marca? Mieszkając z nim bez żadnej czułości, bez żadnej uwagi? Czy chce mu pomóc, kusić diabła, a może tylko liczyć punkty?

A on? W jaką grał grę?

\*

Po czym, pewnego wieczoru, to się stało.

Nie, nie wtargnięcie Reverdiego. Jeszcze nie. Tylko pojawienie się Marca we framudze drzwi między ich pokojami.

Od czterech dni nie były zamknięte. Od czterech nocy Chadidza czekała, z nadzieją i obawą jednocześnie, że się otworzą. Przeczuwała, że to się stanie w tym starożytnym mieście, pełnym wieszczków, którzy nie zadowalali się przepowiadaniem wydarzeń, lecz je powodowali. W mieście leżącym na krawędzi przeznaczenia, tam gdzie świadomość przechyla się na drugą stronę, gdzie wszystko się rozstrzyga, gdzie ludzie grają o swoje istnienie.

Podszedł do niej bez słowa. Objęli się jakoś dziwnie swojsko, jakby ich skóry rozmawiały ze sobą przez wszystkie te tygodnie, kiedy ich wargi milczały. Chadidza, jak zwykle, pozostała sucha, ale ich ciała dosłownie zespoliły się. Czowała, jak mięśnie, kości Marca grają mu pod skórą. Myślała o bąblach lawy, wybuchających w głębi przepaści, na szczycie Etny. Pot ich zalewał, wciskał się w każde wgłębienie, w każdą szparę między ich ciałami. Jej uda zwilgotniały, otworzyła się jak krater. Zwilżyła palce śliną i wsunęła je sobie w srom. Indiańskie oparzenie stało się strugą gorącej lawy.

Marc był taki sam jak w ostatnich tygodniach, miał zaciśnięte zęby, był zamknięty w milczeniu. Chadidza nie czuła żadnej rozkoszy. Ale towarzyszyła mu tak, jak towarzyszyła mu od nocy Reverdiego. Bez miłości, tylko z pokorną zyczliwością która przyszła do niej z daleka. W pełni aktu miłosnego była wciąż pielęgniarką.

Stopniowo Marc się unióśł, wygiął nad nią w łuk. Mięśnie mu się napięły, biodra przyśpieszyły ruch. Chadidza była nieobecna. Obca tej chwili. Majaczyła: mieszało jej się wszystko - jej płonący ojciec, jej mózg - ośmiornica, rycząca Etna... Ale nie zapominała dawać przyjętych znaków, okolicznościowych westchnień, obowiązkowych pieszczot, wyczuwając pod palcami niezliczone blizny Marca. Jedyne, czego nie mogła mu dać, to swych ust - były jeszcze zbyt bolesne. Ani razu nie pocałowała go, i to jej przynosiło utajoną ulgę.

A on nagle znieruchomiał, zgarbiony nad nią jakby odepchnięty kulą rozkoszy, trzymającą go na odległość. Krzyknął, zajęczał, potem wydał z siebie zwierzęcy charkot, jakby ten Marc nie miał nic wspólnego z tamtym, którego znała w ciągu dnia, w zwyczajnym życiu. Zwalił się u jej boku. Nie wiedziała, czy znalazł rozkosz w tej szarpaninie. Pewne było tylko zupełne odprężenie ich ciał, cudowna swoboda, która teraz przynosiła im spokój.

Olśniła ją myśl, że mogłaby tu umrzeć, w tym mieście wyplutym przez ogień. Rozpatrywała tę możliwość ze spokojem, jako logiczne dopełnienie kręgu, z którego nigdy się nie wydostała. Tak, mogłaby umrzeć u boku Marca, tego obcego człowieka, którego pielęgnowała, chociaż był winien jej nieszczęścia.

A on już się nie poruszał. Czowała tylko jego oddech, ciężki i krótki, jakby wibrowała w nim niejasna uraza. Oznaki burzy, która ledwie przeszła bokiem. Odwróciła się do ściany i powiedziała:

- Masz spotkanie.

Odpowiedzi nie było.

Musnęła wierzchem dłoni tapetę i powtórzyła:

- Wiem, że masz tu spotkanie. Z nim.

Milczenie. Ciemność.

Wreszcie usłyszała pomruk. Mgiełkę głosu:

- Nie zmuszałem cię, żebyś tu przyjechała.

Ale Chadidza nie słyszała: już spała.

## 93.

Ocknęła się na dźwięk dzwonów.

Uderzenia niskie, suche, pełne słońca. Dźwięki, które obudziły ją tak, jak nigdy nie była budzona. Usiadła na łóżku: Marca już nie było. Tym lepiej.

Pomyślała o ich zbliżeniu i o nieprzyjemnym uczuciu, jakie w niej pozostało. Nie umiała powiedzieć, czy kocha Marca, czy nie. Nawet, a zwłaszcza, po tej nocy. Byli ciągle na tym samym etapie: czepiali się siebie wzajemnie nad brzegiem przepaści.

Dzwony wypełniały niebo, wibrowały w świetle. Chadidża przypomniała sobie, że to niedziela. Wyszła z łóżka, włożyła sukienkę i popatrzyła na zewnątrz przez podwójne drzwi balkonu.

Nigdy nie widziała tak pięknego widowiska. Ulice przypominały strumienie światła. Czarna lawa wydawała się płynna, złocista, lśniąca. W roziskrzonym powietrzu maszerowała gęsiego armia sylwetek. Mężczyźni też, ale głównie kobiety, w większości drobne staruszki, ubrane na czarno, truchtające jak mrówki w żałobie w kierunku najbliższego kościoła.

Chadidża postanowiła pójść na mszę. Nie praktykowała żadnej religii, ani swoich przodków, ani żadnej innej. Ale dziś chciała poczuć świeżość kościelnej nawy, pooddychać kadzidłem, otrzeć się o czarne chusty starych kobiet.

Włożyła sweter, wciągnęła botki na nogi. Pochwyciła płaszcz, klucz i poszła ku drzwiom.

Nacisnęła klamkę, kiedy w pokoju rozległ się telefon.

Chadidża znieruchomiała: kto mógł do niej dzwonić na ten numer?

Podniosła słuchawkę i powiedziała z wahaniem: „Halo!”.

- Chadidża? Cieszę się, że panią zastałem.

Rozpoznała od razu głos Solina, gliniarza o anonimowej twarzy. Ale ten głos tak mało pasował do chwili, że nie od razu zrozumiała jego słowa.

- Co pan mówi?

Odwróciła się do okna: czar prysł. Dzwony, wdowy, słońce - wszystko zdawało się teraz stracone, niedostępne.

- Niesamowite - powtórzył glina. - Znalezione ciało.

- Co?

- Właściwie niezupełnie. Otrzymaliśmy wyniki analiz, zamówionych przed śmiercią przez Michela. W ośrodku był piec do spalań. Michael poprosił o zanalizowanie popiołów z tamtej nocy, tak na wszelki wypadek. Te badania zabrały sporo czasu. Jakieś komplikacje techniczne, nie bardzo rozumiem... Ale jedno jest teraz pewne: jakieś żywe ciało zostało tamtej nocy spalone. A wedle testów na DNA był to Reverdi we własnej osobie. Szukano go w rzece i to był błąd. Nigdy nie wydostał się z fabryki. Schował się w piecu i tam został zatrzaśnięty. Spalił się żywcem!

Chciała mówić, ale agrafki znów spinały jej wargi. Pazury były silniejsze od jej głosu. Wreszcie zdołała wydukać:

- Aaaale... aaale... co to znaczy?

- Jest jakiś inny zabójca. Jakiś naśladowca, nie wiem... Chadidžo, jest tam pani?

Nie odpowiedziała.

Zrobiła się dziesięć razy cięższa. Zapadała się w ziemię.

- Musicie koniecznie wrócić. Pani i Marc. Niech pani mnie nie zmusza, żebym prosił sędziego o nakaz międzynarodowy. Mamy umowy z Włochami i... Chadidžo? Co się z panią dzieje?

Długie milczenie, po czym powiedziała wyraźnie:

- Zadzwońię.

Odłożyła słuchawkę.

Był to jedyny ruch, na jaki ją było stać. Cała jej istota zamieniła się w lodowatą lawę.

Podwójne szklane drzwi naprzeciw niej były uszczelnione. Włóknami rattanu.

Tak, Jacques Reverdi miał naśladowcę.

A ona dzieliła z nim łóżko.

Drzwi między pokojami otworzyły się.

- Znaleźli go?

Głos Marca był łagodny, pełen troski. Pomyślała: nie chcę umrzeć. Usłyszała, jak drzwi się zamykają. Ich szelest po podłodze był wymowny: one też były uszczelnione. Włókna rattanu, wszędzie. I uduszenie, za parę godzin.

- Nieważne - mówił dalej głos. - Ciało to nic. Tylko duch się liczy.

Pomyślała: to ja, Chadidža, i nie chcę umrzeć. I dopiero wtedy odwróciła się.

Marc, jeszcze w płaszczu, uśmiechał się do niej. W lewej ręce miał torebkę z rogalikami. W prawej - rybacki nóż z zakrzywionym ostrzem.

- Jacques Reverdi nie żyje. Ale jego dzieło trwa.

Chadidža cofnęła się. Dzwony wciąż biły. Słońce, wiatr, życie były o tysiące

kilometrów, po drugiej stronie okna. Marc położył rogaliki na komodzie i zrobił krok naprzód. Patrzył na nią spod kosmyka spadającego mu na czoło - zauważyła, absurdalnie, że włosy odrastają mu bardzo szybko.

- Tam, w wymienniku myślałem, że ostatnim etapem mojego wtajemniczenia będzie śmierć z ręki Reverdiego. Myliłem się. Ostatnie stadium, najwyższy stopień poznania to stać się Reverdim. Kontynuować jego dzieło. Jacques wierzył w swoje wskrzeszenie i miał rację.

Przysunął się jeszcze bliżej. Ona oparła się o podwójne drzwi. Z rękami na plecach, czuła dłońmi włókna rattanu wystające ze szczelin framugi.

- To niemożliwe - wyszeptała. - Nie można stać się mordercą. On nie mógł wpłynąć na ciebie tak bardzo, żebyś...

Nowy uśmiech Marca.

- Ależ ja jestem mordercą. Od zawsze.

Chadidza nie chciała tego słuchać. Ani jednego słowa więcej.

- Obrzęd Reverdiego uzmysłowił mi, kim jestem. A moja ostatnia śpiączka, ta po spotkaniu w ośrodku chemicznym, przywróciła mi pamięć. Kiedy się przebudziłem, wszystko stało mi przed oczami. Prawda, która się kryła za tamtymi utratami pamięci. To ja zabiłem d'Amico, mojego kumpla z liceum. To ja zabiłem Sophie, moją narzeczoną.

Chadidza pomyślała: to nieprawda. To wariat. Ale zobaczyła szpary w drzwiach za jego plecami: były uszczelnione. Kratka przewodu wentylacyjnego - zasłonięta. Szpary w parkiecie - zatkanie. Ile czasu mu to zajęło? Oto co robił w te dni, kiedy ona wychodziła na spacer: przygotowywał Izbę Czystości.

Lewą ręką Marc otworzył górną szufladę komody. Wyciągnął z niej małą skrzyneczkę pokrytą skórą i postawił ją na podłodze.

- Myślałem przez te wszystkie lata, że szukam zabójcy. Szukałem tylko zwierciadła. Odbicia, w którym odnajdę swoją logikę, swoją prawdę.

- To niemożliwe - szepnęła bez przekonania.

Przyklękawszy na jedno kolano, Marc wyciągnął ze skrzyneczki flakon z bursztynowym płynem: miód. Długi pędzel. Małą lampkę oliwną, w kształcie biurety. Podnosząc się, uśmiechał się jeszcze.

- Znalazłem to wszystko u antykwariusza w centrum Katanii. Też tam byłaś? Mają naprawdę piękne rzeczy...

Odkręcił korek i powąchał zawartość flakonu. Patrząc na Chadidzę, zaczął mówić szybciej:

- D'Amico był homoseksualistą. Mylił się co do charakteru naszej przyjaźni. Tam, w

toalecie licealnej, chciał mnie przymusić... Biliśmy się. On się poślizgnął i upadł na ziemię. Chwyciłem go za włosy i uderzyłem jego głową w brzeg muszli. Potem wpadłem na pomysł. D'Amico był dziwnym facetem: miał zawsze przy sobie brzytwę. Znalazłem ją i przeciąłem mu żyły. Ale krew nie popłynęła. Zrobiłem mu masaż serca, żeby wycisnąć krew na zewnątrz... Wiedziałem, że lekarz sądowy zauważy uderzenie w tył głowy, ale pomyślałem, że odwróci kolejność wydarzeń. Stwierdzi, że samobójstwo poprzedziło upadek. I wtedy spostrzegłem, że miałem wytrysk. Przemoc, śmierć, jego upokorzenie: sam nie wiem... Jedno było pewne: kochałem krew. Kochałem morderstwo. Odrzuciłem tę prawdę. Z wściekłości wpakowałem mu szczotkę klozetową w usta. Wyszedłem z kabiny oszołomiony, a kiedy zobaczyłem siebie w lustrze nad umywalką, zapadłem w śpiączkę. Reszta jest zgodna z wersją oficjalną.

Znów wciągnął nosem zapach miodu. Chadidza poruszyła przecząco głową.

- Nie zabiłeś Sophie.

- Zabiłem ją właśnie tutaj - powiedział i roześmiał się urągliwie. - W tym pokoju przeszło dwadzieścia lat temu...

Pod stopami Chadidzy otwierała się przepaść. Skupiła się na starych motywach zasłon i kapy, żeby odnaleźć znajome punkty orientacyjne. Ale wydało jej się teraz, że się mnożą, że są wrogie, oszukańcze.

- Chciała mnie rzucić. Zabrałem ją na Sycylię w nadziei, że się pogodzimy. Ale ona była zdecydowana. Pewnego wieczoru powiedziała mi nawet, że jest ktoś inny. Rzuciłem się na nią. Biłem ją pięściami i jej podbite oczy, usta we krwi podniecały mnie jeszcze bardziej...

Roześmiał się znowu i mówił dalej ironicznym tonem:

- Należała jej się mała lekcja. Włożyłem trampki. Wyszedłem na korytarz i w komórce sprzątaczkii znalazłem gumowe rękawice i proszek do czyszczenia. Wróciłem do Sophie i obnażyłem druty w kablu elektrycznym. Zakneblowałem ją włączyłem kabel i wsadzałem go we wszystkie jej części intymne, w te wszystkie miejsca, w których był tamten. Trwało to długo. Bardzo długo. Wytrzymałość fizyczna to naprawdę... coś zdumiewającego. W końcu wypatroszyłem ją i wyrzuciłem wszystko na podłogę. Po prostu, żeby wiedzieć, co miała w środku. Potem umyłem się i nasypałem proszku do rękawic, żeby usunąć moje odciski palców. Zostawiłem wszystko tak, jak było, i poszedłem się powłóczyć po ulicach Katanii. Byłem nieprzytomny. Kiedy wróciłem, już nic nie pamiętałem. Ale ogarnął mnie jakiś niewypowiedziany lęk. Kiedy ją znów zobaczyłem, poparzoną zgwałconą wypatroszoną na nowo straciłem przytomność. Na kilka tygodni. Potem przebudziłem się we Francji. Nie pamiętałem już nic.

Postawił flakon na komodzie. Chadidża zakaszłała. Powietrze było już niedobre. Dzwony były teraz w jej czoło, rezonując okrutnie. A w pokoju unosił się zapach miodu.

Wszystko zaczynało się na nowo...

Marc zapalił knot swojej lampki. Płomyk był niebieskawy, niepewny: też miał za mało tlenu.

- Ale to była tylko namiastka - zaczął znowu Marc. - Jacques pokazał mi drogę. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak kontynuować jego dzieło. To są moje drugie narodziny, Chadidzo.

Pochylił się, wsunął ramię pod komodę i wyciągnął miniaturową butelkę ze sprężonym powietrzem połączoną z urządzeniem do oddychania.

- Wiedziałaś, że produkują także takie małe? - zapytał, prostując się. - Kupiłem ją w porcie. Stanowczo to miasto jest świetnie zaopatrzone.

Marc otworzył butelkę i na próbę włożył do ust reduktor, po czym go odłożył. Jego ruchy były pewne, krótkie, dokładne. Chadidża czuła się coraz gorzej. Musiała znaleźć jakieś wyjście. W środku miasta, w pokoju hotelowym, musiała dać sobie radę.

Spytała schrypniętym głosem:

- Dlaczego zabiłeś Michela?

- To był dobry glina. Na mój gust za dobry. Nie ufał mi. Domagał się dodatkowej ekspertyzy psychiatrycznej mojej osoby. Skontaktował się nawet z włoską policją, żeby otrzymać materiały archiwalne na temat zamordowania Sophie. Nie mogłem pozwolić mu działać, rozumiesz? Musiałem kontynuować dzieło. Wysłałem e-mail. Udałem, że jestem nieprzytomny. Wymknąłem się ze szpitala, żeby go zaskoczyć u niego w domu, przedtem odebrałem kawałki wosku, które wcześniej zakupiłem. Nic szczególnie trudnego.

W jej świadomości tworzyły się jakieś ciemne zakamarki, funkcje umysłowe zdawały się po kolei wygasać. Myśleć. Musi myśleć. I zyskać na czasie.

- Ale tej nocy - jęknęła. - Po tym, co zrobiliśmy? Jak możesz?...

Marc zrobił ręką ruch, jakby wyjaśniał coś oczywistego.

- Przecież cię kocham, Chadidzo. Zawsze cię kochałem, od tej pierwszej sesji u Vincenta. Dlatego będziesz pierwszą z mojej serii. Reverdi też je kochał. Wiem o tym. Zrozumiałem to podczas mojej podróży. Kochał je miłością zupełną, wieczną, oczyszczającą.

Szedł w jej stronę z otwartym nożem. Twarz miał błyszczącą od potu, bladą, trupią, jakby cała krew skupiła się w jego zaciśniętej pięści.

- Nie bój się... Zaczekamy, aż Izba będzie gotowa. Potem, obiecuję ci, będę pracował łagodnie.



Chadidza skoczyła w bok, za łóżko. Marc uśmiechnął się.

- Nie, moja piękna. Nie możesz się ruszać. Bo wszystko będzie bardzo, bardzo bolesne.

Odskoczyła jeszcze o metr. Pokój nie był duży - może cztery metry na pięć - ale do zabawy w kotka i myszkę miejsca starczyło aż nadto. Świadomość jej wracała. Jasność myśli także. Była pochylona, skupiona. Nigdy nie pozwoli, by ją wykończył. W najlepszym razie - da sobie radę. W najgorszym - doprowadzi do rzezi. Rozpieprzy mu ten cały jego obrząd, tak jak on zrobił swojemu mentorowi.

- Uspokój się, Chadidza, uspokój się...

Rozłożył ramiona, żeby jej zagrozić drogą. Ona, plecami przy ścianie, przesuwała się wzdłuż niej ku drzwiom.

- Robisz błąd, Chadidza. Jeśli będziesz postępować tak dalej, umrzesz bez żadnej godności. Wypuszczę z ciebie krew i...

Chwyliła za klamkę: drzwi były zamknięte. Przewidziała to. Marc rzucił się za nią: ona zrobiła unik. Ostrze drapnęło o drzwi. Nim się odwrócił, ona już była przy drzwiach balkonowych. Chwyliła stojący przy łóżku nocny stolik i rozwalila szybę.

- NIE! TYLKO NIE TO!

Nadstawiła twarz na powiew powietrza. Ten krótki haust ją odrodził. Chwyliła za róg kapy, żeby się osłonić, wyrwała z framugi duży odłamek szkła i jednocześnie odwróciła się. W tej samej chwili Marc rzucił się na nią z nadstawionym nożem. Odłamek szyby wbił mu się głęboko we wnętrzości. Krew trysnęła jej na uda obfitym, ciepłym strumieniem.

Spojrzał na nią swymi złocistobrązowymi oczami - zauważyła, że tęczęwki miał otoczone nefrytowymi obwódkami. Stał tak, sparaliżowany, o kilka centymetrów od niej. Strumyk krwi spływał mu już z warg, pod wąsem. Pomyślała, że całowała te usta, że pieściła te ramiona, lizała tę pierś. Jej wola walki podwoiła się. Przemknęła między nim a rozwaloną ramą okienną.

Niezręcznym ruchem próbował ją złapać, ale trafił ramieniem w stłuczone okno. Chadidza była już w przeciwległym końcu pokoju; obserwowała go, jak stoi plecami do niej, zgarbiony nad kałużą krwi. Na mgnienie oka ujrzała go wygiętego w łuk nad nią, nad jej nagim ciałem, jakby unoszonego przez kulę rozkoszy. Ten obraz zelektryzował ją. Ryknęła i ruszyła z prawym barkiem wysuniętym do przodu. Poczwała, jak kręgosłup Marca napina się, pręży, ustępuje. Poczwała, jak reszta ramy pęka w kawałki. Poczwała, jak jego ciało leci w przód, a ona z nim razem. Odbił się od balustrady balkonu i wyprostował. Szpon orła, pomyślała, i te dwa słowa nagle podsunęły jej myśl. Rzuciła mu się do stóp, chwyciła za

kolana i nadludzkim wysiłkiem wstała.

Marc nie zdołał chwycić się za balustradę i wypadł głową naprzód.

Chadidza padła w tył. Była w szoku, miała ściśniętą krtani, nie mogła oddychać. Minęło trochę czasu. Zauważyła słońce, zimno, ciszę - dzwony już zamilkły.

Odlamki szkła wbiły jej się w dłonie, nogi, pośladki. Wydawało jej się, że najwięcej ran ma na podniebieniu. W ustach czuła smak miedzi.

Wreszcie podniosła się i wychyliła przez poręcz balkonu.

Wszystko było prawdą. Ciało Marca, zwinięte wpół, z zaciśniętą pięścią leżące na wulkanicznym gruncie. Zbliżające się do niego stare kobiety. Ciasne mury, powiększające jeszcze wrażenie głębi przepaści. Czarny obraz na czarnym tle. I tylko jedna plama koloru: czerwona krew spływająca po bruku, pomiędzy grubymi buciorami wdów.

Chadidza przechyliła się jeszcze bardziej. Kobiety niczym widma stały kołem nad trupem. Niektóre unosiły twarze koloru opłatka w jej kierunku.

Poręcz zakołysała się. Nie, to ona zachwiała się na nogach. Przez chwilę, przez bardzo krótką chwilę miała ochotę z tym skończyć: skoczyć w dół, żeby dogonić śmierć, o którą już się otarła, która zniszczyła cały jej świat.

Ale nie.

Zacisnęła ręce na balustradzie i szepnęła w słońce:

- Chadidza.

W głębi tej pustyni - ona żyła.

Kryształ kwarcu. Róża piasków. Osobowość w stanie czystym.

Tylko tego była pewna.

„Chadidza”.

Żywa.